



**WAR BOOK**

**ROBERT FOKS**

# OSTATNI NIELEGAL

...każdy szpieg ma zawsze  
dwa oblicza...

ROBERT FOKS

# Ostatni Nielegal

---



© 2022 Robert Foks  
© 2022 WARBOOK Sp. z o.o.

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja i korekta: **Zespół redakcyjny**

eBook: **Atelier Du Châteaux**

Projekt okładki: **HEVI**

**ISBN 978-83-66955-26-4**

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**  
ul. Bładnicka 65  
43-450 Ustroń, [www.warbook.pl](http://www.warbook.pl)

## OD AUTORA

*Tłem rozgrywającej się w 2019 roku akcji jest mało znana szerszej publiczności działalność pionu wywiadu nielegalnego Departamentu Pierwszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (cywilnej służby wywiadowczej Polski Ludowej). Moim zamierzeniem było możliwie wierne przedstawienie tej najtrudniejszej formy zdobywania tajnych informacji na terenie kraju obcego. Konstruując intrygę, wprowadziłem jednak dwa elementy fikcyjne: „system podwójnych nazwisk legalizacyjnych” oraz „teczkę legalizacyjną”. W rzeczywistości oficerowie Służby Bezpieczeństwa posługiwali się zazwyczaj jednymi, stałymi aliasami, zaś procedura ewidencjonowania dokumentów personalnych różniła się od zaprezentowanej w książce. Beletrystyczna konwencja nakazała mi także odstąpienie od używania w tekście oficjalnej (biurokratycznej) nomenklatury odnoszącej się do sposobu prowadzenia i dokumentowania działań SB.*

*Znawców problematyki międzynarodowej oraz krajowej, a także historii proszę o wyrozumiałość. Uproszczenia, które zapewne Państwo odkryją, zostały zastosowane celowo. Chciałem w ten sposób uzyskać przystępność skomplikowanej materii polityki. Mam nadzieję, że zachęci to wielu Czytelników do pogłębienia znajomości zarówno spraw współczesnych, jak i przeszłych.*

*Losowość jest udziałem każdego życia, jednak ani pech, ani łut szczęścia, ani tym bardziej neutralny przypadek nie wynikają z wiedzy albo niewiedzy. Wiedza pozwala je właściwie wykorzystać, zaś niewiedza zmarnotrawić.*

KRAKÓW,  
14 STYCZNIA 1945 ROKU

Zmierzch ogarniał miasto powoli i nieustępliwie, choć leżący gdzieś na ulicach śnieg próbował ocalić zanikające światło dnia. Unosząca się w powietrzu delikatna mgiełka stwarzała wrażenie spokoju. Cisza była jednak pozorna. Z oddali słyhać było pojedyncze, jeszcze niemrawe, ale coraz liczniejsze odgłosy oznajmiające zbliżanie się wojennego frontu. Dwa dni wcześniej oddziały Armii Czerwonej, znajdujące się około stu dwudziestu kilometrów od Krakowa, rozpoczęły ofensywę. Hitlerowskie wojska cofały się. Nie wytrzymały sowieckiego naporu, tak jak stare, spróchniałe drzewo nie jest w stanie podołać sile huraganu.

Masywny budynek szpitala, noszącego przed wojną imię prezydenta Gabriela Narutowicza, górował nad okolicą. Swoją bryłą oraz położeniem zdawał się milcząco wskazywać drogę do centrum historycznego miasta. Niemcy, którzy przez cały okres okupacji eksploatowali placówkę, opuścili ją kilka tygodni temu, pozwalając schronić się w niej uciekinierom z Warszawy: byłym powstańcom i ludności cywilnej. Nieliczny personel medyczny próbował wypełniać przysięgę Hipokratesa, choć było to prawie niemożliwe. Brakowało wszystkiego – leków, pościeli, żywności, opału.

Panujący spokój przerwał odgłos silnika spalinowego i zaraz potem na szpitalnym podjeździe pojawił się motocykl z bocznym wózkiem. Widok był niecodzienny. Pojazdem kierował oficer Wehrmachtu, zaś w przyczepce siedział ksiądz, który dociskał ręką do swojej głowy bilet z charakterystycznym pomponem, by nie zwiął go pęd powietrza wywołany jazdą.

Zatrzymali się u wejścia do gmachu. Niemiec wyłączył silnik. Zdecydowanym ruchem ręki nakazał duchownemu wysiąść i iść za sobą. Ten, otulony w grubym wełnianym płaszczu, spod którego wystawała czarna sutanna, podreptał za oficerem. Weszli do szpitala. Idąc korytarzem ku lewemu skrzydłu budynku, mijali pacjentów, którzy niemal automatycznie kurczyli się na widok mężczyzny w mundurze. Ten wychwytywał ich spojrzenia. Były tak nienawistne, że

mimowolnie położył dłoń na kaburze z pistoletem. Jednak obecność kapłana rozładowywała napięcie.

Stanęli przed szpitalną izolatką. Oficer zdjął z głowy czapkę, rozpiął pod szyją płaszcz, po czym otworzył drzwi. Ksiądz wszedł do dość obszernej izby. Pierwszym wrażeniem było ciepło – pomieszczenie ogrzewał prymitywny blaszany piecyk, od którego odchodziła kominowa rura odprowadzająca dym poprzez zaimprovizowany luk w prostokątnym oknie. Głównym sprzętem w pokoju było stalowe, miejscami szkaradnie odrapane, szpitalne łóżko. Leżała na nim młoda kobieta szczelnie przykryta kołdrą. Wpatrywała się w postać kleryka, a ten odniósł wrażenie, że z jej oczu emanuje radość pomieszana z nadzieją. Przyjrzał się jej uważniej. Skóra na jej twarzy była ziemista, zaś grymas ust wyrażał cierpienie. Oficer podszedł do niej, pochylił się, ujął ją za rękę i przemówił po niemiecku. Choć ksiądz niczego nie zrozumiał, z tonu domyślił się, że musiało to być coś czułego i miłego. Miał rację. Chora uśmiechnęła się i pogłaskała mężczyznę po twarzy. Ten po chwili wyprostował się i rozejrzał po izolatce. Jego wzrok padł na jedno z dwóch krzeseł stojących pod ścianą. Wziął je, postawił u wezgowia łóżka, po czym wycofał się i usiadł na drugim.

– Niech ksiądz spocznie obok mnie – odezwała się kobieta po polsku. – Proszę jednocześnie wybaczyć mojemu narzeczonemu sposób, w jaki zaprosił wielbłądą osobę do złożenia mi wizyty.

Oblicze duchownego zdawało się wyrażać zdziwienie. Nie był jeszcze w tak dojrzałym wieku, by ktokolwiek zwracał się do niego per „wielbłądą osoba”. Użycie tego zwrotu, intonacja głosu oraz dokładność w wypowiedzianiu zgłosek uświadomiły mu, że ma do czynienia z kimś wykształconym, taktownym i kulturalnym.

– Pani jest Polką? – spytał, choć wydawało się to oczywiste.

– Tak – odpowiedziała cicho.

Zaraz też zapytała:

– Czy księdza gorszy fakt, iż mój narzeczony jest oficerem Wehrmachtu? Jeśli tak...

– Nie mam prawa tego oceniać. Zresztą Pan Bóg nie widzi w nas Polaków czy Niemców, a tylko dobrych i złych ludzi.

Chora, usłyszawszy te słowa, odetchnęła z ulgą. Duszpasterz zapragnął, by jego rozmówczyni poczuła się bezpiecznie i dogodnie.

– Jak trafiła pani do tego szpitala? – To pytanie wydało mu się neutralne, lecz chwilę później musiał uznać, że jest marnym dyplomata.

– Narzeczony przywiózł mnie tu dzisiaj w nocy, gdyż... – kobieta zrobiła dłuższą pauzę, po czym nabrała głęboko powietrza, zamknęła oczy i prawie szeptem, jakby wstydziała się tego, co zamierzała powiedzieć, wyznała: – ...jestem w ciąży, proszę księdza.

Kapłan mimowolnie skierował wzrok na środek łóżka i dopiero teraz zauważył, że kołdra uformowała tam charakterystyczny wzgórek. Ujął delikatnie dłoń ciężarnej, a gdy ta spojrzała na niego, uśmiechnął się i odrzekł:

– To wspaniała nowina, bardzo się cieszę. I pani również powinna się cieszyć.

Przyszła matka odetchnęła jeszcze głębiej, z jeszcze większą ulgą, i powiedziała:

– Szczerze mówiąc, bałam się, że wielebny mnie potępi.

– Dlaczego pani tak sądziła?

– Jak to dlaczego? Przecież jestem panną, a na dodatek ojcem dziecka jest Niemiec.

– Och, gdybyśmy wszyscy w tej chwili mieli tylko takie problemy, bylibyśmy naprawdę szczęśliwi. Ale nie odpowiedziała mi pani na moje pytanie: jak trafiliście do tej właśnie lecznicy? Tutaj przecież nie ma właściwych warunków do porodu.

– Ten szpital znajdował się najbliżej miejsca, w którym przebywałam. Wczoraj poczułam się bardzo źle. Uznałam, że nadchodzi moment rozwiązania, więc narzeczony, nie namyślając się, przywiózł mnie właśnie tutaj. Okazało się jednak, że nastąpiły komplikacje. Lekarze i pielęgniarki, nie zważając na trudności, zaopiekowali się mną. Specjalnie dla mnie przygotowali tę izolatkę. To jedno z czterech ogrzewanych pomieszczeń w całym budynku, a ja jestem tu jedyną kobietą w ciąży. Myślę więc, że nie jest najgorzej.

– Widzę, że jest pani optymistką. To dobrze, to bardzo pomaga w ciężkich terminach – odrzekł duchowny. – Domyślam się, że jako katoliczka chciałaby pani wypowiadać się przed porodem – postanowił dowiedzieć się, z jakiego powodu został tu przywieziony.

– To także – padła odpowiedź. – Przede wszystkim jednak chcę prosić, by ksiądz udzielił nam ślubu. I to jeszcze dziś.

Prośba wprawiła kapłana w osłupienie.

– Jak to sobie pani wyobraża? Nie wiem, czy mógłbym w tych okolicznościach...

– Okoliczności są szczególne. – Głos kobiety zabrzmiał nieustępliwie. – Moja ciąża jest zagrożona. Nie wiadomo, czy dziecko przeżyje poród, nie wiadomo, czy ja go przeżyję, zaś mój narzeczony, zgodnie z rozkazami, jutro opuszcza Kraków i udaje się na front. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek się jeszcze zobaczymy.

Kapłan zastanawiał się przez chwilę, po czym wolno, ciepłym głosem powiedział:

– Trzeba mieć ufność w Bogu, że wszystko zakończy się szczęśliwie. Sakrament małżeństwa powinien być przyjęty w pokorze i spokoju.

– Z pokorą i spokojem przyjmuję to, co Bóg robi z moim życiem – odpowiedziała cicho. – A co do okoliczności... W tym szpitalu są powstańcy warszawscy. Proszę z nimi porozmawiać. Na pewno opowiedzą o jeszcze gorszych okolicznościach zamążpójścia. Ale to akurat nie jest najważniejsze.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Kochamy się i będziemy za sobą tęsknić. Kochamy się i wierzymy, że przetrwamy. A będzie nam łatwiej tęsknić i przetrwać, gdy będziemy małżeństwem. Niech ksiądz to zrozumie i nie odmawia!

Duszpasterz popatrzył na kobietę. Po dłuższej chwili pokiwał głową na znak zgody. Ona zaś jeszcze doprosiła:

– Jeśli poród się powiedzie, to bardzo proszę, by wielebny ochrzcił nasze dziecko. ■



KRAKÓW, ROK 2019.

1.

Podkomisarz Zygmunt Vesely rozglądał się uważnie po mieszkaniu. Miał nieodparte wrażenie, że znajduje się w wielkiej układance z klocków lego. Wszystko w jakiś nieokreślony sposób do siebie pasowało. Wszędzie panował idealny porządek. Zajrzał do jednej z szaf. Kolumny perfekcyjnie poskładanych swetrów, koszul, podkoszulków i spodni równały do krawędzi półek niczym żołnierze na karnej musztrze. W szufladach zaś zobaczył geometrycznie doskonałe stosiki majtek, skarpet, chusteczek, a nawet męskich rajtuz i kalesonów. Stwierdził także nieobecność kurzu. Policjant był przekonany, że przed chwilą ktoś musiał tu posprzątać, wykorzystując najnowocześniejszy odkurzacz świata. Zaczął nawet zaglądać do typowych miejsc, gdzie powinien odnaleźć choćby mikroślady brudu. I nic.

Udał się do kuchni. Na podłodze leżało ciało. Patrząc na nie, pomyślał, że nie pasuje ono do tego mieszkania. Było nieuporządkowane. Nieżyjący mężczyzna miał chaotycznie rozrzucone na boki ramiona i tułów dziwnie przekręcony w stosunku do złączonych i zgiętych w kolanach nóg. Wyglądało to tak, jakby chciał upaść do przodu, na brzuch, ale mu się nie udało. Przeprowadzający oględziny lekarz zwrócił się do Veselego:

– Nie ma co filozofować. To nieszczęśliwy wypadek. Przyczyną śmierci był gaz. Nie będzie pan tu miał dużo roboty. Zaraz przyjedzie prokurator, zrobi się papiery i po sprawie.

– Może to samobójstwo?

– Niemożliwe – odparł medyk. – To na pewno wypadek. Gość gotował pierogi, woda wykypiała z garnka, zagasła płomień palnika, a gaz się dalej ulatniał. Gazówka w tej kuchni jest zapewne tak stara jak to całe mieszkanie i nie posiada nowoczesnych zabezpieczeń. Zresztą tak powiedział pracownik pogotowia gazowego, który przeprowadził inspekcję.

– A gdzie jest teraz ten gazownik?

– Siedzi w samochodzie zaparkowanym przed domem. Stwierdził, że nie może przebywać w miejscu, w którym znajduje się trup.

Podkomisarz wyszedł z kamienicy i od razu spostrzegł pojazd firmy gazowniczej. Pracownik był przygnębiony. Okazało się, że nigdy wcześniej nie widział śmierci w takich jak dzisiaj okolicznościach. Potwierdził fakt zalania palnika:

– Kuchenka, na której gotowały się te nieszczęsne pierogi, ma chyba ze czterdzieści lat, zresztą cała instalacja wymaga tam gruntownego remontu.

– To cud, że nie doszło do eksplozji – zauważył policjant.

– Chyba nie było takiego zagrożenia. Żeby powstała odpowiednia mieszanka wybuchowa, to uwzględniając kubaturę mieszkania i wielkość zalanego palnika, gaz musiałby ulatniać się przez kilkanaście godzin.

– A w pana ocenie jak długo to mogło trwać?

– Nie byłem w stanie zmierzyć stężenia gazu w powietrzu, by obliczyć czas wypływu. Ta pani, co odnalazła zwłoki, od razu pootwierała wszystkie okna, więc jak przyszedłem, mieszkanie było już wywietrzone.

Vesely zastanowił się. Coś mu nie pasowało. Zapytał:

– A dlaczego wietrzyła mieszkanie? Przecież, o ile mi wiadomo, gaz ziemny jest bezwonny.

– Pan zapewne w swoim domu używa kuchenki elektrycznej? – Gazownik uśmiechnął się pod nosem.

– A co to ma do rzeczy?

– Spalający się gaz nie wydziela żadnego zapachu, zaś ulatniający się śmierdzi, gdyż specjalnie nawania się go substancją o nazwie tetrahydrotiofen. Dzięki niej powstaje fetor, który ma za zadanie ostrzegać właśnie przed niebezpieczeństwem – wyjaśnił spec.

– Czyli w przypadku zalania palnika denat powinien był poczuć ulatniający się gaz – stwierdził podkomisarz.

– Zasadniczo tak.

– To dlaczego w takim razie zmarł? – Vesely intuicyjnie zidentyfikował zagadkę, a że był młodym człowiekiem, lubił, jak sprawy się komplikowały. To chroniło go przed nudą w policyjnej robocie.

– Moim zdaniem ten mężczyzna zasłabł i dlatego nie zareagował, jak woda zaczęła kipieć – odrzekł gazownik. – Zdaje się, że to był bardzo stary człowiek – dodał.

Podkomisarz wrócił do mieszkania. Musiał odnaleźć dokumenty identyfikujące zmarłego. W najmniejszym z trzech pokoi stało niewielkie biurko. Od niego zaczął. Natychmiast rzuciła mu się w oczy niezbyt duża saszetka w jednej z szuflad. W środku odnalazł dowód osobisty, kartę kredytową, legitymację emerycką oraz pieniądze, nieco ponad tysiąc złotych. Nieżyjący mężczyzna nazywał się Marian Strypula, miał osiemdziesiąt dwa lata. Vesely sfotografował dokument tożsamości, by mieć do dyspozycji dane osobowe. Na biurku leżał także prosty telefon komórkowy, jeden z tych, jakie operatorzy oferują pod hasłem „dla seniorów”. Był włączony, bez blokady. Policjant sprawdził połączenia. Dzisiaj nikt do denata nie dzwonił, on także do nikogo nie telefonował.

Poszedł znowu do kuchni. Lekarz siedział przy niewielkim stole i wypisywał dokumenty. Ciało było przykryte. Czekano już na przybycie prokuratora.

– Pracownik gazowni twierdzi, że denat zasłabł przed śmiercią, gdyż w przeciwnym wypadku poczułby ulatniający się gaz – powiedział policjant.

– To bardzo możliwe – odrzekł medyk. – Ale po szczegóły będzie musiał się pan udać do zakładu medycyny sądowej. Jak zrobią sekcję, to może coś ustalą. Ja w tej chwili nie jestem w stanie nic powiedzieć na ten temat.

– A jakie przypuszczalnie mogły być przyczyny omdlenia?

– No cóż, denat był w bardzo zaawansowanym wieku. Chciałem wiedzieć, czy przyjmował jakieś leki, więc pomyszkowałem tu trochę. W kredensie znalazłem glukometr oraz pen do podskórnego wstrzykiwania insuliny. To oznacza, że facet miał cukrzycę typu pierwszego. Czasami tej chorobie towarzyszy hipotonia, czyli niedociśnienie. Bardzo często ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, że coś takiego im dolega. Jednak w przypadku gwałtownego spadku ciśnienia krwi mogło dojść do utraty przytomności.

Vesely myślał nad czymś intensywnie. Przypomniawszy sobie o kobiecie, która znalazła zwłoki. Zapytał o nią.

– Zapomniałem panu powiedzieć, że jak tylko przyjechałem na miejsce, to natychmiast kazałem ratownikom medycznym odwieźć ją do szpitala –

odpowiedział medyk. – Była na granicy utraty świadomości, miała symptomy ataku serca. Najpewniej nie wytrzymała emocjonalnie – wyjaśnił.

– Ale kim ona była? – podkomisarz chciał konkretów.

– Nie mam pojęcia. Chyba kimś z rodziny.

– A jak weszliście do mieszkania, skoro ona nie kontaktowała? – zainteresował się policjant.

– Wpuścił nas pracownik pogotowia gazowego.

Vesely postanowił porozmawiać z innymi mieszkańcami kamienicy. Zaczął od piętra, na którym się znajdował. Były tam jeszcze dwa mieszkania. W pierwszym, do którego zastukał, nikogo nie zastał. Był poniedziałek, dzień roboczy, więc właściciele mogli jeszcze nie wrócić z pracy. Za to drzwi od drugiego otworzył niezbyt już młody, nieogolony, niechlujnie wyglądający mężczyzna. Od niego dowiedział się, że kobieta, która odnalazła zwłoki, to siostra „sąsiada Strypuli”. Na pytanie, czy zauważył coś istotnego w dniu obecnym oraz w miniony weekend, odpowiedział przecząco: panował ogólny spokój, nie widział, żeby ktokolwiek odwiedzał zmarłego. Lokatorzy z innych pięter także nie mieli nic do powiedzenia, nie wiedzieli nawet, że doszło do wypadku z gazem.

Na koniec przybył prokurator. Wysłuchał relacji Zygmunta na temat stanu miejsca zdarzenia. Nic nie wzbudziło jego wątpliwości ani podejrzeń. Zaraz potem zaczął konferować z lekarzem. Dowiedziawszy się, że ten nie odkrył żadnych śladów na ciele ofiary znamionujących czyn przestępczy, przystąpił do proceduralnego finalizowania oględzin.

\*\*\*

Szpitalny Oddział Ratunkowy tonął w obrzydliwym, zimnym jarzeniowym oświetleniu. Wrażenie chłodu potęgowały puste ściany z wysokimi lamperiami o mdłym kolorze. Podkomisarz dotarł do recepcji w izbie przyjęć. Zastał tam długą kolejkę ludzi oczekujących na rejestrację. Postanowił zapytać, gdzie może odnaleźć siostrę mężczyzny zatrutego gazem, ale gdy tylko zrobił kilka kroków w stronę okienka, od razu został zbesztany przez kolejkowiczów. Wyciągnął zatem legitymację służbową, której widok uciął protesty. Okazało się, że „osoba z objawami silnego wstrząsu emocjonalnego” znajduje się na obserwacji

w pobliskim ambulatorium. Z kolei dyżurny internista zakomunikował, że „pani Maria została gruntownie przebadana i dochodzi do siebie. Nie stwierdza się obecnie jakiegokolwiek zagrożenia dla jej zdrowia. Za niecałą godzinę będzie mogła opuścić SOR”.

Vesely wszedł do gabinetu lekarskiego. Starsza pani spoczywała na kozetce, wyglądała, jakby spała. Chciał się wycofać, lecz ona otworzyła oczy i zaczęła mu się przypatrywać. Oznajmił, że jest z policji i chce zadać kilka pytań w związku ze śmiercią Mariana Strypuli. Leżąc na powrót zamknęła oczy, spod powiek zaczęły wypływać łzy. Podkomisarz poczuł się nieswojo. Nie wiedział, jak ma się zachować. W końcu podszedł do kobiety i w geście pocieszenia położył swoją dłoń na jej ręce. Spojrzała na niego. Zygmunt miał niespełna dwadzieścia osiem lat, dopiero rok temu zdał pomyślnie egzamin oficerski i obce było mu jeszcze policyjne wyrachowanie. Empatia nie pozwoliła mu ot tak, od razu, przesłuchać tej kobiety. zaproponował:

– Lekarz powiedział, że niedługo będzie pani mogła opuścić szpital. Poczekam i odwiozę panią do domu.

\*\*\*

W samochodzie oboje milczeli. Vesely skupił się na prowadzeniu pojazdu i zastanawiał się, od czego zacząć zasadniczą rozmowę. W końcu odezwał się:

– Gdzie dokładnie pani mieszka? Szczerze mówiąc, nie wiem, którędy mam jechać.

Kobieta nie odpowiedziała od razu. Myślała o czymś. Podkomisarz doszedł do wniosku, że jego pasażerka nie zwróciła uwagi na zadane pytanie, i już miał je powtórzyć, lecz ona odrzekła:

– Najlepiej będzie, jak pojedziemy do mieszkania mojego brata. Trzeba przecież wszystko zabezpieczyć, skoro tam teraz nikogo nie będzie.

– W jakim sensie zabezpieczyć?

– Należy zakręcić gaz i wodę, zaryglować dobrze okna, wyrzucić śmieci, żeby nie było odoru. No i zamknąć dobrze drzwi, żeby nie wszedł nikt obcy.

Policjant pokiwał głową. Na najbliższym skrzyżowaniu zawrócił i skierował samochód do domu, gdzie wydarzyła się tragedia.

– Czy... Czy... – Głos starszej pani zadrżał z emocji.

– Ciało pani brata zostało już zabrane. – Zygmunt domyślił się, jaka obawa zagościła w umyśle kobiety. – W mieszkaniu raczej już nikogo nie zastaniemy. Jak stamtąd wychodziłem, to prokurator i lekarz kończyli swoje czynności. Czy ma pani klucze?

– Tak, mam drugi komplet. Pomagałam bratu, często u niego bywałam.

– Pani, zdaje się, jest od niego młodsza?

– O osiem lat. Brat miał osiemdziesiąt dwa, ja zaś siedemdziesiąt cztery.

– Lekarz, który był na miejscu wypadku, znalazł w kuchni aparat do podawania insuliny. Czy zmarły chorował na cukrzycę?

– Tak, miał także problemy z nadciśnieniem oraz z sercem. W takim wieku, proszę pana, choroby to coś normalnego.

– Miał nadciśnienie czy niedociśnienie? – Vesely przypomniał sobie rozmowę z medykiem.

– Nadciśnienie, proszę pana.

Dojechali na miejsce. Zygmunt pomógł wysiąść pani Marii z samochodu, po czym udali się do mieszkania.

\*\*\*

Siedzieli w fotelach w pokoju z telewizorem. Pili herbatę. Milczeli. Podkomisarz chciał, by kobieta oswoiła się z sytuacją. W pewnym momencie starsza pani oświadczyła:

– Nie mogę uwierzyć w ten wypadek.

Do Veselego nie dotarł sens tej wypowiedzi.

– Zazwyczaj nie można uwierzyć w śmierć, która była skutkiem zrzędzenia losu albo zwykłej nieuwagi – odrzekł.

– Pan mnie nie zrozumiał. Nie wierzę w to, by powodem śmierci mojego brata był zwykły przypadek.

Podkomisarz spojrział na kobietę ze zdziwieniem. Jej twarz była jednak poważna i na swój sposób szczerą.

– Chce pani powiedzieć, że ktoś go zamordował?

– Nie wiem, ale wszystko to jest dziwne.

– Co na przykład? – Zygmunt, chcąc nie chcąc, poczuł się zaintrygowany.

– Proszę mnie dokładnie wysłuchać. Marian był niezwykle uporządkowanym człowiekiem, wręcz pedantem...

– To się zgadza – przerwał młody policjant. – Gdy oglądałem mieszkanie, odniosłem wrażenie, że wszystko jest perfekcyjnie poukładane i posprzątane.

– Właśnie. Brat był niewyobrażalnym czyściochem. Także jego życie było wzorowo zorganizowane. Wszystkie codzienne czynności zawsze szczegółowo planował i starannie wykonywał. Czasami odnosiłam wręcz wrażenie, że jest to ułomność, a nawet pewnego rodzaju choroba psychiczna.

– No dobrze, ale to nie znaczy, że nie mógł ulec wypadkowi. Przeprowadziłem oględziny miejsca zdarzenia, rozmawiałem z lekarzem, pracownikiem pogotowia gazowego oraz z sąsiadami. Jestem przekonany, że pani schorowany brat najprawdopodobniej zasnął i stracił przytomność. Dlatego nie zareagował, jak woda z gotującymi się pierogami zaczęła kipieć i zagasła płomień palnika. A że kuchenka jest bardzo stara i nie posiada odpowiednich zabezpieczeń, to gaz zaczął się ulatniać, co ostatecznie doprowadziło do zatrucia. – Veselemu sprawa wydawała się oczywista.

– Proszę mnie nie brać za dziwaczkę, ale właśnie owe pierogi upewniają mnie, że to nie był wypadek – kobieta wyraźnie zaakcentowała drugą część zdania.

– Pani wybaczy, ale nie rozumiem. – Twarz policjanta wyrażała zakłopotanie.

– Jeszcze raz zwracam uwagę na to, że mój brat był bardzo zorganizowanym człowiekiem. Funkcjonował w oparciu o stałe schematy. Na przykład posiłki spożywał zawsze w tych samych godzinach.

– Ale co ma do tego gotowanie pierogów?

– Bardzo wiele, proszę pana. Marian zawsze jadł śniadanie o godzinie ósmej. Każdego ranka zjadał kromkę chleba z masłem i miodem oraz wypijał szklanekę herbaty.

– Tylko chleb z miodem?! – Zygmunt nie dowierzał.

– Robił tak od wielu lat, proszę pana. Potem o jedenastej zawsze gotował sobie jajko na miękko, które zjadał bez pieczywa. Obiad zaś jadł codziennie o godzinie czternastej.

– No dobrze, ale pytam jeszcze raz: jakie znaczenie mają w tym wszystkim pierogi? – Policjant był zdezorientowany.

– Jeszcze pan nie rozumie? – Pani Maria wyglądała na oburzoną niedomyślnością swojego rozmówcy. – Ja dzisiaj przyszedłam do mieszkania kilka minut przed trzynastą. Brat już nie żył, więc biorąc pod uwagę jego przyzwyczajenia, nie mógł gotować pierogów przed śmiercią!

– Ahaaa. – Podkomisarz dopiero teraz uświadomił sobie, jak doniosła jest opowieść siostry denata. – Czyli twierdzi pani, że kipiąca woda nie mogła być przyczyną zagaszenia palnika?

– Tak twierdzą, to było po prostu niemożliwe.

Vesely zerwał się z fotela i poszedł do kuchni. Otworzył szafkę pod zlewozmywakiem, gdzie zazwyczaj umieszczano kosz na śmieci. Znalazł go tam. Zajrzał do środka. Nie był wypełniony nawet do połowy. Włożył rękę do kosza i delikatnie pogrzebał w odpadkach. Zidentyfikował skorupki po dwóch jajkach. Przemył ręce nad zlewem, wrócił do pani Marii i zapytał:

– Jak często były wyrzucane śmieci?

– Trzy razy w tygodniu.

– A kiedy to było ostatnim razem?

– Przed weekendem, w piątek po południu. Jestem tego pewna, gdyż sama to zrobiłam.

– Czyli dzisiaj do kosza powinny trafić skorupki po jajku?

– Rozumiem, że ich tam nie ma. – Starsza pani nie ukrywała zadowolenia, że jej teoria się potwierdza.

– Są jedynie po dwóch jajkach.

– To by się zgadzało – powiedziała kobieta. – Marian na pewno zjadł jajko w sobotę oraz w niedzielę. Brakuje dzisiejszej skorupki. Sam pan widzi, że coś tu nie jest w porządku.

– Ale czy na pewno pani brat jadał codziennie jajko na miękko? – zapytał policjant. – Według mnie siedem jajek tygodniowo to chyba zbyt dużo.

– Jajko to życie, proszę pana – odrzekła starsza pani. – Ja również spożywam je codziennie.



– Wracając do pierogów – podkomisarz postanowił nie dyskutować więcej o upodobaniach kulinarnych – czy pani brat często je gotował?

– Uwielbiał pierogi, ale jako chory na cukrzycę musiał ograniczać potrawy mączne. Raz na jakiś czas kupowałam mu niedużą porcję.

– A te, które były przyczyną wypadku?

– Kupiłam je w piątek. – Pani Maria spuściła głowę, jakby ogarnęło ją poczucie winy.

Zygmunt, widząc to, pomyślał, że jeśli faktycznie ma do czynienia z morderstwem, to w zasadzie powinien nadać siostrze denata status podejrzanej. Wydało mu się to, co prawda, absurdalne, ale nie mógł nie zadać kilku pytań weryfikujących takie założenie.

– Czy brat był zamożnym człowiekiem? – rozpoczął.

– Nie. Jedynym majątkiem, jaki posiadał, było to mieszkanie. Utrzymywał się wyłącznie z emerytury, którą pobierał od prawie dwudziestu lat – aktualnie w wysokości dwóch tysięcy ośmiuset dwudziestu sześciu złotych. Kiedyś miał samochód, ale go sprzedał.

– Może miał jakieś oszczędności?

– Tak. Na koncie w banku, około stu trzydziestu tysięcy.

– A czy był ubezpieczony na życie?

– Gdyby był, to prawdopodobnie bym o tym wiedziała.

Vesely spostrzegł, jak kąciki ust starszej pani lekko się uniosły.

– Dlaczego się pani uśmiecha? – zareagował.

– Młody człowieku, odnoszę wrażenie, że sprawdza pan, czy to nie ja miałam powód do pozbawienia życia własnego brata. Zaręczam, że jest to błędny kierunek rozumowania.

Policjant poczuł, jak pąsowieje na twarzy.

– Bardzo przepraszam, nie chciałem, żeby pani odniosła takie wrażenie. To są standardowe pytania, jakie zadaje się w takich okolicznościach – ratował się.

– Panie podkomisarzu! – Głos kobiety zabrzmiał protekcyjnie. – Jestem, co prawda, w zaawansowanym wieku, ale umysł mam bardzo sprawny.

– Wróćmy zatem do pytań. – Zygmunt postanowił przejąć inicjatywę. – A mentorski ton proszę zachować dla krewnych albo sąsiadów – odciął się

obcesowo. – Proszę mi powiedzieć, kim brat był z zawodu.

Kobieta wyprostowała się na krześle. Vesely domyślił się, że poruszył niewygodny temat. Odpowiedziała:

– Na emeryturę przeszedł jako pracownik firmy ochroniarskiej.

– A jakie miał wykształcenie?

– Wyższe, prawnicze.

– I pracował w ochronie? – Vesely spojrzał badawczo na starszą panią. – Pani Mario, czego pani nie chce mi powiedzieć?

Tym razem to jej twarz oblała się purpurą. Zaciśnięte usta świadczyły, że przełamuje się wewnątrz. W końcu odrzekła:

– W PRL-u Marian był funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa.

– Nie rozumiem, dlaczego chciała to pani przede mną ukryć.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, podkomisarzu, że w obecnych czasach, a zwłaszcza biorąc pod uwagę władzę, jaka rządzi tym krajem, fakt służby w SB nie jest powodem do chwały!

– Ale przecież nie chodzi tu o pani osobę.

– Niejeden raz słyszałam, że jestem siostrą ubeka i dlatego nie powinnam mieć żadnych praw w tym kraju.

Zygmunt zamyślił się. Czyżby śmierć Strypuli była w jakiś sposób powiązana z jego zawodową przeszłością?

– W jakim okresie brat pracował w Służbie Bezpieczeństwa? – zapytał.

– Od połowy lat sześćdziesiątych do jej rozwiązania. Marian nie poddał się weryfikacji w dziewięćdziesiątym roku<sup>1)</sup>. Zrezygnował ze służby i podjął pracę w firmie ochroniarskiej na stanowisku specjalisty do spraw ochrony mienia.

---

1) Weryfikacja funkcjonariuszy SB – proces kwalifikowania funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa PRL do pracy w utworzonym w 1990 roku Urzędzie Ochrony Państwa, a także w Policji oraz Ministerstwie Spraw Wewnętrznych RP.

– A co było powodem tego, że nie chciał poddać się weryfikacji? Może istniały jakieś okoliczności, które z góry przesądzały o jej negatywnym wyniku?

– Tego nie wiem. Ale sądzę, że mój brat po prostu wierzył w socjalistyczną Polskę. Do tego uważał się za komunistę. Nigdy się tego nie wstydził. Swoją ludową ojczyznę oraz ukochaną partię<sup>2)</sup> postrzegał idealistycznie. Zawsze, nawet

w nowym ustroju, rozpierała go duma, że był oficerem Służby Bezpieczeństwa. Zmianę systemu, przejście do demokracji i kapitalizmu traktował jak własną przegraną. Pytałam go wtedy o powody tej decyzji. Odpowiadał, że został wyrzucony na śmietnik historii i musi się z tym pogodzić. – Wzrok starszej pani świadczył o tym, że spogląda w przeszłość. Po chwili jednak wróciła do terażniejszości. – A niedawno okazało się, że dobrze zrobił, nie podchodząc do weryfikacji. Ustawa dezubekizacyjna nie objęła go tylko dlatego, że podlegał pod ZUS<sup>3)</sup> – dodała.

---

2) Chodzi o Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą (PZPR), partię komunistyczną sprawującą monopolistyczne, totalitarne rządy w PRL w latach 1948 – 1989.

3) Ustawa „dezubekizacyjna” uchwalona 16 grudnia 2016 roku wprowadziła obniżenie świadczeń emerytalnych każdemu, kto chociaż jeden dzień przepracował w organach bezpieczeństwa PRL i pobierał świadczenie z Zakładu Emerytalno-Rentowego MSWiA. Ustawa nie objęła tych osób, które m.in. nie poddały się weryfikacji w 1990 roku i pobierały świadczenie z ZUS.

– Czy w związku z tym, że służył w SB, mógł obecnie mieć jakichś wrogów? Czy ktoś miałby powody, na przykład, do zemsty? – podkomisarz przeszedł do sedna.

– Nie sądzę. W końcu minęło prawie trzydzieści lat od likwidacji bezpieki. Jeśli ktoś chciałby się za coś mścić, to chyba zrobiłby to już dawno temu.

– A czym brat zajmował się w SB?

– Należał do ścisłego krakowskiego kierownictwa. Nigdy jednak mi nie mówił, na czym polegała jego praca. – Kobieta wzruszyła ramionami.

– Przecież to niemożliwe, żeby pani jako siostra nie miała takiej wiedzy. – Policjant znowu miał wrażenie, że jego rozmówczyni nie jest szczerą.

– Mówię prawdę, proszę pana. Marian uważał się za wysokiej klasy profesjonalistę. Tajemnica służbowa i państwowa były dla niego święte. Nigdy nie rozmawiał ze mną na temat swoich obowiązków zawodowych. Nawet jego nieżyjąca żona niewiele wiedziała. Temat pracy, jaką wykonywał, nigdy nie istniał w jego relacjach z osobami spoza służby.

– Nic pani nie opowiadał? Przecież minęło tyle lat! – Vesely zdziwił się. – Nie chciał się niczym pochwalić, nic wspominać?

– Nie.

Podkomisarz milczał przez chwilę. Jakoś nie mógł uwierzyć w zapewnienia kobiety.

– Powiedziała pani, że należał do ścisłego kierownictwa. Jaką zatem dokładnie pełnił funkcję? To chyba powinna pani wiedzieć?

– Był szefem Inspektoratu Służby Bezpieczeństwa w Krakowie.

Zygmuntowi nic to nie mówiło. Pytał dalej:

– Wspomniała pani o żonie brata. Co się dzieje z pozostałymi członkami waszej rodziny?

– Jest jeszcze Jerzy, syn Mariana, ale on mieszka w Kanadzie. Nie utrzymywali ze sobą kontaktu.

– Byli skonfliktowani?

– Tak, i to bardzo. Jurek zaangażował się w czasie studiów, pod koniec lat osiemdziesiątych, w działalność opozycyjną. Należał do Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Marian nie był w stanie tego zaakceptować. Zdaje się, że miał nawet jakieś kłopoty w pracy z tego powodu. W końcu obaj straszliwie się pokłócili, brat wyrzucił syna z domu i przestał go finansować. Jerzy wyjechał do pracy na Zachód. Jakiś czas potem otrzymał wizę do Kanady.

– A inni krewni?

– Oprócz mnie nie miał nikogo. Wszyscy poumierali wcześniej.

Młody policjant zamilkł. Zastanawiał się, o co jeszcze powinien spytać. Z jednej strony, sprawa nie wyglądała już tak jednoznacznie, jak jeszcze kilka godzin temu, zaś z drugiej była dość dziwna, a nawet zabawna. No bo kto poważnie odniesie się do koncepcji morderstwa, opartej na tym, że ofiara gotowała o niewłaściwej porze pierogi?

– Czy może pani powiedzieć coś o znajomych zmarłego? – wrócił do zadawania pytań.

– W ostatnich latach utrzymywał kontakty towarzyskie jedynie z dwoma kolegami z SB. O ile można to w ogóle tak nazwać.

– Dlaczego?

– Jeden jest z Krakowa, ale kilka miesięcy temu przeszedł udar mózgu i leży w tej chwili całkowicie sparaliżowany w hospicjum. Nawet nie mówi, a karmić go

trzeba przez rurkę. Drugi zaś mieszka w Warszawie, więc jedynie dzwonił do siebie raz w tygodniu. Mieli nawet ustalony stały termin, zawsze w środy o siedemnastej. Zazwyczaj narzekali na współczesną Polskę, opowiadali sobie o swoich chorobach, a także relacjonowali, co robili każdego dnia, które upłynęły od czasu ostatniej rozmowy. Rozumie więc pan teraz, dlaczego trudno to uznać za kontakty towarzyskie – pani Maria zakończyła sarkastycznie.

– Tak, ma pani rację. – Zygmunt musiał zgodzić się z taką oceną. – A czy ktoś może ostatnio odwiedzał brata?

– Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie żadnych odwiedzin – odrzekła kobieta.

– Nie chodzi mi o wizyty towarzyskie. Może ktoś oferował sprzedaż jakiejś usługi albo produktu?

– Marian nigdy nie wpuszczał do mieszkania domokrażców, ja zresztą także ich nie považam. – Twarz pani Marii wyrażała autentyczną wzgardę.

– A może ktoś przychodził w sprawach natury urzędowej? – Vesely nie dawał za wygraną.

– Też sobie kogoś takiego nie przypominam... Chociaż... Ale to było jakieś półtora, może dwa miesiące temu... – Starsza pani machnęła ręką, uznając to, o czym pomyślała, za nieistotne.

– Coś jednak się wydarzyło – stwierdził z zadowoleniem podkomisarz. – Proszę mówić!

Pani Maria szukała czegoś w pamięci, po czym odezwała się:

– Moim zdaniem ostatnią obcą osobą, która go odwiedziła, był taki młody historyk z uniwersytetu. Chciał koniecznie porozmawiać. Marian początkowo nie wyrażał zgody, ale ten naukowiec tak bardzo prosił, że w końcu doszło do spotkania. Potem brat tego bardzo żałował. Ale jak już mówiłam, to było jakieś półtora miesiąca temu, więc na pewno nie ma to żadnego znaczenia.

– A dlaczego żałował, że rozmawiał z tym historykiem? – zaciekał się Zygmunt.

– Ja nie uczestniczyłam w tym spotkaniu. Pamiętam jednak, że Marian był po nim zirytowany, a nawet silnie wzburzony.

– Powiedział pani, o co chodziło? – Podkomisarz zwietrzył kolejną z zagadek, które tak uwielbiał.

– O ile mnie pamięć nie myli, to wspomniał tylko, że ten młody naukowiec odkrył coś ważnego, czego nikt nie powinien był odkryć.

– „Odkrył coś ważnego, czego nikt nie powinien był odkryć” – powtórzył policjant. – Nie sądzi pani, że to ogromnie interesujące?

– Pewnie, że interesujące – odparła. – Myśli pan, że to może mieć związek ze śmiercią brata?

– Nie mam pojęcia. Musiałbym porozmawiać z tym człowiekiem. Czy pamięta pani jego nazwisko?

Siostra zmarłego zadumała się.

– Niestety, nie – rzekła po chwili. – Marian zawsze o nim mówił „ten młody historyk”.

– Czy to znaczy, że znał go dłużej niż dwa miesiące? – podkomisarz zidentyfikował nieścisłość w wypowiedzi rozmówczynie.

– Tak, tak – odparła, kiwając przy tym potakująco głową. – Poznał go jakieś półtora roku temu. Ten naukowiec pisał wtedy pracę doktorską o krakowskiej Służbie Bezpieczeństwa i namówił brata na spotkanie.

– A przecież jakiś czas temu powiedziała pani, że nikomu nie opowiadał o swojej pracy. Pani Mario! Mam wrażenie, że nie jest pani ze mną szczerą. – Głos policjanta zabrzmiał bardzo surowo.

– Z całą odpowiedzialnością podtrzymuję to, co powiedziałam wcześniej – oświadczyła niemal oficjalnym tonem siostra zmarłego. – Historyk był bardzo niezadowolony z tej rozmowy, gdyż na zdecydowaną większość pytań Marian nie udzielił mu odpowiedzi, zasłaniając się tajemnicą służbową, która w jego mniemaniu wciąż go obowiązywała.

– Po tylu latach od rozwiązania SB?

– Mówiłam przecież, że na temat swojej pracy milczał jak grób. Taki już po prostu był.

– Z tego, co pani do tej pory powiedziała o tym naukowcu, wynika, że on i pani brat spotkali się w sumie dwa razy? – Policjant chciał uściślić informacje na temat tej znajomości.

Pani Maria już miała przytaknąć, ale zawahała się.

– Trzy razy, proszę pana – sprostowała, po czym radośnie oświadczyła: – Już wiem, skąd weźmiemy jego nazwisko!

– Skąd? – zareagował Vesely.

– Z jego książki – odrzekła. – Musi pan bowiem wiedzieć, że jakiś rok po pierwszym spotkaniu ten młody historyk odwiedził Mariana, by podarować mu pracę naukową swojego autorstwa. Chodźmy do pokoju, gdzie znajduje się biblioteczka – zakomenderowała.

Weszli do małego pokoiku, w którym stało biurko, a obok niego niewielki regał. W kilka minut Vesely przejrzał wszystkie tytuły, lecz nie znalazł żadnego, który można by skojarzyć z publikacją naukowca.

– Dziwne – skomentowała ten fakt pani Maria. – Ja nie brałam książki, a przecież brat nie mógł jej nikomu pożyczyć.

– Jest pani przekonana, że ona w ogóle tu była? – powątpiewał podkomisarz.

– Była na pewno, proszę pana. Jak Boga kocham!

Vesely pokręcił z niedowierzaniem głową. „Jeśli kobieta się nie myli, to być może faktycznie coś dziwnego się tutaj działo” – pomyślał. Przez moment zastanawiał się, jak ustalić nazwisko młodego naukowca.

– A może chociaż pani wie, z jakiego uniwersytetu był ten historyk? – W głosie Zygmunta zadźwięczała nikła nadzieja.

– No chyba z naszego, krakowskiego – usłyszał odpowiedź.

– Pani Mario! W Krakowie są przynajmniej trzy uczelnie, gdzie można studiować historię, a nie da się wykluczyć, że ten człowiek był z innego miasta.

– No niestety, tego to ja już nie wiem. – Kobieta była autentycznie zmartwiona i zrezygnowana. – Przykro mi, że nie mogę pomóc – dodała przepaszająco.

Vesely postanowił zakończyć rozmowę. Zamknął swój notatnik i już miał wypowiedzieć formułkę podziękowania za współpracę z policją, gdy starsza pani nagle wykrzyknęła:

– Panie podkomisarzu! Ale przecież ten historyk zostawił bratu wizytówkę!

– Jest pani pewna?

– Pamiętam doskonale, jak po trzeciej wizycie tego młodego człowieka, która tak zdenerwowała Mariana, brat chował ją do klasera, który znajduje się w biurku.

Poszli do najmniejszego pokoju. Z jednej z szuflad pani Maria wyciągnęła specjalny organizer na wizytówki. Vesely zaczął je przeglądać. Od razu spostrzegł, że są poukładane w porządku alfabetycznym. W zdecydowanej większości były bardzo stare, z czasów PRL. Przed oczami przewijały mu się nazwiska opatrzone stopniami oficerskimi, zapewne funkcjonariuszy SB, oraz nazwy struktur Milicji Obywatelskiej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nagle zatrzymał się. Coś mu nie pasowało. Cofnął wzrok na wcześniejsze kartoniki. Przez jego ciało przebiegł dreszcz. Spostrzegł, że pomiędzy wizytówkami z nazwiskami na literę „K” znajdowała się jedna z nazwiskiem zaczynającym się na „Z”. Nie powiedział jednak o swoim odkryciu gospodyni. Przejrzał do końca pozostałe, ale tej od historyka nie odnalazł.

– Może pani brat był wtedy tak zły, że wyrzucił wizytówkę do śmieci?

– To niemożliwe, proszę pana. Pamiętam dokładnie, jak ją wkładał do klasera – zapewniła kobieta. – Denerwował się przy tym okropnie, gdyż chciał ją umieścić w odpowiednim miejscu, zgodnie z porządkiem alfabetycznym, a to oznaczało przekładanie kilkudziesięciu innych wizytówek.

– No to co się z nią, do cholery, stało? Wyparowała? – Zygmunt nie wytrzymał. – Wszystko jest w tym mieszkaniu poukładane niczym klocki lego, a jak trzeba coś odnaleźć, to okazuje się to niemożliwe.

– Teraz chyba pan wreszcie rozumie, dlaczego uważam, że śmierć mojego brata to nie wypadek. – Z głosu starszej pani emanowało przekonanie, że się nie myli. ■



## 2.

Juliusz Prędko, naczelnik wydziału, czytał protokół z oględzin mieszkania Strypuli, nad którym Vesely ślęczał całe przedpołudnie. W połowie lektury dokumentu na jego niewielkich wilgotnych ustach pojawił się znany wszystkim podwładnym grymas. Taki układ mimiczny twarzy przełożonego nazywano wulgarnie „skrzywieniem policyjnej piczki”. W miarę zbliżania się do końca tekstu skrzywienie zanikało, zaś piczka przeistaczała się w coś, co można było nazwać stanem umysłowego niepokoju. Na koniec wargi naczelnika płasko się zacisnęły, a jego tłustym ciałem targnęło ciężkie, niewróżące nic dobrego westchnienie.

– Czy ja dobrze zrozumiałem, Zygmund, że proponujesz zabawę w morderstwo, bo umarłak gotował pierogi nie o tej godzinie, co zwykle? – wysapał Prędko.

Młody policjant chciał się odezwać, lecz przełożony nie dopuścił go do głosu.

– Chcesz, żebyśmy ganiłi za jakimś urojonym zbrojcem, bo w koszu na śmieci brakowało skorupki po jajku gotowanym na miękko? – Owalna twarz naczelnika nabiegła krwią. – Chcesz, bym uruchomił śledztwo w sprawie zabójstwa, bo nie mogłeś znaleźć, na tak zwanym miejscu zbrodni, jakiejś książki i wizytówki? – Teraz jego oblicze przypominało gradowo-burzową chmurę.

– Wszystko logicznie się układa – Vesely podjął próbę obrony swoich wniosków.

– Co ty pieprzysz? Po prostu uwierzyłeś babie, która nagadała ci, jakim to jej braciszek był perfekcjonistą. A może facetowi po prostu zachciało się pierogów o jedenastej i postanowił je zjeść zamiast jajka? Może w żołądku włączyło mu się takie ssanie, że zdecydował się nie czekać do pory obiadowej? A może przeczuwał, że walnie w kalendarz, i chciał, żeby pierożki były ostatnim wspomnieniem z jego życia? – Prędko zarechotał szyderczo.

– Uważam, że brak wizytówki i książki historyka, który odkrył coś ważnego, jest tu najistotniejszy. Denat był ważnym funkcjonariuszem SB, na pewno znał różne tajemnice. Moim zdaniem to mógł być motyw – odparł niezrażony podkomisarz.

– A jaka jest opinia biegłego, który przeprowadzał sekcję zwłok?

– Jeszcze jej nie ma. Jak zwykle trzeba będzie poczekać kilka dni.

– To może najpierw skonfrontuj swoje przemyślenia z ustaleniami patologa i nie zabieraj mi czasu.

– Tak jest, przepraszam, szefie. – Młody policjant poczuł się fatalnie. Był pewien, że w oczach przełożonego wyszedł na żółtodzioba. Potwierdziły to kolejne słowa naczelnika.

– Słuchaj no, Zygmus. Rozumiem, że ty jako matematyk, absolwent uniwersytetu, masz analityczną umysłowość. Rozumiem także, że jako młody, początkujący oficer gonisz za jakąś poważną sprawą, która sprostą twoim intelektualnym oczekiwaniom. Ale to, co proponujesz, po prostu nie przejdzie. A wiesz dlaczego? Bo dla naszych przełożonych, którzy grzeją tyłki w skórzanych fotelach, liczą się jedynie cyferki w tabelkach. Statystyka, Zygmus. Słyszałeś kiedyś takie słowo? – Prędkie obtarł wnętrzem dłoni wilgotne usta, po czym kontynuował: – Dla nich najważniejsze jest tylko jedno: czy ilość rozwiązanych spraw nie spada. Jeśli tak jest, to wszyscy mamy święty spokój. Dlatego też nakazuję ci wyrzucić ten protokół do kosza i napisać taki, który pozwoli wykazać, że jesteśmy sprawni, efektywni i racjonalnie wydajemy pieniądze podatników. Chyba że lekarz „ostatniego kontaktu” wykryje coś, co uzasadni twoje przypuszczenia.

– Ależ szefie, tak nie można. – Ton głosu Veselego świadczył o tym, że właśnie pozbył się resztek ideałów, w które dotąd wierzył.

Zadzwoił telefon komórkowy naczelnika. Ten odebrał, wysłuchał jakiejś krótkiej informacji, po czym zwrócił się do podwładnego:

– Pogadaliśmy sobie, Zygmus, a teraz jedź szybko na Krowodrzę. Jakiś facet wyskoczył na golasa z okna i się zabił. Adres przekaże ci dyżurny.

Podkomisarz ruszył do wyjścia z gabinetu.

– Aha! – Twarz Prędkiego przyjęła przyjacielski wyraz. – Moja córka będzie potrzebować korepetytora z matematyki, może byś się podjął?

– Nie mam czasu – odburknął Vesely.

\*\*\*

Było już po ósmej wieczorem, gdy Zygmunt wszedł do swojego mieszkania. Zajrzał do lodówki. Ucieszył się na widok opakowania parówek, które jego wyobraźnia natychmiast połączyła z chlebem, musztardą oraz mocną, czarną herbatą. Szybko przygotował kolację. Zanim jednak siadł do stołu, sięgnął jeszcze po książkę, lubił czytać przy jedzeniu. Zatopił się w lekturze traktującej o ocenie pozycji i planowaniu podczas pojedynku szachowego. Był zapalonym entuzjastą tej gry. Brał nawet udział w turniejach dla amatorów, w których od czasu do czasu odnosił niewielkie sukcesy. Pochłaniał kęs za kęsem i przebijał się przez skomplikowany tekst. Nie mógł się jednak skupić, cały czas wracał myślami do śmierci Mariana Strypuli.

Zignorowanie jego wniosków przez naczelnika Prędkiego przyjął ze spokojem. Policja jak każda instytucja państwowa była zachwaszczona biurokracją. Vesely nie miał wątpliwości, że on, jako jej funkcjonariusz, tak naprawdę jest jedynie zbiorem cyfr w tabelce arkusza kalkulacyjnego, kilkoma kilobajtami danych na twardym dysku. W takiej organizacji każde niekonwencjonalne myślenie czy działanie z zasady nie mogło być akceptowane, zaś odbiegająca od schematu sprawa zazwyczaj bywała odrzucana. „Taki mamy układ” – skonstatował Zygmunt.

Nie tak jednak wyobrażał sobie swoją służbę na rzecz walki z przestępczością. Po ukończeniu studiów licencjackich na uniwersyteckim wydziale matematycznym postanowił wstąpić do policji, chciał się zajmować w życiu czymś ważnym, społecznie potrzebnym i oczywiście ekscytującym. Miał nadzieję, że praca będzie wyzwalać w nim adrenalinę, zapewni mu tak zwane „mocne życie”. Odrzucił karierę w firmie ubezpieczeniowej, w której był na praktykach studenckich, chociaż proponowano mu dwa razy tyle pieniędzy, ile zarabiał obecnie. „Czy dobrze postąpiłem?” – zastanawiał się już od jakiegoś czasu.

Sprawa Strypuli była odmienna od tych wszystkich samobójstw i przypadkowych śmierci, którymi się zajmował, wypełniając stosowne druki, pisząc protokoły oraz notatki zgodnie z obowiązującymi procedurami. Przypominała trudną matematyczną łamigłówkę albo partię szachów z przeciwnikiem o nieznanym potencjale intelektualnym, z którym gra się po raz pierwszy i nie wiadomo, czego można się spodziewać. To go w niej pociągało.

Intuicyjnie czuł, że otarł się o coś niebanalnego, ulotnego. Pochwycił rąbek urokliwej tajemnicy i tak naprawdę nie zamierzał go puścić.

Zastanawiał się, co można jeszcze zrobić. Musiał czekać na opinię dotyczącą sekcji zwłok, to pewne, jednak nie chciał siedzieć z założonymi rękami.

– A jeślibyś, Zygmuś, prowadził tę sprawę, to od czego byś zaczął? – przedrzeźniając swojego przełożonego, zapytał sam siebie. – Od poznania przeszłości denata – bez wahania udzielił sobie odpowiedzi.

\*\*\*

Odrestaurowana siedziba krakowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej wyróżniała się na tle pobliskich budynków pokrytych patyną kilkudziesięcioletniego brudu. Zygmunt był pewien, że budżet tej instytucji musiał być bardziej niż „pryzwoity”, a praca w niej na pewno wiązała się z lepszym niż przeciętne uposażeniem.

Wykorzystując swoją legitymację służbową, od razu udał się do sekretariatu, skąd skierowano go do właściwego pracownika archiwum. Ten, kiedy usłyszał, z czym policjant do niego przychodzi, stuknął kilkanaście razy w klawiaturę komputera i rzekł:

– Mamy go. Podpułkownik Marian Strypula. Jego nazwisko legalizacyjne to Olgierd Zieliński. Co chce pan o nim wiedzieć?

– Kim był w SB i czym się zajmował – odparł podkomisarz. – Ustaliłem, że pracował w Inspektoracie Kierownictwa SB, ale szczerze mówiąc, nic mi to nie mówi.

Archiwista spojrział w monitor i odpowiedział:

– Służbę w organach bezpieczeństwa rozpoczął w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym, w Inspektoracie Kierownictwa SB w Krakowie, a zakończył w dziewięćdziesiątym na stanowisku kierownika Inspektoratu Pierwszego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, także w Krakowie.

– No dobrze – Vesely dalej nic nie wiedział – ale jakie obowiązki mógł wykonywać w tym inspektoracie? Chodzi mi o jakieś szczegóły.

– Panie podkomisarzu – pracownik IPN uśmiechnął się – żeby poznać szczegóły, trzeba zrobić kwerendę dokumentów, a to bardzo żmudne zajęcie. W tej

chwili nie jestem w stanie powiedzieć, jakimi sprawami ten esbek się zajmował. Uwzględniając jednak fakt, że zakończył karierę na stanowisku kierownika Inspektoratu Pierwszego, to z całą pewnością można stwierdzić, że pracował w wywiadzie.

– Jak to w wywiadzie? – Policjant był zaskoczony. – Tu, w Krakowie?

– Oczywiście. Inspektorat był na terenie ówczesnego województwa ekspozyturą Departamentu Pierwszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, czyli wywiadu cywilnego PRL.

– Na czym w takim razie polegała działalność wywiadowcza na terenie województwa? – dopytywał Zygmunt. – Wywiad zawsze kojarzył mi się z zagranicą – wyjaśnił.

– Kraków w okresie PRL-u to miasto szczególne. – Archiwista poprawił się wygodnie na krześle, co zapowiadało dłuższą opowieść. – Podobnie jak dziś przebywało tu mnóstwo cudzoziemców: naukowców, biznesmenów, dziennikarzy, duchownych, artystów, o zwykłych turystach nie wspominając. Dla służby wywiadowczej był to istny raj, a mówiąc fachowym językiem, bogate zaplecze operacyjne. Oficerowie z ekspozytury na pewno mieli ręce pełne roboty. Do ich zadań należało zdobywanie wiedzy o konkretnych osobach, a także organizowanie sytuacji werbunkowych. Żeby temu podołać, musieli posiadać mnóstwo źródeł informacji i efektywną sieć współpracowników. W toku wykonywania różnorodnych zadań wykorzystywali zarówno dyrektorów różnych ważnych instytucji, jak i luksusowe prostytutki, pracowników biur turystycznych, taksówkarzy, naukowców i studentów, ówczesnych milicjantów oraz ludzi z przestępczego półświatka. Pozyskanie szpiega to pełna szczegółowych zadań operacja, także w sensie logistycznym i biurokratycznym, panie podkomisarzu. Ale realizowana tu, w Krakowie, czyli na własnym terenie, dawała poczucie bezpieczeństwa oraz możliwość pełnej kontroli.

– Cieszę się, że trafiłem do pana. – Vesely chciał jakoś okazać wdzięczność za te wyjaśnienia. – Ma pan tak ogromną wiedzę.

Pracownik pokraśniał od pochwały. Podkomisarz nie omieszkał tego wykorzystać.

– Czy fakt posiadania nazwiska legalizacyjnego może coś oznaczać? – zapytał.

– Oni wszyscy posługiwali się fałszywymi nazwiskami. Mieli także do dyspozycji legalizacyjne dokumenty: dowody osobiste, prawa jazdy, paszporty. Korzystali z mieszkań konspiracyjnych i samochodów na sfabrykowanych numerach rejestracyjnych. Nie mogli dopuścić do ujawnienia swojej pracy w SB, to skutkowałoby dekonspiracją działań.

– Jak pan myśli, czy Strypuła był kimś ważnym w strukturze SB? – Vesely dążył do ustalenia czegoś istotnego.

Archiwista zastanawiał się przez chwilę, po czym odrzekł:

– Zdecydowanie. Nie posiadał wprawdzie wielkiej władzy organizacyjnej, za to jego pozycję, przede wszystkim w Krakowie, należy ocenić jako bardzo wpływową. Kontakty służbowe na pewno umożliwiły mu załatwianie praktycznie wszystkiego. A to liczyło się w tamtych czasach najbardziej. Na rynku brakowało żywności, pralek, mebli, ubrań, samochodów. Zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, po stanie wojennym, kiedy nasz bohater był szefem ekspozytury.

– Czyli znajomość z nim była pożądana?

– I to jeszcze jak, proszę pana! – Pracownik IPN uniósł lekko głowę dla podkreślenia znaczenia swoich słów. – Sprawy egzystencjalne wynikające z deficytu dóbr materialnych to jednak kwestia mniej istotna. Ten człowiek miał przede wszystkim możliwość wpływania na ludzkie losy, kariery, a nawet relacje rodzinne. Mógł komuś pomóc awansować albo kogoś zniszczyć zawodowo. Dysponując różnymi kompromitującymi materiałami, zazwyczaj dotyczącymi spraw obyczajowych lub kryminalnych, podporządkowywał sobie ludzi, którzy potem bez oporu spełniali jego polecenia.

– Musiał zatem mieć wrogów – wtrącił Zygmunt.

– Och, zapewne, i to wielu. – Archiwista wydawał się co do tego całkowicie przekonany.

Młody policjant przypomniał sobie rozmowę ze swoim naczelnikiem, co zaowocowało kolejnym pytaniem.

– Tak wysoko postawiony i ustosunkowany funkcjonariusz najpewniej znał wiele tajemnic?

– Oczywiście. I to o znaczeniu fundamentalnym, a nawet newralgicznym. W końcu pracował w wywiadzie. Nie zajmował się typowymi dla SB „brudami”.

– „Brudami”?! – Vesely nie rozumiał.

– No, nie inwigilował opozycji albo Kościoła, nie organizował siatek donosicieli w zakładach pracy czy w szkolnictwie. Innymi słowy, nie tropił przeciwników socjalistycznego państwa. Są, co prawda, dowody na to, że wywiad był zaangażowany w walkę z Solidarnością, ale na pewno nie dominowało to w codziennej działalności. Co ważne, szef ekspozytury podlegał bezpośrednio centrali w Warszawie. Tam znajdowali się jego rzeczywiści zwierzchnicy. Krakowscy decydenci w zasadzie nie mieli prawa znać spraw, którymi się zajmował.

– Dlaczego podkreślił pan znaczenie bezpośredniej zależności od Warszawy? – Zygmunt zwiertzył istotny wątek.

– W funkcjonowaniu wywiadu ekspozytury odgrywały rolę pomocniczą. To oficerowie centrali nadzorowali konkretne sprawy, czyli w praktyce werbowali i potem prowadzili agentów z obcych państw. Funkcjonariusze z tak zwanego „terenu” realizowali zazwyczaj wycinkowe zadania, niemniej jednak uczestniczyli w najpilniej strzeżonych tajemnicach dotyczących ludzi służących polskiemu państwu za granicą.

Vesely spojrział na zegarek. Musiał już wracać do pracy, w IPN był przecież zupełnie prywatnie. Na koniec postanowił jeszcze zasięgnąć opinii archiwisty.

– Człowiek, o którym rozmawiamy, niedawno stracił życie. Odkryłem kilka okoliczności, które wskazują, że mogło to być morderstwo. Jak pan myśli, czy motywem mogła być jakaś sprawa z tamtych czasów? Jakaś tajemnica? Zemsta?

Archiwista zmarszczył brwi, pytanie było nietypowe, aczkolwiek intrygujące.

– Minęło prawie trzydzieści lat od likwidacji Służby Bezpieczeństwa – odpowiedział. – To szmat czasu. Szczerze mówiąc, nie jestem w stanie udzielić sensownej odpowiedzi. Z jednej strony, zdrowy rozsądek podpowiada, że nie, zaś z drugiej, że wszystko jest możliwe. W końcu żyjemy w zwariowanej i nieprzewidywalnej rzeczywistości. Jeśli więc przyczyna zabójstwa tego esbeka zrodziła się w okresie służby w wywiadzie, to musiała być związana z jakąś naprawdę „grubą” sprawą. ■

### 3.

Tak jak poprzedniego dnia, Vesely dotarł do swojego niewielkiego mieszkania dopiero wieczorem. Późno wyszedł z komendy i zanim przebił się przez miasto, upłynęło sporo czasu. Z zadowoleniem przekręcił klucz w drzwiach wejściowych, odgradzając się tym samym od hałasu zewnętrznego świata.

Lubił swoje domowe zacisze. Te czterdzieści siedem metrów kwadratowych zapewniających poczucie azylu kupił zaraz po promocji oficerskiej, zaciągając wieloletni kredyt. Żartował, że dołączył w ten sposób do wielkiej rzeszy współczesnych, ekonomicznych niewolników. Do nabycia mieszkania namówił go stryj, który po śmierci rodziców Zygmunta samodzielnie go wychowywał. Zresztą, gdyby nie on, zakup byłby niemożliwy. Brat ojca wyłożył pieniądze na wkład własny wymagany przez bank.

Pomimo całodziennej harówki nie czuł zmęczenia. Doskonale wiedział, co jest przyczyną tak dobrego samopoczucia. Myślenie o sprawie Mariana Strypuli nakręcało go, podwyższało poziom adrenaliny, dawało energię do życia. Świadomość, że istnieje coś nieodkrytego, zawoalowanego tajemnicą, pobudzała jego umysł do wysiłku, zmuszała do działania.

Zdawał sobie sprawę, że prowadzenie prywatnego śledztwa jest ryzykowne. Jeśli się wyda, to może ponieść surowe konsekwencje. Jego przełożeni nie okażą zrozumienia ani pobłażliwości. Jednak oczami wyobraźni widział siebie, jak powiadamia naczelnika Prędkiego o faktach świadczących o tym, że były funkcjonariusz SB został zamordowany, zaś rzekome zatrucie gazem było upozorowane. Sprawca zabójstwa chciał w ten sposób zmylić stróżów prawa, jednak trafił na podkomisarza Veselego, który nie dając się zwieść, kierując się logicznym rozumowaniem, uratował honor policji. Zygmunt rozmarzył się. Zaraz jednak powrócił do rzeczywistości, nazywając się w myślach smarkaczem.

Jednak to, co udało mu się dzisiaj ustalić w IPN, rozpałało go do czerwoności. Jego przypuszczenie, że za śmiercią esbeka może stać jakiś wielki sekret sprzed lat, wydawało mu się bardzo prawdopodobne. Równocześnie powracały do niego



bezustannie słowa siostry zmarłego: „Nie mogę uwierzyć w ten wypadek”. Zygmunt intuicyjnie też nie mógł dać wiary w przypadkowość tej śmierci.

Po raz kolejny przypomniał sobie mieszkanie, w którym wydarzyła się tragedia. Sterylna czystość, z jaką tam się spotkał, nasuwała wniosek, że Strypula faktycznie mógł być owładnięty chorobliwą manią wszechobecnego porządku. To tłumaczyłoby przekonanie pani Marii, że śmierć brata to nie zwykłe zrządzenie losu. „A może naczelnik Prędkości nie mylił się? Może rzeczywiście uległem wpływowi osoby, która nie potrafi pogodzić się ze śmiercią bliskiego krewnego?” – pomyślał. Nie. Ktoś, kto od lat zawsze jadał na śniadanie tylko kromkę chleba z miodem, nie zmieniłby tak drastycznie upodobań. Nie ktoś, kto był tak skrupulatny i miał tak dokładnie określony harmonogram dnia. Zygmunt przypomniał sobie precyzyjnie poskładane ubrania w szafie denata oraz klaser z ułożonymi alfabetycznie wizytówkami.

Chcąc się przekonać, że ma rację, włączył komputer. W wyszukiwarce internetowej wpisał „pedant”. Przejrzał kilka wpisów, ale nie wniosły one nic nowego do tego, co już wiedział. Wreszcie trafił na interesujący artykuł na portalu poświęconym psychologii. Autor pisał między innymi: *Pedantyzm to choroba, rodzaj zaburzenia obsesyjno-kompulsywnego, charakteryzująca perfekcjonistów. (...) Pedant tworzy i pielęgnuje rytuały, których nikt i nic nie może zmienić. (...) Takiego człowieka można łatwo rozpoznać: w określonych miejscach, na przykład na biurku albo w szafie, nie mogą znajdować się rzeczy inne niż tam przeznaczone; urządzenia codziennego użytku włącza zawsze w tej samej kolejności; konkretne czynności życiowe wykonuje o ustalonych, niezmiennych porach...*

Zygmunt wyprostował się na krześle, poczuł przypływ pewności. Wszystko się zgadzało: jeśli Strypula był pedantem i jadał obiady o czternastej, to nie mógł gotować pierogów przed dwunastą; jeśli otrzymał wizytówkę od młodego historyka, to na pewno schował ją do klasera znajdującego się w biurku, i to uwzględniając panujący w nim porządek. W myślach zobaczył wysprzątany, pusty blat biurka. „Nie był pusty” – pomyślał. Przypomniał sobie leżący na nim telefon komórkowy. Zreflektował się, że sprawdził w nim jedynie połączenia z dnia, w którym doszło do tragedii. Uznał to za szkolny błąd, co przywiodło go do

postanowienia, by sprawdzić dokładnie jeszcze raz okoliczności śmierci byłego funkcjonariusza SB.

Rano, gdy tylko zameldował się w komendzie, zadzwonił do pani Marii i umówił się z nią na spotkanie po południu w mieszkaniu jej brata. Zaraz potem wykonał telefon do zakładu medycyny sądowej. Chciał przyspieszyć uzyskanie wyników sekcji zwłok. Ustalił, że lekarz, który ją wykonywał, jest na miejscu. Postanowił z nim porozmawiać. Niepostrzeżenie wymknął się z pracy, żeby przypadkiem nikt nie zlecił mu jakiegoś nowego zadania.

\*\*\*

– Opinia posekcyjna została już przekazana do prokuratury. – Twarz patologa wyrażała zdziwienie, po tym jak Vesely zakomunikował, że jest z policji i chce porozmawiać o przyczynach zgonu Mariana Strypuli.

– Wiem – podkomisarz skłamał. – Ale pojawiły się nowe okoliczności, które muszę wyjaśnić. Zanim zgłoszę je prokuratorowi, chciałbym zadać panu kilka pytań, dlatego byłbym ogromnie wdzięczny za udzielenie na nie odpowiedzi.

Lekarz z profesorską łysiną okoloną starannie przystrzyżonymi siwymi włosami przyjrzał się z zainteresowaniem stojącemu przed nim młodemu człowiekowi. Jako ceniony specjalista oraz naukowiec funkcjonował we wszechogarniającym pośpiechu i nieczęsto spotykał kogoś takiego jak Zygmunt.

– Nie mam, co prawda, czasu, ale proszę, niech pan pyta – zdecydował medyk.

– Czy można przyjąć, że przed zatruciem gazem ofiara zemdląła?

– Podczas badania zwłok nie stwierdziłem innych przyczyn utraty przytomności niż te, które doprowadziły do śmierci.

– Ale czy można przyjąć to za pewnik?

– Mam ponad trzydziestoletnie doświadczenie, panie podkomisarzu. – Ton świadczył o tym, że patolog chyba zaczął żałować wyrażenia zgody na rozmowę.

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pana urazić. Po prostu wyjaśnienie tej kwestii jest dla mnie kluczowe. – Zygmunt starał się naprawić niezręczność. – Lekarz, który przeprowadzał oględziny zwłok na miejscu zdarzenia, zasugerował taką możliwość. Ponadto ustaliłem, że denat chorował na cukrzycę typu pierwszego. Miał także problemy z nadciśnieniem i sercem.

Patolog zastanowił się. Pod wpływem merytorycznego wyzwania, jakie wygenerowały słowa młodego policjanta, poczucie urażonego ego uleciało w niebyt.

– Uwzględniłem w badaniu dolegliwości zdrowotne, na jakie cierpiał ten mężczyzna – odparł. – I choć dalej będę się upierał przy swoich wnioskach, to muszę powiedzieć, że znane są przypadki, w których utrata świadomości była przyczyną śmierci wskutek wypadku, ale nie można było tego potwierdzić podczas sekcji. Ma pan więc dwie możliwości, panie podkomisarzu: albo zaakceptuje pan moje orzeczenie, albo przyjmie, że się omyliłem.

– Lekarz przeprowadzający oględziny powiedział mi także, że zmarły mógł cierpieć na hipotonię. – Vesely nie poddawał się.

– Uwzględniając wiek denata oraz choroby, o których pan wspomniał, to w grę mogła wchodzić jedynie hipotonia ortostatyczna. Występuje zazwyczaj wtedy, gdy człowiek zmienia radykalnie pozycję swojego ciała, najczęściej gdy je pionizuje: wstaje z krzesła, z łóżka. Czasami dochodzi do niej po spożyciu obfitego posiłku lub po przebudzeniu się. Mechanizm jest w zasadzie prosty: osoba dotknięta hipotonią przyjmuje pozycję stojącą i wtedy ciśnienie skurczowe lub rozkurczowe krwi spada skokowo, zaburzając ukrwienie mózgu. Do utraty przytomności dochodzi w przeciągu około trzech minut od pionizacji. Zaobserwowano także przypadki, gdy objawy występowały później: do czterdziestu minut po zmianie pozycji ciała. Ale jak już mówiłem wcześniej, ja nie stwierdziłem w ciele zmarłego żadnych innych przyczyn zaniku świadomości niż te, które doprowadziły do zgonu.

– Ale jeżeli nie zasłabł, to dlaczego uległ zatruciu? Nie poczuł ulatniającego się gazu?

– Tego nie jestem w stanie wytłumaczyć – odpowiedział patolog. – Za to jednego jestem pewny: jedyną stwierdzoną przeze mnie przyczyną śmierci było gwałtowne uduszenie metanem. Należy także w stu procentach wykluczyć sprawstwo innych osób.

– Gwałtowne uduszenie metanem?! – Policjant niczego nie rozumiał.

Lekarz pospieszył mu z pomocą:

– Potocznie mówi się o zatruciu. Ale gaz ziemny, którego zasadniczym składnikiem jest metan, to substancja dusząca, a nie trująca. Najogólniej rzecz

biorąc, zapełnia płuca i blokuje organizmowi dostęp do powietrza. Medycyna wyjaśnia to zjawiskiem „zmniejszenia ciśnienia parcjalnego tlenu”, który wskutek tego nie przedostaje się do krwi. A wtedy człowiek się dusi. A swoją drogą, odnoszę wrażenie, podkomisarzu, że pan chyba, tak naprawdę, jeszcze nie miał sposobności zapoznania się z opinią posekcyjną. – W głosie medyka nie było złości, jedynie nieskrywana ironia.

Zygmunt nie zareagował na zarzut, tylko spojrzał prosto w oczy naukowca i spytał:

– A czy można u człowieka w sposób zamierzony wywołać utratę przytomności, ale tak, by takiego działania nie odkryto podczas autopsji?

Lekarz uniósł brwi ze zdziwienia, lecz powaga młodego policjanta przekonała go, że prawdopodobnie istnieją przyczyny uzasadniające zadanie takiego pytania. Po namyśle odparł:

– W mojej karierze badałem kilkanaście ciał zamordowanych ludzi, których zabójcy próbowali upozorować wypadek lub zdarzenie natury medycznej. I w każdym przypadku sekcja zwłok udowodniła zbrodnicze działania. Także w znanej mi literaturze fachowej – a proszę mi wierzyć, przeczytałem w życiu bardzo dużo – nigdy nie natknąłem się na jakąś niewykrywalną metodę pozbawiania ludzi życia.

Zygmunt był zawiedziony. Niemal granicząca z pewnością hipoteza, że przypadek Strypuli miał charakter kryminalny, rozsypała się niczym domek z kart. Patolog zauważył zmianę w jego nastroju, uśmiechnął się nieznacznie i rzekł:

– Ale to, co powiedziałem, nie oznacza, że taka metoda nie istnieje. A jeśli nic o niej nie wiadomo, to musi być perfekcyjna oraz dobrze strzeżona przed światem.

Przez resztę dnia Vesely pracował w komendzie, zajmując się „papierologią”. W międzyczasie zadzwonił do pani Marii i odwołał dzisiejsze spotkanie: w tej chwili nie wiedział, czy jest w ogóle potrzebne. Rozmowa z patologiem zdusiła jego entuzjazm, prawie pogrzebała nadzieję na długo oczekiwaną interesującą sprawę. Chociaż ostatnie słowa lekarza z zakładu medycyny sądowej wydawały się zastanawiające, to młody policjant był daleki od fantazjowania. Jako matematyk kierował się racjonalnym myśleniem, naukowymi dowodami oraz rozsądkiem.

Analizując wszystko po raz kolejny, zastanawiał się, gdzie w jego układance tkwi jakiś słaby punkt. Coś, czego jeszcze do końca nie wyjaśnił. Dość szybko udzielił sobie odpowiedzi: Strypula nie poczuł ulatniającego się gazu, choć nie stracił przytomności. Dlaczego?

\*\*\*

Następnego dnia, tuż przed ósmą rano, Zygmunt przyjechał do siedziby pogotowia gazowego. Szybko odnalazł pracownika, który w mieszkaniu Strypuli przeprowadzał inspekcję w dniu odnalezienia zwłok. Gdy wyjaśnił mu, jaki problem go sprowadza, ten pokiwał ze zrozumieniem głową i powiedział:

- Najlepiej zrobimy, jak pójdziemy do Alfreda.
- A kto to jest Alfred? – Podkomisarz nie rozumiał, o co tamtemu chodzi.
- To nasz kierownik. Jest już, co prawda, na emeryturze, ale go zatrzymali, bo nikt nie zna się lepiej na krakowskich instalacjach. Jeśli ktoś może panu pomóc, to tylko on.

W pomieszczeniu poprzedzającym pokój kierownika, za niewielkim biurowym kontuarem siedziała jakaś kobieta. Poprosiła ich, by chwilę poczekał, gdyż szef konferował przez telefon. Zygmunt domyślił się, że to sekretarka. Otaksował ją szybkim spojrzeniem. Była niezwykle atrakcyjna, wręcz zjawiskowa. Wpatrywała się w ekran komputera, a kruczoczarne włosy opadały jej raz po raz na wspaniałe zielone oczy. Ona zaś lekkim, wdzięcznym ruchem subtelnej dłoni odgarniała je na bok, odsłaniając wysokie, świadczące o dużej inteligencji czoło. Vesely nie mógł od niej oderwać wzroku. Zerkał na nią ukradkiem niczym uczeń, który boi się podejść do dziewczyny z klasy, by zaprosić ją do kina. Ona także od czasu do czasu spoglądała na niego z zainteresowaniem. W pewnym momencie młody policjant zmieszał się potwornie, stwierdził bowiem, że piękność wręcz świdruje go wzrokiem spod długich, gęstych rzęs. Na szczęście otworzyły się drzwi do gabinetu i kierownik szerokim gestem zaprosił gości do środka.

Na twarzy pana Alfreda, zażywnego jegomościa z zawadiackim wąsem, pojawił się wyraz nadzwyczajnego skupienia, gdy Zygmunt opowiadał o nurtujących go kwestiach. Odezwał się dopiero po chwili namysłu.

- Mówisz pan, że ten nieboszczyk musiał poczuć gaz. Otóż wcale nie musiał.

– Jak to nie? – Wypowiedź zdeorientowała Veselego. – Przecież gaz ziemny jest nawaniany specjalnym środkiem właśnie po to, by był wyczuwalny.

– Zgadza się – odparł kierownik. – Ale tu prawdopodobnie chodzi o tlenek węgla.

– Nie rozumiem. Skąd tam mógł się pojawić tlenek węgla? Przecież gaz ziemny to głównie metan! – Podkomisarz poczuł, że znowu jest na tropie zagadki.

– Proszę mnie dokładnie wysłuchać. – Pan Alfred przybrał wygodną pozycję w fotelu. – W świadomości użytkowników kuchenek gazowych, zwłaszcza tych wyposażonych w termopary, czyli zabezpieczenie przeciwwypływowe, funkcjonuje przeświadczenie, że gaz ziemny jest całkowicie bezpieczny. Niestety, do zatrucia może dojść nawet podczas używania w pełni sprawnego urządzenia.

– Chce pan przez to powiedzieć, że płomień wcale nie musi zgasnąć? – Zygmunt szybko skonstruował wniosek.

– Tak – padła zdecydowana odpowiedź. – To oczywiście niezmiernie rzadki przypadek, ale zdarza się. Jeśli jeszcze dodamy do tego, że w pańskiej sprawie mamy do czynienia z bardzo starą gazówką, prawdopodobieństwo jego wystąpienia znacznie wzrasta.

– W takim razie w jakich okolicznościach mogło do niego dojść?

– Już wyjaśniam. – Kierownik był wyraźnie zadowolony, widocznie lubił sytuacje, w których był „mądrzejszy” od rozmówcy. – Zatrucia tlenkiem węgla podczas gotowania zdarzają się najczęściej w sytuacjach, gdy na małym palniku lub na minimalnym płomieniu używa się naczynia o dużej średnicy dna. Może wtedy dojść do niewłaściwego spalania gazu ze względu na ograniczony dostęp tlenu z powietrza. Skutkiem tego ze związków węgla zawartych w gazie powstaje tlenek węgla.

– A jego nie można wyczuć – uzupełnił pracownik towarzyszący Veselemu.

– Właśnie – potwierdził pan Alfred. – Tlenek węgla jest bezwonny i łatwo ulega dyfuzji, czyli szybko miesza się z powietrzem i rozprzestrzenia po pomieszczeniu. Niech pan sprawdzi jeszcze raz to mieszkanie, w którym doszło do tragedii, podkomisarzu. Jeśli są tam wstawione nowoczesne okna, które zapewniają wysoką szczelność, nad kuchenką nie ma okapu, który efektywnie odprowadzałby opary, to są to idealne warunki dla działania „cichego zabójcy”, jakim jest tlenek.

– Ale gdy znaleziono ciało, to płomienia nie było, a gaz się ulatniał – powiedział policjant.

– To też można wyjaśnić – odparł kierownik. – Stara gazówka zapewne nie gwarantowała odpowiedniego ciśnienia wypływu gazu, więc płomień nie miał prawidłowego natężenia. Facet przyrządzający potrawę stracił świadomość pod wpływem tlenku węgla i przestał kontrolować to, co się dzieje w garnku. Woda z gotującymi się pierogami w pewnym momencie zaczęła kipieć, wytworzyła się piana, która spłynęła po korpusie naczynia w kierunku palnika. Gdy sięgnęła zewnętrznej krawędzi dna, zaczęła skapywać na płytę gazówki, wokół płomienia. Prawdopodobnie utworzyła się w ten sposób swego rodzaju kurtyna, która odcięła na moment dopływ tlenu. I ogień zgasł.

Zygmunt myślał intensywnie. Jeśli tak było w istocie, to sprawę Strypuli można będzie uznać za zamkniętą. Ale o tym mógł się przekonać tylko w jeden sposób.

– Panie kierowniku! – Spojrzał na wścicza prosząco. – Czy zgodziłby się pan, by obecny tu pański pracownik pomógł mi w ustaleniu faktów?

– Chce pan przeprowadzić odpowiednie doświadczenie?

– Wydaje mi się to niezbędne.

– Zgadzam się. Zresztą powiem panu szczerze, podkomisarzu, że sam jestem gotów wziąć w nim udział. Uważam, że to jest nawet konieczne z punktu widzenia interesów mojej firmy.

Uzgodnili jeszcze, że policjant powiadomi gazowników o terminie „wizji lokalnej”, gdy tylko otrzyma pozwolenie na wejście do mieszkania.

Opuszczając gabinet, Vesely od razu został zniewolony wzrokiem pięknej sekretarki. Gdy powiedział jej „do widzenia”, ta obdarzyła go dwuznacznym uśmiechem. Na korytarzu towarzyszący mu pracownik pogotowia gazowego poufale zauważył:

– Zdaje się, że wpadł pan w oko naszej Justynie.

– Mówi pan o sekretarce? – Zygmunt poczuł, że się rumieni.

– To bardzo piękna kobieta, podkomisarzu, ale niebezpieczna.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– To najmłodsza córka kierownika, oczko w głowie tatusia. A Alfred tylko pozornie sprawia wrażenie miłego starszego pana. Niech pan pamięta,

podkomisarzu: jabłko zawsze pada niedaleko od jabłoni.

– Muszę z panem wyjaśnić jedną kwestię. – Policjant przezornie zmienił temat.  
– Kto i kiedy wezwał pogotowie gazowe, gdy zdarzył się wypadek?

– Trzeba by spytać Justyny, to ona przyjmuje zgłoszenia. Zapewne ma to odnotowane w systemie – odrzekł gazownik. Jednak widząc na twarzy Veselego oznaki skrępowania, wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do sekretarki.

Po chwili miał odpowiedź:

– Ktoś anonimowo zgłosił o dwunastej dwadzieścia sześć, że z mieszkania pod takim a takim adresem wydobywa się woń gazu.

– Co to oznacza, że ktoś dzwonił anonimowo? – Podkomisarza zainteresował ten fakt.

Pracownik bez słowa ponownie połączył się z sekretariatem. Kilkanaście sekund później odpowiedział na pytanie policjanta:

– Ten ktoś nie podał swojego nazwiska, a w systemie nie wyświetlił się numer jego telefonu.

Zygmunt zastanawiał się przez moment nad tym, co usłyszał, następnie zmienił temat:

– Czy w ogóle można było poczuć jakikolwiek zapach z mieszkania, przechodząc obok szczelnie zamkniętych drzwi wejściowych?

– Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym.

Tym razem to podkomisarz wyjął telefon. Zadzwonił do pani Marii. Po krótkiej rozmowie zakomunikował pracownikowi pogotowia:

– Kobieta, która odnalazła zwłoki, poczuła gaz dopiero, jak weszła do mieszkania.

– No to ma pan kolejną zagadkę do rozwiązania.

Vesely zadumał się. Przypomniał sobie rozmowę z medykiem dokonującym oględzin ciała Strypuli w mieszkaniu. Znow zwrócił się do gazownika:

– Lekarz pogotowia ratunkowego mówił, że to pan wpuścił go do mieszkania zmarłego.

– Tak było. Ja w zasadzie byłem pierwszy na miejscu zdarzenia. Przede mną przysłała tam tylko ta pani, co odnalazła zwłoki. Ale jak tylko otworzyła mi drzwi, to zasłabła. Postanowiłem wezwać pogotowie. Najpierw jednak zapytałem, czy ona



tego nie zrobiła wcześniej, ale okazało się, że nie. Stąd wniosek, że przyszedłem do mieszkania tuż po niej. Ona tylko zdążyła pootwierać okna, by wywietrzyć. Jak zadzwoniłem na sto dwanaście i powiedziałem, że chodzi o mężczyznę prawdopodobnie otrutego gazem oraz o omdlałą kobietę, to przysłano karetkę z dwoma ratownikami medycznymi i lekarzem. Lekarz został na miejscu, zaś ratownicy wzięli tę panią do szpitala.

Podkomisarz podziękował za wyjaśnienia i pożegnał się. Intuicja podpowiadała mu, że anonimowe zgłoszenie na pogotowie gazowe mogło być dziełem kogoś, komu zależało, by w kamienicy, w której mieszkał Strypuła, nie doszło do eksplozji.

\*\*\*

Pani Maria zgodziła się na eksperyment dopiero wtedy, gdy Vesely wyjaśnił jej, że będą gotować pierogi w towarzystwie specjalistów z zakładu gazowniczego. Tak ją to zaintrygowało, że zaoferowała się kupić dokładnie takie same, jakie jej brat przygotowywał przed śmiercią.

Najpierw gazownicy zaczęli rozglądać się po mieszkaniu. Pan Alfred ustalał, gdzie znajdują się wywietrzniki i jak działają. Jego pracownik wyjmował w tym czasie z torby anemometr, przyrząd do określania siły ciągu powietrza. Po dokonaniu pomiarów kierownik stwierdził:

– Wentylacja grawitacyjna ledwo, ledwo spełnia normy, zaś okap nad gazówką w ogóle nie jest podłączony do wywiewu zewnętrznego. To pochłaniacz, w środku którego jest zapewne filtr węglowy. Nie dziwi mnie, że w takich warunkach doszło do zatrucia. Widzę tu także plastikowe okna...

– Ale one zostały wstawione jakieś dwadzieścia lat temu – wtrąciła pani Maria.

– To nie ma znaczenia – odrzekł pan Alfred. – Na pewno zachowały wysoką szczelność. Innymi słowy, zamieniły to mieszkanie w termos. Aż dziw, że na ścianach nie ma śladów grzyba, ale to chyba wynika z tego, że przebywała tu tylko jedna osoba, która jedynie w minimalnym zakresie eksploatowała kuchnię i łazienkę.

Zygmunt poprosił gospodynię o przygotowanie garnka, tego samego, jaki został użyty tamtego feralnego dnia, kiedy zginął jej brat. Równocześnie wydobył ze

swojej teczki zdjęcia, jakie wtedy zrobił, i zaczął odtwarzać ówczesną sytuację. Kierownik wziął do rąk naczynie i porównał średnicę jego dna z wymiarami palnika, na którym miało ono zostać postawione.

– Nie jest to zbyt duży garnek, ale sądzę, że na minimalnym ogniu może spowodować niepełne spalanie gazu – powiedział.

– Proszę mnie posłuchać! – rzekł podkomisarz. – Doświadczenie przeprowadzamy w następujący sposób: gotujemy pierogi tak, jak to sugeruje pan Alfred; panowie sprawdzają, czy nie powstaje tlenek węgla, ja zaś mierzę czas do momentu wykipienia wody. Potem powtórzymy wszystko na maksymalnym ogniu.

Przez krótką chwilę mężczyźni z uwagą przypatrywali się, jak pani Maria napełnia garnek wodą, lekko ją soli i dolewa trochę oleju, by pierogi się nie posklejały. Wszystko miało przebiegać dokładnie tak, jak robił to jej brat. Kierownik wziął do ręki zapalarkę i przystawił ją do palnika, lecz kobieta go powstrzymała, mówiąc:

– Jeśli wszystko ma być tak jak tamtego dnia, to trzeba zamknąć drzwi do kuchni.

– Dlaczego? – Policjant nie zrozumiał, gazownicy mieli niewyraźne miny.

– Marian, jak cokolwiek gotował, to nie chciał, by zapachy roznosiły się po innych pokojach.

Vesely drgnął, gdy to usłyszał.

– Czy drzwi kuchenne były rzeczywiście zamknięte, kiedy pani weszła do mieszkania tamtego dnia? – zapytał.

Pani Maria zamyśliła się.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam.

– Czy leżącego brata zobaczyła pani od razu, czy dopiero jak je pani otworzyła?

– Raczej od razu. Weszłam do środka, poczułam gaz, zobaczyłam Mariana leżącego na podłodze, więc szybko pootwierałam wszystkie okna. Ale dlaczego to jest takie ważne?

– Jeśli zmarły zawsze zamykał kuchnię, kiedy coś gotował, a w chwili śmierci drzwi były otwarte, to oznaczałoby, że być może nie stracił życia w wyniku wypadku.

Zapadła cisza. Przerwał ją pan Alfred, odpalając gaz. Mężczyźni przystąpili do swoich czynności.

– Płomień rzeczywiście jest słaby – rzekł pracownik pogotowia gazowego.

Kierownik potwierdził słuszność tego spostrzeżenia skinieniem głowy. Następnie przyłożył w pobliże palnika czujnik detektora tlenu węgla, ale ten nie wskazał jego obecności.

Po około dwudziestu minutach oczekiwania woda buzowała lekko przy dnie garnka, ale się nie gotowała.

– Minimalny ogień na tym palniku nie jest chyba w stanie doprowadzić do wrzenia – pracownik wypowiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli.

Vesely wziął naczynie, wyłączył zawartość i schłodził je zimną wodą. Gospodyni jeszcze raz przygotowała garnek do gotowania. Tym razem ustawiono ogień „na połowę”.

Woda zaczęła wrzeć po osiemnastu minutach, a wtedy pani Maria delikatnie wrzuciła do niej odpowiednią porcję pierogów. Charakterystycznie bulgotanie ustało. Musieli czekać trzynaście minut, aż zawartość ponownie się zagotuje. W końcu doszło do kipienia. Mączna piana zaczęła się podnosić. Ciecz osiągnęła krańce garnka i spłynęła leniwie kilkoma wąskimi strużkami w kierunku płyty gazówki, tworząc niewielkie plamy wokół palnika. W ten sposób nie mogło dojść do odcięcia tlenu i zagaszenia płomienia. Także użyty ponownie detektor gazowy nie alarmował o aktywności tlenu węgla.

Podkomisarz zarządził powtórzenie doświadczenia. Tym razem ustawił maksymalną siłę ognia. Woda zagotowała się o wiele szybciej, piana wypłynęła obficie, ale i tym razem nie spowodowała zgaśnięcia płomienia. „Cichego zabójcy”, czyli tlenu, także nie stwierdzono. ■

Szachownica emanowała prostotą. Stojące na jej krańcach bierki oczekiwały karnie w dwuszeregu na rozpoczęcie bitwy. Cisza była iluzoryczna, zwiastowała jedynie przygotowania do szturm. Zygmunt wpatrywał się w ekran komputerowego monitora. Czekał, aż jego internetowy przeciwnik rozpocznie starcie: sam grał czarnymi. Tamten zaczął spokojnie, bardzo popularnym otwarciem, co wywołało u policjanta na wpół ironiczny uśmiezek. Zlekceważenie przeciwnika było jednak błędem. Pierwsze banalne posunięcia wykonane przez konkurenta były zręcznie zastawioną pułapką. Vesely został rozgromiony w kilkunastu ruchach. Był zły na siebie, że dał się nabrać. Wiedział, że przegrał, gdyż uległ pozorom, zza których został wyprowadzony zręczny i w finale destrukcyjny atak.

Pozory. To słowo skierowało jego myśli do mieszkania Mariana Strypuli. Miał mętlik w głowie. W sprawie panował chaos, nic się nie układało w jakąś logiczną całość. Powziął zamiar zrobienia na własny użytek pisemnej analizy. Chciał w ten sposób sam siebie przekonać, że intuicja go zawiodła. Że śmierć byłego esbeka była po prostu skutkiem nieszczęśliwego splotu okoliczności.

Myślał, od czego zacząć, i doszedł do wniosku, że najpierw powinien wynotować wszystko, co przemawiało za wypadkiem. Wziął do ręki długopis i napisał na kartce:

1. Patolog stwierdził kategorycznie: „Należy w stu procentach wykluczyć sprawstwo innych osób”.

Niedawno do Zygmunta dotarła opinia posekcyjna. Lekarz, z którym rozmawiał w zakładzie medycyny sądowej, okazał się skrupulatnym fachowcem. Dokument był precyzyjny, jasny i niebudzący wątpliwości. Zawierał nawet wyniki badań, które wykluczały zatrucie tlenkiem węgla. „Gdybym przeczytał to wcześniej, nie musiałbym robić doświadczenia z gotowaniem pierogów” – skonstatował. Zaraz jednak zmienił zdanie i tę swoistą „wizję lokalną” uznał za celową. Postanowił jednak zająć się tym później,

2. Podczas oględzin mieszkania nie znalazłem śladów świadczących o dokonaniu włamania. Nigdzie nie było oznak plądrowania. Nic nie zginęło.

Vesely popatrzył na to ostatnie zdanie i dopisał: (oprócz wizytówki i książki historyka). Przeczytał jeszcze raz wszystko i doszedł do wniosku, że już tylko te dwa punkty są wystarczające, by zamknąć sprawę, co zapewne prokurator zrobi formalnie w najbliższym czasie. „No bo przecież patolog zapewne nie popełnił błędów, a ja rzeczywiście nie znalazłem żadnych istotnych śladów!” – pomyślał rozgoryczony.

Ślady. To słowo Zygmunt odpychał od siebie, gdyż wyzwalalo w nim poczucie winy. Miał świadomość, że jako policjant nie popisał się. Chodziło o to, że nie zabezpieczył garnka z pierogami do analizy daktyloskopijnej, a nawet nie sprawdził, czy garnek był zimny, czy ciepły, by skonfrontować to z czasem zgonu. Nie wpadł także na pomysł, by zbadać funkcjonalność wentylacji w mieszkaniu. Wynikało to po części z jego małego doświadczenia, ale także z sugestii lekarza pogotowia, który z pełnym przekonaniem stwierdził wypadek. Podkomisarz pocieszał się, że także prokurator uległ tej tezie. Ten zresztą się spieszył i jak tylko usłyszał, że nie ma znamion przestępstwa, od razu przystąpił do finalizowania sprawy.

3. Zmarły był starym, schorowanym człowiekiem, emerytem. Nie uczestniczył w żadnych przedsięwzięciach wymagających interakcji z innymi ludźmi. Nie prowadził życia towarzyskiego.

Będąc samotnikiem, ograniczając się jedynie do relacji z siostrą, Strypula nie miał sposobności, by komukolwiek się narazić albo naruszyć czyjekolwiek interesy. W związku z tym nie mogły zaistnieć okoliczności, które doprowadziłyby kogoś do aż takiej desperacji, by popełnił morderstwo. Vesely miał świadomość, że powyższe fakty są kluczowe, uniemożliwiały bowiem zidentyfikowanie przyczyn ewentualnego zabójstwa. Upewniały go także, że jeśli śmierć byłego esbeka nie była dziełem przypadku, to motywu należy szukać w przeszłości.

4. Prawdopodobny przebieg wydarzeń, które doprowadziły do zgonu.

Podkomisarz odbył spotkanie z fachowcem ze straży pożarnej, dowódcą specjalistycznej grupy ratownictwa chemiczno-ekologicznego. Ten wysłuchawszy relacji z wypadku, poprosił o opis pomieszczenia, w którym doszło do zatrucia, a ujmując rzecz precyzyjnie, uduszenia gazem. Policjant pokazał mu zdjęcia kuchni z leżącym w niej ciałem. Strażak przejrzał je w skupieniu i zaczął wyjaśniać:

– Na ścianie, przy której stoi gazówka, wiszą szafki, a nad nią samą znajduje się okap...

– To jedynie pochłaniacz, który nie jest podłączony do komina wentylacyjnego – uzupełnił Zygmunt.

– To tylko ułatwia wytłumaczenie tego, co zaszło. Otóż metan jest lżejszy od powietrza, co powoduje, że „ucieka” zawsze do góry i gromadzi się pod sklepieniem pomieszczenia. Naścienne szafki oraz okap stanowiły naturalną przeszkodę dla unoszenia się gazu.

– Czyli musiał on gromadzić się pod meblami i okapem? – Vesely swoim zwyczajem od razu sformułował wniosek.

– Dokładnie – przytaknął strażak. – Uważam jednak, że najważniejsza jest przestrzeń nad kuchenką. Według mnie gaz gromadził się przede wszystkim pod okapem, a potem „przepływał” stamtąd w kierunku sufitu. Czy ofiara była dużego wzrostu?

– Tak, ale jakie to ma znaczenie? – Policjant nie skojarzył związku pomiędzy treścią pytania a rozwiązywanym problemem.

– Proszę spojrzeć na fotografie. Okap jest umieszczony dość nisko. Jestem pewien, że stojąca przy gazówce wysoka osoba będzie miała jego krawędzie poniżej nosa i ust.

– Chyba już wszystko rozumiem. – Twarz Zygmunta rozpromieniła się.

– Jeśli tak, to teraz powiem panu, jak mogło dojść do śmierci.

– To mnie ciekawi najbardziej. – Zadowolenie opuściło Veselego. Zrozumiał, że to, co za chwilę usłyszy, znów zniweczy jego koncepcję kryminalnego charakteru całej sprawy. Strażak nie zauważył zmiany nastroju podkomisarza i zaczął referować:

– Ofiara nastawiła na kuchence garnek z pierogami. Z niewyjaśnionych przyczyn, najprawdopodobniej wynikających z chorób, jakie były u niej zdiagnozowane, straciła przytomność. W międzyczasie z naczynia wykypiała zawartość, zalewając palnik i zagaszając tym samym płomień. Gaz zaczął się ulatniać i gromadzić pod okapem, gdyż stara gazówka nie posiadała żadnych zabezpieczeń przeciwwypływowych. Mężczyzna po jakimś czasie przyszedł do siebie. Jego świadomość na pewno zarejestrowała fetor, jednak gdy zobaczył

ubrudzony garnek, nie zważając na swoje osłabienie i ostrzegawczy smród, podszedł do gazówki, by zestawić go z palnika. Przypominam, że spod okapu „wypływał” ku sufitowi gaz. Tak więc, gdy twarz ofiary znalazła się na wysokości jego krawędzi, w płucach, zamiast powietrza, znalazł się metan. Pierwszym odczuciem, jakiego doznał mężczyzna, był brak powietrza, tlen nie przedostał się do krwi. Organizm zareagował automatycznie, powtarzając wdech, absorbując tym samym jeszcze więcej gazu. Facet zaczął się dusić. Mózg domagał się tlenu, układ wegetatywny nakazywał płucom dostarczenie powietrza, ale te dalej pompowały metan. Ofiara zapewne zrobiła parę kroków w kierunku wyjścia z pomieszczenia i upadła, tak jak to widać na fotografiach. Po około sześciu, ośmiu minutach było po wszystkim.

– To bardzo przekonujące, co pan powiedział, ale patolog stwierdził, że nie odkrył u ofiary oznak omdlenia, do jakiego miałyby dojść przed wypadkiem. – Zygmunt był ciekawy, jak ratownik zareaguje na taki argument. Ten nawet się nie spieszył.

– Po prostu nie było odpowiednich śladów w ciele ofiary. Niekiedy tak się zdarza, ale to nie oznacza, że nie doszło do utraty przytomności. Proszę też uwzględnić sposób postępowania biegłego. Z mojej praktyki zawodowej wynika, że im lekarz bardziej doświadczony i utytułowany, tym trudniej mu się przyznać do błędu.

– No tak, ale jeśli faktycznie nie doszło chociażby do zasłabnięcia, to pana koncepcję należy uznać za chybioną.

– W zasadzie tak – odrzekł strażak. – Ale naprawdę nie widzę innego wytłumaczenia, jak mogło dojść do tego wypadku. A ile czasu upłynęło pomiędzy zgonem a znalezieniem ciała?

– Około dwóch, trzech godzin – odparł policjant.

– Uzyskanie optymalnego stężenia gazu w pomieszczeniu, które doprowadziłoby do uduszenia bez podchodzenia w pobliże gazówki i okapu, wymagałoby kilkugodzinnego ulatniania się gazu, a także zamkniętych kuchennych drzwi oraz niedrożnej wentylacji kominowej. – Ekspert głośno kombinował.

– Ciało znaleziono przed trzynastą, więc według tej koncepcji zmarły musiałby rozpocząć gotowanie pierogów wczesnym rankiem – przerwał mu podkomisarz.

– To faktycznie bez sensu – przyznał strażak.

Vesely oddzielił grubą kreską to, co napisał do tej pory. Teraz zamierzał wynotować wątpliwości, które przemawiały za tym, że Strypula został zamordowany.

1. Patolog nie wykrył oznak utraty przytomności u ofiary przed wypadkiem (śmiercią).

Utrata przytomności była według podkomisarza kluczem do rozwiązania zagadki śmierci byłego esbeka. Przecież będąc w pełni świadomym, poczułby ulatniający się gaz, zauważyłby także kipienie z garnka. To nie ulegało wątpliwości.

2. Ofiara nie mogła gotować przed południem pierogów, kolidowało to z jej wieloletnimi przyzwyczajeniami.

Zmarły był pedantem. Nawet jego siostra uznawała tę przypadłość za rodzaj choroby psychicznej. Jako perfekcjonista funkcjonował w oparciu o sztywne rytuały. Ich złamanie czy choćby naruszenie zapewne boleśnie przeżywał, dlatego nie mógł sporządzać dania obiadowego pomiędzy dziesiątą rano a dwunastą w południe. A według lekarza do zgonu doszło właśnie między tymi godzinami.

3. Zaginęła wizytówka oraz książka młodego historyka.

Zygmunt uśmiechnął się, gdy przeczytał ten punkt. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście fakt ten mógł wydawać się nieistotnym, ale łącząc go z przeszłością Strypuli oraz uwzględniając jego maniackalne zamiłowanie do czystości i porządku, nie należało go bagatelizować. Także to, że wśród uporządkowanych alfabetycznie wizytówek na literę „K” znajdowała się jedna z nazwiskiem na „Z”, mogło świadczyć o tym, że w mieszkaniu działał ktoś obcy. Wyciągnął kartonik z namiarami na historyka i powstała pustka, którą trzeba było wypełnić. Ten ktoś spieszył się, więc podebrał ostatnią wizytówkę ze zbioru i przełożył ją na miejsce tej od naukowca. Kto wie, czy za tą błąhą z pozoru sprawą nie kryły się istotne okoliczności. W każdym razie odszukanie historyka, który „odkrył coś ważnego, czego nikt nie powinien był odkryć”, stało się niemożliwe.

4. Ktoś anonimowo wezwał pogotowie gazowe, zanim pani Maria odkryła ciało brata.



To była kolejna zagadka do rozwiązania. Siostra zmarłego twierdziła z całą stanowczością, że ulatniający się gaz poczuła dopiero, gdy weszła do mieszkania. Nie można było zatem zidentyfikować zagrożenia, znajdując się na klatce schodowej. A ktoś, kto zadzwonił na pogotowie gazowe, podał dokładny adres Strypuli. Jeśli to był przestępca, to popełnił błąd. Ale dlaczego tak postąpił? Jedyna odpowiedź, jaka się nasuwała, to taka, że ten ktoś po prostu obawiał się, że mogło dojść do wybuchu, a tym samym do niewyobrażalnej tragedii. Inną kwestią była anonimowość zgłoszenia. To, że osoba dzwoniąca na pogotowie gazowe nie przedstawiła się, nie było niczym nadzwyczajnym, ale niewyświetlenie się jej numeru telefonu w systemie już tak. Zygmunt sprawdził przyczyny takiego stanu rzeczy. Mogło to być efektem albo korzystania z usługi operatora pod nazwą „ukrywanie prezentacji własnego numeru (CLIR)”, albo tego, że dzwonił z zagranicy, chociaż takie przypadki zdarzały się już ponoć niezmiernie rzadko.

5. „Wizja lokalna” dowiodła, że nie mogło dojść do zagaszenia palnika wskutek wykipienia zawartości garnka podczas gotowania pierogów.

Doświadczenie przeprowadzone w obecności pracowników pogotowia gazowego potwierdziło, że nie mogło dojść do wypadku. Vesely odrzucał twierdzenie, że to był ten jeden raz na milion, kiedy doszło do zagaszenia palnika. Na takim myśleniu właśnie zależałoby mordercy, który zresztą w tym względzie odniósł sukces: prokurator nie dopatrywał się znamion przestępstwa.

6. Gdy pani Maria weszła do mieszkania, drzwi do kuchni były na pewno otwarte, co było sprzeczne z „rytuałem” ofiary.

Zmarły zwyczajowo zamykał kuchnię na czas przygotowywania posiłków, zwłaszcza gdy gotował coś na kuchence. Nie chciał, by zapachy i opary wnikały do innych pomieszczeń. Jego siostra pod wpływem fetoru ulatniającego się gazu oraz odkrycia ciała, co skojarzyła z zatruciem, od razu pootwierala wszystkie okna. Zygmunt był przekonany, że kobieta pamiętałaby, że drzwi do kuchni były zamknięte. A to zaś oznaczało, że mężczyzna niczego nie gotował! Przecież jako chorobliwy pedant nie odstąpiłby od swojego przyzwyczajenia!

Podkomisarz porównał argumenty „za” i „przeciw” wypadkowi. Było sześć do czterech na korzyść twierdzenia, że śmierci Mariana Strypuli nie należy utożsamiać ze zdarzeniem losowym. Wszystko przemawiało za morderstwem. „Hola, hola,

hamuj, kolego!” – Vesely zmitygował się w myślach. Jego odkrycia miały charakter poszlakowy, nie mógł ich formalnie przeciwstawić opinii posekcyjnej oraz protokołowi z oględzin miejsca zdarzenia. To by było tak, jakby postawił przysłowiową garść zgniłych orzechów przeciwko tysiącowi dolarów. To co robić dalej? Pytanie nie przywołało odpowiedzi, niczym rzucone w pustkę.

\*\*\*

Była sobota. Zygmunt otworzył oczy i zobaczył twarz leżącej obok Justyny. Jej miarowy oddech świadczył o głębokim śnie. Nie rozbudziła się, gdy wstał i ubierał slipy. W neglizju poszedł do kuchni napić się wody. Zanim wrócił do łóżka w niewielkiej sypialni, wszedł do drugiego, głównego pokoju. Panował tu straszliwy bałagan, wszędzie walały się rozwleczone ubrania. Przypomniawszy sobie, jak zdzierali je z siebie w szaleńczym podnieceniu. Jego wzrok przesunął się po sofie, dywanie, fotelu i parapecie – miejscach, gdzie kopulowali. Było to chyba jedyne właściwe określenie, które oddawało to, co ostatniej nocy działo się w mieszkaniu Veselego. Pokręcił głową, co miało oznaczać, że nie rozumie, jak do tego wszystkiego doszło, po czym poczłapał, by wleźć pod kołdrę.

Wczoraj sekretarka zadzwoniła z wiadomością, że kierownik pogotowia gazowego zostawił u niej kopertę z jakimiś ważnymi informacjami dotyczącymi wypadku. Dodała równocześnie, że „pan podkomisarz może odebrać ją osobiście, najlepiej około godziny szesnastej”. Zygmunt tak się zaciekawił, że przemógł nieśmiałość, jaką wzbudzała w nim piękna córka pana Alfreda, i postanowił pojechać do siedziby firmy gazowniczej. Z bijącym sercem wszedł do sekretariatu, przywitał się, starając się nie patrzeć w zielone, zniewalające oczy, ona zaś wyszła zza kontuaru, trzymając w rękach przesyłkę. Pierwszy raz zobaczył w pełnej krasie jej postać. Ubranie podkreślało zgrabne, pełne seksapilu ciało, co sprawiło, że Vesely zarumienił się po czubek głowy, gdyż szatańska wyobraźnia podpowiedziała mu, jak mogłaby wyglądać nago. Kobieta to zauważyła, co wprawiło ją w widoczne zadowolenie. On chciał czym prędzej podziękować i zwać, ale sekretarka poprosiła, by zapoznał się z informacjami. „Będę mogła przekazać kierownikowi pana ewentualne pytania i wątpliwości” – oświadczyła. Chcąc nie chcąc, otworzył kopertę i wyjął z niej kartkę. Przeczytał i zrobiło mu się gorąco.

Było tam tylko jedno zdanie, a właściwie pytanie: „Czy zaprosi mnie pan na kawę?”. Wpatrywał się w nie dość długo, bojąc się podnieść wzrok. Spojrzał w końcu na Justynę, chciał coś powiedzieć, ale jedyne, co mu się udało, to poruszyć kilka razy bezwiednie ustami, na co ona zareagowała:

– Powie pan coś wreszcie?

– Przepraszam, ale nie wiem, co mam powiedzieć.

– Jak to pan nie wie? – Sekretarka była zdziwiona. – Niech pan powie, czy zaprosi mnie pan na kawę.

– Sądzi pani, że mógłbym? – Zygmunt był bardzo onieśmielony, miał kłopoty z zebraniem myśli.

– Nie podobam się panu? – Pytanie było tak bezpośrednie, że Veselemu przysłowiowo zmiękły kolana i myślał, że upadnie.

– Oczywiście, że mi się pani podoba... Nawet bardzo podoba – wyjąkał. – Chcę przez to powiedzieć, że nie może się pani nie podobać... To znaczy... Jest pani bardzo piękna – dokończył staroświecko.

– Dziękuję za komplement, ale dalej nie wiem, czy mogę liczyć na zaproszenie.

– Wydawało się, że słowa mężczyzny sprawiły jej ogromną przyjemność.

– W takim razie – odparł Zygmunt – czy napije się pani w moim towarzystwie kawy?

– Z przyjemnością. Jestem już po pracy.

Wyszli razem z budynku. Podkomisarz modlił się, by nie natknęli się na pracownika, który go ostrzegał przed córką Alfreda, ten wtedy miałby na pewno niezły ubaw. Na parkingu obserwował reakcję Justyny na widok jego leciwego, „budżetowego” samochodu. Ona jednak, gdy otworzył jej drzwi, miała taki wyraz twarzy, jakby wsiadała do najnowszej, luksusowej limuzyny.

Zabrał ją do jednej z najlepszych kawiarni na krakowskim rynku. Aromatyczna kawa podana do pysznego tortowego ciasta szybko rozwiązała im języki. Po kilkunastu minutach rozmawiali już jak starzy znajomi. Vesely nie mógł uwierzyć, że oto siedzi w towarzystwie ślicznej dziewczyny i słucha jej lekko matowego głosu. Wszystkie sprawy, którymi żył w ostatnich dniach, uleciały gdzieś daleko. Rozkoszował się tym popołudniem, nie chciał, by się skończyło, więc zaproponował, żeby coś zjedli. W ten sposób trafili do knajpy, gdzie serwowano

galicyjską kuchnię. Dobre jedzenie i wino wyzwoliły w Justynie chęć do imprezowania. Zaciągnęła Zygmunta do jakiegoś klubu z parkietem do tańczenia. Bawili się, nie żałując sobie alkoholu. Na koniec wylądowali u niego w mieszkaniu.

Dziewczyna obudziła się i zobaczyła wpatrującego się w nią Zygmunta. Uśmiechnęła się do niego.

– Ale fajnie – mruknęła rozkosznie, przeciągając się pod kołdrą.

– Zadowolona? – Veselemu udzielił się jej dobry nastrój.

– Zadowolony? – zaripostowała.

– Szczerze mówiąc, nie myślałem, że to się wszystko tak skończy.

– A ja byłem przekonana, że jak otworzysz kopertę i przeczytasz moje pytanie, to od razu będziesz wiedział, o co mi chodzi.

– Czy to znaczy, że ty od samego początku chciałeś, żeby to się tak skończyło?

– Oczywiście – odparła zdziwiona. – Ty chyba nie masz zbyt dużego doświadczenia z kobietami, co?

Pytanie spieszyło Zygmunta, ale spiął się i odważnie wyznał:

– Zgadza się, nie mam.

– Czekasz na tę jedyną? – Była bezlitosna.

– A ty masz kogoś? – Odbił piłeczkę.

Odwróciła wzrok, na ułamek sekundy spoważniała, jej usta zacisnęły się, jakby pytanie przywiodło niechciane wspomnienie o czymś lub o kimś. Spojrzała ponownie na niego.

– Jestem singielką, cenię sobie niezależność – odparła. A potem rubasznie wyjaśniła: – Ale to nie oznacza, że nie uprawiam seksu. Powiem ci nawet więcej: uwielbiam to robić... Często, no i długo. – Mrugnęła do niego filuternie i dodała lekko ściszone głosem: – Możesz być z siebie dumny, kolego, sprawiłeś się.

Wstała i poszła w kierunku wyjścia z sypialenki. Zygmunt na widok jej nagiego ciała aż syknął z wrażenia. Na dodatek ona odwróciła się do niego, co spowodowało, że jej dorodne piersi zakołysały się majestatycznie.

– I żeby było jasne, to nie był grzecznościowy komplement, niewielu facetów usłyszało coś takiego ode mnie – powiedziała i zniknęła w łazience.

Vesely poczuł, jak jego męskie ego rośnie w postępie geometrycznym. Co prawda, uwierał go fakt, że został potraktowany przedmiotowo niczym dwunożny ogier, którego rolą było zaspokojenie pożądania dziewczyny, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. „To naprawdę niebezpieczna kobieta” – pomyślał. „Niebezpieczna? To nimfomanka, erotyczna modliszka” – sprostował w duchu.

Drzwi od łazienki się uchyliły.

– Możesz podać mi moje ubranie? – Justyna właśnie wyszła spod prysznica i wycierała się. – Nie rób mi śniadania – usłyszał. – Muszę zaraz jechać do domu.

Ubrana i uczesana, z pospiesznie nałożonym minimalistycznym makijażem wyglądała uroczo. Zbierała się do wyjścia. Zygmunt stał w świetle przejścia prowadzącego z przedpokoju do dużego pokoju. Podeszła do niego i pocałowała w policzek.

– Dziękuję. – Jej matowy głos zabrzmiał wyjątkowo głęboko i ciepło. Zobaczyła na jego twarzy coś na kształt rozżalenia.

– Chcesz coś powiedzieć? – zapytała zachęcająco.

– Również dziękuję – odrzekł. – Było niesamowicie.

– Myślałam, że spytasz, czy się jeszcze spotkamy.

– A moglibyśmy?

– Słuchaj, chciałbyś się ze mną jeszcze kochać czy nie?

Vesely odwrócił głowę w kierunku pokoju, przesunął wzrokiem po sofie, dywanie, fotelu i parapecie.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że tak – odrzekł.

Uśmiechnęli się do siebie. Justyna delikatnie zatrasnęła za sobą drzwi.

Zygmunt doprowadził mieszkanie do ładu, potem zjadł późne śniadanie. Cały czas w myślach przewijały mu się obrazy z poprzedniego wieczora. Nigdy wcześniej nie spotkał takiej kobiety jak Justyna. Jego życie erotyczne było, delikatnie mówiąc, ubogie, więc to, co przeżył, traktował jak wielki dar od losu. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego wybrała właśnie jego. Co takiego zwróciło jej uwagę? W przedpokoju podszedł do lustra. Zobaczył młodego mężczyznę o przeciętnej, jak mu się wydawało, aparycji. Jego twarz miała ostre rysy, oczy były żywe, inteligentne, emanowały energią oraz dociekliwością. Nie miał nadwagi, choć zaniedbywał się: nie uprawiał sportu oraz nie przywiązywał

znaczenia do prawidłowego i zdrowego odżywiania się. „Ciuchów też nie mam rewelacyjnych” – podsumował. Postanowił, że musi się obkupić w nowe, modne ubrania i spróbować poszukać sobie jakiejś fajnej dziewczyny. „Siedzę wieczorami w tej swojej jamie, gram jedynie w szachy, a czas ucieka” – zawyrokował niczym kilkudziesięcioletni mędrzec. Po chwili jednak włączył komputer i do popołudnia rozegrał kilkanaście partii w trybie online.

Wieczorem powrócił myślami do sprawy Mariana Strypuli. Wziął kartkę z wypisanymi przez siebie argumentami „za” i „przeciw” wypadkowi. Długo rozmyślał, porównywał, prowadził dialog sam ze sobą. Chciał uzyskać odpowiedź, czy odkryte przez niego poszlaki uzasadniały, by dalej prowadził prywatne śledztwo, i to wbrew temu, co postanowi prokurator. A on niechybnie uzna sprawę za zamkniętą. Czy powinien dalej angażować się, narażając na surowe służbowe konsekwencje? Wewnętrzny głos odpowiedział: tak! Po prostu chciał sam dla siebie poznać rozwiązanie. To było silniejsze od strachu, a nawet od gorzkiego przeczcucia prawdopodobnej porażki. Ale nie miał żadnego punktu zaczepienia. Nic, co by wskazało na jakiś dodatkowy trop.

Doszedł do wniosku, że potrzebny jest mu bilans wszystkich dotychczasowych działań, by odkryć to, czego jeszcze nie zrobił. Mógł przecież coś przeoczyć, jakiś szczegół, który przesłaniał coś istotnego. Coś na podobieństwo nic z pozoru nieznaczącego faktu odnalezienia w klaserze byłego esbeka wizytówki na literę „Z” włożonej pomiędzy kartoniki z nazwiskami na „K”.

Pomyślał o historyku. Może trzeba iść w tym kierunku? Zastanowił się nad tym pomysłem i odrzucił go. W pojedynkę nie był w stanie przeprowadzić poszukiwań. Gdyby chociaż wiedział, z jakiego był uniwersytetu. Poza tym, że pisał doktorat o krakowskiej Służbie Bezpieczeństwa i był autorem książki na ten temat, nic praktycznie nie wiedział o tym człowieku. „Chociaż, w zasadzie, publikacja mogłaby być punktem wyjścia dla działań na rzecz jego odnalezienia” – stwierdził. Po krótkim namyśle siadł do komputera i wpisał w internetowej wyszukiwarce hasło „Służba Bezpieczeństwa Kraków”. Niestety, nie odnalazł żadnych publikacji, które mogłyby pomóc mu w wytypowaniu naukowca.

Postanowił przypomnieć sobie wszystkie czynności, jakie przeprowadził w mieszkaniu zmarłego. Wyteżył wyobraźnię. Znowu był w sypialni, pokoju

z telewizorem, kuchni z leżącym na podłodze ciałem, rozmawiał z pracownikiem pogotowia gazowego, po czym wrócił sprzed kamienicy do niewielkiego gabinetu z biurkiem, w którym znajdował się klaser z wizytówkami. „Zaraz, zaraz” – pomyślał – „przecież danych historyka szukałem później, jak przyjechałem z panią Marią ze szpitala”. Już wiedział, co przeoczył. Telefon, który leżał na biurku! I to już drugi raz! Miał przecież przejrzeć go po wizycie w zakładzie medycyny sądowej, ale zniechęcony rozmową z patologiem odwołał spotkanie z siostrą Strypuli w mieszkaniu denata. A potem najzwyczajniej o tym zapomniał. Zygmunt zafrasował się. Pod uwagę brał tylko komórkę, ale przecież był jeszcze aparat stacjonarny! Jeśli to jakiś stary model, nie będzie można przejrzeć połączeń. „No cóż” – westchnął – „trzeba po prostu sprawdzić to, co dostępne”.

\*\*\*

Pani Maria była sceptycznie nastawiona do wizyty podkomisarza w mieszkaniu. Znała już treść opinii posekcyjnej, a w prokuraturze powiedziano jej, że sprawę uważa się za zamkniętą, gdyż „śmierć Mariana Strypuli uznano za nieszczęśliwy wypadek”. Wkrótce miała otrzymać formalną decyzję potwierdzającą tę informację. Vesely musiał ją przekonywać, niemalże prosić, by umożliwiła mu wgląd w telefony. Argumentował, że jej niewiara w przypadkowość śmierci brata zobowiązuje go do sprawdzenia wszystkiego, co tylko możliwe, by rozwiązać wszelkie wątpliwości. W końcu zgodziła się.

Telefon komórkowy, tak jak tamtego tragicznego dnia, leżał na biurku. Zygmunt wziął go do rąk. Nie był to smartfon, więc odpadała kwestia komunikatorów internetowych oraz e-maili, co zresztą przewidywał, gdyż podczas oficjalnych oględzin miejsca zdarzenia nie stwierdził obecności komputera, a to oznaczało, że zmarły nie korzystał z dobrodziejstw Internetu. Chciał dostać się do rejestru połączeń, ale interfejs się nie wyświetlił. Najwidoczniej rozładowała się bateria. W jednej z szuflad biurka odnalazł ładowarkę. Po kilku minutach mógł już włączyć aparat, ale znowu natknął się na barierę. Musiał odblokować kartę SIM. Pomogło mu w tym zamięłowanie byłego esbeka do porządku. Numer PIN odnalazł w tym samym pudełku co ładowarkę.

Uważnie przejrzał listę wybieranych numerów. W okresie miesiąca przed tragedią było ich kilkanaście. Przede wszystkim dzwonił do siostry, tylko dwa były sygnowane imieniem Karol. W kalendarzu na swoim smartfonie sprawdził, w jakie dni doszło do rozmów. Obie odbyły się w środy. Podkomisarz pamiętał, że zmarły właśnie w ten dzień tygodnia regularnie konwersował ze swoim kolegą z Warszawy. Zauważył jednak, że pomiędzy tymi zarejestrowanymi był dwutygodniowy odstęp. Wyświetlił listę połączeń odebranych. Oprócz tych od siostry ujrzął dwa od Karola. Daty dowodziły, że byli esbecy faktycznie ucinali sobie cotygodniową pogawędkę, dzwoniąc do siebie na przemian. Przejrzał jeszcze kontakty. Były trzy: Karol, Maria, Zdzisław. Teraz dopiero Vesely uświadomił sobie, jakim samotnym człowiekiem był Strypula. „Czy ktoś taki mógł zostać zamordowany? Przez kogo?” – zadał sobie w myślach oczywiste pytania. „Na zdrowy rozum nie. Ale jeśli motyw ukryty był w przeszłości, to zabójstwo staje się prawdopodobne” – pocieszył się. Przeanalizował także czasy połączeń. Okazało się, że kiedy brat dzwonił do siostry, trwały od jednej do dwóch minut, a jak ona telefonowała do niego, to wielokrotnie dłużej. Za to rozmowy z Karolem kończyły się zawsze po około półgodzinie, niezależnie od tego, kto do kogo dzwonił.

Poszedł do kuchni, gdzie gospodyni przygotowywała herbatę, i zapytał, czy może wytłumaczyć tę bardzo małą aktywność Strypuli.

– To jest łatwe do wyjaśnienia. – Pani Maria uśmiechnęła się smutno. – Mój brat, oprócz tego, że był pedantem, był także bardzo oszczędnym człowiekiem. – Nagle roześmiała się w głos. – Nie będę pana mamić, podkomisarzu. Tak naprawdę należałoby go określić mianem straszliwego, chorobliwego wręcz sknerusa. Czu pan wie, że on w ostatnich latach nie kupił sobie żadnego nowego ubrania? Nawet butów.

– Czyli kiedy dzwonił do pani, to po prostu oszczędzał?

– Tak, ale tylko w swojej głowie. Miał przecież w abonamencie Nielimitowany czas rozmów.

– Nie rozumiał, że mógł rozmawiać bez ograniczeń? – Podkomisarz był zdziwiony.

– To chyba była kwestia jego mentalności. Oczywiście, kiedy ja do niego telefonowałam, to moimi kosztami się nie przejmował. Jak dzwonił do Warszawy,



to znaczy do Karola, to zawsze pilnował, aby przypadkiem nie rozmawiać „na swój koszt” dłużej niż wtedy, gdy tamten dzwonił do niego. Marian bardzo skrupulatnie kontrolował wszystkie swoje wydatki, proszę pana. Nawet mnie rozliczał, czy czasem za dużo nie wydałam na zakupy dla niego. Musiałam przynosić mu paragony ze sklepów.

W głowie Veselego rozbłysło światło, tak jak podczas rozgrywania szachowej partii, gdy odkrywał ruch otwierający drogę do zwycięstwa.

– Czy może pani mi pokazać rachunki za telefon?

– Ostatni przyszedł jakiś tydzień po śmierci brata. Wszystkie są w czerwonym segregatorze. Znajdzie go pan na półce w szafce stojącej obok biurka.

Zygmunt otworzył teczkę. Intuicja go nie zawiodła. Wszystkie rachunki zawierały szczegółowe wykazy połączeń wychodzących. I to dla obu telefonów: komórkowego i stacjonarnego. Okazało się, że Strypula miał wykupiony pakiet, w skład którego wchodziła usługa telewizyjna, telefon komórkowy oraz stacjonarny telefon internetowy. Gdy spojrzął na najnowsze zestawienie, dostał gęziej skórki. W tygodniu poprzedzającym śmierć Strypula cztery razy dzwonił do kolegi z Warszawy z telefonu stacjonarnego. Rachunek z przedostatniego okresu rozliczeniowego także zawierał taką rewelację. Od około sześciu tygodni wielokrotnie telefonował do owego Karola. W sumie aż dziewięć razy! Podkomisarz rzucił się do dużego pokoju, gdzie znajdował się aparat domowy. Wszedł w dziennik połączeń. Pusto.

Usłyszał zaproszenie na herbatę. Wrócił do kuchni.

– Pani Mario, a jak ten kolega brata z Warszawy ma na nazwisko?

– Regiewicz. Karol Regiewicz. A o co chodzi?

– Jak zareagował na śmierć pana Mariana?

– Nie wiem. Nie mogłam się do niego dodzwonić. Chciałam go powiadomić o pogrzebie, ale nie odbierał. Potem o nim już nie myślałam, miałam dużo spraw na głowie.

– A kto to jest Zdzisław? – zapytał o trzecią osobę z listy kontaktów telefonu komórkowego.

– To drugi kolega brata, który miał wylew i leży w hospicjum. Opowiadałam już panu o nim.

Vesely kiwnął głową na znak potwierdzenia. Napił się herbaty i poszedł do gabinetu. Wziął do ręki swojego smartfona, odczytał z komórki Strypuli numer do Regiewicza i spróbował nawiązać połączenie. W słuchawce rozległ się komunikat: „Abonent czasowo niedostępny, proszę zadzwonić później”. ■

## 5.

Przez następne dwa dni Zygmunt próbował dodzwonić się do Karola Regiewicza. Wybierał jego numer rano, po południu i wieczorem. Odsłuchiwał jedynie ten sam komunikat. Nurtowało go także pytanie: dlaczego do rozmów z warszawiakiem Strypula wybrał telefon stacjonarny? Z rachunków wynikało, że sumaryczna długość połączeń przekroczyła miesięczny limit bezpłatnych minut. Przecież jako przesadny skąpiec nie powinien był do tego dopuścić. O czym aż tak ważnym konferowali byli esbecy? A musiało to być z całą pewnością coś niezwykle istotnego, to nie ulegało wątpliwości. Policjant przepytął na tę okoliczność panią Marię, ale ona o niczym nie miała pojęcia.

Trzeciego dnia zaczął kombinować, co tu zrobić, by skontaktować się z Regiewiczem. Wymyślał też hipotetyczne powody nieodbierania przez niego połączeń, mniej lub bardziej prawdopodobne: zmienił numer lub zgubił telefon, wyjechał na dłuższy czas (na przykład do sanatorium) i zapomniał aparatu, leży ciężko chory w szpitalu. „Ale byłaby jazda, gdyby okazało się, że on też pożegnał się z tym światem” – pomyślał podkomisarz.

Postanowił w końcu zadzwonić na odpowiedni komisariat policji w Warszawie i poprosić właściwego dzielnicowego, by dotarł do Regiewicza i przekazał prośbę o kontakt. Jego adres odnalazł podczas ostatniego pobytu w mieszkaniu Strypuli, a jakże, w klaserze z wizytówkami. Co prawda, pojawił się od razu problem, jak wytłumaczyć zainteresowanie mieszkańcem stolicy, ale tu podkomisarz zdecydował, że będzie konsekwentnie kłamał. Postąpi tak, jakby dalej, oficjalnie, prowadził czynności wyjaśniające wypadek.

Nie dane było mu jednak szybko zrealizować swojego zamiaru, gdyż okazało się, że został obarczony mnóstwem biurokratycznej roboty. Wydział miał przygotować jakieś ekstra sprawozdanie w związku z prowadzonym w komendzie zewnętrznym audytem. Naczelnik Prędko chciał wykorzystać jego matematyczne wykształcenie i zlecił mu sporządzenie wskaźników statystycznych. Najpierw musiał jednak pozbierać dane, więc długo konferował ze współpracownikami.

Kiedy już uporał się z oficjalnymi obowiązkami, zadzwonił na jeden z warszawskich komisariatów. Odebrał dyżurny. Wysłuchał Zygmunta i obiecał, że dzielnicowy z właściwego rewiru skontaktuje się z podkomisarzem, gdy tylko pojawi się w pracy.

Stało się tak dzień później. Vesely przedstawił swój problem. Tamten mruknął tylko, że musi coś sprawdzić w notatniku służbowym, po czym rzekł:

– Karol Regiewicz nie żyje, popełnił samobójstwo.

– Jest pan pewien?! – Podkomisarz po prostu zbaraniał.

– Najzupełniej – padła sucha odpowiedź.

– Ale jak to się stało? Czy może pan przybliżyć okoliczności śmierci? Proszę opowiedzieć o szczegółach!

– Facet się powiesił. Ponoć był nieuleczalnie chory – odparł dzielnicowy. Dodał po chwili: – Ja niewiele wiem, podkomisarzu. Ale jeśli mi pan poda swojego maila, to wyślę namiary na policjanta z dochodzeniówki, który zajmował się tą sprawą.

Vesely podał adres, serdecznie podziękował za pomoc i rozłączył się.

W głowie kłębiły mu się tysiące myśli. „Co jest grane? Czyżbym naprawdę natknął się na jakąś grubą aferę?” – zastanawiał się. Pierwszy raz poczuł strach. Zdał sobie sprawę, że jeśli faktycznie Strypula został zamordowany, a motyw zbrodni wywodził się z czasów jego pracy w komunistycznym wywiadzie, to rozwiązując dalej tę zagadkę, mógł naruszyć czyjeś interesy. A jeżeli takowe istniały, to musiały być niezwykle cenne: na miarę dwóch ludzkich istnień.

Postanowił wszystko na razie utrzymać w tajemnicy. „Nikt nie wie, co odkryłem, więc mam spokój” – skonkludował.

Nazwisko i numer telefonu policjanta z warszawskiej dochodzeniówki otrzymał dopiero pod koniec roboczego dnia. Pojechał więc do domu, przekąsił coś i siadł nad kartką papieru, by przygotować się do rozmowy. Musiał określić, czego dokładnie chce się dowiedzieć, a potem skonstruować precyzyjne pytania. Zastanawiał się także, jak technicznie przeprowadzić rozmowę z warszawskim policjantem. Dobrze byłoby się z nim zobaczyć. Konwersacja telefoniczna niekoniecznie może zagwarantować osiągnięcie celu. Zdecydował, że postara się namówić swojego rozmówcę na skorzystanie z jakiegoś popularnego wideocztatu.

\*\*\*

Na ekranie monitora Zygmunt zobaczył młodego funkcjonariusza. Pomyślał nawet, że jest on jego odzwierciedleniem. Tamten chyba miał podobne skojarzenia, gdyż bez żadnego powitania ani kurtuazyjnego wstępu rzekł:

– Widzę, że kolega także administruje.

– Nie rozumiem. – Podkomisarz odpowiedział zgodnie z prawdą, gdyż rzeczywiście nie wiedział, o co chodzi warszawiakowi.

– Tak u nas się mówi o pracy, jaką wykonuję.

– A czym się dokładnie zajmujesz? – Vesely bez ceregieli przeszedł na „ty”.

– Obsługuję umarlaków, którzy nie podpadają pod „jeden – cztery – osiem”<sup>4</sup>).

---

4) Chodzi o art. 148 Kodeksu karnego zawierający kary za dokonanie zabójstwa.

– W takim razie administruję. – Zygmunt uśmiechnął się cierpko.

– Do czego ci jestem potrzebny? – Tamten przeszedł do konkretów.

– Interesują mnie wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły śmierci Karola Regiewicza.

– Czyżby jego samobójstwo mogło być związane z jakąś sprawą w Krakowie?

– Kiedy je dokładnie popełnił? – Podkomisarz zignorował pytanie.

– Nasz patolog twierdzi, że ciało zostało odnalezione jakieś siedem, osiem dni po zgonie. – Warszawski policjant zajrzał do notatnika i podał datę. Zygmunt z trudem opanował emocje, gdyż wychodziło na to, że Regiewicz powiesił się dzień lub dwa przed śmiercią Strypuli! Zwrócił się do rozmówcy:

– Czy wiesz, kim był samobójca?

– Emerytem. Gość miał siedemdziesiąt osiem lat. Ale tobie zapewne chodzi o to, czym się zajmował zawodowo? – Stołeczny kolega zrobił minę sugerującą, że posiada odpowiednią wiedzę. Nie czekając na reakcję rozmówcy, zaczął mówić: – Zmarły nie zostawił żadnego listu. Żeby wyjaśnić przyczyny targnięcia się na życie, przeprowadziłem rozmowy z sąsiadami. Niestety, niewiele o nim wiedzieli. Jedyne, co uzyskałem, to informację, że był odludkiem i samotnikiem. To zmusiło mnie do przejrzenia dokumentów, jakie znalazłem w jego mieszkaniu. Z nich dowiedziałem się dwóch rzeczy: po pierwsze, facet miał raka, a po drugie, był

emerytowanym oficerem Urzędu Ochrony Państwa<sup>5)</sup>). Wcześniej chyba pracował w peerelowskiej Służbie Bezpieczeństwa, gdyż w papierach znajdowało się pismo z decyzją obniżenia mu emerytury na podstawie ustawy dezubekizacyjnej...

---

5) Urząd Ochrony Państwa – istniejąca od 10 maja 1990 roku do 29 czerwca 2002 roku struktura państwowa RP zajmująca się między innymi wywiadem, kontrwywiadem oraz działalnością śledczą. UOP zastąpił zlikwidowaną Służbę Bezpieczeństwa PRL.

– Przypuszczam, że prokurator nie miał problemu z zamknięciem sprawy – przerwał mu Vesely.

– Nie od razu. Zlecił mi przedtem przeprowadzenie rozmowy z onkologiem, który leczył umarlaka. Ten jednak tylko postawił „kropkę nad i”. Na wieść, że jego pacjent się powiesił, nie wyraził nawet zdziwienia. Stwierdził, że Regiewicz był nieuleczalnie chory i najwidoczniej nie mógł już znieść bólu, który powodował nowotwór.

– To w zasadzie wszystko tłumaczy. – Podkomisarz był zawiedziony.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, w jaki sposób samobójstwo w Warszawie może się łączyć ze sprawą prowadzoną w Krakowie. – Policjant ze stolicy powrócił do kwestii poruszanej na początku rozmowy.

– Obsługiwałem umarlaka, który zatrął się przypadkowo gazem. – Zygmunt przyjął styl mówienia tamtego. – Przejrzałem listę połączeń w jego telefonie i stwierdziłem, że w ostatnim tygodniu przed śmiercią wielokrotnie dzwonił do Regiewicza. Chciałem z nim porozmawiać, gdyż ustaliłem, że się przyjaźnili, ale nie mogłem się dodzwonić. Kiedy dowiedziałem się, że nie żyje, wzbudziło to moje zainteresowanie.

– Nie sądzisz, że to dziwne? Dwóch esbeków traci życie praktycznie w tym samym czasie.

Vesely nie chciał dopuścić do dyskusji z pogranicza teorii spiskowych, nie zamierzał także ujawniać rezultatów swojego prywatnego śledztwa. Odrzekł:

– To najpewniej czysty przypadek. Chciałbym jedynie wiedzieć, dlaczego mój umarlak tyle razy dzwonił do twojego.

– Jeśli byli przyjaciółmi, to twój na pewno wiedział o chorobie nowotworowej. Może przeczuwał, że jego warszawski kolega chce ze sobą skończyć, i po prostu starał się odwieść go od tego zamiaru.

– Może. Tego już niestety nie uda nam się ustalić. A w jaki sposób Regiewicz się powiesił? – Podkomisarz chciał uzyskać jak najwięcej szczegółów.

– Wykorzystał kabel od żelazka przymocowany do haka, na którym wisiał żyrandol. – Warszawiak chyba w wyobraźni zobaczył obraz wisielca, gdyż jego ciało przeszło wyraźny dreszcz.

– I ten hak wytrzymał ciężar ciała? – Zygmunt nie dowierzał.

– Samobójca wszystko zawczasu przygotował. Wyjął z sufitu stare mocowanie i wkręcił nowe, większe, posiadające solidny metalowy kołek rozporowy, który zakleszczony głęboko w betonie nie poddał się obciążeniu.

– Czyli facet najprawdopodobniej musiał wiercić. Znalazłeś wiertarkę? Drobinę gruzu w pokoju? Stary hak? A sąsiedzi słyszeli odgłos wiercenia? – Podkomisarz wyrzucił z siebie pytania jednym tchem, niczym karabin maszynowy pociski.

– Nie pytałem sąsiadów o hałasy, nie było takiej potrzeby. Wiertarki też nie sprawdziłem, ale za to stary hak leżał na stole w pokoju, gdzie wisiało ciało. Resztki po wierceniu zostały zapewne zamiecione i wyrzucone do kosza na śmieci.

– Sprawdziłeś?

– Miałem grzebać w odpadkach?!

– No pewnie. – Vesely był zawiedziony, kolega ze stolicy najwyraźniej nie przywiązywał wagi do szczegółów.

– Ale w jakim celu?

– Pomyśl, czy ktoś, kto jest na granicy życia i śmierci, dbałby o zamiecenie podłogi?

– Nie wiem, może facet nie chciał zostawić po sobie bałaganu?

– Masz rację, tak w zasadzie mogło być. – Podkomisarz uznał przytoczony argument za wiarygodny. – Powiedziałeś, że Regiewicz był samotnikiem i odludkiem. Co miałeś konkretnie na myśli?

– Tak twierdzili jego sąsiedzi z bloku. Opowiadali, że w zasadzie nie utrzymywał z nimi kontaktów, nikt go także nie odwiedzał.

– A rodzina? Żona, dzieci, wnuki?

– Z tym mieliśmy spory problem. Nie było kogo zawiadomić o tragedii. W końcu mieszkanie zostało zaplombowane i jeśli nie odnajdą się spadkobiercy, to prawdopodobnie przejdzie na własność gminy. Co prawda, w dokumentach

zmarłego odnaleźliśmy telefon i adres jego byłej żony, ale ona stwierdziła, że rozwiodła się z nim ponad czterdzieści lat temu, w związku z czym nie może i nie chce podejmować żadnych kroków spadkowych.

– Á propos telefonu. Przejrzałeś może listę ostatnich połączeń? – Zygmunt przypomniał sobie, co odkrył w rachunkach Strypuli.

– Niestety, nie. Czy mogło to mieć jakieś znaczenie?

– Przecież już mówiłem, że ja trafiłem do ciebie właśnie dlatego, że ustaliłem, dokąd dzwonił mój umarłak w ostatnim tygodniu swojego życia. Masz może jeszcze dostęp do aparatu Regiewiczza?

– Nie. Wszystko zostało w zaplombowanym mieszkaniu. O ile mi wiadomo, dopóki sąd nie zakończy postępowania spadkowego, a komornik nie sporządzi spisu inwentarza, niczego nie można ruszyć.

– A ile miał telefonów? Chodzi o to, czy oprócz komórki posiadał także stacjonarny.

– Nie miał stacjonarnego ani drugiej komórki.

– Czy w dokumentach, które przeglądałeś, natrafiłeś może na jakieś adresy lub telefony ludzi, z którymi samobójca mógł utrzymywać relacje towarzyskie? Chodzi mi o znajomych, kolegów, o jakichś innych esbeków.

– Nie zwróciłem uwagi. Szczerze mówiąc, nawet nie pomyślałem, że to może być istotne dla sprawy.

– A czy patolog zrobił badanie toksykologiczne?

– A po co? Przecież gość się powiesił, a nie otruł. Przeprowadził jedynie test na obecność alkoholu, który zresztą nic nie wykazał.

– Innymi słowy, nie stwierdził sprawstwa innych osób?

– O co ci chodzi? – Warszawiak obruszył się. – Zadajesz dziwne pytania. To był klasyczny samobój. Facet „zważył się”, bo nie mógł wytrzymać bólu.

– Sorry, nie chciałem cię urazić, jestem po prostu szczegółarzem. – Tym wyznaniem Vesely załagodził sytuację. Doszedł także do wniosku, że nic więcej nie ustali. Postanowił zakończyć spotkanie. Musiał jedynie pozostawić wrażenie, że uznaje całą sprawę za zakończoną. Tak zrobił. Pożegnał się z warszawskim policjantem, dziękując mu szczerze i wylewnie za pomoc oraz zapraszając na męskie piwo do Krakowa. Tamten był wyraźnie usatysfakcjonowany. Rozłączyli



się w dobrych nastrojach, życząc sobie jak najszybszego „zakończenia administrowania umarlakami” na rzecz prowadzenia poważnych śledztw.

\*\*\*

Rozmowa z policjantem z Warszawy dołała oliwy do ognia, który płonął w umyśle podkomisarza. Fakt, że Karol Regiewicz popełnił samobójstwo tuż przed śmiercią Strypuli, był tak zastanawiający, że bez przerwy o tym rozmyślał. Intuicyjnie odrzucał zaistnienie takiego zbiegu okoliczności. Jednak nie potrafił sobie wyjaśnić, a nawet wyobrazić, jak mogły przebiegać zabójstwa obu esbeków. Nie stwierdzono przecież żadnych śladów włamań do mieszkań denatów, żadnych oznak przemocy wobec nich, a sekcje zwłok kategorycznie wykluczały zbrodniczy udział innych osób. Niejako automatycznie uznał, że jeśli były to morderstwa, to musiały zostać popełnione przez tego samego sprawcę. „Jakiż to musiał być fachowiec” – uznał z podziwem.

Po pewnym czasie Zygmunt zaczął się zastanawiać, czy aby jego wyobrażenia nie sprowadziła go na manowce. Czy to jeszcze logiczne wnioski, czy już czysta konfabulacja? Najpierw naszyły go wątpliwości, a potem zdominowały pesymistyczne myśli. Uznał, że zagalopował się w swoich rozważaniach. „A może moja koncepcja to bzdura, jakieś urojone bujdy zawiedzionego rzeczywistością, żadnego wrażeń policjanta?” – ta samokrytyka wepchnęła go w psychiczny dół.

Przemyślał wszystko i nie zdołał kategorycznie odrzucić hipotezy o zabójstwach. Nie mógł także wykluczyć, że śmierć Strypuli oraz Regiewicza to po prostu zrządzenie losu. Podkomisarz tkwił w zawieszaniu. Nie dysponował polem manewru, nie istniało nic, czego można by się uchwycić, żaden trop, który poprowadziłby go ku rozwiązaniu zagadki.

Nie mógł zlustrować mieszkania warszawskiego samobójcy, co przeżywał boleśnie, jakby to od niego zależało. „Na pewno coś bym tam znalazł” – czuł to podskórnym. Relacja uzyskana od policjanta z warszawskiej dochodzeniówki wskazywała jednoznacznie na zaniechania i błędy popełnione podczas oględzin. „Nawet nie przejrzał rejestru połączeń w telefonie denata” – ta gorzka konstatacja przybiła go ostatecznie. Jednak kilka chwil później myśl o aparacie Regiewicza stała się dla Zygmunta światłem w tunelu. Uzmysłował sobie, że może przecież

sprawdzić billingi. Pomysł wydał mu się tak bardzo wart uwagi, że uczeplił się go jak ostatniej deski ratunku. Na przeszkodzie stały jednak przepisy prawne oraz biurokracja. O ile w przypadku Strypuli wykorzystał rachunki zawierające szczegółowe wykazy numerów udostępnione mu przez panią Marię, to teraz musiałby uruchomić urzędową procedurę uzyskania danych od operatorów telefonicznych. A to nie było możliwe z jednej prostej przyczyny: formalnie nie prowadził postępowania przygotowawczego w sprawie, czyli oficjalnego śledztwa. A nawet gdyby spełniał ten warunek, to na billingi oczekiwałby pewnie kilka, jeśli nie kilkanaście tygodni. Zapewne ogarnęłyby go znowu czarne myśli, lecz na szczęście w jego głowie pojawiła się pewna idea. Miała nawet swoje imię: Stanisław.

\*\*\*

Zaliczano go do elity polskich „zabójców”. Był inspektorem, gwiazdą krakowskiej dochodzeniówki. W swojej karierze rozwiązał wiele skomplikowanych spraw, a o kilku z nich nauczano nawet w wyższej szkole policji i na uniwersyteckich kierunkach kryminologii. Wielokrotnie ratował wizerunek swoich zwierzchników, toteż miał u nich specjalne względy. Szefowie honorowali go i szanowali, gdyż od czasu do czasu mogli się pławić w promieniach jego sławy.

Zygmunt poznał Stanisława dzięki szachom, jeszcze przed promocją oficerską. Brał wtedy udział w lokalnym turnieju. Spotkali się w ćwierćfinale. Gwiazdor dochodzeniówki spuścił swojemu młodszemu koledze niezłe lanie. Kiedy po zakończonej partii podali sobie kurtuazyjnie ręce, zwycięzca stwierdził banalnie, że twarz Veselego wydaje mu się znajoma. Młody policjant przyznał się, że pracują w jednej komendzie. Inspektor roześmiał się głośno i zaprosił młodziaka na piwo. Od tamtej pory grywali ze sobą od czasu do czasu w klubie szachowym, którego Stanisław był aktywnym działaczem.

Podkomisarz szczerze podziwiał starszego kolegę. Wiedział, że pod maską prostoduszności oraz pewnego rodzaju pozornej niezdarności kryje się wybitna umysłowość. Nigdy nie poprosił inspektora, by ten opowiedział mu o swoich dokonaniach zawodowych, co ten chyba cenił sobie najbardziej w ich znajomości.

Vesely zaproponował spotkanie szachowe. Dawno już nie grali, więc Stanisław z ochotą przyjął zaproszenie na przedweekendowe popołudnie. Rozegrali kilka bardzo wyrównanych partii. Inspektor był zaskoczony postępami, jakie poczynił Zygmunt. On zaś śmiał się zadowolony i tłumaczył całą sytuację tymczasową zwyczajną formą. Na koniec udało mu się pokonać starszego przeciwnika, co wykorzystał i namówił go do pójścia na piwo.

Knajpa była niedaleko klubu, toteż szybko dotarli na miejsce. Zamiast piwa Vesely zamówił butelkę wódki i wystawną zagrychę. Stanisław się nie sprzeciwił, obserwował za to poczynania podkomisarza z pewnym rozbawieniem. Odezwał się dopiero po pierwszym kieliszku.

– Odnoszę wrażenie, młody – był ponad dwadzieścia lat starszy od Zygmunta – że ta flaszka chyba nie jest przypadkowa. Masz jakiś interes? – Spojrzał uważnie w oczy chłopaka.

– Tak. – Odpowiedź Veselego była zdecydowana.

– Legalny?

– Nie.

Twarc Stanisława stężała, jednak jak na starego policyjnego wygę przystało, odrzekł:

– Nawijaj, młody.

Z Zygmunta zeszło powietrze. Przez kilkadziesiąt minut szczegółowo relacjonował sprawę Strypuli. Przytoczył wszystkie swoje ustalenia oraz wnioski. Oczywiście przyznał się, że prowadzi prywatne śledztwo, na co Stanisław w ogóle nie zareagował, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Gdy skończył opis rozmowy z policjantem z warszawskiej dochodzeniówki, przedstawił swoją prośbę. Inspektor jednak nie zareagował. Rozwahał coś w myślach. Vesely powiedział:

– Podejrzewam, że tak jak w przypadku telefonu Strypuli, istnieje duża szansa pochwylenia kolejnego tropu poprzez ustalenie kontaktów Regiewicz. Dlatego potrzebny jest mi billing połączeń z jego aparatu – wyjaśnił.

Stanisław dalej się nie odzywał. Podkomisarz pomyślał, że chyba nadużył sympatii, jaką darzył go starszy policjant. Ten jednak zapytał:

– Powiedz mi, młody, co ci nie pasuje w tym wszystkim?

Zygmunt nie potrzebował się zbyt długo zastanawiać, by udzielić odpowiedzi.

– Nie ma dowodów na działanie postronnych osób. Nie znaleziono ani śladów włamania, ani oznak przemocy w stosunku do zmarłych.

– Otóż to. Moim zdaniem to klucz do całej sprawy.

– Czy to oznacza, że twoim zdaniem można mówić w ogóle o jakiejś sprawie?!

– Tak. A wiesz dlaczego? Bo tak naprawdę nic się nie klei. Niby wszystko jest w porządku. Patolodzy zrobili sekcje, które nic nie wykryły, a podczas oględzin miejsc zdarzenia niczego istotnego się nie dopatrzone. Ale tylko pozornie niczego. Uważam, że brak skorupki od trzeciego jajka w koszu na śmieci, wizytówki w klaserze, książki w bibliotece oraz zapisów w dzienniku połączeń telefonu stacjonarnego w mieszkaniu krakowskiej ofiary to bardzo poważne poszlaki. Zwłaszcza jak się je rozpatruje w kontekście charakterystyki osobowej tego Strypuli.

– Naczelnik Prędko wygonił mnie, gdy przyniosłem mu kwit z wnioskami z oględzin.

– Julek to dobry glina. Dopadła go jednak choroba wszystkich naczelników. – Widząc, że młody policjant nie rozumie, wyjaśnił: – Po prostu nie wyjeżdża w teren, więc oderwał się od rzeczywistości. Nie myśli już jak rasowy pies, nie dostrzega wagi szczegółów.

– Nie zmienia to jednak faktu, że uwalili mi dochodzenie.

– Też kiedyś byłem w podobnej sytuacji. – Stanisław uśmiechnął się zagadkowo.

– Czy mam rozumieć, że prowadziłeś prywatne śledztwo?

– Tak, choć byłem, co prawda, trochę bardziej doświadczony od ciebie. Pewnego razu pojechałem na oględziny samobójstwa. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to klasyczne podcięcie żył w obrębie nadgarstków. Na dodatek w dłoni nieżyjącej kobiety spoczywała żyłka, którą wykorzystała. Prokurator nie miał żadnych wątpliwości, spieszył się. Zacząłem od rozmów z sąsiadami. Okazało się, że ofiara była praktykującą, żarliwą katoliczką, a przy tym słabo wykształconą robotnicą. Żyła samotnie. To mi nie pasowało do samobójstwa. Następnie dostrzegłem, że cięcie zostało wykonane wzdłuż żyły, nie zaś, jak zwykle, w poprzek nadgarstka. Zapytałem o to lekarza będącego na miejscu zdarzenia.

Odpowiedział, że to rzadki sposób cięcia, ale za to o wiele skuteczniejszy od popularnego, wykonywanego prostopadle do żyły. Zadałem sobie pytanie: skąd słabo wykształcona kobieta mogła mieć wiedzę o anatomii? Poszedłem z moimi spostrzeżeniami do naczelnika. Ten posłał mnie na drzewo. Tak jak w twoim przypadku od rozwiązania sprawy ważniejsza była statystyka. Nie poddałem się jednak. Oddałem żyłkę do badań daktyloskopijnych. Okazało się, że ślady ofiary ledwo się odznaczyły. Bardzo mnie to zdziwiło. Przecież żeby przeciąć żyłę, trzeba się trochę namęczyć, czyli mocno uchwycić narzędzie. Poza tym były tam tylko odciski palców z jednej ręki, a cięć dokonano na obu nadgarstkach. No dobrze, pomyślałem, ale jeśli ktoś obcy przeciął żyłę kobiecie, to nie mógł tego zrobić w sytuacji, gdy była w pełni świadoma. Na jej ciele nie stwierdzono jednak śladów przemocy. Miałem znajomego w zakładzie medycyny sądowej. Poprosiłem go o przeprowadzenie nieoficjalnych badań toksykologicznych i wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Kobieta została otruta pestycydami.

– To kto w końcu ją zabił? – Zygmunt był pod wrażeniem opowieści.

– Brat, rolnik z drugiego końca Polski. Motywem było przejęcie i sprzedanie mieszkania w Krakowie. Mord w zasadzie został przeprowadzony nieudolnie, ale wskutek pośpiechu prokuratora i biurokratycznego podejścia mojego ówczesnego naczelnika mógł ujść sprawcy na sucho. W twojej sprawie mamy jednak do czynienia z innymi ludźmi i zapewne innymi motywami. Twoje ofiary to ludzie pracujący kiedyś w elitarniej służbie specjalnej, a to zmienia postać rzeczy i wymaga szczególnego podejścia.

– Co byś mi poradził? Mogę już iść do Prędkiego i prosić o wznowienie śledztwa?

– Myślę, że nie. Nie wiesz jeszcze najważniejszej rzeczy. Co faktycznie wiązało Strypułę i Regiewicza. Musisz ustalić, jak się poznali, co razem przeszli. Może kiedyś nad czymś wspólnie pracowali i temat powrócił, doprowadzając do ich śmierci? Skoro przypuszczasz, że ewentualny motyw jest ukryty w przeszłości, to należy zacząć kopać w ich życiorysach, by odnaleźć punkty, w których się one przecinają.

– No dobrze – zgodził się podkomisarz. – Pozostaje jeszcze kwestia najważniejsza: jak technicznie mogło dojść do zabójstwa Strypuli. Jak już

mówiłem, nie ma śladów włamania do mieszkania oraz oznak stosowania wobec niego przemocy.

– Może nikt się nie włamywał? Może trzeba założyć, że ofiara wpuściła sprawcę lub sprawców dobrowolnie.

– Sprawców?! – Vesely zdziwił się.

– A tak. Ich mogło być dwóch lub nawet trzech. Pamiętaj o hipotetycznym motywie ewentualnego morderstwa. A ten sugeruje, że zapewne nie mamy do czynienia z amatorami, wręcz przeciwnie, z wysokiej klasy zawodowcami.

– I sądzisz, że Strypula, były oficer wywiadu, wyszkolony w rozpoznawaniu zagrożeń, wpuściłby takie towarzystwo do mieszkania? – Głos Zygmunta zabrzmiał nieco ironicznie.

– Ludzie wpuszczają do domu tych, których znają lub którym ufają. – Stanisława nie zraziło podejście młodego oficera.

– Jeśli ich znał, to zrozumiałe, że otworzył drzwi, ale kim mogli być ci, którym zaufał?

– Uwierz mi, młody, że ludzie są bardzo łatwowierni, a złoczyńcy mają ogromną wyobraźnię i wymyślają niewiarygodne sposoby przekonywania swoich ofiar, by im zawierzyły. Iluż to emerytów zostało okradzionych metodą „na wnuczka”! A w naszym przypadku to mógł być listonosz, policjant, ktoś z administracji osiedla, strażak albo pracownicy pogotowia gazowego, podobni do tych, z którymi przeprowadziłeś kuchenne doświadczenie.

– No to w jaki sposób gazownicy mogliby przekonać Strypułę, by wpuścił ich do swojego mieszkania? – Podkomisarz nie dawał wiary w to, co usłyszał.

– No dobra, pofantazjujmy przez moment. – Stanisławowi najwyraźniej przypadła do gustu rola mentora młodszego kolegi. – Wyobraź sobie, że do drzwi esbeka puka dwóch mężczyzn noszących firmowe ubrania spółki gazowniczej. Na ramionach mają przewieszane torby z narzędziami, a jeden z nich trzyma w ręku fachowy detektor do wykrywania nieszczelności w instalacji. Chyba zgodzisz się ze mną, młody, że to dobry początek całej historii – inspektor był ciekaw reakcji Zygmunta.

– Myślisz, że to aż tak mogło wyglądać? Przecież to wymagałoby cholernie żmudnych przygotowań!

– A konkretnie czasu i pieniędzy. Ale zakładamy przecież, że sprawcy to zawodowcy, a motywem nie była potrzeba zdobycia paru groszy na gorzałę. – W głosie Stanisława pojawił się sarkazm.

– Ale wcześniej musieli przecież jakoś dowiedzieć się, że na przykład w mieszkaniu jest stara gazówka, która nie posiada zabezpieczeń, i można ją wykorzystać do upozorowania wypadku. – Vesely dalej był sceptyczny.

– Najwidoczniej sprawcy wcześniej przeprowadzili jakieś rozpoznanie w sposób, którego teraz nie jesteśmy w stanie określić.

– Jakie rozpoznanie? Weszli do mieszkania i Strypula o tym nie wiedział? Przecież on chyba z niego w ogóle nie wychodził.

– Posłuchaj sam siebie: „chyba nie wychodził”. Nie ma co do tego pewności. Moim zdaniem wymyślili coś takiego, co pozwoliło im przygotować całą akcję.

– No dobra, założmy, że tak było – zgodził się podkomisarz. – Wróćmy do tego, jak taka akcja mogła przebiegać.

Stanisław zebrał myśli i kontynuował:

– Dziadek otwiera drzwi, pyta, o co chodzi. Fachowcy oświadczają, że sprawdzają szczelność instalacji w mieszkaniach, ponieważ ktoś zgłosił, że w kamienicy czuć gaz. Gdybyś ty był na jego miejscu, to wpuściłbyś ich czy nie?

– Pewnie, że bym wpuścił – Vesely nie miał wątpliwości, że tak właśnie by postąpił. – Ale co potem? Założmy, że są już w mieszkaniu. Jak zatem dokonują zabójstwa, nie pozostawiając śladów?

Inspektor uśmiechnął się i odparł:

– Nie wiem, mogę to sobie jedynie wyobrazić.

– No to bardzo cię proszę, żebyś sobie to teraz wyobraził. – Młody policjant nie mógł się doczekać dalszego ciągu opowieści.

– Dobra, spróbuję. – Stanisław zastanawiał się przez chwilę. – Powiedzmy, że nasi gazownicy rzeczywiście sprawdzają instalację i stwierdzają, że zawór odcinający gaz od kuchenki jest stary albo nieszczelny, w związku z czym należy go jak najszybciej wymienić. Staruszek oczywiście chce skorzystać z ich obecności i prosi o wykonanie takiej usługi.

– A jeśli nie prosi? Pamiętaj, że był niesamowitym kutwą – zauważył Zygmunt.

– To tym lepiej. Fachowcy proponują mu natychmiastową wymianę za friko, na koszt pogotowia gazowego. Oczywiście swoją „dobroć” tłumaczą względami bezpieczeństwa. Tutaj dochodzimy do zasadniczej części akcji. Nasi gazownicy oświadczają mianowicie, że od razu przedmuchają instalację oraz palniki kuchenki, ale ponieważ nie mają ze sobą kompresora wytwarzającego sprężone powietrze, to posłużą się gazem płynącym w rurach. Trzeba będzie jedynie otworzyć okno i założyć maski przeciwgazowe. Wyciągają je z torby i podczas pracy w odpowiednim momencie zakładają na swoje twarze. Udają, że reflektuje ich obecność bardzo starego właściciela, i jemu także polecają włożyć maskę. Jednak w niej, zamiast odpowiedniego filtra, zamontowany jest rezerwuar zawierający metan. Dziadek tego oczywiście nie wie, wszystko przyjmuje za dobrą monetę i dobrowolnie wkłada na twarz narzędzie zbrodni. Wystarczy go tylko umiejętnie przewrócić na ziemię, przytrzymać, poczekać, aż się udusi, i upozorować wypadek.

– Patolog nie stwierdził oznak trzymania ofiary. Na ramionach, nogach czy tułowi nie było żadnych, nawet najmniejszych podskórnych wylewów, które zazwyczaj powstają w takiej sytuacji. – Podkomisarz z niewiarą odniósł się do przypuszczeń Stanisława.

– Ale na pewno odkrył liczne siniaki powstałe w wyniku upadku?

– Tak. Układ mebli w kuchni, czyli stołu i krzeseł, wskazywał, że Strypula przed upadkiem musiał osunąć się na nie, a to poskutkowało powstaniem kilku typowych krwiaków i zadrapań.

– No to masz odpowiedź na swoje wątpliwości, niedowiarku.

– Kim w takim razie mogli być ewentualni mordercy? To chyba niemożliwe... Nie wierzę, że osiemdziesięciodwuletniego starca, samotnika, faceta, który w zasadzie nie wychodził z domu, zabili jacyś zawodowi zabójcy!!!

– Sam widzisz, że w twojej sprawie nic się nie klei. – Inspektor był najwyraźniej zadowolony, że jego słuchacz okazuje tyle emocji. – Oczywiście mojej historyjki nie należy traktować dosłownie. Jednak pokazuje ona jedną z możliwości, jakie należy brać pod uwagę przy rozwiązywaniu tej zagadki. Pamiętaj, Zygmunt! Twoim zadaniem nie jest na tym etapie szukanie przestępców, lecz jedynie rozwianie wszelkich wątpliwości, które cię nurtują. Musisz sam siebie przekonać, czy masz do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem, czy



z przestępstwem. Moje doświadczenie pokazuje, że nie wolno odrzucać nawet najbardziej fantastycznych oraz nieprawdopodobnych pomysłów. Tylko wnikliwa analiza poparta wiarygodnymi faktami pozwoli ci albo je zaakceptować, albo z nich zrezygnować. A według mnie jesteś dopiero w trakcie takiej analizy. Dopóki jej nie skończysz, nie wolno ci podejmować żadnej decyzji.

– Czy zatem mogę liczyć, że załatwisz mi billing, o który prosiłem? – Vesely powrócił do istoty spotkania ze Stanisławem.

– Tak. Pomogę ci – odparł inspektor. – Potrwa to około tygodnia, może dwóch, ale dostaniesz go. Musisz mi jedynie zagwarantować, że nikt się nie dowie o mojej roli w jego uzyskaniu. Po prostu nie mów o tym nikomu. Nawet wtedy, gdyby cię straszono zwolnieniem z roboty. Możesz mi to obiecać?

– Obiecuję. – Zygmunt poczuł się tak, jakby kolejny raz składał policyjne ślubowanie.

– A swoją drogą, młody, zaimponowałeś mi. Będzie z ciebie pierwszorzędny dochodzeniowiec. ■

Tym razem wylądowali w mieszkaniu Justyny. On w dalszym ciągu odczuwał onieśmienie w jej towarzystwie, ją zaś obecność mężczyzny rozpałała do czerwoności. Nie chciała czekać, aż ten zdecyduje się na pierwszy ruch. Przejęła inicjatywę, a właściwie narzuciła swoją wolę. Podporządkowała go sobie. Zygmunt doszedł do przekonania, że dominowanie nad partnerem jest czymś, co podnieca tę kobietę najbardziej. Czymś, co uwielbiała nade wszystko.

Leżeli nago na kołdrze rozpostartej na podłodze. Byli cholernie zmęczeni, oblani potem, błogo zadowoleni. Justyna przemogła słodkie lenistwo, wstała i poszła do kuchni. Przyniosła z lodówki zimne piwo. Vesely przyssał się do butelki i łapczywie wypił od razu połowę zawartości. Kiedy ochłonął, zaczął rozglądać się po wielkim, urządzonym ze smakiem pokoju. Dostrzegł kobietą dbałość o szczegóły oraz zasobność portfela. Jakże ubogie wydało mu się jego mieszkanie.

– Jeśli mnie ładnie poprosisz, to pomogę ci urządzić twoją jamkę. – Oczy dziewczyny, która obserwowała, jak lustrował pomieszczenie, śmiały się do niego zalotnie.

– Chcesz się do mnie wprowadzić?

– Aleś wymyślił. Po prostu mógłbyś mieć trochę ładniej w swoim domu.

– A mam nieładnie?! – Zygmunt nastroszył się.

– Powiedzmy – namyślała się przez chwilę – że twoje mieszkanie odzwierciedla twój kawalerski stan.

– Będę z tobą szczerzy: jestem młodym oficerem i nie stać mnie na nic więcej.

– Skoro tak mało zarabiasz, to dlaczego pracujesz w policji?

– W policji się nie pracuje, tylko pełni służbę – odparł kaprałskim tonem.

– Ale ja pytam poważnie.

Zastanowił się.

– Chciałem robić coś sensownego, żyć na pełnych obrotach. Może to zabrzmie śmiesznie, ale marzyłem, by walczyć ze złem, a bronić dobra i uczciwości.

– Chciałeś i marzyłeś czy chcesz i marzysz?

To pytanie było proste i zarazem niezwykle skomplikowane. Wymagało szczerego samookreślenia się. Tu i teraz. Spojrzał prosto w oczy swojej kochanki. Niezwykle poważnie, niemalże uroczyście oświadczył:

– Chcę i marzę.

\*\*\*

Minęło dokładnie dwanaście dni, gdy Stanisław zadzwonił i zaproponował szachy. Spotkali się w klubie, rozegrali kilka partii, których większość Zygmunt przegrał. Młody policjant ani razu nie wspomniał o billingu, cierpliwie czekał. Sądził, że otrzyma go po grze, ale inspektor nie kwapił się z jego przekazaniem, za to zaproponował wyjście na piwo. Poszli do tej samej knajpy co poprzednim razem. Zanim kelner przyniósł zamówienie, na stole pojawiła się niewielka koperta.

– Zerknij do środka – zaproponował Stanisław.

Vesely wyjął zawartość, przejrzał wydruki i nie mógł uwierzyć. Oprócz połączeń przychodzących i wychodzących z telefonu Regiewicza przy każdym numerze były uwidocznione nazwiska i adresy ich właścicieli.

– Jak udało ci się coś takiego zdobyć?! – Podkomisarz z niedowierzaniem kręcił głową.

– Jak będziesz miał na karku tyle lat służby co ja, to nie takie sprawy będziesz załatwiał – odparł prawie że emeryckim tonem inspektor. – A tobie udało się coś nowego ustalić?

– Niewiele. Za twoją radą starałem się zbadać przebieg znajomości obu nieżyjących esbeków. W związku z tym przeprowadziłem rozmowę z siostrą Strypuli. Niestety, oprócz zdawkowych informacji niczego konkretnego w zasadzie nie uzyskałem.

– Nie bądź taki skromny, pochwal się nową wiedzą przed starszym kolegą – zachęcił Stanisław.

– Poznali się pod koniec lat sześćdziesiątych podczas służbowego pobytu Regiewicza w Krakowie. Przypadli sobie do gustu, gdyż ponoć mieli podobne charaktery. Widywali się sporadycznie, ale systematycznie. Zazwyczaj podczas wyjazdów delegacyjnych Strypuli do Warszawy. Byli także razem na jakimś szkoleniu w Moskwie. Wyjazd do ZSRR załatwił Regiewicz. Dzięki temu nasz

krakowski esbek awansował później do grona kierownictwa SB w naszym mieście. To wszystko.

– Jak na początek to nawet nieźle ci poszło. A ta siostra jest twoim zdaniem wiarygodna? Może ma kłopoty z pamięcią? Starsi ludzie są bardzo trudnymi świadkami.

– Jest bardzo sprawna umysłowo, myślę, że można polegać na jej zeznaniach – odparł podkomisarz. – Oprócz tego byłem w IPN. Poznałem tam fajnego archiwistę z dużym zasobem wiadomości o Służbie Bezpieczeństwa. Ale on jest zdania, że bez solidnej, to znaczy żmudnej i długotrwałej kwerendy dokumentów nie zdołam nic ustalić.

– To może trzeba odnaleźć tego młodego historyka, którego wizytówka i książka zniknęły z mieszkania denata? Przecież on pisał o krakowskiej SB. Przypuszczałeś nawet, że jego nazwisko zaczyna się na literę „K”. – Inspektora wyraźnie pochłonęła sprawa Zygmunta.

– Też o tym myślałem. Próbowałem nawet namierzyć jego publikację w Internecie, nic to jednak nie dało. Moim zdaniem odnalezienie naukowca jest w tej chwili mało prawdopodobne. Po pierwsze, nie jestem pewien, czy jego nazwisko rzeczywiście zaczyna się na „K”, po drugie, nie wiem nawet, z jakiego był uniwersytetu, po trzecie, nie mam nawet pewności, że ten facet mieszka lub pracuje w Krakowie. To szukanie igły w stogu siana. Pamiętaj, że ja prowadzę to śledztwo nieoficjalnie, więc nie mogę korzystać z instytucjonalnego wsparcia.

– Fakt. – Stanisław zrozumiał bezsilność młodego policjanta. Chciał jednak go pocieszyć i zmotywować do dalszego działania. – Trzeba poszukać jakiegoś rozwiązania. Może powinieneś pogadać z kimś z branży naukowej? Z tego, co wiem, to oni tam mają jakieś bazy internetowe, biblioteki cyfrowe, a przede wszystkim znają się między sobą.

– Mam stryja naukowca. Jest profesorem na wydziale nauk społecznych w Katowicach. Pogadam z nim w najbliższym czasie – odparł podkomisarz.

– No widzisz! Masz kolejny punkt zaczepienia!

\*\*\*

Rozmowa ze stryjem przesunęła się jednak na plan dalszy. Stało się tak za przyczyną billingu załatwionego przez Stanisława, który przesłonił konieczność poszukiwania historyka. Vesely zaraz po przyjściu do domu, nie dbając o to, że jest głodny i powinien zjeść kolację, przeanalizował dokładnie wykaz połączeń. W ostatnim miesiącu życia Regiewicz dzwonił przede wszystkim do instytutu onkologicznego w Warszawie, kilku prywatnych klinik onkologicznych ulokowanych w dużych polskich miastach, do mnóstwa aptek, banków oraz warsztatów samochodowych. Na liście widniały także dwie rozmowy z Marianem Strypułą oraz jedna z niejakim Leszkiem Zilberem, mieszkańcem stolicy. O wiele ciekawsze jednak wydawały się połączenia odebrane. Wśród mniej ważnych pozycji, około miesiąca przed samobójstwem, a dokładnie trzydziestego czwartego, trzydziestego piątego i trzydziestego szóstego dnia przed śmiercią, ktoś dzwonił do Regiewicza ze Szwajcarii. Warszawski esbek przeprowadził trzy długie rozmowy z tym samym numerem. Wykaz niestety nie zawierał nazwiska ani adresu zagranicznego abonenta.

Vesely zastanowił się. Billing sugerował, że w ostatnich tygodniach życia znajomy Strypuli prowadził rozmowy związane z chorobą. Najwyraźniej poszukiwał pomocy medycznej. To potwierdzało zidentyfikowaną przez warszawską policję przyczynę samobójstwa. Także Szwajcaria kojarzyła się z usługami medycznymi. Ten kraj słynął z ich najwyższej jakości. Zygmuntowi nie pasowało tylko jedno: jeśli Regiewicz poszukiwał leku lub nowej terapii, to on powinien był dzwonić do Szwajcarii. Postanowił, że sprawdzi to połączenie.

Nic więcej nie mógł wywnioskować, co wprawiło go w podły humor. Przyznał rację Stanisławowi: powinien lepiej poznać historię znajomości Strypuli z jego warszawskim kolegą. A to być może oznaczało konieczność rozmowy z byłą żoną Regiewicza.

Następnego dnia rano, używając prywatnej komórki, wybrał szwajcarski numer. Po krótkiej chwili usłyszał w słuchawce komunikat w języku niemieckim, którego nie rozumiał, a następnie w angielskim, z którego wynikało, że „subscriber”, czyli właściciel telefonu, jest niedostępny. W ciągu następnych godzin kilkakrotnie ponawiał próby nawiązania połączenia, lecz efekt był taki sam. Oznaczało to, że chory Polak nie rozmawiał z żadnym szpitalem, kliniką czy, ogólnie rzecz biorąc,

instytucją, tylko z osobą prywatną. W umyśle Veselego powstało skojarzenie z sytuacją, kiedy próbował się dodzwonić do Regiewicza i dowiedział się od dzielnicowego, że ten popełnił samobójstwo. „Czyżby w Szwajcarii miało miejsce podobne zdarzenie?” – zastanawiał się.

\*\*\*

W kierunku Warszawy wyruszył w sobotę przed świtem. Plan miał następujący: najpierw porozmawia z sąsiadami Regiewicza, a potem uda się na spotkanie z jego byłą małżonką. Umówił się z nią wcześniej przez telefon. Numer uzyskał od policjanta, z którym rozmawiał na wideoczacie. Okłamał go, że „siostra krakowskiego umarlaka znała kiedyś żonę warszawskiego umarlaka”, więc jak usłyszała o samobójstwie, to poprosiła o umożliwienie kontaktu. Początkowo kobieta nie chciała się zgodzić na spotkanie. Twierdziła, że nie ma nic interesującego do powiedzenia na temat śmierci byłego męża. Jednak Zygmunt wzbudził jej zainteresowanie, oświadczając, że przyjedzie do niej specjalnie z Krakowa, gdyż „przypadek pana Karola może mieć związek ze sprawą natury kryminalnej”.

Blok, w którym mieszkał Regiewicz, pochodził z lat siedemdziesiątych. Chociaż posiadał nową elewację, znać było, że jest konstrukcją z tak zwanej „wielkiej płyty”. To upewniło podkomisarza, że Regiewicz, przygotowując się do odebrania sobie życia, musiał wiercić w betonie, by osadzić nowy hak, do którego przymocował kabel od żelazka. Zygmunt, będąc dzieckiem, mieszkał w takim domu. Pamiętał, jak jego ojciec przeklinał podczas wykonywania prac związanych z mocowaniem czegokolwiek na ścianie albo suficie: szafki kuchennej, obrazu czy karniszu na firankę i zasłony.

Wejście do budynku otwierał domofon. Policjant zadzwonił pod numer, który powinien był należeć sąsiadów Regiewicza. Okazało się, że trafił do starszej, „pomarszczonej czasem” kobiety, którą w myślach nazwał „Emerytką”. Czekająca na niego w otwartych drzwiach do swojego mieszkania. Naprzeciwko nich zobaczył opieczętowane przez urząd dzielnicowy wejście do lokalu, w którym wydarzyła się tragedia, jaka ściągnęła go do stolicy.

– Widzę, że pilnuje pani domostwa – powiedział, gdyż ona z widoczną nieufnością bacznie mu się przyglądała.

Kobieta odezwała się dopiero, kiedy podsunął jej pod nos legitymację służbową.

– Przecież już przesłuchiwał mnie taki jeden od was. Nie macie już kiedy ludzi nachodzić? Sobota jest! – Jej gderliwy głos odbił się echem w klatce schodowej.

– Mamy tyle roboty, że musimy działać nawet w weekendy. Może wpuści mnie pani, chciałbym zadać kilka pytań.

– A skąd ja mogę wiedzieć, że pan jest prawdziwym policjantem? W telewizji ostrzegają przed oszustami.

– Przecież pokazałem pani legitymację. – W Zygmuncie narastała złość na kobiecinę.

– Panie, tera wszystko można kupić – odparła bez żenady.

– No dobrze, w takim razie porozmawiamy tutaj – zrezygnował.

– No wejdźże już pan. – Babcia zreflektowała się. – Przecie nie będziemy stać na korytarzu.

– Już się pani nie boi?

– Uczciwość panu z oczu patrzy – odparła.

W środku poprowadziła go do kuchni i kazała usiąść przy niewielkim stole. Gotowała chyba bigos, bo cuchnęło kapustą.

– Czy dobrze pani znała Karola Regiewicza? – rozpoczął.

– A tam zara dobrze. Mieszkał tu tak jak ja, od siedemdziesiątego ósmego, ale nie było znajomości. Tylko „dzień dobry” i życzenia na święta. I to tylko wtedy, jak spotkaliśmy się na klatce schodowej.

– Kolega, który z panią już rozmawiał, przekazał mi, że był samotnikiem i odludkiem. Czy to prawda?

– Prawda. Nikogo nie miał. Nikt go nie odwiedzał, z nikim się nie kolegował.

– Jest pani tego pewna?

– Jakby było inaczej, tobym zauważyła. Panie, starość mu się nie udała. Ani żony, ani dzieci. Jeszcze jak był w sile wieku, jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat temu, to przychodzili do niego jacyś koledzy.

– A kobiety?

– Nigdy żadnej nie widziałam. Myślę, że on... no wie pan... inny był.

– A w ten weekend, kiedy się powiesił, nie zauważyła pani niczego? Może ktoś go jednak odwiedził?

– Już mówiłam pana koledze, nikogo nie widziałam.

– A czy może słyszała pani jakieś odgłosy? Może ktoś coś remontował, głośno sprzątał, słuchał głośno muzyki? – Vesely chciał potwierdzić fakt wiercenia w suficie.

– Nie przypominam sobie – emerytka odparła szybko i obcesowo. Zygmunt wyczuł, że kobieta coś skrywa. Uśmiechnął się jednak do niej i pokiwał głową na znak, że przyjmuje jej odpowiedź. Kobięcina ośmielona jego reakcją uniosła trochę głowę, jakby zastanawiała się nad czymś, po czym dość wstydliwie powiedziała: – Wie pan, ja słabo słyszę, noszę nawet aparat. – Odgarnęła włosy i podkomisarz zobaczył miniaturową słuchawkę w jej prawym uchu. – A jak odkurzam albo używam maszyny do szycia lub myję się, to wtedy w zasadzie nic nie słyszę. – Zrobiła krótką pauzę i dodała: – Jeśli wtedy ktoś hałasował, to mogłam nie zwrócić uwagi.

Podkomisarz postanowił nie tracić czasu. Zapytał:

– A kto jeszcze zamieszkuje na piętrze?

– Takie miłe, młode małżeństwo. Wprowadzili się jakieś pół roku temu.

Pożegnał babcię, podziękował, pocałował ją nawet w rękę, za co ona odprowadziła go do sąsiadów. Zadzwoniła, a gdy w drzwiach pokazała się młoda kobieta, przedstawiła go jak starego znajomego. To postawiło go w dobrej sytuacji. Jako że był niemal z polecenia, gospodarze od razu zaprosili go do głównego pokoju i zaofiarowali się, że zrobią kawę.

Zygmunt rozpoczął indagację, obiecując, że nie zabierze zbyt dużo czasu. Poprosił, by scharakteryzowali zmarłego. Mówiła ona, zaś on jedynie jej przytakiwał.

– Nie znaliśmy zbyt dobrze tego pana. Od czasu do czasu widywaliśmy go na korytarzu albo przed blokiem. Miał taki miły, cichy głos. – Zrobiła przerwę, jakby czegoś szukała w pamięci. – To musiał być kiedyś bardzo przystojny mężczyzna – oznajmiła i zarumieniła się na dźwięk własnych słów. Uśmiechnęła się przepraszająco i kontynuowała: – Raz czy dwa zapukał do nas, by coś tam



pożyczyć. To był taki bardzo smutny człowiek. Teraz wiemy, że to chyba wynikało z faktu jego ciężkiej choroby i w konsekwencji z samobójczych myśli.

– Czy zauważyliście może, by ktoś go odwiedzał?

– Ja nie, mój mąż też nie – odrzekła zdecydowanie, a małżonek jedynie grzecznie kiwnął głową, że się zgadza.

– A czy w okresie poprzedzającym tragedię słyszeliście może państwo jakieś odgłosy z jego mieszkania? Sugerujące na przykład, że prowadził prace remontowe?

– Nie słyszeliśmy – odparła kobieta.

– A pan? – Vesely zwrócił się do mężczyzny. Zauważył, jak jego żona już otwierała usta, by odpowiedzieć, jednak ten wcześniej zadał policjantowi pytanie:

– A o jakie konkretnie dźwięki panu chodzi?

– O hałas wywołany wierceniem. Otóż przypuszczam, że przygotowując samobójstwo, wasz były sąsiad używał wiertarki. – Zygmunt odkrył karty.

– Nie słyszałem. Zresztą to mało prawdopodobne, żeby pan Regiewicz cokolwiek remontował, a tym samym wiercił.

– A to dlaczego?

– To był zupełnie nietechniczny facet. Zresztą sam mi się do tego przyznał.

– Proszę o tym dokładnie opowiedzieć! – Podkomisarz poczuł, jak zwyżkuje mu poziom adrenaliny.

– To było zaraz, jak się wprowadziliśmy. Postanowiliśmy przewiesić szafkę w kuchni. Okazało się jednak, że ten blok został zbudowany z wielkiej płyty, więc pod warstwą tynku była ściana z betonu. Miałem wiertarkę o słabej mocy, bez funkcji udarowej, więc o wywierceniu otworów pod haki nie było w ogóle mowy. Poszedłem zatem do sąsiada. Liczyłem, że uda mi się pożyczyć od niego właśnie wiertarkę. Wysłuchał mnie życzliwie, ale mi nie pomógł. Najpierw ponarzekał, że w tym domu, żeby cokolwiek powiesić, to trzeba mieć młot pneumatyczny, a potem przyznał się, że on w zasadzie oprócz jednego śrubokręta i kombinerek to nie ma żadnych narzędzi. Powiedział także, że osobiście niczego sam nie robi w mieszkaniu, bo nie zna się na majsterkowaniu.

– Mógł sobie kupić wiertarkę – zauważyła kobieta. – To chyba możliwe, że ten jeden jedyny raz wziął się do roboty. Nie zaangażował przecież fachowca, by ten

pomógł mu w przygotowaniach do odebrania sobie życia!

– Usłyszelibyśmy – zaproponował mąż. – Ktoś, kto nigdy nie wiercił z udarem w betonie, nie potrafiłby tego zrobić szybko i fachowo. Stukot byłby niesamowity. Nasze mózgi wpadłyby w rezonans.

– Mógł wiercić, jak byliście państwo w pracy – rzekł podkomisarz.

– To jacyś inni mieszkańcy na pewno zwróciliby uwagę na hałas.

– A jeśli wierciłby ktoś znający się na rzeczy? – spytał policjant.

– To zależy od ilości otworów.

– Mówimy o jednym: na mocny hak w suficie. Nie chodziło w zasadzie o wykonanie nowego otworu, ale o pogłębienie i poszerzenie starego.

– Przy użyciu mocnego, profesjonalnego narzędzia to kwestia chwili. Dwie, trzy sekundy wystarczyłyby.

– Skąd u pana takie przekonanie? Pracuje pan w branży budowlanej? – Vesely musiał zweryfikować rozmówcę.

– Pracuję w ubezpieczeniach. Ale samodzielnie przystosowałem to mieszkanie do naszych potrzeb. Wymagało to wywiercenia sporej ilości dziur, co zmusiło mnie do wypożyczenia profesjonalnej wiertarki. Po prostu opowiedziałem panu o własnych doświadczeniach.

– Czyli sąsiedzi mogli nie zwrócić uwagi na taki pojedynczy dźwięk? – Dla policjanta odpowiedź na tak postawione pytanie miała zasadnicze znaczenie.

– Wydaje mi się, że nie – odparł młody mąż.

Zygmunt pożegnał się. Poszedł porozmawiać z mieszkańcami z wyższego piętra. Potem z niższego. Nikt nie pamiętał odgłosów wiercenia.

\*\*\*

Przemierzał swoim samochodem centrum Warszawy. Dzięki weekendowi nie było typowych o tej porze korków. Kierował się na południe. Dawno tu nie był, więc z zainteresowaniem przyglądał się miastu. Architektura była odmienna niż ta, do której był przyzwyczajony, toteż kreowała zupełnie inne odczucia. Niby przestrzeń emanowała wielkomięjskością, lecz w tle czaiła się jakaś nieokreślona prowincjonalność. „Kury koło Pałacu Kultury” – Zygmunt przypomniał sobie wyrazistą opinię zasłyszaną kiedyś od pewnego znajomego, który przeprowadził

się do największego polskiego miasta. Mijał właśnie stalinowski gmach, który, choć zdominowany przez pobliskie, nowoczesne wysokościowce, bezustannie strzelał dumnie w niebo. Dla wielu Polaków był nadal głównym symbolem stolicy, chociaż wielu politycznych paranoików chciało go tej funkcji pozbawić, kreśląc nawet plany jego wyburzenia.

Po kilkudziesięciu minutach dojechał do Konstancina-Jeziorny, urokliwego podstołecznego miasteczka, znanego z tego, że wielu z jego mieszkańców to popularni artyści, politycy, dyplomaci, biznesmeni czy generałowie; innymi słowy, przedstawiciele tak zwanej „warszawki”: stołecznej, a tym samym krajowej elity.

Jechał przez lesisty obszar, z ulokowanymi między drzewami okazałymi posesjami. Szukał adresu, pod którym mieszkała była żona Regiewicz. W końcu dotarł na miejsce. Dom, przed którym się zatrzymał, był olbrzymi. Dwupiętrowy, klockowaty budynek, mimo że zmodernizowany i świetnie utrzymany, bystremu obserwatorowi musiał się kojarzyć z „peerelowskim stylem” obowiązującym w Polsce w drugiej połowie dwudziestego wieku.

Drzwi otworzyła starsza, zadbana i świetnie ubrana pani. Na pewno przekroczyła już siedemdziesiątkę, lecz staranny, dyskretny makijaż, strój w jasnych kolorach oraz szczupła sylwetka sprawiały wrażenie, że jest co najmniej kilkanaście lat młodsza. Vesely był przekonany, że kiedyś jej uroda była olśniewająca. Oczy oraz mimika twarzy przypomniały mu Justynę. Pomyślał, że jego kochanka tak właśnie będzie wyglądać na starość. Speszyło go to trochę oraz onieśmieliło.

Został zaproszony do salonu i posadzony w wygodnym skórzanym fotelu. Gospodyni zaproponowała kawę i ciasto. W oczekiwaniu rozglądał się po wnętrzu. Nie znał się na starych meblach, ale te, które go otaczały, musiały być antykami. Zewsząd wyzierało bogactwo, ale nie przepych.

– Nie będę ukrywać, panie podkomisarzu, że bardzo niechętnie zgodziłam się na pana przyjazd – powiedziała kobieta, stawiając na ławie tacę z naparem, filiżankami i słodkościami.

– Odniosłem takie wrażenie podczas naszej rozmowy telefonicznej, dlatego tym bardziej dziękuję za to, że poświęca mi pani swój czas – odparł.

– Zdecydowałam się na rozmowę, gdyż wspomniał pan, że śmierć mojego pierwszego męża może być związana z prowadzonym przez pana śledztwem. Proszę mnie źle nie oceniać, ale pomyślałam sobie wówczas, że wysłuchanie ciekawej kryminalnej historyjki może być niezłą rozrywką dla kobiety w moim wieku, mieszkającej samotnie w tak wielkim domu jak ten.

– Zatem nasze spotkanie może przynieść podwójną korzyść: ja uzyskam potrzebne informacje, zaś pani spędzi w interesujący sposób część dnia.

– Prezentuje pan ciekawe podejście do policyjnych obowiązków. Chyba nie pomyślę się, jak powiem, że skoro przejechał pan tyle kilometrów, to sprawa musi być bardzo ciekawa. O co więc chodzi, panie podkomisarzu?

Vesely nie wiedział, jak zacząć. Przemyślana wcześniej koncepcja rozmowy stała się nieaktualna. Miał do czynienia z bardzo inteligentną i, co najgorsze, kapryśną osobą. Kobieta żyjąca na co dzień w zbytku, traktująca jego pracę w kategoriach rozrywki to bardzo trudny partner. Nie pozwoli sobą kierować. Będzie mówić tylko to, co jest dla niej wygodne, co nie narusza jej wizerunku i pasuje do rzeczywistości, w jakiej funkcjonuje. Postanowił więc opowiedzieć jej całą historię swojego dotychczasowego śledztwa. I to tak atrakcyjnie, jak tylko potrafił. Liczył, że takie postępowanie zaangażuje kobietę emocjonalnie, a ona w rezultacie zapragnie razem z nim rozwiązać interesującą zagadkę. Jeśli tak się stanie, to uzyska od niej wiarygodne informacje.

Opowiadanie zajęło mu prawie dwa kwadransy. Starał się mówić tak, jakby był pisarzem najpoczytniejszych powieści sensacyjnych. Koloryzował, wyolbrzymiał przypuszczenia, często używał takich słów i określeń, jak: tajemnica, zemsta, brudy SB, tajne dokumenty, siatka powiązań, morderstwo, zbrodnia. Jednocześnie obserwował swoją słuchaczkę. Ta nabrała rumieńców, zaś jej oczy były skoncentrowane na jego ustach. Siedziała wyprostowana i chłonęła każde słowo. Gdy zakończył relacją z wizyty u sąsiadów Regiewicz, westchnęła głęboko i opadła na oparcie fotela. Jej twarz odzwierciedlała fascynację usłyszaną historią.

– Ależ pan opowiada. Byłby pan świetnym autorem kryminałów.

– Dziękuję za uznanie, ale to chyba zbyt pozytywna recenzja. – Zygmunt siłił się na skromność, lecz musiał przyznać, że opinia starszej pani miło go polechła.

– Wiem, co mówię. Przeczytałam ich setki.

Ostatnie zdanie upewniło Veselego, że przyjął właściwą strategię.

– Najważniejsze wyzwanie, jakie stoi przede mną, to ustalenie szczegółów znajomości pani byłego męża ze Strypułą. Może zacznijmy od charakterystyki pana Regiewiczza. Mówiąc wprost, interesuje mnie, jakim był człowiekiem.

Kobieta milczała. Coś sentymentalnego pojawiło się na jej twarzy, co sugerowało, że odbywa podróż do lat swojej młodości.

– Poznaliśmy się na studiach, ja byłam na pierwszym roku, on przed obroną pracy magisterskiej – rozpoczęła. – Większość dziewczyn szalała za nim, ale on nie zwracał na nie uwagi. Na mnie zresztą też nie. Pilnie się uczył. Pochodził z biednej, robotniczej warszawskiej rodziny. Chciał się wyrwać do lepszego świata. Po jego magisterce straciliśmy kontakt. Spotkaliśmy się dopiero po czterech latach, zupełnie przypadkowo, na imprezie u wspólnego znajomego. Byłam tuż po studiach, dostałam się do pierwszej w życiu pracy. Od tamtej pory widywaliśmy się od czasu do czasu. Nie miałam nikogo, choć nie brakowało mi adoratorów, więc dawałam mu do zrozumienia, że może liczyć na coś więcej niż tylko sporadyczne towarzystwo. I choć byłam śliczną dziewczyną, to on tego nie zauważał. Pewnego jednak razu zadzwonił do biura, w którym byłam zatrudniona, i zaprosił mnie do restauracji na kolację. Coś przeczuwałam – na to wspomnienie starsza pani roześmiała się – więc ubrałam się w najlepsze ciuchy, jakie miałam. On przyszedł w gustownym garniturze, białej, lśniącej koszuli i jedwabnym krawacie.

– I zaproponował pani małżeństwo. – Zygmunt nie wytrzymał.

– Zgadza się – przytaknęła. – Zrobił to w prosty sposób. Powiedział, że ma trzypokojowe mieszkanie, ale czuje się samotny. Zaraz potem spytał, czy zostanę jego żoną. Zgodziłam się.

– A kiedy dowiedziała się pani, że pracuje w SB?

– Jeszcze podczas tej kolacji. Zapytałam go, jak to zrobił, że udało mu się dostać mieszkanie<sup>6</sup>). Bez skrępowania odpowiedział, że został oficerem SB oraz członkiem PZPR. Zauważył oczywiście moją pełną rezerwy reakcję. Nie przejął się nią. Stwierdził tylko, że postąpił tak dlatego, gdyż chciał po prostu dobrze żyć. Opowiadał, jak to po studiach przekonał się, że świetne wyniki uzyskane w nauce niewiele znaczą, za to liczyły się układy i przynależność do partii. Inaczej

mówiąc, to, że ktoś był ambitny, pracowity, rzetelny i uczciwy, nie przekładało się na sukces. A potem obiecał, że ja też będę dobrze żyć.

---

6) W PRL istniał ogromny deficyt mieszkaniowy. Oczekiwanie na własne lokum trwało od kilku do kilkunastu lat.

– Czyli wasz związek można było określić mianem małżeństwa z rozsądku?

– Na początku na pewno. Potem jednak pokochałam Karola całym sercem. Był wspaniały, szczodry, delikatny, elegancki. Zapewnił mi dobrobyt, o jakim przeciętni obywatele mogli w tamtym czasie tylko pomarzyć. Było mnie stać na świetne ciuchy, kosmetyczkę, zabierał mnie do najlepszych restauracji, a latem jeździliśmy do Jugosławii, Bułgarii albo na Krym.

– Rozumiem, że oficerowie SB bardzo dobrze zarabiali? – dopytywał podkomisarz.

– Karol miał świetną pensję, ale on nie pracował w zwykłym pionie SB, tylko w Departamencie Pierwszym, czyli w wywiadzie. A na dodatek był członkiem jakiegoś elitarnego zespołu. Oczywiście nie mogłam się tym chwalić przed nikim, nawet przed moimi rodzicami, gdyż to mogło zaszkodzić jego karierze. Przestrzegał mnie, że jeśli jego przełożeni dowiedzą się, że jestem w posiadaniu takiej wiedzy, to mogą go zwolnić ze służby. Wtedy musielibyśmy się pożegnać z życiem na wysokim poziomie. No to milczałam jak grób.

– Co to był za elitarny zespół? Może mąż opowiadał, czym się zajmował?

– Nie. Istota pracy Karola stanowiła absolutną tajemnicę. Miał obsesję na punkcie zachowania w poufności tego, co robił. Jego koledzy byli tacy sami.

– I nigdy się niczym nie chwalił? A po alkoholu? Może w trakcie jakiejś kłótni małżeńskiej coś powiedział? – Vesely przypomniał sobie, że podobne pytania zadawał pani Marii, siostrze Mariana Strypuli.

– Nigdy. Muszę przyznać, że rzadko się kłóciliśmy, a jak już, to robiliśmy to inteligentnie. Nie krzyczeliśmy na siebie, tylko milczeliśmy, a dopiero po czasie wyjaśnialiśmy sporne kwestie. A co do alkoholu, to Karol właściwie nie pił. Twierdził nawet, że nieuczestniczenie w esbeckich libacjach blokowało mu rozwój kariery.

Zygmuntowi coś nie grało w tej całej historii. Zastanawiał się, co to mogło być. Przypomniał sobie dzisiejszą rozmowę z „Emerytką”. W końcu uśmiechnął się i powiedział:

– Nie rozumiem jednej rzeczy. – Spojrzał na kobietę. Nie spodziewała się ataku.

– Proszę pytać, niech się pan nie krępuje.

– Z pani opowieści wynika, że wiedliście wręcz idylliczne życie. Dlaczego w takim razie się rozwiedliście?

W oczach starszej pani zobaczył głęboki cień. Jej usta się zwęziły, zaś mowa ciała zasygnalizowała, że odrzuca jego pytanie.

– Bardzo panią proszę o odpowiedź, i to jak najbardziej szczerą – nie odpuszczał. Zdał sobie sprawę, że musi wywołać w kobiecie poczucie bezpieczeństwa. Zapewnił więc: – To, co od pani usłyszę, będzie tylko do mojej wiadomości.

– Pan jest bardzo inteligentny, podkomisarzu, więc chyba się pan wszystkiego domyśla – odparła cicho.

– Chyba tak, ale chciałbym to usłyszeć od pani.

Kobieta wstała z fotela. Podeszła do antycznej serwantki, z której wyjęła koniak, dwa beczułkowate kieliszki oraz niewielkie pudełko z czekoladkami. Kiedy postawiła wszystko na ławie, przy której siedzieli, Vesely gestem ręki dał do zrozumienia, że nie może pić alkoholu. Sięgnął za to po butelkę i jantarowy trunek spłynął w niewielkiej ilości na dno jednej z koniakówek. Starsza pani uchwyciła ją delikatnie i podniosła do ust. Przez dłuższą chwilę smakowała wykwintne procenty, wypatrując czegoś przez okno w rozciągającym się za domem ogromnym ogrodzie. Nie zmieniając pozycji ani nie odwracając wzroku, oświadczyła:

– Mój były mąż nie żyje, więc mogę to już ujawnić... Karola fascynowali mężczyźni...

Zygmunt nie odzywał się, czekał. Po kilkudziesięciu długich jak wieczność sekundach zaczęła kontynuować zwierzenia. W jej głosie, jeszcze teraz, po tylu latach, pobrzmiwała wściekłość.

– Kiedy to odkryłam, to dotarło do mnie, dlaczego on, taki przystojniak, nie reagował, jak jego koleżanki ze studiów rozkładały przed nim nogi. – Zaśmiała się z rozzaleniem. – Uświadomiłam sobie także, że zaproponował mi małżeństwo tylko

dlatego, żeby ukryć przed światem swoje pedalskie skłonności. – Z jej oczu po policzkach stoczyły się dwie ogromne łzy, żłobiąc iluzoryczne bruzdy na suchej cerze.

Vesely czuł ogromne skrępowanie, ale zrozumiał, że kobieta pokonała psychiczną barierę, więc może ją teraz pytać, o co zechce.

– Jak pani odkryła ten fakt?

– To był zbieg okoliczności. Karol miał przyjaciela, Władka Zilbera. Razem wędkowali. Dość często jeździli na ryby nad Zalew Zegrzyński...

– Proszę chwileczkę poczekać – podkomisarz przerwał jej prawie szeptem. Coś ścisnęło go za gardło. Nie wiedział dlaczego, ale ogarnął go ogromny niepokój. Szukał w swoim umyśle przyczyny. Nagle gwałtownym ruchem sięgnął po teczkę, którą przyniósł ze sobą, stojącą przy fotelu na podłodze. Drżącymi rękoma otworzył ją i zaczął w niej gmerać.

– Czy coś się stało? – Starsza pani patrzyła na niego z obawą w oczach.

– Tak, tak... – wymamrotał.

Z wnętrza torby wyciągnął billing połączeń telefonicznych Regiewicz. Przeskanował go wzrokiem... Już miał... Wśród numerów, pod które dzwonił samobójca, widniał jeden przyporządkowany do nazwiska: Leszek Zilber. Natychmiast zapytał o niego swoją rozmówczynię.

– Niestety nie wiem, kto to jest – odrzekła. – Może to ktoś z rodziny Władka? Naprawdę nie mam pojęcia.

– A czy ten Władek miał rodzinę? – Zygmunt musiał kuć żelazo póki gorące.

– Miał żonę.

– I jak się domyślam, był równocześnie seksualnym partnerem pani męża?

– Dobrze się pan domyśla. Podejrzewam, że byli kochankami, jeszcze zanim wyszłam za Karola. – Zrobiła krótką pauzę i powróciła do przerwanej przez policjanta opowieści. – Więc jak mówiłam, jeździli razem na ryby. Nad zalewem wynajmowali domek. Pewnego razu, gdy spędzali w nim noc, na nasz domowy telefon zadzwonił dyżurny z Departamentu Pierwszego. Coś się wydarzyło i Karol był pilnie potrzebny w pracy. Powiedziałam, że jest na rybach. Dyżurny chciał wiedzieć, jak tam dojechać, ale wytłumaczyłam, że domek nie ma konkretnego adresu, zaś w nocy jest tam bardzo trudno trafić.



– I zaoferowała pani swoją pomoc? – Zygmunt już wiedział, jaki będzie koniec.

– Tak. Przyjechał po mnie samochód i udaliśmy się nad zalew. Nad brzegiem stało kilka domków. Nie pamiętałam dokładnie, który to był, więc poprosiłam kierowcę, żeby zaczekał, a sama poszłam na poszukiwania. Odnalazłam go po wędkach stojących na brzegu. Były zarzucone na nocny połów. Panowie czuli się tak pewnie, że zostawili otwarte drzwi. Weszłam do środka i zobaczyłam ich: spali nago, przytuleni do siebie. I wie pan, co sobie wtedy pomyślałam?

– Co? – Vesely był autentycznie zaintrygowany odpowiedzią, jaką miał za moment usłyszeć.

– Pomyślałam: „Jakie to szczęście, że kierowca został w samochodzie”.

– To była naturalna reakcja, bała się pani wstydu – ocenił podkomisarz.

– Wstydu?! – Kobieta z emocji podniosła głos. – Absolutnie. Dziękowałam Bogu, że szofer został w wozie, bo jakby szefowie SB dowiedzieli się o tym męskim romansie, to stracilibyśmy wszystko. Wszystko! Rozumie pan?! To były zupełnie inne czasy niż teraz, panie podkomisarzu.

– I co było potem?

– Nie kłóciliśmy się. Nie odzywałam się do Karola przez wiele dni. W końcu on nie wytrzymał i zaproponował, żebyśmy porozmawiali. Zgodziłam się, ale pod warunkiem, że weźmie w tym udział także jego kochaś. Spotkaliśmy się we troje w restauracji. Pamiętam, że byłam niesamowicie spokojna. Przemyślałam wcześniej wszystko i wiedziałam, czego chcę. Ten mój spokój ich zdeorientował. Rozmowę zaczął Karol stwierdzeniem, że on i Władek chcą unormować całą sytuację. Wściekłam się, ale nie dałam tego po sobie poznać. Przerwałam mu i zażądałam rozwodu, a do tego całego naszego majątku, czyli mieszkania wraz z tym, co się w nim znajduje, oraz samochodu i wszystkich oszczędności. Oprócz tego oświadczyłam, że razem mają mi wypłacać co miesiąc pieniężne odszkodowanie. Zagroziłam, że jeśli nie przystaną na moje warunki, to powiadomię o ich homoseksualizmie szefa Służby Bezpieczeństwa oraz małżonkę Władysława.

– Mniemam, że się zgodzili – powiedział policjant.

– Nie mieli wyjścia. Wiedziałam, że dla Karola służba w SB była wszystkim. Bez niej byłby nikiem. Władek też nie mógł pozwolić sobie na skandal. Był

ożeniony z córką bardzo wysoko postawionego partyjnego działacza.

– A czy on też był oficerem SB?

– Nie, pracował na lukratywnym stanowisku w centrali handlu zagranicznego.

Karol mówił, że karierę zawdzięczał swojemu teściowi.

– Nie bała się pani ich szantażować?

– Oczywiście, że się bałam. Nie byłam jednak głupia i zastrzegłam, że spisałam wszystko i w razie gdyby coś mi się przydarzyło, moje zeznania zostaną przekazane do odpowiednich władz.

– Ile lat byliście małżeństwem?

– Pobraliśmy się w siedemdziesiątym pierwszym, a rozwiedliśmy w siedemdziesiątym siódmym.

Oboje zamilkli. Ona, zdaje się, błędziła myślami po swojej przeszłości, zaś Zygmunt zastanawiał się, jak dalej poprowadzić rozmowę. W końcu policjant przerwał ciszę.

– Kim pani eksmąż był z wykształcenia?

– Oboje ukończyliśmy germanistykę. Karol mówił jeszcze po angielsku i rosyjsku. Ja równolegle studiowałam dodatkowo niderlandzki, nauczyłam się także francuskiego. Nie chcę się chwalić, ale byliśmy bardzo uzdolnieni językowo.

– Przypuszczam, że w tamtych czasach zawód filologa popłacał. – Vesely sugestywnie potoczył wzrokiem po bogato urządzonej pokoju.

Kobieta roześmiała się.

– Proszę nie wyobrażać sobie, że mój obecny status majątkowy zawdzięczam znajomości języków obcych. To rezultat mojego drugiego małżeństwa.

– Opowiedziałem pani o moim śledztwie w jednym celu – podkomisarz postanowił zmienić temat. – Jak już wspomniałem, interesuje mnie znajomość pani byłego męża z Marianem Strypułą z Krakowa.

– Proszę mi wybaczyć, panie podkomisarzu, ale pyta pan o sprawy sprzed czterdziestu lat, więc wielu rzeczy mogę nie pamiętać.

– Będę wdzięczny za wszystko, co sobie pani przypomni!

– Postaram się – odrzekła kobieta. – Karol zaprosił go do nas na kolację. Dziwiłam się, że spotkanie ma się odbyć w naszym mieszkaniu. Mój były mąż w zasadzie nie gościł kolegów z pracy w naszym domu.

– Jak pani myśli, dlaczego tak postąpił?

– Naprawdę nie wiem. Musiał to być dla niego ktoś ważny. Nie zrobił jednak na mnie zbyt dobrego wrażenia.

– Pod jakim względem?

– Towarzyskim. Lubił dyskutować jedynie o służbie, jakby nie miał nic innego do powiedzenia. Był wyraźnie niezadowolony, że nie może swobodnie rozmawiać o sprawach zawodowych. Przeszkadzała mu moja obecność. Karol dał mi po jakimś czasie znać, żebym zostawiła ich samych. W rezultacie musiałam się wprosić na plotki do koleżanki. Stąd też pamiętam ten wieczór.

– Czy później jeszcze Strypula bywał u was?

– Nie, ale spotykali się. Jak mąż dzwonił z pracy i mówił takim konfidencyjnym głosem, że „krakusek wylądował”, to oznaczało to, że wróci do domu bardzo późno, gdyż do Warszawy przyjechał Strypula.

– Dlaczego nazywał go „krakuskiem”? Pierwszy raz słyszę takie zdrobnienie – zainteresował się policjant.

– Ponoć był stereotypowym przykładem mieszkańca Krakowa – odparła.

– Może pani przybliżyć te opinie?

– Karol twierdził, że jego kolega był wszystkowiedzący, niesamowicie dumny oraz skąpy. I oczywiście uważał nas, warszawiaków, za gorszy sort.

– Czy to nie denerwowało pani byłego męża?

– Raczej śmieszyło. W gruncie rzeczy lubił go, a nawet chyba darzył przyjaźnią.

– Siostra Strypuli powiedziała mi, że przypadli sobie do gustu, gdyż mieli podobne charaktery.

– To chyba przesadzona ocena. – Kobieta była autentycznie zdziwiona. – A na pewno na wskroś subiektywna.

– Więc co ich łączyło?

– Myślę, że przede wszystkim praca. To byli pasjonaci tych wszystkich swoich spraw, operacji, czynności, raportów, analiz i intryg. – Przytoczyła typowe dla służb specjalnych określenia. – A przede wszystkim tej całej aury tajemniczości, która dawała im poczucie, że są wybrańcami losu, i pozwalała prowadzić niezwykle życie, niedostępne dla przeciętnych ludzi.

– No dobrze, ale co sprawiło, że ich znajomość przetrwała aż do śmierci? – Pytanie Veselego zabrzmiało pompatycznie, co spowodowało, że kobieta zadumała się głęboko.

– Może razem przeżyli coś takiego, co związało ich na całe życie – odrzekła po chwili. – A może ta ich przyjaźń była po prostu ucieczką przed samotnością? Pan jest młodym człowiekiem i prawdopodobnie nie wie, jak starym ludziom zależy, by móc z kimś od czasu do czasu porozmawiać. A Karol był sam, no i Strypula w zasadzie oprócz siostry też nie miał nikogo.

– A nie podejrzewa pani, że pomiędzy nimi mogła istnieć relacja seksualna?

– To raczej niemożliwe. Mój były mąż nie ryzykowałby swojej kariery dla kogoś takiego jak ten Marian. Poza tym on, moim zdaniem, nie był w typie Karola, jeśli w ogóle można w ten sposób odpowiedzieć na to pytanie.

– A co z rodziną pana Regiewicza?

– Nie ożenił się ponownie, nie miał dzieci. Z tego, co wiem, to jego rodzice poumierali na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Nie miał rodzeństwa. Część krewnych nie utrzymywała z nim kontaktów z powodu jego pracy w SB.

– A pani?

– Zbyt wielką wyrządził mi krzywdę. Za to on przysyłał mi kartki świąteczne i raz w roku dzwonił, by złożyć życzenia noworoczne.

– Czy miał jakichś znajomych za granicą?

– W czasie naszego małżeństwa nikogo takiego nie poznałam, on także o nikim nie wspominał.

– A czy może kojarzy pani w jakiś sposób pana Regiewicza i Szwajcarię?

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem pana pytania.

– Chodzi mi o to, czy był kiedykolwiek w tym kraju? Może poznał kogoś stamtąd? Może dysponował tamtejszą walutą? Proszę sobie przypomnieć cokolwiek, co może się wiązać z tym krajem.

Niestety, starsza pani niczego nie pamiętała.

Veselemu nie pozostało nic, jak tylko zakończyć wizytę i pożegnać się. Wyczerpał temat. Miał świadomość, że teraz będzie musiał wszystko szczegółowo

przeanalizować. Przezornie całą rozmowę nagrał na dyktafon, którego miniaturowy, przewodowy mikrofon miał wpięty dyskretnie w klapę marynarki.

Zanim uruchomił silnik samochodu, postanowił zastanowić się, w jakim miejscu swojego prywatnego śledztwa się znajduje. Zakończona przed chwilą rozmowa zaowocowała trzema ważnymi informacjami. Po pierwsze, Strypula i Regiewicz najprawdopodobniej razem nad czymś pracowali. Mimo że byli z różnych miast, łączyła ich jakaś zawodowa materia. Po drugie, warszawski esbek był członkiem tajemniczego elitarnego zespołu funkcjonującego w ramach peerelowskiego wywiadu, a to oznaczało, że na pewno miał dostęp do „grubych” spraw, a o takiej przecież wspominał archiwista z krakowskiego IPN-u! Po trzecie, w grze pojawiło się nowe nazwisko: Leszek Zilber. W innych okolicznościach Zygmunt nie zwróciłby na nie większej uwagi, lecz teraz sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Rozmówca warszawskiego esbeka związany był z jego przeszłością. „Trzeba iść za ciosem” – pomyślał podkomisarz. Spojrzał na zegarek. Pora była obiadowa. Sugestywnie poczuł wilczy głód w żołądku. Zdecydował, że najpierw coś zje, a potem skontaktuje się z Zilberem.

Podczas posiłku doszedł do wniosku, że nie będzie dzwonił. Skoro jest już w Warszawie, to po prostu pojedzie do niego. Kontakt osobisty był najbardziej wartościowy. Najwyżej go nie zastanie. Wtedy skorzysta z telefonu. Sprawdził w smartfonie lokalizację mieszkania swojego następnego „kontaktu”. Okazało się, że znajdował się kilkanaście minut jazdy samochodem od celu. To dodało mu animuszu.

\*\*\*

Leszek Zilber miał około pięćdziesięciu lat i obcesowe obejście. Na pierwszy rzut oka wydał się silnie zestresowany, jednak w trakcie rozmowy Zygmunt doszedł do wniosku, że facet ma po prostu taki styl bycia. Swoim zwyczajem nadał temu mężczyźnie pseudonim odzwierciedlający jego zachowanie: „Kanciasty”. Ten okazał się nad wyraz bystry. Obejrzał dokładnie legitymację służbową podkomisarza i dopatrzył się, że Vesely jest spoza stolicy.

– Dlaczego krakowska policja działa w Warszawie? – spytał opryskliwie.

– Komenda stołeczna ma duże braki kadrowe, więc ściąga do pomocy personel z całego kraju. – Zygmunt skłamał, patrząc tamtemu prosto w oczy, przez co nie stracił na wiarygodności.

– Czego pan chce, bo nie mam za bardzo czasu?

Zygmunt już otwierał usta, gdy z mieszkania dobiegł kobiecy głos:

– Leszek, kto przyszedł?

„Kanciasty” chyba nie chciał odpowiadać zbyt głośno na klatce schodowej, gdyż kiwnął ręką, by Zygmunt wszedł za nim do środka. Kobieta okazała się żoną Zilbera.

– Niech pan mówi, o co chodzi – rzekł ponownie gospodarz, po tym jak zamknął drzwi. Nie zaproponował nawet, żeby usiedli.

– Czy zna pan Karola Regiewicza?

– Znałem. Regiewicz nie żyje. Niedawno byliśmy na pogrzebie.

– A kim zmarły był dla pana?

– Znajomym, a bo co?

Vesely zauważył, że żona „Kanciastego” przygląda mu się z zaciekawieniem. Następne zdanie wypowiedział, patrząc na nią.

– Bardzo przepraszam, że państwa nachodzę w sobotnie popołudnie, ale chcielibyśmy ostatecznie zamknąć wyjaśnianie przyczyn tej tragedii. Zadam tylko kilka pytań i uciekam.

– Ależ nic się nie stało – odparła kobieta ujęta grzecznością podkomisarza. – Jeśli tylko możemy w czymś pomóc, to jesteśmy do dyspozycji.

– Wiemy, że powodem odebrania sobie życia przez pana Regiewicza była najprawdopodobniej nieuleczalna choroba, a mianowicie nowotwór. Szukamy tylko ostatecznego potwierdzenia naszej hipotezy. Zmarły nie miał w zasadzie rodziny, nie utrzymywał także kontaktów z dalszymi krewnymi, więc jak dowiedzieliśmy się o panu – zwrócił się do Zilbera – to uznaliśmy, że może pan coś wniesie do sprawy.

– A jak się o mnie dowiedzieliście? – „Kanciasty”, jakby mógł, to swoim wzrokiem przewierciłby Zygmunta na wylot.

– Pana adres i numer telefonu znaleźliśmy w mieszkaniu Regiewicza. – Podkomisarz znowu skłamał.

W sukurs przyszła Veselemu kobieta.

– Karol był takim przyszywanym wujkiem Leszka – powiedziała. – Przyjaźnił się z nieżyjącym ojcem męża.

– Czy wiedzieliście państwo o jego chorobie?

– Tak. – Głos Zilbera zabrzmiał tym razem miękko. – Mimo to jego samobójstwo było dla nas szokiem. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Z drugiej jednak strony, nie ma się co dziwić. – Znowu był „kanciasty”.

– Dlaczego pan tak twierdzi? – Zygmunt poczuł, że może pociągnąć go za język.

– Musiał bardzo cierpieć – odparła żona. – Przede wszystkim psychicznie. – Ostatnie zdanie wypowiedziała, obniżając znacznie ton. Dla policjanta był to sygnał, że kobieta wie coś więcej.

– Proszę to wytłumaczyć, nie bardzo rozumiem – zwrócił się do niej. Odezwał się jednak jej mąż.

– Kilkanaście dni przed śmiercią spotkał się ze mną. Poprosił o pożyczkę...

– Dlaczego chciał pożyczyć pieniądze? – przerwał mu podkomisarz.

– Ponoć na rynku pokazał się jakiś nowy, bardzo skuteczny lek na jego chorobę. Jednak kuracja przy jego zastosowaniu okazała się cholernie droga, a NFZ oczywiście jej nie refundował. Karol wymyślił, że jak weźmie kredyt i pożyczyc pieniądze ode mnie, to zyska jeszcze kilka lat życia. Wierzył nawet, że uda mu się sprzedać jego stary samochód, choć wiadomo było, że nikt go nie kupi. Chciał ode mnie trzydzieści tysięcy złotych. Odmówiłem...

– Jesteśmy przeciętnie zarabiającymi urzędnikami. – Kobieta najwyraźniej chciała usprawiedliwić decyzję męża.

– Może gdybym dał mu te pieniądze, to nie odebrałyby sobie życia? – Głos Zilbera znowu stał się „ludzki”, najwyraźniej męczyło go poczucie winy.

– Cóż... – rzekł Vesely. – To w zasadzie wszystko wyjaśnia. – Nie miał więcej pytań. ■

Dni snuły się zwyczajnym rytmem. Zygmunt ugrzązł w typowych policyjnych obowiązkach, zaś prozę życia urozmaicały jedynie spotkania z Justyną, których wyczekiwał jak zbawienia. Widywali się już regularnie dwa, a czasami trzy razy w tygodniu. Spędzili nawet w mieszkaniu dziewczyny cały ostatni weekend: rozmawiali, gotowali, pili wino, oglądali telewizję i oczywiście uprawiali seks. W międzyczasie Vesely studiował szachy, powziął bowiem decyzję, że wystartuje w najbliższym turnieju i postara się uzyskać dobry wynik.

Tak naprawdę pragnął zapomnieć o sprawie Strypuli, gdyż cały czas męczyły go zawiedzione nadzieje. Przekonanie o tym, iż trafił na pierwszą w swojej karierze poważną sprawę, legło w gruzach.

Pierwsze pesymistyczne myśli dopadły go zaraz po rozmowie z Leszkiem Zilberem, w drodze powrotnej z Warszawy. Jej znaczenie było bezdyskusyjne: Regiewicz na pewno popełnił samobójstwo. I nie zrobił tego pod wpływem jakiejś tajemniczej sprawy z przeszłości, ale dlatego, że był śmiertelnie chory. To nie ulegało wątpliwości. Pocieszał się, że za kryminalnym charakterem zagadki, którą próbował wyjaśnić, przemawiał ten sam czas śmierci zarówno warszawskiego, jak i krakowskiego esbeka, jednak im dłużej się nad tym zastanawiał, dopuszczał możliwość wystąpienia niesamowitego, wręcz niewiarygodnego zbiegu okoliczności. Rozwazał, analizował, budował alternatywne scenariusze przebiegu zdarzeń, szukał kolejnych możliwych „zaczepk”. Wychodziło na to, że oprócz śladu w postaci młodego historyka niczego nie jest już w stanie wskazać. Zrezygnował jednak z tego kierunku poszukiwań, ponieważ przestał wierzyć, iż mglista postać naukowca, która pojawiła się w życiu Mariana Strypuli, mogła mieć jakikolwiek związek z jego zgonem. Po wielu zmaganiach z samym sobą w końcu wyartykułował zasadniczy wniosek: „To tylko moja subiektywna interpretacja zidentyfikowanych poszlak kazała mi wierzyć, że jestem na tropie przestępstwa”. A potem jeszcze zadał sobie pytanie, które ostatecznie wepchnęło go w objęcia zwątpienia i rezygnacji: „Może to nie subiektywna interpretacja, a moja wybujała chorobliwie wyobraźnia?”.



W komendzie omijał szerokim łukiem Stanisława, nie chciał mu się przyznać do odstąpienia od swojego prywatnego śledztwa. Ten, jakby coś przeczuwając, pofatygował się pewnego dnia do pokoju, w którym urzędował Vesely, i wywłókł go, prawie siłą, na kawę. Gdy tylko usiedli przy niewielkim stoliku w pobliskiej knajpie, młody oficer otwarcie oświadczył o swojej kapitulacji oraz przedstawił jej uzasadnienie, opowiadając o pobycie w stolicy i Konstancynie-Jeziornie.

– Moim zdaniem źle robisz. – Stary wyga patrzył na młodszego kolegę niejako z wyrzutem. – Zgadzam się z tezą, że prawdopodobnie śmierć Regiewicza nie ma nic wspólnego z wydarzeniami w Krakowie. Ale za to informacje, jakie uzyskałeś od jego byłej żony, są interesujące.

– Być może sprawiają takie wrażenie – odparł Zygmunt – ale jak się im bliżej przyjrzeć, to tak naprawdę nie wnoszą nic nowego.

– Uwzględniając to, co opowiedziała ci o wizycie młodego historyka siostra Strypuli, pośrednio potwierdzają, że krakowski esbek musiał w przeszłości pracować nad czymś ważnym. A biorąc pod uwagę hipotezę o motywie ewentualnego zabójstwa, który według ciebie tkwi w dalekiej przeszłości, mają istotne znaczenie.

– No i co z tego! – W podkomisarzu zagrały emocje. – Z niczym i nikim nie mogę ich połączyć! Nie naprowadzają na żaden trop! Myślałem, że wyprawa do Warszawy pozwoli mi złapać wiatr, a tu nic. Zero! Po prostu nul!

– Chcesz odpuścić?

– Przecież powiedziałem ci na wstępie, że odpuściłem. Zresztą niepotrzebnie się narażam. Zaraz wyjdzie, że bawię się w skauta, i dostanę ostro po nosie.

– A co w takim razie ze skorupką od jajka, co z brakującą wizytówką i książką, co z wykasowanymi połączeniami w telefonie stacjonarnym Strypuli? Co z anonimowym wezwaniem pogotowia gazowego? Co z wynikami doświadczenia, jakie przeprowadziłeś z gazownikami? Nie ma to już dla ciebie żadnego znaczenia?! – Inspektor chciał najwyraźniej zmobilizować młodego policjanta do walki.

– Stasiu! Nagraj to, co powiedziałaś, na dyktafon i odsłuchaj! Przecież to wszystko brzmi niewiarygodnie. Nie dziwię się teraz, że naczelnik Prędkki mnie wyśmiał – kontrargumentował Vesely.

- Spróbuj przynajmniej odnaleźć tego historyka – rzekł Stanisław. – Jak okaże się, że to ślepy tor, to wtedy zamkniesz swoje śledztwo. Ale nie wcześniej.
- Zastanowię się.
- Zrób tak, jak ci radzę, młody. Zrób to przede wszystkim dla siebie.

\*\*\*

Słowa Stanisława dźwięczały w uszach Zygmunta jeszcze długo po tym, jak się rozstali. Wrócił po pracy do domu i zaczął rozmyślać nad ich sensem. Wiedział, o co chodziło doświadczonemu policjantowi: swoje prywatne śledztwo powinien był zakończyć dopiero po wyczerpaniu wszystkich możliwości jego prowadzenia. I to tylko po to, by pozostać uczciwym wobec samego siebie, by mieć czyste sumienie.

Kluczem do osiągnięcia takiego stanu był nieznanemu młody historyk. Postanowił, że po turnieju szachowym odwiedzi swojego stryja, uniwersyteckiego profesora, i zasięgnie rady, jak takiego kogoś odnaleźć w naukowym środowisku. Od dawna już planował pojechać do Katowic, gdzie mieszkał i pracował brat jego ojca, ale sprawa Strypuli oraz znajomość z Justyną tak go pochłonęły, że przekładał wizytę z tygodnia na tydzień.

Następnego dnia rano poszedł do Stanisława i zakomunikował mu swoją decyzję. Ten uśmiechnął się bez słowa, klepnął po przyjacielsku Zygmunta w ramię i oddalił się do swoich obowiązków. Dla młodego policjanta oznaczało to akceptację. W mądrych oczach inspektora dostrzegł także coś na kształt uznania. Dodało mu to skrzydeł.

W dobrym nastroju powrócił do swojego pokoju. Siadł za biurkiem. Jego trzech koledzy, z którymi dzielił pomieszczenie, byli zatopieni w papierzyskach. Pomyślał z niechęcią, że jego także dzisiaj czeka przeprawa przez odmęty biurokracji.

Ślęczał nad dokumentami i nie zauważył nawet, jak minęło południe. Poczł głód. Zaczł się zastanawiać, co zrobić z tym faktem, gdy do pomieszczenia zajrzał jakiś mężczyzna.

- Czy zastałem może podkomisarza Veselego? – zapytał.
- Tak, to ja. O co chodzi? – odparł Zygmunt.
- Czy mogę pana prosić na chwilę na korytarz?

– Ależ proszę wejść, proszę się nie krępować – zaprosił gościa do swojego biurka.

– Nie chciałbym przeszkadzać pana kolegom, zresztą mam pewną nietypową sprawę – odrzekł mężczyzna i wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

Podkomisarz zrozumiał, że tamten chce porozmawiać na osobności. Podniósł się z krzesła i udał na korytarz. Gdy podszedł do nieznanego, ten odezwał się pierwszy:

– Jestem inspektor Bilski, z Warszawy, z komendy stołecznej.

Pod Zygmuntem ugięły się nogi. Od razu powiązał tę niezapowiedzianą wizytę ze swoim śledztwem, jakie prowadził w stolicy.

– Gdzie można tu spokojnie pogadać? – Głos warszawiaka nie wróżył niczego złego.

– Właśnie miałem wyjść coś zjeść – odrzekł Vesely. – Niedaleko jest mały bar. Chodźmy tam. – Młody policjant nie chciał, by w komendzie widziano go z tym człowiekiem.

Podczas drogi Vesely się nie odzywał, za to jego gość rozwodził się nad tym, jak to dawno nie był w Krakowie. Narzekał też na brak czasu, co uniemożliwiało mu odbycie „nawet krótkiego spaceru po rynku Starego Miasta”. Gdy już siedli w knajpeczce i zamówili jedzenie, Zygmunt nie wytrzymał napięcia:

– Co pana do mnie sprowadza?

Tamten spojrzał mu badawczo w oczy.

– Czy zna pan Leszka Zilbera? – Pytanie inspektora zabrzmiało jak wystrzał.

Serce Zygmunta zaczęło bić gwałtownie, co objawiło się przyspieszonym oddechem.

– Tak – odpowiedział, siłąc się, by nie okazać przestachu. – Rozmawiałem z nim oraz jego żoną jakiś miesiąc temu. A o co chodzi?

Bilski zignorował pytanie. Kontynuował indagację:

– Dlaczego był pan u niego? Tylko proszę o szczerą odpowiedź. Wiem, że pan go okłamał. Nie mógł pan przecież wyjaśniać sprawy samobójstwa Karola Regiewicz, to nie leżało w pana kompetencjach.

Atak był celny. Veselemu pociemniało w oczach. „Wydało się” – pomyślał i spanikował. Zaczął chaotycznie i urywkowo opowiadać o tym, jak trafił do

Zilbera. Przeskakiwał z wątku na wątek, nie trzymał się chronologii wydarzeń, gubił logiczny porządek. Efekt był taki, że stołeczny policjant niczego nie mógł zrozumieć. Inspektor przerwał tę paplaninę.

– Niech się pan uspokoi – rzekł dobitnie. – Nie przyjechałem, żeby pana pogrążyć, chcę jedynie wyjaśnić kilka faktów. Zapewniam, że o ile nie popełnił pan przestępstwa, to nic panu z mojej strony nie grozi.

Po tym oświadczeniu Zygmunt się trochę wyciszył. Popatrzył na Bilskiego i odezwał się prosząco:

– Niech pan wreszcie powie, o co chodzi.

– Prowadzę śledztwo w sprawie zaginięcia Leszka Zilbera.

Panika i strach momentalnie opuściły podkomisarza. Wyrecytował:

– TO NIEMOŻLIWE!

Stołeczny policjant nie spodziewał się takiej reakcji. Przemiana, jaka dokonała się w Zyguncie, przejście od stanu bojaźni do swoistej fascynacji informacją o zaginięciu, była dla inspektora niezrozumiała.

– Co jest niemożliwe? – chciał usłyszeć wyjaśnienie. Patrzył ze zdziwieniem, jak Vesely się uśmiecha i kręci z niedowierzaniem głową.

– Wychodzi na to, że jednak miałem rację! – odrzekł wręcz tryumfalnie podkomisarz.

– Ale odnośnie do czego? – Twarz Bilskiego odzwierciedlała jego zdezorientowanie.

– Że to żaden zbieg okoliczności!

– Jakiż znowu zbieg okoliczności?! – Warszawiak czuł się jak w zgaduj-zgaduli.

Zygmunt odetchnął z ulgą. Zwątpienie, jakim żył w ostatnich tygodniach, zniknęło. Od razu nabrał animuszu. Zwrócił się do inspektora:

– Najlepiej będzie, jak opowiem panu pokrótce o sprawie, którą się zajmowałem.

– No myślę, bo szczerze mówiąc, nie wiem, o co panu chodzi – odparł z widoczną ulgą Bilski.

Podkomisarz nabrał powietrza i w kilkunastu krótkich zdaniach streścił swoje poczynania w sprawie śmierci Mariana Strypuli. Poinformował także o odkryciu,

dzięki rachunkowi telefonicznemu, wielokrotnych połączeń z Regiewiczem, które nakazały mu się zainteresować samobójcą. Na koniec ujawnił rozmowę z policjantem z warszawskiej dochodzeniówki. Oczywiście przemilczał fakt otrzymania billingu od Stanisława. Jednak inspektor był bystrym rozmówcą.

– A skąd pan miał adres Zilbera?

Zygmunt nie miał wyjścia, musiał skłamać:

– Otrzymałem od owego oficera, z którym rozmawiałem na wideoczacie. Znalazł adres i numer telefonu w notatkach zmarłego. – Podkomisarz zdał sobie sprawę, że jeśli inspektor odkryje kłamstwo, będzie musiał iść w zaparte, obciążając mówieniem nieprawdy młodego policjanta ze stołecznej dochodzeniówki.

– Czy podał panu dane jeszcze jakichś innych osób? – Bilski drażył temat.

– Tak, byłej żony Regiewicza.

– Kontaktował się pan z nią?

– Tak. – Zygmunt odparł zgodnie z prawdą. – Interesowała mnie historia znajomości Strypuli z Regiewiczem. Niestety nie uzyskałem zadowalających informacji. – Znowu manipulował. – Okazało się, że rozwiodła się z mężem ponad czterdzieści lat temu i w zasadzie nie miała pojęcia o jego późniejszym życiu.

Inspektor zastanawiał się przez moment nad czymś intensywnie. Uśmiechnął się do Veselego i rzekł:

– Niech mi pan powie, podkomisarzu, ale tak z ręką na sercu, po co pan jeździł do Warszawy? Przypuszczam, że nie miał pan takiego obowiązku. Z pana chaotycznej wypowiedzi, jaką usłyszałem na początku naszego spotkania, wynika, że śmierć tego Strypuli została uznana ostatecznie za wypadek? Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdził Vesely. Znowu poczuł, jak kleszcze odpowiedzialności zaciskają mu się na szyi.

– Czyli będąc w stolicy, nie prowadził pan oficjalnych czynności?

– Nie prowadziłem. – Młody policjant poczerwieniał. Inspektor miał go w garści.

– Zatem pytam jeszcze raz: dlaczego odwiedził pan Zilbera?

Zygmunt zdał sobie sprawę, że żarty się skończyły. Bilski łączył go najwyraźniej z faktem zaginięcia. Jeśli się wiarygodnie nie wytłumaczy, otrzyma

status podejrzanego.

– Wyjaśniałem sprawę wypadku Strypuli – zaczął tłumaczenie. – Siostra zmarłego zasugerowała mi, że jego śmierć nie mogła być dziełem przypadku...

Teraz relacjonował wszystko o wiele dokładniej. Naszkicował charakter Strypuli, jego esbecką przeszłość, opowiedział o skorupce od jajka, historyku oraz jego wizytówce i książce, skasowanych połączeniach w telefonie stacjonarnym, kuchennym doświadczeniu, rozmowie ze strażakiem. Przedstawił swoje wątpliwości, jakich nabrał po rozmowie z policjantem na wideoczacie. Udział Stanisława w sprawie znowu przemilczał, pominął także szczegóły spotkania w Konstancinie. Za to zacytował dokładnie rozmowę z Zilberem. Całość zakończył następująco:

– Jak skojarzyłem, że zarówno Regiewicz, jak i Strypula, byli funkcjonariusze SB, stracili życie praktycznie w tym samym czasie, to nabrałem przekonania, że to nie mógł być zbieg okoliczności. Szczerze mówiąc, zaginięcie Zilbera tylko wzmacnia we mnie to podejrzenie. Pojechałem więc do Warszawy z nadzieją, że odkryję jakiś nowy trop. Niestety, nie udało mi się.

– A jakie wrażenie zrobił na panu Zilber? Był zdziwiony pana wizytą? A może przestraszony? – dopytywał Bilski.

– Raczej obcesowy, opryskliwy. Myślę, że męczyło go poczucie winy z powodu nieudzielenia pożyczki Regiewiczowi. Chyba uważał, że to pośrednio przyczyniło się do jego samobójstwa.

Inspektor ze stolicy wydawał się usatysfakcjonowany. Spozrzegł, że młody policjant przypatruje mu się uważnie.

– Może zacznijmy jeść, zanim wszystko wystygnie. – Inspektor wskazał ruchem głowy na przyniesione jakiś czas temu talerze. – A gdy zafrasowana mina Veselego nie uległa zmianie, dodał: – Niech się pan rozchmurzy, podkomisarzu. Mnie naprawdę nie interesuje to, co pan robił po godzinach pracy. Nie zamierzam także z nikim innym rozmawiać w krakowskiej komendzie. Jak już mówiłem, nie mam nawet czasu, żeby pospacerować po krakowskiej starówce.

Vesely kiwnął głową, że rozumie, momentalnie odpuściło go też napięcie.

– Przyjechał pan do Krakowa tylko dlatego, żeby ze mną porozmawiać? – zapytał. – Nie łatwiej było zadzwonić?

– Przecież pan także wolał spotkać się z Zilberem w cztery oczy, nieprawdaż? – wytłumaczył się Bilski.

– Ma pan rację, bezpośredni kontakt jest o wiele efektywniejszy – zgodził się Zygmunt. – Zastanawia mnie jeszcze jedno, jak mnie pan odnalazł? Przecież nie zostawiłem Zilberowi żadnych namiarów na siebie.

– Jego żona powiedziała mi, że był u nich oficer policji z Krakowa o czeskim nazwisku. Odnalezienie pana było więc tylko kwestią czasu.

– Teraz przypominam sobie. – Podkomisarz uśmiechnął się. – Zilber dokładnie przeglądał moją legitymację służbową. Nawet się mnie pytał, co krakowski policjant robi w Warszawie.

– No widzi pan! Wystarczy tylko odnaleźć właściwe klocki i odpowiednio je dopasować, a od razu wyłoni się prawdziwy obraz – skomentował Bilski. – A swoją drogą, to skąd pochodzi pana rodzina? Nosi pan faktycznie rzadko spotykane w Polsce nazwisko.

– Z Węgier. W czasach cesarstwa austro-węgierskiego jeden z moich przodków pochodzący z miasta Szeged ożenił się z posażną krakowską mieszczką.

– Ciekawe. A co skłoniło pana do pracy w policji? – inspektor zmienił temat.

– A pana? – Vesely skontrował pytanie.

Warszawiak zastanowił się. Twarz jakby mu spoważniała. Odpowiedział dopiero po chwili:

– Pociągała mnie przygoda, no i chciałem robić coś konkretnego.

– To podobnie jak ja – powiedział Zygmunt.

Rozstali się, życząc sobie nawzajem powodzenia. Bilski na odchodnym jeszcze raz zapewnił, że nic nikomu nie wspomni o prywatnym śledztwie Zygmunta.

\*\*\*

Siedzieli w przytulnym bistro na krakowskim rynku. Justyna grzebała niemrawo widelcem w sałatce. Spuszczony wzrok dziewczyny oraz milczenie niepokoili Veselego.

– Masz dzisiaj zły humor – stwierdził. – Jakież problemy w pracy?

– Wszystko w porządku – odrzekła. – Jej matowy głos nie brzmiał soczyście, tak jak zwykle.

Zygmunt przypatrywał się, jakby chciał przeniknąć jej myśli. Czuł, że coś jest nie tak.

– Jeśli coś cię martwi, to pogadajmy – zachęcił do zwierzeń.

Justyna wyprostowała się i spojrzała na niego, lekko przekrzywiając głowę. Jej ciało mówiło, że wewnątrz niej toczy się jakaś walka.

– Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że jestem z wyboru singielką?

Vesely był zbyt inteligentny, by nie odgadnąć, do czego zmierza.

– Chcesz zakończyć naszą znajomość? – spytał wprost. Zobaczył, jak twarz kochanki znieruchomiała, zaś oczy na chwilę zrobiły się jak szparki.

– Tak – padła sucha odpowiedź.

– Możesz powiedzieć dlaczego? – Jego głos zabrzmiał cierpko, co świadczyło, że tłumi w sobie przyływ silnego wzburzenia.

– Nie poznałam nikogo innego – zastrzegła, co spowodowało u Veselego chwilowe odprężenie. – Po prostu zdałam sobie sprawę, że zaczęłam się mocno angażować w nasz układ.

– Co masz dokładnie na myśli? – W Zygmuncie, pomimo niepożądanego deklaracji ze strony dziewczyny, zakiełkowało zadowolenie.

– Jakiś czas temu odkryłam, że tęsknię za tobą i liczę godziny do naszego spotkania – odparła poważnie.

– I to cię tak bardzo martwi? – Zadowolenie ujawniło się w pełni, zaspokajając jego męskie ego.

– Nie tyle martwi, co wręcz przeraża – odpowiedziała szybko. – Nie chcę pakować się w uczuciowy związek – wyjaśniła.

– Ale przecież dobrze się razem bawimy – chciał zbagatelizować jej wątpliwości.

– Bardzo dobrze – przyznała. – Jednak równocześnie zaczęło mi na tobie zależeć. A tego nie miałam w planie.

– Jakim planie? – Vesely nie mógł pojąć, o co jej chodzi.

– Zrozum! Nasza relacja miała się ograniczać jedynie do wspólnego spędzania czasu, i to głównie w łóżku. Tymczasem staliśmy się parą. – Zrobiła pauzę. – A ja tego nie chciałam – dodała po chwili ściszym głosem.



– Czy to coś złego, że się polubiliśmy? Przecież żeby spać ze sobą, to chyba trzeba, mimo wszystko, coś do siebie czuć – spróbował nieporadnie odwieść kochankę od jej decyzji.

– Nie chcę być w związku!!! – W głosie Justyny pobrzmiała nuta hysterii.

– Uspokój się! – Zygmunt zauważył, że personel bistro przypatruje się im z zainteresowaniem. – Nie tworzymy związku. Po prostu spotykamy się. Przecież nie planujemy wspólnej przyszłości. – Miał nadzieję, że taki argument zakończy sprawę, lecz okazało się, że nie.

– To tylko kwestia czasu – odparła. – Zrozumiałam to po weekendzie, który spędziliśmy w moim mieszkaniu.

– Czy mogłabyś trochę przybliżyć mi swój tok myślenia, bo jakoś nie ogarniam. – Vesely przypawił barwę swojego głosu niewielką dawką uszczypliwości.

– Jak wychodziłeś ode mnie w niedzielę wieczorem, to chciałam ci zaproponować, żebyś został do poniedziałku. Na szczęście ugryzłam się w język. Uświadomiło mi to jednak, że się do ciebie przywiązałam, że jesteś już stałym elementem mojego życia. A jak już powiedziałam, jestem z wyboru singielką.

– Co za facet tak cię skrzywdził? – To pytanie nasunęło się Zygmuntowi na usta niejako automatycznie.

Zrozumiał, że Justyna musiała kiedyś przeżyć wielki uczuciowy zawód, a ta cała fanaberia nazywana przez nią samotnością z wyboru była tak naprawdę ucieczką od czegoś, co przydarzyło się jej w przeszłości. W ten sposób stworzyła sobie pancierz chroniący ją przed potencjalnym emocjonalnym nieszczęściem. Zobaczył, jak oczy dziewczyny zaszklily się nieznacznie. Zrobiło mu się jej bardzo żal. Ujął dłoń dziewczyny i powiedział ciepło:

– Ze mną nie musisz się niczego obawiać.

Uwolniła się z jego delikatnego uścisku.

– Tu nie chodzi o ciebie, lecz o mnie – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Jesteś świetnym, uroczym facetem, dlatego... – szukała właściwych słów – ...nie możemy się dalej spotykać. Wybacz! – dokończyła prostolinijnie i zdecydowanie.

Powiedziawszy to, wstała od stolika i po prostu poszła sobie. Vesely odprowadził ją wzrokiem. Gdy zniknęła z pola widzenia, nie wytrzymał i walnął ze złości, a bardziej rozżalenia, pięścią w stół, który tubalnie zadudnił. Spojrzał na

obserwujących go cały czas pracowników bistro. Musiał groźnie wyglądać, gdyż ci z przestrachem jak na komendę odwrócili głowy w przeciwnym kierunku.

\*\*\*

Sala, w której odbywał się otwarty turniej szachowy o puchar starosty krakowskiego, pękała w szwach. Przy szachownicach siedziało prawie stu uczestników w różnym wieku: najmłodszy miał lat dziesięć, zaś najstarszy ponad osiemdziesiąt. W piątkowe popołudnie stawili się też licznie kibice, ci okupowali miejsca pod ścianami.

Panowała nerwowa atmosfera, wszyscy czekali na zakończenie oficjalnego otwarcia zawodów. Po krótkich, okolicznościowych przemówieniach do głosu doszli sędziowie. Przypomnieli zasady zawarte w regulaminie turnieju, pożyczyli szczęścia i powodzenia, po czym dali sygnał do rozpoczęcia gier.

Vesely pierwszą rundę przeszedł bez problemu, przeciwnik nie był zbyt wymagający. Już w pierwszej fazie popełnił karygodny błąd, więc pokonanie go było kwestią zaledwie kilkunastu ruchów. Kolejny konkurent okazał się nie lada wyzwaniem. Grał bardzo uważnie, kontrolował umiejętnie środek szachownicy oraz nie pozwalał rozwinąć ataku z flanki. Plan Zygmunta, zasadzający się na stworzeniu zapory z pionów i urządzeniu swoistej dywersji skoczkami oraz diagonalnymi posunięciami gońców, poniósł fiasko. Zroszował więc króla i postanowił czekać na błąd tamtego. To spowodowało, że pojedynek przeistoczył się w bitwę pozycyjną. Podkomisarz wiedział, że zwycięży ten, kto okaże bardziej zimną krew, gdyż kluczem do sukcesu była w tym przypadku cierpliwość. Po kilkunastominutowej „zabawie w ciuciubabkę” u przeciwnika dało się zauważyć pierwsze oznaki zdenerwowania. Poskutkowało to bardzo nierozsądnym rozprowadzeniem przez niego wieży i hetmana. Właśnie na coś takiego czekał Vesely. Teraz wykorzystał jednego ze swoich gońców i założył klasyczne widełki na wspomniane figury. Policjant zbił hetmana i to przesądziło o losie tej partii. Kilka minut później Zygmunt przyjmował gratulacje od spoconego z emocji rywala.

Ogłoszono przerwę. Podkomisarz ruszył na poszukiwanie kawy oraz jakichś słodczy. Musiał odżywić mózg i nabrać energii, którą pochłonęła gra.

Z ciekawością przyjrzał się tablicy informującej o sparowaniu zawodników w następnej rundzie. Wynikało z niej, że będzie walczył z kobietą.

W zaimprovizowanym na potrzeby turnieju minibarze spotkał Stanisława, który również uczestniczył w zawodach.

– Mam nadzieję, że trafię na ciebie dopiero w finale – zagadnął do niego wesoło.

– Widzę, że masz dobry humor, a to oznacza, że jeszcze nie przegrałeś – odparł inspektor z udawaną złośliwością.

– Zgadza się, chociaż w drugiej rundzie trafiłem na naprawdę dobrego zawodnika. A ty jak rokujesz swój wynik?

– Mam nadzieję dojść do ćwierćfinału. To maksimum moich możliwości. Potem już będą lepsi ode mnie, więc nie mogę nawet marzyć o dalszym awansie.

– To w takim razie trochę jeszcze pograsz – stwierdził z autentyczną zazdrością Vesely.

– A jak tam twoje śledztwo, młody? Pojawiło się coś nowego? – Stanisław zmienił temat.

– W przyszły weekend jadę do stryja, do Katowic. Biorę się za poszukiwania historyka.

Zygmunt nie zamierzał wspomnieć nawet słówkiem o wizycie policjanta z komendy stołecznej. Po pierwsze, nie chciał niepokoić starszego policjanta podczas turnieju, co mogło odbić się niekorzystnie na jego grze, a po drugie bał się, że informując go o tym fakcie, utraci jego zaufanie.

– Powiem szczerze, że jestem ciekaw, co z twoich poszukiwań wyniknie – kontynuował wątek inspektor. – Nie zapomnij zaprosić mnie na szachy, by opowiedzieć mi o wszystkim.

– Masz to jak w banku – odrzekł podkomisarz. – A teraz chodźmy grać, przerwa dobiega końca.

Pożegnali się jak starzy kumple, których wiążą poufne zawodowe sprawy.

Przeciwnikiem w rundzie trzeciej, czyli w jednej szesnastej finału, nie okazała się kobieta, lecz rudowłosa, dwunastoletnia dziewczynka. Vesely już siedział przy stole, gdy podeszła do niego i rezolutnie przedstawiła się, wyciągając do niego na powitanie rękę.

– Cześć, Agnieszka jestem.

Uśmiechała się przy tym niezwykle sympatycznie od ucha do ucha, a liczne piegi pokrywające twarz nadawały jej nieco łobuzerskiego charakteru.

„Pieguska”, jak nazwał ją w myślach Zygmunt, rozpoczynała partię, gdyż w tej rundzie przypadły jej bierki białego koloru. Zadebiutowała klasycznie, pionem ku centrum szachownicy. Podkomisarz chciał jak najszybciej przejąć inicjatywę, a zarazem skomplikować sytuację, więc postanowił zastosować obronę sycylijską w wariacie Richtera – Rauzera. Jednak odpowiedź Agnieszki dobitnie świadczyła o tym, że doskonale orientuje się w teorii tej defensywy. Konsekwentnie starała się utrzymać kontrolę nad środkowym obszarem gry, przy jednoczesnym blokowaniu poczynań Veselego na skrzydle hetmańskim. Bez wątplenia, mimo tak młodego wieku, była znakomitą szachistką.

Policjant zastanawiał się nad dalszą strategią, gdy kątem oka dostrzegł, że ktoś podszedł w pobliże stołu, przy którym grał, by zapewne dokładniej przyjrzeć się przebiegowi partii. Machinalnie skierował ku niemu wzrok i osłupiał. Kibicem okazał się inspektor Bilski z komendy stołecznej.

Fakt ten podziałał na Veselego tak rozpraszająco, że zaczął popełniać szkolne błędy. Widział nawet pewnego rodzaju zdziwienie w oczach swojej przeciwniczki. W rezultacie przetrząnął sromotnie, gdyż inaczej nie można było określić tej porażki. Był tak oszołomiony, iż nawet nie zwrócił uwagi, jak „Pieguska” potrząsa jego ręką na pożegnanie, mówiąc:

– No, to cześć.

Bilski podszedł do niego, gdy przetrawiał klęskę, wyzywając się w myślach od durniów i zarzekając, że już nigdy w życiu nie zasiądzie przy szachownicy.

– Mam nadzieję, że to nie przeze mnie pan przegrał – rzekł inspektor.

– To było lokalne genialne dziecko. – Zygmunt podjął próbę ratowania honoru.

– W zasadzie nie miałem szans. A pan specjalnie aż z Warszawy przyjechał na turniej, czy też znalazł wreszcie czas, by pozwiedzać Kraków? – Frustracja i potrzeba odreagowania tryskały z jego oblicza.

– Ale dopiekła panu ta mała. – Warszawiak zaśmiał się wyrozumiale.

– Załatwiła mnie, nie ma co gadać. – Podkomisarz machnął ręką w geście rezygnacji. Jego głos świadczył jednak o tym, że już pogodził się

z niepowodzeniem.

– Ale wracając do pytania, to przyjechałem znowu do pana. – Bilski wypowiedział to zdanie stanowczo i trochę wolniej.

Vesely popatrzył na niego i zadał kolejne pytanie, brzmiące nieco zabawnie:

– W weekend?!

– Nie rozumiem, czemu się pan dziwi. – Inspektor wzruszył ramionami. – Pan przecież w Warszawie także pracował w weekend. – Słowo „pracował” zaintonował odmiennie, co spowodowało, że Zygmunt zamilkł.

– Zapraszam pana na kolację – rzekł Bilski. – Przegrana z tą nastolatką chyba już zwalnia pana z dalszego uczestnictwa w zawodach?

Podkomisarz kiwnął głową na potwierdzenie. Inspektor zaś dodał:

– Mam tylko prośbę, żeby wskazał pan jakąś knajpę, gdzie dają dobrze zjeść. Szczerze mówiąc, jestem bardzo głodny, od rana nie miałem nic w ustach.

Vesely spojrział na stołecznego policjanta podejrzliwie. „Czego ten facet chce ode mnie i skąd wiedział, że biorę udział w turnieju?” – zastanawiał się. Ten chyba czytał w jego myślach, bo zakomunikował:

– Wszystko wyjaśnię przy posiłku.

\*\*\*

Jedli pyszne flaki po lwowsku. Warszawiak musiał być faktycznie wygłodniały, gdyż nie odzywał się ani słowem. Jak tylko odsunął od siebie pusty talerz i rozsiadł się wygodnie na krześle, Vesely był pewien, że dowie się wreszcie, o co chodzi. Jednak ten uśmiechnął się tylko, co oznaczało, że jest zadowolony, i zaczął przeglądać menu.

– Podają tu znakomite czeskie piwo z beczki – zarekomendował podkomisarz.

– Skąd pan wiedział, że szukam piwa?

– Nie wiem jak pan, ale ja uwielbiam przepić pikantne flaki zimnym, pianistym piwem. – Vesely powiedział to tak sugestywnie, że inspektor zaraz zawołał kelnera i zamówił.

Zygmunt postanowił cierpliwie poczekać, aż Bilski „dojrzeje” do rozmowy. Stało się tak, gdy tylko umoczyli usta w delikatnym pilsie. Gość ze stolicy nachylił się w kierunku młodszego kolegi i przemówił:

– Muszę się panu jeszcze raz przedstawić.

Powiedziawszy to, obserwował bacznie młodego policjanta. Ten zrobił wielkie oczy i zapytał z przestachem:

– Jest pan z biura spraw wewnętrznych?

– Nie – odrzekł tamten. – Nazywam się Jerzy Gordon i jestem pułkownikiem Agencji Wywiadu.

Vesely osłupiał. Do tej pory nie miał do czynienia ze służbami specjalnymi. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Do głowy cisnęły mu się dziesiątki przeróżnych myśli, jedno jednak nie ulegało wątpliwości: ten wysokiej rangi oficer przyjechał do niego na pewno z powodu jego prywatnego śledztwa. Gordon – Bilski wziął jego milczenie za przejaw niedowierzania, dlatego też z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął legitymację służbową i położył ją rozwartą przed policjantem.

– Jeśli jestem dla pana niewiarygodny, to proszę posłużyć się swoim smartfonem, wejść na oficjalną stronę internetową Agencji Wywiadu, a potem zadzwonić pod uwidoczniony tam numer i spytać o mnie. Dyżurny poświadczy moją tożsamość.

– To nie będzie konieczne. Wierzę panu, pułkowniku – odrzekł podkomisarz, podnosząc głowę znad legitymacji.

– Jak pan myśli, podkomisarzu, dlaczego ponownie się spotykamy? – zagadnął oficer.

– Jestem przekonany, że zainteresowała pana moja opowieść, którą przedstawiłem poprzednim razem. – Vesely patrzył wnikliwie w oblicze rozmówcy. Chciał odkryć, czy jego odpowiedź wywołała jakiegokolwiek wrażenie. Jednak tamten pozostał niewzruszony. – Jestem także niezmiernie ciekaw – Zygmunt zrobił efektowną pauzę – jaki związek z moją sprawą ma zniknięcie Leszka Zilbera.

– Trafił pan w sedno. – Pułkownik pokiwał z uznaniem głową. – Zanim jednak to wyjaśnię, musi mi pan przyrzec, że to, co powiem, zostanie zachowane w tajemnicy.

– Ma pan na to moje słowo – obiecał podkomisarz.

– W takim razie proszę uważnie słuchać. Zaginiony jest funkcjonariuszem Agencji Wywiadu zatrudnionym w naszym wewnętrznym archiwum. Biorąc pod uwagę charakter jego pracy, instytucja, którą reprezentuję, musi uwzględnić dwie opcje. Pierwsza: Zilberowi coś się przydarzyło; uległ na przykład śmiertelnemu wypadkowi i potwierdzenie tego faktu jest tylko kwestią czasu albo ktoś, z przyczyn niezwiązanych z jego pracą, pozbawił go życia i skutecznie ukrył ciało, by uniknąć odpowiedzialności. Druga: Zilber na czyjeś polecenie wyniósł z archiwum jakieś ważne dokumenty, następnie otrzymał za tę przysługę szczerą zapłatę i urządził sobie życie gdzieś bardzo daleko od naszego kraju.

– Przecież w grę musiałyby wchodzić kolosalne pieniądze – zauważył Zygmunt.

– Zaręczam panu, że w archiwum Agencji przechowywane są materiały, jakie dla niektórych państw i ich wywiadów mają taką właśnie wartość – odparł Gordon.

– No dobrze, ale jak to się ma do sprawy, którą próbowałem rozwiązać?

– Do obowiązków Zilbera należał między innym nadzór nad archiwaliami dotyczącymi spraw sprzed wielu lat, realizowanych jeszcze przez wywiad Służby Bezpieczeństwa. Wiemy już na pewno, że wśród nich mogą być dokumenty traktujące o operacjach, w których uczestniczył Regiewicz.

– No tak... Teraz wreszcie wszystko jest jasne... Jednak miałem rację... – Vesely niemal wyrzucił to z siebie rozdygotanym, pełnym ekscytacji głosem. Zrozumiał bowiem, że jego marzenie o poważnym śledztwie, o skomplikowanym przestępstwie, urzeczywistniło się.

– Co pana wprowadziło w taką euforię? – Gordon popatrzył na policjanta z zainteresowaniem.

– Właśnie pan potwierdził pośrednio moje przypuszczenia co do charakteru śmierci Mariana Strypuli. – Zygmunt emanował zadowoleniem. – Zbierając informacje na jego temat, doszedłem do wniosku, że jeśli został zamordowany, to motyw zbrodni wywodził się z jego przeszłości. Zatem, jeśli Zilber rzeczywiście wykradł coś z waszego archiwum, może to oznaczać, że miałem słuszość.

– Prawdopodobnie tak właśnie jest – zgodził się oficer AW. – W Agencji przeanalizowaliśmy pana relację o prowadzonym śledztwie i doszliśmy do przekonania, że zniknięcie Zilbera, samobójstwo Regiewicza oraz wypadek

Strypuli mogą być w jakiś sposób ze sobą powiązane. Niestety, nie wiemy w jaki. Panie podkomisarzu – kontynuował pułkownik – mam prośbę. Chciałbym, żeby pan bardzo szczegółowo, nie pomijając żadnego faktu, opowiedział o swoich działaniach i ustaleniach, a potem to samo przedstawił w formie pisemnej. W Warszawie przeanalizujemy to i może uda nam się wpaść na jakiś trop.

– Czy jest sens powielić relację słowną tekstowym sprawozdaniem? – Zygmunt miał wątpliwości.

– To sprawdzona metoda – odparł oficer. – Pana wypowiedź zostanie nagrana na dyktafon, a z niej potem powstanie stenogram. Ten porównamy z tym, co pan napisze. Wszystkie nieścisłości, rozbieżności oraz wątpliwości będą podstawą dalszego postępowania.

– To może potrwać kilka godzin.

– Mam pokój w hotelu, będziemy musieli się tam przenieść. Mam nadzieję, że nie odmówi pan pomocy. Nie chcę używać górnolotnych słów, ale sprawa jest niezwykle ważna dla bezpieczeństwa państwa.

Vesely zgodził się, doskonale rozumiał powagę sytuacji.

\*\*\*

Opowieść podkomisarza trwała ponad dwie godziny, zaś przelanie jej na papier o wiele, wiele dłużej. Gordon zażyczył sobie bowiem, by sprawozdanie z jego śledztwa miało formę listy wszystkich przeprowadzonych przez niego działań, na dodatek uporządkowanych chronologicznie, z przypisanymi do nich ustaleniami i wnioskami. Od początku miał także problem z udziałem Stanisława w relacjonowanej sprawie, postanowił jednak o nim nie wspominać. Przyjął założenie, że w razie pytań o billing połączeń Regiewicza zasłoni się koniecznością utrzymania w tajemnicy swoich układów w komendzie: po prostu odmówi udzielenia informacji w tej kwestii.

Pisał ręcznie, więc pierwsza wersja dokumentu była pełna skreśleń i poprawek, gdyż co rusz przypominał sobie o czymś, co burzyło dotychczasowy porządek. W rezultacie postanowił przepisać wszystko na czysto, co zajęło dodatkową godzinę. W myślach przyznał rację oficerowi wywiadu, że powielanie słownej relacji przekazem tekstowym ma głęboki sens. Zauważył, że w trakcie pisania



uporządkował wszystkie fakty, co uprościło ogląd całej materii; uruchomił także w sobie proces autorefleksji, która poskutkowała większą obiektywnością wniosków. Postanowił, że w przyszłości wykorzysta to doświadczenie w swojej policyjnej robocie.

W czasie gdy podkomisarz ślęczał nad sprawozdaniem, Gordon ze słuchawkami w uszach analizował nagranie. Na bieżąco sporządzał odręczne notatki, a potem porównywał je z jakimiś danymi, które odczytywał na niewielkim laptopie.

Skończyli tuż przed drugą w nocy. Pułkownik sięgnął do swojej torby podróźnej i wyciągnął niewielką butelkę szkockiej whisky. Rozlał zawartość do dwóch hotelowych szklanek. Vesely pomyślał, że zasłużył na alkohol. Chwilę później poczuł rozlewające się w nim ciepło, zrobiło mu się błogo i komfortowo.

– Mam dla pana propozycję, podkomisarzu. – Gordon wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju. – Chciałbym, żeby poprowadził pan dla Agencji Wywiadu, tu w Krakowie, śledztwo, które miałoby na celu wyjaśnienie przyczyn zaginięcia Leszka Zilbera. Zna pan teren, dokonał już wielu istotnych ustaleń i, co najważniejsze, wie pan, czego szukać – uzasadnił.

Zygmunt poczuł, jak rozpiera go duma. Marzył o prawdziwej, kryminalnej sprawie, o zagadce wymagającej intelektualnych zdolności, o szaradzie, której z pasją by się poświęcił. Ale coś takiego?! Smak tajemnicy, który tak uwielbiał, zmieszał się z wigorem będącym efektem pitego alkoholu.

– Co pan na to? – Pułkownik przyjął milczenie policjanta za przejaw obawy, która mogła przeistoczyć się w odmowę.

– Szczerze mówiąc, jestem lekko oszołomiony – odparł podkomisarz. – Oczywiście jestem do dyspozycji, o ile wyrażą na to zgodę moi przełożeni.

– Niestety, nie będzie pan mógł powiadomić swoich zwierzchników ani nikogo innego, włączając w to rodzinę oraz przyjaciół, o tym, że pracuje pan dla Agencji. Utrzymanie tego faktu oraz przyszłych działań w sekrecie jest warunkiem podstawowym ewentualnej współpracy. Jeśli wyrazi pan na nią zgodę, poproszę o podpisanie odpowiedniego zobowiązania.

– Chce pan, pułkowniku, żebym został jakimś tajnym współpracownikiem? – Vesely prawie się oburzył. – Nie myślałem, że w naszym kraju stosowane są

jeszcze metody rodem z SB.

Gordon uśmiechnął się ze zrozumieniem, przez które przebijają rozbawienie.

– Panie podkomisarzu – odrzekł – fakt zmiany, trzydzieści lat temu, systemu politycznego w naszym kraju nie oznacza, że tajne służby, a do takich zalicza się instytucja, którą reprezentuję, zrezygnowały z fundamentalnych metod działania. Proszę na ten problem spojrzeć inaczej: prawdopodobnie ktoś, w sposób tajny, zaatakował nasze państwo! Możemy się temu przeciwstawić, lecz żeby to zrobić, musimy własne działania także utrzymać w tajemnicy. Stąd wymóg udzielenia przez pana formalnej obietnicy, że nie przekaże pan nikomu informacji na ten temat. W świecie wywiadu takie postępowanie jest po prostu normą.

– Założmy, że przyjmę propozycję. – Podkomisarz już wiedział, że się zgodzi. – Ale wypełniając swoje oficjalne policyjne obowiązki, nie będę miał przecież zbyt wiele czasu na śledztwo w sprawie Zilbera.

– To rzeczywiście jest problem – odrzekł Gordon. – Jedynym wyjściem jest działanie „po godzinach” oraz tak zwane „odpowiednie maskowanie się” w czasie oficjalnej pracy. Na przykład wyszukiwanie potrzebnych informacji w Internecie może pan przeprowadzać za biurkiem w komendzie, zaś by zdobywać wiedzę w terenie, będzie się pan znacząco spóźniał na służbę lub z niej wcześniej „urywał”.

– Ale jak to wytłumaczę naczelnikowi?

– Jak to, jak? – Pułkownik był autentycznie zdziwiony pytaniem. – Będzie pan kłamał – wyjaśnił, po czym roześmiał się głośno i dodał: – i to w żywe oczy.

Vesely podpisał zobowiązanie o zachowaniu w tajemnicy wszystkiego, co będzie dotyczyć zadania wykonywanego na rzecz Agencji Wywiadu. Patrzył z lekkim niepokojem, jak kartka papieru z jego oświadczeniem, niczym piekielny cyrograf, znika w teczce Gordona. Ten, w niczym niepodobny do diabła z legendy o Panu Twardowskim, oznajmił:

– Teraz wreszcie mogę przekazać panu inne istotne informacje związane ze sprawą. Po pierwsze, muszę powiedzieć kilka słów o Regiewicz.

Podkomisarz lepiej usadowił się na krześle, jakby komfort siedzenia miał wpływ na poznawanie poufnej wiedzy.

– Był on, mianowicie, oficerem pionu wywiadu nielegalnego SB – ciągnął pułkownik. – Oznacza to, że pracował przy najtajniejszych operacjach, których celem było umieszczanie za granicami kraju polskich agentów posługujących się zazwyczaj przybraną tożsamością i podszywających się pod obywateli państw, w jakich przyszło im działać.

– Teraz rozumiem, co oznaczało, że był członkiem „elitarnego zespołu” – Zygmunt przypomniał sobie rozmowę z byłą żoną esbeka.

– To trafne określenie – przytaknął Gordon. – W każdym wywiadzie na świecie oficerów pracujących z nielegalami, tak bowiem nazywa się powszechnie agentów, o których wspomniałem, zalicza się do elity elit. Do takiej roboty, panie podkomisarzu, po prostu kierowano i kieruje się naprawdę najlepszych. Ale powróćmy do istoty rzeczy – kontynuował. – Po drugie, Leszek Zilber oprócz obsługi materiałów, jakie na bieżąco trafiają do archiwum, nadzorował także teczki z dokumentami dotyczącymi właśnie spraw prowadzonych w przeszłości przez pion wywiadu nielegalnego.

– Czyli, de facto, koło się zamknęło. – Młody policjant był podekscytowany. – Przecież wystarczy przewertować archiwalne dokumenty i ustalić, jakie operacje realizował Regiewicz. To powinno sporo wyjaśnić.

– Ma pan rację. Rzecz w tym, że owych materiałów jest dużo. Zresztą musimy zinwentaryzować wszystko, gdyż wcale nie jest pewne, że chodzi wyłącznie o jednostki archiwalne SB. Natomiast ich wnikliwy przegląd może potrwać nawet wiele miesięcy. A my prawdopodobnie nie mamy tyle czasu, by ustalić, do czego komuś są potrzebne nasze zasoby. Oczywiście poszukiwania w archiwum już trwają, jednak uważamy, że równolegle trzeba prowadzić śledztwo poza Agencją. Stąd też zostałem upoważniony do zaproponowania panu współpracy, podkomisarzu.

– Boję się, że wiążecie ze mną zbyt wiele nadziei – rzekł Zygmunt. – Szczerze mówiąc, jedyny mój pomysł na dalsze działanie to odszukanie młodego historyka.

– To się dobrze składa. Ja także uważam, że należy od tego zacząć. Powiem nawet więcej: my już go szukamy. Jeśli będę miał na jego temat jakieś informacje, od razu je panu przekażę.

– Nie rozumiem tylko, do czego wtedy będę potrzebny? – Podkomisarz nie potrafił się umiejscowić w takiej sytuacji.

– Och, to przecież oczywiste – odrzekł pułkownik. – Będzie pan musiał przeprowadzić z nim rozmowę. Powoła się pan przy tym na wyjaśnianie wypadku Strypuli. To go nie powinno wystraszyć ani wzbudzić zbędnych podejrzeń, jeśli w jakiś sposób byłby zaangażowany w naszą sprawę. A gdyby od razu pojawił się u niego ktoś z Agencji Wywiadu, mogłoby to zaszkodzić prowadzonemu śledztwu.

– Teraz rozumiem. – Zygmunt się uśmiechnął. – Rozwiązując zagadkę, mam być zarazem swego rodzaju „odbojnikiem”?

– Zderzakiem, buforem, piorunochronem – potwierdził Gordon. – Niech pan to nazywa, jak chce. Jednak w żadnym wypadku nie umniejsza to roli, jaką ma pan do odegrania. Pana osoba gwarantuje, iż zasadnicze kwestie pozostaną w cieniu, a to daje Agencji większą elastyczność, po prostu czyni ją silniejszą.

Zygmunt był zakłopotany. Nikt nigdy nie mówił mu, że tyle od niego zależy. Z drugiej zaś strony, odczuwał radość i nagły wzrost własnej wartości. Gdyby Gordon kazał mu szukać historyka na końcu świata, najpewniej natychmiast by tam wyruszył.

– No dobrze – zagadnął po chwili milczenia oficer wywiadu. – Mam jeszcze następujący problem do wyjaśnienia. Otóż odsłuchałem z dyktafonu pana relację i zauważyłem, że w pewnym momencie żali się pan na to, że nie miał okazji przeprowadzić oględzin mieszkania Regiewicza po popełnieniu przez niego samobójstwa. Jak należy to rozumieć?

– Rozmowa, którą przeprowadziłem na wideoczacie z policjantem z warszawskiej dochodzeniówki, uzmysłowiła mi, że jego oględziny były bardzo pobieżne. Po prostu nie zwrócił uwagi na szczegóły, które mnie zainteresowały.

– No więc proszę powiedzieć, czego pan by szukał? – Gordon wziął do rąk notatnik i długopis.

– Przede wszystkim wiertarki. Jej znaczenie przedstawiłem, opisując rozmowy z sąsiadami Regiewicza, zwłaszcza z mieszkającym obok niego młodym małżeństwem. Szukałbym też betonowego pyłu świadczącego o rozwiercaniu otworu w suficie.

– Pyłu?!

– Tak. Chciałbym ustalić, gdzie się znajdował. Czy na podłodze, czy też na stole w pokoju, gdzie samobójca się powiesił. Czy na jakimś krześle, czy tylko w koszu na śmieci. A jeśli został zamieciony, to czy jego drobiny pozostały na zmiotce.

– Widzę, że jest pan bardzo szczegółowy w swojej robocie. – Oficer wywiadu wydawał się bardzo zadowolony z wypowiedzi policjanta.

Vesely zaczerpnął powietrza i dopowiedział:

– Ponadto bardzo interesujące są, moim zdaniem, zwłaszcza w kontekście zainteresowania okazanego całej sprawie przez pańską służbę, owe trzy połączenia, które ktoś wykonał do Regiewicza ze Szwajcarii. Sprawdziłbym także, czy na rynku farmakologicznym faktycznie pojawił się jakiś nowy lek na raka, na który chorował.

– W porządku, spróbuję się tym zająć. – Gordon z uznaniem pokiwał głową.

– Mam jeszcze jeden problem, którego nie potrafię rozwiązać – przypomniał sobie policjant.

– Niech go pan przedstawi, śmiało – zachęcił pułkownik.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego Strypula dzwonił wielokrotnie przed śmiercią do Regiewicza, używając telefonu stacjonarnego, a nie komórkowego, choć musiał za to dodatkowo zapłacić. Nie pasuje mi to do jego charakteru. Był przecież bardzo skąpy.

Gordon zastanawiał się przez chwilę.

– Odpowiedź chyba jest prosta – odrzekł. – Kiedy do powszechnego użycia wchodziły telefony komórkowe, wśród funkcjonariuszy służb specjalnych narodziło się przekonanie, że rozmowy prowadzone za pomocą łączy stacjonarnych trudniej jest podsłuchać. Myślę, że stąd wynika zachowanie tego byłego esbeka.

– Obawiał się, że może być inwigilowany? – Vesely zdziwił się. – To bardzo ciekawe spostrzeżenie. Jeśli tak było naprawdę, to oznaczałoby, że Strypula i Regiewicz faktycznie rozprawiali o jakichś poufnych sprawach.

– Tego już się niestety nie dowiemy – podsumował oficer wywiadu.

Dyskutowali jeszcze jakiś czas. Później pułkownik wypytywał jeszcze podkomisarza o jego pracę oraz życie osobiste. Najwyraźniej chciał zdobyć wiedzę o nowym współpracowniku. Nie zrodziło to jednak sprzeciwu w Zygmuncie.

W końcu obaj doszli do wniosku, że są zmęczeni. Większa część nocy już minęła, postanowili więc zakończyć spotkanie.

– Pozostaje mi tylko życzyć panu, podkomisarzu, powodzenia i sukcesów w poszukiwaniach młodego historyka – powiedział oficer wywiadu.

– Nie dziękuję, żeby nie zapeszyć – odparł policjant.

Przed wyjściem pułkownik podał Zygmuntowi numer swojej komórki, poinstruował go także:

– Zasada jest prosta: przez telefon nie rozmawiamy o sprawie. Nie przekazujemy żadnych informacji o poczynionych ustaleniach, nie używamy nazw naszych stopni oficerskich ani instytucji, w których pracujemy. Posługujemy się wyłącznie imionami. Połączenie ma służyć tylko do umówienia spotkania. Proszę powtórzyć to, co powiedziałem.

Podkomisarz wykonał polecenie i opuścił pokój. Był okropnie zmęczony, ale wiedział, że to, co dzisiaj przeżył, na pewno nie pozwoli mu zasnąć. ■

Zygmunt mknął autostradą A4 w kierunku Katowic. Pogoda była wspaniała. Słoneczne światło oraz błękit nieba nastrajały go bardzo optymistycznie do życia i świata. Rozbrzmiewające z samochodowego odtwarzacza amerykańskie przeboje z lat siedemdziesiątych, które tak uwielbiał, potęgowały w jego organizmie obecność endorfin. Ruch był niewielki, toteż mógł spokojnie prowadzić i jednocześnie rozmyślać o ostatnich wydarzeniach.

Od zakończenia rozmowy z pułkownikiem Gordonem upłynęło dokładnie trzydzieści godzin. Po początkowej euforii, która minęła wczorajszego, sobotniego popołudnia, Veselego opadły wątpliwości. Im dłużej analizował całą sytuację, tym bardziej fakt podjęcia współpracy z wywiadem wywoływał w nim poczucie lęku. Siadł nawet do komputera i zrobił swoisty research artykułów o polskich służbach specjalnych. Obiegowe opinie były nieprzychylnie i nasączone podejrzeniami o ich uwikłanie w politykę. To spotęgowało jego obawy. Zaczął poważnie zastanawiać się nad tym, czy dobrze zrobił, zgadzając się na prowadzenie śledztwa dla Agencji i podpisując zobowiązanie o dochowaniu tajemnicy. Potem nastąpiła faza racjonalizacji podjętej decyzji. Sam sobie wytłumaczył, że skoro jego ustalenia w sprawie śmierci Strypuli korelują z informacjami przekazanymi mu przez pułkownika, to nie należy dopatrywać się jakichkolwiek zagrożeń. Ostatecznie uspokoiło go przekonanie, że pomaga przecież własnemu państwu. To było dla niego najważniejsze, napawało go dumą.

Jednak będąc młodym, jeszcze niezbyt doświadczonym życiowo człowiekiem, podświadomie potrzebował potwierdzenia, że postąpił słusznie. A to mógł zapewnić tylko jedyny bliski mu człowiek na świecie: stryj Maciej. Zygmunt postanowił wtajemniczyć go w całą sprawę; zmierzał do Katowic nie tylko po to, by uzyskać pomoc w poszukiwaniu historyka, lecz także by porozmawiać o swojej nowej roli i zadaniu, jakie miał wykonać. Zamiar ten kłócił się oczywiście z poczuciem uczciwości, wywoływał w nim wręcz psychiczny dysonans, gdyż zdawał sobie sprawę, że nie dotrzyma podpisanego zobowiązania, jednak pragnienie akceptacji i wsparcia było silniejsze.

Ogromnie się cieszył ze spotkania ze stryjem. Maciej Vesely, politolog z wykształcenia i zamiłowania, profesor śląskiego uniwersytetu, był w zasadzie jego jedyną najbliższą rodziną. Po śmierci rodziców Zygmunta w wypadku samochodowym zaopiekował się sześciolatnim wówczas bratankiem i wychował jak własnego syna. Sam będąc zdeklarowanym kawalerem, który z pełną świadomością poświęcił się w całości nauce, zapewnił mu dom rodzinny, wykształcenie oraz przygotował do startu w dorosłe życie. I chociaż byli jedynie bliskimi sobie krewnymi, to kochali się nawzajem miłością synowską i ojcowską.

Stryj uradował się niezmiernie wizytą bratanka. Oczywiście nie obyło się bez reprimendy w stylu profesorskiego paternoster za to, że ostatnio Zygmunt tak rzadko przyjeżdżał w odwiedziny. Podkomisarz wykorzystał to do zagajenia o swoich „nowych obowiązkach”, co miało doprowadzić do zasadniczej rozmowy.

Krzętałi się obaj w kuchni, przygotowując wspólnie obiad, kiedy to Maciej spytał o owe nowości w życiu zawodowym policjanta. Vesely zaczął swoją opowieść od tego, jak to przeprowadzał oględziny w mieszkaniu Strypuli. Po pewnym czasie zauważył, że stryja autentycznie zainteresowały przedstawiane wydarzenia. Kiedy wreszcie zrelacjonował swoje spotkanie z pułkownikiem Gordonem oraz wyjawiał zasadniczy cel swojego przyjazdu, czyli uzyskanie pomocy w odnalezieniu historyka, stryj usiadł z wrażenia na krześle. Długo nic nie mówił, tylko wpatrywał się w bratanka. Nad czymś intensywnie rozmyślał. W końcu się odezwał:

– Odnalezienie tego młodego naukowca nie będzie trudne, o ile obronił doktorat.

Powiedziawszy to, zamilkł i znowu sprawiał wrażenie, że nad czymś się zastanawia. Vesely znał doskonale jego usposobienie, więc czekał, co powie jeszcze.

– Domyślam się, że chcesz poznać moje zdanie odnośnie do twojej decyzji o podjęciu współpracy z Agencją Wywiadu. Inaczej przecież nie złamałbyś podpisanego zobowiązania. – Stryj bez żadnych wstępów zajął się kwestią najważniejszą.

„Jest cholernie inteligentny” – pomyślał Vesely.



– Doceniam, że obdarzyłeś mnie aż takim zaufaniem – kontynuował Maciej. – Ale powiedz mi najpierw, Zygmuncie, jak ty sam ją oceniasz?

– Szczerze mówiąc, jestem dumny z tego, że doceniono moje ustalenia w sprawie śmierci Strypuli i powierzono mi zadanie, które posiada nie tylko walor kryminalny, ale dotyczy także bezpieczeństwa państwa – odpowiedział. – Wreszcie będę mógł poprowadzić prawdziwe, poważne śledztwo – dodał.

– O którym nigdy nikomu nie będziesz mógł zapewne opowiedzieć.

– Wystarczy mi własna satysfakcja.

– W takim razie dobrze zrobiłeś, że się zgodziłeś. – Stryj powiedział to tak prostolinijnie, że Zygmunt poczuł się w pewien sposób zawiedziony.

– Nie zasiejesz we mnie ani odrobiny wątpliwości? – spytał przekornie.

– Teraz to już nie ma sensu, przecież klamka zapadła – odparł Maciej. – Jedyne, co mogę zrobić, to prosić cię, byś bardzo uważał na siebie w kontaktach z tym pułkownikiem.

– Nie wydaje mi się, by stanowił jakieś zagrożenie.

– Posłuchaj więc „starego” profesora. Nie będę zrzędził, chcę jedynie zwrócić twoją uwagę na kilka aspektów zadania, jakiego się podjąłeś, a nawet cię przestrzec.

– Słucham bardzo uważnie! – odrzekł na to Vesely.

Stryj popatrzył badawczo, ale nie znalazł na jego twarzy oznak lekceważenia. Bratanek wpatrywał się w niego w skupieniu.

– Musisz sobie zdawać sprawę, że służby specjalne, a zwłaszcza wywiad, funkcjonują w oparciu o zupełnie inne postrzeganie rzeczywistości, niż czynią to zwyczajni ludzie, dajmy na to, ty lub ja. Ich działalność polega na ciągłym konspirowaniu, czyli faktycznym ukrywaniu wszystkiego, co robią. W skrajnych przypadkach nie poddają się kontroli ze strony instytucji demokratycznego państwa, a nawet są wykorzystywane przez aktualnie rządzących polityków do realizacji ich partykularnych interesów.

– Mówisz to, co wczoraj wyczytałem w Internecie. Do czego zmierzasz? – przerwał mu Zygmunt.

– Powinieneś brać pod uwagę, że w relacjach z tobą wywiad może nie przestrzegać norm, które ty uznajesz i których przestrzegasz. Możesz zostać

wykorzystany, oszukany, a nawet spisany na straty, jeśli znajdzie taka potrzeba.

– Ale to przecież ja będę kontrolował wszystko, co będę robił! To ja będę decydował, jak prowadzić dalej śledztwo! Więc w jaki sposób mogę zostać oszukany, a tym bardziej spisany na straty? – Podkomisarz nie widział podstaw dla takich przestróg.

– Nie wiem jak. – Maciej wzruszył ramionami. – Jednak posiadana przeze mnie wiedza upoważnia mnie do tego, by cię ostrzec. Zwłaszcza że obecnie naszym krajem rządzą żądni władzy dyletanci, którzy zrelatywizowali wszystkie wartości i ideały. Należy zatem brać pod uwagę, że ci, co kierują tajnymi służbami, są z ich nadania i odzwierciedlają taką samą mentalność. I teza, że realizują partykularne interesy swoich politycznych mocodawców, jest jak najbardziej uprawniona.

– Ależ sprawa, którą się zajmuję, ma charakter kryminalny, nie dotyczy polityki – odparł na to Vesely. – Przypominam, że chodzi o śmierć dwóch ludzi, zaginięcie trzeciego oraz prawdopodobnie o kradzież dokumentów z tajnego archiwum.

– I właśnie ta ostatnia sprawa nie daje mi spokoju! – Głos stryja zabrzmiał złowieszczo.

– Nie rozumiem. – Zygmunt z przestachem i zarazem zaciekawieniem spojrzął na krewnego.

– Powiedziałeś, że ów zaginiony pracownik archiwum Agencji nadzorował akta dotyczące operacji, jakie w przeszłości realizował wywiad SB.

– Zgadza się – potwierdził podkomisarz.

– No to posłuchaj! Zgodnie z prawem, a konkretnie ustawą o Instytucie Pamięci Narodowej z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, tego typu archiwalia powinny być zostać przekazane właśnie do IPN. Utworzono tam nawet specjalny, tak zwany „zbiór zastrzeżony”, gdzie przechowywano materiały zawierające „dane wrażliwe”, które miały w dalszym ciągu wpływ na bezpieczeństwo państwa. Z twojego zaś opowiadania, mój Zygmuncie, wynika jednak niezbitie, że nie wszystko zostało oddane. A to oznacza, że instytucja państwowa, z którą podjąłeś współpracę, nie postąpiła zgodnie z ustawą, czyli de facto złamała prawo.

– Czy jesteś tego pewien? Może ustawa przewidywała jakies przypadki szczególne, do których nie miała zastosowania?

– Właśnie dla takich przypadków powstał zbiór „Z”, zlikwidowany zresztą w dwa tysiące siedemnastym roku. Większość teczek została wtedy odtajniona, a te, które miały jeszcze znaczenie operacyjne lub zawierały istotne dla teraźniejszości informacje, otrzymały stosowne klauzule tajności. W każdym razie są przechowywane w IPN.

– A może po prostu Zilber, jako funkcjonariusz AW, nadzorował utajnione teczki wywiadu SB znajdujące się w IPN? – Podkomisarz szukał wytłumaczenia powstałego problemu.

– Oby tak było. W przeciwnym razie musisz mieć świadomość, że bierzesz udział w niezłej kabale.

– Ale przecież formalnie nic o tym nie wiem. Nie ma także żadnych oficjalnych podstaw, by twierdzić, że jest tak, jak mówisz.

– Oczywiście. Jednak dla wywiadu stałeś się posiadaczem jego tajemnic, zaś dla ludzi z zewnątrz, na przykład opozycji politycznej lub dziennikarzy, masz wartość potencjalnego świadka. Poza tym poszperaj trochę w Internecie, a sam się przekonasz, ile krąży spekulacji na temat „zbioru zastrzeżonego”, choć ten już nie istnieje. Ja sam czytałem artykuł na poważnym portalu, który sugerował, że służby nie oddały wszystkich materiałów. Niektórzy eksperci także są tego zdania, a część moich kolegów politologów i historyków jest o tym niemal przekonana.

Vesely zasepił się. To, co miało być przygodą, przeistoczyło się nagle w poważny dylemat podszyty niebezpieczeństwem. Sformułował pytanie, które miało za zadanie zniwelować poczucie zagrożenia:

– I myślisz, że pułkownik Gordon tak po prostu mnie poinformował o fakcie nieprawego przetrzymywania teczek w archiwum Agencji?

– A jak ci miał wykazać związek pomiędzy śmiercią dwóch esbeków a zniknięciem Zilbera? – Stryj uśmiechnął się niejako tryumfalnie. Logika jego pytania była nie do podważenia.

Zygmunt pokiwał głową.

– To co ja mam teraz zrobić? – Policjant wydawał się pogrążony w interpretacji sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Moim zdaniem musisz się zabezpieczyć – odpowiedział Maciej.

– Ale jak?

– Na wszelki wypadek dokumentuj współpracę z Agencją. Nagrywaj rozmowy, rób zdjęcia, sporządzaj kopie materiałów, które będą w twojej dyspozycji. Postępuj dokładnie tak, jak postępują służby specjalne. Musisz mieć argumenty, które będziesz mógł wyciągnąć, gdy zajdzie taka potrzeba.

– Masz rację, stryjasku – odparł Vesely. – Miejmy jednak nadzieję, że nigdy do czegoś takiego nie dojdzie. A swoją drogą, to ciekawe, jakie mogły być przyczyny nieprzekazania archiwaliów. Jeżeli, oczywiście, tak się stało. Jakie jest twoje zdanie?

– W mojej ocenie takie postępowanie służb byłoby w pełni racjonalne. Profesjoniści, jakich tam zapewne nie brakuje, musieli przecież przewidzieć, że politycy nie będą w stanie oprzeć się pokusie wykorzystania teczek w bieżącej walce o władzę. Poczytaj sobie, ile było zamieszania w rezultacie kasacji Wojskowych Służb Informacyjnych, nie mówiąc już o przypadkach ujawnienia oficerów wywiadu i zagranicznych agentów pracujących dla Polski<sup>7</sup>). Także IPN, który traktowany jest jak łup przez każdą ekipę przejmującą rządy, nie mógł być w ich opinii instytucją gwarantującą stuprocentowe bezpieczeństwo zasobów. Tak więc rozsądniej byłoby pozostawić u siebie te materiały, które bezwzględnie należało chronić. Najlepiej ten problem obrazuje proces likwidacji zbioru „Z”. O ile pamiętam, to zarówno cywilne, jak i wojskowe służby specjalne wnioskowały o utajnienie około dwóch tysięcy jednostek archiwalnych po rozwiązaniu zbioru, zaś władze IPN zrobiły tak w odniesieniu do zaledwie trzystu. Te liczby pokazują, że służby miały się jednak czego obawiać.

---

7) Chodzi o tzw. Raport Macierewicza (2007) dotyczący likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych.

Zjedli smakowity obiad, po którym gospodarz uraczył bratanka wyśmienitą kawą. Ten postanowił przedstawić jeszcze raz sprawę młodego historyka. Swój wywód zakończył słowami:

– Oprócz przypuszczenia, że jego nazwisko zaczyna się na literę „K”, oraz informacji o pisaniu przez niego doktoratu na temat Służby Bezpieczeństwa w Krakowie i opublikowaniu książki nic praktycznie więcej nie mam.

– Jak już powiedziałem – stryj delektował się naparem – jeśli tylko obronił pracę, to szybko go znajdziemy.

– A jeśli nie obronił? – W Zygmuncie zakiełkował pesymizm.

– To spróbuję uruchomić swoje kontakty – odparł Maciej. – Proponuję jednak nie martwić się na zapas. To źle wpływa na samopoczucie – dopowiedział nieco ironicznie.

Jakiś czas później siedli przed komputerem. Stryj wyświetlił odpowiednią stronę internetową z okienkiem wewnętrznej wyszukiwarki.

– Możesz szukać – powiedział do bratanka. – Cała baza polskiej nauki jest do twojej dyspozycji.

Zygmunt poczuł się niepewnie.

– Co najlepiej wpisać?

– W naszym przypadku najważniejszym hasłem będzie chyba „Służba Bezpieczeństwa”.

Podkomisarz zastosował się do porady. Momentalnie wyskoczyło ponad dwieście rekordów. Maciej znowu podpowiedział:

– Najpierw sprawdź kategorię „projekty badawcze”, tam powinny pokazać się między innymi prace doktorskie.

Wyświetlonych pozycji było dokładnie osiemdziesiąt sześć. Vesely z uwagą odczytywał pozycję po pozycji. W pewnym momencie zatrzymał wzrok.

– Chyba mam – rzekł cicho z wyraźnie słyszalną ekscytacją.

– Czytaj na głos! – polecił stryj, którego najwyraźniej zżerała ciekawość.

– „Tytuł pracy: Działalność krakowskiej ekspozytury Departamentu Pierwszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL w latach 1956 – 1989; Rodzaj pracy: praca doktorska; Autor: Sylwester Kalenik”.

Zygmunt był najwyraźniej zszokowany. Nie spodziewał się, że odnalezienie historyka okaże się takie proste. Ot, stuknie parę razy w klawiaturę i już: poszukiwany wyskoczy niczym królik z kapelusza za dotknięciem magicznej różdżki. Zrozumiał także, dlaczego próba odnalezienia w Internecie publikacji, jaką sam podjął niedawno, nie powiodła się: po prostu tytuł nie zawierał słów, które wtedy wpisał w wyszukiwarkę: „Służba Bezpieczeństwa Kraków”.

Nie zastanawiał się jednak długo nad fenomenem Internetu. Rzucił się ponownie do klawiatury i w okienku ogólnodostępnej wyszukiwarki wpisał uzyskane przed chwilą nazwisko. Po kilkadziesiąt sekundach miał najważniejszą informację. Młody naukowiec był zatrudniony na uniwersytecie w Częstochowie. Kilka kliknięć i na ekranie wyświetlił się jego profil na stronie uczelni. Zobaczył postawnego, lekko łysiejącego, młodego mężczyznę o pulchnej twarzy. W danych kontaktowych widniał tylko adres mailowy, nie było, niestety, numeru telefonu. Nie namyślając się, podkomisarz zalogował się do swojej służbowej poczty elektronicznej i wysłał do historyka wiadomość.

\*\*\*

W poniedziałkowy poranek pułkownik Jerzy Gordon zameldował się u szefa Agencji Wywiadu. Oprócz generała Krzysztofa Szczęsnego w gabinecie był także obecny jego zastępca do spraw operacyjnych, pułkownik Radosław Lent.

– Jak poszło w Krakowie? – spytał zastępca, nie czekając na słowa powitania.

– Zgodnie z planem – odparł Gordon. – Policjant pracuje dla nas.

– Jak zareagował na propozycję? – Szef Agencji siedział za biurkiem i przeglądał jakieś papiery.

– Nie musiałem go długo przekonywać. Jest najwyraźniej zafascynowany zadaniem, jakie ma do wykonania. To młody człowiek, postrzega swoją pracę jeszcze w kategoriach przygody i powinności. Znamienne jest to, że ani razu nie zapytał o zapłatę za wykonywane dla nas usługi.

– Czy to oznacza, że mamy do czynienia z idealistą? – Głos generała cechował niepokój. – Tacy bywają niebezpieczni – dodał.

– Nie stwierdziłem, by jego motywacje współpracy z nami wynikały z wielkich ideałów, wzorców moralnych czy też wartości duchowych. – Gordon, mówiąc nieco sarkastycznie, uspokoił szefa.

– Na wszelki wypadek zaproponuj mu wynagrodzenie – zalecił Szczęsny. – W ten sposób go sprawdzisz. A co w ogóle wiesz na jego temat?

– Jest z wykształcenia matematykiem. Nie ma żony ani dzieci. Jego rodzice nie żyją, zginęli w wypadku, jak był jeszcze dzieckiem. Wychował go brat ojca, to chyba jego jedyny bliższy krewny – odpowiedział naczelnik.

– Czy aby na pewno ten policjant będzie dla nas przydatny? – Lent był typem niezmiernie pragmatycznego oficera.

– To już przecież ustaliliśmy po mojej pierwszej z nim rozmowie. Dopóki do niczego nie dojdziemy, musimy kontynuować krakowski wątek. A Vesely to bardzo bystry chłopak. Badając przyczyny śmierci Regiewicza i Strypuli, dostrzegł detale, na które nikt nie zwrócił uwagi, włączając w to doświadczonego prokuratora. Jest inteligentny i drobiazgowy. Jednym słowem: znakomity pies gończy, w sam raz dla naszych potrzeb. W Agencji nie mamy nikogo takiego. Zresztą przywiozłem od niego mnóstwo informacji. To dobry nabytek! – Krótka charakterystyka usatysfakcjonowała przełożonych.

– Miejmy nadzieję – rzekł generał. – W weekend kolejny raz rozważałem całą sytuację i dalej twierdzę, że nie mamy wyjścia, musimy rozwiązać problem zniknięcia Zilbera własnymi siłami. A ty, Jurek – zwrócił się do Gordona – jako naczelnik Wydziału Kontrwywiadu Wewnętrzny powinieneś być tym najbardziej zainteresowany.

– To zrozumiałe – odrzekł pułkownik. Nie miał złudzeń, że jeśli sprawa nie dotyczyłaby archiwum Agencji, to jego szefowie poświęciliby jego głowę, by zabezpieczyć własne kariery. – Szczerze mówiąc, liczę na to, że jego zaginięcie nie jest powiązane z pracą w AW – powiedział.

– Należy zakładać najgorszy scenariusz – zareagował zastępca. – Dopóki nie będziemy mieć dowodów, że jest inaczej, jesteśmy zmuszeni prowadzić wewnętrzne śledztwo.

– W archiwum na razie nie stwierdzono braku żadnych materiałów – zauważył Gordon.

– Nie znaleziono także dokumentów zawierających nazwisko legalizacyjne Regiewicza, co miało świadczyć o powiązaniu śmierci esbeków z zaginięciem Zilbera. Obecnie możemy prześledzić tylko akta spraw z jego udziałem, które znajdują się w IPN – dodał Lent.

– A jakie to było nazwisko? – Szef wywiadu z zainteresowaniem uniósł głowę znad biurka.

– Jan Lipski.

– Zgrabne. – Generał Szczęsny uśmiechnął się. – Ten Regiewicz musiał mieć sporo fantazji, skoro jako oficer SB przyjął sobie za pseudonim personalia współzałożyciela KOR-u<sup>8</sup>). A wracając do sprawy, to brak nazwiska tego esbeka w kwitach nie oznacza jeszcze, że jego samobójstwo nie splata się ze zniknięciem naszego funkcjonariusza – stwierdził.

---

8) Szczęsny nawiązuje do Jana Józefa Lipskiego, działacza opozycji demokratycznej w okresie PRL, współzałożyciela Komitetu Obrony Robotników (KOR) organizacji działającej od września 1976 do września 1977 roku, sprzeciwiającej się polityce komunistycznych władz.

– Mamy na razie tylko jedną okoliczność sprzyjającą tezie, że Zilber sprzedał nasze materiały i opuścił kraj. – Naczelnik wydziału kontrwywiadowczego spostrzegł, jak twarze jego zwierzchników zamieniają się w woskowe maski.

– Mów, co odkryłeś – rzekł cicho szef Agencji.

– Przycisnąłem jego żonę – zaczął Gordon – i wyznała mi, że od ponad dwóch lat była z mężem w faktycznej separacji.

– Miał kochankę na boku? – spytał Lent.

– Przeciwnie. To ona znalazła sobie nowego partnera. Powiedziała także, że postanowili się rozwieść, ale dopiero jak ich syn skończy studia.

– Czyli kiedy? – Zastępca poruszył się nerwowo na krześle.

– Za jakieś kilkanaście miesięcy. Chłopak jest na przedostatnim roku – odparł pułkownik.

– Skoro zniknął przed rozwodem i ukończeniem przez syna studiów, to w zasadzie możemy być pewni, że ktoś z zewnątrz złożył Zilberowi intratną propozycję – generał powiedział to grobowym głosem. – A to oznacza, że mamy przeciwnika, który rozrabia na naszym podwórku. Oczywiście jeśli faktycznie coś nam zginęło. A tego jeszcze nie wiemy – zastrzegł.

– Zakładaliśmy to przecież od samego początku – powiedział zastępca. – Taka interpretacja potwierdzałaby także pośrednio hipotezę, że śmierć Regiewicza i jego kolegi z Krakowa była nieprzypadkowa. No bo jeśli ktoś rozrabia, to zapewne robi to w sposób przemyślany, zaplanowany oraz konsekwentny.

– Czy wobec takich podejrzeń nie powinniśmy oficjalnie zwrócić się o pomoc do kontrwywiadu ABW? – zaproponował Gordon. Zdawał sobie sprawę, że narazi



się swoim przełożonym, ale w jego odczuciu sprawa mogła się wymknąć spod kontroli.

– Co ty, Jurek, wygadujesz?! – Szef Agencji poczerwieniał niebezpiecznie na twarzy. – Chcesz przekazać całemu światu informację, że być może ktoś spenetrował nasze sejfy?! Że nie potrafimy upilnować naszych aktywów?! Że ktoś z zewnątrz dostał się do centrali wywiadu?! Chcesz wystawić nas na pośmiewisko, nie mówiąc już o tym, że w ten sposób pozbawilibyśmy się najpewniej naszych stanowisk?! Wybij to sobie z głowy!

W gabinecie zaległa krępująca cisza. Generał patrzył w okno, tłumił w sobie zdenerwowanie, zaś zastępca utkwiał wzrok w jakimś nieokreślonym punkcie, co oznaczało, że popiera przełożonego. Pułkownik Gordon przełknął ślinę i postanowił zadać jeszcze jedno pytanie, które właśnie zaczęło go nurtować:

– A co będzie, jeśli policja prowadząca sprawę zaginięcia powiadomi o niej ABW? Musimy zakładać, że tak zrobi. Przecież chodzi o funkcjonariusza wywiadu.

– Sprawa oficjalnie nie dotyczy Agencji – odparł Szczęsny. – Jak na razie nie stwierdziliśmy naruszenia interesów czy bezpieczeństwa naszej służby. Nawet policja nie nadaje zaginięciu Zilbera statusu stricte kryminalnego, po prostu prowadzi poszukiwania w oparciu o swoje wewnętrzne procedury. Dlatego też nie musimy się obawiać działań ABW, a tym bardziej zgłaszać, że mamy kłopoty. Czy to jasne, pułkowniku?

– Tak jest. – Głos Gordona szcęknął niczym mechanizm spustowy pistoletu.

– W takim razie proszę, żebyś teraz dokonał krótkiego podsumowania swojej wizyty w Krakowie. – Szef AW postanowił uporządkować dyskusję.

Zwięzła relacja zajęła pułkownikowi kilkanaście minut. Na zakończenie postanowił podzielić się najistotniejszymi informacjami uzyskanymi od krakowskiego policjanta.

– W kontekście tego, o czym dzisiaj rozmawialiśmy, najważniejszy według mnie jest fakt, że ojciec Zilbera, Władysław, był przyjacielem Regiewicz, a zarazem jego seksualnym partnerem.

Twarze szefów Agencji wydłużyły się w bezgranicznym zdumieniu. Odezwał się Szczęsny:

– Chcesz powiedzieć, że oficer wywiadu SB był gejem?

– Dokładnie – odparł naczelnik wydziału kontrwywiadowczego. – Mnie też to ogromnie zdziwiło – dodał.

– A to dlaczego? – spytał nedorzecznie Lent. Był najmłodszy, słabo orientował się w specyfice peerelowskich służb specjalnych. Z pomocą przyszedł mu szef Agencji.

– Według ówczesnych wymagań stawianych kandydatom na oficerów SB ktoś taki nie miał żadnych szans na pracę w resorcie. Homoseksualiści w tamtych czasach podlegali ogromnemu ostracyzmowi, i to zarówno ze strony państwa, jak i większości społeczeństwa – wyjaśnił generał, jednocześnie robiąc notatki na kartce. – A czy żona Zilbera wspominała coś o Regiewicz? – spytał.

– Tylko wtedy, gdy opowiadała mi o wizycie Veselego – odpowiedział Gordon.

– Nazwała go „bliskim znajomym męża”. Tu jednak należy podkreślić, że podkomisarzowi z Krakowa przedstawiła go jako „przyszywanego wujka”.

– To bardzo istotne spostrzeżenie – przyznał zastępca, a generał pokiwał potakująco głową.

Gordon zajrzał do swoich zapisków, jakie poczynił, odsłuchując nagranie relacji Zygmunta. Wertował je przez chwilę, po czym kontynuował.

– Według Veselego kluczem do dalszych działań jest odnalezienie młodego historyka – tu zajrzał do notesu – który „odkrył coś ważnego, czego nie powinien był odkryć”.

– Mówiłeś już o nim po swoim pierwszym pobycie w Krakowie – rzekł szef AW. – Pamiętam, że zleciłeś nawet komuś od nas, żeby go poszukał. Wiesz już coś więcej na jego temat?

– Niestety nie, ale po zapoznaniu się z dokładnym sprawozdaniem, jakie sporządził nasz policjant, dochodzę do wniosku, że on może mieć rację. Jest mianowicie przekonany, że obu esbeków zamordowano, zaś motyw zbrodni jest ukryty w przeszłości.

– W czasach, gdy obaj pracowali w wywiadzie? – dopytał Lent.

– Tak. Dlatego zleciłem mu, by zajął się historykiem w pierwszej kolejności. I jeśli brać pod uwagę stwierdzenie, jakie padło tu dzisiaj, o tym, że ktoś rozrabia na naszym podwórku, to jego rozumowanie jest cholernie logiczne. Podkomisarz

dał mi także wykaz czynności, jakie należy przeprowadzić w Warszawie w związku z samobójstwem Regiewicza. Uważam, że powinniśmy się tym zająć. To może wiele wyjaśnić, a wręcz potwierdzić lub zaprzeczyć istnieniu ewentualnego przeciwnika. Oczywiście detali jest znacznie więcej, jednak te kwestie wydają mi się najważniejsze. Za dwa, trzy dni będzie gotowa analiza działań i ustaleń krakowskiego policjanta, wtedy zaznajomicie się ze wszystkim.

Generał wpatrywał się w swoje notatki. Jego zmarszczone czoło świadczyło o tym, że podejmuje decyzje i zaraz wyda dyspozycje. Tak też się stało.

– Zrobimy tak. Po pierwsze, trzeba ustalić, co jeszcze wie żona Zilbera o Regiewiczu i jakie były relacje pomiędzy nim a jej mężem. Tym zajmie się Jurek. Do tego – zwrócił się do Gordona – zrealizujesz wszystkie czynności, jakie zalecił Vesely odnośnie do samobójstwa. Dobrze by było także zdobyć bardziej szczegółową wiedzę na temat działalności pionu wywiadu nielegalnego SB. Postaraj się o jakiegoś konsultanta, najlepiej emerytowanego oficera z tamtych czasów, który pracował przy tego typu sprawach.

Naczelnik wydziału kontrwywiadowczego skinął tylko głową, potwierdzając, że przyjął wszystko do wiadomości. Szef Agencji zaczął zaś wydawać polecenia zastępcy:

– Ty, Radek, masz za zadanie przyspieszyć prace poszukiwawcze w naszym archiwum. Poza tym przejrzyj wszystkie materiały dotyczące Regiewicza, jakie są u nas oraz w IPN. Szukaj przede wszystkim jego kontaktów w naszej „firmie” oraz „na mieście”. Musimy zebrać o nim informacje od wszystkich, którzy jeszcze żyją. Zainteresuj się też historią jego badań na wariografie. Nie chce mi się wierzyć, że nikt nie odkrył jego gejowskich skłonności.

Podwładni uznali spotkanie za zakończone. Chcieli się odmeldować, lecz generał jeszcze ich powstrzymał.

– Co tylko możecie, wykonujcie sami. Im mniej ludzi wie o tej sprawie, tym lepiej – poinstruował. – Jurek, powiedz mi jeszcze, w jaki sposób możemy kontrolować naszego krakowskiego policjanta na wypadek jakiegoś nieprzewidzianego lub niepomysłnego rozwoju wydarzeń – zwrócił się do Gordona.

– Wiemy, że prowadził śledztwo w Warszawie bez wiedzy swoich przełożonych.

– To słaby środek nacisku. Nic mu w zasadzie nie grozi. W policji brakuje ludzi do pracy, więc dostałby, co najwyżej, jakąś naganę. Postaraj się o coś konkretniejszego. W razie czego musimy mieć skuteczną pętlę, którą będziemy mogli zarzucić mu na szyję i zacisnąć.

– Jasne, wymyślę coś – obiecał pułkownik.

– Pamiętaj, że on jest nośnikiem wiedzy, która nie może zostać ujawniona.

\*\*\*

Zygmunt czekał na mailową odpowiedź od Sylwestra Kalenika. W poniedziałek, zaraz po przybyciu na komendę, wszedł jeszcze raz na stronę internetową bazy nauki polskiej i wpisał nazwisko młodego historyka. W zakładce „ludzie nauki” pojawiło się kilka dodatkowych danych. Te potwierdzały, że naukowiec był zatrudniony w Częstochowie, oraz wskazywały instytucję, w której bronił pracę doktorską: Wydział Historyczny na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Pole zbierania informacji zawęziło się. Idąc za ciosem, podkomisarz wstukał tytuł doktoratu w wyszukiwarce internetowej i po chwili, na monitorze, ukazała się okładka książki. Dalsze poszukiwania przyniosły informację, że publikacja była dostępna w największej krakowskiej księgarni naukowej, kilkaset metrów od komendy! Nie namyślając się, Zygmunt zerwał się z biurka i niemal pobiegł, by dokonać zakupu.

Pokusa odkrycia tajemnicy była tak wielka, że resztę dnia, kosztem oficjalnych policyjnych obowiązków, prześlęczał nad lekturą. Gdy skończył służbę, szybko wsiadł w samochód i pognął do swojego mieszkania, by jedynie coś przekąsić i dalej czytać.

Na interesujący go fragment natknął się dopiero po pokonaniu około dwóch trzecich tekstu. Brzmiał on następująco:

(...) Przeanalizowane materiały z zasobów krakowskiego Instytutu Pamięci Narodowej dowodzą, że Departament Pierwszy MSW w latach 1956 – 1989 zrealizował przy wykorzystaniu swojej ekspozytury w Krakowie kilkanaście operacji posiadających status szczególnego znaczenia i nadzwyczajnego utajnienia.

Do większości z nich istnieją odniesienia w dokumentach przechowywanych w archiwum IPN w Warszawie, które do 2017 roku były chronione w tak zwanym „zbiorniku zastrzeżonym”. Kilka spraw nie posiada jednak odzwierciedlenia w archiwaliach. Na potrzeby niniejszej monografii podjęto próbę zbadania losów jednej z nich, a mianowicie operacji wywiadowczej o kryptonimie „Storch”, prowadzonej w Krakowie w 1969 roku. Niestety, nie przyniosła ona zadowalających efektów. Udało się jedynie ustalić, że brał w niej udział oficer krakowskiej ekspozytury, porucznik Olgierd Zieliński (nazwisko legalizacyjne), który później, w latach osiemdziesiątych XX w., pełnił funkcję kierownika ekspozytury, czyli Inspektoratu Pierwszego SB Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie. Autor dotarł do tego oficera, lecz ten kategorycznie odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji na temat operacji. (...)

Zygmunt westchnął z wrażenia. Mgła tajemnicy opadła. Wreszcie wiedział, co tak ważnego odkrył młody historyk, a „czego nikt nie powinien był odkryć”. Zaraz jednak skorygował swoje spostrzeżenie. Przecież Strypuła wyraził się w ten sposób po ostatnim spotkaniu z Kalenikiem, około półtora miesiąca przed śmiercią, a książka została opublikowana wcześniej. „Kolejna zagadka do rozwiązania” – pomyślał podkomisarz.

Przeczytany tekst potwierdzał także pośrednio obawy stryja Macieja odnośnie do „zbiornika zastrzeżonego”. Według naukowca „kilka spraw nie posiadało odzwierciedlenia w archiwaliach”. Dla Zygmunta wyjaśnienie tego faktu było teraz nadzwyczaj proste: zapewne odpowiednie dokumenty spoczywały w archiwum Agencji Wywiadu!

Wniosek ten zafrasował go. Kazał mu jednak przyznać krewnemu rację i poważnie rozważyć jego radę, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Wracając z Katowic, myślał o tym aspekcie swojej współpracy z wywiadem w sposób bardzo lekceważący. Teraz przekonał się, że popełnił błąd. Postanowił zastosować się do zaleceń stryja.

Analizował przeczytany fragment pod różnymi kątami przez ponad godzinę. Szukał czegoś, co mogło być ukryte między wierszami, niejako pod tekstem. W końcu doszedł do konkretnych wniosków. Po pierwsze, autor nic nie wspominał o Regiewiczu. Oznaczało to, że albo warszawski esbek nie brał udziału w operacji

Storch, albo został dobrze zakamuflowany, a jeśli tak było, to jego nazwisko musiało znajdować się w materiałach przechowywanych w Agencji Wywiadu. Po drugie, niezmiernie interesujące było to, dlaczego Strypuła nie chciał udzielić żadnych informacji. Zdanie jego siostry, pani Marii, że przywiązywał najwyższą wagę do zachowania tajemnicy służbowej, nie przemawiało już do Zygmunta. Przecież supertajne przedsięwzięcie przeszło dawno temu do historii. Chyba że... Policjant zastanowił się głęboko. Chyba że nie przeszło. Stwierdzenie to pojawiło się samoistnie i wydawało się oczywiste. Ale czy to w ogóle było możliwe? Po trzecie, dlaczego Kalenik zainteresował się właśnie operacją Storch? Wszakże w tekście wspominał o kilku sprawach, które nie miały „odzwierciedlenia w archiwaliach”. Odpowiedź mogła być tylko jedna: młody historyk odkrył na temat tej operacji coś jeszcze, o czym nie napisał w książce. Vesely jednak z powątpiewaniem podszedł do tej hipotezy. Przecież jako młody naukowiec nie oparłby się pokusie zaprezentowania czegoś, co odnalazł. Chyba że nie mógł tego czegoś opublikować. „A kiedy taka sytuacja mogłaby mieć miejsce?” – zastanowił się. Doktorat to praca naukowa, rozważał, a w takiej dysertacji nie można zamieścić czegoś, co nie ma potwierdzenia w źródłach, czyli dokumentach bądź innych opracowaniach akademickich.

Powstałe wątpliwości uświadomiły Zygmuntowi, że musi jak najszybciej porozmawiać z historykiem. Włączył komputer, otworzył program pocztowy, ale, ku jego rozczarowaniu, odpowiedzi od naukowca dalej nie było.

Następnego dnia czekał jeszcze do południa, lecz potem stracił cierpliwość. Wyszukał na stronie internetowej częstochowskiego uniwersytetu numer do sekretariatu na Wydziale Humanistycznym i zadzwonił. Odebrała przemiła pani. Przedstawił się i poprosił ją o umożliwienie mu skontaktowania się z historykiem. To, co od niej usłyszał, zmroziło go do szpiku kości.

– Niezmiernie mi przykro – powiedziała sekretarka – ale pan doktor Sylwester Kalenik nie żyje.

Po dłuższej ciszy na łączach, gdy Vesely starał się uspokoić, kobieta odezwała się taktownie:

– Halo, czy jest tam pan jeszcze? Czy mogę w jakiś sposób być pomocna?

– Tak, tak... Jestem. – Podkomisarz nie mógł ochłonąć. – Proszę powiedzieć, co się w ogóle stało?

– To był jakiś nieszczęśliwy wypadek. – Głos po drugiej stronie był autentycznie smutny. – Niestety, ja nie jestem zorientowana, co się dokładnie wydarzyło. Najlepiej będzie, jak pan skontaktuje się z rodziną pana Kalenika.

– A czy dysponuje pani jakimś numerem kontaktowym albo adresem?

– Bardzo przepraszam, ale nie jestem upoważniona do udostępniania danych osobowych – odpowiedziała służbiście sekretarka.

– Oczywiście, oczywiście – wymamrotał policjant. – A czy może mi pani chociaż powiedzieć, kiedy doszło do tej tragedii?

– To się stało około trzech miesięcy temu. Nie znam jednak dokładnej daty.

Vesely już miał zapytać, dlaczego na stronie internetowej uczelni wciąż jest profil nieżyjącego pracownika, ale ugryzł się w język, nie chciał wyjść na gburę. Najwidoczniej administracja uczelni reagowała bardzo wolno na zmiany, jakie przynosiła rzeczywistość. Podziękował grzecznie miłej pani i rozłączył się.

Podkomisarz czuł się fatalnie. Pierwszy raz od początku całej sprawy nie cieszył się, że pojawił się kolejny fakt, który potwierdzał jego hipotezę na temat śmierci Mariana Strypuli. Na pewno nie była przypadkowa. Ogarnęła go stuprocentowa pewność, że ma do czynienia ze zbrodnią. Trzy trupy i jeden zaginiony człowiek – to był jej rozmiar.

Miał wrażenie, jakby coś go przygniatało. „To chyba poczucie odpowiedzialności” – pomyślał górnolotnie. Jednak po chwili doszedł do wniosku, że to raczej zwykły strach. Po prostu podświadomość podpowiadała mu, że tropi kogoś bardzo groźnego. Ten ktoś w okrutny sposób zacierał ślady. Zygmunt zaraz zadał sobie pytanie, dokąd by go zaprowadziły. Czy do jakiegoś ważnego człowieka, czy raczej do czegoś cennego? Oba przypadki były interesujące – przecież chodziło o tajne sprawy polskich wywiadów: współczesnego i tego, który funkcjonował kilkadziesiąt lat temu.

Pragnienie odkrycia tajemniczej intrygi oraz powaga sytuacji wyzwoliły w Zygmuncie nowe pokłady energii. W policyjnej bazie danych odszukał numery kontaktowe do częstochowskiej dochodzeniówki. Po kilkunastu minutach

rozmawiał już z tamtejszym policjantem posiadającym wiedzę na temat wypadku historyka.

Nie było tego wiele. Kalenika znaleziono w wannie. Przyczyną śmierci było utonięcie. Denat brał gorącą kąpiel po spożyciu znacznej ilości alkoholu, który przyczynił się do zasłabnięcia. Ciało zsunęło się pod wodę, mężczyzna zachłusnął się i doszło do zatrzymania krążenia. Lekarz przeprowadzający oględziny nie dopatrywał się działania osób postronnych. Test zrobiony podczas sekcji zwłok potwierdził upojenie alkoholowe, nie było podstaw do wykonania badań toksykologicznych. Wszystko. Podkomisarz nawet nie wypytywał o szczegóły, jak w przypadku samobójstwa Regiewicza. Nie było to już potrzebne. Ustalił za to, że do wypadku doszło w weekend dokładnie dwa tygodnie przed śmiercią Strypuli i Regiewicza!

Po rozmowie z częstochowskim policjantem chciał od razu zadzwonić do pułkownika Gordona. Powstrzymał się jednak. Najpierw przypomniał sobie instrukcję korzystania z telefonu, jakiej udzielił mu oficer wywiadu, a zaraz potem zalecenia stryja Macieja.

Pierwsze, co zrobił, to ściągnął na swój prywatny smartfon program do rejestrowania rozmów i odpowiednio go skonfigurował. Potem wyszedł ze służbowego pokoju na korytarz, żeby koledzy nie byli świadkami rozmowy. Zastanowił się, co powiedzieć Gordonowi. Ułożył sobie w głowie krótki komunikat i wybrał numer.

– Witam, panie Zygmuncie. – Głos pułkownika zabrzmiał blisko i przyjaźnie. – O co chodzi?

– Mam bardzo ważne wiadomości – powiedział podkomisarz.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Policjant nie odzywał się, czekał. Po chwili usłyszał:

– Przyjadę do pana za trzy lub cztery dni. Zadzwonię później i podam czas oraz miejsce spotkania. Do usłyszenia. – Kliknięcie oznajmiło rozłączenie.

Nie sądził, że zwykła rozmowa telefoniczna, podczas której trzeba zachować reguły konspiracji, tak może rozemocjonować. Wziął kilka głębokich oddechów. Wrócił za biurko i wyjął z szuflady niewielkie słuchawki, które podłączył do



smartfona. Z zadowoleniem stwierdził, że jakość nagranej rozmowy z oficerem wywiadu jest przyzwoita.

\*\*\*

Dwie doby później pułkownik Gordon referował w gabinecie generała Krzysztofa Szczęsnego swoje najnowsze ustalenia w sprawie zaginięcia pracownika archiwum wywiadu. Szef AW oraz jego zastępca do spraw operacyjnych, pułkownik Lent, z uwagą wsłuchiwali się w słowa podwładnego. Te nie nastrajały ich optymistycznie.

– Żona Zilbera wyznała mi bardzo istotną rzecz – mówił naczelnik Wydziału Kontrwywiadu Wewnętrznego. – Otóż, moi drodzy – zawiesił na chwilę głos, czym przykuł jeszcze bardziej uwagę przełożonych – to właśnie Karol Regiewicz załatwił naszemu zaginionemu pracę w dawnym Zarządzie Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. Jednak Zilber słabo zaliczył testy kwalifikacyjne, więc zamiast w Starych Kiejkutach<sup>9)</sup> wylądował w archiwum. I to zresztą po dość żmudnych zabiegach „przyszywanego wujka” – dodał pułkownik.

---

9) Chodzi o Ośrodek Kształcenia Kadr Wywiadu UOP. Obecnie: Ośrodek Szkolenia Agencji Wywiadu.

– Ten esbek musiał mieć niezłe przełożenia – skonstatował Szczęsny.

– Chciałem zauważyć – wtrącił Lent – że Regiewicz odszedł ze służby w dziewięćdziesiątym szóstym, a Zilber został przyjęty do UOP rok wcześniej.

– No i wszystko jasne! Nie uwzględniłem, że mógł przejść pozytywnie weryfikację w dziewięćdziesiątym. – Generał przyznał się do błędu. – Jedno w każdym razie jest dla mnie pewne: musimy zakładać, że samobójstwo Regiewicza oraz zniknięcie Zilbera są ze sobą powiązane. Jak tam poszukiwania w archiwum? – zwrócił się do swojego zastępcy.

– Zgodnie z zaleceniem przyspieszyłem prace. Cały czas sprawdzamy, czy liczba i tytuły akt zgadzają się ze stanem inwentarzowym – odpowiedział Lent. – Niestety, nie ma w dalszym ciągu rezultatów w odniesieniu do Regiewicza. W żadnym z przejranych do tej pory dokumentów nie natrafiono na jego nazwisko legalizacyjne. Mówiąc krótko, Jan Lipski jeszcze się nie objawił.

– To niedobra wiadomość – stwierdził generał. – Zwiększa tylko nasze poczucie niepewności.

Gordon poruszył się na krześle, co zauważył Szczęsny.

– Chciałbyś coś powiedzieć? – zapytał.

Twarz pułkownika wyraźnie spochmurniała. Cichym głosem oświadczył:

– Możemy nigdy nie stwierdzić obecności nazwiska legalizacyjnego Regiewicza w naszym archiwum.

– A to dlaczego? – Zastępca szefa AW do spraw operacyjnych uniósł brwi ze zdziwienia. Twarz generała także wyrażała zdumienie.

– Zgodnie z poleceniem przeprowadziłem konsultacje z emerytowanym oficerem, który w czasach PRL służył w wywiadzie nielegalnym, a dokładnie w Wydziale Czternastym Departamentu Pierwszego. Ten objaśnił mi, między innymi, system konspirowania niektórych spraw z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, dotyczących wtórników<sup>10</sup>). Z jego słów jasno wynika, że szukając w naszych archiwaliach Jana Lipskiego, najprawdopodobniej go nie znajdziemy, ponieważ pracował on właśnie przy obsłudze tego typu operacji.

---

10) Wtórnik – nielegal pracujący pod przykryciem czyjejś tożsamości (zazwyczaj spreparowanej lub pozyskanej po kimś zmarłym). Najtrudniejsza forma działalności wywiadowczej.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że oficerowie z ówczesnego pionu „N” posługiwali się jeszcze innymi personaliami? – Generał bardzo się zaniepokoił.

– Właśnie o to w tym chodzi – odparł naczelnik wydziału kontrwywiadowczego. – Mieli dodatkowe nazwiska legalizacyjne, których używali przy sporządzaniu dokumentacji. Należy więc założyć, że Regiewicz nie podpisywał się oficjalnym aliasem.

– To niesamowite – rzekł zastępca do spraw operacyjnych. – Innymi słowy, jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

– System ten funkcjonował do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, czyli do restrukturyzacji Departamentu Pierwszego, którą wymusiła zdrada jednego z oficerów<sup>11</sup>). W następnych latach, aż do upadku PRL, używano już tylko podstawowych danych legalizacyjnych, ale jedynie w sprawach, które rozpoczęto

właśnie po zmianach organizacyjnych w wywiadzie. W tych, które kontynuowano, stare zasady nadal obowiązywały – dokończył wyjaśnienia Gordon.

---

11) Chodzi o ucieczkę por. Andrzeja Kopczyńskiego, który po udzieleniu w 1976 roku przez władze RFN azylu politycznego ujawnił wywiadowi amerykańskiemu tajne informacje na temat Departamentu Pierwszego.

– Dlaczego stosowano podwójną konspirację? – zastanawiał się Lent. Jako członek najwyższego kierownictwa Agencji odpowiadający za wszystkie operacje wywiadu był najwyraźniej zainteresowany celem takiego postępowania.

– Tego też się dowiedziałem – odparł naczelnik. – Chodziło o stuprocentowe utajnienie prowadzonych operacji nie tylko przed otoczeniem zewnętrznym, ale również wewnętrznym, czyli przed innymi funkcjonariuszami SB. Chodziło także o ochronę w przypadku ewentualnej penetracji centrali wywiadu przez przeciwnika, a także przed radzieckim KGB, które starało się kontrolować poczynania polskich służb. Ponoć system ten był bardzo efektywny. Po jego zniesieniu polscy nielegalowie nie byli już tak bezpieczni. Mój konsultant stwierdził nawet, że prawdopodobnie rezygnacja z podwójnej legalizacji przyczyniła się do dekonspiracji słynnego Jerzego Kowalczyka<sup>12)</sup>, który jako wtórnik działał w Niemczech.

---

12) Postać wzorowana na autentycznym wtórniku wywiadu PRL Jerzym Kaczmarku, który w latach 1978 – 1985 prowadził działalność wywiadowczą w Bremie w ówczesnych Niemczech Zachodnich. Zdekonspirowany i aresztowany. W 1986 roku został wymieniony na słynnym Moście Szpiegów (most Glienicke) łączącym Berlin Zachodni z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

– Przecież został zdemaskowany dzięki Niemieckiemu Czerwonemu Krzyżowi – zaproponował generał. – Jego oficerowie prowadzący po prostu popełnili błędy przy „wtórnikowaniu”. Historia jest powszechnie znana. – Generał machnął ręką na znak, że rewelacje konsultanta należy uznać za konfabulację.

– Chcecie posłuchać, co mi opowiedział konsultant? – Gordon, nie czekając na potwierdzenie, wyciągnął z teczek niewielki dyktafon i wyszukał odpowiedni fragment do odtworzenia. Z głośniczka popłynęła wypowiedź emerytowanego oficera:

– ...Jak Jagielski podpisał z Wałęsą porozumienie w Gdańsku<sup>13</sup>), to radzieccy wpadli w panikę. Uspokoił się dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego. Jednak po jego zniesieniu zaczęli znowu się domagać radykalnej rozprawy z opozycją. Plotka głosiła, że w połowie osiemdziesiątego czwartego do szefa MSW przyjechał jakiś ważniak z moskiewskiego KGB w towarzystwie wysoko postawionego partyjnego urzędnika z radzieckiego politbiura. Ponoć domagali się dostępu do teczek wszystkich najważniejszych działaczy Solidarności od poziomu wojewódzkiego wzwyż. Minister jednak wytrzymał ciśnienie i kopnął ich w dupę.

---

13) Chodzi o jedno z porozumień sierpniowych podpisane 31 sierpnia 1980 roku pomiędzy Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym z siedzibą w Stoczni Gdańskiej a przedstawicielem rządu PRL.

– Czyżby Rosjanie chcieli sami zająć się opozycją? – dał się słyszeć głos oficera AW.

– Najpewniej tak. Ruscy mieli dobrych analityków, a ci zapewne przewidzieli, że jeśli „solidaruchy” będą działać, to cały bajzel w postaci Polski Ludowej, a nawet całego obozu socjalistycznego może runąć. I w sumie nie pomylili się. Rozsądek podpowiadał więc, żeby odciąć opozycji głowę.

– Myśli pan, że posunęliby się do zabójstw politycznych? – pytał Gordon.

– Nie mam pojęcia – padła odpowiedź. – W tamtych czasach, pułkowniku, to najpierw opornych się przekupywało, potem zastraszało lub szantażowało. Następnie pozbawiano ich środków do życia. Jak to nie pomagało, organizowało się poważne pobicia. Zapewne kilku ważnych solidarnościowców zniknęłyby dla przykładu. Jednak jak już powiedziałem, rewizorzy z Moskwy zostali odprawieni z niczym. Parę tygodni później przyjechała delegacja ze Stasi<sup>14</sup>) z takim samym żądaniem. Niemcy nie kryli, że przemawiają w imieniu ruskich. Dawali do zrozumienia, że odmowa zostanie ukarana. Kilka miesięcy później miała miejsce wpadka naszego wtórnika w Niemczech Zachodnich, Kowalczyka.

---

14) Stasi – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej odpowiedzialne między innymi za bezpieczeństwo wewnętrzne, kontrwywiad i wywiad zagraniczny.

– Myśli pan, że to była zemsta?

– To wszystko, co panu opowiedziałem, wiem od nieżyjącego już naczelnika mojego wydziału, z którym byłem w bardzo dobrych stosunkach. Jeszcze dziś słyszę, jak mówi: „Radzieccy obcięli nam Kowalczyka”.

– Ale jak Rosjanie mogli dowiedzieć się o waszym nielegale?

– To proste. Musieli mieć w SB swoich informatorów. A jak już mówiłem, od siedemdziesiątego siódmego zrezygnowano w wywiadzie nielegalnym z podwójnych nazwisk. Ten, kto znał nasz system kwitów, mógł wywęszyć, co w trawie piszczy, i naprowadzić ich na trop. Chociaż ja przypuszczam, że był to efekt najzwyczajszej zdrady. Ktoś po prostu musiał ujawnić KGB naszego wtórnika...

Naczelnik wydziału kontrwywiadowczego wyłączył dyktafon.

– To były czasy – powiedział z nutką podziwu w głosie generał. – Wtedy służby mogły naprawdę wiele. Nie to, co dzisiaj. Ale do rzeczy. Gdzieś przecież powinny znajdować się dokumenty rozszyfrowujące zdublowane nazwiska konspiracyjne.

– O to także spytałem – rzekł Gordon. – Według konsultanta w każdej sprawie wtórnikowej prowadzono tak zwaną teczkę legalizacyjną, w jakiej przechowywane były wszystkie dane na temat nielegala. Zawierała ona także informacje dekodujące drugie nazwiska legalizacyjne oficerów centrali zaangażowanych w sprawę, a także inne najbardziej wrażliwe dane, jak adresy, numery telefonów, numery rejestracyjne pojazdów, zdjęcia, plany obiektów. Naczelną zasadą było to, że całą dokumentację przechowywał oficer prowadzący, w szafie pancерnej stojącej w jego gabinecie. Nikt poza nim nie miał do niej dostępu. Podczas rozmów służbowych, na naradach, w raportach dla kierownictwa posługiwano się jedynie nomenklaturą konspiracyjną.

– No to trzeba zajrzeć czym prędzej do każdej takiej teczki, jaka jest w naszym archiwum. To może bardzo przyspieszyć poszukiwania – stwierdził wręcz z entuzjazmem Lent.

– Niestety, to raczej niemożliwe – odparł pułkownik. – Teczki legalizacyjne były albo jedynie numerowane, albo posiadały nic niemówiący tytuł, który uniemożliwiał ich szybką identyfikację. Specjalnie nie nadawano im statusu akt personalnych.

– Czyli nie odnajdziemy ich za pomocą katalogu, jaki jest do dyspozycji w archiwum. – Zastępca do spraw operacyjnych był wyraźnie zawiedziony.

– Innymi słowy, dalej należy przebijać się przez wszystkie papiery „na piechotę” – Generał miał zafrasowaną minę.

W gabinecie zapadła cisza. Każdy z oficerów nad czymś się zastanawiał. Okoliczności, w jakich przyszło im wyjaśniać powody zaginięcia Leszka Zilbera, były nad wyraz skomplikowane. Ich wspólnym mianownikiem była wszechobecna niepewność. Szczęsny otrząsnął się z zamyślenia i rzekł do Gordona:

– Co teraz planujesz robić, Jurek?

– Jutro lecę do Krakowa. Vesely ma coś bardzo ważnego do przekazania. A za kilka dni prawdopodobnie uda mi się wejść do domu Regiewiczza i zrealizować zalecenia naszego policjanta.

– Jak to ci się udało to załatwić? Mówiłeś wcześniej, że mieszkanie jest zaplombowane ze względu na sprawy spadkowe i tylko sąd może zezwolić na ponowne oględziny – zaciekał się zastępca do spraw operacyjnych.

– Jeden z zastępców komendanta Centralnego Biura Śledczego Policji jest moim długoletnim przyjacielem. Znamy się jeszcze z czasu studiów. Poznał mnie z wpływowym pracownikiem Prokuratury Krajowej, który obiecał wszystko zorganizować – odparł pułkownik.

– To bardzo dobrze – powiedział szef AW. – Ja zgodnie z twoją sugestią uruchomiłem naszego łącznika w Szwajcarii, żeby załatwił sprawdzenie numeru telefonu, z którego dzwoniło do tego esbeka.

– Świetnie – zareagował Gordon. – Mam nadzieję, że przyszły tydzień będzie przełomowy. Szczerze mówiąc, mam już dość czekania na rozwiązanie tej całej zagadki.

Pozostali nie odnieśli się do tego ostatniego zdania wypowiedzianego przez naczelnika wydziału kontrwywiadowczego, jednak ich twarze wyrażały pogląd, że w zupełności się z nim zgadzają.

Generał przejrzał notatki, po czym przeniósł wzrok na swojego zastępcę. Ten zrozumiał, że teraz nadeszła kolej na jego relację.

– Skierowałem do poszukiwań w naszym archiwum jeszcze jedną osobę – rozpoczął, a widząc uniesione brwi generała, zaraz dodał: – To oficer, któremu

można ufać. Także w IPN pracują nasi ludzie i poszukują wszystkich, którzy pracowali przy nielegalach i wciąż żyją. Spośród nich chcę wytypować tych, którzy znali Regiewicza. To zajmie trochę czasu, ponieważ nasz esbek służył w pionie „N” od początku swojej kariery w resorcie, czyli od sześćdziesiątego ósmego.

– Co powiedziałaś ludziom, których wysłałaś do IPN? – spytał szef Agencji.

– Że powstał zamiar napisania nowego skryptu szkoleniowego o wywiadzie nielegalnym i trzeba skorzystać z wiedzy wszystkich dawnych fachowców.

– Bardzo dobrze – pochwalił Szczęsny. – Co jeszcze?

– Skopiowano teczkę personalną Regiewicza z czasów jego służby w SB, w tym oryginały badań wariograficznych. Zgodnie z twoim poleceniem nasi specjaliści już je analizują. Z dokumentacji wynika, że ten gej był wysokiej klasy fachowcem, wielokrotnie nagradzanym i odznaczanym. Zresztą z jego akt sporządzonych na potrzeby UOP można się dowiedzieć, że został także wyróżniony przez władze Trzeciej RP.

– Co to znaczy „przez władze Trzeciej RP”? – Gordon chciał usłyszeć jakieś konkrety.

– W dziewięćdziesiątym pierwszym, w Święto Niepodległości, na wniosek ówczesnego ministra spraw zagranicznych prezydent nadał mu Złoty Krzyż Zasługi.

– To oznacza, że bardzo go ceniono – stwierdził generał i postanowił zakończyć spotkanie: – No dobra, nie mam do was więcej pytań. Bierzcie się ostro do roboty, panowie! – powiedział energicznie. – Aha! – Zwrócił wzrok na naczelnika. – Słuchaj, Jurek! Nie mów zbyt wiele o naszych przemyśleniach temu Veselemu. Im mniej wie, tym lepiej. Jeśli uznasz, że ustalił coś, co nam wystarczy, byśmy pchnęli sprawę do przodu, to najlepiej zakończ z nim współpracę.

– Rozumiem – odpowiedział krótko pułkownik, po czym udał się za Lentem do wyjścia z gabinetu.

\*\*\*

Lotnisko w podkrakowskich Balicach tętniło życiem. Późne piątkowe popołudnie obfitowało w podróźnych. Jedni przylatywali, by spędzić urokliwy lub szaleńczy weekend w historycznym mieście, drudzy uwalniali się od niego i wylatywali

w różnych kierunkach: do rodziny, przyjaciół lub do innych równie atrakcyjnych miejsc.

Zygmunt stanął pośrodku hali odlotów. Miał jeszcze kilka minut do spotkania z oficerem z Agencji Wywiadu, który dopiero dzisiaj rano zadzwonił z informacją, gdzie i o której godzinie będzie czekał na podkomisarza. Wynikało z tego, że przybędzie do Krakowa samolotem, i to na krótko.

Policjant poprawił marynarkę, machinalnie dotknął wewnętrznej kieszeni, gdzie spoczywał niewielki dyktafon, oraz sprawdził, czy miniaturowy mikrofon nie wystaje spod klapy. Na jego zakup przeznaczył kilkaset złotych. Nie chciał posiłkować się sprzętem służbowym z komendy. Gdy niecałe dwie godziny temu montował sprzęt, poczuł się straszliwie głupio. Odczuwał wyrzuty sumienia. Żeby zrównoważyć to uczucie, przypomniał sobie słowa ostrzeżenia stryja Macieja. To poskutkowało. Pocieszył się także, że jak tylko cała sprawa pomyślnie się zakończy, zniszczy nagrania. A tymczasem... „Strzeżonego Pan Bóg strzeże” – pomyślał wesoło, czym rozwiązał ostatecznie wszelkie wątpliwości co do etycznej strony swojego postępowania.

Spojrzał na zegarek. Za chwilę powinien wejść na pierwszy poziom, gdzie znajdowała się jedna z lotniskowych kawiarni, w której miała odbyć się rozmowa. Wsadził rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, włączył dyktafon i ruszył przed siebie.

Pułkownik Gordon czekał już na niego przy stoliku. W kafejce było dość tłoczno, więc podkomisarz musiał się przeciskać na swoje miejsce.

– Dzień dobry – przywitał się. A gdy oficer wywiadu skinął jedynie głową w odpowiedzi, stwierdził: – To chyba niezbyt dobre miejsce na naszą rozmowę, zbyt dużo tu ludzi.

– Właśnie dlatego jest niezłe – usłyszał.

– Przypuszczam, że nie mamy zbyt dużo czasu – powiedział Vesely. – Skoro umówił się pan na lotnisku, to znaczy, że dziś jeszcze odlatuje pan do Warszawy.

– Zgadza się. Mamy niecałą godzinę.

Zamówili po kawie, a gdy filizanki wylądowały na blacie, Zygmunt lekko ściszone głosem rozpoczął swoją relację z poszukiwań historyka. Zręcznie ukrył udział w nich swojego stryja, a potem przedstawił wyniki, jakie uzyskał podczas



wizyty na stronie internetowej umożliwiającej dostęp do bazy nauki polskiej. Po tych słowach pułkownik wyraźnie się ożywił, a gdy usłyszał o śmierci doktora Sylwestra Kalenika, nie zdołał ukryć emocji:

– To niewiarygodne – wydukał niemal szeptem.

– Mam jeszcze jedną niesamowitą wiadomość. – Podkomisarz uśmiechnął się tryumfalnie.

– Jaką?! Niechże pan mówi!

– Znam kryptonim supertajnej operacji wywiadu SB, jaką historyk odkrył podczas pisania doktoratu, a którą realizował w Krakowie Marian Strypuła.

Tego Gordon się nie spodziewał. Podniósł do ust filiżankę, by wziąć łyk kawy, ale najwidoczniej z wrażenia, jakie wywarła na nim ta informacja, opróżnił ją do dna jednym haustem.

Zygmunt w kilku zdaniach opowiedział mu o książce oraz o istotnym fragmencie, jaki odnalazł, po czym przypieczętował swojej słowa kserokopią, którą wyjął z teczki i położył na stoliku. Pułkownik złapał ją w dłonie i długo, w skupieniu wpatrywał się w tekst. Na koniec wyrzekł cicho tylko jedno słowo:

– Storch.

– Czy ten kryptonim coś panu mówi? – spytał z nadzieją w głosie Zygmunt.

– Niestety nic, ale dzięki niemu mamy szansę znacznie zawęzić poszukiwania w naszym archiwum.

Vesely zrozumiał, że właśnie pojawiła się dogodna okoliczność, by zweryfikować to, na co zwrócił mu uwagę stryj Maciej, czyli sprawę domniemanego nieprzekazania przez Agencję esbeckich archiwaliów do IPN. Sformułował ostrożne pytanie:

– Może należałoby jeszcze raz poszukać informacji o operacji Storch w dokumentacji, która była w zlikwidowanym zbiorze zastrzeżonym, o jakim historyk wspomina we fragmencie, który przed chwilą pan przeczytał? Może nie dotarł do wszystkich materiałów?

Gordon nie wyczuł zastawionej przez młodego policjanta pułapki.

– Szczerze mówiąc, panie podkomisarzu, zasoby IPN zupełnie nas nie interesują. Nadrzędnym celem jest ustalenie, czy w naszym archiwum nie brakuje jakichś materiałów, którymi opiekował się Leszek Zilber.

Zygmunt postanowił zagrać naiwnego, niezorientowanego w problematyce chronienia archiwaliów, młodego człowieka.

– Ale jeśli nawet ten Zilber coś wyniósł, to chyba nie ma to aż takiego znaczenia, skoro mogły to być jedynie materiały o wartości historycznej. Równie dobrze mogło coś zginąć z IPN. Rozumiem, że państwo poniosłoby w takim przypadku straty materialne, ale raczej nie przyniosłoby to szkody jego bezpieczeństwu.

– Czy pan nie rozumie, że w archiwum instytucji, którą reprezentuję, znajdują się wyłącznie materiały mające wpływ na bezpieczeństwo państwa?! I to niezależnie od tego, czy są historyczne, czy też nie?!

Podkomisarz z wrażenia przełknął ślinę. „A jednak stryj miał rację” – pomyślał. Podniósł do ust filiżankę z kawą. Pułkownik też to zrobił, jednak zorientował się, że jego naczynie jest puste, więc odstawił je zawiedziony.

– Zamówić coś jeszcze? – zaoferował się Vesely.

– Jeszcze jedną kawę poproszę.

Policjant wstał od stolika i podszedł do baru. Pozwoliło mu to wygospodarować trochę czasu, by ochłonąć. Zastanawiał się, czy pułkownik odgadł jego intencje. Spojrzał na niego, ten jednak nie zdradzał żadnych oznak, które świadczyłyby o tym, że odkrył celowość pytań zadanych przez Zygmunta. Był pochłonięty fragmentem książki Kalenika, czytał go już któryś raz z rzędu. Tymczasem Gordon intensywnie analizował sytuację. Fakt śmierci historyka wstrząsnął nim do głębi. Nie było już żadnych wątpliwości, że „ktoś rozrabia na ich podwórku”, jak przypuszczał generał Szczęsny, co stwarzało realne zagrożenie: dla Agencji oraz Veselego. Zastanawiał się, czy kryptonim zawarty we fragmencie książki wystarczy do zidentyfikowania ewentualnych strat w archiwum. „Powinien” – pomyślał po dłuższej chwili rozważania wszystkich „za” i „przeciw”. Związek pomiędzy operacją Storch i Regiewiczem wydawał mu się wysoce prawdopodobny. Był przekonany, że to właściwy trop, brakujące ogniwo w łańcuszku. Gdy policjant wrócił do stolika, oficer AW oznajmił:

– To chyba nasze ostatnie spotkanie, podkomisarzu. W zasadzie odnalazł pan to, co nas interesuje. Nazwa kryptonimu pomoże nam zawęzić nasze poszukiwania i ustalić, czy Zilber faktycznie cokolwiek wyniósł z Agencji.

– Ale jak to?... Nie rozumiem... Dlaczego?... – Vesely poczuł się tak, jakby ktoś mu ukradł portfel. Rozczarowanie momentalnie wypełniło jego wnętrze.

– Moim zdaniem nic więcej już pan nie osiągnie – ciągnął Gordon. – Poza tym sytuacja stała się zbyt niebezpieczna.

– W jakim sensie? – Głos Zygmunta świadczył o tym, że nie zgadza się z takim stwierdzeniem.

– Nie rozumie pan, podkomisarzu? – Pułkownik ściszył głos. – W wypadku traci życie historyk, który „odkrył coś, czego nikt nie powinien był odkryć”. Dwa tygodnie później, niemal w tym samym czasie ponoszą śmierć dawni funkcjonariusze wywiadu SB, którzy najpewniej mieli wiedzę na temat tego czegoś. Jakież dwa miesiące później znika funkcjonariusz Agencji Wywiadu pracujący w specjalnym archiwum, gdzie przechowywana jest dokumentacja spraw, jakimi zajmowali się nieżyjący esbecy. Nic to panu nie mówi? Niechże wysili pan swoją wyobraźnię!

Zygmunt popatrzył na pułkownika ze zdumieniem.

– Przecież od początku staram się pana przekonać, że śmierć tych osób nie była przypadkowa – odparł.

– Przekonał mnie pan już wcześniej. Problem w tym, że nie ma żadnych dowodów potwierdzających tę hipotezę. A to oznacza, iż sprawcami byli najwyższej klasy fachowcy. A ja, człowiek dysponujący niemałym doświadczeniem w zakresie prowadzenia tajnych akcji oraz wiedzą o służbach specjalnych, uważam, że w Polsce nie ma nikogo, kto mógłby być wykonawcą takiej operacji.

– Zatem zabójcy musieli pochodzić spoza Polski. – Vesely wyartykułował jedyny możliwy wniosek.

– Właśnie – potwierdził Gordon. – I dlatego sprawa stała się niebezpieczna. Szczególnie dla pana, podkomisarzu.

Sens ostatniej wypowiedzi spowodował milczenie Zygmunta. Oficer wywiadu wziął to za oznakę niewiary w jego słowa, postanowił więc kontynuować wyjaśnienia.

– Proszę zwrócić uwagę na dwa aspekty charakteryzujące zgony. Pierwszy, dotyczący wszystkich przypadków, to oficjalne uznanie przez patologów, że nie

było sprawstwa obcych osób. Drugi zaś, dotyczący historyka oraz Strypuli, to uznanie, że śmierć nastąpiła wskutek zasłabnięcia.

– Te zasłabnięcia nie dają mi spokoju – przerwał podkomisarz. – Właściwie burzą całą moją koncepcję, że mamy do czynienia z morderstwami.

– No widzi pan. A ja panu powiem, że niektóre zagraniczne służby specjalne dysponują środkami chemicznymi, którymi można obezwładnić człowieka, nie pozostawiając żadnych toksykologicznych śladów w organizmie.

– Poważnie? Myślałem, że coś takiego zdarza się jedynie w filmach albo literaturze sensacyjnej. – Vesely był sceptyczny.

– Nie obchodzi mnie, czy pan wierzy, czy nie. Najważniejsze jest to, że tego typu specyfiki są cholernie kosztowne i stać na nie tylko najbogatsze wywiady. A jeśli ktoś inwestuje tak dużo pieniędzy w operację zagraniczną, to nie po to, by doznać porażki. Musimy zakładać, że monitoruje wszystko, co dzieje się w otoczeniu ofiar, i ma świadomość pańskich działań. Dlatego musi się pan wycofać. Zresztą na wykrycie sprawców nie ma żadnych szans, zapewniam pana.

– Teraz to pan przesadził – rzekł Vesely.

– Niech pan nie bagatelizuje moich ostrzeżeń. – Gordon zaniepokoił się, że przeszarżował ze straszeniem młodego policjanta. Jego celem było tylko to, żeby ten młody człowiek naprawdę wycofał się, by przypadkiem nie podjął dalszych działań na własną rękę i w ten sposób zagroził utrzymaniu faktu ewentualnego wyniesienia dokumentów z Agencji w tajemnicy. – Żarty się skończyły, podkomisarzu. Wręcz nakazuję panu odstąpienie od śledztwa! – dodał na zakończenie.

Zygmunt zrozumiał, że to koniec. Jego pierwsza prawdziwa sprawa, do której tak tęsknił, ulotniła się. Jak za dotknięciem niewidzialnej siły zniknęła z pola widzenia.

– Proszę nie odbierać mojej decyzji jako czegoś osobistego. – Pułkownik postanowił podeprzeć się banałem. – Zrobił pan naprawdę bardzo wiele. Może pan być dumny! Rezultaty pana pracy pomogą Agencji w zapewnieniu bezpieczeństwa krajowi – uzupełnił patetycznie.

Widząc zboląłą, zawiedzioną minę policjanta, rzekł jeszcze:

– Moi szefowie byli, i na pewno znowu będą, pod wrażeniem pana zaangażowania. Dlatego też zostałem przez nich upoważniony do wypłacenia panu stosownej gratyfikacji.

– Nie robiłem tego dla pieniędzy. – Zygmunt uniósł się honorem.

– To pełna pochwały patriotyczna postawa. – Gordon znów uderzył w pompatyczne tony. – Jednak młodemu człowiekowi, takiemu jak pan, na pewno przyda się dodatkowy dochód.

– Nie! – Vesely wręcz warknął, co spowodowało, że tamten zrezygnował z wręczenia zapłaty.

– Za chwilę mam samolot, musimy się pożegnać. – Oficer wywiadu wstał od stolika i wyciągnął do Zygmunta rękę. Ten również powstał, przyjął uścisk i zapytał:

– Niech pan mi na koniec powie, pułkowniku, skąd pan wiedział, że będę brał udział w turnieju szachowym? Jak mnie pan wtedy tam odnalazł? Nie daję mi to spokoju.

Gordon uśmiechnął się. Ciekawość policjanta zmieszana z pewnego rodzaju romantyczną naiwnością właściwą młodym ludziom sprawiła, że z życzliwością odniósł się do jego prośby.

– Nie było w tym nic nadzwyczajnego – odrzekł. – Tamtego dnia przyleciałem do Krakowa wczesnym popołudniem. Gdy szedłem do komendy, dostrzegłem z daleka, jak pan z niej wychodzi, na dodatek spieszonym krokiem. Wzbudziło to moją ciekawość. Postanowiłem pójść za panem i tak trafiłem na turniej. To był po prostu przypadek.

– A ja myślałem... – Zygmuntowi zrobiło się głupio.

– Że namierzono pański telefon komórkowy albo że był pan inwigilowany?

– Coś w tym rodzaju – podkomisarz odpowiedział wymijająco.

– Niech pan nie wierzy we wszystko, co piszą w gazetach. – Gordon zaśmiał się serdecznie. – Żegnam pana! Było mi niezmiernie miło z panem współpracować, podkomisarzu.

Po tych słowach jego twarz momentalnie spoważniała.

– Cały czas proszę pamiętać o zobowiązaniu, jakie pan podpisał, o zachowaniu wszystkiego w tajemnicy. Niech pan pamięta: ścisła dyskrecja!

Vesely pokiwał głową na znak potwierdzenia. Stał i patrzył, jak wraz z oddalającym się oficerem zamyka się sprawa, która pochłonęła całe jego jestestwo. ■

## RETROSPEKCJA I. WARSZAWA, CZERWIEC 1968 ROKU

Mokotowski pałacyk położony przy ulicy Ksawerów<sup>15)</sup> przeglądał się w słońcu. Na tle klasycystycznego portyku tłoczyło się około trzydziestu mężczyzn w błękitnoszarych milicyjnych mundurach. Jedyńy wśród nich cywil, trzymający aparat fotograficzny w dłoniach, biegał śmiesznie wokół grupy i ustawiał wszystkich do pamiątkowego zdjęcia. Gdy zostało zrobione, z wnętrza budynku wyszła kobieta niosąca okazałą tacę zapełnioną sporymi, grubościennymi kieliszkami z wódką. Kiedy każdy z mundurowych uchwycił szkło, rozległ się szmer, który narastał i przerodził się po chwili w skandowanie: „Janek, Janek, Janek, Janek...!”. Wywołany wyszedł na kilka kroków przed grupę i zwrócił się ku pozostałym. Pogratulował kolegom ukończenia kursu, podziękował kadrze szkoleniowej za wysiłek i zaangażowanie. Przez moment mówił wzniosłe o służbie dla socjalistycznej ojczyzny i partii. Na koniec życzył wszystkim szczęścia, wznosząc tym samym pożegnalny toast. Gdy został spełniony, obecny na tej małej uroczystości komendant szkoły zaordynował:

---

15) W pałacyku ulokowanym przy ul. Ksawerów 13, w latach 1956 – 1971 mieściła się szkoła wywiadu (Szkoła Departamentu Pierwszego).

– Lipski, do mnie!

Przemawiający przed chwilą „Janek” karnie podbiegł do zwierzchnika i regulaminowo stanął na baczność. Ten popatrzył z zadowoleniem na absolwenta i oznajmił:

– Dzwonili z Departamentu. Za godzinę macie się stawić, towarzyszu podporuczniku, u naczelnika Wydziału Piątego. Gratuluję przydziału. Sam was rekomendowałem, więc nie przynieście mi wstydu. Niestety, świętowanie z kolegami będziecie musieli przełożyć na inny dzień.

– Tak jest, towarzyszu komendancie! Bardzo dziękuję za zaufanie.

\*\*\*

Podpułkownik Rajmund Wilczak gasił niedopałek papierosa w wielkiej kryształowej popielnicy. Siwy dym zalegający przestrzeń wokół biurka ulatniał się przez otwarte okno gabinetu, gdzie na zewnątrz królowało rozgrzane, wczesnoletnie powietrze. Kapitan Stefan Nowaczyk z wyraźną ulgą obserwował poczynania naczelnika. Sam nie palił i przebywanie w zadymionych pomieszczeniach było dla niego istną katorgą.

– Jesteś pewny – kapitan wrócił do przerwanej przed chwilą rozmowy – że ten nowy będzie właściwym kandydatem?

– Poprosiłem komendanta o przysłanie do nas najbystrzejszego chłopaka, jakiego miał. Zaraz powinien tu być. Uroczystość promocji chyba już się zakończyła.

– Kazałeś go wezwać w taki dzień? Przecież na pewno był umówiony z kolegami na ostre chłanie.

– Jutro na absolwentów rzucą się naczelnicy wszystkich wydziałów. Po tych antysemickich wrzaskach nie ma kim robić<sup>16)</sup>. Musiałem więc zadziałać wcześniej. Na szczęście znam dobrze szefa szkoły i ten nie odmówił mi przysługi.

---

16) Na przełomie lat 1967 i 1968 miała miejsce w PRL oficjalna, sankcjonowana przez najwyższe władze państwowe (kierownictwo Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) nagonka antysemicka. Obywateli pochodzenia żydowskiego obarczono odpowiedzialnością za wybuch kryzysu politycznego w marcu 1968 roku (tzw. „Marzec ‘68”). Przeprowadzono czystki w instytucjach państwowych, szacuje się, że do emigracji zmuszono od 13 do 20 tys. osób.

– Szczerze mówiąc, boję się tej nowej sprawy – zmienił temat Nowaczyk. – Na razie mam same niewiadome.

– Ale przyznasz, że zaczepka jest niesamowita. Dawno czegoś takiego nie mieliśmy. Dlatego musisz dołożyć wszelkich starań, żeby całość dobrze zweryfikować – odrzekł Wilczak.

– Mam już wstępną koncepcję działań – pochwalił się kapitan.

– Szybki jesteś – stwierdził naczelnik. – Mam propozycję. Zleć jeszcze dzisiaj temu nowemu opracowanie dokumentu zawierającego twoje pomysły. Zobaczymy, jak sobie poradzi. Jestem cholernie ciekaw, co tam nawymyślałeś.

– Dobry pomysł! – Nowaczyk uśmiechnął się szeroko.



Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz od strony drzwi gabinetu dobiegł odgłos pukania. Naczelnik wyrzucił z siebie gromkie „wejść” i do pomieszczenia wkroczył młody mężczyzna w milicyjnym mundurze.

– Towarzyszu naczelniku, podporucznik Jan Lipski...

– Czekaliśmy na was, podporuczniku. – Wilczak przerwał regulaminowe zachowanie, wyszedł zza biurka i podał gościowi rękę. Następnie zaanonsował towarzyszącego mu oficera, kończąc istotną dla nowicjusza informacją:

– Kapitan Nowaczyk będzie waszym bezpośrednim przełożonym.

Lipski przyjrzał się swojemu szefowi. Ten nie odezwał się, tylko skinął poważnie głową na powitanie.

Rozsiedli się wygodnie na krzesłach. Wilczak sięgnął po kolejnego papierosa, a pozostali czekali, aż upora się z jego zapaleniem.

– Komendant szkoły mówił o was w samych superlatywach – kontynuował naczelnik, wypuszczając z płuc chmurę siwego dymu, która łagodnie spłynęła w kierunku okna. – Jak myślicie zatem, dlaczego zostaliście do nas skierowani?

– Wydział Piąty prowadzi wywiad na kierunku państw niemieckojęzycznych i skandynawskich, a ja jestem z wykształcenia germanistą, więc chyba dlatego – odrzekł podporucznik.

– To istotny powód, ale nie najważniejszy. Przede wszystkim potrzebowaliśmy kogoś bardzo inteligentnego i pracowitego. A wy taką opinię uzyskaliście w szkole. Chcemy, żebyście zajmowali się u nas sprawą z kategorii najbardziej skomplikowanych. Czy wasza inteligencja podpowiada wam, o co może chodzić? – Choć pytanie brzmiało przekornie, w głosie podpułkownika nie było słyhać ironicznego tonu.

– Przypuszczam, że macie na myśli wywiad nielegalny, towarzyszu naczelniku – odparł natychmiast Lipski.

– Brawo – odezwał się kapitan Nowaczyk. – Jeśli wszystko się powiedzie, będziemy razem realizować operację przerzutu nielegala. Przed nami dużo mozolnej, w większości bardzo nudnej pracy. Najczęściej będziemy grzebać w papierach, a nagrodą będzie, co najwyżej, pylica płuc. Nie przeszkadza to wam, podporuczniku?

– Absolutnie! – Lipskiego rozpieła duma. Nawet nie marzył o takim początku służby. W szkole wykładowcy zawsze mówili, że do pracy z nielegalami kierowani byli tylko najlepsi.

– Widzę, że cieszy się z przydziału – stwierdził z zadowoleniem podpułkownik. – Jeśli jednak pozwolicie, to chciałbym zwrócić waszą uwagę na najważniejszy aspekt pracy w naszym wydziale.

– Pilnie słucham, towarzyszu naczelniku. – Twarz podporucznika momentalnie spoważniała.

– Po pierwsze tajemnica, po drugie tajemnica i po trzecie tajemnica. – Wilczak powiedział to tak twardo, a do tego wręcz z widocznym, nieudawanym szczękosciskiem, że po plecach nowego oficera Wydziału Piątego przeleciał dreszcz. – O wiedzy, jaką posiadacie na temat prowadzonej sprawy, oprócz was będą wiedzieć tylko dwie osoby: kapitan Nowaczyk i ja. Nikt inny nie może mieć do tego wglądu. Ani żona, ani kochanka...

– Nie jestem żonaty, towarzyszu naczelniku – zareagował Lipski.

– To w takim razie dotyczy to także każdej kurwy w mieście, z usług której będziecie korzystać! – Wilczak poczerwieniał, nie lubił, jak mu ktoś przerywał. – A swoją drogą, powinniście się ożenić, to jest dobrze widziane w resorcie. Wracając jednak do rzeczy: wszystko jest ściśle tajne. Nawet jak wezwie was przed swoje oblicze nasz drogi przywódca, towarzysz Gomułka<sup>17)</sup>, i zapyta, czym się zajmujecie, to macie go odesłać do mnie! Czy zostałem dobrze zrozumiany? – Ostatnie zdanie wypowiedział podniesionym głosem.

---

17) Władysław Gomułka – w latach 1956 – 1970 Pierwszy Sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (ówcześnie: polityk dysponujący najwyższą władzą w państwie).

– Bardzo dobrze, towarzyszu naczelniku – potwierdził podporucznik.

– Pamiętajcie, Lipski! Za głupotę dostaniecie opieprz, za nieumiejętność trzymania języka za zębami pójdziecie do więzienia, zaś za zdradę zostaniecie powieszani, o ile osobiście was wcześniej nie zastrzelę.

W gabinecie na chwilę zaległa cisza. Przerwał ją podpułkownik:

– Wiem, że przed przyjęciem do szkoły byliście na poligrafie<sup>18)</sup>. Nie było, co prawda, żadnych zastrzeżeń, jednak ze względu na specyfikę sprawy, w której

będziecie uczestniczyć, sprawdzimy was jeszcze raz. Zrobimy to za jakiś miesiąc. Świadomość badania pozwoli wam wdrożyć się do naszego reżimu tajności oraz zmobilizuje do rzetelnej samokontroli w nowej rzeczywistości, w jakiej się znaleźliście. A teraz proponuję, żebyście udali się z waszym bezpośrednim przełożonym do jego gabinetu i zapoznali się z oczekującymi was zadaniami.

---

18) Poligraf – inna nazwa wariografu, urządzenia do wykrywania kłamstw.

\*\*\*

– Ostry ten nasz naczelnik – stwierdził Lipski, rozgaszczając się w pokoju Nowaczyka. – Jak wam się z nim pracuje, towarzyszu kapitanie?

– To tylko takie pierwsze wrażenie. To jeden z najlepszych fachowców, jeśli nie najlepszy, w pionie wywiadu. Jest bardzo wymagający, to fakt. Powiem nawet, że bezkompromisowy w pracy, ale to wybitna umysłowość.

– Odniosłem wrażenie, że ostatnie jego słowa należy traktować bardzo poważnie.

– O tym, że osobiście zastrzeli za zdradę? – dopytał kapitan.

– Tak, były bardzo autentyczne. Powiało grozą.

– To może dlatego, że naczelnik w młodości nie raz zetknął się ze śmiercią.

– Walczył na froncie?

– Przeszedł cały szlak bojowy spod Lenino do Berlina. A zaraz po wojnie, w czterdziestym siódmym, omal nie zginął. Służył w ochronie grupy inspekcyjnej Świerczewskiego<sup>19)</sup>. Ponoć bronił generała aż do jego śmierci. Sam wtedy został ciężko ranny. Być może dlatego ostatnie słowa naczelnika zabrzmiały tak prawdziwie.

---

19) Karol Świerczewski – generał pułkownik Armii Czerwonej oraz generał broni ludowego Wojska Polskiego. Zginął w marcu 1947 roku w Bieszczadach, w zasadzce zorganizowanej przez pododdział Ukraińskiej Powstańczej Armii, podczas prowadzenia inspekcji tamtejszych garnizonów.

– To niezwykle, co opowiadacie, towarzyszu kapitanie.

– Nie „towarzyszujcie” mi. Jestem Stefan. – Oficer wyciągnął jeszcze raz rękę do uścisku. – Pamiętaj! W tym pokoju liczy się tylko fachowość. Ani partia, ani marksizm – leninizm, ani tym bardziej sojusz robotniczo-chłopski nie pomogą nam w pracy, jaką mamy do wykonania.

Lipski popatrzył na przełożonego z ciekawością pomieszaną z lekkim przestraczeniem.

– Odważne słowa – skomentował.

– Żeby była jasność – odrzekł Nowaczyk. – To, że jestem szczerym komunistą, nie przeszkadza mi być także realistą. A rzeczywistość jest następująca: mamy huk roboty. Gotowy do startu?

– Oczywiście! Czekam na dyspozycje.

– Najpierw zrób kawę – zaordynował zwierzchnik. – Możesz także zdjąć marynarkę od munduru, jest przecież cholernie gorąco.

Gdy Lipski, pozbawiony już górnej części uniformu, włączył grzałkę, Nowaczyk podszedł do okazałej, metalowej szafy ogniotrwałej. Otworzył ją dwoma kluczami i wyjął niewielką szarą kopertę, którą położył na skraju biurka, co sugerowało, że jest przeznaczona dla podporucznika.

Gdy ten postawił dwie szklanki z kawą zaparzoną „po turecku”, kapitan skinął głową, by Lipski zapoznał się z listem.

– To po niemiecku – stwierdził młody oficer, rozwierając złożoną „na cztery” kartkę.

– Czytaj i tłumacz od razu na głos. Zobaczymy, jak radzisz sobie z językiem – zaśmiał się przewrotnie Nowaczyk.

Podporucznik pochylił się nad tekstem.

– Sehr geehrte Damen und Herren... Szanowni państwo – rozpoczął.

Nieprześlągany los sprawił, że mój ukochany syn Adalbert von Delitz, służący jako leutnant w Wehrmachcie, zginął w ostatnich dniach wojny. Kilka miesięcy temu otrzymałam wiadomość z centralnego biura Bundespost, że podczas prac budowlanych prowadzonych w Berlinie Zachodnim odnaleziono depozyt wojskowej poczty polowej z kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Znajdował się w nim list od mojego syna, który wskutek zawirowań

wojennych nie został mi dostarczony. Z jego treści wynika, że Adalbert, niech Opatrzność Boska ma go w swojej opiece, poślubił 14 stycznia 1945 roku w Krakowie polską obywatelkę Barbarę Rytel, po czym jeszcze tego samego dnia wyjechał na front, by walczyć z bolszewicką nawałą. Nie dane było im się już nigdy więcej zobaczyć.

List zawierał informację, że młodzi małżonkowie spodziewali się dziecka, które miało się narodzić także w Krakowie, w kilka dni po ślubie. Syn zobowiązał mnie, bym zaopiekowała się jego rodziną w przypadku, gdyby nie doczekał końca wojny.

W związku z powyższym zwracam się do polskich władz z uniżoną prośbą o wszczęcie poszukiwań Barbary Rytel oraz jej dziecka. Będę wdzięczna za każdą informację o mojej synowej oraz jej potomstwie.

Z poważaniem

Luise von Delitz

80339 München, Schwanthalerhöhe, Anlerstraße 2

Den 11. April 1968.

– Ten list przyszedł niecałe trzy tygodnie temu do Krajowego Biura Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża – wyjaśnił kapitan. – Dzięki naszemu człowiekowi uplasowanemu w Biurze nie został przekazany od razu do ewidencji, lecz trafił do nas, więc przez jakiś czas nie zostanie uruchomiona procedura poszukiwawcza. Ale to nie jest w tej chwili istotne. Interesuje mnie, co o nim sądzisz. Czy zauważyłeś jakieś ważne dla nas informacje?

Lipski skupił się nad treścią. Starał się wyobrazić sobie całą historię, jaka doprowadziła do powstania listu. Po krótkim namyśle zaczął kojarzyć i układać fakty.

– Młody niemiecki oficer ze szlacheckiego rodu, co sugeruje znajdujący się przed nazwiskiem przyimek „von”, podczas służby w okupowanym kraju zakochuje się w Polce. Miłość skutkuje ciążą oraz ślubem. Niedługo się cieszy małżeństwem, gdyż musi wyruszyć na front. Przed śmiercią w boju pisze do matki, że jest żonaty i będzie ojcem. Niestety list z powodu działań wojennych nie dociera do adresatki. Odnajduje się po dwudziestu trzech latach i zapewne wywraca całe życie kobiety, która na nowo zaczyna opłakiwać los ukochanego syna. To

powoduje, że postanawia odnaleźć żonę Adalberta, a co najważniejsze, jego potomstwo.

– To teraz takiego „bajania” uczą w szkole wywiadu? – skomentował wysiłki nowego kolegi Nowaczyk. – Ale z drugiej strony, pięknie to wszystko zabrzmiało. Tylko co to może nas obchodzić?

– Jeśli dzieciak się odnajdzie, to nic nie stanie mu na przeszkodzie, żeby zostać prawdziwym Niemcem – odpowiedział prawie że tryumfalnie podporucznik.

– Otóż to! Trafiłeś w samo sedno. – Przełożony pokiwał z zadowoleniem głową. – Ten wniosek jest dla nas najważniejszy. I wiesz, co myślę?

– Co? – Młody oficer chłonął każde słowo kapitana.

– Że mamy ogromną szansę pomóc Frau Delitz, by wypełniła zobowiązanie, jakim obarczył ją syn.

– Ustaliłeś już coś w tej sprawie?

– Uruchomiłem naszych ludzi w Misji Handlowej w Kolonii<sup>20</sup>). Pomyszkowali dyskretnie i przedwczoraj przyszedł szyfrogram z pierwszymi informacjami. Rozpocząłem także poszukiwania tej Rytel. Niestety na razie bez efektów. Odpowiedzi, jakie otrzymałem do tej pory z Centralnego Biura Ewidencji i Dowodów Osobistych oraz Biura Paszportów, nie są zadowalające. Mam na liście kilkanaście kobiet o tym nazwisku, ale żadna z nich nie urodziła dwadzieścia trzy lata temu dziecka.

---

20) Po II wojnie światowej Polska nawiązała oficjalne stosunki dyplomatyczne z Republiką Federalną Niemiec (Niemcami Zachodnimi) w 1972 roku. Polska ambasada w RFN rozpoczęła działalność w Kolonii dopiero w 1974 roku.

– A te informacje z Niemiec? Czego dotyczą? – Lipski pierwszy raz w życiu poczuł atmosferę prawdziwej wywiadowczej roboty.

– Jeden z naszych oficerów z tamtejszej rezydentury udał się do biblioteki Uniwersytetu Kolońskiego i zapoznał się z niedawno opublikowanym, przeglądowym opracowaniem na temat pruskich rodów szlacheckich autorstwa kilkorga naukowców związanych ze środowiskiem niemieckich wypędzonych<sup>21</sup>).

---

21) Mowa o organizacjach zrzeszających osoby deklarujące narodowość niemiecką wysiedlone po II wojnie światowej z terytoriów należących do III Rzeszy, które zostały przyłączone do Polski jako Ziemie Odzyskane. Organizacje te (tzw. ziomkostwa) w większości prezentowały w tamtym czasie, w odniesieniu do PRL, poglądy i żądania rewizjonistyczne.

– Uzyskano wiedzę o Delitzach?! – Podporucznik nie wytrzymał.

– W rzeczy samej. Co prawda, niewiele tego, ale jak to przeczytałem, to sprawa zrobiła się jeszcze bardziej interesująca.

– Czyli? – Głos Lipskiego zdradzał ogromne zaciekawienie.

– Okazało się, że Delitzowie to stara, wpływowa, junkierska szlachta pochodząca z Ostpreußen, czyli Prus Wschodnich. Ich dobra leżały w dzisiejszym województwie olsztyńskim oraz szczecińskim. Dorobili się na międzynarodowej działalności handlowej, czym odróżniali się od innych arystokratycznych rodzin z tamtego regionu Niemiec. Obecnie mieszkają w Monachium. Nestorką rodu jest właśnie Luise von Delitz, autorka listu, który przeczytałeś. Oprócz niej jest jeszcze rodzeństwo Adalberta: brat Lothar i siostra Sigrid. Oboje mają swoje rodziny. W opracowaniu była także wzmianka o śmierci naszego leutnanta, który, tu cytuję z pamięci: „zginął w obronie ojczyzny w ostatnich dniach wojny”.

– To fantastyczne! – Młody oficer z entuzjazmem ocenił usłyszane fakty.

– Też tak uważam – zgodził się Nowaczyk. – Gdyby udało nam się wprowadzić do tej rodziny naszego człowieka, zyskalibyśmy niezwykle aktywa. Po pierwsze, moglibyśmy spenetrować ziomkostwa. Po drugie, taki człowiek wszedłby automatycznie w kręgi niemieckiej elity. Aż boję się pomyśleć, jakie otworzyłoby to możliwości.

– No dobrze – powiedział podporucznik. – Mamy tu jednak co najmniej dwie zasadnicze niewiadome.

– Czyżby chodziło ci o to, czy dziecko Delitza jest mężczyzną oraz czy uda nam się kogoś takiego namówić do pracy w wywiadzie?

– Właśnie. Uważam, że kobieta nie nadawałaby się do takiej misji – odparł Lipski.

– Kobiety w tym fachu są bardzo często lepsze od facetów. Ale podzielam twoje obawy. Taki ktoś będzie musiał bowiem podjąć decyzję o zmianie swojego

dotychczasowego życia, i to być może na resztę życia. Mężczyźni podjęcie takiego wyboru przyszłoby chyba łatwiej.

– A druga kwestia?

– No cóż, jeśli potomek Delitza się odnajdzie, to trzeba będzie podjąć próbę dotarcia do niego i ustalenia, czy nadaje się do naszej gry. Jeśli nie, to będziemy musieli kogoś takiego stworzyć, co będzie jednak generowało wiele trudności w postaci skonstruowania precyzyjnej, wysoce autentycznej i sprawdzalnej legendy dla naszego wtórnika. Ale uważam, że jesteśmy w stanie podołać takiemu zadaniu.

– Od czego, twoim zdaniem, powinniśmy zacząć?

Nowaczyk, zanim odpowiedział, sięgnął po raz wtóry do szafy ogniotrwałej i wyjął z niej plik złożony z zapisanych pojedynczych kartek.

– To są moje notatki – rzekł. – Pracowałem nad nimi przez kilkanaście ostatnich dni. Zawierają w zasadzie kompletną koncepcję całej sprawy. Trzeba będzie to wszystko odczytać i chronologicznie poukładać, a potem przepisać ładnie na maszynie. A ponieważ nasza robota jest tak tajna, że nie możemy korzystać z pomocy sekretarki, więc ty to zrobisz. To będzie twoje pierwsze zadanie. – Mówiąc to, kapitan pilnie obserwował podwładnego. Ten nie okazał jednak żadnej reakcji, spytał tylko:

– Na kiedy maszynopis musi być gotowy?

– Na jutro – padła odpowiedź. – Takie jest polecenie naczelnika.

Twarz Lipskiego nieznacznie się wydłużyła ze zdziwienia.

– Przecież żeby zdążyć, będę musiał siedzieć nad tym przez całą noc – wydukał.

– Witaj w wywiadzie, w najbardziej zbiurokratyzowanej służbie ze wszystkich tajnych służb – odparł wesoło Nowaczyk. – Ale zanim się za to zabierzesz, omówimy najpierw zasady konspiracji, jakie będziemy stosowali. To bardzo ważna kwestia w naszej robocie.

– „Po pierwsze tajemnica, po drugie tajemnica, po trzecie tajemnica” – podporucznik zacytował szefa wydziału. – Nie bój się, zastosuję się.

– W to nie wątpię, chodzi jednak o to, byś wiedział, jak to dobrze zrobić.

– Zatem zamieniam się w słuch – zadeklarował młody oficer.



Kapitan wziął łyk wystygłej już kawy, po czym nabrał głęboko powietrza i zaczął objaśniać.

– To, że nie możesz nikomu opowiadać o naszej pracy, jest oczywiste i zrozumiałe. Tak jak powiedział już podpułkownik Wilczak, o tym, czym się zajmujemy, będą wiedzieć szczegółowo tylko trzy osoby: ty, ja i naczelnik. Bardzo ogólna wiedza na temat stanu sprawy będzie trafiać co jakiś czas do dyrektora Departamentu Pierwszego. Jeśli uda nam się doprowadzić do przerzutu agenta do Niemiec, to stosowna notatka, niezawierająca jednak żadnych detali operacyjnych, zostanie przekazana szefowi Służby Bezpieczeństwa, a ten poinformuje o sukcesie wywiadu ministra spraw wewnętrznych. Jednak w dalszym ciągu szczegóły operacji będą znane tylko trzem osobom. To pierwszy filar zagwarantowania bezpieczeństwa naszemu człowiekowi za granicą.

– I myślisz, że szef wywiadu nie zapyta o niuanse sprawy? – zdziwił się podporucznik.

– Nie było jeszcze takiego przypadku. Ale jeśli nawet do tego dojdzie, to zapewniam cię, że Wilczak się nie ugnie. Po prostu nie udzieli odpowiedzi. – Kapitan wiedział, co mówi.

– Nie sądziłem, że system konspirowania działań zakłada stosowanie zasady nieufności wobec najwyższych przełożonych – odrzekł na to Lipski.

– Jako komunista nie wierzę w Boga, ale wierzę w to, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże” – oświadczył poważnie Nowaczyk. – No dobrze, teraz opowiem ci o drugim filarze zapewnienia bezpieczeństwa naszemu przyszłemu agentowi. Będziemy stosować podwójną legalizację naszych tożsamości.

– Jak to?!

– To proste. Teraz wszyscy w „firmie” znają cię jako Jana Lipskiego, a mnie jako Stefana Nowaczyka, choć obaj nazywamy się w rzeczywistości zupełnie inaczej. Jest to dobry sposób maskowania standardowych działań wywiadu. Jednak nasza sprawa wymaga podejścia szczególnego. Ja, na przykład, posługuję się dodatkowo nazwiskiem Tomasz Wrzos. Ty także musisz sobie wymyślić drugie personalia. Masz na to minutę.

Podporucznik nie domagał się więcej wyjaśnień. Domyślał się, że za niedługo je otrzyma. Skupił się na wykonaniu polecenia. Był przyzwyczajony do takich

niespodzianek. W szkole wywiadu wszyscy kursanci, niemal codziennie, byli zaskakiwani dziwnymi zadaniami zlecanymi do realizacji o nieprzewidywalnej porze.

Kapitan spoglądał na swojego poljota<sup>22)</sup> umieszczonego na przegubie lewej ręki, kontrolował czas. Dokładnie w chwili, kiedy upłynęło sześćdziesiąt sekund, usłyszał odpowiedź:

---

22) Marka zegarków produkowanych w Związku Radzieckim.

– Mieczysław Hartman.

– Dlaczego właśnie takie? Przecież w ramach czystki wielu funkcjonariuszy o semicko brzmiących nazwiskach zostało usuniętych ze służby.

– Właśnie dlatego – odpowiedział podporucznik. – Po pierwsze, o ile mi wiadomo, nie zwolniono wszystkich osób o żydowskich korzeniach, a po drugie liczę na to, że jeśli ktoś zacznie szukać Hartmana, to w pierwszym odruchu będzie kierować się kryterium etnicznym.

– Chytrze – pochwalił Nowaczyk. – A czy imię Mieczysław przybrałeś sobie może na cześć „szefa wszystkich szefów”<sup>23)</sup>? Czy jest to raczej wyraz czystej przebiegłości?

---

23) Chodzi o ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Mieczysława Moczara. Tzw. „moczarowcy” zainicjowali i przeprowadzili antysemickie czystki w aparacie władzy w latach 1967 – 1968.

– Powiedzmy, że wiem, iż nie należy lekceważyć ironii losu – odparł Lipski.

– Pięknie powiedziane. – Kapitan był autentycznie pełen uznania dla swojego nowego podwładnego. – W takim razie, kolego Hartman, proszę wysłuchać instrukcji posługiwania się drugim nazwiskiem legalizacyjnym. Otóż będziesz go używać tylko do podpisywania dokumentów, jakie sporządzisz podczas realizacji naszej sprawy.

– Jakże to ma przynieść efekty?

– Jak każda organizacja, także wywiad funkcjonuje w oparciu o aparat administracyjny posługujący się metodami biurokratycznymi, których najważniejszym elementem jest obrót dokumentami. Ten, kto zna system tworzenia

„kwitów” i ich obiegu, jest w stanie odkryć każdą tajemnicę. Chodzi o to, że obaj jesteśmy znani jako Nowaczyk i Lipski. Jeśli ktoś domyśli się, że pracujemy nad czymś specjalnym, i będzie chciał sprawdzić, co to jest, to spróbuje w organizacji odszukać materiały sygnowane właśnie tymi nazwiskami. Podpisując się drugimi personaliami legalizacyjnymi, skutecznie uniemożliwimy komuś takiemu dokonanie odkrycia.

– Nie rozumiem jednak, kogo mamy się obawiać w centrali wywiadu – młody oficer sceptycznie przyjął wyjaśnienia starszego kolegi.

– Chodzi o ukrycie naszych poczynań przed trzema rodzajami ludzi: kolegami – oficerami, z którymi stykamy się na co dzień podczas wykonywania obowiązków; przeciwnikami, czyli agentami wrogich nam wywiadów, gdyż należy zakładać ich obecność w centrali; musimy także strzec naszej sprawy przed towarzyszami radzieckimi z KGB.

– Z KGB?!!! – Podporucznik pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Tak. Oficjalnie przy naszym MSW istnieje misja łącznikowa KGB, która formalnie kontaktuje się z szefostwem naszego departamentu. Kagiebesznicy pilnują przede wszystkim, byśmy przekazywali im informacje pozyskane w sposób operacyjny. Oczywiście robią też wszystko, by uzyskać wiedzę o naszych aktywach za granicą.

– Chcą poznać naszych agentów?

– Tak. Ale ze zrozumiałych względów nikt im nie udostępnia danych. Mamy jednak sygnały, że podejmują próby werbowania naszych oficerów.

– To chyba niemożliwe – stwierdził Lipski.

– Wszystko jest możliwe! – odrzekł stanowczo przełożony. – Przyjmij wreszcie do wiadomości, że służysz w najtajniejszej instytucji tego kraju! Pracujesz w wywiadzie, mój drogi podporuczniku, a w tej branży nie ma sentymentów, sojuszników ani lojalności. Jest za to wyrachowanie i zimna kalkulacja interesów. A radzieccy nigdy nikomu nie ufają. Nawet samym sobie. Mają zakodowane w tej swojej stepowej mentalności, że wszystkich muszą „ręcznie” kontrolować. Dlatego ostrzegam cię! Uważaj na ruskich! I to wszystkich, z jakimi się zetkniesz. Masz mi pisemnie meldować o każdym takim kontakcie. Nawet jak poznasz jakąś niewinną

„diewuszkę” na plaży nad Wisłą, to twoim obowiązkiem jest sporządzenie o tym fakcie notatki służbowej. Zrozumiałeś?

– Tak jest, kapitanie, zrozumiałem – potwierdził młody oficer.

– Świetnie. Zatem przechodzimy do trzeciego filaru bezpieczeństwa. Będziemy nadawać podwójne pseudonimy wszystkim ludziom, których wykorzystamy do przeprowadzenia naszej operacji. Jeśli skorzystamy z usług osoby, która już jest zarejestrowana przez Służbę Bezpieczeństwa w charakterze Tajnego Współpracownika lub Kontaktu Operacyjnego, to taki ktoś musi otrzymać drugi alias legalizacyjny. Na przykład, gdy uzyskamy informacje operacyjne od TW IKS, to w naszej dokumentacji ten ktoś będzie występować jako TW IGREK. Jeśli pozyskamy kogoś do sprawy, to zarejestrujemy go oficjalnie jako TW IKS, ale w naszych materiałach będzie oznaczony jako TW IGREK. Jeśli skorzystamy z wiedzy osoby, której nie zarejestrujemy, to określimy ją jedynie jako TW IKS. W ten sposób, w przypadku gdy ktoś odkryje w kwitach, że korzystamy z usług określonego informatora, to nigdy nie odnajdzie w systemie ewidencji ani jego oficjalnego pseudonimu, ani tym bardziej prawdziwego nazwiska. Innymi słowy, nie będzie mógł do niego dotrzeć i ustalić, co nam przekazał i czym się interesujemy.

– No dobrze, a co w przypadku rozliczeń finansowych operacji? – Podporucznik wychwycił niezwykle istotny problem.

– Szczegółowe specyfikacje kosztów będziemy prezentować tylko naczelnikowi wydziału, który po aprobachie będzie przedstawiał ogólne rozliczenie w księgowości operacyjnej, podając jedynie kwotę zbiorczą oraz kryptonim operacji. Jeśli wynikną kwestie sporne, to będą rozwiązywane przez dwie osoby: naszego naczelnika i dyrektora Departamentu Pierwszego. Decyzja szefa wywiadu będzie ostateczna.

– A na przykład zaliczkowanie dużych kwot w dewizach? – drążył Lipski.

– Widzę, że na kursie wywiadowczym dobrze cię wyedukowali, ale to akurat nie stanowi problemu. Naczelnik posiada limit wydatków, do wysokości którego może samodzielnie podejmować decyzje finansowe. Gdy w grę wejdą większe sumy, złoży odpowiedni wniosek do dyrektora o zgodę na wypłatę. Po jej uzyskaniu pójdzie do kasy po gotówkę.

– Cholera, wszystko jest drobiazgowo przemyślane – rzekł z podziwem w głosie podporucznik.

– Naszym obowiązkiem jest dbanie o to, by robota zawsze była wykonywana „koronkowo”. Jeśli przestaniemy zwracać uwagę na drobiazgi, nasz człowiek za granicą może zostać zdekonspirowany. Dlatego też czwarty filar bezpieczeństwa dotyczy ochrony najcenniejszego aktywu, jakim będzie nasz agent. Rzeczą sprowadza się do cenzurowania wszystkiego, co umożliwiłoby odkrycie jego działalności. I nie mówię tu o personaliach, do tej kwestii wrócę za chwilę. Chodzi przede wszystkim o tak zwane dane wrażliwe, zawarte w raportach, wnioskach, sprawozdaniach i rozliczeniach, które będziemy przekazywać do naczelnika, wyższych przełożonych, księgowości, kadr, innych wydziałów, oraz przede wszystkim o dokumenty, jakie w przyszłości, mam nadzieję, dostarczymy do Wydziału Dziesiątego, czyli analityczno-informacyjnego.

– Ale dlaczego dotyczy to kwitów przeznaczonych dla naczelnika? On przecież jest dopuszczony do tajemnicy – zauważył podporucznik.

– Dlatego, żeby mojej szafy ogniotrwałej nie opuścił żaden materialny ślad wskazujący na to, że prowadzimy agenta realizującego tajną misję za granicą. Sprawa jest prosta. Jeśli my nie zatrzymamy śladów w papierach, to będzie to musiał zrobić naczelnik. I możesz być w stu procentach pewien, że nie pochwali nas za to.

– Jakie w takim razie dane wrażliwe masz na myśli?

– Imiona, nazwiska, nazwy instytucji i obiektów, adresy, numery telefonów, numery tablic rejestracyjnych, koordynaty i opisy geograficzne, marki samochodów, kategorie wykształcenia, informacje o aktywności zawodowej, a nawet wzmianki o sposobie spędzania czasu wolnego i hobby – wyrecytował kapitan jednym tchem. – Wszystko to trzeba usuwać z treści dokumentów, i to nie poprzez zamazywanie fragmentów tekstu, ale poprzez ich wycinanie.

– Wycinanie?! – Zdziwienie odmalowało się na twarzy młodego oficera.

– Dokładnie – odrzekł przełożony. – Najwygodniej robi się to skalpelem chirurgicznym. Dostaniesz taki ode mnie. Technicznie dane wrażliwe chroni się w następujący sposób: sporządzasz kwit w dwóch egzemplarzach na maszynie do pisania przy wykorzystaniu kalki. W nagłówku dokumentu wstawiasz jednak

klauzulę „egzemplarz pojedynczy”. Kalkę przynosisz do mnie i w mojej obecności wrzucasz do niszczarki, która stoi przy oknie.

Lipski spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył szarostalową „szafkę” z emblematem firmy IDEAL.

– Z kopii wycinasz dane wrażliwe i naklejasz ją na kartkę papieru takiego samego formatu, żeby była stabilna – kontynuował kapitan. – Potem ja udaję się z oryginałem oraz kopią do naczelnika. On zapoznaje się z treścią, po czym parafuje obie wersje. Pocięta zostaje u naczelnika, zaś oryginał wraca do mojej szafy. Jeśli zaistnieje potrzeba, żeby zaprezentować dokument komuś spoza naszej trójki, to ten ktoś zobaczy jedynie „wycinankę”. W ten sposób będziemy mieć pewność, że wszystko pozostanie utajnione.

– A co z dokumentami, które agent zdobędzie za granicą i dostarczy nam, na przykład, ich fotografie?

– Sposób postępowania jest taki sam. Z materiału źródłowego robimy opracowanie, uwzględniając dane wrażliwe, które usuwamy z kopii. Oczywiście musimy zakładać, że nasz człowiek może przysłać bardzo obszerny materiał, więc wtedy będziemy musieli skorzystać z pomocy tłumaczy. Ale tym się zajmiemy, jak powstanie tego typu problem. Teraz nadszedł czas, by omówić piąty, ostatni filar bezpieczeństwa, który zakłada prowadzenie teczek legalizacyjnych.

Podporucznik nie wytrzymał i znów przerwał Nowaczykowi:

– Przypuszczam, że będzie to najważniejsza teczka w twojej szafie.

– Zgadza się. W niej będą przechowywane wszystkie informacje stanowiące klucz do naszej sprawy: autentyczne imię i nazwisko agenta, jego prawdziwy życiorys do chwili przerzutu, zdjęcia jego twarzy oraz sylwetki, nazwa instytucji przykrycia za granicą, wszystkie dane kontaktowe, opis systemu tajnej łączności, instrukcje operacyjne oraz treść zleconych zadań. Oprócz tego będą tam chronione dokumenty sporządzone na potrzeby jego funkcjonowania w wywiadzie, czyli na przykład: jego zobowiązanie do zachowania tajemnicy, wyniki badań psychologicznych, wydruki z poligrafu, oceny jego pracy, opis przebiegu szkolenia.

– Jednym słowem wszystko, co będziemy posiadać na jego temat – podsumował Lipski.

– Dokładnie. Utworzymy także teczkę legalizacyjną „bis”, w której będą znajdować się dane na temat osób pojawiających się w sprawie. Inaczej mówiąc, schowamy w niej informacje dekonspirujące podwójne pseudonimy legalizacyjne. Oprócz tego systemem „teczki legalizacyjnej” będziemy chronić wszystkie informacje otrzymane od agenta, zarówno w postaci dokumentów i szyfrów, jak i negatywów filmowych. Tak więc w miarę rozwoju sprawy materiałów wrażliwych będzie przybywać. Trzeba je trzymać razem i szczególnie pilnować.

– A gdzie będą się znajdować nasze drugie personalia?

– W głównej teźce legalizacyjnej – odparł kapitan. – Musisz mieć świadomość, że jedyymi osobami łączącymi agenta z polskim wywiadem będzie tylko nasza trójka. Ja i naczelnik bezpośrednio, zaś ty pośrednio.

– Co to w praktyce oznacza? – Lipski nie zrozumiał tego rozróżnienia.

– Ja i naczelnik będziemy mieć wiedzę na temat rzeczywistych danych osobowych agenta oraz tego, jak wygląda. Obaj także będziemy się z nim spotykać. Ja regularnie, zaś podpułkownik Wilczak okazjonalnie, i to w zasadzie tylko w okresie szkolenia. Co się zaś tyczy ciebie, to będziesz początkowo znał tylko jego pseudonim oraz nazwisko legalizacyjne.

– Rozumiem, że nie zasłużyłem jeszcze na zaufanie. – Młody oficer uniósł brwi w sposób, który świadczył o tym, że jest zawiedziony.

– To nie jest kwestia zaufania, ale profesjonalnego postępowania z tajnymi materiałami. Jeszcze raz podkreślam, że naszym celem jest zapewnienie bezpieczeństwa człowiekowi, który będzie realizował tajną misję za granicami państwa. I choć, de facto, taki ktoś jeszcze nie istnieje, to już teraz musimy o tym pamiętać na każdym kroku. Czy to jest zrozumiałe?

Podporucznik pokiwał głową na znak potwierdzenia. Ponownie zaczęła rozpierać go duma, że uczestniczy w tak poważnym przedsięwzięciu.

– Teraz jeszcze wyjaśnię ci reguły korzystania z teczki legalizacyjnej. – Nowaczyk poczuł potrzebę rozprostowania kości, wstał więc z krzesła i podszedł do okna. – Po pierwsze, teczka nie może opuścić tego pokoju. Dostęp do niej mam tylko ja.

– Jak to? A naczelnik?

– On może zapoznać się z jej zawartością tylko w tym pomieszczeniu, i to w mojej obecności. Nie wolno mu po nią sięgnąć samodzielnie. Zresztą nie wolno tego zrobić nikomu, nawet dyrektorowi Departamentu, nie wspominając już o samym ministrze spraw wewnętrznych. Chyba domyślasz się, że takie postępowanie nie wynika z braku zaufania do naszych zwierzchników – kapitan nawiązał do wątpliwości podwładnego – lecz z ustalonych, żelaznych zasad konspiracji.

Lipski nie odezwał się, znowu tylko skinął głową na znak, że wszystko doskonale pojmuje.

– W przypadku, gdyby coś się ze mną stało – ciągnął Nowaczyk – na przykład uległbym śmiertelnemu wypadkowi, to do wglądu do teczek, a tym samym do całej dokumentacji sprawy uprawniony jest tylko naczelnik Wilczak, i do tego w twojej obecności. Pamiętaj! Tylko wy dwaj, wspólnie, możecie w takiej sytuacji otworzyć moją szafę! Potem pokażę ci, gdzie w jej wnętrzu znajduje się specyfikacja zawierająca sygnatury przechowywanych dokumentów wraz z datami ich utworzenia. Lista ta jest na bieżąco przeze mnie uzupełniana w porządku chronologicznym. Tak więc naczelnik wraz z tobą musi przeprowadzić inwentaryzację wszystkich kwitów i potem protokolarnie przekazać je do dyspozycji wyznaczonej osobie. Nie wolno tu wpuścić żadnej komisji ani tym bardziej jakichś pełnomocników dyrektora Departamentu! To mogłoby zagrozić naszemu agentowi. Tylko ty i naczelnik! Pamiętaj!

– Będę pamiętał – odrzekł podporucznik. – Rozumiem, że podpułkownik Wilczak wyraził zgodę na takie rozwiązanie?

– To jego pomysł i zarazem polecenie służbowe, by stosować taką właśnie procedurę. Zresztą wszystko, co do tej pory zaprezentowałem, było z nim wcześniej konsultowane i zostało przez niego zaakceptowane w postaci odpowiedniego dokumentu.

Kapitan wrócił spod okna na krzesło. Z biurka wyjął dwie oranżady i szklanki. Gdy rozlewał napój, w pokoju dało się słyszeć syk uwalnianych pęcherzyków dwutlenku węgla. Obaj z przyjemnością zamoczyli usta w słodkiej, aczkolwiek cieplej cieczy.



– Czy masz jakieś pytania co do zasad bezpieczeństwa, jakie ci przedstawiłem?  
– Nowaczyk chciał już przejść do meritum sprawy, które było dla niego o wiele bardziej zajmujące i fascynujące. Gdy niczego nie usłyszał ze strony podwładnego, dodał na zakończenie tej części spotkania: – Jutro dostaniesz do podpisania instrukcję bezpieczeństwa zawierającą wszystkie zasady, o których ci opowiedziałem. Teraz wróćmy jeszcze na chwilę do listu Luise von Delitz. Otóż zastanowiła mnie jedna rzecz. Dlaczego przesłała do PCK list napisany po niemiecku? Zazwyczaj Niemcy poszukujący kogoś w Polsce przesyłają zapytania o zaginionych już przetłumaczone. Takie postępowanie zaleca im zresztą Biuro Poszukiwań Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

– Może po prostu nie wiedziała o tym – zgadywał Lipski.

– Może. Mnie jednak przychodzi do głowy coś innego. Moim zdaniem należy brać pod uwagę, że odnaleziony list Adalberta von Delitza do matki mógł nie zostać entuzjastycznie przyjęty przez wszystkich członków rodziny. Myślę tu zwłaszcza o rodzeństwie naszego leutnanta.

– Chodzi ci o sprawy majątkowe? – Młody oficer zrozumiał intencje przełożonego.

– Przede wszystkim. Z uzyskanych informacji z Kolonii wynika, że to zamożny ród. Odnalezienie się potomka Adalberta wywróciłoby zapewne relacje finansowe i własnościowe w tej rodzinie. A tego zapewne nikt tam nie chce.

– To niezmiernie ważny wniosek. – Teraz podporucznik wstał i podszedł do okna, gdyż zeszytniał, siedząc na prostym i niewygodnym krześle. – Musimy go uwzględnić przy konstruowaniu założeń do przerzutu.

– Zgadza się. Wydaje mi się, że pokonanie niechęci tamtych ludzi do cudem odszukanego krewnego będzie naszym najtrudniejszym zadaniem. Ale to dopiero przed nami. Zajmijmy się teraz omówieniem treści mojej koncepcji całej sprawy, żebyś mógł sprawnie przygotować na jutro dokument dla naczelnika. – Mówiąc to, kapitan wziął do rąk stos swoich notatek. – Weź sobie z biurka coś do pisania – polecił podwładnemu.

Lipski wrócił na swoje krzesło, uchwycił wolny ołówek i przyjął wyczekującą pozycję nad czystą kartką.

– Najpierw musimy przyjąć założenie – zaczął Nowaczyk – że mamy dwie drogi do osiągnięcia celu, jakim jest umieszczenie naszego człowieka w rodzinie Delitzów. Pierwsza to odnalezienie rzeczywistego potomka oraz podjęcie próby pozyskania go dla wywiadu, druga to stworzenie od podstaw wtórnika.

– Dla mnie pierwsza droga jest bardzo niepewna – skomentował podporucznik. – Nie wiadomo, czy to mężczyzna, czy kobieta. Ten ktoś może także po prostu się nie nadawać ze względów intelektualnych lub psychologicznych.

– A nawet jak się okaże dobrym kandydatem, to najzwyczajniej może nie być zainteresowany naszą propozycją – uzupełnił Nowaczyk. – Ale musimy to wszystko sprawdzić. I jeśli okoliczności będą sprzyjające, to pójdziemy tą drogą, gdyż jest ona „tysiąc razy” łatwiejsza od drugiej. Niemniej należy zakładać inny rozwój wydarzeń. Dlatego też moja koncepcja dotyczy w głównej mierze stworzenia człowieka, który przejmie tożsamość potomka Delitza.

– No dobrze. – Lipski już całym sobą zaangażował się w sprawę. – Ale co zrobimy, jeśli odnajdziemy syna lub córkę leutnanta i jednocześnie będziemy zmuszeni do wtórnikowania? Przecież od początku sprawa będzie zagrożona możliwością odnalezienia się prawdziwego potomka.

– Uwzględniłem to. Po prostu trzeba będzie zredukować taką opcję do zera.

– Ale jak? Myślisz o fizycznej likwidacji? – Młody oficer zadał pytanie z widoczną trwogą w głosie.

– Po pierwsze, trzeba będzie takiej osobie dać szlaban na wyjazdy za granicę. Po prostu taki ktoś nigdy nie dostanie paszportu. Po drugie, otoczy się ją kręgiem informatorów, żeby wiedzieć o wszystkich jej zamierzeniach. Jeśli to nie wystarczy, to spróbujemy szantażu albo sfingujemy jakąś sprawę kryminalną z jej udziałem i wyślemy do więzienia. Teraz nie martwiłbym się tym na zapas.

– W porządku. Nie będę już uprawiał czarnowidztwa – zaśmiał się podporucznik.

– To bardzo dobrze, że wyszukujesz przeszkody. Wbrew pozorom to pomaga w znalezieniu najlepszych rozwiązań. Wróćmy jednak do koncepcji. Najlepiej będzie, jak zaczniemy od kandydata na ewentualnego wtórnika. To musi być mężczyzna, który nie posiada rodziny. Chodzi o osobę, która nie ma zupełnie nikogo.

– Zatem powinniśmy szukać wśród wychowanków domów dziecka – wstrzelił się Lipski.

– Z ust mi to wyjąłeś – powiedział z zadowoleniem kapitan. – Taki ktoś musi przede wszystkim posiadać odpowiednie predyspozycje. Należy także pamiętać, że nasz potencjalny agent ma już dwadzieścia trzy lata, więc jeśli szedł zwykłą ścieżką edukacyjną, to teraz jest na czwartym roku studiów.

– Chcesz, by miał wyższe wykształcenie?

– Tak. To ze względu na status rodziny, w jakiej chcemy go umieścić. Poza tym on musi mieć możliwość robienia kariery w Niemczech. Fakt ukończenia studiów wyższych tylko mu w tym pomoże. Oczywiście będzie musiał nostryfikować dyplom, ale to raczej nie powinno stanowić problemu.

– A co ze znajomością niemieckiego?

– Szczerze mówiąc, byłoby lepiej, gdyby nie dysponował taką umiejętnością. To zwiększyłoby jego wiarygodność. Języka nauczy się bardzo szybko, będąc w Niemczech. Kolejnym wyzwaniem jest jego odpowiednie przygotowanie. Tu, ze względu na konieczność zachowania tajemnicy, w grę wchodzi jedynie szkolenie indywidualne z dala od szkoły wywiadu. W związku z tym zaistnieje potrzeba posiadania nowego mieszkania konspiracyjnego, o którym tylko my będziemy wiedzieć. Tam zorganizujemy naszemu człowiekowi wszystkie zajęcia, które ja przeprowadzę.

– Nie będą potrzebni żadni fachowcy? – Podporucznik był zdziwiony. – Co z szyframi? Z łącznością? A wreszcie z techniką?

– Utrzymanie tajemnicy jest najważniejsze. Sposób postępowania będzie następujący: najpierw specjaliści przeszkolą mnie, zaś potem ja naszego człowieka. W przypadku zaistnienia potrzeby jakichkolwiek konsultacji, zostaną one przeprowadzone za moim pośrednictwem. Dysponujemy także wieloma filmami instruktażowymi, a jeśli trzeba będzie, to nakręcimy dodatkowe, tylko dla naszej sprawy. Co prawda, do treningów z wykrywania inwigilacji bezpośredniej trzeba będzie zatrudnić ekipę obserwacyjną, ale tutaj posłużymy się charakterystyką oraz odpowiednim ubiorem.

– Widzę, że podchodzisz do wszystkiego z rozmachem. – Młody oficer był zafascynowany planami przełożonego.

– Po prostu mam świadomość, że albo pójdziemy na całość, albo możemy od razu odpuścić. W tej grze nie wolno stosować półśrodków. Tylko w taki sposób osiągniemy cel. Dotyczy to zwłaszcza legendy, jaką należy stworzyć. Musi być...

– ...wysoco prawdopodobna, sprawdzalna, niebudząca wątpliwości, kompletna – wyrecytował Lipski.

– To szkolne, podręcznikowe ujęcie – skomentował wypowiedź podwładnego Nowaczyk. – Dla nas najważniejsze będą: jej drobiazgowość, logiczność, a ponad wszystko materialne zabezpieczenie.

– Materialne zabezpieczenie?! A cóż to takiego?

Kapitan uśmiechnął się. Wiedział, że oficerom, którzy nie mieli styczności z pionem wywiadu nielegalnego, obce były jego metody pracy. Także na żadnych kursach ani w wywiadowczej szkole nie uczono tego, o czym teraz zamierzał opowiedzieć.

– Nasz nieznan nam jeszcze kandydat na agenta musiał się gdzieś urodzić, wychować, uczęszczać do szkół, a teraz jest, jak już wcześniej powiedziałem, na czwartym roku studiów – odrzekł. – W międzyczasie na pewno korzystał z usług służby ochrony zdrowia, został zarejestrowany w Wojskowej Komendzie Uzupełnień i z pewnością odbywał zajęcia wojskowe na uczelni. Wszędzie tam pozostawił materialny ślad swojej obecności.

Kapitan wstał zza biurka i zaczął intensywnie przechadzać się po gabinecie, jakby to miało mu pomóc w rzeczowym i logicznym przekazywaniu własnych przemyśleń.

– Zaczniemy zatem od początku – powiedział po dłuższej chwili. – Urodził się, więc ślady materialne związane z tym faktem to wpisy w rejestrze Urzędu Stanu Cywilnego oraz w jakiejś parafialnej księdze metrykalnej.

– Dlaczego bierzesz pod uwagę księgę parafialną? – Lipski nie skojarzył związku pomiędzy narodzinami dziecka a dokumentami kościelnymi.

– Widzę, że muszę cię trochę podszkolić. – Kapitan nie był zdziwiony niewiedzą podwładnego. – W naszym ludowym państwie świeckie Urzędy Stanu Cywilnego funkcjonują od tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Wcześniej rolę urzędników stanu cywilnego pełnili proboszczowie Kościoła katolickiego oraz przedstawiciele innych związków wyznaniowych, którzy

prowadzili różne księgi metrykalne, ogólnie nazywane parafialnymi. W nich rejestrowano urodzenia, chrzty, bierzmowania, małżeństwa i zgony...

– Już rozumiem! – przerwał Lipski. – Fakt urodzenia potomka Delitza w roku poprzedzającym powstanie Urzędów Stanu Cywilnego musiał zostać odnotowany w takiej księdze!

– To świetnie, że tak szybko na to wpadłeś – odrzekł z lekko ironicznym uśmiechem Nowaczyk – ale pozwól, że dokończę. Otóż proboszczowie byli zobligowani do prowadzenia pierwopisów, czyli oryginałów ksiąg metrykalnych, oraz wtóropisów, czyli ich kopii. W czterdziestym szóstym nakazano im przekazać wtóropisy do nowo powstałych USC. Oczywiście wywołało to ogromny konflikt pomiędzy władzami państwa i Kościoła. Urzędy otrzymywały bardzo wiele odpowiedzi z parafii, że wtóropisy nie istnieją, gdyż albo zaginęły w czasie wojny, albo uległy zniszczeniu. W związku z tym trzy lata później w życie weszło prawo obligujące proboszczów do przekazania ksiąg istniejących tylko w jednym egzemplarzu. Pozwolono im jednak wykonać na użytek Kościoła ich odpisy.

– A że mamy list od Frau Delitz, to w naszym przypadku musi chodzić o parafię i USC w Krakowie. Tam chyba w ogóle należy zacząć poszukiwania rzeczywistego potomka leutnanta – stwierdził podporucznik.

– Tę sprawę omówimy później – odparł przełożony – idźmy dalej. Ustaliliśmy, że nasz kandydat powinien być z domu dziecka, więc kolejny ślad materialny musi się znajdować w archiwum takiej placówki. To samo tyczy się szkoły podstawowej i liceum, ośrodków zdrowia w rejonie zamieszkania, WKU oraz uczelni wyższej. Jeżeli zdecydujemy się na wtórnikowanie, to większość owych śladów będziemy musieli sami wytworzyć, a te, które będą identyfikować prawdziwe dziecko Delitza i stanowić zagrożenie dla naszej sprawy, zmodyfikować lub nawet zniszczyć.

– A nie będziemy mogli wykorzystać autentycznego życiorysu kandydata?

– Wątpię. Zwracam uwagę, że Frau Delitz wie, że jej syn ożenił się w Krakowie z Barbarą Rytel. Ona i jej rodzina uwierzą naszemu człowiekowi, że jest ich krewnym, kiedy udowodnimy w prosty i niezaprzeczalny sposób, że jest dzieckiem właśnie tej kobiety. Dlatego będziemy zmuszeni do sfabrykowania określonych wpisów w USC, a może nawet w księdze parafialnej, a także do stworzenia materiałów odpowiednich dla domu dziecka, arkuszy ocen i świadectw ze szkoły

podstawowej i liceum, prac oraz protokołów maturalnych, karty szczepień i karty zdrowia, dokumentacji właściwej dla WKU, a także protokołów egzaminacyjnych, pracy magisterskiej i dyplomu na wybranej wyższej uczelni. Mało tego, wszystkie te kwity trzeba będzie umieścić w odpowiednich instytucjach.

– A sprawa chrztu, bierzmowania i komunii? – Lipski już tradycyjnie zidentyfikował kolejne problemy.

– W legendzie przyjmiemy, że nasz kandydat wychowywał się w sierocińcu w czasach stalinowskich, a jak wiemy, wtedy państwo polskie prowadziło politykę ostrej laicyzacji społeczeństwa. W związku z tym będzie osobą tylko ochrzczoneą.

– W jaki zatem sposób chcesz umieścić spreparowaną dokumentację w tych wszystkich szkołach i urzędach?

– Będziemy korzystać z ludzi współpracujących z SB lub takich pozyskamy. Jeśli to okaże się niemożliwe, trzeba będzie w sposób tajny przeniknąć fizycznie do odpowiednich pomieszczeń.

– Będziemy się włamywać? – Podporucznik z przejęcia aż zniżył głos do poziomu szeptu.

– Nie. Skorzystamy z usług fachowców. W Departamencie Drugim mają wybitnych specjalistów. Ci są w stanie wejść wszędzie w sposób niezauważony<sup>24</sup>). Najłatwiej będzie w instytucjach państwowych, czyli USC, szkołach, ośrodkach zdrowia, domu dziecka i na uczelni. Wszędzie tam SB ma swoich ludzi. Także kierownicy lub dyrektorzy tych placówek raczej nie odmawiają współpracy, zwłaszcza jak ich się odpowiednio zmotywuje. Wojsko biorę na siebie. Mam układy. Najpoważniejsze wyzwanie stanowi biuro parafii, w którym znajduje się właściwa księga metrykalna.

---

24) Mowa o wyspecjalizowanej grupie oficerów pracujących w Wydziale IX Departamentu II MSW (kontrwywiadu), którzy dokonywali tajnych przeszukań w placówkach dyplomatycznych obcych państw będących przedmiotem zainteresowania peerelowskich służb specjalnych.

– Czyżbyśmy nie mieli Tajnych Współpracowników wśród kleru?

– Pewnie, że mamy. – Kapitan prawie się obruszył. – Nie można jednak polegać na ich lojalności, gdyż zazwyczaj zostali pozyskani na podstawie

kompromitujących materiałów. A zachowanie naszych działań w tajemnicy jest dla nas kluczowe. Czy masz jakieś pytania do tego, co do tej pory powiedziałem?

– Wszystko jest w zasadzie jasne, mogę się brać do pisania koncepcji dla naczelnika – odparł młody oficer. Mimo że czekała go pracowita noc, cieszył się ze swojego pierwszego zadania.

– Nie tak szybko. – Nowaczyk przystopował podwładnego. – Pozostaje jeszcze sprawa tak zwanego „wyjścia agenta ze środowiska” oraz omówienie twojego pierwszego zadania w terenie.

– Będę od razu działał poza centralą? Bez żadnego okresu adaptacyjnego? – Lipski nie mógł uwierzyć, że wszystko dzieje się tak szybko.

– Oczywiście. W twoim przypadku nie ma taryfy ulgowej – potwierdził przełożony. – Zamierzam powierzyć ci realizację naszej sprawy w Krakowie. Ale najpierw kilka słów na temat tego, jak nasz ewentualny wtórnik powinien zerwać wszelkie kontakty ze swoim dotychczasowym otoczeniem.

– To chyba raczej niemożliwe w pełni – powątpiewał Lipski.

– To bardzo trudne, ale wykonalne – odrzekł z przekonaniem kapitan. – Założmy, że nasz człowiek kończy studia i równocześnie szkolimy go na wywiadowcę. Będziemy musieli wymyślić coś takiego, by wyjechał z miasta, w którym do tej pory zamieszkiwał, odciął się w naturalny sposób od znajomych, przestał utrzymywać kontakty z przyjaciółmi, a nawet przejął zdjęcia ze swoim wizerunkiem będące w obcych rękach. Nie możemy jednak doprowadzić do powstania luki w jego życiorysie. Wszystko musi być sprawdzalne.

– A jeśli będzie zakochany? Jeśli po prostu będzie miał narzeczoną? – Podporucznik jak zwykle wynajdywał trudności.

– To najmniejszy problem. Szczerze mówiąc, nawet chciałbym, żeby tak było.

– Dlaczego? Nie sądzisz, że w sensie psychologicznym byłaby to niezwykle trudna przeszkoda do pokonania?

– W żadnym wypadku. Po prostu brutalnie zdyskredytujemy obiekt jego uczuć. Zaręczam ci, że rozczarowanie i zawód miłosny tylko ułatwiłyby nam pokierowanie życiem naszego potencjalnego kandydata. W każdym razie musimy stosować prostą zasadę: to, co będzie stanowić barierę dla naszej sprawy, należy starać się przekuć w jej atut.

– Rozumiem. Jakie zatem zadanie mam wykonać w Krakowie? – Lipski nie mógł się doczekać informacji na ten temat.

– Po pierwsze, musimy odnaleźć rzeczywistego potomka Delitza. A z listu jego babki do PCK wynika niezbicie, że poszukiwania należy rozpocząć właśnie w Krakowie. Po drugie, trzeba zorganizować wsparcie ze strony tamtejszej ekspozytury wywiadu. Chodzi o wytypowanie właściwego oficera z Inspektoratu Kierownictwa SB w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. To musi być odpowiedni, zaradny człowiek, który przede wszystkim zagwarantuje utrzymanie wszystkiego w tajemnicy. Zanim zaproponujemy mu udział w naszej grze, trzeba go bardzo dobrze poznać. Na początek wymyślisz jakąś drobną sprawę, najlepiej obiektową<sup>25</sup>), i zaprosisz do współpracy dwóch lub trzech oficerów. Z nich wybierzesz właściwego funkcjonariusza. Potem będziesz musiał się z nim zaprzyjaźnić, by go w pełni kontrolować.

---

25) Chodzi o rozpracowanie wytypowanej instytucji publicznej, organizacji, przedsiębiorstwa lub podmiotu zagranicznego (ambasada, konsul, instytut kultury obcego państwa).

– A jeśli z subiektywnych przyczyn nie zdołam nawiązać z nim tak bliskiej relacji?

– To nie jest kwestia tego, czy zdołasz, czy też nie. Masz zostać jego przyjacielem i kropka. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. – Nowaczyk wzruszył ramionami, co zapewne oznaczało, że nie będzie się rozwodził na tym, jak należy ingracyjować<sup>26</sup>), by zyskać czyjeś zaufanie.

---

26) Ingracja – technika manipulacji mająca na celu zyskanie czyjejs sympatii.

– No dobrze – zgodził się młody oficer. – Załóżmy, że mamy już odpowiedniego człowieka. Co potem?

– Żadne potem. Równolegle z testowaniem kandydatów z Inspektoratu zaczniesz szukać dzieciaka leutnanta. Na pierwszy ogień weźmiesz krakowski Urząd Stanu Cywilnego. Przewertujesz rejestry urodzeń dotyczące pierwszego kwartału tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Niezależnie od tego, co ustalisz, będziesz musiał sprawdzić zapisy w księgach parafialnych, w którymś z okolicznych kościołów. W USC prawdopodobnie odnajdziesz odpowiedni wpis



właśnie w przekazanej tam w latach czterdziestych księdze metrykalnej. To pozwoli ci ustalić, do jakiej parafii będziesz musiał dotrzeć.

– Chodzi ci po prostu o sprawdzenie, czy to, co jest w urzędzie, zgadza się z tym, co znajduje się w biurze parafii? – Podporucznik w lot pojął intencje swojego szefa.

– Nie tylko – odrzekł kapitan. – Przede wszystkim musimy mieć wyczerpującą wiedzę, gdzie znajdują się wszelkie informacje na temat urodzenia potomka leutnanta.

– Z tego wszystkiego, co mi powiedziałeś do tej pory, wynika, że sprawa jest bardziej złożona, niż mi się na początku zdawało – podsumował Lipski.

– W samej rzeczy, mój drogi kolego! Wojna nie tylko stworzyła nam szansę uplasowania w Niemczech agenta, ale również skomplikowała naszą pracę.

– A jeśli nic nie odnajdę?

– To także możliwe. Wtedy poszukiwania oprzemy jedynie o nasz resort. Jak trzeba będzie, wyślemy zapytania bezpośrednio do wszystkich biur meldunkowych, posterunków milicji i gromadzkich rad narodowych<sup>27)</sup>. Naszym pierwszorzędnym celem jest zdobycie pewności co do losu dziecka Delitza.

---

27) W latach 1954 – 1972 najniższy organ administracji państwowej PRL.

Lipski wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju. Kapitan powiódł za nim wzrokiem. Obserwował, jak jego nowy podwładny zastanawiał się nad czymś. Jego twarz zdradzała zafrasowanie.

– Co cię martwi? – spytał nowicjusza.

– Dużo tego jak na jedno popołudnie – stwierdził podporucznik. – Myślę, że jestem już wystarczająco obeznany z tematem, by zabrać się do przygotowywania opracowania dla naczelnika.

– To świetnie. Proponuję, żebyś najpierw sporządził część opisową, gdzie przedstawiś wszystkie założenia dotyczące operacji, a potem zrób jeszcze specyfikację zadań do wykonania. Wilczak lubi prosto wyglądające zestawienia. Będziesz pracował w tym pokoju.

– Nie ma sprawy – odrzekł podporucznik. – Jeśli możesz, to powiadom dyżurnego, że twój podwładny zostaje na całą noc w budynku i nie wolno mu

przeszkadzać – dodał kwaśno.

– Zrobi się – odparł wesoło Nowaczyk.

Kapitan zaczął zbierać się do wyjścia. Zamknął szafę ogniotrwałą, spakował kilka rzeczy do teczki. Gdy był przy drzwiach, powiedział na odchodne:

– Jak będziesz wychodził do toalety, zamykaj drzwi na klucz. Pamiętaj, że to, co masz na biurku, trzeba chronić za wszelką cenę. Podczas pracy lepiej też zamknij się od środka. Aha – przypomniał sobie – jutro, po prezentacji założeń sprawy u naczelnika, otrzymasz oficjalne polecenie realizacji operacji Storch. Tak brzmi kryptonim naszych działań w Krakowie.

– A jaki jest kryptonim całej sprawy?

– Atlas. ■

Winda bezszelestnie sunęła w dół. Jej srebrzystostalowe oraz lustrzane wykończenie potęgowało wrażenie panującej w jej wnętrzu sterylnej czystości. Pasażerowie nie odzywali się. Odnosili wrażenie, że znajdują się w nienaturalnym, nieprzyjaznym człowiekowi miejscu. Dyskretny klang dzwonka oznajmił, że przybyli na miejsce. Pierwszy zareagował pułkownik Lent. Poprawił marynarkę, jakby w ten sposób chciał dodać sobie animuszu, i gdy tylko otworzyły się masywne drzwi, ruszył przed siebie. Gordon pomaszerował za nim.

Byli w archiwum Agencji. Skierowali się do pomieszczenia, gdzie znajdował się komputer umożliwiający przegląd elektronicznego katalogu. Jeden z miejscowych pracowników chciał poinstruować gości, jak efektywnie skorzystać z wyszukiwarki, ale naczelnik wydziału kontrwywiadowczego dał mu do zrozumienia, że jest doskonale obeznany z procedurą. Siadł przed monitorem i wystukał na klawiaturze tylko jedno słowo: „Storch”. Nie minęły nawet dwie, trzy sekundy, jak pojawił się rezultat poszukiwań.

Tym razem Gordon zwrócił się o pomoc do archiwisty:

– Jak należy dokładnie rozumieć te wszystkie zapisy? – Głową wskazał na dane wyświetlane na ekranie.

Funkcjonariusz przybliżył się, by przyjrzeć się temu, co wyrzucił z siebie katalog, i odrzekł:

– Storch to nazwa teczki, która znajduje się w zespole archiwalnym Atlas. Sygnatura zawiera w sobie informację o dziale i konkretnym miejscu na regale, gdzie jest przechowywana, oraz to, że dokumenty w niej zawarte mają wartość archiwalną klasy A. Atlas jest zespołem zamkniętym o skrajnych datach: tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt osiem – dziewięćdziesiąt dwa. Ponadto poniżej widnieje spis serii akt, jakie wchodzi w skład zespołu. Mamy więc dokumenty dotyczące spraw administracyjnych, operacyjnych, informacyjnych, finansowych, sprawozdawczości, techniki operacyjnej oraz spraw różnych.

– Co może, pana zdaniem, oznaczać Storch? – Dla zastępcy szefa Agencji do spraw operacyjnych odpowiedź na to pytanie miała zasadnicze znaczenie. Chciał ją

skonfrontować z informacją zawartą we fragmencie książki autorstwa Sylwestra Kalenika, jaki z Krakowa przywiózł Gordon.

– Moje doświadczenie podpowiada mi, że to najprawdopodobniej kryptonim jakiegoś rozpracowania operacyjnego. – Archiwista pośrednio potwierdził ustalenia nieżyjącego młodego historyka.

– A dlaczego znajduje się w zespole archiwalnym Atlas? – spytał Gordon.

– Zespół został oznaczony nazwą Atlas, gdyż zapewne chroni dokumenty dotyczące sprawy o takim właśnie kryptonimie – odparł pracownik archiwum. – Wchodząca w jego skład teczka nosząca tytuł Storch najpewniej oznacza, że operacja o takiej nazwie, jeśli oczywiście moje przypuszczenia są słuszne, była realizowana w ramach tej właśnie sprawy.

– Proszę jeszcze wyjaśnić znaczenie pojęć: „zespół zamknięty”, „wartość archiwalna klasy A” i „skrajne daty” – zaordynował Lent.

– „Zespół zamknięty” oznacza, iż nie dołącza się już do niego żadnych akt. Można rzec, że posiada on status dokumentacji historycznej. „Wartość archiwalna klasy A” to kategoria materiałów, które są przeznaczone do tak zwanego przechowywania wieczystego, zaś daty skrajne informują, że pierwszy dokument zespołu został wytworzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, zaś ostatni w dziewięćdziesiątym drugim.

– Czym są serie akt? – Naczelnik wydziału kontrwywiadowczego AW chciał osiąść wyczerpującą wiedzę, by zdobyć jak najszybciej odpowiedź na pytanie, czy cokolwiek zostało wyniesione z archiwum wywiadu.

– Serie można porównać do kategorii – wyjaśnił funkcjonariusz. – Otóż oficerowie, którzy kiedyś pracowali przy sprawie Atlas, tworzyli różnego rodzaju dokumenty: notatki służbowe, informacyjne, raporty, sprawozdania, rozliczenia finansowe i tak dalej. Dotyczyły one właśnie takich aspektów, jak: uzysk informacyjny, przeprowadzone czynności operacyjne czy sprawozdawczość wymagana przez ich zwierzchników. W ten sposób na bieżąco segregowali wszystkie „kwity” według danej kategorii, co w konsekwencji doprowadziło u nas w archiwum do wytypowania serii.

– A czy w elektronicznym katalogu można wpisać polecenie wyszukiwania odnoszące się tylko do zespołu archiwalnego Atlas? – Zastępca szefa AW

postanowił przejść od słów do czynów.

– Oczywiście. – Archiwista uśmiechnął się. – Co chciałby pan sprawdzić, pułkowniku?

– Proszę wpisać hasła: „teczka legalizacyjna” oraz „Jan Lipski”.

Niestety, wyszukiwarka nie wskazała żadnych rekordów. Zapadła cisza. Obaj pułkownicy zastanawiali się nad dalszym postępowaniem, choć wyjście było tylko jedno. Zastępca szefa Agencji kiwnął głową, dając Gordonowi sygnał, by wydał odpowiednie polecenie pracownikowi archiwum. Ten bez szemrania przyjął żądanie przygotowania do wglądu wszystkich akt zespołu.

Czas oczekiwania oficerowie postanowili spędzić w gabinecie Lenta. Mieli świadomość, że istnieje duże prawdopodobieństwo rozwiązania w najbliższych godzinach nurtującej ich zagadki.

– Myślisz, że nam się powiedzie? – spytał zastępca do spraw operacyjnych.

– Jestem pełen dobrych myśli – odparł naczelnik wydziału kontrwywiadowczego. – Ale nie otwierałbym jeszcze szampana – dodał alegorycznie.

– Obawiasz się, że niczego tam nie znajdziemy i będziemy musieli dalej kopać w papierach?

– Dokładnie.

– To będziemy kopać, nie mamy innego wyjścia.

– A może, w wypadku niepowodzenia, powinniśmy przyjąć wniosek, że Zilber niczego nie wyniósł? – Gordon postanowił podejść do sprawy bardzo prostolinijnie. – Przecież każdy pracownik archiwum jest dokładnie kontrolowany przed wyjściem z Agencji.

– Nie wolno nam tak postąpić, dopóki nie będziemy mieć co do tego pewności. Czy zdajesz sobie sprawę, co by się działo, gdyby gdzieś na świecie wypłynęły nasze materiały? – Lent nie chciał nawet myśleć o takim rozwoju wypadków. – Szczęsny na pewno nie odpuści śledztwa, dopóki nie położymy mu na biurku przekonujących dowodów. Musimy zakładać, że przeciwnik wymyślił jakiś sposób na ominięcie kontroli.

– Co racja, to racja – zgodził się sentencjonalnie naczelnik. – Ale mogłoby się to wreszcie skończyć, zbyt wiele nerwów mnie to kosztuje.

– Pociesz się, że nie tylko ciebie.

Na biurku zaterkotał telefon. Lent podniósł słuchawkę, wysłuchał jakiejś krótkiej informacji i rozłączył się.

– Materiały będą gotowe za jakieś dwadzieścia minut – zakomunikował.

Na środku jednego z archiwalnych pomieszczeń stały dwa pokaźne, połączone ze sobą stoły, na których spoczywały, ustawione w jeden długi rząd, teczki aktowe. Całość przypominała makietę bardzo długiego pociągu złożonego z dziesiątków wagoników. Pułkownicy nie przypuszczali, że zespół archiwalny o nazwie Atlas jest tak wielki.

– Strasznie tego dużo – wymamrotał Lent

– Trzy i siedem dziesiątych metra bieżącego akt – poinformował pracownik archiwum.

– Ale dlaczego aż tyle? – dopytał Gordon.

– Po pierwsze, musimy mieć na uwadze, że to materiały z okresu dwudziestu czterech lat, a po drugie, sędzę, że... – Archiwista zawiesił głos, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Co pan sądzi? – ponaglił go zastępca szefa AW.

– Że to musiała być jakaś naprawdę bardzo poważna sprawa, panie pułkowniku – dokończył funkcjonariusz.

– Ugrzęźniemy w tych kwitach na co najmniej tydzień – stwierdził Gordon.

– A czego panowie dokładnie szukają? – Archiwista zadał kłopotliwe pytanie.

– Musimy zrobić przegląd wszystkiego co wiąże się z operacją Storch – odparł niewinnym głosem naczelnik wydziału kontrwywiadowczego.

– To proponuję zacząć od zapoznania się ze skorowidzem akt, jakie znajdują się w zespole. Leży obok teczek. Może to ułatwi pracę.

– Chyba nie sądzi pan, że zastępca szefa Agencji będzie samodzielnie grzebał w tych papierach – zganił pracownika Gordon.

– Racja, przepraszam bardzo – odrzekł na to archiwista.

– Niech pan ściągnie tu swoich podwładnych, panie naczelniku – rozporządził Lent, wzmacniając tym samym swój wizerunek. – I niech zaraz biorą się do roboty. A pan na razie jest wolny – zwrócił się do funkcjonariusza z archiwum, który momentalnie wyszedł z pomieszczenia.

Zastępca szefa AW tylko na to czekał. Podszedł do złączonych stołów i ujął w dłoń skorowidz. Gordon zrozumiał intencje przełożonego bez słów. Zaczęli sprawdzać, czy liczba teczek i ich sygnatury odpowiadają zapisom z listy inwentarzowej. Pracowali ponad godzinę, by stwierdzić, że wszystko się zgadza.

– Albo Zilber niczego nie wyniósł, albo jesteśmy na fałszywym tropie – rzekł naczelnik wydziału kontrwywiadowczego.

– Albo wyniósł, a my, mimo wszystko, podążamy właściwym śladem – skontrolował pułkownik Lent.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Gordon nie rozumiał.

– Zilber był archiwistą – Lent zaczął głośno rozmyślać. – Zapewne przewidział, że kontrolę stanu zasobów przeprowadzimy, sprawdzając zgodność liczby teczek oraz ich sygnatur z inwentarzem. Ale dzięki temu, że kazaliśmy wyłożyć zespół Atlas na stoły, chyba wiem, dlaczego nie odkryliśmy deficytu w aktach.

– Czy chodzi ci o to, że liczba teczek wraz z sygnaturami może się zgadzać, zaś ich zawartość niekoniecznie? – Naczelnik już domyślił się, w czym rzecz.

– Właśnie – odrzekł zastępca.

– Wezwijmy natychmiast naszych ludzi! – Gordon niemal zakrzyknął. – Musimy przewertować wszystko od A do Z!

\*\*\*

Monotonia sączyła się zewsząd. Wyłaziła z szafy, gdy ubierał się rano, oraz z lodówki, kiedy szykował sobie śniadanie. Wyskakiwała z szuflady biurka w jego służbowym pokoju w komendzie. Pobrzmiewała w głosach kolegów i przełożonych. Czaiła się nawet w zamkniętej szachowej kasetce, wśród schowanych tam figurek. Gdy chodził po mieście, wyczierała z okien i bram okolicznych budynków. Pod naporem dwutlenku węgla wyciekała z piwnych kraników w każdym, nawet najbardziej zapomnianym pubie.

Vesely był w dołku. Najpierw, przez kilka godzin po ostatnim spotkaniu z pułkownikiem Gordonem, czuł się jakby uderzony rzeczywistością, w której się nieoczekiwanie znalazł, a jakiej intuicyjnie, niczym w samoobronie, nie przyjmował do wiadomości. Dzień później, w sobotę, próbował wszystko zbagatelizować. Ruszył więc „w miasto”. Szwendał się po knajpach, próbował

nawet poderwać jakąś przypadkowo spotkaną dawną koleżankę ze studiów. Nie upił się jednak. Nie leżało to w jego naturze. Zresztą odrzucił ten pomysł, gdy stwierdził, że z każdym kolejnym wypitym piwem coraz bardziej zapada w przysłowiową „czarną dziurę”.

W niedzielę zadzwonił do Justyny. Była kochanka najwyraźniej się ucieszyła. Zygmunt odniósł wrażenie, że była nawet zachwycona tą nieoczekiwaną konwersacją. Chłonał radość z jej zadowolenia, pławił się w tembrze jej głosu. Równolegle ogarnęła go tęsknota za jej fizyczną obecnością, która bardzo szybko przeistoczyła się w palące pożądanie. Rozmawiali ponad godzinę. Zwierzył się dziewczynie ze swoich problemów, nie wdając się oczywiście w szczegóły, ona zaś pocieszała go jak najwierniejsza przyjaciółka. Na koniec spytał, czy może przyjechać do niej do mieszkania. Po drugiej stronie zaległa pełna napięcia cisza. Po chwili usłyszał bardzo smutną, pełną tęsknoty odmowę. Pożegnał się i rozłączył. Był pewien, że Justyna odgradzała się od niego, gdyż bała się uczucia, jakie mogło się między nimi narodzić.

Tydzień w pracy rozpoczął się od narady u naczelnika Prędkiego. Na wstępie przełożony opieprzył zdrowo wszystkich obecnych za to, że „statystyki wydziału wyraźnie spadają, a średni czas realizacji czynności niebezpiecznie się wydłużył”. Straszyl podwładnych bliżej nieokreśloną reakcją kierownictwa komendy na taki stan rzeczy, komunikując, że „na górze zniecierpliwienie narasta”. Podkomisarz, mimo iż siedział na odprawie niecałe dwa metry od naczelnika, był na niej nieobecny. Jak na niemym filmie obserwował na twarzy Prędkiego coraz to nowe układy „policyjnej piczki” oraz to, jak jego usta uzbrojone w brzydkie zęby wyrzucały w przestrzeń drobiny śliny. Niestety niczego nie słyszał. Zmuszał się do odbioru dźwięków, ale mu się to nie udawało. Potem, pierwszy raz w karierze, z satysfakcją stwierdził, że całą tę naradę ma po prostu w dupie. Prędkiego zauważył jego „nieobecność”. Zadał mu jakieś pytanie, a gdy Zygmunt nie zareagował, wyładował na nim całą swoją frustrację. Na dodatek młody policjant pokiwał automatycznie głową na znak, że zgadza się z przełożonym. To wywołało u naczelnika atak furii, co przyczyniło się do wcześniejszego zakończenia odprawy. Na korytarzu część kolegów podziękowała Veselemu za „przerwanie pierdolenia”, zaś inni stwierdzili, że „teraz to już ma na pewno przejebane”.



Jeszcze tego samego dnia zadzwonił Stanisław, gdyż dowiedział się, że Zygmunt „ponoć tak wkurwił Prędkiego, jak nikt dotąd w karierze naczelnika”. Chciał wiedzieć, o co poszło. Po tym jak młody oficer opisał całe zajście, umówili się na czwartkową, popołudniową partyjkę w klubie szachowym, którego inspektor był działaczem.

Następnego dnia Vesely został wysłany do samobójstwa czternastolatki. Na miejsce zdarzenia jechał z duszą na ramieniu. Nigdy jeszcze bowiem nie dokonywał oględzin miejsca, gdzie doszło do śmierci dziecka. Podczas drogi ustawicznie zadawał sobie pytanie, czy jest już przygotowany na przeżycie takiej sytuacji. Nie uzyskał odpowiedzi.

Dziewczynka powiesiła się w specyficzny sposób na wewnętrznej stronie drzwi od swojego pokoju. Nikt z obecnych nigdy czegoś podobnego wcześniej nie widział. Policyjny technik przypuszczał, że ofiara podpatrzyła najprawdopodobniej sposób pozbawienia się życia w Internecie. Podkomisarz otrzymał od prokuratora polecenie zorganizowania przeglądu zawartości laptopa i smartfona dziewczynki.

Lekarz zamiast dokonywać oględzin zwłok, zajmował się w salonie rodzicami. Byli w ostrym szoku, więc medyk zdecydował się na podanie dożylnie relanium – silnego leku na uspokojenie. Teraz dzwonił, by zorganizować jak najszybciej pomoc psychologiczną. Kiedy Zygmunt ich zobaczył, poczuł, że nie wytrzyma. Ojciec siedział, zgięty w pół, w fotelu. Twarz miał ukrytą w dłoniach, a łzy moczyły mu ubranie. Leżąca na sofie kobieta nagle jakby się ocknęła i zaczęła koszmarnie skowyczeć z psychicznego bólu. Alikwoty cierpienia były tak straszne, że policjant pobiegł do łazienki i z wymiotował. Wieczorem, w mieszkaniu, wbrew swoim zasadom upił się do nieprzytomności.

Klub szachowy, w którym umówił się ze Stanisławem, dysponował trzema pomieszczeniami: małym, gdzie mieściło się biuro i formalnie rezydował zarząd; średnim przeznaczonym do prowadzenia treningów w małej grupie oraz dużym, gdzie można było nawet organizować nieduże turnieje. Usiedli przy szachownicy w pokoju szkoleniowym. Inspektor jeszcze przed rozpoczęciem gry zaczął wypytywać Zygmunta o postępy w jego prywatnym śledztwie. Młody policjant był przygotowany na takie pytania, miał świadomość, że nie ucieknie od rozmowy na ten temat. Skłamał jak z nut, „i to w żywe oczy”, jak zalecił mu pułkownik Gordon.

Powiedział, że nie udało mu się odnaleźć młodego historyka pomimo usilnych starań. „Zrobiłem naprawdę wszystko w tej sprawie”, oświadczył bez zmruczenia powiek. Uświadomił sobie jednocześnie, jak łatwo kłamstwo przeszło mu przez gardło. Fakt ten z jednej strony go zdziwił, zaś z drugiej kazał się zastanowić nad własną osobowością. „Na pewno sprawa Strypuli mnie w jakiś sposób odmieniła” – skonstatował.

Chcąc uniknąć wnikliwych, kłopotliwych pytań, z premedytacją zmienił temat. Opowiedział swojemu towarzyszowi o wstrząsie, jakiego doznał podczas oględzin miejsca samobójstwa czternastoletniej dziewczynki. Manewr został wykonany po mistrzowsku. Stanisław długi czas uświadamiał mu, w jaki sposób powinien poradzić sobie z tak okropnym przeżyciem. Stary policjant bardzo się przejął opowieścią swojego kolegi, zwłaszcza że ten postarał się, by zabrzmiała niezwykle sugestywnie. Inspektor zaproponował zaniechanie rozegrania partii szachów i udanie się do pobliskiej knajpy, by pogadać przy piwie. Zygmunt odniósł wrażenie, że taka przyjacielska rozmowa była chyba bardziej potrzebna Stanisławowi niż jemu samemu. Jak się potem rozstawali, późnym wieczorem, pochwalił sam siebie za spostrzegawczość. Okazało się, że swoją opowieścią o samobójstwie czternastolatki przywołał u doświadczonego policjanta wspomnienie ciężkiej traumy sprzed wielu lat.

Piątkowy ranek był odmienny od wszystkich poprzednich z bieżącego tygodnia. Vesely obudził się rześki, i to pomimo dużej ilości piwa wypitego wczoraj ze Stanisławem. Spojrzał także na świat przez różowe okulary. Czuł w sobie jakąś nieokreśloną energię, która pchała go do działania. Po raz pierwszy od kilku dni cieszył się z faktu, że za chwilę zje śniadanie i pojedzie do komendy, do tej swojej „cholernej roboty”. Postanowił, że od razu pójdzie do Prędkiego i szczerze go przeprosi za swoje zachowanie. „Powie mu, że to przez dziewczynę, która mnie rzuciła” – wymyślił. Zaraz potem ugryzł się w język, gdyż uświadomił sobie, że znowu chce kłamać. Usprawiedliwił się jednak szybko tym, że przecież to prawda: Justyna faktycznie zerwała z nim znajomość. „I to jaką znajomość!” – uśmiechnął się na wspomnienie jej dorodnego, pięknego ciała oraz wszystkiego, co razem wyprawiali w łóżku i w innych, bardziej niekonwencjonalnych miejscach.

Naczelnik Prędko z kamienną twarzą wysłuchał płomiennych przeprosin, jakie podkomisarz ułożył sobie przed przyjściem do jego gabinetu. Nic nie odpowiedział, za to wstał zza biurka i podszedł do niewielkiej szafki ukrytej w rogu pomieszczenia. Ku zdziwieniu Veselego wyjął z niej butelkę z wódką oraz dwie szklanki. Rozlał po jakieś standardowe sto gram. Jedną „lufę” podał podwładnemu. Odchrząknął i najpierw oświadczył, że przyjmuje przeprosiny, potem sam przeprosił podkomisarza za swoje „godne pożalowania i niegodne naczelnika zachowanie”, zaś na koniec stuknął swoją szklanicą o szkło Zygmunta, uznając tym samym sprawę za niebyłą.

Młody policjant wracał od Prędkiego jak na skrzydłach. Solidna dawka porannej gorzały („Bóg lubi trójeczkę, kolego Zygmuncie”) dawała mu poczucie, że rzeczywiście jest lekki jak piórko. „A swoją drogą, Prędko musi chyba nieźle łykać” – pomyślał. Jeśli tak rzeczywiście było, to oznaczało, że naczelnik był przytłoczony kierowniczymi obowiązkami i wymaganiami, co zapewne generowało stres, który można było szybko zgasić jedynie alkoholem. „Na górze zniecierpliwienie narasta” – Zygmunt przypomniał sobie wypowiedź przełożonego z feralnej odprawy na temat reakcji szefostwa komendy na efekty pracy jego wydziału.

Ledwie usiadł za swoim biurkiem, gdy smartfon powiadomił go o przychodzącym połączeniu. Spojrzał na wyświetlacz. Serce zabiło mu szybciej, choć i tak pracowało na skutek wypitego alkoholu z wyższą częstotliwością.

– Słucham – zgłosił się.

– Możemy spotkać się w tym samym miejscu co tydzień temu? – Głos pułkownika Gordona nie zdradzał żadnych emocji.

\*\*\*

Atmosfera panująca w porcie lotniczym przypominała rodzinny piknik zorganizowany dla okolicznych mieszkańców. Rozgorączkowni dorośli spieszący się do odprawy, robiący ostatnie zakupy przed wylotem, nawołujący się nawzajem, nie odróżniali się od dzieci, które hałaśliwie przemieszczały się ze swoimi opiekunami z jednego końca terminalu na drugi.

Vesely i Gordon siedzieli przy tym samym kawiarnianym stoliku co poprzednio. Czekali na kawę. Młody policjant był podekscytowany, zdawał sobie bowiem sprawę, że znowu stał się potrzebny wywiadowi. Nie mógł się wprost doczekać informacji o tym, co kazało pułkownikowi przylecieć na spotkanie z nim.

– Muszę pana przeprosić, podkomisarzu – odezwał się oficer AW, jak tylko kawa została przyniesiona i umoczyli usta. – Popełniłem błąd i zbyt szybko przerwałem naszą współpracę.

– Domyślam się, że pojawiły się jakieś nowe problemy, których rozwiązanie wymaga mojego zaangażowania – odrzekł na to policjant.

– Tak właśnie jest. Ostatnie informacje, jakie otrzymaliśmy od pana, doprowadziły do przełomu w całej sprawie. Generał, to znaczy szef Agencji, prosił, by przekazać panu jego osobiste podziękowania. – Mówiąc to, Gordon obserwował uważnie Zygmunta.

Ten jednak, choć wywołało to w nim poczucie dumy i zadowolenia, nie zareagował nawet mrugnięciem powiek. Czekał na to, co jeszcze powie pułkownik.

– Dzięki kryptonimowi Storch udało nam się ustalić, że w naszym archiwum brakuje istotnych dokumentów – oświadczył poważnym głosem oficer.

– A więc jednak! – Wiadomość ta spowodowała, że podkomisarz wyprostował się gwałtownie na krześle.

– Mamy teraz pewność, że zaginięcie Leszka Zilbera nie było przypadkowe – kontynuował Gordon. – Ktoś zadał nam poważny cios, w związku z czym musimy zareagować: ustalić, kto stoi za tym działaniem oraz jak zamierza wykorzystać skradzione nam aktywa.

– Proszę powiedzieć, co dokładnie odkryliście. – Vesely chciał usłyszeć konkrety.

Gordon poruszył się nieznacznie. Poczul wewnętrzny opór przed ujawnieniem tajemnic Agencji, chociaż konieczność przekazania policjantowi określonych szczegółów sprawy została uzgodniona na naradzie u generała Szczęsnego.

– Okazało się, że Storch to nazwa operacji realizowanej w ramach dużej, bardzo poważnej sprawy, której celem było uplasowanie za granicą, na początku lat siedemdziesiątych, agenta SB. – odpowiedział. – Konkretnie chodziło o tak zwanego wtórnika, czyli polskiego oficera, który przyjmując obcą tożsamość, miał

udawać obywatela Republiki Federalnej Niemiec, by na terenie tego państwa zdobywać informacje wywiadowcze.

– Dlaczego w takim razie była realizowana w Krakowie?

– To, co wyczytaliśmy z akt dotyczących operacji Storch, pozwala nam przypuszczać, że najpewniej chodziło o poszukiwania kandydata na agenta oraz stworzenie mu odpowiedniej legendy operacyjnej.

– Pozwala wam przypuszczać?! – Zygmunt się zdziwił. – Czy mam rozumieć, że mając dostęp do tajnych materiałów, nie potrafi pan w dalszym ciągu powiedzieć, o co dokładnie chodziło? – Jego twarz wyrażała bezgraniczne zdumienie.

– To nie takie proste, podkomisarzu. – Pułkownik poczuł się niezręcznie. Trudno mu było przyznać się do własnej niemocy. – Otóż w teczce zawierającej informacje na temat Storcha wszystkie działania zostały opisane bez podawania jakichkolwiek autentycznych danych, a jedynie przy wykorzystaniu kryptonimów i pseudonimów. Przeczytaliśmy tam, na przykład, że zorganizowano tajne wejście do „obiektu L2” w celu podmiany „dokumentacji M4”, ale nigdzie nie natrafiliśmy na zapis mówiący o tym, co konkretnie oznacza „L2” oraz „M4”. Nie ma nawet adnotacji, że działania te w ogóle prowadzono w Krakowie.

– Czy znaleźliście potwierdzenie, że w tej operacji uczestniczył Strypula? – To było dla Veselego najważniejsze.

– Niestety nie. Wszystkie dokumenty zostały sporządzone przez niejakiego podporucznika Mieczysława Hartmana, zaś w kilku raportach ów Hartman odwołuje się do współpracy z podporucznikiem Zbigniewem Marczykiem.

– To gdzie, w takim razie, nasz młody historyk zdobył wiedzę o tym, że Strypula był w to zaangażowany!? – Zygmunt już niczego nie ogarniał. – Czyżby napisał w swojej książce nieprawdę?!

– Niekoniecznie. W Agencji uważamy, że odkrycie doktora Kalenika jest wiarygodne.

– Jak to możliwe?

– Odbyłem konsultacje z emerytowanym oficerem pracującym w czasach PRL w pionie wywiadu nielegalnego. Dowiedziałem się od niego bardzo interesujących rzeczy.

Gordon zaznajomił podkomisarza z systemem podwójnych nazwisk legalizacyjnych oraz opowiedział o roli teczki legalizacyjnej w utajnianiu działań. Zygmunt, wysłuchawszy tych rewelacji, uśmiechnął się znacząco i rzekł:

– Jestem niemal pewny, że Zilber wyniósł z waszego archiwum właśnie ową teczkę legalizacyjną.

– Jak się pan tego domyślił? – Pułkownik uniósł brwi do góry, gdyż właśnie chciał o tym powiedzieć.

– To przecież proste – odrzekł policjant. – Gdybyście mieli do niej dostęp, to wiedzielibyście, co to jest „L2”, „M4”, kim byli tak naprawdę Hartman i Marczyk oraz uzyskalibyście pewność, że Storch był realizowany w Krakowie.

– Ma pan rację, to było proste do wywnioskowania.

Oficer odwrócił wzrok od swojego rozmówcy. Nie chciał, by ten zauważył, że jest mu wstyd za spadek formy intelektualnej. „Najwyraźniej jestem już tym wszystkim zmęczony” – usprawiedliwił się przed sobą.

– Znamienne jednak jest to, że w archiwum IPN nie udało się nam zidentyfikować żadnego Hartmana ani żadnego Marczyka, którym można by przypisać realizację operacji Storch – zmienił przezornie temat.

– Czy to oznacza, że tacy funkcjonariusze nie istnieli? – skonstatował Vesely.

– Właśnie. Dlatego możemy przypuszczać, że Hartman i Marczyk to nikt inny jak Regiewicz i Strypula. Z książki historyka wie pan już, podkomisarzu, że pierwsze nazwisko legalizacyjne krakowskiego esbeka to Olgierd Zieliński, zatem powinien pan również poznać alias warszawskiego. Ten działał jako Jan Lipski. To zresztą żadna tajemnica, można się tego dowiedzieć za pomocą internetowego inwentarza archiwalnego IPN.

– Teraz jeszcze bardziej mnie ciekawi to, skąd Kalenik miał informacje o udziale Strypuli w operacji Storch, skoro była aż tak utajniona. – Dla Zygmunta sprawa historyka stała się o wiele bardziej zagadkowa.

– Tego już się chyba nie dowiemy – powiedział Gordon. – Być może trafił na jakiś dokument w IPN, w którym został popełniony błąd w zakresie konspiracji działań. Na przykład Strypula coś rozliczał, wymienił kryptonim operacji i podpisał się pierwszym nazwiskiem legalizacyjnym.

– Tak, to możliwe – przyznał policjant. – Mniejsza z tym. Niech mi pan wreszcie wyjaśni, w czym mogę pomóc. – Zygmunt bardzo chciał usłyszeć treść zadania, jakie go oczekiwało.

– Najpierw wyjaśnię, jaką mamy sytuację – rzekł oficer AW. – Otóż musimy zakładać, że teczka legalizacyjna nie została wykradziona z archiwum Agencji w celach kolekcjonerskich. Nasz przeciwnik zapewne chce wykorzystać dokumenty dla uzyskania konkretnych korzyści. To pozwala przyjąć założenie, że dawny polski nielegal żyje i mimo zaawansowanego wieku jest prawdopodobnie kimś wpływowym, kimś, kogo warto pozyskać do współpracy.

– A wszystkie dane na jego temat skrywa owa nieszczęsna teczka, co uniemożliwia dotarcie do agenta i podjęcie działań ochronnych? – domyślił się Zygmunt.

– Dokładnie tak – odparł pułkownik. – Nie wiemy, kto to jest, i obecnie nie mamy możliwości ustalenia jego personaliów.

– A kim zatem może być przeciwnik? – Ta kwestia wydała się Veselemu najistotniejsza w obecnej sytuacji.

– Trudno to w tej chwili określić. Mamy jednak żelazne dowody na to, że jest on realny, potężny i bardzo groźny.

– Jak mam to rozumieć? – W głosie policjanta wybrzmiał przestach.

– Potraktowałem poważnie pana zalecenia, podkomisarzu, i zbadałem mieszkanie Regiewicza – oznajmił tryumfalnie Gordon.

– Naprawdę?! Jak to się panu udało!?! Co pan ustalili?! – Zygmunt nie potrafił opanować ekscytacji.

Pułkownik sięgnął wolno po filiżankę z kawą, po czym odpowiedział:

– Sprawdziłem wszystko, co pan sugerował. I tak, w koszu na śmieci nie znalazłem żadnych cementowych drobin powstałych po rozwierceniach otworu w suficie, to samo tyczy się zmiotki i szufelki. Mało tego, sprawdziłem zawartość worka w odkurzaczu i tam również niczego nie było.

– Czyli ktoś musiał posłużyć się zmiotką i szufelką, które przyniósł ze sobą – wtrącił Vesely.

– O tym samym pomyślałem – potwierdził pułkownik. – Nie mogę jednak wytłumaczyć sobie, dlaczego w ogóle posprzątało po wierceniu. Dlaczego to było

takie ważne?

Policjant zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

– Moim zdaniem zabójcy postanowili ulokować drobiny betonu na ubraniu ofiary, by upozorować, że samodzielnie rozwiercał otwór. A że pyłu było niewiele, więc musieli zamieść wszystko, co tylko się dało. Jednak popełnili błąd, używając własnego sprzętu.

– A jeśli Regiewicz nie wyrzucił cementowych okruchów do kosza, a opłukał zmiotkę i szufelkę w zlewozmywaku albo posprzątał, używając wilgotnej ścierki? – zapytał prowokacyjnie Gordon.

– Wtedy moja koncepcja bierze w łeb i nie mamy dowodu na istnienie przeciwnika.

– Sądzę, że się jednak pan nie myli, podkomisarzu. – Pułkownik uśmiechnął się tajemniczo. – W mieszkaniu udało mi się odkryć jeszcze coś innego, co potwierdza tezę, że mamy do czynienia z morderstwem.

– Nie znalazł pan wiertarki! – Vesely niemal wykrzyknął.

– Wręcz przeciwnie. Zupełnie nowa wiertarka była schowana z innymi narzędziami w kuchennej szafce...

– Przepraszam, że przerywam, ale czy w tej szafce znajdował się tylko jeden śrubokręt oraz kombinerki?

– Skąd pan wie? – Oficer wywiadu popatrzył na młodego policjanta jak na jasnowidza.

– Taką informację otrzymałem od sąsiadów Regiewicza. Ale niech pan mówi, co z tą wiertarką.

– Zabójcy popełnili błąd. W jej głowicy tkwiło wiertło widiowe z oznakami wiercenia na jego końcówce. Na początku mnie to zwiodło, ale potem uzmysłowiłem sobie, że mam do czynienia z tanim narzędziem, jakie można kupić w zasadzie w każdym hipermarkecie. Na dodatek wiertarka nie posiadała funkcji udaru. Niech pan sobie wyobrazi, że podłączyłem ją do prądu i próbowałem wywiercić otwór tuż obok miejsca zamontowania haka, na którym powiesił się samobójca.

– I nie udało się – dokończył Vesely.



– W żaden sposób. Narobiłem za to tyle hałasu, że do mieszkania zaczęła się dobijać jakaś starsza kobieta. Potem okazało się, że to sąsiadka Regiewiczza. – Pułkownik był wręcz dumny ze swego dokonania.

– To faktycznie rumor musiał być niezmierny – rzekł policjant. – Ta kobieta jest dotknięta głuchotą, nosi aparat słuchowy. Rozmawiałem z nią podczas mojego pobytu w Warszawie – wyjaśnił. – Najważniejsze jednak, że doświadczalnie potwierdził pan moje podejrzenia, pułkowniku.

– To nie wszystko. – Gordon czuł zadowolenie. W zanadrzu chował jeszcze bardziej doniosłą informację.

– Znalazł pan coś jeszcze?!

– Nie w mieszkaniu. Zgodnie z pana sugestią zleciliśmy naszemu łącznikowi w ambasadzie w Bernie, by spróbował ustalić cokolwiek na temat numeru telefonu, z którego ktoś trzykrotnie dzwonił do naszego warszawskiego esbeka ze Szwajcarii. Ten zwrócił się z odpowiednią prośbą do tamtejszej służby kontrwywiadowczej. Niedawno otrzymałem szyfrogram, że numer jest przyporządkowany do karty typu prepaid, która została zakupiona na podstawie sfalszowanego dowodu tożsamości.

– Ale jaja! – Tym razem Zygmunt nie utrzymał emocji na wodzy. – Jak jeszcze mi pan powie, że na rynku nie ma żadnego nowego leku na raka, na który Regiewicz chciał pożyczyć pieniądze od Zilbera...

– Tego już nie sprawdzałem – odrzekł pośpiesznie pułkownik. – Zresztą, nie ma to już teraz żadnego znaczenia.

– Czyli to wszystko oznacza, że Strypuła, Regiewicz i Kalenik... – wyszeptał wolno Zygmunt.

– Zostali z pewnością zamordowani – dokończył pułkownik. – Teraz rozumie już pan chyba, podkomisarzu, dlaczego kilka minut temu stwierdziłem, że przeciwnik jest „realny, potężny i bardzo groźny”.

– Tak, doskonale rozumiem. – Do Veselego dotarł obraz ponurej rzeczywistości. Przeszył go także autentyczny strach, który ogarnia ludzi uświadamiających sobie, że muszą stawić czoło realnemu zagrożeniu. – Ciągłe jednak nurtuje mnie pewna sprawa – powiedział powoli. – Nie mogę sobie wytłumaczyć, w jaki sposób zabójcy Strypuły ustalili, że można upozorować wypadek z gazem. Skąd wiedzieli,

że w jego mieszkaniu znajduje się stara gazówka bez zabezpieczeń przeciwwypływowych? – Zadał takie samo pytanie, jakie niedawno skierował do Stanisława. – Gdyby udało się to wyjaśnić, nie miałbym już żadnych wątpliwości.

– Zapewniam pana, że istnieje jakieś rozwiązanie tej kwestii – odparł oficer wywiadu. – Przypominam, że sprawcy najpewniej posłużyli się jakimś chemicznym specyfikiem, który umożliwił im obezwładnienie ofiary, nie pozostawiając przy tym śladów. Potem wystarczyło przeanalizować wszystkie możliwości wynikające z infrastruktury znajdującej się w mieszkaniu i tak dobrać przyczynę śmierci, żeby była ona jak najbardziej wiarygodna. Zidentyfikowano starą gazówkę i zdecydowano się na zatrucie gazem. Proszę pomyśleć o Regiewiczu. Jak pan myśli, dlaczego w jego przypadku wybrano samobójstwo?

– Był śmiertelnie chory i cierpiał od bólu. – Zygmunt zrozumiał sens tego przykładu.

– Dokładnie! Do historyka zaś zamachowcy musieli podejść inaczej. Prawdopodobnie ktoś się z nim poznał i wytworzył sytuację, która skończyła się alkoholową libacją u niego w domu. Upojonego do nieprzytomności młodego człowieka można było już bardzo łatwo wsadzić do wanny i utopić.

– To brzmi prawdopodobnie.

– Wracając jednak do pana pytania – mówił dalej Gordon – w czym może pan nam pomóc, to odpowiedź jest tylko jedna: w ustaleniu, kim jest dawny polski nielegał. Przyleciałem, by pana o to poprosić – zakończył niemal ceremonialnie.

Vesely popatrzył na pułkownika z ukosa i spytał niedorzecznie:

– Mam jechać do Niemiec?

– To nie miałoby sensu – odparł oficer wywiadu. – W Agencji doszliśmy do wniosku, że znowu należy pójść tropem nieżyjącego młodego historyka.

– Nie rozumiem. Przecież po to go chyba zabito, by zatrzeć wszystkie ślady.

– To prawidłowe spostrzeżenie, ale bardzo rutynowe i powierzchowne – zaripostował Gordon. – Przeanalizowaliśmy wnikliwie potencjalne motywy tego zabójstwa i zidentyfikowaliśmy jeden, naszym zdaniem, najbardziej prawdopodobny. Przyjęliśmy mianowicie założenie, że musiał on odkryć coś bardzo istotnego. Coś, co przesądziło, że został wydany na niego wyrok.

– Myśli pan, że to było coś takiego, co mogło doprowadzić go do nielegała? – Vesely od razu domyślił się, do czego zmierza pułkownik.

– To oczywiste! – Oficer zareagował impulsywnie. – Nie zlikwidowano go przecież tylko z tego powodu, że odkrył udział ponad osiemdziesięcioletniego, byłego funkcjonariusza komunistycznego wywiadu w jakiejś operacji sprzed pięćdziesięciu lat! Tego naukowca pozbawiono życia przede wszystkim dlatego, że posiadał wiedzę zagrażającą powodzeniu operacji, jaką obecnie prowadzi nasz enigmatyczny przeciwnik. Zresztą z tej przyczyny musieli także umrzeć byli esbecy. To chyba jasne!

– Jasne jak słońce – zgodził się Zygmunt.

Gordon poprawił się na krześle i przysunął do stolika tak blisko, jak tylko to było możliwe. Nachylił się konfidencjonalnie w kierunku Veselego i powiedział:

– Chcielibyśmy, by zbadał pan środowisko historyka: należałoby pogadać z jego kolegami z pracy i studiów doktoranckich, promotorem pracy doktorskiej, znajomymi i przyjaciółmi. Trzeba także ustalić, gdzie znajdują się rzeczy pozostałe po zmarłym. Może zawierają jakieś materiały archiwalne, jakieś notatki, wskazówki, które by nam pomogły w poszukiwaniach. Przecież książkę naukową pisze się w oparciu o konkretne dokumenty. Poza tym dobrze byłoby porozmawiać z rodzicami Kalenika. Ustaliłem ich adres zamieszkania oraz numery telefonów. Innymi słowy, prosimy, by pan spróbował odnaleźć jakiś strzęp, okruch informacji, który pomógłby nam ustalić, kim jest nielegał. Musimy złapać wiatr! My ze swej strony poszukujemy wszystkich byłych esbeków, którzy znali Regiewiczza lub Strypułę. Mamy nadzieję, że rozmowy z nimi przybliżą nas do celu.

– Dlaczego sami nie spotkacie się z rodziną Kalenika? – spytał przekornie Zygmunt.

– Już to kiedyś panu przecież tłumaczyłem – odrzekł z pewnym zniecierpliwieniem Gordon. – Jako policjant ma pan naturalny, zawodowy powód, by niepokoić tych wszystkich ludzi. Po prostu będzie pan zbierać jakieś dodatkowe informacje w celu całkowitego wyjaśnienia śmierci historyka. W ten sposób Agencja pozostanie w cieniu.

– Rzeczywiście, to już przerabialiśmy. – Podkomisarz pokiwał głową na znak, że wszystko rozumie. – Problem tylko w tym, że to potrwa, gdyż zakładam, że nie

załatwicie mi formalnego oddelegowania do waszego śledztwa u moich przełożonych w komendzie?

– Wszystko musi być robione tak, jak za poprzednim razem – odpowiedział twardo pułkownik.

Vesely westchnął. Cieszył się z zadania, jakie go oczekiwało, jednak z drugiej strony miał etyczne opory odnośnie do konspirowania, czyli, tak naprawdę, oszukiwania szefostwa i kolegów z pracy. Postanowił się jednak tym nie martwić i skupić na sprawie.

– Podsumujmy zatem – zaproponował podkomisarz. – Osobiście jestem przekonany, że nie ma wątpliwości co do relacji zawodowych i długotrwałej znajomości pomiędzy Regiewiczem i Strypułą. Także skojarzenie historyka z tymi dwoma jest uprawomocnione. Najłabszym ogniwem łańcuszka jest jednak związek pomiędzy całą trójką a nielegalnym, który jedynie domniemywamy. Nie ma przecież bezpośrednich dowodów, że tak jest, więc może każe mi pan szukać, pułkowniku, czegoś, co nie istnieje?

– Owe dowody, że taki związek istnieje na pewno, zawierateczka legalizacyjna, która została wykradziona przez Zilbera – odparł Gordon. – Ja oraz moi przełożeni jesteśmy o tym całkowicie przekonani. Kolejnym żelaznym potwierdzeniem jest śmierć każdego z tej trójki. Gdyby było inaczej, wszyscy oni byłiby wśród żywych.

Oficer wywiadu zamilkł na chwilę, zamyślił się nad czymś. Zygmunt odniósł wrażenie, że jego rozmówca podejmuje decyzję o przekazaniu mu jakiejś istotnej informacji. Nie pomylił się. Pułkownik jeszcze bliżej przysunął się do niego i prawie szeptem powiedział:

– Odkryliśmy także niezwykle cenne fakty, które upewniły nas, że nasze myślenie jest prawidłowe. Otóż z akt Regiewicza wyczytaliśmy, że jedenastego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, w Święto Niepodległości, został on, na wniosek ówczesnego ministra spraw zagranicznych, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Medal ten otrzymał za dostarczenie informacji na temat strategii RFN odnośnie do zjednoczenia Niemiec oraz negocjacji w sprawie traktatów polsko-niemieckich.

– Czy to oznacza, że on, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, pracował w wywiadzie nowej, demokratycznej Polski?!

– Tak – padła odpowiedź. – Był wybitnym fachowcem, w związku z czym przeszedł pozytywnie weryfikację. Ale nie to jest najważniejsze. W materiałach sprawy, z której zniknęła teczka legalizacyjna, natknęliśmy się na kopię dokumentu sprawozdawczego podpisanego przez naczelnika wydziału zajmującego się wywiadem nielegalnym, a sporządzonego dla kierownictwa Zarządu Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa, z którego wynika, że niejaki „major Bjorn”, otrzymał taki sam medal.

– Jak jeszcze usłyszę, że stało się to w tym samym dniu, w którym został odznaczony Regiewicz...

– Oczywiście, że tak – Gordon przerwał Veselemu. – Dodam jeszcze, że w przypadku „majora Bjorna” o nadanie mu odznaczenia wnioskował także minister spraw zagranicznych, i do tego także w uznaniu za dostarczenie informacji na temat strategii RFN odnośnie do zjednoczenia Niemiec oraz negocjacji w sprawie polsko-niemieckich traktatów.

– To oznacza, że mogli razem pracować – zawniósł podkomisarz.

– Nie tylko mogli, ale na pewno pracowali. „Bjorn” to nasz nielegal, podkomisarzu! Zresztą ten kryptonim pojawia się regularnie w materiałach sprawy, z której zniknęła teczka! Można zatem ze stuprocentową pewnością przyjąć, że Regiewicz był na początku lat pięćdziesiątych oficerem prowadzącym poszukiwanego przez nas człowieka – wyjaśnił pułkownik.

Z głośnika usłyszeli komunikat, że rozpoczęła się odprawa na lot do Warszawy. Gordon spojrzął na zegarek.

– Musimy kończyć nasze spotkanie – powiedział. – Podsumuję zatem wszystko jednym zdaniem: żeby dowiedzieć się, dlaczego i dla kogo Zilber wykradł teczkę legalizacyjną z archiwum Agencji, musimy odnaleźć „Bjorna”. Czy podejmie się pan śledztwa, podkomisarzu, i tym samym pomoże instytucji, którą reprezentuję?

Oficer AW patrzył niezwykle poważnie i wyczekująco prosto w oczy Veselemu.

– Oczywiście, że pomogę – z ust policjanta padła zdecydowana odpowiedź.

Pułkownik nic już więcej nie powiedział. Z teczki wyjął niedużą kartkę, na której widniał adres rodziców Sylwestra Kalenika oraz numery ich komórek, po czym wstał zza stolika. Uścisnął rękę podkomisarza w geście pożegnania i odszedł.

Zygmunt został sam. Powoli dopił resztkę zimnej już kawy. Rozmyślał nad przebiegiem spotkania. Po chwili przypomniał sobie o czymś. W wewnętrznej kieszeni namacał niewielki dyktafon, połączony cieniutkim kabelkiem z miniaturowym mikrofonem, który tkwił pod klapą marynarki. Wyłączył go. ■

Poniedziałkowy poranek okazał się inny niż zwykle. Prędko był nieobecny, w związku z czym nie odbyła się zwyczajowa odprawa inauguracyjna nowego tygodnia pracy w historii wydziału Veselego. Wiadomość o absencji naczelnika spowodowała bardzo widoczne rozluźnienie wśród jego podwładnych. Podkomisarz pomyślał, że los mu sprzyja. Z doświadczenia wiedział, że jeśli nie ma przełożonego, to nikt, włączając w to dwóch zastępców, nie będzie się interesował tym, co robią jego policjanci. Postanowił to wykorzystać.

Najpierw zadzwonił do sekretariatu Wydziału Humanistycznego na częstochowskim uniwersytecie. Tak jak poprzednim razem odebrała przeziła sekretarka. Przypomniał jej, że już kiedyś „pomogła krakowskiej policji”, i ciepłym głosem wyraził nadzieję, że tym razem także nie odmówi mu udzielenia drobnej informacji. Kobieta ujęta elokwencją i grzecznością podkomisarza spełniła jego prośbę. Podała mianowicie nazwisko pracownika uniwersytetu, z którym Sylwester Kalenik utrzymywał, w jej mniemaniu, najbliższe relacje tak zawodowe, jak i towarzyskie. Tą osobą był doktor Krzysztof Jabłoński.

Zygmunt szybko odnalazł jego profil na stronie internetowej uczelni. Tak jak w przypadku Kalenika nie znalazł tam numeru telefonu, tylko adres poczty elektronicznej. Nie namyślając się, zadzwonił ponownie do miłej sekretarki w Częstochowie i przedstawił swój problem. Kobieta obiecała przekazać doktorowi Jabłońskiemu numer komórki policjanta z prośbą o pilny kontakt. Jakies dwadzieścia minut później umówił się z naukowcem na spotkanie, które miało się odbyć wczesnym popołudniem jeszcze tego samego dnia.

Częstochowa przywitała go intensywnym deszczem, który skutkował spowolnieniem ruchu pojazdów. Zygmunt bał się, że się spóźni, jednak jadąc jedną z głównych arterii komunikacyjnych, dość szybko ominął centrum miasta, co pozwoliło mu dotrzeć na miejsce o czasie. Zaparkował przed budynkiem o kształcie surowego prostopadłościanu i udał się do jego wnętrza.

Zapukał i wszedł do małego, skromnie wyposażonego pokoiku. Zza biurka podniósł się młody, niezwykle szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy. Na nosie

nosił duże, niemodne okulary, jakby przeniesione w czasie z lat siedemdziesiątych. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie osobnika o zwolnionych ruchach i mazgajowatym spojrzeniu. Fakt, że cała sytuacja miała miejsce na uczelni, spowodował, że Vesely nie ochrzcił go w myślach mianem „Gamonia”, lecz „Mola książkowego”. Doktor Jabłoński wyciągnął na powitanie chudą jak patyk rękę, którą podkomisarz ostrożnie uścisnął, gdyż autentycznie obawiał się, że ją połamie.

– Bardzo dziękuję za poświęcenie mi swojego cennego czasu, panie doktorze – Vesely zaczął kurtuazyjnie. – Jestem niezmiernie wdzięczny za to, że zgodził się pan na spotkanie.

– Tu jest tak nudno, panie podkomisarzu, że zgodziłbym się nawet na spotkanie ze świadkami Jehowy – odrzekł bez żenady naukowiec. – Jak pan zakomunikował, że chce pogadać, byłem wręcz zachwycony.

– W takim razie niezmiernie mi miło – policjant odbąknął skonsternowany. „Trzeba wykorzystać to wyjątkowe poczucie braku rozrywki, jakie trapi tego oryginała” – pomyślał jednocześnie.

– Co pana do mnie sprowadza? – Doktor od razu przeszedł do spraw zasadniczych. – Od śmierci Sylwka minęło już trochę czasu. Nie bardzo rozumiem, co chce pan jeszcze wyjaśniać.

Vesely był przygotowany na tego typu pytania.

– Rodzina zgłosiła zastrzeżenia do pracy policji. Twierdzi mianowicie, że z naszej winy zaginęła część rzeczy z mieszkania zmarłego. To dla nas ciężkie oskarżenie, dlatego musimy to skrupulatnie wyjaśnić. – Podkomisarz kłamał jak zawodowy łgarz.

– Rzeczywiście znaleźliście się w niekomfortowej sytuacji. Ale w jaki sposób ja mogę pomóc?

– Ponoć współpracowaliście naukowo.

– Raczej łączyły nas zainteresowania zawodowe. Ja także jestem historykiem. Sylwek badał Służbę Bezpieczeństwa, ja zaś zajmuję się Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą.

– W każdym razie jest pan zapewne zorientowany w działalności naukowej Kalenika? – Zygmunt parł do interesującego go tematu.



– Raczej tak, ale jaki to ma związek z jego rzeczami z mieszkania? – Jabłoński zrobił taką minę, że teraz wręcz uosabiał stereotypowego mola książkowego.

– Bezpośredni – odparł bez zmrużenia powiek policjant. – Rodzice Kalenika stwierdzili, że brakuje książek z jego zbioru oraz jakichś dokumentów dotyczących doktoratu. Chciałbym, żeby mi pan opowiedział o jego badaniach i materiałach, z których korzystał. Dzięki temu będę mógł sprawdzić, czy ich oskarżenia są uzasadnione.

– Książek to faktycznie mogło w mieszkaniu brakować, gdyż większą ich część Sylwek trzymał w swoim gabinecie na uniwersytecie. Może je pan zobaczyć, są w tym budynku.

– Załatwi to pan? Będę ogromnie wdzięczny. – Zygmunt autentycznie się ucieszył.

– To żaden problem. Weźmiemy klucz z portierni i tam pójdziemy. Co zaś się tyczy materiałów do doktoratu, to szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o co chodzi. Sylwek, przygotowując dysertację, generalnie pracował w archiwach IPN: w Krakowie i w Warszawie. Wszystko miał w swoim laptopie.

– Jak to w laptopie? – Vesely się zdziwił. – A notatki? Kserokopie?

– Teraz już prawie nikt tak nie pracuje, panie podkomisarzu – odrzekł z uśmiechem doktor Jabłoński. – W naszym fachu podstawą jest posiadanie dobrego notebooka oraz smartfona, którym można robić skany i nagrywać wywiady ze świadkami wydarzeń. Generalnie wszystko ma postać cyfrową. A jak bada się archiwalia, to w zasadzie taka forma jest najwygodniejsza.

– I Kalenik tak właśnie robił?

– On miał „hopla” na punkcie gadżetów elektronicznych i wykorzystywania różnych software’ów do prowadzenia badań. Zaraz po obronie doktoratu kupił sobie nawet laptopa za prawie dwanaście tysięcy! Mnóstwo forsy, nie sądzi pan? Ale trzeba przyznać, że to naprawdę świetne urządzenie. Można było na nim pracować jak na tablecie oraz normalnie, przy wykorzystaniu klawiatury, a nawet robić odręczne notatki na ekranie. Innymi słowy: niech pan powie jego rodzicom, żeby przejrzyli komputer syna, a na pewno wszystko tam znajdą.

– Jego ojciec twierdził, że doktor Kalenik dokonał jakiegoś historycznego odkrycia, i na tych materiałach mu najbardziej zależało. – Zygmunt zaryzykował

i posunął się o krok dalej.

– Na pewno wszystko jest w komputerze. – Jabłoński nie zareagował, musiał być zorientowany w osiągnięciach nieżyjącego kolegi.

– A swoją drogą, to o jakie odkrycie chodziło? – Podkomisarz wypowiedział to pytanie, starając się nadać mu neutralny charakter.

– Sylwek twierdził, że jest na tropie jakiejś wielkiej szpiegowskiej afery z czasów PRL, która miała mu przynieść naukową sławę. Niestety, nigdy nie opowiadał mi o żadnych szczegółach. Otaczał je tajemnicą.

– Nigdy się niczym nie pochwalił?! – Vesely powiedział to „na automacie” i zaraz potem ugryzł się w język. Bał się, że przeholował, ale jego rozmówca nawet nie zauważył jego reakcji.

– Szczerze mówiąc, to on był bardzo skryty. W ogóle miał trudny charakter. Mnie to nie przeszkadzało, lubiłem go, ale wiele osób nie darzyło go za to sympatią.

– Co to znaczy, że miał trudny charakter?

– Sylwek był samolubny, a do tego chytry, a niekiedy nawet rażąco „cwaniaczkowaty”. Wychował się na wsi i chyba stamtąd wyniósł taki stosunek do życia. Jego mentalność nakazywała mu szukać w każdej sytuacji korzyści. To, że rodzina zarzuciła wam przywłaszczenie jego rzeczy, jest, moim zdaniem, właśnie przejawem takiej postawy. Ojciec zapewne nie miał pojęcia, że syn digitalizował materiały do doktoratu, ale na wszelki wypadek zakrzyknął: „Łapać złodzieja”. – Naukowiec przedstawił całą sytuację tak obrazowo, że Zygmunt, gdyby sam jej nie wymyślił, na pewno by w nią uwierzył.

– Może doktor Kalenik najzwyczajniej bał się, że ktoś inny także zajmie się jego odkryciem i będzie miał konkurencję? – Podkomisarz chciał powrócić na tory interesującej go dyskusji.

– Oczywiście, że tak. Był bardzo wyczulony na punkcie swoich zawodowych interesów. Pilnował, by nikt i nic ich nie naruszyło. Wszystko, co tylko mógł, to zagarniał zawsze „pod siebie”.

– Nie rozumiem.

– No, wie pan... Na przykład, jak dowiedział się o jakimś grantie, to z nikim już nie podzielił się taką informacją. Jak brał udział w jakiejś konferencji

naukowej, to mówił o tym dopiero po jej zakończeniu, by przypadkiem ktoś inny z jego otoczenia nie wziął w niej udziału.

– To musiał być jakiś straszny egoista! – Zygmunt wypowiedział to z nutą naturalnego oburzenia w głosie.

– Zgadza się. Ale jak powiedziałem wcześniej, ja go na swój sposób lubiłem. Raz tylko się na niego obraziłem, gdy nie powiedział mi o swoim występie w telewizji.

– Był w telewizji? To ciekawe. – Podkomisarz postanowił już tylko podtrzymywać gadulstwo Jabłońskiego.

– Jak wydał swój doktorat w formie książki, to otrzymał zaproszenie do wzięcia udziału w programie na kanale TVP Historia. O tym fakcie dowiedziałem się oczywiście dopiero po tym, jak audycja została wyemitowana. Spytałem go wtedy, dlaczego nie chciał, bym ją obejrzał. Uśmiechnął się tylko dziwnie i nic nawet nie odrzekł. Wkurzyłem się i przestałem z nim rozmawiać.

– A kiedy to miało miejsce? – Dla Zygmunta ważny był czas emisji.

– Nie jestem w stanie podać panu dokładnej daty – odrzekł naukowiec. – To było zaraz po premierze jego książki.

– A jak pan myśli, dlaczego o tym pana nie poinformował?

– Powiedział mi, że „bał się mojej negatywnej recenzji”.

– Czyli pogodziliście się?

– Tak, i to dość szybko. Przeprosił mnie i nawet postawił piwo.

– „Nawet postawił piwo”!?

– Przecież mówiłem panu, że był chytry. Jak jego ktoś zaprosił, to pił „na maxa”, a jak on płacił, to po drugiej kolejce stwierdzał, że od alkoholu się tyje, i kończył spotkanie.

– A czy dużo pił? Pytam, gdyż jedną z przyczyn wypadku, w którym stracił życie, było upojenie alkoholowe. – Zygmunt postanowił posłużyć się prawdziwą informacją.

– Słyszałem, jak to się stało. No cóż, Sylwek nie miał problemu alkoholowego, ale potrafił dużo wypić. Zwłaszcza jak ktoś stawiał.

– Chciałbym jeszcze, żeby mi pan doradził, z kim mógłbym porozmawiać o badaniach doktora Kalenika, by być pewnym, że materiały do doktoratu są tylko

w jego komputerze. Muszę mieć potwierdzenie tego faktu z co najmniej dwóch źródeł. Chodzi o kogoś, kto go tak dobrze znał jak pan. – Zygmunt postanowił kończyć rozmowę.

– Z tego, co się orientuję, to w Częstochowie nie ma już nikogo takiego – padła odpowiedź.

– A w Krakowie? O ile mi wiadomo, to doktor Kalenik bronił się na Uniwersytecie Jagiellońskim.

– Niestety nie pomogę panu. Z tego, co opowiadał Sylwek, wynikało, że zerwał wszelkie kontakty z tamtym środowiskiem.

– A co było przyczyną?

– Uniósł się ambicją. Starał się tam o etat, ale go nie przyjęto, gdyż, jak opowiadał, był „słuszniejszy kandydat” w osobie syna jakiegoś tamtejszego profesora. Sądzę, że ta pogoń za karierą po części była spowodowana tym, że koniecznie chciał udowodnić, iż jest lepszy od tych wszystkich „wybrańców losu” z Jagiellonki.

– No cóż, tak mogło być w istocie – zgodził się Zygmunt. – To co? Pokaże mi pan te książki z pokoju doktora Kalenika?

Po kilkadziesiąt minut Vesely wsiadł do swojego samochodu, odpalił i ruszył w kierunku wyjazdu z miasta. Był bardzo zmęczony, głównie z emocji, ale szczęśliwy. Udało mu się ustalić wiele faktów. Przynajmniej potwierdziły się podejrzenia Gordona, że nieżyjący historyk prawdopodobnie odkrył nie tylko sam fakt realizacji operacji Storch w Krakowie. Podkomisarz złapał także nowe tropy, a to liczyło się najbardziej.

„Ludzie są jednak bardzo łatwowierni” – pomyślał, gdyż przypomniał sobie, że doktor Jabłoński nie poprosił go nawet o okazanie legitymacji służbowej. Bezkrytycznie uwierzył w to, co Zygmunt powiedział mu przez telefon, umawiając się na spotkanie. To spostrzeżenie napawało go optymizmem odnośnie do czekających go wyzwań.

\*\*\*

Wieczorem Vesely intensywnie planował dalsze działania. Na pewno musiał ustalić, gdzie znajduje się laptop nieżyjącego historyka, ów cud techniki za

dwanaście tysięcy złotych. Obawiał się, że tak jak w przypadku Regiewicz wszystkie rzeczy Kalenika spoczywają w jego mieszkaniu w Częstochowie, zaplombowanym ze względu na postępowanie spadkowe. Nie pozostawało nic innego, jak zadzwonić do tamtejszego policjanta, z którym już wcześniej rozmawiał, i w zakamuflowany sposób spróbować wyciągnąć od niego potrzebne informacje.

Drugą sprawą była konieczność obejrzenia audycji telewizyjnej, w której brał udział naukowiec. Podkomisarz miał nadzieję, że w archiwum TVP Historia zachował się jej zapis. Niestety nie miał żadnego pomysłu, jak tam dotrzeć. Nie dość, że redakcja kanału była ulokowana w Warszawie, to jeszcze nie wiedział, jak uzasadnić potrzebę uzyskania dostępu do nagrania. Pierwszą, naturalną myślą było obarczenie tym problemem pułkownika Gordona. „On na pewno załatwiłby to w trymiga” – stwierdził z głębokim przekonaniem. Jednak wrodzona ambicja nakazywała mu spróbować podjąć się tego wyzwania. Długo zastanawiał się nad różnymi możliwymi rozwiązaniami. Doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby nawiązać kontakt z kimś, kto ma dobre „wejścia” w telewizji. Przeszukiwał intensywnie swoją pamięć, lecz niestety nikogo takiego nie odnalazł. „Kto może mieć kontakty z TVP?” – pytał sam siebie prawie że na głos. W końcu doznał olśnienia. Zidentyfikował taką osobę. Był nią rzecznik prasowy komendy policji, w której pracował! Zygmunt zaśmiał się głośno. Prostota pomysłu dodała mu skrzydeł. Zaczął konstruować scenariusz rozmowy. Postanowił zwrócić się do rzecznika po prostu z prywatną prośbą o skontaktowanie go z kimś z regionalnej telewizji, która pomoże mu w dostępie do poszukiwanego materiału. Bez podawania szczegółów, bez wnikania w prawdziwe powody konieczności uzyskania protekcji.

Ostatnią kwestią, którą musiał się zająć, było ustalenie, czego Kalenik konkretnie szukał w krakowskim IPN. Tu zdecydował się poprosić o pomoc archiwistę, dzięki któremu zdobył wiedzę o esbeckiej karierze Mariana Strypuli, oraz porozmawiać z promotorem Kalenika na uniwersytecie.

Zygmunt uzmysłowił sobie, jak dużo pracy go czeka. Nie martwił się tym jednak, bowiem rozpierała go energia i chęć jak najszybszego rozwiązania pasjonującej zagadki. Gdzieś w głębi siebie odnalazł także pragnienie

zaimponowania pułkownikowi Gordonowi oraz stryjowi. Wyobrażał sobie, jak opowiada Maciejowi o swoich dokonaniach, a ten uśmiecha się do niego z uznaniem.

Następnego dnia przystąpił do działania. Naczelnik Prędkie znowu był nieobecny. Od kolegów Zygmunt dowiedział się, że przełożony złapał jakąś paskudną infekcję i dostał od lekarza tygodniowe zwolnienie. Vesely dziękował losowi za taki splot okoliczności: rozprężenie wśród funkcjonariuszy wydziału zaowocuje ogólnym bałaganem, w którym będzie mu łatwo ukryć „nieoficjalne” czynności.

Najpierw udał się do rzecznika prasowego komendy. Ten, siedząc za biurkiem zawalonym papierami, choć niezwykle zajęty, zaprosił podkomisarza gestem do środka i zasygnalizował, żeby poczekał. Zanim Zygmunt się do niego odezwał, funkcjonariusz przeprowadził cztery krótkie rozmowy telefoniczne. Vesely z zainteresowaniem przysłuchiwał się ich przebiegowi. Podczas trzech rzecznik był układny, niezmiernie elokwentny, miły i dyplomatyczny, a w ostatniej przeistoczył się momentalnie w gbura, zaś z jego ust popłynął rysztoł knajackich przekleństw. Gdy skończył, zwrócił się do Zygmunta bez żadnych wstępów: „O co chodzi?”.

Podkomisarz przedstawił się, podkreślając, że jest od naczelnika Prędkiego (bądź co bądź, jego przełożony był ceniony w komendzie), a następnie powiedział wprost, że przychodzi z „prywatą”. Nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia na gospodarzu, jakby załatwianie prywatnych spraw wchodziło w zakres policyjnego PR-u. Zygmunt opowiedział bajeczkę o tym, że ktoś z jego rodziny pisze doktorat i potrzebuje kilku archiwalnych materiałów z telewizji. Nie wymienił przy tym nazwy kanału, o jaki mu chodziło. Na koniec poprosił rzecznika bez ogródek o „efektywną protekcję, czyli kontakt z kimś z regionalnej, krakowskiej TVP3, kto byłby w stanie pomóc”.

Dla specja od wizerunku policjantów tego typu prośba najwidoczniej była czymś powszednim, gdyż bez słowa wziął do ręki smartfon i zadzwonił do kogoś. Temu komuś powtórzył słowo w słowo to, co przed chwilą usłyszał. Następnie na niewielkiej karteczce typu memo coś zapisał i podał ją Veselemu, mówiąc, że ten ma się zgłosić do pani redaktor Krzyckiej. Gdy podkomisarz podnosił się z krzesła, rzecznik dodał jeszcze: „Tylko proszę się elegancko ubrać i zachowywać jak

dżentelmen”. Młody policjant w poczuciu zawstydzenia poprawił na sobie sportową bluzę, w jaką tego dnia był odziany, podziękował wylewnie i wyszedł z gabinetu.

Zygmunt nie wierzył, że tak łatwo mu poszło. Spojrzał na karteczkę, na której widniał numer telefonu. Pomyślał, że jeszcze tego samego dnia postara się złożyć wizytę w telewizji. W związku z tym postanowił pojechać do swojego mieszkania, by przebrać się w jedyny garnitur, jaki posiadał.

Przed wyjściem z komendy zadzwonił do pani redaktor Krzyckiej. Jej głos przypominał tembr Justyny, co go lekko oszołomiło. Przedstawił się, używając pełnej, służbowej nomenklatury, i powołał się na rzecznika prasowego. To sprawiło, że kobieta potraktowała go jak kogoś znajomego. Od razu zapytała, o co konkretnie chodzi. Vesely wyjaśnił złożoność swojego problemu. Nie znał przecież tytułu audycji, tylko przypuszczalny czas jej emisji. To na szczęście nie zniechęciło pracowniczki telewizji do udzielenia mu pomocy. Poprosiła jedynie o podanie nazwiska historyka oraz tytułu książki, jaką prezentował na wizji, po czym zapewniła, że zadzwoni, jak tylko coś ustali. Konieczność przebrania się w garnitur zesłała na dalszy plan. Vesely zdecydował się zatem zostać w komendzie i zabrać do ustalania miejsca, w którym znajdowały się rzeczy Kalenika, a zwłaszcza jego laptop.

W tym celu wykonał telefon do częstochowskiego policjanta, z którym kontaktował się w dniu, kiedy to dowiedział się o śmierci naukowca. Rozmowę zaczął bez podania wyraźnego powodu swojego dalszego zainteresowania sprawą, która formalnie została przecież zamknięta. Już chwilę później otrzymał sygnał, że popełnił błąd, lekceważąc ten aspekt. Częstochowiak zgłosił zastrzeżenia co do zasadności udzielenia zażądanych przez Veselego informacji. Podkomisarz nieźle się napocił, zanim logicznie się wytłumaczył i tym samym przekonał tamtego do współpracy. Skłamał, że siostra krakowskiego esbeka poprosiła go o sprawdzenie, czy czasami naukowiec nie był w posiadaniu pamiętnika brata, którego brak stwierdziła niedawno. „Staruszka uważa, że Strypula pożyczył go historykowi na potrzeby doktoratu. Tak mnie męczyła, że w końcu obiecałem jej pomóc, ale jeśli nie ma takiej możliwości, to trudno” – rzucił przekornie do telefonu. Opowiastka, mimo że była uszyta bardzo grubymi nićmi, poskutkowała. Policjant, który

„administrował” wypadkiem Kalenika, stwierdził, że informacja na temat rzeczy zmarłego nie stanowi żadnej tajemnicy służbowej ani sądowej, po czym udzielił stosownych wyjaśnień. W rezultacie okazało się, że jedynymi spadkobiercami zmarłego byli jego rodzice, więc wszystko powędrowało w ich ręce, po uprzednim sporządzeniu inwentarza i protokołu przekazania, które to dokumenty znajdowały się obecnie w prokuraturze. Wniosek zatem był taki, że w dalszych poszukiwaniach laptopa i innych materiałów, w których mogły znajdować się wskazówki dotyczące majora Bjorna, należało dotrzeć do matki i ojca naukowca.

\*\*\*

Zygmunt ubrany w swój jedyny garnitur, białą koszulę i gustowny krawat stanął przed drzwiami prowadzącymi do pokoju służbowego pani redaktor Krzyckiej. W lewej dłoni trzymał niedużą wiązaną kwiatów, zaś w drugiej teczkę, która skrywała jego prywatny notebook oraz bombonierkę. Czuł się staromodnie, jak karykaturalny amant, który przyszedł na schadzki.

Wczoraj późnym popołudniem odebrał telefon od pracowniczki telewizji, która oznajmiła mu, że jest już w posiadaniu nagrania poszukiwanej przez policjanta audycji. Poprosiła tylko, by przyniósł ze sobą laptopa, w który będzie mogła wpiąć swojego pendrive'a. Zygmunt nie mógł pojąć, dlaczego to on nie może posłużyć się przenośną pamięcią, ale z oczywistych względów nie próbował tego ustalić podczas krótkiej rozmowy. Na koniec umówili się na dziewiątą rano następnego dnia, i oto teraz podkomisarz stał przed pomieszczeniem, w którym rezydowała jego dobrodziejka. Poprawił krawat, zapukał i wszedł do środka.

Przywitała go ujmująca i bardzo ponętna czterdziestokilkulatka. Była nad wyraz elegancko ubrana, jakby za chwilę miała wziąć udział w jakiejś spektakularnej uroczystości. W pokoju unosił się zapach jej pizmowych perfum, od których mogło się zakręcić w głowie. Gdy się przedstawił, podała mu rękę w staroświecki sposób, który nakazywał mu ją pocałować, czego nie omieszkał uczynić. Jej oczy wyrażały ukontentowanie zarówno przystojnym młodym mężczyzną, jak i jego ubiorem oraz konwencją zachowania.

– Jest mi szczególnie miło pana poznać, panie Zygmunco – zaszcebiotała – tym bardziej, że jest pan z polecenia jednego z moich najlepszych przyjaciół. – Tu



wymieniła rangę i nazwisko rzecznika prasowego komendy.

Zygmunt, onieśmielony całą sytuacją, wyciągnął w jej kierunku trzymaną do tej pory za plecami wiązankę i wymamrotał jedynie kurtuazyjne podziękowanie za chęć okazania mu pomocy.

– Och, kwiaty – westchnęła redaktorka. – Wspaniałe. To dzisiaj już taka rzadkość, kiedy to mężczyzna przynosi na spotkanie z kobietą kwiaty. To naprawdę niezwykle, panie Zygmuncie. Ale przejdźmy do rzeczy. Nie mamy zbyt wiele czasu.

– Nawet pani sobie nie wyobraża, jak ta audycja jest dla mnie ważna – odrzekł policjant, by w ogóle coś powiedzieć.

– O ile sobie przypominam, to chyba chodziło o materiał do doktoratu dla jakiegoś znajomego?

– Zgadza się. Obiecałem pomóc kuzynowi, który pracuje nad dysertacją. Współpracował z historykiem występującym w programie, którego nagranie pani zdobyła.

– To nie prościej było skorzystać z relacji tego naukowca?

– Niestety, doktor Kalenik zginął w wypadku, dlatego należało sięgnąć bezpośrednio do archiwum TVP Historia. – Vesely gładko wytłumaczył swoje postępowanie.

– To straszne, taki młody człowiek. – Wzmianka o śmierci najwyraźniej przygnębiła Krzycką. Uświadomiło to także podkomisarzowi, że pani redaktor zapoznała się z nagraniem.

Ta otrząsnęła się jednak w mgnieniu oka i zaordynowała:

– Proszę włączyć swojego laptopa. Na pewno się pan zastanawiał, dlaczego nie mógł przynieść jedynie pendrive'a.

– Rzeczywiście, trochę mnie to zdziwiło – odparł zgodnie z prawdą policjant.

– To przez względy bezpieczeństwa. Mamy kategorię zakaz podłączania do naszych służbowych komputerów jakichkolwiek obcych urządzeń. Dlatego też musimy postąpić odwrotnie.

Krzycka wyjęła z szuflady swego biurka przenośny twardy dysk. Nie minęło kilka minut, jak odpowiedni plik wylądował w pamięci komputera Zygmunta.

Na koniec wymienili jeszcze kilka zdawkowych zdań, podkomisarz ponownie wylewnie podziękował za pomoc, po czym pochylił się, by dotknąć ustami pachnącej dłoni kobiety. Na korytarzu uświadomił sobie, że zapomniał wręczyć redaktorce bombonierkę. Nie cofnął się jednak. Pomyślał, że wykorzysta ją w innej, podobnej sytuacji.

Jechał szybko do komendy. Nie mógł się doczekać obejrzenia nagrania. W budynku, gdy szybkim krokiem przemieszczał się korytarzem do swojego pokoju, napotkani koledzy reagowali złośliwie na jego elegancki ubiór: „Żenisz się, Zygmus?”, „Idziesz prosić Prędkiego o podwyżkę?”, „Dostaniesz medal?”. Normalnie by przystanął i pożartował, ale nie tym razem.

Otworzył laptop, podłączył słuchawki i uruchomił odtwarzanie. Jego oczom ukazało się studio. Na tle skromnej scenografii symbolizującej wnętrze typowego archiwum ujrzał Sylwestra Kalenika, którego oblicze pamiętał ze zdjęcia zamieszczonego na stronie częstochowskiej uczelni oraz obwolucie jego książki. Siedział przy niskiej ławie, na której spoczywały trzy egzemplarze jego doktoratu. Podczas gdy dziennikarz prowadzący audycję zaznajamiał widzów z tematyką programu, kamera zrobiła najazd na okładkę jednego z nich. Gospodarz programu w kilku słowach przedstawił autora oraz publikację, podkreślając jej wagę naukową, po czym zwrócił się do młodego historyka:

– Dlaczego to właśnie tematyka peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa zainteresowała historyka młodego pokolenia?

Kalenik, wyraźnie stremowany, poprawił się niezdarnie w fotelu i odrzekł:

– Bardzo wiele opracowań historycznych na temat Służby Bezpieczeństwa powstało w oparciu o centralne archiwum Instytutu Pamięci Narodowej znajdujące się w Warszawie. Stąd też w literaturze jest wiele odniesień do działań SB na poziomie ogólnokrajowym, realizowanych przez funkcjonariuszy peerelowskiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Ja postanowiłem pójść inną drogą i wykorzystać potencjał archiwaliów krakowskich. Moim celem było zaprezentowanie organizacji i funkcjonowania Służby Bezpieczeństwa na poziomie lokalnym.

– Należy jeszcze dodać, że poświęcił pan swoje badania tylko jednemu z wielu pionów organizacyjnych SB, a mianowicie wywiadowi.

– Istotnie. Interesowała mnie przede wszystkim działalność krakowskiej ekspozytury Departamentu Pierwszego MSW, czyli centrali wywiadu cywilnego, która na przestrzeni lat istniała pod czterema różnymi szyldami: Samodzielnej Grupy Specjalnej; Inspektoratu Jednostek Milicji Obywatelskiej do spraw Bezpieczeństwa; Inspektoratu Kierownictwa SB; Inspektoratu Pierwszego SB.

– A gdzie znajdowała się siedziba ekspozytury? – Redaktor chciał najwyraźniej, by Kalenik nie popadł w „referatowy” styl wypowiedzi.

– Zazwyczaj przy Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej.

– Panie doktorze, proszę przybliżyć naszym widzom, czym w praktyce zajmowała się ekspozytura Departamentu Pierwszego. A pytając wprost, do czego była potrzebna centrali wywiadu taka właśnie struktura w Krakowie?

Przez kilka minut historyk rozwodził się nad tym, czego podkomisarz dowiedział się od archiwisty IPN, kiedy zbierał informacje o zawodowej przeszłości Mariana Strypuli. Gdy młody naukowiec zakończył swoją wypowiedź, dziennikarz przeszedł do kwestii, która przyciągnęła uwagę Zygmunta niczym najsilniejszy magnes:

– Z pana opowieści wynika, że Kraków był bardzo istotnym miejscem prowadzenia operacji wywiadowczych. Czy podczas swoich poszukiwań archiwalnych natknął się pan może na jakieś szczególnie frapujące tajemnice?

Kalenik uśmiechnął się w sposób zdradzający jego zadowolenie z tak postawionego pytania. Vesely był niemal pewien, że zostało ono wcześniej ustalone.

– Wszystko, czym zajmuje się wywiad, jest tajne i przez to intrygujące dla przeciętnego obywatela. – Historyk zaczął mówić o wiele swobodniej, co świadczyło o tym, że specjalnie się przygotował do wygłoszenia tej odpowiedzi. – W toku kwerendy, jaką prowadziłem w krakowskim IPN, odkryłem kilka wątków pracy ekspozytury, nazwijmy je akcjami specjalnego znaczenia, co do których nie mogłem znaleźć żadnych odniesień w innych archiwaliach.

– Jak należy rozumieć brak owych odniesień? – przerwał redaktor.

– Każda sprawa była prowadzona zgodnie z określoną procedurą. Miała niejako swoje odzwierciedlenie w różnego rodzaju kwestionariuszach, notatkach, raportach czy też sprawozdaniach. Dla historyka to swoiste ślady, po których można dojść do

obiektywnej wiedzy na temat, na przykład, konkretnej operacji wywiadowczej realizowanej w przeszłości. Jednak, jak już wspomniałem, kilka zidentyfikowanych przeze mnie działań nie posiadało potwierdzenia w wymienionych dokumentach.

– Czy to oznacza, że zostały one utajnione w jakiś szczególny sposób? – dopytał prowadzący.

– Można tak przypuszczać. Dopisało mi wszakże szczęście. W jednym przypadku udało mi się ustalić kryptonim takich specjalnych czynności. – Tu Kalenik zawiesił teatralnie głos, co miało zapewne przykuć jeszcze bardziej uwagę widzów, lecz zamysł ten mu nie wyszedł, gdyż w tym momencie wtrącił się wyraźnie zaniepokojony redaktor:

– Cóż to był więc za kryptonim i czego konkretnie dotyczył, panie doktorze?!

– Odkryłem supertajną operację wywiadowczą z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, która nosiła kryptonim Storch – oświadczył Kalenik tryumfalnie, intonując w odmienny sposób słowo „supertajna”.

„Facet miał parcie na szkło” – pomyślał Zygmunt. Wyglądało na to, że popularność i sława naukowa były dla Kalenika celem samym w sobie.

– Czy podjął się pan naukowego śledztwa? – Prowadzący wpadł w nieco pompatyczny ton.

– Oczywiście, nie mogłem przecież zrezygnować z próby rozwiązania tak wspaniałej zagadki.

„To tak jak ja, też nie mogłem zrezygnować” – skonstatował Vesely i poczuł swego rodzaju sympatię do niezującego historyka.

– Czy może się pan podzielić z widzami jego rezultatami? – poprosił dziennikarz.

Nawet na ekranie laptopa można było zobaczyć, jak Kalenik pokraśniał, usatysfakcjonowany możliwością zaprezentowania własnych dokonań.

– Nazwę kryptonimu odnalazłem w jednej z notatek służbowych sporządzonych przez oficera ekspozytury, porucznika Olgierda Zielińskiego, przy czym muszę zaznaczyć, że wymienione przeze mnie nazwisko nie jest prawdziwe, a legalizacyjne. Z człowiekiem tym poznałem się zresztą już wcześniej, gdy zbierałem materiały do swojego doktoratu. W latach osiemdziesiątych, jako podpułkownik, pełnił funkcję kierownika ekspozytury, czyli Inspektoratu

Pierwszego SB w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych. Niestety, na temat operacji Storch nie udzielił mi żadnych informacji, zasłaniając się obowiązującą go, w jego mniemaniu oczywiście, tajemnicą służbową.

– Innymi słowy, oficer ten był w posiadaniu stosownej wiedzy – wywnioskował prowadzący.

– Otóż to. Nie poddałem się jednak i pojechałem do centralnego archiwum IPN w Warszawie, by tam przeprowadzić odpowiednią kwerendę archiwaliów. Niestety nie znalazłem odpowiedzi na żadne z moich pytań.

– Rozumiem, że negatywny rezultat poszukiwań w stolicy zakończył pańskie badania?

– W zasadzie... tak. – Ton głosu Kalenika zdradzał, że nie do końca jest to prawda.

– Czyżby jednak wpadł pan na jakiś trop w tej sprawie, panie doktorze?

– Okazuje się, że w badaniach naukowych oprócz wiedzy oraz znajomości metodologii należy jeszcze mieć dużo szczęścia. – W tym momencie naukowiec uśmiechnął się znacząco do kamery.

– Niech pan nie skrywa tych rewelacji przed naszymi telewidzami, bardzo o to proszę, panie doktorze. – Redaktor złożył sugestywnie dłonie jak do modlitwy.

Młody historyk grymasem dał do zrozumienia, że przełamuje się wewnętrznie, po czym kontynuował:

– Jak tylko moja książka ukazała się drukiem, postanowiłem jeden egzemplarz podarować podpułkownikowi Zielińskiemu. Bardzo się ucieszył z prezentu i w formie żartu zrewanżował się pewną drobną informacją. Sądził zapewne, że nie zdołam jej wykorzystać. Jednak stało się inaczej: pozwoliła mi wrócić do badań nad operacją Storch. Proszę jednak nie nalegać, bym teraz ujawniał szczegóły.

Zygmunt zeszytniał z wrażenia. To, co usłyszał, potwierdzało tezę pułkownika Gordona: Kalenik musiał umrzeć, gdyż najprawdopodobniej zaczął podążać ścieżką prowadzącą do Bjorna. Redaktor nie zraził się tym, co powiedział jego gość, i zapytał:

– Jaki w takim razie mógł być cel tej operacji?

– W tej chwili mogę jedynie ujawnić, że najprawdopodobniej chodziło o wywiad nielegalny – odrzekł historyk.

– Proszę jeszcze wyjaśnić widzom, na czym polegała ta forma działalności wywiadowczej.

– Jednym z jej aspektów było umiejscawianie w państwach zachodnich polskich agentów, którzy posługując się fałszywą tożsamością, udawali tamtejszych obywateli.

– Czy można to zobrazować, na przykład, postacią filmową, jaką był Hans Kloss?

– Jak najbardziej. Hans Kloss był Polakiem, który infiltrował Abwehrę. To bardzo dobry przykład działalności wywiadu nielegalnego.

– Jak pan sądzi, panie doktorze, skoro operacja Storch była realizowana w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, to dlaczego w archiwach nie ma żadnych materiałów na jej temat?

Vesely znał odpowiedź, był ciekawy, czy Kalenik udzieli takiej samej. Ten zastanawiał się przez moment i odparł:

– Istnieją w zasadzie dwie opcje. Albo z nieznanых przyczyn ktoś je zniszczył, albo nie są przechowywane w IPN.

– To gdzie mogły zostać w takim razie zdeponowane? – Redaktor ewidentnie chciał wycisnąć z młodego naukowca wszystko, co tylko możliwe.

– Na to pytanie niech każdy odpowie sobie sam. – Gość zręcznie ominął niewygodny temat.

– Inaczej zatem je sformułuję. – Gospodarz programu nie chciał ustąpić. – Jeśli właściwe dokumenty istnieją, to dlaczego nie są przechowywane w IPN?

– Nie domyśla się pan, panie redaktorze?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien.

– Istnieje możliwość, że ta sprawa nadal ma znaczenie dla bezpieczeństwa państwa. Powiem nawet więcej: mogła nie zostać jeszcze zakończona...

Podkomisarz zamyślił się: „Tylko idiota nie zauważyłby, jak wszystko układało się w logiczną całość”. Doszedł do wniosku, że należy się udać do krakowskiego IPN, by spróbować ustalić, nad czym pracował tam młody naukowiec. Zrodziła się w nim nadzieja, że odnajdzie jakąś ważną wskazówkę.

\*\*\*

Pracownik archiwum pokiwał twierdząco głową, widząc zdjęcie młodego historyka na tylnej okładce książki, którą Vesely podsunął mu pod nos.

– Pamiętam go, panie podkomisarzu. Siedział u nas kilka miesięcy. Bardzo pracowity facet. Ale czemu się pan nim interesuje?

– Niestety, nie mogę powiedzieć – odparł służbiście Zygmunt. – Właściwie to pomagam koledze, który prowadzi dość skomplikowaną sprawą. Usłyszałem od niego, że musi coś sprawdzić w IPN, więc pochwaliłem się, że nie tak dawno byłem w Instytucie i rozmawiałem ze świetnym fachowcem, czyli z panem. – Zygmunt, skrywając za kamienną twarzą łgarstwo, zauważył, jak po tych słowach archiwistę napompowała satysfakcja. – Niestety, po tym, co mu powiedziałem, nie mogłem się już wykręcić od oddania mu przysługi i oto jestem – dokończył wyjaśnienie.

– Co w takim razie interesuje pana kolegę?

– Czy można ustalić, jakie materiały przeglądał ten naukowiec?

– W zasadzie tak, ale to masa roboty. W systemie informatycznym znajdziemy sygnatury akt, z jakich korzystał, ale żeby dowiedzieć się, co rzeczywiście jest w teczkach, trzeba by do nich zajrzeć. Chyba że wystarczą jedynie opisy inwentarzowe. Jednak nawet ich przegląd zajmie mnóstwo czasu.

Vesely klął w duchu, jego wizyta okazała się daremna. Rozmyślenia przerwało mu pytanie archiwisty:

– A może pan wie, w jakim celu ten historyk prowadził badania?

– Żeby napisać książkę, którą przed chwilą panu pokazałem. To jego doktorat – odparł policjant.

– To nie musi się pan trudzić. Zapewne wszystko najistotniejsze, co znalazł w naszych materiałach, zawarł w tej publikacji. Wystarczy ją dobrze przeanalizować oraz zwrócić uwagę na przypisy. Niech pan otworzy książkę w dowolnym miejscu.

Zygmunt postąpił zgodnie z zaleceniem pracownika archiwum. Na dole strony znajdował się drobny tekst odnośnika, na końcu którego zostało zamieszczone źródło. Archiwista też się przyjrzał i powiedział z zadowoleniem:

– No widzi pan, tu jest wszystko: nazwa naszego archiwum, nazwa zespołu archiwalnego, następnie mamy sygnaturę jednostki archiwalnej, nazwisko tego, kto

wytworzył dokument oraz jego tytuł i stronę, na której znajduje się cytowana informacja.

– Czyli jeśli coś mojego kolegę zainteresuje w tekście, to po przypisie można dojść szybko do konkretnego dokumentu? – zapytał policjant.

– Tak będzie najwygodniej i najszybciej – potwierdził pracownik.

– Możemy zrobić małe doświadczenie? – W głowie Veselego zrodził się interesujący pomysł na wykorzystanie sytuacji i sprawdzenie, czy w archiwum nie ma informacji na temat operacji Storch.

– Proszę bardzo, niech pan coś wybierze.

Podkomisarz udając, że poszukuje jakiegoś przykładu, kartkując, dotarł do strony, na której Kalenik chwalił się swoim odkryciem.

– O proszę – powiedział do archiwisty. – Tu mamy nazwę jakiegoś kryptonimu. Niech pan wpisze do katalogowej wyszukiwarki słowo „Storch”.

– Niech będzie „Storch”, chociaż wątpię, czy się uda, bo nasz katalog raczej nie zna niemieckiego – zażartował archiwista, co przypieczętował krotochwilnym mrugnięciem prawego oka.

– Jak to nie zna niemieckiego? – Zygmunt nie załapał.

– „Storch” to przecież po niemiecku „bocian”. Znam dość dobrze ten język – wyjaśnił archiwista i wstukał nazwę do komputera.

Wyskoczyło jedenaście rekordów, dziesięć dotyczyło osób o nazwisku Storch, zaś jeden pseudonimu jakiegoś agenta wojskowego kontrwywiadu z czasów PRL.

– Widzi pan? Wszystko jest. – Pracownik nie krył zadowolenia. – Teraz tylko należy zdecydować, która teczka jest potrzebna, a potem zamówić ją do czytelnicy i zapoznać się z jej zawartością.

– To rzeczywiście jedyny sposób postępowania – zgodził się Vesely. – Tak też i powiem mojemu koledze. Ale jeśli będzie chciał coś naprawdę przeglądać, to niech sam sobie grzebie w tych wszystkich papierach.

– Święta racja, panie podkomisarzu – zaśmiał się archiwista. – Niech pan się przypadkiem nie da wrobić w taką robotę, bo można nabawić się pylicy płuc, wdychając kurz z tej całej makulatury! ■



Był środek weekendu, Zygmunt od wczoraj gościł w Katowicach u stryja. Ubiegłego wieczoru, po kolacji, gdy siedzieli przy butelce dobrego wina, opowiedział Maciejowi o wszystkim, co wydarzyło się w jego prywatnym śledztwie od czasu ich poprzedniego spotkania i w konsekwencji doprowadziło do jego uczestnictwa w poszukiwaniach polskiego nielegala o pseudonimie „Bjorn”. Profesor słuchał z zaciekawieniem, raz po raz zerkając na książkę Kalenika, którą policjant przywiózł ze sobą. W końcu nie mogąc powstrzymać pragnienia zapoznania się z jej treścią, przerwał wywody bratanka i udał się do swojej sypialni, by w pozycji horyzontalnej trochę poczytać. Publikacja tak go zaciekała, że zasnął dopiero, gdy już świtało. Teraz ziewał co chwilę, mimo że wypił już trzecią kawę tego przedpołudnia.

– To niezwykle interesująca monografia – recenzował. – Ten młody historyk był bardzo utalentowany, musiał mieć też dobre wyczucie badawcze, sądząc po tym, jaki temat wybrał sobie na doktorat.

– Dużo przeczytałeś? – Veselemu zależało na uzyskaniu pomocy w pewnej kwestii.

– Jakies trzy czwarte, dzisiaj skończę. A co?

– Muszę odnaleźć kolegów Strypuli, którzy razem z nim służyli w SB. Myślałem, że wytypuję ich na podstawie lektury jego dysertacji, lecz tam tych nazwisk jest sporo i szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, na kim powinienem się skoncentrować.

Stryj poszedł do sypialni i po chwili wrócił z książką w dłoni. Usiadł i zaczął ją metodycznie przeglądać. Po kilkunastu minutach odezwał się:

– Oprócz Strypuli jeszcze dwóch innych oficerów udzieliło Kalenikowi wywiadu. Tak wynika z przypisów, co zresztą potwierdza zbiorcza bibliografia umieszczona na końcu publikacji. Oznacza to, że ci ludzie prawdopodobnie jeszcze żyją i być może mieszkają w Krakowie. Jako funkcjonariusz policji zapewne nie będziesz miał trudności z ustaleniem miejsc ich zamieszkania.

– Jasne, że nie. Jak dotrę do choćby jednego, to może uzyskam namiary na kogoś innego. – Ton głosu podkomisarza świadczył, że uwierzył w powodzenie dalszych działań.

– Możesz także posłużyć się Internetem, myślę, że powinieneś poszperać w inwentarzu archiwalnym IPN.

– Próbowałem, ale tam są tylko opisy dokumentów, nie ma za to żadnych konkretów – odparł Zygmunt.

Maciej poszedł do swojego gabinetu, gdzie znajdował się komputer. Włączył go i po chwili otworzył stronę inwentarza. Wpisał jedno z nazwisk występujących w książce nieżyjącego historyka. Stwierdził, że jego bratanek miał słuszość. Wyświetliły się, co prawda, podstawowe dane osobowe, ale trudno było na tej podstawie ustalić, czy ów człowiek mógłby przydać się w śledztwie. Zastanawiał się, co można jeszcze zrobić. Postanowił wypróbować najprostsze rozwiązanie i wstukał do uniwersalnej wyszukiwarki internetowej hasło „Służba Bezpieczeństwa Kraków”. W wynikach pojawiły się linki prowadzące do strony internetowej IPN oraz różnych artykułów zamieszczonych na portalach informacyjnych i publicystycznych. Profesor zaczytywał wnikliwie każdy z nich. Jeden przykuł jego uwagę. Był jakiś taki nieformalny. Brzmiał: „Bezpieka w Małopolsce”. Kliknął w niego. Okazało się, że prowadził do internetowej wystawy zorganizowanej przez jakąś fundację, której celem było ukazanie przestępczego i antynarodowego charakteru peerelowskiej policji politycznej. Przejrzał menu i natrafił na zakładkę „Funkcjonariusze”. Zagłębił się w jej zawartości i po kilku minutach uśmiechnął szeroko. Zawołał bratanka. Oczom Zygmunta ukazały się zdjęcia oficerów krakowskiej ekspozytury esbeckiego wywiadu<sup>28</sup>). Wśród nich był Strypula, a także ci dwaj, z którymi Kalenik także przeprowadził rozmowy.

---

28) Autor zainspirował się wystawą Instytutu Pamięci Narodowej pt. „Twarze krakowskiej bezpieki”. Czytelnik może zobaczyć pierwowzór tego, co ujrzeli bohaterowie powieści, pod internetowym adresem: [https://ipn.gov.pl/strony-zewnetrzne/wystawy/twarze\\_krakowskiej\\_bezpieki/content/plansza\\_70.html](https://ipn.gov.pl/strony-zewnetrzne/wystawy/twarze_krakowskiej_bezpieki/content/plansza_70.html) (dostęp: 31 stycznia 2022 roku).

– Szczerze mówiąc, to strasznie mi głupio, że sam nie wpadłem na to, by poszperać w Internecie. – Podkomisarz czuł złość na samego siebie.

– Po prostu byłeś przeświadczony, że wszystkie informacje na temat personaliów byłych pracowników SB skrywają jedynie archiwalne teczki. A tu mamy dowód, że wiele ciekawych rzeczy krąży w przestrzeni publicznej i jest na wyciągnięcie ręki. – Wyjaśnienie stryja złagodziło w Zygmuncie gorycz niskiej samooceny.

– Masz rację, postrzegałem tę kwestię zbyt wąsko. Ale teraz nie ma to już znaczenia. Najważniejsze, że wiem, od kogo zacząć, muszę tylko ich odnaleźć, a to raczej nie powinno być trudne. Zwłaszcza że pod zdjęciami, oprócz nazwisk, stopni i funkcji, dat urodzenia, są także okresy służby w ekspozyturze.

Wrócili do salonu i usiedli w fotelach przy niewielkiej ławie. Obaj byli usatysfakcjonowani. Ciszę przerwał stryj:

– Wczoraj nie chciałem przerywać twojej relacji, ale dziś muszę cię spytać: zaginięcieteczki legalizacyjnej, o której mi opowiadałeś, a dotyczącej sprawy rozpoczętej jakieś pięćdziesiąt lat temu, potwierdza chyba moje obawy, że Agencja Wywiadu przetrzymuje materiały archiwalne, które powinny były zostać przekazane do IPN, a konkretnie do zbioru „Z”?

– Chociaż na jednym ze spotkań pułkownik Gordon nieopatrznie potwierdził twoje podejrzenia, to nie jest to jednak do końca takie oczywiste – odrzekł Zygmunt.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Po pierwsze, sprawa Bjorna nie zakończyła się wraz z rozwiązaniem Służby Bezpieczeństwa, zaś po drugie, Regiewicz przeszedł pozytywnie weryfikację w dziewięćdziesiątym i kontynuował służbę w wywiadzie Trzeciej Rzeczypospolitej.

– To nie są przekonujące argumenty – odparł Maciej. – Ustawa o IPN jasno wskazuje, że wszystkie dokumenty dotyczące służb specjalnych PRL, wytworzone w latach od tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego do dziewięćdziesiątego, powinny zostać przekazane do archiwum Instytutu. A dlaczego właściwie sprawa nie została zakończona w dziewięćdziesiątym? Wiesz coś na ten temat?

– Tak. Na ostatnim spotkaniu Gordon zapoznał mnie z kilkoma faktami. Otóż poszukiwanego obecnie Bjorna wykorzystano do zdobycia informacji na temat strategii RFN odnośnie do zjednoczenia Niemiec oraz traktatów polsko-niemieckich. Nie pytałem pułkownika o szczegóły, ale z jego wypowiedzi wynikało, że było to coś bardzo ważnego. Regiewicz oraz Bjorn dostali za to Złote Krzyże Zasługi, i to ponoć na wniosek samego ministra spraw zagranicznych!

Maciej zastanawiał się nad czymś, po czym rzekł:

– Jeśli chodziło o to, o czym myślę, to obaj musieli zajmować się kwestiami o ogromnym, strategicznym, wręcz historycznym znaczeniu dla Polski. Nie dziwię się, że dostali medale. A skoro wnioskował o nie ówczesny szef dyplomacji, jeden z najlepszych, jakiego mieliśmy<sup>29)</sup>, to jestem prawie przekonany, że tak właśnie było.

---

<sup>29)</sup> Chodzi o prof. Krzysztofa Skubiszewskiego.

– Czego aż tak ważnego mogli w takim razie dokonać?! – Zygmunt bardzo chciał poznać wydarzenia sprzed prawie trzydziestu lat.

– Najprawdopodobniej Bjorn uzyskał niezwykle istotne i zapewne supertajne informacje dotyczące międzynarodowych rokowań, prowadzonych w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, poświęconych sprawie zjednoczenia RFN i NRD, które znane są pod nazwą „Konferencja 2+4”, gdyż oprócz państw niemieckich uczestniczyły w nich Francja, USA, Wielka Brytania i ZSRR. Zapewne dostarczył także wiedzy o stanowisku negocjacyjnym RFN odnośnie do dwóch polsko-niemieckich traktatów: „granicznego” i „o dobrym sąsiedztwie”<sup>30)</sup>. Musisz wiedzieć, że przywódcy Niemiec Zachodnich nie chcieli jednoznacznie potwierdzić nienaruszalności polskiej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Ówczesny kanclerz Helmut Kohl stwierdził podczas wizyty w Polsce, pod koniec osiemdziesiątego dziewiątego roku, że nie może uznać polskiej granicy zachodniej za ostateczną, gdyż według niego mogły to zrobić jedynie przyszłe, zjednoczone Niemcy. Później, zaraz po upadku Muru Berlińskiego, gdy kanclerz ogłosił plan połączenia dwóch państw niemieckich, także nie padło w nim ani jedno słowo na temat granicy. Wzbudziło to oczywiście ogromne zaniepokojenie, wręcz alarm w Warszawie. Polska dyplomacja jednak przełamała postawę Kohla, co

zaowocowało najpierw zaproszeniem Polski do rozmów w ramach „Konferencji 2+4” dotyczących naszych granic i bezpieczeństwa, i to mimo sprzeciwu RFN, a potem podpisaniem wspomnianych dwóch traktatów, które ostatecznie zapewniły trwałość naszej zachodniej granicy oraz doprowadziły do ścisłej współpracy i pojednania polsko-niemieckiego. Teraz śmiem twierdzić, że było to możliwe, między innymi, dzięki działalności Bjorna.

---

30) Chodzi o: 1) Traktat między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o potwierdzeniu istniejącej między nimi granicy, podpisany 14 listopada 1990 roku; 2) Traktat między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, podpisany 17 czerwca 1991 roku.

– Jednym słowem, esbecki, komunistyczny agent przysłużył się nowej demokratycznej Polsce – skonstatował Vesely.

– Cholernie się przysłużył – potwierdził stryj. – Sprawa miała charakter polskiej racji stanu. Nie dziwię się, że minister spraw zagranicznych wnioskował o odznaczenia. To było naprawdę epokowe osiągnięcie. Za coś takiego stawia się pomniki – dodał przesadnie.

– Można zatem przypuszczać, że Bjorn był kimś bardzo wpływowym – powiedział Zygmunt. – Tak zresztą twierdzi Gordon.

– Niekoniecznie – odrzekł na to Maciej. – Wystarczyło, że miał dostęp do kogoś takiego albo do jakichś ważnych dokumentów.

– Pułkownik przypuszcza, że musiał mieć wysoką pozycję i zapewne jest tak obecnie, skoro ktoś zorganizował wyniesienie jego teczki legalizacyjnej z archiwum Agencji.

– Być może ma rację – skwitował stryj.

\*\*\*

Dwa dni później, popołudniową porą, Vesely jechał na spotkanie z byłym oficerem SB, który w latach osiemdziesiątych pracował razem z Marianem Strypułą w ekspozyturze wywiadu, czyli Inspektoracie Pierwszym. Facet mieszkał w Nowej Hucie, jakieś niecałe siedemnaście kilometrów od komendy. Jego adres podkomisarz ustalił, wykorzystując bazę PESEL. Drugi ze wskazanych przez stryja

funkcjonariuszy, jacy udzielili wywiadów młodemu historykowi, był zameldowany w Myślenicach, dlatego też podkomisarz zdecydował się odbyć z nim rozmowę w dalszej kolejności. Chociaż Gordon zalecił mu przeprowadzenie rekonesansu przede wszystkim wśród osób stanowiących otoczenie Kalenika, policjant żywił nadzieję, że byli współpracownicy Strypuli rzuca nieco światła na operację Storch.

Zygmunt przygotował sobie uzasadnienie konieczności przeprowadzenia rozmów z esbekami. Długo kombinował, zanim wpadł na rozwiązanie, które wydało mu się wiarygodne, a przede wszystkim logiczne. Teraz dysponował odpowiednią opowieścią, którą mógł się posłużyć w przypadku zadania mu niewygodnych pytań. W trakcie wymyślania dla siebie legendy (od pewnego czasu zaczął w swoich rozważaniach używać tego szpiegowskiego pojęcia dość regularnie) zauważył w sobie pewną przemianę. Przestał zwracać uwagę na etyczną stronę tego, co robił dla Agencji, przede wszystkim na fakt, że wykonanie powierzonego mu zadania wiązało się ze świadomym używaniem kłamstwa. Stało się ono dla niego swoistym instrumentem, narzędziem, tak jak służbowa legitymacja, smartfon, komputer czy samochód. „Będzie pan kłamał, i to w żywe oczy” – przypomniał sobie słowa pułkownika Gordona wypowiedziane podczas spotkania, na którym zgodził się współpracować z wywiadem. Z drugiej jednak strony bał się, że całkowicie popadnie w otchłań łgarstw, dlatego też obiecał sobie przeprowadzanie każdego dnia swoistego rachunku sumienia, by nie zaimplementować „metody wywiadowczej” do policyjnej pracy oraz życia prywatnego.

Mężczyzna, który otworzył drzwi nowohuckiego mieszkania, był o wiele młodszy od Strypuli. Podkomisarz wiedział, że jego rozmówca ma sześćdziesiąt cztery lata. Zastanawiał się, czy ten fakt nie zniweczy jego nadziei. Policyjna legitymacja wzbudziła w gospodarzu respekt. Bez zadawania pytań odnośnie do celu wizyty zaprosił podkomisarza do środka.

– W czym mogę pomóc policji państwowej? – zapytał żywo, gdy usadowili się w dość wygodnych fotelach. Brzmienie jego głosu oraz szczególne zaintonowanie nazwy instytucji, którą Vesely reprezentował, sprawiało wrażenie, że jest przyjaźnie usposobiony.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań odnośnie do Sylwestra Kalenika – rozpoczął Vesely.

– Pan wybaczy, podkomisarzu, ale chyba nie znam nikogo o takim nazwisku.

– Był historykiem, pisał doktorat na temat krakowskiej Służby Bezpieczeństwa, udzielił mu pan wywiadu – wyjaśnił policjant.

– Racja, teraz go sobie przypominam, był u mnie dwa razy. – Esbek się rozpromienił. – Ale dlaczego powiedział pan: „był historykiem”? – Dawna zawodowa czujność go nie zawiodła.

– Nie żyje – odparł Zygmunt. – Właśnie w związku z tą sprawą przyjechałem do pana.

– Morderstwo? – Twarz gospodarza emanowała ciekawością.

– Sprawdzamy to. Na razie wyjaśniamy wszystkie okoliczności. – Podkomisarz starał się, by jego głos świadczył o tym, że prowadzi rutynowe czynności.

– Ale co ja mogę mieć z tym wspólnego? Nie bardzo rozumiem? – Emerytowany funkcjonariusz SB nie utrzymał emocji na wodzy, wyraźnie się zaniepokoił.

– Proszę się nie martwić, nie wiążemy pana z tą sprawą. Chcę jedynie dowiedzieć się czegoś o waszym spotkaniu. Czego dotyczyło, jakie tematy poruszaliście?

– Pan wybaczy, podkomisarzu, oczywiście odpowiem na każde pytanie, ale co wiąże tamte rozmowy ze śmiercią tego człowieka?

Vesely popatrzył wnikliwie w oczy gospodarza, udał, że rozważa coś intensywnie, po czym odpowiedział zgodnie z wcześniej przygotowaną przez siebie legendą:

– Podejrzewamy, że motywem ewentualnego zabójstwa może być plagiat, jaki ktoś popełnił, wykorzystując dokonania naukowe doktora Kalenika. Dlatego też muszę ustalić jego rzeczywisty dorobek badawczy. Stąd moja obecność i zainteresowanie wywiadem, jakiego mu pan udzielił.

– Wszystko jasne! – Twarz rozmówcy znowu stała się pogodna. – Co chce pan wiedzieć?

– Przede wszystkim proszę sobie przypomnieć zagadnienia, jakie interesowały historyka.

Esbek myślał nad czymś intensywnie i zamiast mówić na temat, zadał kolejne pytanie:

– A skąd pan w ogóle wie, że on był u mnie?

– Pana nazwisko widnieje w przypisach książki Kalenika.

– Że też sam na to nie wpadłem. – Gospodarz zafrasował się na moment. – Człowiek się starzeje i umysł już nie ten – wytłumaczył się sam przed sobą. Zrobił krótką pauzę, po czym przystąpił do relacjonowania:

– Ten młody człowiek pisał doktorat na temat ekspozytury wywiadu SB w Krakowie, w której służyłem w latach osiemdziesiątych. Pytał mnie przede wszystkim o metody działania, relacje z warszawską centralą, sprawy, jakie realizowaliśmy, a także system biurokratyczno-administracyjny, w jakim funkcjonowaliśmy.

– A czy coś ciekawiło go szczególnie? – Zygmunt chciał od razu skierować rozmowę na ważne dla niego kwestie.

Mężczyzna zamyślił się.

– Tak – odpowiedział po dłuższej chwili. – Bardzo intrygowała go pewna operacja, w którą był zaangażowany kierownik ekspozytury. Z tego też powodu odwiedził mnie drugi raz.

– A kiedy miało miejsce to drugie spotkanie? – Intuicja podpowiedziała Zygmuntowi, że coś kryje się za tymi ponownymi odwiedzinami.

Esbek długo się zastanawiał. Miał chyba rzeczywiście problemy z pamięcią. W końcu podał przedział czasowy. Wyglądało na to, że rozmowa odbyła się około pięciu lub sześciu tygodni przed śmiercią Kalenika.

– I jaką wiedzę mu pan przekazał? – podkomisarz wrócił do zasadniczego tematu.

– Niestety nie byłem mu w stanie nic na ten temat powiedzieć.

– A to dlaczego? – Vesely chciał, by tamten kontynuował ten wątek.

– Chodziło o jakieś działania z końca lat sześćdziesiątych. Ja wtedy byłem dopiero nastolatkiem, więc nie miałem o niczym pojęcia.

– A kto był tym kierownikiem ekspozytury?

– Podpułkownik Zieliński, ale to nie było jego prawdziwe nazwisko, tylko legalizacyjne, które służyło do konspirowania działań wywiadowczych. Naprawdę



nazywał się Marian Strypula.

– Co to był za człowiek? – Vesely zaryzykował, ta kwestia odbiegała od meritum.

– Pamiętam – esbek uśmiechnął się zadowolony – że takie samo pytanie zadał mi ten młody historyk, więc tak samo odpowiem. To był cholerny skurczybyk. Nie życzyłbym nikomu takiego szefa.

– Taki wymagający?

– I to jeszcze jak, przypieprzał się do wszystkiego. Nikt go nie lubił ani nie szanował, wszyscy się go jedynie bali. Był do bólu skrupulatny. Z notatkami albo raportami biegano do niego po kilkanaście razy, aż do momentu, gdy wszystkie przecinki i kropki były na właściwych miejscach. Najgorzej zaś było z rozliczaniem funduszy. Wszędzie tropił przekręty finansowe. Trzeba było uzasadniać wydanie każdej złotówki. Przełożonym się to oczywiście podobało. Wskazywali go jako wzór gospodarności.

– To chyba dobrze – skomentował Zygmunt.

– A gdzież tam dobrze! – Gospodarz wyraźnie się zdenerwował na wspomnienie postępowania Strypuli. – W tamtych czasach potrzebna była elastyczność w podejściu do funduszy operacyjnych, bez tego nie było wyników w robocie.

– Chciałem jedynie powiedzieć, że urzędnik powinien odpowiedzialnie i właściwie wydatkować publiczne pieniądze – powiedział podkomisarz, czym dolał jedynie oliwy do ognia.

– „Austriackie gadanie”! – Mężczyzna skomentował opinię policjanta, jak na stuprocentowego krakusa przystało. – Proszę się nie obrazić, ale nie rozumie pan, o czym mówię. Wtedy były inne czasy. Jedno w każdym razie jest pewne: Zieliński nie był właściwym człowiekiem na tym stanowisku, a kierownikiem został tylko dlatego, bo miał po prostu chody w Warszawie i ukończył jakiś tam kurs u towarzyszy radzieckich w Moskwie.

– Chody w Warszawie? Na czym to polegało?

– Miał takiego dobrego, ważnego kumpla w centrali, podpułkownika Lipskiego, który roztaczał nad nim opiekę.

– Odbiegliśmy znacznie od tematu, to znaczy od pana spotkania z Kalenikiem.  
– Vesely postanowił stworzyć pozory, że w zasadzie nie interesuje go ten temat. – Chociaż z drugiej strony to, co pan opowiada, jest cholernie ciekawe. – Specjalnie zaintonował słowo „cholernie”.

– Ani trochę nie odbiegliśmy. – Były oficer prawie się oburzył na takie posądzenie. – To samo opowiadałem tamtemu naukowcowi.

– Ach tak? – Zygmunt uśmiechnął się nieznacznie. – W takim razie na czym polegała owa „opieka” tego Lipskiego?

– Przyjeżdżał regularnie do Krakowa. Chronił naszego kierownika przed miejscowymi decydentami, którzy czasami wkurzali się na niego za tę jego biurokratyczną bezkompromisowość, zwłaszcza wtedy, gdy naruszała ich interesy. Raz sam byłem świadkiem, jak wziął go w obronę w sporze z szefem SB na całe województwo. Chodziło wtedy o syna Strypuli, który działał w opozycji. Niech pan sobie wyobrazi, że Lipski kazał najważniejszemu esbekowi na naszym terenie po prostu „odpieprzyć się”. I wie pan co? Tamten się nawet nie odezwał, tylko najzwyczajniej odpuścił. Od tamtej pory wszyscy wiedzieliśmy, że Lipski i Zieliński z jakichś powodów są nietykalni.

– A nie wie pan z jakich? – Vesely poczuł, że chwyta nitkę, która może go zaprowadzić do kłębka.

– Nigdy tego nie odkryliśmy. Zieliński miał fioła na punkcie tajności i konspiracji.

– A ten Lipski długo chronił tego waszego kierownika?

– Do końca, to znaczy do odejścia Zielińskiego ze służby w dziewięćdziesiątym. Potem jednak przyjeżdżał jeszcze kilka razy. Ostatni raz widziałem go w dziewięćdziesiątym drugim albo trzecim. Niestety, nie pamiętam dokładnie.

– Jeszcze przyjeżdżał!?! – Zygmuntowi zrobiło się gorąco z wrażenia. – A niby po co? – To pytanie zadał bezwiednie, pod wpływem impulsu, ale gospodarz nie zwrócił na to uwagi.

– Po rozwiązaniu SB, a powołaniu do życia Urzędu Ochrony Państwa wszyscy, którzy przeszli weryfikację, w tym i ja, zostali pracownikami Delegatury UOP w Krakowie. Ci, którzy służyli wcześniej w ekspozyturze Departamentu

Pierwszego, zostali przeniesieni do pionu śledczego. Za sprawy wywiadu odpowiadał wtedy tylko jeden funkcjonariusz. To do niego przyjeżdżał Lipski.

– Kto to był, jeśli można wiedzieć?

– Adam Nowicki, ale to nazwisko legalizacyjne. Naprawdę nazywał się... Nie wiem, czy sobie przypomnę... Już mam! Nazywał się Tekiel, Zdzisław Tekiel! – Mężczyzna niemal wykrzyknął zadowolony.

Były esbek wrócił w swojej opowieści do spotkania z Kalenikiem, ale podkomisarz go nie słuchał. Jego myśli powędrowały w zupełnie innym kierunku, do pani Marii, siostry Mariana Strypuli. Odruchowo potakiwał jedynie głową, by potwierdzać co jakiś czas, że wsłuchuje się w rozważania swojego rozmówcy. Sam nie wiedział dlaczego, ale chciał jak najszybciej wyjść z tego mieszkania. W końcu włączył się w tok wypowiedzi gospodarza i doprowadził do zakończenia spotkania.

Wsiadł do samochodu, ale nie odpalał silnika. Myślał nad czymś intensywnie. Szukał w swojej pamięci czegoś, o czym był przekonany, że tam istnieje. Po kilku minutach wziął do ręki smartfon i zadzwonił do siostry Strypuli. Gdy ta odebrała, przywitał się i bez żadnego wstępu zapytał:

– Pani Mario, proszę mi powiedzieć, jak nazywa się pan Zdzisław, kolega pana Mariana, który leży sparaliżowany w hospicjum?

Po drugiej stronie nastąpiła cisza, zaś Zygmunt czuł wręcz metafizycznie, jak kobieta grzebie sobie w głowie w poszukiwaniu nazwiska. Po chwili odezwała się:

– Tekiel.

Wizyta w Myślenicach u drugiego byłego funkcjonariusza SB, który udzielił Kalenikowi wywiadu, nie wniosła nic nowego, Potwierdziła jedynie, że Strypula był służbistą, pedantem, skrupulantem, a wręcz biurokratycznym skąpcem w sprawach finansowych oraz przestrzegał rygorystycznie zasad konspiracji. O Lipskim Zygmunt też nie usłyszał niczego ponad to, co już wiedział.

Podkomisarz był bardzo zadowolony z poczynionych ustaleń. Po pierwsze, uzyskał potwierdzenie, że Kalenik wiedział o Lipskim, mógł więc zakładać, że historyk próbował do niego dotrzeć. „Jeśli to zrobił, a ci, którzy zorganizowali wyniesienie teczek z danymi Bjorna, dowiedzieli się o tym, to był to jeden z przysłowiowych gwoździ do jego trumny” – pomyślał. Po drugie, charakterystyka osobowa Strypuli, o jaką oparł swoje prywatne śledztwo na samym

początku, okazała się właściwa. Po trzecie, obaj nieżyjący esbecy na pewno pracowali w Krakowie nad czymś superważnym, skoro mogli ignorować, a nawet obrażać szefów krakowskiej bezpieki. Innymi słowy, Gordon miał rację: szukali kandydata na Bjorna, a potem pilnowali, żeby nikt niepowołany nie interesował się jego rzeczywistą przeszłością. Po czwarte, Lipski przyjeżdżał do Krakowa jeszcze do roku dziewięćdziesiątego drugiego lub trzeciego, do Zdzisława Tekiela, kolegi Strypuli, a to oznaczało, że podpisanie traktatów polsko-niemieckich nie zakończyło działalności polskiego nielegala w Niemczech.

Vesely zastanawiał się, jakie powinny być jego następne działania. Przypomniawszy sobie sugestie pułkownika, by porozmawiać z kolegami Kalenika ze studiów doktoranckich oraz znajomymi i przyjaciółmi. Policjant uznał, że ustalenie danych tych ludzi będzie niezmiernie trudne. Obecnie jedyną osobą, do której mógł łatwo dotrzeć, był profesor, który sprawował kuratelę nad pracą doktorską historyka. Nazwisko promotora widniało przecież w książce nieżyjącego naukowca.

\*\*\*

Zygmunt stał u podnóża ogromnego ceglanego budynku, który przygniatał go swoją eklektyczną ciężkością. Elementy neogotyckiej architektury powodowały, że czuł się jak Jurand ze Spychowa z Sienkiewiczowskich „Krzyżaków”, stojący w pokutnym worze u wrót szczytnowskiego zamku. Prawdopodobnie kielkowały w nim podobne myśli, co w nieznanym strachu rycerza. Jednak w odróżnieniu od literackiego bohatera podkomisarz trząsł lekko portkami. Najzwyczajniej w świecie bał się rozmowy z uniwersyteckim profesorem, utytułowanym historykiem, do którego szedł na umówione telefonicznie spotkanie. Na szczęście secesyjne akcenty zawarte w bryle budowli dodały mu odwagi. Policjant wyprostował się i wszedł do środka.

Naukowiec okazał się bardzo miłym, otwartym i przyjaźnie ustosunkowanym do świata człowiekiem. Zygmunt stereotypowo wyobrażał go sobie jako starego, zramolałego biblioteczno-archiwalnego profesora, a ten był „nowoczesnym” pięćdziesięcioparolatkiem.

Vesely, który podobnie jak na spotkaniu w telewizji z redaktorką Krzycką, ubrał się w swój jedyny garnitur, zauważył, że wywarł na uczonym bardzo korzystne

wrażenie. Przedstawił się i by wyjaśnić powód swojej wizyty, opowiedział tę samą historyjkę, jaką sprzedał Jabłońskiemu, „Molowi książkowemu” z Częstochowy. Chciał przede wszystkim dowiedzieć się czegokolwiek o badaniach, jakie prowadził nieżyjący historyk.

– Nie darzyłem jakąś szczególną sympatią doktora Kalenika, lecz szczerze mówiąc, jego śmierć wstrząsnęła mną dogłębnie – powiedział profesor. – Szkoda go. Był bardzo zdolny, miał to coś, co nazywam historyczną intuicją.

– Dowiedziałem się od jednego z jego współpracowników z częstochowskiego uniwersytetu, że nie został zatrudniony na waszym wydziale. Podobno miał o to wielki żal. – Podkomisarz postanowił wy badać ten wątek.

– Tak, to prawda. Ale nie mieliśmy wtedy wakatów. Z drugiej zaś strony, nawet jeśli byłby wolny etat, to osobiście wątpię, czy przyjęto by doktora Kalenika – odparł historyk.

– Przecież sam pan przed chwilą powiedział, profesorze, że był bardzo zdolny.

– Wspomniałem także, że nie darzyłem go sympatią, i w moim przekonaniu było to zjawisko powszechne.

– Dlaczego nie był lubiany? – Zygmunt był ciekaw, czy usłyszy to samo, co wiedział od Jabłońskiego.

– Miał szczególnego rodzaju podejście do swojej działalności naukowej oraz kolegów ze studiów doktoranckich, które nie było akceptowane w naszym środowisku. Także w stosunku do mnie, swojego promotora, potrafił zachować się... – tu uczoney zastanowił się przez chwilę, jakby szukał właściwego określenia – ...powiedzmy, niestandardowo. Jestem jednak człowiekiem tolerancyjnym i zazwyczaj przychylnie traktuję zarówno studentów, jak i doktorantów.

– A co właściwie się wydarzyło, jeśli oczywiście mogę spytać? – Ciekawość spowodowała, że policjant pozwolił sobie na odejście od zaplanowanego scenariusza rozmowy.

– Pan wybaczy, podkomisarzu, nie chciałbym wracać do niemiłych wspomnień i źle się wypowiadać o zmarłym. Mogę jedynie nadmienić, że zaistniał między nami spór co do pewnych treści, jakie mój doktorant chciał umieścić w dysertacji.

– Czy aby nie chodziło o pewne odkrycie dokonane przez doktora Kalenika, a dotyczące działalności peerelowskiego wywiadu? – Vesely zdecydował się na

bezpośredniość.

– Skąd pan to wie? – Naukowiec był autentycznie zdziwiony.

– Właściwie jest to główna sprawa, jaka kazała mi niepokoić pana profesora. Jak już wspominałem na wstępie, rodzina zmarłego stwierdziła niedobór niektórych rzeczy w jego mieszkaniu, gdzie doszło do tragedii. Domyślnie obwiniła o to policję, która dokonywała oględzin po wypadku. Jego ojciec twierdził, między innymi, że brakuje materiałów związanych z jakimś historycznym odkryciem, którym jego nieżyjący syn ponoć chwalił się w domu rodzinnym, a dotyczącym działalności wywiadu SB w Krakowie.

– Z punktu widzenia metodologii, jaką się posługujemy, to nie było żadne odkrycie naukowe. Doktor Kalenik natknął się w archiwum IPN na pojedynczą notatkę sugerującą, że w latach sześćdziesiątych w naszym mieście była prowadzona jakaś supertajna operacja. Na tej podstawie zaczął spekulować i wywodzić irracjonalne wnioski, co oczywiście nie miało nic wspólnego z rzetelną pracą badawczą. Mało tego, chciał owe wnioski zawrzeć w dysertacji!

– Przypuszczam, że nie chciał się pan na to zgodzić. – Zygmunt już wiedział, czego dokładnie dotyczył konflikt pomiędzy promotorem a doktorantem.

– Ależ oczywiście, że nie! Nie mogłem pozwolić, by moje nazwisko było kojarzone z tego typu... nazwijmy to... publicystyką. Nauka zasadza się na niewzruszonych pryncypiach dowodzenia i wnioskowania w oparciu o źródła, panie podkomisarzu. Jeśli coś nie ma odzwierciedlenia w dokumentach, to nie można tego prezentować w tekście naukowym.

– Dla mnie najważniejsze jest ustalenie tego, czy w posiadaniu doktora Kalenika mogły znajdować się jakieś materiały związane z owym rzekomym odkryciem. – Policjant chciał powrócić do rzeczy dla niego priorytetowej.

– Może coś tam miał, ale nie mogło to być nic wartościowego w sensie badawczym, gdyż w przeciwnym razie pochwaliliby się tym przede mną.

– Czy on coś w ogóle panu pokazywał, profesorze? Odpowiedź na to pytanie jest dla mnie najistotniejsza.

Uczony spojrział na policjanta z lekkim przestrawieniem, po czym zakomunikował zmienionym głosem:

– Nie chciałbym, podkomisarzu, zostać uwikłany w jakąś sprawę sądową.

Tego Vesely nie przewidział. Musiał rozwiązać niepokój swojego rozmówcy.

– Proszę się nie obawiać – odrzekł pospiesznie. – To nie wchodzi w grę. Zasadniczo rodzina zmarłego nie ma podstaw do składania roszczeń na drodze prawnej. Ja zaś prowadzę jedynie wewnętrzne postępowanie wyjaśniające. Fakt, że kierownictwo komendy miejskiej zleciło to mnie, młodemu stażem policjantowi, wskazuje, że nie przywiązuje się do tej sprawy wielkiej wagi.

Oblicze profesora na powrót przybrało łagodny wygląd. Zaraz też odpowiedział na zasadnicze pytanie:

– Widziałem tylko ową notatkę z archiwum IPN, o której wspominałem.

– Czy to była kserokopia? – Vesely chciał potwierdzić informację zasłyszaną w Częstochowie, że nieżyjący historyk wszystko digitalizował.

– Nie, nie... – padła odpowiedź. – Widziałem jedynie jej skan.

– Na czym go pan oglądał?

– Dziwne pytania pan zadaje, podkomisarzu. Oczywiście na komputerze.

– Na którym? – Policjant pomyślał, że ma szczęście i zaraz zobaczy mityczny dokument dotyczący operacji Storch. Jednak jego nadzieje zostały momentalnie rozwiane.

– Na laptopie Kalenika.

Zygmunt zastanawiał się gorączkowo, o co jeszcze powinien zapytać. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł:

– Czytałem książkę pana byłego doktoranta oraz oglądałem audycję wyemitowaną w TVP Historia z jego udziałem. W obu przypadkach, zarówno w publikacji, jaki i w telewizji, pochwalił się jednak swoim odkryciem. Może zatem był w posiadaniu jakichś istotnych materiałów? – Zygmunt musiał mieć pewność w tej kwestii.

– Wcale się nie dziwię, że tak postąpił.

– Dlaczego, panie profesorze?

– On chciał być przede wszystkim sławny, panie podkomisarzu. Stwierdziłem to z przykrością w momencie, kiedy finalizował prace nad dysertacją. Gdybym odkrył wcześniej tę cechę jego osobowości, zrezygnowałbym z funkcji promotora. Postąpiłbym tak, gdyż uważam, że pierwszorzędnym celem każdego rzetelnego naukowca powinno być uzyskanie obiektywnych wyników badań, czyli mówiąc

bardziej górnolotnie: dążenie do ustalenia prawdy. Jednak nie chciałem robić mu problemów. Jak już wspominałem, staram się przychylnie traktować swoich podopiecznych.

– Czy podczas studiów doktoranckich Kalenik utrzymywał jakieś bliższe relacje z kimś ze swoich kolegów lub koleżanek? Chciałbym jeszcze z kimś porozmawiać na jego temat.

– Niestety, nie mogę pomóc panu w tej kwestii, podkomisarzu.

\*\*\*

Był wieczór. Zygmunt jadł późną kolację i oglądał program informacyjny w telewizji. Zaaferowany reporter relacjonował z Sejmu jakieś kontrowersyjne wydarzenie, lecz podkomisarz nie mógł skoncentrować się na przekazie. Jego myśli krążyły wokół dzisiejszej rozmowy z promotorem Kalenika.

Wbrew pozorom wizyta w instytucie okazała się bardzo wartościowa. Po pierwsze, profesor pośrednio poświadczył, że nieżyjący historyk był na tropie szczegółów operacji Storch, które określał mianem „irracjonalnych wniosków”. To, że nie miały one wartości badawczej, nie grało tutaj roli. Po drugie, opowiedział o motywacjach, jakie kierowały naukowcem, a po trzecie, potwierdził, że ten dygitalizował materiały archiwalne. Ostatni wniosek wskazywał na konieczność zorganizowania wizyty u rodziców zmarłego, którzy byli w posiadaniu wszystkich jego rzeczy, w tym i laptopa.

Tu pojawił się problem. Policjant nie wiedział, w jaki sposób mógłby przekonać matkę i ojca, na pewno jeszcze opłakujących śmierć syna, do tego, by pozwolili mu przejrzeć zawartość komputera. Im bardziej zagłębiał się w tę kwestię, tym silniej nabierał przekonania, że nie może wystąpić jako policjant. Przecież sprawa została już dawno zamknięta, a Kalenik od ponad trzech miesięcy spoczywał w grobie. „Nie istnieje żadne uzasadnienie, żeby policja jeszcze zajmowała się śmiercią historyka” – pomyślał z przekonaniem. O ile doktorowi Jabłońskiemu z Częstochowy czy profesorowi historii mógł wcisnąć dość prostą i przekonującą konfabulację, że policja prowadzi jakieś wewnętrzne dochodzenie, a byłym esbekom, dawnym współpracownikiem Mariana Strypuli, megabujdę o domniemanym morderstwie młodego naukowca, o tyle z jego rodziną już tak nie



mógł postąpić. I nie chodziło tu o jakieś rozterki natury etycznej. „Nie potrafię wymyślić logicznej i wiarygodnej legendy dla swoich przyszłych działań” – stwierdził z przykrością i pewnego rodzaju bólem, który raził jego ego. Posłużenie się pojęciem typowym dla wywiadu sprawiło jednak, że przed oczami pojawił mu się obraz pułkownika Gordona. Zdecydował, że nadszedł czas, by wywołać go na spotkanie. W końcu dokonał konkretnych ustaleń, które należało przekazać Agencji. „Może oni też natrafili na coś interesującego, co pomoże w moich poszukiwaniach?”

\*\*\*

Tym razem pułkownik Gordon nie przyleciał samolotem, lecz przyjechał pociągiem. Wynajął pokój w centrum miasta i postanowił trochę się odprężyć. Najpierw odbył długi spacer po historycznym centrum Krakowa, potem zjadł dobry, późny obiad, a następnie zadzwonił do Veselego, którego zaprosił do hotelu na, jak to nazwał, „męskiego drinka”.

Siedzieli teraz na wysokich stołkach i oparci o barową ladę sęczyli już trzecią porcję whisky z lodem. Rozmawiali półgłosem, chociaż nie musieli się niczego obawiać. Wieczór się jeszcze nie rozpoczął na dobre, byli jedynymi gośćmi w lokalu. Zygmunt kończył relacjonować swoje ustalenia.

– Najważniejszy wniosek z tego wszystkiego jest taki, że koniecznie powinniśmy uzyskać wgląd do komputera Kalenika. Moim zdaniem tylko tam możemy odnaleźć rozwiązanie naszej zagadki – podsumował.

– A ten były esbek, który leży sparaliżowany w hospicjum? Może trzeba jeszcze z nim pogadać? – Pułkownik miał nadzieję na dodatkowy trop.

– Według tego, co mi powiedziała siostra Mariana Strypuli, zresztą w dniu jego śmierci, ze Zdzisławem Tekielem nie ma żadnego kontaktu. Nie mówi i jest karmiony przez rurkę. A skoro leży w hospicjum, to jego stan nie mógł się poprawić. Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze żyje.

– Cholera, to fatalnie. – Głos oficera Agencji Wywiadu wyrażał szczery zawód.

– Nic na to nie poradzimy – rzekł Vesely. – Musimy zatem dobrać się do laptopa nieżyjącego historyka. Osobiście nie widzę innego wyjścia.

– Co pan proponuje, podkomisarzu?

– Problem w tym, że nie mam pojęcia, jak przekonać rodziców Kalenika, by umożliwili mi przejrzenie zawartości komputera. Długo myślałem nad tym i doszedłem do wniosku, że policjant nie może z nimi rozmawiać.

Tu Zygmunt uzasadnił swoje wątpliwości. Chcąc nie chcąc, Gordon musiał się z nim zgodzić.

– A co pan ustalił w naszej sprawie, pułkowniku? – Policjant chciał usłyszeć coś, co mógłby wykorzystać w dalszych działaniach.

– Niewiele. Odnaleźliśmy kilku współpracowników Regiewicza i przeprowadziliśmy z nimi rozmowy. Niestety, nie wniosły one nic istotnego do tego, co już wiemy. Potwierdziliśmy jedynie to, że warszawski esbek należał do najlepszych fachowców, w związku z czym realizował najbardziej odpowiedzialne zadania.

– Innymi słowy, laptop Kalenika stał się chyba naszym priorytetem – skonstatował policjant.

– Tak, co do tego nie można mieć wątpliwości – potwierdził Gordon. – Boję się jednak, że to nasza ostatnia szansa i jeśli nic w nim nie znajdziemy, to nie mam żadnego pomysłu na to, co robić dalej.

– Jestem przekonany, że coś tam jest – powiedział entuzjastycznie policjant.

– Niech pan wyhamuje z tym hurraoptymizmem i pomyśli przez chwilę technicznie – odparł pułkownik.

– Nie bardzo rozumiem. – Zygmunt popatrzył uważnie na swojego rozmówcę.

– Każde działanie składa się z wielu drobnych problemów, które trzeba rozwiązywać w odpowiedniej kolejności. Rozbierając na części każdą operację w fazie jej planowania, można przewidzieć wyzwania, jakie mogą się pojawić.

– Na co w takim razie musimy zwrócić uwagę?

– Na przykład na zabezpieczenia zastosowane w laptopie. Nie wiem jak pan, ale ja nie znam nikogo, kto nie posługuje się hasłem lub pinem podczas uruchamiania systemu operacyjnego w komputerze. Z tego, co mi pan opowiedział o charakterze Kalenika, wynika, że on na pewno stosował przynajmniej podstawową ochronę dostępu do danych, a trzeba także zakładać, że szyfrował co ważniejsze pliki, czyli zapewne te, które nas interesują.

– Cholera, o tym nie pomyślałem. – Vesely zdenerwował się.

– Rozumie więc pan teraz, że musimy tak zaprojektować operację odwiedzin w domu rodzinnym Kalenika, by skutecznie ominąć zidentyfikowaną barierę.

– A może jego rodzice znają hasło dostępu do systemu operacyjnego? – Podkomisarz wierzył, że los będzie im przychylny.

– Szczerze mówiąc, mam taką nadzieję, to znaczy liczę na zawodność ludzkiej pamięci.

– Pan wybaczy, pułkowniku, ale chyba powinno być odwrotnie, chyba interesuje nas to, żeby hasło było im wiadome.

– Znowu mnie pan nie zrozumiał. – Gordon uśmiechnął się do swojego towarzysza z wyrozumiałością. – Mówiłem o zawodności ludzkiej pamięci, gdyż to generuje określone zachowania. Proszę mi uwierzyć, że większość użytkowników komputerów i Internetu albo zapisuje hasła, którymi się posługuje, albo wykorzystuje jedno i to samo dla wszystkich aplikacji. To jest nasza szansa. Musimy to uwzględnić, konstruując scenariusz pana rozmowy z rodzicami Kalenika.

– Ale przecież już mówiłem, dlaczego policjant nie powinien do nich jechać – wystękał Zygmunt.

– A kto tu mówi, że złoży im pan wizytę jako policjant? – odrzekł pułkownik.

Veselego zatkało. Nie wiedział, jak na tak postawioną sprawę zareagować. Z jednej strony, pociągała go ta eskapada, zaś z drugiej tego, co proponował mu pułkownik, czyli podszycia się pod inną osobę, z prawnego punktu widzenia nie można było nazwać inaczej jak oszustwem. Gdyby coś poszło nie tak, to cała jego policyjna kariera mogłaby legnąć w gruzach. Przypomniał sobie także ostrzeżenia stryja Macieja. To spowodowało, że z wielką rezerwą odniósł się do pomysłu oficera. Ten jednak zbagatelizował jego obawy:

– Nic się takiego nie wydarzy – zapewniał. – Będę pana asekurował, a wcześniej odpowiednio przeszkolę.

Gdy Zygmunt milczał, walcząc sam ze sobą w myślach, warszawiak zagadnął go wesołym tonem:

– Nie chce pan przeżyć jedynej w swoim rodzaju przygody?

Zaraz potem jego głos stał się niezmiernie poważny. Zadał pytanie, pod wpływem którego podkomisarz uległ:

– Nie chce pan doświadczyć, jak to jest naprawdę być agentem wywiadu?

Ustalili, że odwiedziny u rodziców Kalenika odbędą się w następnym tygodniu, w niedzielę. Oni zaś mieli się spotkać dwa dni wcześniej, w piątek wieczorem, w jednym z rzeszowskich hoteli. Przez całą sobotę pułkownik chciał przygotowywać Zygmunta do wykonania zadania. ■

Gordon wybrał niezbyt komfortowy hotel o dwugwiazdkowym standardzie. Jak powiedział, jego ekonomiczny charakter przyciągał niezamożną klientelę, wśród której łatwo było zachować anonimowość.

Przed wejściem oficer wywiadu wyciągnął z portfela dowód osobisty i wręczył go policjantowi. Vesely ze zdziwieniem ujrzał na nim swoją podobiznę. Według dokumentu nazywał się teraz Konrad Bielakiewicz. Spojrzał pytająco na pułkownika.

– Proszę się zakwaterować, używając tego dowodu. Niech pan tylko zapamięta adres zameldowania, żeby właściwie wypełnić kwestionariusz hotelowy. Później wszystko wytłumaczę.

Gdy podeszli do recepcji, podkomisarz poczuł wzrost poziomu adrenaliny. Nie sądził, że posługiwanie się fałszywym dowodem może wyzwolić tyle emocji. „W co ja się, do cholery, wpakowałem?” – pomyślał z wyrzutem, ale wiedział doskonale, że nie może się już wycofać. Klamka zapadła. Wybrali dwa jednoosobowe pokoje ulokowane obok siebie, co miało ułatwić realizację szkolenia policjanta.

Jedli teraz dość smaczną kolację w hotelowej restauracji, zaś Gordon objaśniał sytuację:

– Cały tydzień ostro pracowałem, żeby przygotować przejęcie laptopa Kalenika. Po pierwsze, wymyśliłem koncepcję pozyskania zaufania jego rodziców, a po drugie, sporządziłem scenariusz rozmowy oraz odpowiednie reakcje na ich możliwe zachowania.

– Czy mój nowy dowód osobisty ma być podstawą całej akcji? – Sprawa ta nie dawała spokoju Veselemu.

– Czego się pan obawia, panie Zygmuncie? – Pułkownik wyczuł jego negatywne nastawienie.

– Przecież posługiwanie się fałszywym dowodem jest karalne – policjant wypowiedział to, co generowało w nim lęk.

– Niech pan porzuci ten strachliwy ton – rzekł oficer wywiadu. – Nic panu nie grozi. Wszelkie nasze działania są autoryzowane przez moich przełożonych. Z prawnego punktu widzenia nie popełniamy żadnego przestępstwa. Proszę pamiętać, że realizujemy zadanie na rzecz bezpieczeństwa państwa! Decyzja o wyposażeniu pana w dokumenty legalizacyjne została kontrasygnowana przez samego szefa Agencji Wywiadu!

– Dokumenty legalizacyjne?! Czy mam rozumieć, że oprócz dowodu osobistego otrzymam coś jeszcze?

– Tak. Prawo jazdy. I żeby rozwiać pana wątpliwości, to powiem jeszcze, że są one w stu procentach pewne. Zostały legalnie wytworzone w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, zaś dane osobowe naniesiono w Centrum Personalizacji Dokumentów MSWiA.

Zygmunt poczuł ulgę, gdy to usłyszał. Pułkownik od razu zauważył zmianę w jego nastroju. Uśmiechnął się do niego i powiedział:

– Dokończmy w spokoju jedzenie. O szczegółach porozmawiamy u mnie w pokoju.

Kilkanaście minut później podkomisarz siedział na jedynym krześle, jakie było na wyposażeniu numeru zajmowanego przez Gordona. Oglądał w skupieniu zarówno dowód osobisty, jak i prawo jazdy. Były jak najbardziej autentyczne. Posiadały wszystkie wymagane hologramy, oznakowania i zabezpieczenia.

– Dlaczego mam zameldowanie w Warszawie? – spytał pułkownika, który siedział na łóżku.

– Urodził się pan, mieszka i pracuje w stolicy.

– A do czego mi fałszywe prawo jazdy?

– Na miejsce pojedzie pan moim samochodem. Posiada on tablice rejestracyjne, po których można stwierdzić, że jest pan jego właścicielem.

– A co będzie, jeśli zatrzyma mnie drogówka i „wbiją” mój legalizacyjny PESEL do Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców?

– Jedynie potwierdzą pana dane. Wszystko jest sprawdzalne.

– To kim ja w ogóle jestem? – Vesely wyglądał na tak bezradnego i zdezorientowanego, że jego towarzysz wybuchnął gromkim śmiechem, a potem powiedział:

– Zaczniemy zatem od początku. Przedstawię teraz, jak to się fachowo określa w wywiadzie, legendę operacyjną, a ściślej mówiąc, zaprezentuję osobę, w którą będzie musiał się pan wcielić.

Policjant kiwnął jedynie głową, co oznaczało, że jest gotowy do wysłuchania niezwyklej dla niego opowieści. Oficer wstał z łóżka i przechadzając się po niewielkim pomieszczeniu, relacjonował:

– Konrad Bielakiewicz to autentyczna postać, jest doktorem historii, pracownikiem jednej ze stołecznych wyższych uczelni. Obecnie przebywa na stypendium w Stanach Zjednoczonych. Według naszej legendy pan, jako warszawski naukowiec, współpracował z Sylwestrem Kalenikiem nad projektem dotyczącym dziejów peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa. Poznaliście się podczas pobytu krakowskiego historyka w warszawskim archiwum IPN. Okazało się, że zajmujecie się podobną tematyką. Wasza znajomość zaowocowała grantem badawczym w postaci dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy złotych, jaki otrzymaliście z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. I teraz najważniejsze: o śmierci współpracownika dowiedział się pan jakieś półtora miesiąca temu; przyjeżdża pan dopiero teraz, gdyż wcześniej uniemożliwiał to pobyt w USA; pana celem oficjalnym jest uregulowanie sprawy grantu w ministerstwie, do tego jednak potrzebne są wyniki badań, czyli skany materiałów archiwalnych, jakie znajdują się w laptopie. Będzie pan miał przy sobie spreparowaną przeze mnie umowę o realizację grantu, na której widnieją dane i podpisy zarówno pana, jak i Kalenika oraz pieczęcie ministerstwa.

– Skąd pan wziął podpisy?! – Zygmunt przerwał wywód pułkownika.

– Wzory podpisów znajdują się w Rejestrze Dowodów Osobistych, stamtąd zresztą pochodzi także pana zdjęcie zamieszczone na legalizacyjnym dokumencie tożsamości i prawie jazdy.

– A dlaczego wymyślił pan dziewięćdziesiąt pięć tysięcy złotych, a nie, na przykład, sto?

– Ludzie lubią dokładne i do tego, wbrew powszechnej opinii, „niepełne” kwoty. Wtedy bardziej ufają temu, kto je podaje. Poza tym dziewięćdziesiąt pięć tysięcy robi wrażenie, bo to prawie sto tysięcy. Ale idźmy dalej. Elementem uwiarygodniającym pana osobę będą także wizytówki wykonane według wzoru,

jaki obowiązuje na warszawskiej uczelni. – Gordon sięgnął do teczki i wyciągnął z niej etui na okulary oraz mały skórzany wizytownik, który podał Veselemu.

– Bardzo elegancki – stwierdził policjant, wyjmując z niego niewielki kartonik.

– Pan musi mieć określony status, panie Zygmuncie. O, przepraszam – oficer AW zaśmiał się krótko – panie Konradzie. Przyjechał pan przecież z Ameryki. Nie może pan, co prawda, emanować zamożnością, ale od pana osoby powinien bić blask zagranicy. I proszę się nie obrazić za to, co teraz powiem, ale jutro kupimy panu nową marynarkę oraz koszulę.

Vesely poczuł się niezbyt komfortowo. Spojrzał jednak na swoje ubranie i w myślach przyznał rację oficerowi. Uzmysłował sobie także, że w zasadzie nigdy nie przywiązywał wagi do jakości odzieży, której używał. Gordon kontynuował:

– Adres mailowy i numer telefonu, jaki widnieje na wizytówce, są namiarami na sekretariat instytutu, w którym pracuje prawdziwy Bielakiewicz. Jeśli więc ktoś będzie chciał się z nim skontaktować, otrzyma odpowiedź, że ten przebywa na zagranicznym stypendium.

– Bardzo chytrze – ocenił podkomisarz. – Zatem można się nią posługiwać bez żadnych obaw.

– Zgadza się, ale tu muszę zwrócić uwagę na jedną bardzo ważną rzecz. Proszę nie posługiwać się dokumentami legalizacyjnymi z własnej inicjatywy. One mogą zostać użyte w ostateczności, w sytuacji, gdy zostanie pan... mówiąc obrazowo... „dociśnięty do ściany”. Wtedy może pan je okazać. Jedynie okazać! Nie wolno pozwolić na ich fotografowanie albo wykonywanie kserokopii. Gdyby padło takie żądanie, musi być pan asertywny i odmówić, zasłaniając się tym, że są tam wrażliwe dane osobowe, które mogą zostać wykorzystane, na przykład, do wyłudzenia kredytu.

– Ale przecież takim stwierdzeniem okażę brak zaufania rodzicom Kalenika. Ba, uznam ich za oszustów i prawdopodobnie spalę całą akcję. – Vesely postrzegając to zalecenie jako niewłaściwe.

– Oni, wymagając zrobienia kopii, także wyrażą w stosunku do pana brak zaufania oraz to, że ich zdaniem chce ich pan oszukać. I w ten sposób należy argumentować odmowę.

– Ale to zniweczy nasze wysiłki!



– Trudno. Utrzymanie naszych działań w konspiracji jest ważniejsze. Jeszcze raz podkreślam: dokumentów legalizacyjnych można użyć tylko w ostateczności. Idealnym wariantem jest wykonanie zadania bez ich wykorzystywania. Proszę się starać przede wszystkim budować zaufanie do swojej osoby poprzez wiarygodnie brzmiącą opowieść.

– Myśli pan, że to jest w ogóle możliwe? – Młody policjant miał wielkie wątpliwości.

– Oczywiście, że tak. Naturalność w zachowaniu, odpowiednio przekazana własna historia to niesamowite narzędzia w pracy każdego oficera wywiadu.

– Jednym słowem: kłamstwo. – Słowa Zygmunta zabrzmiały jak wyzwanie.

– Tak – odpowiedział twardo pułkownik. – Kłamstwo jest najskuteczniejsze, ale pod warunkiem, że jest dobrze przygotowane. W związku z tym mam dla pana także okulary.

Gordon otworzył trzymane w dłoni etui i wydobyl z niego piękne szkła w dość grubej rogowej oprawie, przypominające te, jakie nosił słynny bohater dziecięcej literatury Harry Potter, tylko nie okrągłe, a bardziej owalne.

– Są zerowe, doskonale pana zamaskują. Jeśli kiedykolwiek w przyszłości rodzice Kalenika przypadkowo natkną się na pana, to gwarantuję, że nie rozpoznają.

– Ale na fałszywym dowodzie osobistym i prawie jazdy nie noszę okularów – stwierdził Vesely.

– Bo używa ich pan od niedawna. Nie to jednak jest najważniejsze. Posiadają one bowiem wbudowaną kamerę o bardzo wysokiej rozdzielczości oraz niezmiernie czuły rejestrator dźwięku.

Zygmunt wziął je od pułkownika i dokładnie obejrzał. Nic jednak nie wskazywało na to, że coś w nich jest w ogóle zamontowane.

– Kurde, faktycznie kozackie – ocenił z podziwem, w młodzieżowym stylu. – Nigdy bym się nie domyślił, że można nimi nagrywać wideo. Widzę, że Agencja dysponuje niezłym sprzętem.

– Bez przesady – oficer wywiadu zbagatelizował jego zachwyty. – Podobny gadżet można kupić w każdym porządnym spy shopie już za kilkaset złotych. Te, które mamy do dyspozycji, kosztują ponad trzy tysiące dolarów, są po prostu

profesjonalne – wyjaśnił. – Będzie pan działać niczym James Bond, podkomisarzu – dodał z humorem.

– Szczerze mówiąc, nie lubię tego typu filmów i postaci – odparł policjant. – Są komiksowe i nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Ja bardziej lubię historie wzięte z życia.

– Jednak miliony ludzi na całym świecie oglądają przygody superbohaterów.

– Miliony ludzi słuchają także disco polo. – Mówiąc to, Zygmunt miał minę, jakby wdepnął w najgorszy szajs. – Ale co ja mam w takim razie filmować? – powrócił do spraw zasadniczych.

– O tym pogadamy dopiero jutro. Teraz musi się pan porządnie zrelaksować i oswoić psychicznie z oczekującym zadaniem – powiedział Gordon. – Zapraszam do hotelowego baru. Wypijemy trochę jakiegoś niezłego alkoholu, a potem pójdziemy spać.

– Chyba ma pan rację, pułkowniku, dzień faktycznie obfitował w ogrom wrażeń. – Zygmunt wyglądał na zmęczonego. – Spotkajmy się w takim razie za kilkanaście minut na dole. Pójdę do siebie i odświeżę się trochę.

– To znakomity pomysł, mnie także się to przyda – zgodził się oficer.

Podkomisarz wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął dyktafon wraz z cieniutkim kabełkiem biegnącym do miniaturowego mikrofonu, który odpiął spod klapy. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie to wszystko mógłby schować. Wybór padł na przestrzeń między kaloryferem a ścianą. Owinął urządzenia w niewielki ręczniczek do rąk, jaki znalazł w łazience, i ulokował w wybranym miejscu. „Jutro nie będę nagrywał” – postanowił. „Nie wiadomo, co Gordon wymyśli na szkoleniu, a poza tym pójdziemy na zakupy”. Vesely miał świadomość, że każde ściągnięcie marynarki zdekonspirowałoby rejestrowanie rozmów. Wziął szybki prysznic i opuścił pomieszczenie.

\*\*\*

Spali prawie do dziewiątej. Po obfitym śniadaniu i wypiciu podwójnej kawy z ekspresu Zygmunt ponownie usadowił się na krześle w pokoju Gordona. Ten

zastanawiał się, w jakiej kolejności przekazać nowicjuszowi instrukcje wykonania wywiadowczego zadania. W końcu rozpoczął:

– Głównym celem akcji jest skopiowanie zawartości dysków z laptopa historyka. Wykona pan to, wykorzystując przenośną pamięć masową z zainstalowanym tam specjalnym oprogramowaniem. By zdobyć zaufanie rodziców nieżyjącego historyka, posłuży się pan trzema faktami. Pierwszy to stan grobu Kalenika, drugi dotyczy ilości krów w ich gospodarstwie, zaś trzeci to cena, za jaką ich syn kupił komputer po obronie doktoratu.

– Jakie znaczenie ma ilość krów w gospodarstwie?! – Podkomisarz spojrzął na pułkownika, jakby ten był niespełna rozumu.

– Niech się pan nie dziwi – odparł niczym niezrażony oficer. – Ustaliłem, że rodzice prowadzą dochodowe gospodarstwo mleczne oparte na stadzie stu trzydziestu krów. Umiejętnie przytaczając te fakty w rozmowie, udowodni pan ponad wszelką wątpliwość, że był w bliskich relacjach ze zmarłym.

– No dobrze, ale jak to pan sobie wyobraża w praktyce?

– Wszystko po kolei – odrzekł Gordon. – Niech pan słucha, co pan będzie robił. Najpierw pojedzie pan na grób Kalenika. Cmentarz znajduje się w tej samej wsi, przy kościele. Odnajdzie pan miejsce, gdzie został pochowany, i stwierdzi, w jakim jest ono stanie. Trzeba także zapalić znicz, który będzie świadczył o tym, że był tam ktoś obcy. Przywiozłem taki specjalnie z Warszawy. Następnie uda się pan do domu rodziców, przedstawi się i opowie o powodach swojego przyjazdu. Musi pan przeprosić za najście w niedzielę i wyjaśnić, że jest to podyktowane nieposiadaniem ich numerów telefonów oraz tym, że chciał mieć pan pewność zastania ich w domu. Potem w odpowiednim momencie proszę podjąć temat należącego do nich gospodarstwa i stwierdzić, że wygląda dokładnie tak, jak opowiadał Sylwek. W tym momencie należy zadać pytanie: czy dalej mają sto dwadzieścia krów?

– Przecież mają sto trzydzieści – zauważył Zygmunt.

– Tak, ale oznaką tego, że zyskuje pan zaufanie rozmówców, będzie skorygowanie przez nich tej liczby. Następnie należy nawiązać do wcześniejszych odwiedzin na cmentarzu. Proszę znowu zacząć od przeprosin, tym razem za nieobecność na pogrzebie, oraz zakomunikować, że pan tam był i zapalił znicz.

I teraz, jeśli grób Kalenika posiada już kamienny nagrobek, trzeba powiedzieć, że się panu podoba i chyba zaproponuje pan „swojej rodzinie”, żeby zrobić podobny „babci”, która zmarła przed pana wyjazdem na stypendium.

– Babci?!

– Dokładnie. Nic tak nie zbliża ludzi jak podobieństwo przeżyć. Jeśli jednak grób Kalenika nie będzie jeszcze wykończony, to zapyta się pan rodziców, jaki nagrobek planują postawić synowi, i tu także wspomni pan o „swojej babci”.

– Myśli pan, pułkowniku, że to zadziała? – Sceptycyzm policjanta zadźwięczał w powietrzu.

– Na sto procent – padła odpowiedź.

– No dobra, a kiedy powinienem użyć ceny laptopa?

– Wtedy, kiedy pan przy nim usiądzie albo gdy będzie pan zmuszony poprosić rodziców o jego wypożyczenie.

– Nie rozumiem. Dlaczego miałbym go niby wypożyczyć?

– To proste. W sytuacji, gdy nie będzie można zajrzeć do komputera z powodu nieznaności hasła otwierającego system operacyjny, trzeba będzie go spróbować fizycznie przejąć. Powie im pan, że w Warszawie są firmy, które rozwiązują tego typu problemy, i zaproponuje zastaw pieniężny, owe dwanaście tysięcy złotych. Pieniądze będzie miał pan przy sobie, gdyż przewidział, że mogą zaistnieć tego typu komplikacje, a odzyskanie materiałów dokumentujących prowadzenie prac w ramach grantu jest sprawą wręcz „życia i śmierci”. Jeśli rodzice nie wyrażą zgody na takie rozwiązanie, należy zakomunikować, że trzeba będzie uruchomić formalne postępowanie sądowe w celu odzyskania wyników badań. Jestem jednak przekonany, że tego argumentu nie będzie pan musiał używać.

– A jeśli mimo to nie pożyczą mi laptopa?

– Wtedy wykorzystamy film, jaki zarejestrują nasze cudowne okulary – odrzekł Gordon. – Wyślemy do domu rodziców speców od tajnych przeszukań, by niezauważalnie podmienili komputer. Dlatego musi pan go dokładnie sfilmować. Chodzi tu przede wszystkim o stan jego obudowy, numer seryjny i oznaczenia fabryczne znajdujące się na spodzie oraz rodzaj tapety, jaka ukazuje się na ekranie po włączeniu urządzenia. Do tego proszę zarejestrować jak najwięcej ujęć

z wnętrza domostwa. Najistotniejsze jest ustalenie, czy dostępu do środka nie strzeże jakikolwiek alarm.

Veselemu nie podobało się to wszystko. Kojarzyło mu się z naruszaniem prawa, poza tym było skomplikowane i przez to mało wiarygodne. Swoje odczucia wyraził w następnym pytaniu:

– A nie lepiej by było, gdyby pan, pułkowniku, osobiście udał się do rodziców Kalenika, przedstawił się jako oficer Agencji i oficjalnie poprosił ich o pomoc? Po co utrudniać sobie życie?

– Ależ pan jest naiwny, podkomisarzu. – Gordon pokręcił z dezaprobatą głową. – Żyjemy w Polsce, gdzie większość obywateli traktuje oficerów służb specjalnych jak szpicli, kapusiów i donosicieli. Niestety nie darzą nas szacunkiem. To był także jeden z powodów, dlaczego zwróciliśmy się do pana z prośbą o pomoc i współpracę. Policja, w odróżnieniu od ABW, CBA czy AW, ma po prostu o wiele bardziej pozytywną opinię w społeczeństwie. Ale założmy, że postąpiłbym tak, jak pan zaproponował. Moje doświadczenie podpowiada mi, że miałbym jakieś dwadzieścia procent szans na sukces. To za mało, by ryzykować. Jestem także przekonany, że nic bym nie uzyskał, a jedynie przestraszył tych ludzi i przez to dotarcie do laptopa stałoby się o wiele trudniejsze i bardzo czasochłonne. Musiałbym wtedy zdobyć nakaz sądowy, co wiązałoby się z uruchomieniem żmudnej procedury.

Vesely uzmysłowił sobie, że pułkownik nie mówi mu pełnej prawdy. Przecież na realizację tajnej podmiany komputera, którą można utożsamiać z procedurą kontroli operacyjnej, Agencja też powinna mieć formalną zgodę sądu uzyskaną na podstawie odpowiedniego wniosku prokuratorskiego. To, że wykorzystanie jego osoby stwarzało możliwość najszybszego dotarcia do laptopa Kalenika, wydawało się oczywiste, ale chyba nie tylko o to chodziło. „Mój udział w tej sprawie gwarantuje utrzymanie w sekrecie czegoś, o czym nie wiem, po to jestem tak naprawdę potrzebny Agencji” – wywnioskował. Ze zdziwieniem zauważył, że owa konkluzja nie wywołała w nim uczucia lęku. To, co następnie usłyszał od Gordona, upewniło go, że ma rację.

– Należy uwzględnić jeszcze kwestię, o której już niejednokrotnie wspominałem. Wszystko, co dotyczy naszego nielegała, musi pozostać

w tajemnicy. Zdaję sobie sprawę, że nie widzi pan związku pomiędzy ludźmi mieszkającymi w podrzeszowskiej wsi a Bjornem, ale proszę mi zaufać, wiem, co mówię.

Zygmunt kiwnął głową na znak, że bierze za dobrą monetę zapewnienia oficera wywiadu. Ten, usatysfakcjonowany, zaordynował wyjście na miasto.

W najbliższej galerii handlowej po wielu przymiarkach zakupili dla Zygmunta markową tweedową marynarkę, która idealnie komponowała się z džinsami podkomisarza, oraz wysokojakościową, błękitną, gładką koszulę. Zadowoleni wrócili do hotelu na obiad.

Całe popołudnie spędzili znowu w pokoju pułkownika, który szkolił swojego podopiecznego w prowadzeniu różnych wersji rozmowy z rodzicami Kalenika. Uczył go także naturalnego zachowania się oraz wiarygodnego odpowiadania na niewygodne pytania. Dużo czasu poświęcili na trening w odpieraniu tak zwanego słownego „bezpardonowego ataku”. Chodziło w tym przede wszystkim o świadome kontrolowanie emocji, co okazało się bardzo trudne. Po ponad czterech godzinach Vesely był wykończony.

– Czy tak wyglądają zajęcia w szkole wywiadu? – zapytał, opadając prawie bezwładnie ze zmęczenia na krzesło.

– Mniej więcej – odrzekł Gordon. Także dostał w kość. Zaschło mu w gardle i dałby wszystko za szklankę pianistego piwa.

– A czy ja bym się nadawał?

– Na kurs w naszym ośrodku szkoleniowym? – Pułkownik dalej myślami krążył wokół szklanki z piwem.

– Tak. Chciałbym wiedzieć, jaka jest pana opinia.

Gordon wrócił do rzeczywistości, nabrał powietrza do płuc i oświadczył zdecydowanie:

– Byłby pan jednym z najlepszych słuchaczy.

Pułkownik, co prawda, nie miał wyrobionego zdania na ten temat, ale powiedział tak, by dodać Veselemu odwagi przed jutrzejszym zadaniem. Postanowił zmienić temat.

– Niech pan idzie do pokoju i przebierze się w nowe ciuchy. Zobaczymy, czy wszystko gra – polecił.

Zygmunt wrócił odmieniony. Elegancka marynarka oraz blask bijący od koszuli sprawiały, że wyglądał naprawdę wyjątkowo. Nawet Gordon spojrzął na niego z nieukrywanym podziwem.

– Niech pan jeszcze założy okulary i stanie przed lustrem.

Gdy policjant ujrzał swoje odbicie, poczuł się, jakby był zupełnie kimś innym.

– No... – mruknął z zadowoleniem pułkownik. – Teraz wygląda pan jak prawdziwy inteligencik.

– I to z „samej stolicy” – dodał ze slangową manierą Vesely, po czym jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

\*\*\*

Najpierw jechał ekspresówką, następnie drogą wojewódzką, z której skręcił w wąską asfaltówkę wijącą się kilka kilometrów wśród zielonych i złotych pól. Niedzielny ranek nastrojał optymistycznie. Było słonecznie i bezwietrznie. Sielskie widoki powodowały, że odnosił wrażenie, jakby zmierzał na wakacje, a nie żeby wykonać zadanie zlecone przez Agencję Wywiadu. Był jakieś czterdzieści kilometrów od Rzeszowa. Już tylko kilkanaście minut dzieliło go od wsi, gdzie znajdował się dom rodzinny Sylwestra Kalenika, historyka, którego los ukarał śmiercią za to, że dotknął zakazanej tajemnicy. Zygmunt rozmyślał o nim przez całą drogę. Zastanawiał się, jak żył, pracował, jakich mógł mieć znajomych. Chciał dobrze wczuć się w rolę, jaką miał odegrać.

Wczorajszy trening z Gordonem sprawił, że uwierzył w swój potencjał. Teraz jednak „zaczęły się schody”. Łatwo mu przyszło wyrażenie zgody na udział w akcji, trudniej ją było zrealizować. Uświadomił sobie, że będzie grzebał w świeżych, emocjonalnych ranach rodziców nieżyjącego naukowca, które zapewne jeszcze nawet nie zaczęły się goić. Ten fakt wytworzył olbrzymią barierę psychologiczną, jaką z trudnością, w zasadzie ledwo, ledwo potrafił pokonać.

Dojechał prawie na miejsce. Zatrzymał się i założył szpiegowskie okulary. W momencie rozwarcia zauszniaków uruchamiała się rejestracja. Od tej pory wszystko było filmowane. Przejrzał się we wstecznym lusterku. Widok odmienionej twarzy dodał mu energii, niejako „przełączył” go w tryb

wykonywania zadania, wszelkie rozterki i wątpliwości pierzchły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ruszył dalej.

Za oknami samochodu pojawiły się pierwsze zabudowania. Przeważały biedne, niskie, a na dodatek chylące się ku ziemi stare chałupy, wśród których, jak rodziniki w cieście, niczym wyspy dobrobytu tkwiły nowe, obszerne budynki. Wzrokiem szukał wieży niewielkiego kościółka. Zgodnie z zaleceniem pułkownika najpierw musiał udać się na cmentarz.

Trwała msza. Z zewnętrznego głośnika umiejscowionego nad wejściem do świątyni rozlegały się słowa liturgii wygłaszane przez kapłana, który zaśpiewując, okropnie fałszował. Zygmunt nie chciał zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Zaparkował wśród licznych aut zgromadzonych na poboczu drogi przy murze okalającym budowlę i udał się na tył kościoła, gdzie zauważył bramę prowadzącą na cmentarz.

Niosąc w rękach dość okazały znicz, kilka minut szukał grobu Kalenika. Kiedy wreszcie stanął przed nim, poczuł boleśnie realną atmosferę całej sytuacji. Do tej pory całe śledztwo odbywało się niejako w jego umyśle. Oczywiście spotykał się i rozmawiał z ludźmi, przemieszczał się w pogoni za rozwiązaniem zagadki, nagrywał rozmowy z Gordonem, ale tak naprawdę to, co najważniejsze, miało wymiar wniosków, analiz, domysłów, hipotez. Do tego momentu. Teraz fizycznie zetknął się z efektem działania przeciwnika, co do istnienia którego Agencja Wywiadu była przekonana, lecz nie potrafiła go zidentyfikować. Vesely wzdrygnął się. Dopadła go myśl o nieuchronności śmierci.

Szybko się jednak zmobilizował. Musiał zapamiętać kilka szczegółów, które mógłby wykorzystać w rozmowie z rodzicami nieżyjącego historyka. Nagrobek błyszczał nowością. Wykonany z czarnego, wyszlifowanego na wysoki połysk granitu, dzięki niezwykle grubej płycie sprawiał wrażenie masywnego i ogromnie ciężkiego. Zaokrąglone krawędzie nadawały mu dostojności. Całość była zwieńczona zwalistym, rzeźbionym krzyżem oraz tablicą w postaci rozwartej księgi z imieniem i nazwiskiem zmarłego. Vesely rozejrzał się dookoła. Inne groby były przeważnie szare, przeciętne i typowe. Innymi słowy, grób Kalenika wskazywał na wysoki status majątkowy jego rodziny na tle wiejskiej społeczności. To było ważne spostrzeżenie. Zapalił specjalną zapalarką (pułkownik zadbał o każdy szczegół)



znicz i postawił go na płycie nagrobka. Jego „bogaty” wygląd pasował do całości. Podkomisarz spojrział na zegarek. Msza, która zapewne rozpoczęła się o pełnej godzinie, powinna skończyć się za kilka minut. Postanowił nie odchodzić. Liczył na pomyślny zbieg okoliczności. „Może rodzice są w kościele i za chwilę przyjdą na cmentarz” – pomyślał z nadzieją. Sądził, że spotkanie w tym miejscu znacznie ułatwiłoby wykonanie zadania.

Modły zakończyły się zgodnie z przewidywaniem, co Zygmunt stwierdził po odgłosach pierwszych odjeżdżających aut. Czekał z niecierpliwością. Niestety, nikt nie pojawił się wśród mogił. Zawiedziony opuścił cmentarz.

Dom rodziców Kalenika, tak jak jego grób, świadczył o zamożności i zamiłowaniu do porządku. Był chyba po remoncie elewacji, gdyż jej świeżość wręcz raziła oczy podkomisarza. Vesely wysiadł z samochodu zaparkowanego u otwartej bramy prowadzącej na podwórze gospodarstwa. Pojawienie się obcego ogłosił wielki pies trzymany w dużym, wygodnym boksie umiejscowionym w głębi posesji, w świetle wjazdu. Jego tubalne, aczkolwiek leniwe ujadanie wywabiło z domostwa kobietę. Spojrzała z niepokojem w kierunku przybysza.

Zygmunt podszedł do niej. Przedstawił się jako Konrad Bielakiewicz i oświadczył, że jest „kolegą Sylwka”. Nie zdążył nic dodać, gdyż kobieta na wspomnienie syna odwróciła z emocji twarz, zaś chwilę później powiedziała, żeby poczekał, musiała zawołać męża, który znajdował się gdzieś w oborach.

Kilka minut potem pojawili się oboje. Gdy szli w kierunku Veselego, ten mógł przyjrzeć się im dokładniej. On przysadzisty, o sporej tuszy i pulchnej twarzy, przypominał historyka. Także odznaczał się łysiną, tylko o wiele większą, znamionującą bliskość jesieni życia. Mimo niedzieli był w roboczym ubraniu, zaś jego spocona twarz znamionowała, że wizyta niezapowiedzianego gościa oderwała go od pracy. Ona była jakby jego przeciwieństwem. Drobna, lekka, o pociągłym, zorany czasem szlachetnym obliczu, elegancko ubrana, nie pasowała do męża. „Chyba tuż przed moim przyjazdem powróciła z kościoła” – pomyślał o niej Zygmunt.

Ojciec Kalenika zatrzymał się jakieś półtora metra przed nim, powiedział: „Dzień dobry” i spojrział pytająco. „Konrad” przedstawił się raz jeszcze, ponownie oznajmił, że jest „kolegą Sylwka”, po czym zakomunikował, że przyjechał

z Warszawy w ważnej sprawie i w związku z tym prosi o rozmowę. Nie powiedział dokładnie, o co chodzi. Tak jak poinstruował go Gordon, miał poczekać, aż zaproszą go do domu. To był pierwszy warunek powodzenia akcji. Tak też się stało. Gospodarz uzupełnił powitanie o miążdzący uścisk brudnej ręki oraz propozycję: „Chodź pan do domu, napijemy się kawy, żona wczoraj dobre ciasto upiekła”. Vesely w głębi siebie odetchnął, pierwsze lody zostały przełamane. Wchodząc do wnętrza budynku, rozglądał się dyskretnie na wszystkie strony, starał się sfilmować całe otoczenie. Szukał przede wszystkim jakichś oznak zamontowania systemu alarmowego, nic takiego jednak nie spostrzegł.

Wprowadzili go do wielkiego pokoju, wyposażonego w komfortowe skórzane meble wypoczynkowe. Bogaty wystrój oraz wielki, chyba sześćdziesięciopięciocalowy telewizor świadczyły o tym, że znajduje się w głównym i chyba reprezentacyjnym pomieszczeniu. Na kilka minut pozostawili go samego. Ona poszła do kuchni, zaś on umyć się i przebrać. Oznaczało to, że nie traktują go jak intruza i są raczej gościnnymi ludźmi.

Powrócili razem. Kobieta niosła na tacy filiżanki z kawą, zaś jej mąż patere z ciastem drożdżowym.

– Jakaż to sprawa sprowadza pana do nas? – Ojciec Kalenika od razu przeszedł do rzeczy.

Zygmunt zaczął od złożenia kondolencji i przeprosin za nieobecność na pogrzebie, co wyjaśnił pobytem w Stanach Zjednoczonych. Od razu zakomunikował, że był wcześniej na cmentarzu. Nie wspomniał ani słowem o zniczu, zaś „swoją babcie” postanowił wykorzystać później. Zgodnie z wytycznymi Gordona wytłumaczył się także, dlaczego przyjechał w niedzielę. Oni jednak nie widzieli w tym niczego zdrożnego. Gospodarz nawet mruknął, „że to lepiej, bo w normalny dzień mógłby być w polu”.

Następnie podkomisarz opowiedział, jak poznał nieżyjącego historyka, oraz o tym, co skłoniło ich do wspólnego prowadzenia badań naukowych. Trochę zmienił wersję. Siebie przedstawił jako ustosunkowaną osobę, która miała możliwości załatwienia grantu w ministerstwie. Wyjeżdżał jednak na stypendium do USA i potrzebował kogoś do zajęcia się wszystkim podczas jego nieobecności. „Zaproponowałem współpracę Sylwkowi, gdyż w całej Polsce nie znałem lepszego

specjalisty od Służby Bezpieczeństwa wśród młodych naukowców” – powiedział, co wyraźnie poruszyło rodziców i odmalowało na ich twarzach dumę ze zmarłego syna.

Zakończył oświadczeniem, że znalazł się w trudnej sytuacji.

– Teraz, kiedy przyleciałem na krótki pobyt do Polski, muszę koniecznie uregulować sprawę grantu, a nie zrobię tego bez materiałów, jakie do badań zgromadził Sylwek. Przyjechałem tu z nadzieją, że mi państwo pomożecie.

– A ile mieliście zarobić na tym grantcie? – Ojciec Kalenika podszedł do sprawy po gospodarsku.

Vesely nieznacznie się spłoszył, ale nie dał tego po sobie poznać. Nie miał pojęcia, jak duże honoraria obowiązywały w branży naukowej. Nie poruszyli z pułkownikiem tej kwestii podczas szkolenia, a jego rozmówca przypadkowo trafił w tę lukę. Odpowiedział jednak od razu, bez zająknięcia czy nawet zmrużenia powiek.

– Na badania dostaliśmy dziewięćdziesiąt pięć tysięcy złotych. – Zrobił nieznaczną pauzę i po chwili dodał: – Za pierwszy okres prac jest do podziału czternaście tysięcy. – Vesely specjalnie podał sumę bliską ilości gotówki, jaką miał przy sobie. Podjął taką decyzję, gdyż zobaczył specyficzny błysk w oku rolnika, gdy wymienił pierwszą, całościową kwotę. – Sylwek miał z tego dostać dziesięć, a ja cztery ze względu na moją nieobecność w kraju – dopowiedział jeszcze powoli, po czym sięgnął po talerzyk, żeby nałożyć sobie kawałek ciasta. Gdy wykonywał tę czynność, złowił ukradkowe spojrzenia, jakie wymienili między sobą rodzice. „Czyżby...?” – zastanowił się. Postanowił zagrać inaczej i zmienił temat.

– Pyszne ciasto – pochwalił gospodynię. – Takie domowe. Dawno już takiego nie jadłem i chyba już nigdy więcej nie zjem.

– Ależ dlaczego? – kobieta zainteresowała się.

– W mojej rodzinie takie ciasto robiła tylko babcia, ale niestety biedna zmarła tuż przed moim wyjazdem do Ameryki.

– A żona albo mama nie piecze? – Kalenikowa w ogóle nie zareagowała tak, jak to zakładał Gordon, na informację o śmierci bliskiej „Konradowi” osoby.

– Nie jestem żonaty, a mama oczywiście piecze, ale nie tak dobrze jak babcia. – Zygmunt ugryzł kawałek i gdy go przełknął, kontynuował: – Przepraszam, że teraz

poruszam ten temat, ale z jakiego kamienia został zrobiony nagrobek Sylwka? Jest bardzo ładny, chciałbym namówić rodzinę, żeby zafundować babci podobny.

– To granit, „czarny Szwed”, najlepszy na rynku – odparł ojciec. – Dałem ponad dwa tysiące za metr kwadratowy, bo chciałem, żeby płyta była grubsza niż normalnie – dodał.

Podkomisarz przypomniał sobie słowa doktora Jabłońskiego o młodym Kaleniku, jakie padły podczas rozmowy w Częstochowie: „Sylwek był samolubny, a do tego chytry, a niekiedy nawet rażąco »cwaniaczkowaty«. Wychował się na wsi i chyba stamtąd wyniósł taki stosunek do życia. Jego mentalność nakazywała mu szukać w każdej sytuacji korzyści”. Podejrzanie, że rodzice nieżyjącego historyka są łasi na pieniądze, przerodziło się w pewność. Kilka chwil później okazało się, że miał zupełną słuszość.

– Drogi materiał – rzucił policjant w odpowiedzi na podaną cenę – a w Warszawie będzie na pewno jeszcze droższy.

– Zarobi pan na tym grancie, to i pomnik babci postawi. – Usta gospodarza zaokrągliły się w jakimś dziwnym uśmiechu. Jego żona też się uśmiechnęła i pokiwała głową na znak prawdziwości tych słów.

– Ale najpierw to ja muszę rozliczyć w ministerstwie to, co zostało zrobione do tej pory. Bez tego nic mi nie wypłacą. Po to też przyjechałem do państwa – przypomniał cel swojej wizyty.

– No to dogadajmy się! – Rolnik uznał, że szkoda czasu na puste rozważania.

„Propozycja została rzucona. Bogatemu zawsze mało” – pomyślał Vesely i odrzekł:

– Widzę, że stawia pan sprawę po kupiecku.

– A co pan myślał? Że jak my nie z Warszawy, to na interesach się nie znamy?

Zygmunt zrozumiał, dlaczego zmarłego naukowca prawie nikt nie lubił. Jeśli miał podobne podejście do świata... Ale teraz musiał to wykorzystać! Wiedział już, że trzeba mówić wprost, a raczej targować się. I to ostro, żeby tamci uwierzyli, że robią dobry interes. Na razie jednak rzekł:

– Wręcz przeciwnie. Sylwek opowiadał, że prowadzi pan bardzo dochodową hodowlę bydła mlecznego. Mówił, że w gospodarstwie jest prawie sto dwadzieścia krów. Sądzę więc, że doskonale zna się pan na biznesie.

– Pogłowie liczy sto trzydzieści sztuk – odparł ojciec. – Gdyby syn wrócił po studiach na gospodarstwo, to teraz byłoby ze trzysta. Mielibyśmy największe stado w powiecie! Ale jemu się książkę zachciało pisać.

– Odniósł sukces. Był dobry w tym pisaniu, tak jak pan w produkowaniu mleka.

– Podkomisarz postanowił zareagować prowokacyjnie, był ciekaw, co z tego wyniknie.

– Panie, jaki to sukces? W tej Częstochowie zarabiał niecałe cztery tysiące. Gdybyśmy mu nie pomagali, to nie miałby co do gęby włożyć.

– Nie przesadzaj, Józus – odezwała się kobieta. – Sylwuś dobrze sobie radził. – Jej oczy po raz pierwszy zaszklily się na wspomnienie syna.

– Dobrze wiem, co mówię. – Mężczyzna nerwowo poprawił się w fotelu. – Przez ten doktorat to nawet życia nie mógł sobie ułożyć. – Przerwał na chwilę, po czym zwrócił ku Zygmuntowi pełną rozżalenia twarz i wyjaśnił: – Narzeczoną miał, panie, jak się patrzy. Myśleliśmy, że się pobiorą, zamieszkają z nami albo że się im porządną chałupę wystawi. Ale odeszła od niego, bo on nic poza tą nauką nie widział.

– To Sylwek miał dziewczynę? Nic mi o tym nie wspominał. – Tym razem to podkomisarz poruszył się nerwowo w fotelu.

– Iwonkę – odrzekła matka. – Ładna była i taka... wie pan... miła. Porozmawiała normalnie z człowiekiem, nie tak jak teraz ci młodzi. I robotna była... Choć miastowa – dodała.

– I myśleliście państwo, że ona chciałaby zamieszkać na wsi? – Vesely jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że ktoś porzuciłby miejskie wygody dla ciężkiego rolniczego życia.

– To była mądra dziewczucha, panie. – Gospodarz dla podkreślenia swoich słów wzniosł do góry wskazujący palec. – Jak ją Sylwek pierwszy raz przywiózł, to ona od razu zrozumiała, że tu jest raj na ziemi. Kazała się oprowadzać i wszystko pokazywać. A pytania zadawała, jakby z urzędu skarbowego była. Od razu mi się spodobała.

– Myśli pan, że pracowałyby na gospodarce?

– Ja ją spytałem, co ona chciałaby robić, jakby na wsi mieszkała. Odpowiedziała, że mogłaby być nauczycielką. I powiem panu, że mi to pasowało.

– A czego chciała uczyć? – Zygmunt postanowił wywiedzieć się czegoś więcej na temat dziewczyny, zastanawiał się także, jak uzasadnić pytanie o jej nazwisko.

– Historii – odparła kobieta – ona skończyła te same studia, co Sylwek.

Policjant zrozumiał, że nadarzył się właściwy moment, by dowiedzieć się, kim była sympatia Kalenika.

– Zaraz, zaraz – dotknął dłonią czoła, co miało oznaczać, że szuka czegoś w pamięci – czy to czasem nie chodzi o Iwonę Konieczną z Krakowa? – Na oczekaniu zmyślił personalia.

– Nie, nie – odpowiedziała matka historyka – narzeczona syna też była z Krakowa, ale nazywała się Grodzka.

– A to nie znam. – Vesely pogratulował sobie w myślach refleksu.

– Nawet do gminy pojechałem, żeby się wywiedzieć, czy ją do szkoły przyjmą – gospodarz kontynuował wspomnienia.

– I co? – podkomisarz pociągnął temat.

– Etat był – westchnął refleksyjnie mężczyzna, a potem uzupełnił rzeczowo: – A nawet gdyby nie było, to wójt dostałby w kieszeń i wszystko by załatwił.

– No tak, pieniądz czyni cuda – rzekł sentencjonalnie Zygmunt.

– Życie czasami jest prostsze, niż się nam wydaje, proszę pana. – Chłopska filozofia zabrzmiała nad wyraz autentycznie.

Policjant doszedł do wniosku, że musi przejść do konkretów.

– Skoro już mowa o pieniądzach, to ile pan chce za materiały Sylwka, panie Kalenik?

– No tyle, ile miał dostać, dziesięć tysięcy – padła odpowiedź.

– To za dużo – powiedział zdecydowanie Zygmunt. – Praca nie została na pewno wykonana w całości. Będę musiał ją osobiście dokończyć. Proponuję pięć tysięcy.

– Przecież syn pracował, jak pan był w Ameryce, i za to miał dostać więcej, niż się normalnie należało. – Oczka starego Kalenika świdrowały Veselego. Odrzucenie jego żądania oraz argument gościa najwyraźniej go rozdrażniły.

– Zgadza się – potwierdził Vesely – ale umowa dotyczyła zebrania materiałów i ich opracowania. Szczerze mówiąc, uważam, że Sylwek nie zdążył zrobić nawet połowy z tego, do czego się zobowiązał. Dlatego pięć tysięcy będzie w sam raz.

– Jak pan nie chcesz tych materiałów, to nie – zachnął się ojciec. – Mi na tej forsie nie zależy. – Jego chłopska chytrość nakazała mu przyprzeć inteligencika do muru.

Podkomisarz sięgnął po teczkę, jaką miał ze sobą. Widział, jak tamci z niepokojem obserwują jego ruchy. Wyjął kilka kartek zadrukowanego papieru i położył na ławie.

– To jest umowa o grant – powiedział. – Jest na niej podpis waszego syna. Według niej materiały uzyskane w ramach realizacji projektu nie należą ani do mnie, ani do Sylwka, tylko do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jeśli się nie dogadamy, panie Kalenik, będę zmuszony odzyskać dokumenty, na których mi zależy, na drodze sądowej. Wtedy nie dostaniecie ani grosza, a jeszcze dołożycie na podróż do Warszawy na rozprawę. I szczerze mówiąc, powinienem teraz pożegnać się i wyjść z tego domu. Ale ze względu na Sylwka chcę to załatwić po ludzku. Proszę to docenić!

– Niech będzie osiem tysięcy – odrzekł na to gospodarz.

– Sześć – zalicytował Zygmunt.

– Siedem, to moje ostatnie słowo – stary Kalenik niemal warknął.

– Sześć – powtórzył twardo policjant. – Niech pan pamięta, że mówimy o nieopodatkowanej kwocie.

– Zgódź się, Józus – poprosiła męża kobieta. – Nie będziemy się przecież po sądach włóczyć.

Rolnik milczał, borykał się z własną, chłopską dumą. Zygmunt postanowił pomóc mu podjąć decyzję:

– Lepiej mieć sześć tysięcy niż nie mieć, panie Kalenik. To czysty zysk!

– Niechże już tak będzie – powiedział gospodarz i wyciągnął rękę, by tradycyjnie dobić targu.

Zygmunt już chciał ją uścisnąć, lecz zanim to zrobił, zakomunikował:

– Ale pieniądze wypłacę, jeśli coś w ogóle znajdę.

– No pewnie, że tak. Nie będziesz pan przecież kupował kota w worku.

Zaprowadzili go do jednego z pokoi na pierwszym piętrze, gdzie były zgromadzone wszystkie rzeczy młodego historyka. Wśród nich znalazł kilkadziesiąt książek, przeważnie podręczników akademickich i monografii

naukowych oraz powieści z kategorii fantasy i science fiction, które można było zidentyfikować po kolorowych okładkach przedstawiających postacie i symbole nie z tego świata. Na próżno jednak wypatrywał jakichś skoroszytów, segregatorów lub teczek, w których znajdowałyby się materiały z archiwów IPN. Doktor Jabłoński z Częstochowy miał rację: Kalenik musiał wszystko digitalizować i przechowywać w swoim laptopie. A takiego urządzenia w pokoju nie było. Dla porządku przejrzał tytuły kilku publikacji, porzekładał je, porozglądał się.

– Nic nie ma – oświadczył gospodarzom.

– Tu jest wszystko, co przywieźliśmy z Częstochowy – powiedziała kobieta.

– A komputer? Z tego, co wiem, to Sylwek przechowywał materiały do pracy naukowej w laptopie.

– Jest, jest – odrzekł ojciec Kalenika. – Leży na dole w pokoju, gdzie są wszystkie papiery „hodowlane”. Ale nic pan w nim nie zobaczy, bo nie można go włączyć.

– Jak to nie można? – Vesely nie zrozumiał. – Zepsuł się?

– No nie... Uruchamia się... Tylko żeby go otworzyć, potrzebne jest hasło, które Sylwek, świeć Panie nad jego duszą, zabrał do grobu.

– Może gdzieś jest zapisane? – Policjant miał nadzieję, że to stwierdzenie zachęci gospodarzy do działania. Pomylił się.

– Myśli pan, żeśmy nie szukali? – Matka Kalenika machnęła z rezygnacją ręką.

– Wszystkie rzeczy syna przejrzelismy, aby je znaleźć.

– A jego telefon komórkowy też? – Zygmunt uczeplił się jeszcze tej możliwości.

– O tym nie pomyśleliśmy – przyznał rolnik. – Ale to i tak nic nie da. Aparatu teraz używa żona, więc wszystko Sylwkowe zostało skasowane.

– A mógłbym chociaż zobaczyć ten komputer? – poprosił podkomisarz. Zgodnie z zaleceniem Gordona chciał przynajmniej sfilmować urządzenie. – Mieliśmy z Sylwkiem wspólną przestrzeń w chmurze, za pomocą której wymienialiśmy się dokumentami – kłamał jak z nut. – Używaliśmy hasła, które on wymyślił. Może to było to samo, co do jego laptopa?

– O Boże! – jęknęła kobieta. – W jakiej znowu chmurze? – Nie rozumiała, o czym Vesely mówił.



– To taki program komputerowy używany w Internecie – wyjaśnił jej mąż, który miał chyba o wiele lepsze pojęcie na temat współczesnych technologii.

– To co? Pokaże pan? – policjant ponaglił gospodarza.

– Chodź pan na dół.

W pokoju z „hodowlaną” dokumentacją panował nieopisany bałagan. Żonie rolnika zrobiło się chyba wstyd, gdyż poczuła potrzebę wytłumaczenia nieporządku.

– Tu nie wolno mi sprzątać – rzekła, po czym zwróciła się do męża: – Najlepiej będzie, Józus, jak weźmiesz ten komputer do stołowego – staromodnie nazwała pokój z wielkim telewizorem.

Kiedy Zygmunt wziął do rąk niezwykle zgrabny, srebrny, trzynastocalowy laptop, powiedział:

– Nieźle cacko. Nie dziwię się, że Sylwek dał za niego dwanaście tysięcy. – Udając, że podziwia urządzenie, obracał je przed sobą, by sfilmować każdy detal.

– Dlatego też chciałem go sobie przysposobić. – Ojciec Kalenika potwierdził, że ma świadomość wartości komputera. – Wie pan... Mały, zgrabny, elegancki... Można się nie byle jak ludziom pokazać. – Próżność zawirowała w jego głosie.

– I to jeszcze jak – przyznał mu rację podkomisarz, kładąc urządzenie na ławie i włączając zasilanie.

Interfejs systemu operacyjnego ukazał się błyskawicznie. Zygmunt puknął delikatnie palcem w touchpad i na środku pojawił się awatar właściciela wraz z ulokowanym pod nim białym, prostokątnym polem do wprowadzania hasła. Wpisał wymyślony na poczekaniu zbiór liter i cyfr, choć wiedział, że to nic nie da. Chodziło jedynie o sfilmowanie tego, co się wyświetla na ekranie. Nacisnął enter. Wskoczył komunikat: „Hasło jest niepoprawne. Spróbuj ponownie”. Pod nim znajdował się graficzny przycisk „OK”. Najechał na niego wskaźnikiem myszki i aktywował. Znowu ukazał się awatar z białym polem. Tym razem pod spodem wyświetlił się drobny tekst: „Wskazówka dotycząca hasła: BOCIAN”.

Vesely poczuł, jak przez jego ciało przebiega coś na wzór elektrycznego impulsu. Momentalnie zrobiło mu się gorąco. Wygląd jego twarzy musiał zmienić się diametralnie, gdyż kobieta spytała:

– Pan się dobrze czuje?

– Tak, tak – wyszeptał chrapliwym z emocji głosem.

Musiał się skupić... Musiał się cholernie skupić... Zamknął oczy... Szukał w swojej pamięci... Jeszcze nie miał pojęcia czego, ale szukał... Odtwarzał po kolei wszystko, co zrobił do tej pory, tropiąc nieżyjącego historyka... Dosłownie wszystko... Szczegółowo... W pewnym momencie zwiotczał... Już miał... Przed oczami stanęła mu twarz archiwisty z krakowskiego IPN. Słyszał teraz w myślach, jak ten mówi: „Niech będzie »Storch«, chociaż wątpię, czy się uda, bo nasz katalog raczej nie zna niemieckiego”. Teraz usłyszał własny głos: „Jak to nie zna niemieckiego?”. I znowu archiwista: „»Storch« to przecież po niemiecku »bocian«”...

Otworzył oczy. Rodzice Kalenika patrzyli na niego jak na obłąkańca. Byli wyraźnie przestraszeni. Uśmiechnął się do nich i oznajmił radośnie:

– Chyba mam hasło.

Po ich minach poznał, że mu nie wierzą. Nie przejął się tym. Nie czekając, aż ochłoną, wprowadził w białe pole wyraz „Storch”, wcisnął enter i... „Hasło jest niepoprawne. Spróbuj ponownie”.

„Co zrobiłem nie tak?” – zastanawiał się. Tak jak poprzednim razem aktywował graficzny przycisk „OK” znajdujący się pod komunikatem. Pojawił się tekst: „Wskazówka dotycząca hasła: BOCIAN”. Przyjrzał się dokładnie. Po chwili zidentyfikował błąd, jaki popełnił.

Tym razem w białe pole wpisał: „STORCH”. W mgnieniu oka wyświetlił się pulpit z ikonami folderów i plików.

Gospodarze nie mogli się nadziwić. Cieszyli się jak dzieci. Oczywiście spytali, w jaki sposób ich gość odgadł hasło. Zygmunt opowiedział im, jak to ich syn, pisząc doktorat, odkrył esbecką operację o kryptonimie „Storch”, co po niemiecku znaczy „bocian”.

– Jak zobaczyłem wskazówkę dotyczącą hasła, to wystarczyło tylko pomyśleć – zakończył skromnie.

– Masz pan głowę nie od parady – powiedział z uznaniem ojciec Kalenika. – Ciekawe, czy w komputerze jest to, po co pan do nas przyjechał.

Podkomisarz przyjrzał się wszystkiemu, co znajdowało się na pulpicie. Panował na nim porządek. Pliki oraz skróty do folderów zostały tematycznie pogrupowane.

Ujrzał zatem zbiory łączy do gier komputerowych i internetowych platform dla graczy, do książek w cyfrowym formacie oraz do muzyki i filmów. Policjant pomyślał, że Kalenik dbał o należytą rozrywkę i chyba nie mógł się oderwać od laptopa, skoro przy nim pracował oraz spędzał wolny czas.

W prawym dolnym rogu ekranu znajdował się skrót do katalogu o nazwie „PRACA”. Vesely bez namysłu kliknął w niego dwa razy i przeniósł się do miejsca, którego szukał. Odczytał nazwy folderów: Doktorat, Dydaktyka, Książka, Materiały badawcze, Materiały osobiste, Różne teksty naukowe, Studia. Otworzył „Materiały osobiste”. Znalazł tam rozliczenia podatkowe, CV, jakieś pisma urzędowe. Nic interesującego. Nie miał wyjścia, należało przejrzeć wszystko po kolei. W „Materiałach badawczych” natrafił na dwa podkatalogi zatytułowane: IPN Kraków, IPN Warszawa. Zajrzał do nich. Zawierały setki skanów dokumentów archiwalnych. „Bingo” – pomyślał z radością. „Gordon będzie miał wreszcie to, o co mu chodziło” – był autentycznie dumny z dokonanego odkrycia.

Postanowił rzucić okiem na właściwości folderów, chciał sprawdzić, kiedy zostały utworzone lub zmodyfikowane. Potem to samo zrobił w odniesieniu do katalogu nadrzędnego. Euforia wywołana odnalezieniem archiwaliów prysła momentalnie. Wyglądało na to, że przyjechał do rodziców Kalenika na darmo.

\*\*\*

Kiedy wszedł do pokoju hotelowego zajmowanego przez pułkownika, ten od razu spytał:

- Sukces?
- Sukces, ale bez satysfakcji – odparł Zygmunt.
- Jak mam to rozumieć? – Gordon bardzo się zaniepokoił. – Nie zdobył pan zawartości laptopa?
- Skopiowałem wszystko. Jednak jestem pewny, że nic tam pan nie znajdzie.
- Skąd takie przekonanie?
- Odnalazłem w laptopie foldery, w których znajdują się skany materiałów archiwalnych z IPN w Krakowie i Warszawie, jakie Kalenik zapewne wykorzystał przy pisaniu doktoratu. Sprawdziłem daty ich utworzenia oraz ostatniej modyfikacji. Są one z okresu poprzedzającego publikację jego książki. Natomiast

data ostatniej modyfikacji katalogu nadrzędnego, w którym owe foldery się znajdują, jest dużo późniejsza. A to oznacza, że był tam jeszcze co najmniej jeden folder, który usunięto.

– A może po prostu został przeniesiony do innego miejsca na dysku? – Pułkownik bardzo nie chciał, by Vesely miał rację.

– Na pewno nie! – Podkomisarz uśmiechnął się kwaśno. – Katalog nadrzędny zmodyfikowano w dniu śmierci Kalenika.

Oficer wywiadu z wrażenia wstał z krzesła, na którym do tej pory siedział, i zaczął dreptać po pokoiku. Ogarnęło go wyraźne zdenerwowanie.

– To oznacza, że dalej niczego nie mamy. – Oczywisty wniosek wymówił z przejęciem. – Psiakrew! – przeklął wyraziście. – Teraz to już naprawdę jesteśmy w czarnej dziurze! To była nasza ostatnia realna szansa!

Zygmunt zgadzał się z pułkownikiem. Prawdopodobieństwo odnalezienia Bjorna skurczyło się drastycznie. Zabójcy skutecznie zatarli ślady. Sam nie wiedział, co jeszcze można zrobić.

– Nurtuje mnie tylko jedna sprawa – rzekł po chwili. – W jaki sposób sprawcy morderstwa zdołali wejść do systemu laptopa, skoro był on chroniony hasłem?

– Prawdopodobnie nie był to dla nich jakiś poważny problem. Kalenik mógł im podać hasło pod wpływem zastraszenia, mógł zostać przekupiony przed śmiercią, a może w chwili utraty życia komputer był po prostu włączony. Być może zastosowano specjalistyczne oprogramowanie deszyfrujące? – Dla oficera wywiadu dylemat podkomisarza okazał się nieistotny. – A jak przebiegło wykonanie zadania? – Gordon chciał porozmawiać o szczegółach pobytu u rodziców historyka.

– Instruktaż był dobry, ale niepełny – odrzekł podkomisarz. – Nie uwzględnił pan, pułkowniku, ewentualności, że to, co nas interesowało, będzie można po prostu kupić.

– To niesamowite, co pan mówi – zareagował Gordon. – Dobił pan targu?

– Dokładnie. Kosztowało to Agencję sześć tysięcy złotych. Nie mogłem wziąć pokwitowania, ale wszystko zostało nagrane, więc mam nadzieję, że nie będzie problemu z rozliczeniem.

– To żaden kłopot. A skoro mowa o pieniądzach, to będę wdzięczny, jeśli otrzymam podsumowanie kosztów, jakie pan poniósł do tej pory, prowadząc dla nas śledztwo. Rozumiem, że nie chce pan pobierać wynagrodzenia, ale proszę nie odmawiać rekompensaty poniesionych wydatków, jak choćby za zakup benzyny do samochodu.

– Dobrze, później przedstawię odpowiednie wyliczenie – zgodził się Vesely.

– Niech pan teraz coś opowie o swojej wizycie – poprosił oficer wywiadu. – Film z okularów obejrzę dopiero w Warszawie.

Podkomisarz rozpoczął relację od pobytu na cmentarzu, a następnie przedstawił okoliczności wejścia do domostwa. Opisał treści prowadzonych rozmów oraz wrażenie, jakie wywarli na nim gospodarze, co było preludium do dokładnej opowieści o tym, jak doszło do „sytuacji handlowej”, która umożliwiła skopiowanie danych. Gdy doszedł do momentu, jak to niczego nie znalazł wśród rzeczy Kalenika i zażądał wglądu do laptopa, Gordon przerwał mu:

– Chyba nie pomyliłem się, zakładając, że rodzice będą znali hasło dostępu do komputera?

– Niestety, pomylił się pan – odparł policjant. – Ale mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu.

Zreferował, krok po kroku, jak zdołał wejść do systemu operacyjnego. Zakończył słowami:

– Gdy tylko zobaczyłem wskazówkę dotyczącą hasła, od razu wiedziałem, że coś jest na rzeczy. Potrzebowałem tylko kilku chwil, by przypomnieć sobie archiwistę z krakowskiego IPN, który powiedział mi, że „Storch” to po niemiecku „bocian”.

Vesely przerwał wypowiedź, gdyż Gordon stał jak otępiały, poruszając bezgłośnie ustami.

– Wszystko w porządku, pułkowniku?

Ten nie od razu odpowiedział, a tylko kiwnął głową, że tak, zaś potem wyszeptał:

– Kurwa mać!

– O co chodzi? – Zygmunt przestraszył się, że zrobił coś nie tak, jak należało, ale zaraz wszystko się wyjaśniło.

- Kurwa mać, jakie to proste – powiedział już normalnie oficer wywiadu.
- Co jest proste? – Podkomisarz niczego nie rozumiał.
- Panie Zygmuncie, co robi bocian? – Pytanie było z tych, o których mówi się, że zostało wzięte z kosmosu.
- Jak to, co robi? – odparł zdezorientowany policjant. – Fruwa, przecież to ptak.
- Zła odpowiedź, panie Zygmuncie. – Gordon miał teraz ironiczny wyraz twarzy. Był jednak bardzo zadowolony.
- Proszę się nie bawić w zgadywanki! Co pan wymyślił?
- Otóż, mój drogi współpracowniku, bocian nie tylko fruwa, ale także przynosi dzieci.
- Jakie znaczenie ma dla nas ta naiwna opowiadka? – Vesely powiedział to w taki sposób, jakby chciał zaznaczyć, że już od dawna w nią nie wierzy.
- Skoro esbecy z wywiadu nielegalnego nadali krakowskiej operacji kryptonim Storch, czyli Bocian – tu pułkownik zrobił małą pauzę – to może oznaczać, że wcale nie poszukiwali, tak jak sądzimy, kandydata na nielegala!
- Chce pan powiedzieć, że poszukiwali jakiegoś dzieciaka?!
- Dokładnie! – Warszawiak prawie krzyknął dla podkreślenia wagi swojego odkrycia. – A ściślej rzecz biorąc, szukali tożsamości dla agenta. Przecież to jasne jak słońce! Bjorn mógł tylko wtedy zostać obywatelem niemieckim, jeśli miał możliwość udowodnienia właściwego pochodzenia, czyli urodzenia. Któreś z jego rodziców musiało być Niemcem z krwi i kości! Że też od razu na to nie wpadłem!
- No dobrze, przyjmijmy zatem, że jest tak, jak pan mówi. – Zygmuntovi wniosek oficera wywiadu wydał się logiczny. – Ale dlaczego szukali owej tożsamości w Krakowie? I najważniejsze: gdzie mogli jej szukać?
- Nie wiem jeszcze, dlaczego w Krakowie, ale najpewniej chodziło o domy dziecka. Po wojennej okupacji w Polsce było dużo sierot, a wśród nich takie, których przynajmniej jedno z rodziców pochodziło z Niemiec. Niektóre Polki w czasie wojny romansowały z Niemcami, były przez nich także gwałcone. Moim zdaniem celem operacji Storch było właśnie odnalezienie takiego osieroconego dziecka, za które chciano podstawić agenta.
- Jaki to może mieć wpływ na nasze dalsze śledztwo? – Podkomisarz pragnął wiedzieć, czy to, co usłyszał, może przybliżyć ich do rozwiązania zagadki.

– Nie rozumie pan jeszcze? Nawet jeśli nic nie odnajdę w laptopie Kalenika, to dalej będzie można prowadzić poszukiwania Bjorna. – Oczy oficera błyszczały nadzieją. – Zorganizuję ekipę i przejrzę archiwa domów dziecka, jakie funkcjonowały po czterdziestym piątym roku na obszarze ówczesnego województwa krakowskiego. Wytypuję dzieciaki z niemieckim pochodzeniem, urodzone pomiędzy trzydziestym dziewiątym a czterdziestym piątym rokiem, a potem sprawdzę wszystkie w systemie PESEL. Zostawię tylko te, których tam nie ma lub nie są zameldowane w kraju. Potem pogrzebię w archiwum paszportowym. Wśród osób, które wyjechały do Niemiec po sześćdziesiątym dziewiątym, będzie poszukiwany przez nas nielegal.

– Może wystarczy przejrzyć rejestry Urzędów Stanu Cywilnego? – doradził policjant.

– Domy dziecka wydają mi się właściwsze, należy bowiem szukać sieroty – uzasadnił Gordon. – A w USC odnajdę wszystkie dzieci urodzone w tamtym okresie na danym terenie. Będzie ich na tyle dużo, że sprawdzając je poprzez PESEL, ugrzęznę. Sierocińce znacznie zawężą poszukiwania.

– Racja. A co w takim razie ja mam robić? Jestem jeszcze potrzebny? – Vesely chciał nadal uczestniczyć w grze.

– Niech pan dalej idzie tropem historyka. Należałoby chyba odszukać jego dawną narzeczoną, o której wspominali rodzice. Może ona coś wie na temat jego odkrycia?

Vesely uśmiechnął się z aprobatą. ■

## RETROSPEKCJA II. KRAKÓW, SIERPIEŃ 1969 ROKU

Noc spowijała ulicę z niewysokimi budynkami, które rozrzucone po jej stronach tworzyły jeden z typowych, licznych korytarzy miejskiego labiryntu. Wokół panowała cisza, tylko gdzieś w oddali dało się słyszeć stłumione odgłosy ludzkiej działalności świadczące o tym, że miasto, mimo iż pogrążone w głębokim śnie, przygotowuje się do następnego dnia.

Dwie postacie przemieszczały się cicho po jednym z chodników. Ktoś, kto patrzyłby na ulicę z jakiegokolwiek okna, nie zauważyłby ich, i to pomimo świecących latarni. Przed wzrokiem ewentualnych obserwatorów chronił ich cień zabudowy oraz korony rosnących tu wysokich, klonowych drzew. Było bardzo ciepło, a maszerujący szybko mężczyźni nosili wełniane ciemne golfy, długie, grube dresowe spodnie, zaś na głowach czapki z daszkiem, popularne kolarki. Na plecach jednego z nich tkwił niewielki drelichowy plecak.

Zatrzymali się przy wysokim parkanie okalającym posesję z okazałym jednopiętrowym domem. Rozejrzeli się wokół, upewniając się, że są sami, po czym z kocią sprawnością pokonali ogrodzenie i podbiegli pod duże parterowe okno znajdujące się w szczytowej, bocznej ścianie budynku, usytuowanej prostopadle do osi ulicy. Jak na komendę odwinęli kołnierze swoich golfów i naciągnęli je na twarze, pod same oczy. Tak zamaskowani przystąpili do działania.

Ten z plecakiem wyjął z niego parę skórzanych rękawiczek, które założył, a następnie ręczną wiertarkę oraz dwa takie same, dziwnie powyginane, cieniuteńkie stalowe pręciki z końcówkami przypominającymi haczyki wędkarskie. Parapet znajdował się na poziomie wzrostu przeciętnego dorosłego człowieka, toteż włamywacz uzbrojony w narzędzia „wsiadł” na ramiona przykucniętego współnika, który wyprostowując się, uniósł go na właściwą wysokość. Okno było skrzynkowe, z podwójną ilością skrzydeł, co utrudniało dostęp. Nie zrobiło to jednak na złodzieju żadnego wrażenia, doskonale wiedział o tej przeszkodzie. Wiertło było na tyle długie, by za jednym razem przewiercić się przez dwie ramy.



Postanowił wykonać otwory około dziesięć centymetrów poniżej poziomu umiejscowienia klamek.

Do uszu mężczyzny trzymającego na swoich barkach pracującego współtowarzysza dotarł ledwie słyszalny chrzęst skrawanego drewna. Ucieszyło go to, oznaczało bowiem, że będzie musiał się trudzić jeszcze tylko dwie, może trzy minuty.

Po wykonaniu otworów włamywacz zabezpieczył wiertarkę i wsunął poprzez pierwszy z nich dziwnie powyginany, cieniuteńki stalowy pręcik. Manipulował nim, by sięgnąć okiennej, motylkowatej klamki, która sterczała w pozycji „zamknięte”, prostopadle do ramy. Nieznacznie zagiętym, specjalnie utwardzonym końcem stalki zahaczył z wyczuciem o jeden z krańców jej rączki. Pomiedzy otworem w ramie oraz owym krańcem powstała dźwignia, którą teraz zamierzał wykorzystać. Pociągnął mocno i zdecydowanie. Klamka nieznacznie zmieniła położenie, lecz haczyk pręcika nieoczekiwanie odczepił się od niej. Mężczyzna zaklął szpetnie pod nosem. Nie dość, że nie dokonał otwarcia, to drucik, przeciągnięty przez otwór, stracił pierwotny kształt, niejako wyprostował się. Przed następną próbą musiał ponownie go uformować, gdyż drugi egzemplarz specyficznego narzędzia był przeznaczony do przekręcenia następnej klamki. Za kolejnym razem wszystko już poszło na szczęście bez problemów. Kilkadziesiąt sekund później można było wchodzić do środka.

Zdjął szybko plecak, schował wiertarkę oraz zużyte stalki, po czym opuścił go delikatnie na podłogę pomieszczenia, które było jego celem. Sam położył się brzuchem na progu ościeżnicy, przez co „uwolnił” pomocnika. Chociaż krawędź ramy niemiłosiernie wgniatała się w jego ciało, co sprawiało ból, podciągnął kolana, i wspierając się na rękach, usiadł w świetle okna, plecami do wnętrza. Teraz wystarczyło tylko się obrócić i przerzucić nogi. Gdy tylko znalazł się w środku, zamknął za sobą okno, zaś jego pomocnik oddalił się do nieodległego, zacienionego miejsca w tyle posesji, gdzie niewidoczny dla postronnych osób miał oczekiwać na wezwanie.

\*\*\*

W garbatej warszawie, zaparkowanej naprzeciwko domu będącego celem włamania, porucznik Zieliński leżąc na tylnej kanapie, korzystając z niewielkiego peryskopu obserwacyjnego, kontrolował przez szyby samochodu wszystko, co działo się w okolicy. Niewygodna pozycja i przyrząd optyczny były podyktowane tym, iż wóz musiał sprawiać wrażenie pustego.

Napięcie, z jakim wykonywał swoje zadanie, opadło, gdy tylko jeden z włamywaczy zniknął we wnętrzu budynku. Teraz mógł liczyć na kilka minut spokoju. Sprawdził dla pewności, czy pod ręką jest krótkofalówka, przez którą miał zakomunikować ostrzeżenie, gdyby odkrył coś niepokojącego.

Było tuż przed północą, a całą akcję należało zakończyć przed świtem, czyli za około cztery godziny. Funkcjonariusz pierwszy raz w życiu brał udział w tego typu czynnościach, nie miał odpowiedniego doświadczenia, więc bał się, że całe przedsięwzięcie zakończy się porażką ze względu na brak dostatecznej ilości czasu. Chcąc odgonić od siebie posępne myśli, powrócił do pilnego obserwowania otoczenia.

\*\*\*

Spec od tajnych przeszukań założył na głowę latarkę podobną do tych, jakie noszą górnicy, i zasunął zasłony w oknie, przez które wszedł do budynku. Nie mógł pozwolić na to, żeby odbłask światła został zauważony przez kogokolwiek z zewnątrz, więc to samo chciał zrobić w drugim oknie, wychodzącym w kierunku ulicy. Ruszył ku niemu, lecz po pierwszym kroku znieruchomiał, gdyż podłoga pod jego ciężarem demonicznie zaskrzypiała. Uklęknął i włączył światło, które skierował na posadzkę. Po raz drugi tej nocy zaklął niewybrednie pod nosem. Była wykonana z długich, żółtawych sosnowych dech, które najpewniej zostały położone w stanie niedostatecznego wysezonowania, o czym świadczyły wielkie szpary pomiędzy nimi. Źle spasowane drewno po prostu poddawało się naciskowi stopy człowieka i generowało przeraźliwe dźwięki. W raporcie z rozpoznania obiektu nie było ani słowa o tej niedogodności, która stwarzała przecież ryzyko niepowodzenia całej akcji! To kazało mu z rezerwą podejść do wszystkich uwarunkowań wykonania zadania przedstawionych w dokumencie, a przede

wszystkim do najważniejszego, według którego w budynku miało nie być żywej duszy.

Zgasił latarkę, wstał i wyciągnął z plecaka niewielką japońską krótkofalówkę marki Evadin, ostatni krzyk techniki operacyjnej. Włożył ją do tylnej kieszeni spodni. Chciał mieć pewność, że usłyszy każdy komunikat od oficera ubezpieczającego jego działania. Otrzymał polecenie, by za wszelką cenę uniknąć wpadki, stąd też musiał mieć czas na ulotnienie się w przypadku zaistnienia dekonspiracyjnej sytuacji.

Założył plecak, by mieć go przy sobie, i poruszając się niczym baletnica, zasłonił drugie okno. Ponownie załączył latarkę. W jej świetle zlustrował pomieszczenie. Był to duży pokój o powierzchni ponad trzydziestu metrów kwadratowych. W rogu pomiędzy dwoma oknami stało masywne dębowe biurko ze srebrnym, niewielkich rozmiarów krucyfiksem umieszczonym na blacie. Funkcjonariusz zwrócił uwagę na wiszące na krzyżu Chrystusa, gdyż odniósł wrażenie, że ten spogląda na niego z wyrzutem. Pomyślał, że jest przewrażliwiony. W przeciwnym kącie znajdował się niewielki stolik, na którym w asyście dwóch gromnicznych świec stała kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Obecność klęcznika nasunęła intruzowi myśl, że całość pełniła rolę niewielkiego modlitewnego ołtarzyka.

Największy mebel w pokoju stanowiła szafa. To ona była celem jego wyprawy. Podszedł do niej i spróbował otworzyć. Nie dało się. Spojrzał na tkwiący w drzwiach zamek i uśmiechnął się z politowaniem. Nie zabrał się jednak do jego otwarcia.

Najpierw musiał znaleźć coś, co „ukradnie”, by stworzyć pozory włamania. Przygotowując się do akcji, przeanalizował wszystkie sposoby, za pomocą których można było dostać się do tego pomieszczenia. Przez okno droga była najbezpieczniejsza oraz najszybsza, co – zważając na krótki czas trwania letniej, sierpniowej nocy – miało niebagatelne znaczenie. Jednak ten wariant wymagał sfingowania pospolitego przestępstwa, czyli zaboru tak zwanych fantów. W ich poszukiwaniu, zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, skoncentrował się na szufladzie biurka, gdzie ponoć znajdowały się jakieś pieniądze. Była zamknięta na niezbyt skomplikowany zamek. Do otwarcia postanowił użyć wytrychu, chociaż

mógłby ją spokojnie wyłamać. Obligowała go do tego metoda „na wwiert”, jakiej użył wcześniej, która wskazywała na fachowców z przestępczego świata. Zwykli rabusie najprawdopodobniej wyważyliby okno przy pomocy łomu, uszkadzając ramę oraz ościeżnicę.

Wyjął z plecaka komplet narzędzi, wybrał jedno i kilkanaście sekund później jego oczom ukazała się zawartość szuflady. Oprócz parafialnych pieczęci, jakiegoś zeszytu oraz kilku urzędowych dokumentów dostrzegł także płaską kasetkę. Uchylił jej wieczko i satysfakcja rozjaśniła jego oblicze. W pudełku znajdowały się złotówki i dolary. Przeliczył. Było równo sześć tysięcy złotych oraz tysiąc trzysta dolarów. „Sporo, w sam raz na złodziejski łup” – stwierdził. Wziął ponownie do ręki wytrych i pogrzebał nim siłowo w zamku. Chciał pozostawić kilka widocznych rys. Mikroślady miały przekonać techników kryminalistyki, że mają do czynienia z fachowym włamem i kradzieżą. „A swoją drogą, ciekawe, czy proboszcz wspomni milicji o zielonych?” – zastanowił się. Posiadanie obcej waluty z nieudokumentowanego źródła było formalnie przestępstwem. Funkcjonariusz przez chwilę kombinował, czy powinien wspominać w raporcie o dolarach, ostatecznie jednak oparł się pokusie przywłaszczenia pieniędzy.

Dopiero teraz mógł się zająć szafą. Tym razem nie wolno mu było pozostawić żadnych śladów. Zamek poddał się bez problemu. Otworzył ją i na półkach zobaczył kilka ksiąg metrykalnych. Wyjmował każdą po kolei i przeglądał ich strony tytułowe. W końcu znalazł tę, na której mu zależało. Z plecaka wyjął torbę, do której delikatnie włożył swoją zdobycz. Zgasił latarkę, podszedł do okna i odsunął nieznacznie zasłony.

\*\*\*

Porucznik Zieliński zauważył, jak parterowe okno w bocznej ścianie penetrowanego domu nieznacznie się uchyliło. Kilkanaście sekund później pojawił się pod nim cień, który odebrał jakiś niewielki pakunek i podążył ostrożnie w kierunku parkanu. Wspiął się po nim, po czym zeskoczył na chodnik i oddalił się. „Pierwsza część akcji poszła sprawnie” – odetchnął z ulgą oficer. Teraz należało spokojnie czekać. Nie zwalniało go to jednak z prowadzenia obserwacji.

\*\*\*

Cień, czyli pomocnik specja od tajnych przeszukań, szedł spokojnie ku wylotowi ulicy. Nie miał już zasłoniętej twarzy, zaś na ramieniu dzierżył pieczołowicie torbę z księgą. Sprawiał wrażenie kogoś zapóźnionego, spieszącego do miejsca swojego zamieszkania. Na skrzyżowaniu skręcił w lewo i przyspieszył kroku. Jego celem była najbliższa przecznica, na której oczekiwała na niego ekipa techniczna. Gdy się na niej znalazł, od razu ujrzał ciężarówkę z wielką, kanciastą budą transportową, jakiej używa się do przewozu mebli. Gdy zbliżył się do niej, mógł zresztą odczytać: „Przeprowadzki”. Rozejrzał się dyskretnie wokół, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym zapukał delikatnie w tylną furtę naczepy. Ta momentalnie się uchylila. Poślaniec ujrzał sylwetkę podporucznika Lipskiego, który wyciągnął do niego rękę, by pomóc mu wejść do środka.

Wewnątrz było ciemno, lecz jak tylko drzwi zostały zamknięte, rozbłysło światło. Pomocnik oddał bez słowa torbę oficerowi, a ten z kolei przekazał ją jednemu z dwóch mężczyzn, jacy jeszcze znajdowali się w środku.

Przybysz z zainteresowaniem rozejrzał się po wnętrzu. W przedniej części budy znajdował się duży stół z leżącymi na nim przyborami: nożami, skalpelami, nożycami, linijkami, zaciskami, butlą gazową z palnikiem, trzema lupami powiększającymi o różnej wielkości, a także czymś, co przypominało mikroskop. Nad blatem na sztywnych sztancach wisiały cztery reflektory, podobne do tych, które można zazwyczaj zobaczyć w teatrze nad sceną. Jeden z techników załączył je i stało się tak jasno, jak w dzień o bezchmurnym niebie i ostrym słońcu.

Lipski dowodził akcją. To wszystko, co działo się tej nocy, było zasadniczą częścią operacji Storch, którą realizował od ponad trzynastu miesięcy. To był najpracowitszy i chyba najtrudniejszy okres w jego życiu. Musiał pokonać wiele przeciwności, by móc znaleźć się w tej ciężarówce.

Z fascynacją obserwował poczynania pracowników Biura „T” MSW, fachowców od wytwarzania dokumentów do celów operacyjnych. Jeden z nich pieczołowicie położył księgę na stole, następnie wziął do rąk duże fotografie i otwierał ją w różnych miejscach, by sprawdzić, czy zawartość wytypowanych stron zgadzała się z tym, co widział na odbitkach.

– Wszystko w porządku – zwrócił się po kilku minutach do Lipskiego. – Treści zapisów są identyczne.

– To świetnie – odrzekł na to podporucznik. – Jak zatem będą przebiegać dalsze czynności? – Chciał się upewnić, że wszystko odbędzie się zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

– Dokładnie tak, jak to opisywałem w Warszawie. Księga posiada oprawę półpłócienną o typie szyto-klejonym. Zatem najpierw musimy oddzielić okładkę od bloku, czyli wnętrza, potem częściowo oczyścić grzbiety składek arkuszy ze starego kleju, by dostać się do nici zszywających całość. Następnie rozetniemy szycie i wyodrębnimy interesującą nas składkę, w której podmienimy przygotowany w naszym laboratorium arkusz. Po tym wszystkim trzeba będzie zszyć na nowo blok oraz zespolić go z okładką.

– Zdążycie? Mamy tylko trzy i pół godziny.

– Powinniśmy. Najbardziej czasochłonne jest szycie. Potem tylko klejenie i po robocie. – Specjalista sprawiał wrażenie, że nie przejmował się tym, iż uczestniczy w tajnej akcji specjalnego znaczenia.

– A klej zdąży wyschnąć? – Lipski nie mógł sobie pozwolić na błąd. Technik jego pytanie zinterpretował jednak jako przejaw przewrażliwienia i braku doświadczenia wynikającego z młodego wieku.

– Proszę się nie martwić, użyjemy specjalnego, szybkoschnącego, dwuskładnikowego i elastycznego spoiwa, które od razu zwiąże okładkę z blokiem, zaś w przeciągu sześciu – ośmiu godzin wyschnie na amen.

– No to do roboty, panowie, do roboty! – zaordynował podporucznik.

Rozpoczęli od dokładnego oglądu księgi przy użyciu lup oraz urządzenia przypominającego mikroskop. Do tej pory znali ją jedynie ze zdjęć, jakie dostarczył im Lipski, więc teraz musieli skorygować swoją wiedzę w oparciu o oryginał. Nosila liczne oznaki minionego czasu i użytkowania. Stronice były gdzieniegdzie postrzępione oraz pozadzierane. Paradoksalnie ułatwiało to zamaskowanie skutków ingerencji w strukturę tomiszczą, do jakiej za chwilę miało dojść. Rozebranie księgi przebiegło relatywnie szybko. Fachowcy wyjęli z bloku pożądaną składkę i przystąpili do podmiany arkusza. Żeby wykonać w laboratorium Biura „T” jego falsyfikat, Lipski musiał zrealizować szereg

przedsięwzięć operacyjnych, włącznie z pozyskaniem Tajnego Współpracownika, który miał dostęp do biura parafialnego. To od niego uzyskał dane na temat pomieszczenia, gdzie znajdowała się księga, a także fotografie interesujących go stron oraz próbkę koloru oryginalnego atramentu. Teraz patrzył, jak sfingowany arkusz jest wkładany na miejsce oryginalnego. Fizycznie niczym się prawie nie różnił. Wykonano go na papierze z czasów, kiedy to księga jako czystopis została wyprodukowana, był identycznie „zużyty”, nawet pigment atramentu dobrano prawie idealnie. Także charakter pisma był „taki sam” (wpisów w księdze dokonywano odręcznie), jednak ta cecha podróbki miała najmniej znamion doskonałości.

Nadeszła kolej na szycie. Na stole postawiono drewnianą ramę zwaną introligatorską szywnicą i rozpoczęto łączenie arkuszy za pomocą nici nasączonej woskiem. To była bardzo mozolna czynność. Dłużyła się niemiłosiernie. Lipski co chwilę spoglądał na zegarek. Około trzeciej nad ranem jego zdenerwowanie sięgnęło zenitu. Dokładnie za godzinę i czterdzieści minut rozpoczynał się świt, a technicy przebrnęli dopiero przez jakieś dwie trzecie składek. A przecież należało jeszcze skleić blok z okładką! Ci jednak posiadali więcej doświadczenia, więc upływ czasu ich nie irytował. Pracowali metodycznie, równym tempem.

Sklejenie bloku z okładką odbyło się nad wyraz prędko. Spece dobrali jeszcze odpowiedni papier na wyklejkę, którą zniszczyli podczas demontażu. Po jej odnowieniu księga była gotowa do drogi powrotnej.

\*\*\*

Zieliński był na skraju wytrzymałości nerwowej. Na dworze zrobiło się szaro, co oznaczało nadejście świtu, a pomocnik fachowca od tajnych przeszukań nie wracał. Spoglądając przez peryskop obserwacyjny, wypatrywał go co chwilę na krańcu ulicy, gdzie widział go po raz ostatni. W pewnym momencie prawie spanikował, gdyż obok warszawy, w której był zakamuflowany, przeszedł jakiś obcy człowiek. Oznaczało to, że zaczął się ruch ludzi zmierzających na pierwszą zmianę do pracy. Spojrzał na zegarek, była czwarta trzydzieści pięć. Zatem ci, co zaczęli robotę o szóstej gdzieś w znacznie oddalonej lokalizacji, będą za kilka, kilkanaście minut

opuszczać swoje mieszkania. Na szczęście zobaczył postać w ciemnym golfie i kolarce.

Pomocnik też chyba był ostro podenerwowany, gdyż niemal frunął z torbą na ramieniu. Przed pokonaniem parkanu nawet się nie rozejrzył. Było już tak jasno, że postanowił działać, nie zważając na okoliczności. Podbiegł pod okno, z którego wysunęła się ręka po torbę.

Funkcjonariusz czekający w pomieszczeniu biura parafialnego także był na granicy psychicznej odporności. Odetchnął z ulgą, jak tylko zamknął szafę z umieszczoną w niej na powrót księgą. W tym momencie z krótkofalówki dobiegł go głos asekurującego akcją oficera: „Nie jest bezpiecznie. Powtarzam, nie jest bezpiecznie, uruchamiam wóz”.

Idąca chodnikiem kobieta usłyszała odgłos odpalanego silnika w samochodzie stojącym jakieś pięćdziesiąt metrów przed nią. „Niektórzy to mają dobrze, nie muszą telepać się tramwajami” – pomyślała. Już chciała poużalać się w myślach na swój los słabo zarabiającej robotnicy, gdy zobaczyła dwie postacie przeskakujące przez ogrodzenie posesji należącej do miejscowej parafii. Osobnicy byli zamaskowani, niczym w gangsterskich filmach. Przebiegli ulicę i wskoczyli do garbatego auta, które momentalnie odjechało.

Kobieta skojarzyła, że doszło do przestępstwa, dopiero jak spostrzegła otwarte na oścież okno w szczytowej ścianie budynku plebanii.

\*\*\*

Lipski, Zieliński, pracownicy Biura „T” oraz specje od tajnych przeszukań znajdowali się w mieszkaniu konspiracyjnym SB. Panowała nerwowa atmosfera. „Włamywacze” mieli pretensje o to, że wszystko trwało tak długo i musieli ewakuować się z penetrowanego obiektu na oczach przygodnego świadka, Zieliński obwinał o całą sytuację techników, zaś ci wymownie milczeli. Jedynie Lipski starał się ocenić przebieg akcji na chłodno, nie ulegając emocjom.

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku – odezwał się w końcu. Tym stwierdzeniem rozładował napięcie. – Cel akcji został zrealizowany, zaś wykonawcy nie ulegli dekonspiracji. To najważniejsze. A jeśli chodzi o tę kobietę, która zauważyła nasze działania – specjalnie zaakcentował ostatnie dwa słowa, by



podkreślić wspólną odpowiedzialność za przeprowadzone czynności – to fakt ten nie ma żadnego znaczenia. Zgodnie z założeniami penetracja pomieszczenia zasadzała się na upozorowaniu włamania rabunkowego, więc prędzej czy później ktoś i tak odkryłby popełnienie przestępstwa. Jestem pewny, że pieniądze, a zwłaszcza owe tysiąc trzysta dolarów, które zniknęły z szuflady biurka, odwrócą uwagę proboszcza od szafy z księgami. A przecież to była istota naszej akcji. Panowie! – rzekł stanowczo, z entuzjazmem. – Wspaniała, rewelacyjna robota! Gratuluję wszystkim. Postaram się o premie.

Nastrój zmienił się diametralnie. Za sprawą butelki radzieckiego szampana, którą podporucznik przezornie dzień wcześniej ulokował w lodówce, nastąpiło zupełne rozluźnienie. Uczestnicy nocnych wydarzeń opowiadali teraz o swoich przeżyciach, dzielili się odczuciami, analizowali poszczególne etapy akcji. Nawet pochmurny Zieliński uśmiechnął się w końcu i z humorem zrelacjonował, „jak to o mało nie dostał sraczki, gdy zaczęło świtać i na ulicy pojawili się ludzie”. Każdy z obecnych zdawał sobie sprawę, że przyczynił się do czegoś wyjątkowego i brał udział w czymś, co jest niedostępne dla zwykłych ludzi. To napawało ich dumą i dawało poczucie wysokiej osobistej wartości.

Lipski udawał, że cieszy się razem ze wszystkimi, ale w rzeczywistości jego umysł był zaprzątnięty zupełnie inną kwestią. Już po raz któryś z rzędu analizował, czy podczas przygotowań całego przedsięwzięcia i jego realizacji udało się zachować w bezwzględnej tajemnicy jedno z nazwisk widniejących na arkuszu, jaki podmieniono tej nocy w parafialnej księdze metrykalnej, a którego nie było w oryginale. To nim miał się przecież posłużyć kandydat na nielegala, którego kapitan Nowaczyk przygotowywał do misji wywiadowczej w RFN, stąd też jego głębokie zakonspirowanie było tak naprawdę najważniejsze.

Przypomnił sobie poszczególne fazy zadania. Najpierw zdobył treść zapisów zarówno z pierwopisu księgi metrykalnej przechowywanej w biurze parafialnym, jak i wtóropisu znajdującego się w krakowskim Urzędzie Stanu Cywilnego. Czynności w USC wykonał samodzielnie, zaś Tajny Współpracownik, mający na co dzień dostęp do pomieszczenia na plebanii, dostał polecenie sfotografowania kilku ksiąg. Trwało to, co prawda, tygodniami, ale w ten sposób konfident nie mógł się nawet domyślić, czego dotyczyło zlecenie.

Kolejnym krokiem było wykonanie przez fachowców z Biura „T” arkusza do podmiany. Oni jednak nie sporządzali na nim nowych, odręcznych wpisów, a podczas prac introligatorskich po prostu nie byli w stanie czegokolwiek odczytać, znajdowali się także pod nadzorem podporucznika, więc nie mieli sposobności poznać nazwiska.

Osoba, która naniosła nowe odręczne wpisy, również nie mogła poznać przyszłych personaliów nielegała. Dostała wzór pisma z innych stron książki, więc nie była w stanie zidentyfikować różnicy pomiędzy oryginałem a falsyfikatem i do tego musiała wypisać aż trzydzieści dwa nazwiska, ponieważ na jeden arkusz przypadają w rzeczywistości cztery strony, a na każdej z nich umieszczone były dane ośmiu osób.

Speców od tajnych przeszukań w ogóle nie brał pod uwagę, gdyż ci nawet nie mieli możliwości zajrzeć do książki. Zresztą oprócz Zielińskiego wszyscy, których zaangażowano do operacji Storch, nie zostali z oczywistych względów poinformowani, czemu miała ona służyć. Znali tylko swoje wycinkowe zadania. To miało dodatkowo chronić sprawę o kryptonimie Atlas, której istotą był przerzut agenta polskiego wywiadu do Niemiec Zachodnich. „Wszystko zostało przeprowadzone zgodnie z zaleceniami Nowaczyka. Jak do tej pory nie ma nawet najmniejszej nieszczelności, przez którą mogłyby wyciec jakiegokolwiek informacje o tym, co robimy” – skonstatował oficer z Warszawy.

Dał znać porucznikowi Zielińskiemu, że chce z nim porozmawiać. Udali się do kuchni.

– Było trochę nerwowości, ale nie masz chyba wątpliwości co do rezultatów? – Lipski chciał potwierdzić swoją opinię o przebiegu akcji.

– Nie mam. Możemy odtrąbić sukces. Incydent z kobietą na ulicy faktycznie nie ma znaczenia – odparł funkcjonariusz krakowskiej ekspozytury wywiadu. – Co robimy dalej?

– Kolejny etap to podmiana arkusza we wtóropisie w Urzędzie Stanu Cywilnego. Należy także usunąć z rejestru zapis o małżeństwie matki naszego nielegała. Tam jednak wszystko przebiegnie bez problemu, nie trzeba się włamywać. Mamy przecież „na kontakcie” samego kierownika.

– Pytałem o to, co dalej z parafią. Zabezpieczamy milicyjne śledztwo?

– Absolutnie. Kryminalni na pewno niczego nie wykryją, więc lepiej nie pokazywać, że SB interesuje się tą sprawą. Należałoby się tylko spotkać z naszym TW z biura parafii w celu uzyskania informacji o reakcji proboszcza i jego otoczenia na włamanie, a także żeby zlecić dozоровanie tego, co się dzieje „wokół szafy z księgami”.

– Nie można tego jednak zrobić zbyt szybko, żeby ten człowiek nie skojarzył nocnych wydarzeń z naszymi zainteresowaniami. – Zieliński był oficerem, który potrafi przewidywać skutki operacyjnych działań.

– Masz rację – zgodził się Lipski. – Myślę, że nadszedł czas, by informator z plebanii podlegał bezpośrednio tobie. Mogę cię także poinformować, że kapitan Nowaczyk chciałby, żebyś docelowo samodzielnie – zaznaczył wyraziście – pilotował operację Storch w Krakowie. To będzie tylko twoja działka, Olgierd.

Zieliński poczerwieniał na twarzy z ukontentowania. Potem spowaźniał, co jednoznacznie świadczyło o tym, że jest najwłaściwszym człowiekiem do realizacji tego zadania.

– Możesz przekazać swojemu szefowi, że się nie zawiedzie – obiecał. ■

Niełatwo jest odnaleźć człowieka. Nawet jak zna się jego imię i nazwisko oraz orientacyjny wiek. Vesely przyjął, że Iwona Grodzka, dawna sympatia Kalenika, urodziła się w tym samym roku co historyk. Nie mógł jednakże wykluczyć, że była nieznacznie młodsza lub starsza. Oczywiście, najszybciej odszukałby ją poprzez uniwersytet, jednak obawiał się, że uczelniany pracownik administracyjny, zgodnie z zasadami RODO, zażąda od niego formalnego wniosku o udostępnienie danych osobowych.

Personalalia dziewczyny, często spotykane, nie ułatwiały poszukiwań. System PESEL, do którego miał dostęp w komendzie, wskazał, że w Krakowie zamieszkuje sześć Iwon Grodzkich. Wśród nich dwie kwalifikowały się ze względu na wiek. Podkomisarzowi nie pozostało nic innego, jak każdej z nich złożyć wizytę.

Niestety, ze względu na obowiązki zawodowe nie mógł swojego zamierzenia zrealizować tak szybko, jak by chciał. Naczelnik Prędko zasypał go zadaniami, które uniemożliwiły mu działanie w godzinach służbowych. Początkowo zrodziło to w nim frustrację, lecz później pomyślał, że do wytypowanych kobiet najlepiej będzie pojechać późnym popołudniem, a nawet wieczorem. Wtedy bowiem miał największe szanse spotkania ich w miejscach zameldowania, gdyż we wcześniejszych godzinach one także przecież mogły być w pracy.

Pierwszego dnia nic nie ustalił, gdyż pod żadnym z dwóch adresów nikogo nie zastał. Stracił jedynie mnóstwo czasu, ponieważ musiał przejechać dosłownie przez całe miasto. Następnego dnia udało mu się dotrzeć, co prawda, do jednej z Iwon, ale to nie była ta, której szukał. Policjant nabrał pewności, że druga Grodzka okaże się tą właściwą. Wybrał się do niej dość późną porą. Niestety, dosłownie odbił się od drzwi mieszkania, w którym była formalnie zameldowana. Gdy sobie uświadomił, że kolejny dzień należy uznać za stracony, wkurzył się. Postanowił zadziałać tak, jakby to zrobił podczas oficjalnych policyjnych czynności. Zastukał do najbliższych sąsiadów. Od nich dowiedział się, że pani Iwona jest kelnerką w jednej z modnych restauracji znajdujących się w okolicach rynku i zazwyczaj

wraca z pracy po północy. Nie namyślając się długo, pojechał tam. Był bardzo zaniepokojony. Nie pasowało mu to, że absolwentka historii wykonuje tak odmienny zawód. Rozwiązał jednak swoje obawy, gdyż przypomniał sobie różnych dawnych kolegów z matematycznych studiów, którzy także zarabiali pieniądze w sposób nieodpowiadający ich kwalifikacjom.

Rozmowa z kelnerką trwała krótko. Nie znała historyka, nigdy nawet nie studiowała. Koncepcja Zygmunta rozsypała się jak domek z kart.

Zastanawiał się, co powinien zrobić. Odpowiedź była w zasadzie tylko jedna: albo uda się na uniwersytet, albo rozszerzy kryteria wyszukiwania w systemie PESEL. Przemyślał rzeczowo drugą możliwość. Dokładnie przecież pamiętał, jak matka Kalenika powiedziała, że narzeczona jej syna była z Krakowa. Doszedł do wniosku, że mogło to oznaczać: z miasta Krakowa, a także z bliskich okolic Krakowa. Postanowił zatem sprawdzić, ile Iwon Grodzkich zamieszkuje w powiatach otaczających stolicę Małopolski. Komputer wyświetlił dane personalne tylko jednej kobiety, urodzonej w tym samym roku co nieżyjący historyk.

Stał w korku na alei wiodącej z centrum miasta w kierunku południowym. Ruch praktycznie zamarł od natłoku pojazdów. Vesely jednak nie denerwował się. Kiedy po zakończeniu służby wyszedł z komendy, zdawał sobie sprawę, że tak właśnie będzie, zaczynał się przecież weekend. Jego celem była niewielka podkrakowska miejscowość. Tam miał nadzieję spotkać wreszcie eksnarzeczoną Kalenika.

Na miejsce jechał prawie półtorej godziny, choć dystans wynosił tylko nieco ponad dwadzieścia kilometrów. Zaparkował przed dwupiętrowym budynkiem. Miał szczęście. Po naciśnięciu przycisku domofonu z głośniczka odezwał się damski głos. Przedstawił się jako policjant i zaanonsował, że chce porozmawiać z Iwoną Grodzką. Usłyszał szcęk magnetycznego zamka.

Młoda kobieta o przeciętnej urodzie zrobiła na nim bardzo korzystne wrażenie. Od razu wydała mu się osobą miłą, otwartą i przystępną, co przypomniało mu słowa matki Kalenika oceniające bardzo pozytywnie narzeczoną syna. Odniosła się do wykonywanego przez niego zawodu z respektem. Nie pytając, o co chodzi, potwierdziła fakt utrzymywania bliskich relacji z historykiem. Zaprosiła go do mieszkania, posadziła w fotelu i zaoferowała herbatę.

Zygmunt przeprosił ją taktownie za najście o późnej, przedweekendowej porze oraz za to, że zmuszony jest domagać się od niej „powrotu do zapewne ciężkich wspomnień”. Wypowiedział to w sposób tak dystyngowany, że dziewczyna zaczęła się mu przyglądać z ogromnym zainteresowaniem. Zauważył to i oczywiście zdecydował się wykorzystać.

– Dlaczego policja jeszcze interesuje się Sylwkiem? Od pogrzebu minęło już przecież sporo czasu. – Grodzka ubiegła go pytaniem.

– Prowadzimy wewnętrzne postępowanie wyjaśniające. Okazało się, że nasz funkcjonariusz prowadzący sprawę wypadku pana Kalenika nie dopełnił swoich obowiązków. Proszę się nie obawiać, to rutynowa procedura. – Skłamał lekko, bez jakichkolwiek zahamowań. Założył, że najpewniej nie wiedziała, czym jest w policyjnej robocie „niedopełnienie obowiązków”, a tym bardziej pojęcie „rutynowej procedury”, i nie chcąc wyjść na ignorantkę, przyjmie jego tłumaczenie bez zastrzeżeń. Pomylił się. Jego rozmówczyni okazała się osobą dociekliwą, dla której niewiedza stanowiła wyzwanie, a nie powód do wstydu.

– A co to oznacza, że nie dopełnił obowiązków? – spytała z zaciekawieniem.

Vesely zmieszał się, ale nie dał tego po sobie poznać. Strzelił w ciemno:

– Z dokumentacji wynika, że w sprawie śmierci pana Kalenika nikt z panią nie rozmawiał, a przecież byliście w związku.

Zygmunt przyjął, że jeżeli ktoś z policji jednak spotkał się z Grodzką, to właśnie ów wyimaginowany brak odnotowania tego faktu w papierach stanie się jego alibi.

– Rzeczywiście, nikt u mnie nie był – potwierdziła kobieta. – Ale dlaczego to jest takie istotne?

– W przypadku każdego zgonu, który nie nastąpił z przyczyn naturalnych lub medycznych, jesteśmy zobowiązani sprawdzić trzy opcje: czy był to wypadek, samobójstwo, czy może morderstwo? Dlatego tak ważne jest przeprowadzenie wywiadów z najbliższymi ofiary. Chciałbym prosić, by opowiedziała mi pani o charakterze Sylwestra Kalenika, o tym, jakim był naukowcem oraz dlaczego się rozstaliście.

– A proszę mi powiedzieć jeszcze, jak dowiedzieliście się, że byłam partnerką Sylwka? Od jego rodziców?

– Nie, od jego bliskiego znajomego z częstochowskiego uniwersytetu. – Vesely nie mógł pozwolić, by ktokolwiek wiedział, że złożył wizytę w podrzeszowskiej wsi.

– Proszę wybaczyć, że tak wypytyuję, ale pana pojawienie się jest tak niespodziewane – rzekła przepraszająco. – Oczywiście, może pan liczyć na moją pomoc – dodała. Zastanawiała się, od czego zacząć.

Podkomisarz pomógł jej:

– Na początek proszę opowiedzieć, jakim pan Kalenik był człowiekiem.

Vesely wyciągnął notatnik służbowy i długopis, by nadać całej sytuacji pozory prowadzenia oficjalnych czynności.

Pani Iwona wysławiała się rzeczowo, logicznie i w sposób uporządkowany formułowała myśli. Zygmunt słuchał jej niezbyt uważnie, znał już przecież profil psychologiczny historyka. Chodziło mu tylko o to, by rozmówczyni oswoiła się z jego obecnością i faktem indagacji. Kiedy podjęła temat pracy zawodowej eksnarzeczonego, przerwał jej:

– Rozmawiałem z promotorem pana Kalenika. Wypowiadał się o swoim doktorancie w samych superlatywach – konfabulował. – Oceniał go jako bardzo zdolnego naukowca. Ponoć dokonał jakiegoś bardzo ważnego odkrycia. Czy to prawda? – Zygmunt dążył do zdobycia istotnych informacji.

– Zgadza się – odparła Grodzka, wzdychając ciężko. Na jej twarzy pojawił się smutek.

– Czy poruszyłem niewygodny temat? – zareagował policjant.

– Tak naprawdę ten jego doktorat oraz owo odkrycie były główną przyczyną naszego rozstania. – Młoda kobieta odpowiedziała cicho, jakby przyznawała się do czegoś wstydliwego.

– Nie rozumiem, dlaczego? – Zygmunt rzeczywiście nie mógł pojąć, jak praca naukowa mogła doprowadzić do rozpadu ich związku.

– Kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, a byliśmy wtedy na drugim roku studiów, to Sylwek miał zupełnie inne podejście do życia oraz siebie samego niż później, jak pisał doktorat. Był wesoły, otwarty na świat i innych ludzi. Chociaż dawało się odczuć, że jest nasiąknięty jakąś taką wiejską mentalnością, to miał w sobie duże pokłady empatii. Odkąd jednak dostał się na studia doktoranckie, te pozytywne

cechy zaczęły zanikać. Stawał się coraz bardziej nieufnym, egoistycznym, skąpym, skupionym na sobie człowiekiem. A po obronie doktoratu zmienił się zupełnie.

– Może przyczyną tej przemiany był fakt, że odrzucono jego kandydaturę do pracy na krakowskiej uczelni?

– Odmowę zatrudnienia na wydziale historycznym przeżył bardzo dotkliwie. Nie mógł uwierzyć, że mimo świetnej rozprawy doktorskiej nie jest godny, by zostać tamtejszym pracownikiem naukowo-dydaktycznym.

– A co to było za odkrycie? Jego przyjaciel z Częstochowy mówił mi, że chodziło o jakieś esbeckie tajemnice z czasów peerelu. – Zygmunt zawęził rozmowę.

– Sylwek odnalazł w archiwum IPN jakiś pojedynczy dokument, który świadczył o prowadzeniu w Krakowie przez komunistyczny wywiad ściśle tajnej operacji, o istnieniu której nikt dotąd nie wiedział. Uchwycił się tego, wierzył, że w oparciu o tę historię zbuduje sobie mocną pozycję w branży naukowej. Jego celem było jak najszybsze zrobienie habilitacji. Marzył, że kiedyś zostanie sławnym profesorem.

– Zawsze myślałem, że studiowanie historii to nudne zajęcie – rzekł podkomisarz prowokacyjnie.

– Ani trochę, sama ukończyłam ten kierunek. Historia jest fascynująca.

– I co pani teraz robi jako historyk?

– Jestem nauczycielką w najlepszym krakowskim liceum – odpowiedziała z dumą.

– Gratuluję. A swoją drogą, udało się panu Kalenikowi zdyskontować owo odkrycie?

– Niestety. Nie mógł odnaleźć żadnych innych materiałów, na bazie których rozpoczęłyby proces badawczy i w konsekwencji napisałby oraz opublikował monografię naukową. Doprowadzało go to do pasji. Jak zatrudnił się w Częstochowie, to wszelki wolny od pracy czas spędzał w centralnym archiwum IPN. Wszystkie pieniądze wydawał na podróże i pobyt w Warszawie. Obserwowałam z żalem, jak popada w obsesję.

– I zapominał o waszym związku? – Vesely zagrał na sentymentalnej nucie.



– Tak, miał dla mnie coraz mniej czasu. Kiedy stwierdziłam, że jego praca jest ważniejsza ode mnie, postanowiłam odejść.

– To smutne, niczego nie osiągnął, a do tego stracił kochającą go osobę – podkomisarz podsumował opowieść Grodzkiej.

– Tu się pan myli – zareagowała na te słowa kobieta. – Kiedy wydał doktorat w formie książki, zrobił się wokół niego szum. Zaproszono go nawet do TVP Historia. Wpadł także na jakiś nowy trop tej tajemniczej operacji.

– Taaak? – Mowa ciała policjanta odzwierciedlała wzbierającą w nim błyskawicznie ciekawość.

– Myślałam, że mamy szansę znowu być razem – pani Iwona kontynuowała wspomnienia. – Że jak już odnajdzie to, czego szukał, wszystko się unormuje. Zresztą Sylwek mi obiecywał, że tak właśnie będzie. Niestety, stało się inaczej. Jego obsesja nie zniknęła, tylko zmieniła formę. Tym razem nie przesiadywał w warszawskim archiwum, ale w krakowskich kościołach.

– W kościołach?! – Zygmunt był niemal pewien, że Kalenik zwariował.

– W kościołach – potwierdziła Grodzka. – A raz nawet prowadził swoje poszukiwania w hospicjum.

Podkomisarz nie odzywał się, ostatnie zdanie go zelektryzowało. Przypomniał sobie nazwisko: Zdzisław Tekiel. Postanowił spytać wprost:

– A wie pani może, w jakim hospicjum?

– Nie – padła odpowiedź. – Dowiedziałam się o tym przez przypadek. Pewnego razu Sylwek umówił się ze mną w kawiarni. Spóźnił się, więc do niego zadzwoniłam. Jakby nic się nie stało, powiedział, że nie przyjdzie, gdyż odnalazł jakiegoś świadka, który był nieuleczalnie chory i przebywał właśnie w hospicjum. Nie słuchałam dłużej jego tłumaczeń, rozłączyłam się. Postanowiłam definitywnie z nim zerwać. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że była to nasza ostatnia rozmowa. Jakiś miesiąc później już nie żył. – Skryła twarz w dłoniach na to wspomnienie, lecz nie rozplakała się. Vesely kuł żelazo, póki gorące:

– A czego on właściwie szukał w tych kościołach?

– Nie mam pojęcia. W każdy weekend przyjeżdżał z Częstochowy do Krakowa i zamiast spędzać czas ze mną, biegał po różnych świątyniach. Trwało to wiele tygodni. Kiedyś go nawet zapytałam, co ma nadzieję w nich odnaleźć. Odparł, że

nie może mi odpowiedzieć, żeby nie zapeszyć. Poczułam się zlekceważona, nie poruszyłam już nigdy potem tego tematu.

– Czyli nie wiadomo, czy cokolwiek odnalazł?

– Ja już tego się nie dowiedziałam. – Grodzka powiedziała to wolno, patrząc na policjanta niewidzącym wzrokiem. Myślami błędziła chyba gdzieś w przeszłości.

Ocknęła się po chwili i zapytała:

– Czy pomogłam w jakiś sposób? Czy coś jeszcze pana interesuje? – Najwyraźniej chciała skończyć rozmowę.

– Jestem ogromnie wdzięczny – odrzekł podkomisarz. – Dzięki pani będę mógł w raporcie dokładnie przedstawić stan psychiczny pana Kalenika oraz jego sytuację życiową i zawodową – znowu skłamał.

– Proszę mi powiedzieć... Czy... Czy Sylwek... – Głos młodej kobiety drżał z emocji. – Czy podejrzewacie, że Sylwek popełnił samobójstwo? – zdobyła się wreszcie na odwagę.

– Nie. – Zygmunt odpowiedział zdecydowanie. – To na pewno nie było samobójstwo. – Chciał, żeby to było ostatnie kłamstwo podczas tego spotkania, ale spojrzał na Grodzką i widząc utrzymujące się napięcie na jej obliczu, dodał: – To był wypadek, proszę pani. Tragiczny wypadek. Po prostu splot złych okoliczności.

\*\*\*

Zaraz po wyjściu od narzeczonej Kalenika Vesely zadzwonił do pani Marii, siostry Strypuli. Niestety, nie wiedziała, gdzie opiekowano się Tekielem, nie miała także pojęcia, czy w ogóle dawny kolega jej brata jeszcze żyje.

Gdy dotarł do mieszkania, zjadł naprędce przygotowaną kolację i zasiadł do komputera. Chciał zdobyć numery telefonów do wszystkich hospicjów. Gdy udało mu się odnaleźć w Internecie odpowiedni spis, stwierdził, że musi wziąć pod uwagę całe województwo małopolskie. Okazało się także, że są trzy rodzaje takich instytucji: hospicja domowe, stacjonarne oraz oddziały opieki paliatywnej w szpitalach. Musiał zatem zdobyć wiedzę, jakie świadczą usługi, by dokonać prawidłowego wyboru. Gdy na koniec poszukiwań wykreślił z listy wszystkie hospicja dziecięce, pozostało mu dwadzieścia siedem numerów telefonów.

W sobotę rano rozpoczął wydzwanianie. Po kilku próbach zrezygnował. Pracownicy placówek, z którymi zdołał porozmawiać, mieli mu do przekazania tylko jedną wiadomość: w weekendy nie ma nikogo uprawnionego do udzielania jakichkolwiek informacji o pacjentach. Nie pozostawało nic innego, jak poczekać do poniedziałku.

Z komendy w każdej wolnej chwili obdzwaniał hospicja. Wreszcie po wykonaniu kilkunastu telefonów uzyskał konkretną informację: Zdzisław Tekiel był pacjentem jednej z podkrakowskich placówek opiekuńczych, zmarł kilka tygodni temu.

Zygmunt załamał się. Pękła ostatnia nić, której końcówki się uchwycił i miał nadzieję dojść do kłębka. „Co można jeszcze zrobić?... CO ZROBIĆ?...” – krzyczał w myślach tak głośno, że aż odruchowo przygryzał sobie wargi, co zauważyli jego współpracownicy z pokoju i zaczęli się dopytywać, czy wszystko u niego w porządku. Wyszedł na korytarz, by zebrać myśli.

Zastanawiał się nad całą sytuacją. Analizował jeszcze raz to, czego dowiedział się od narzeczonej historyka. Przypomniały mu się słowa Grodzkiej, gdy opowiadała o tym, jak to nie doszło do jej randki w kawiarni: „Spóźniał się, więc do niego zadzwoniłam. Jakby nic się nie stało, powiedział, że nie przyjdzie, gdyż odnalazł jakiegoś świadka, który był nieuleczalnie chory i przebywał właśnie w hospicjum”. Veselmu coś nie pasowało. „Zaraz, zaraz!” – pomyślał. „Po co Kalenik jechał do hospicjum, skoro facet był całkowicie sparaliżowany, nie mówił, a pożywienie przyjmował przez rurkę?” Wrócił do pokoju służbowego. Wziął do ręki notatnik, przekartkował go i odnalazł numer telefonu byłego esbeka z Nowej Huty. Ten potwierdził, że młodemu naukowcowi także opowiedział o Tekielu. Zatem źródło uzyskania przez niego informacji o krakowskim przedstawicielu wywiadu Urzędu Ochrony Państwa z początku lat dziewięćdziesiątych zostało ustalone. Jednak Kalenik nie mógł przecież na tym etapie wiedzieć, że Tekiel był nieuleczalnie chory i nie ma z nim kontaktu. Oznaczało to, iż rozmawiał jeszcze z kimś, kto naprowadził go na hospicjum. Vesely miał dwa wyjścia: albo odszukać tego kogoś, albo spróbować zdobyć jakiś ślad w ośrodku opiekuńczym. Wybrał to drugie rozwiązanie. Zaraz po skończeniu służby zamierzał zrealizować swoje postanowienie, lecz zadzwonił Gordon. Był w Krakowie, chciał się spotkać.

\*\*\*

Ciasny, a zarazem ciemny pokój hotelowy, w którym rozlokował się pułkownik, uzmysłowił Zygmuntowi, iż Agencja Wywiadu najprawdopodobniej nie dysponuje odpowiednim do potrzeb budżetem. Przywitali się jak dobrzy znajomi. Nie ulegało wątpliwości, że akcja w podrzeszowskiej wsi w jakiś nieokreślony sposób zbliżyła ich do siebie. Tak przynajmniej wydawało się Veselemu, gdyż oficer wywiadu zachowywał się wobec niego inaczej niż do tej pory. Podkomisarz nazwał to w myślach „zauważalnym skróceniem dystansu w relacjach wzajemnych”. Gordon był odprężony i zadowolony, pełen entuzjazmu, co wyraził zaraz po tym, jak policjant wszedł do pokoju.

– Działamy na pełnych obrotach – mówił. – Przyjechałem z dwoma kolegami i od rana pracujemy w archiwum Urzędu Miasta Krakowa.

– Szukacie dzieciaka? – Zygmunt bardziej stwierdził, niż spytał.

– Zgadza się. W archiwum urzędu zlokalizowaliśmy księgi ewidencyjne wychowanków ze wszystkich powojennych krakowskich domów dziecka. Jestem pewny, że jutro lub pojutrze natrafimy na tożsamość, z której skorzystał Bjorn. A wtedy odnalezienie go w Niemczech będzie tylko kwestią czasu – dokończył hurraoptymistycznie.

– A co z laptopem Kalenika? Odkryliście coś? – Vesely był ciekaw, czy jego karkołomna wyprawa do rodziców historyka na coś się przydała.

– Niestety, miał pan rację, podkomisarzu – odrzekł pułkownik. – Nasz specjalista potwierdził pana spostrzeżenie, że część plików została usunięta w dniu śmierci młodego naukowca. Próbował je odzyskać, lecz ten, kto wykasował dane, najprawdopodobniej użył specjalistycznego oprogramowania do bezpowrotnego ich zniszczenia. Wszystko, co pozostało, jest dla nas nieprzydatne.

– Przynajmniej macie kolejny niezbity dowód, że przeciwnik istnieje. – Policjant uśmiechnął się z satysfakcją.

– Istnieje i zapewne działa – potwierdził oficer wywiadu. – Szczerze mówiąc, to szlag mnie trafia, nie wiemy, w jakim punkcie się znajduje i dokąd zmierza.

– Jak to nie wiecie? – Vesely zdumiał się. – Przecież to chyba oczywiste, że chce podporządkować sobie Bjorna.

– Panie podkomisarzu – w głosie Gordona zabrzmiała nuta uszczypliwości – gra pan w szachy, a tak krótkowzrocznie patrzy na całą sprawę. To jasne jak słońce, że przeciwnik chce zmusić starego nielegala do współpracy. Ale tak naprawdę nie to jest najważniejsze.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Zygmunt poczuł się jak skarcony nowicjusz wywiadowczego fachu.

– Najistotniejsze jest to, w jakim celu jest potrzebny.

– Żeby przekazywał jakieś tajne informacje. – Dla Veselego odpowiedź była jednoznaczna.

Pułkownik pokręcił głową z dezaprobatą. Zastanawiał się nad czymś. Po chwili rzekł:

– Załóżmy, że nasz Bjorn urodził się między trzydziestym dziewiątym a czterdziestym szóstym rokiem. Obecnie ma jakieś siedemdziesiąt trzy do osiemdziesięciu lat. Jest zatem zaawansowanym emerytem. Moim zdaniem istnieje niewielka szansa, że posiada dostęp do jakichkolwiek tajemnic, które zazwyczaj znajdują się w dobrze chronionych instytucjach.

– Ale może obraca się w ciekawym środowisku, zna ważnych ludzi, na przykład polityków albo wojskowych? – Zygmunt kombinował na głos.

– Może – odparł Gordon. – Ale tego dowiemy się dopiero, jak go odnajdziemy.

– Kogo typuje pan na przeciwnika? – Vesely zastanawiał się nad tą kwestią już od dłuższego czasu.

– Teraz jeszcze nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Hipotetycznie można przyjąć, że mogą to być Rosjanie, Żydzi, Chińczycy albo jakaś grupa lobbystyczno-biznesowa.

– A na kogo by pan postawił najwięcej?

– Biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z potrójnym morderstwem, to najmniej pasują mi do tej układanki Chiny i Izrael. A co u pana? Posunął się pan do przodu w swoich poszukiwaniach? – Pułkownik zmienił temat.

Podkomisarz opowiedział dokładnie o swoim spotkaniu z byłą narzeczoną historyka. Na koniec przedstawił najważniejszy wniosek:

– Chociaż Zdzisław Tekiel nie żyje, muszę dowiedzieć się, po co Kalenik jeździł do hospicjum. Czy „odbił się od ściany”, gdy stwierdził, że z chorym nie ma

komunikacji, czy też uzyskał jakimś sposobem nowe informacje?

– Dlaczego uważa pan, że to takie ważne? – Gordon nie potrafił ocenić zamysłu podkomisarza. Zresztą dla niego liczyły się teraz tylko poszukiwania w miejskim archiwum. Był przekonany, że dzięki nim postać Bjorna zostanie szybko odtajniona.

– Po pierwsze, po miesiącu od wizyty w hospicjum nasz historyk został zamordowany, a po drugie, jest to ostatnia zaczepka, jaką posiadam. Nic więcej nie mam.

– No cóż, rozumiem pana, podkomisarzu. Życzę w takim razie powodzenia. Przypuszczam jednak, że w tym tygodniu, niezależnie od pana działań, zakończymy poszukiwania z powodzeniem.

Vesely spuścił nos na kwintę. Tak bardzo chciał, by ostateczne rozwiązanie całej zagadki było także jego sukcesem.

\*\*\*

Hospicjum, w którym przebywał Zdzisław Tekiel, było ekskluzywne. Zygmunt zawsze kojarzył takie miejsca z brakiem środków finansowych, cierpieniem oraz specyficzną wonią niedomytych, starczych ciał, chorobowych wydzielin i śmierci. Tu wszystko przeczyło temu stereotypowi. Już wygląd recepcji uświadamiał, że ośrodek opiekuńczy przeznaczony jest dla bardzo zamożnych pacjentów. Poprosił młodą, dość atrakcyjną pracowniczkę, siedzącą za kontuarem, żeby skierowała go do kierowniczkę, z którą rozmawiał wcześniej przez telefon.

Trafił do niewielkiego, skromnie, choć nowocześnie wyposażonego gabinetu. Przebywającej tam kobiecie okazał policyjną legitymację oraz zdjęcie Kalenika. Niestety, ta nigdy nie widziała historyka, a tym bardziej nie wiedziała, żeby ktoś taki odwiedzał Tekiela. Zygmunt poczuł, że nitka, która miała go zaprowadzić do kłębka, wmyka mu się z rąk. Zastanowił się i spojrzął na zegarek. Było dziesięć minut po piętnastej. Zwrócił się do kierowniczkę:

– Przepraszam bardzo, do której godziny zwykle pani pracuje?

– Do piętnastej trzydzieści, ale dlaczego to pana interesuje? – Kobieta była najwyraźniej zbulwersowana pytaniem policjanta. Odebrała to tak, jakby ten rozliczał ją z obowiązków.

Vesely uśmiechnął się rozbrajająco i odrzekł wymijająco:

– Po prostu uświadomiłem sobie, że jakbym przyjechał później, to nie zastałbym pani. Miałem jednak szczęście. No cóż, chociaż niczego się nie dowiedziałem, to mimo wszystko bardzo dziękuję za współpracę.

Kierowniczka, wyraźnie uspokojona, wyszła zza biurka, by się pożegnać.

Podkomisarz wszedł do samochodu, lecz nie odjeżdżał. Czekał. Przed chwilą, gdy był jeszcze w gabinecie, doszedł do wniosku, że Kalenik najprawdopodobniej przyjechał do hospicjum popołudniową porą albo w dzień wolny od pracy, dlatego kierowniczka nie zidentyfikowała go na zdjęciu. Stąd też wynikało jego pytanie o to, kiedy kobieta kończyła zazwyczaj roboczy dzień.

Minęła piętnasta trzydzieści i w wyjściu z placówki ukazała się postać jego niedawnej rozmówczynie. Na parkingu podeszła do błyszczącego nowością auta, którym odjechała. Vesely odczekał jeszcze kilka minut, po czym ruszył z powrotem do hospicjum.

Zanim odezwał się do młodej recepcjonistki, okazał policyjną legitymację oraz zdjęcie nieżyjącego naukowca.

– Czyżby szefowa panu nie pomogła? – Dziewczyna na widok dokumentu zareagowała z niejakim przekąsem. Z miejsca wydała się Zygmuntowi rezolutną osobą.

– Niestety, nie – odpowiedział. – Wróciłem, gdyż zauważyłem, że wasza kierowniczka właśnie skończyła pracę, i pomyślałem sobie, że człowiek ze zdjęcia mógł przyjść do waszego ośrodka, gdy jej już nie było na miejscu. Dlatego nie zdołała mi nic powiedzieć na jego temat. Doszedłem także do wniosku, że osoba, która na pewno może mi pomóc, to ktoś, kto pracuje na recepcji, czyli właśnie pani. – Mrugnął do niej poufale, co ona przyjęła jako przejaw flirtu.

– Ale mi nie wolno udzielać żadnych informacji bez zgody przełożonej, nawet takiemu policjantowi jak pan. – Dziewczyna powiedziała to tak kokieteryjnie, że wprowadziła Veselego w stan erotycznego podniecenia. Jakby tego było mało, przed oczyma mignęło mu nagie ciało Justyny.

– Ale jak ładnie poproszę, to chyba nie odmówi mi pani pomocy. – Jego głos zabrzmiał teraz nieco ciszej i przez to zaintrygował recepcjonistkę.

– A ten facet ze zdjęcia to jakiś przestępca? – Ciekawość nakazała dziewczynie wejść w interakcję.

– Ofiara. Prawdopodobnie został zamordowany – odrzekł momentalnie Zygmunt.

– O Boże! – wyszeptała pracownica. Teraz była przerażona. – Pamiętam go. Był u nas. Chciał się widzieć z jednym z naszych podopiecznych.

– Z kim?

– Z panem Tekielem, ale jego już niestety nie ma, zmarł kilka tygodni temu. Zresztą, nawet gdyby żył, to i tak panu by nic nie powiedział. Był całkowicie sparaliżowany.

– Niech pani mi wszystko opowie o tej wizycie – poprosił podkomisarz.

– Pojawił się u nas po południu, kiedy nie było już kierowniczkki. Przedstawił się jako pracownik naukowy jakiegoś uniwersytetu, mówił, że prowadzi badania historyczne. Chciał się widzieć z Tekielem, gdyż ten był ponoć jakimś ważnym dla niego świadkiem. Poinformowałam go, że tylko kierowniczkka może zezwolić na odwiedziny, i zasugerowałam, żeby przyszedł, kiedy ona będzie w pracy. On jednak powiedział, że przyjechał specjalnie z Częstochowy, i poprosił o telefon do szefowej.

– Dostał zgodę? – Vesely postanowił przyspieszyć relację.

– Nie dałam mu numeru. Kierowniczkka nie lubi, jak się jej przeszkadza po godzinach urzędowania. Opieprzyłaby mnie za to. On jednak nadal bardzo prosił, bym umożliwiła mu odwiedziny. Pokazywał mi nawet swoją książkę, żebym uwierzyła, że jest naukowcem.

– Wpuściła go pani?

– Nie. Powiedziałam mu, że odwiedziny nic mu nie dadzą, gdyż z Tekielem nie ma kontaktu. Poprosiłam nawet o przyjście na recepcję naszego pracownika, Marka, pielęgniarza, który opiekował się panem Zdzisławem. Chciałam, by wytłumaczył, w jakim stanie był jego podopieczny. On potwierdził, że Tekiel nie jadł samodzielnie, nie mówił, a jedyny ruch, jaki potrafił wykonać, to mruganie oczami.

– Mruganie oczami?! – Zygmunt drgnął.

– Tak, tylko mruganie – potwierdziła dziewczyna.



– To dlaczego wcześniej mówiła pani, że nie było z nim kontaktu? – W głosie policjanta zabrzmiało podekscytowanie, a zarazem odrobina złości.

– A co to za kontakt? – Recepcjonistka wzruszyła ramionami. – Pan Zdzisław dawał mrugnięciem znak tylko wtedy, gdy chciało mu się pić lub gdy trzeba mu było zmienić pampersa.

– I ten Marek powiedział o tym naukowcowi?

– Tak – padła odpowiedź.

– A czy jest on może teraz w pracy?

– Już dzwonię po niego. – Dziewczyna chciała się najwyraźniej zrehabilitować.

Kilka minut później podkomisarz ujrzał drobnego, młodego mężczyznę o smutnym wyrazie twarzy, sprawiającego wrażenie, że jest ustawicznie zmęczony. Jego depresyjny wygląd pogłębiał biały szpitalny uniform, w który był odziany. Zygmunt okazał mu legitymację policyjną, czym powiększył zafrasowanie na jego obliczu, oraz zaproponował rozmowę na osobności, co z kolei wyzwoliło niezadowolenie u recepcjonistki.

Usiedli na krzesłach w niewielkim holu ośrodka. Podkomisarz wyciągnął przed nos pielęgniarza fotografię Kalenika. Tamten wyraźnie wpadł w popłoch. Vesely zinterpretował to jak doświadczony śledczy i postanowił zablokować. Wypalił z grubej rury:

– Wiem, że mężczyzna ze zdjęcia widział się z Tekielem. Interesuje mnie, jak przebiegało to spotkanie.

Smutny facet doznał ze strachu szczękościsku. Nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Policjant musiał go więc najpierw przekonać, że nic mu z jego strony nie grozi, nawet jeśli postąpił nieetycznie lub niezgodnie z prawem. W efekcie ten uspokoił się i zaczął opowiadać:

– Jak powiedziałem, że z panem Zdzisławem nie ma praktycznie kontaktu, to ten naukowiec poszedł sobie. Byłem bardzo zdziwiony, gdy wychodząc z pracy, zauważyłem go na parkingu. Podszedł i zaproponował rozmowę. Bardzo mnie zaintrygował, więc zgodziłem się. Interesowało go przede wszystkim to, czy Tekiel może mruganiem odpowiadać na pytania w formule: „tak”–„nie”. Odpowiedziałem, że może, co było zgodne z prawdą, gdyż ja, lekarz i inni pracownicy kontaktowaliśmy się z nim w ten sposób w sprawach bytowych.

– Domyślałam się, że chciał się zobaczyć z pana podopiecznym.

– Zgadza się. Zaproponował mi nawet łapówkę, ale odmówiłem. – To zdanie zabrzmiało jak oświadczenie, co skłoniło policjanta do przyjęcia założenia, że było dokładnie odwrotnie. – Był bardzo zawiedziony – kontynuował pracownik. – Długo nalegał, żebym wziął forszę i wpuścił go na pół godziny. Nie uległem jednak. Lubię swoją pracę i nie chciałbym jej stracić przez głupotę – wyjaśnił.

– No to jak doszło do tego, że w końcu spotkał się z Tekielem? – Zygmunt dążył do sedna.

– On bał się, że kierowniczka może nie zezwolić na wizytę. No to ja mu podpowiedziałem, że ona nie jest w tym przypadku osobą decyzyjną.

– A kto, do cholery, był? – Podkomisarz nie wytrzymał.

– Prawny opiekun, czyli córka pana Zdzisława – odrzekł pielęgniarz. – Szefowa była jedynie zobowiązana do przekazywania jej informacji o wszystkich sprawach dotyczących ojca.

– Rozmawiałem z kierowniczką i ona twierdziła, że naukowiec nigdy się z nią nie kontaktował. Logiczne jest zatem, że to nie dzięki niej dotarł do prawnego opiekuna Tekiela. Co pan na to? – Podkomisarz postawił pytanie twardo, a jego rozmówca znowu skurczył się ze strachu.

– Przyznaję się. Dałem mu numer telefonu.

– A skąd pan go w ogóle miał?

– Pani Alicja, to znaczy córka pana Zdzisława, podała go do wiadomości lekarzy i pielęgniarzy, żeby ją szybko zawiadomić, niezależnie od pory dnia i nocy, gdyby jej ojciec umierał.

– Rozumiem – odparł na to Zygmunt, po czym spytał: – Był pan świadkiem spotkania?

– Nie. Jeśli doszło do skutku, to nie odbyło się na mojej zmianie.

Podkomisarz zastanawiał się przez chwilę. W końcu rzekł:

– Zrobimy tak: pan mi da numer do pani Alicji, a ja nie powiem kierowniczce o układzie z naukowcem.

– Jakim układzie? – Wzrok pracownika hospicjum uciekał gdzieś na bok, co świadczyło o tym, że doskonale wie, o co chodzi policjantowi.

– O tym, że wziął pan od niego łapówkę. Bo chyba nie ulega wątpliwości, że pana przekupił.

Pielęgniarka nie odezwała się, kiwnął jedynie głową na znak zgody.

Jeszcze tego wieczoru Vesely zadzwonił do córki Tekiela. Odebrała prawie natychmiast. W telefonie usłyszał ładny alt o władczej intonacji. Przedstawił się i zaprezentował powody, które zmusiły go do nawiązania kontaktu. Okazało się, że kobieta przebywa w zagranicznej podróży służbowej i wraca do kraju dopiero pod koniec tygodnia. Nie chciała rozmawiać o ojcu przez telefon. Umówili się na najbliższy poniedziałek w firmie, w której pracowała.

\*\*\*

Następnego dnia, w środę, Vesely do późna przebywał w komendzie. Nazbierało się sporo papierkowej roboty, więc postanowił wykorzystać okres oczekiwania na spotkanie z córką Tekiela do nadrobienia zaległości.

Raz po raz jego myśli wędrowały do Gordona, był ciekaw rezultatów poszukiwań w miejskim archiwum. Chciał nawet zadzwonić do pułkownika, by dowiedzieć się czegoś na ten temat, jednak w ostatniej chwili zrezygnował, gdyż bał się, iż usłyszy o sukcesie oficera wywiadu. A to oznaczałoby koniec całej zabawy, czego po prostu nie chciał.

Po służbie, kiedy pojechał do domu, poczuł się bardzo nieswojo. Tymczasowo uwolniony od obowiązku poszukiwania Bjorna nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Najpierw próbował studiować szachy, potem zaczął oglądać jakiś film, lecz nie przyniosło mu to ulgi. Wieczorem zawładnęły nim wspomnienia z Justyną w roli głównej, wskutek czego Vesely stwierdził, że jest samotnym człowiekiem. Siłą całej swojej woli powstrzymał się od wykonania telefonu do byłej kochanki, choć miał niesamowitą ochotę usłyszeć jej głos. Zastanawiał się, co się z nią dzieje, czy wspomina go czasami oraz czy znalazła już sobie kolejnego partnera. „Na pewno nie jednego” – odpowiedziała mu wyobraźnia, co momentalnie rozpało w nim tak ogromne uczucie zazdrości, że musiał się napić zimnej wody. Z tego wszystkiego, nie zważając na względnie wczesną porę, położył się do łóżka. Miał nadzieję dobrze się wyspać. Długo jednak nie mógł zasnąć. Męczył się, przewracał z boku na bok, liczył od tysiąca do zera, napił się nawet ciepłego mleka, nic to

jednak nie dało. Ostatecznie zapadł w sen grubo po północy. Spał płytko, trawiony abstrakcyjnymi i chaotycznymi majakami. Obudził się o wiele wcześniej niż zwykle, czuł się wymiętolony i zmęczony, był zły na cały świat.

W komendzie oczekiwał Zygmunta natłok obowiązków, co jedynie pogłębiło jego parszywy nastrój. Chcąc wrócić do równowagi, postanowił zaparzyć mocnej kawy i okrasić ją dwoma bardzo słodkimi wafelkami w czekoladzie, które odnalazł w szufladzie służbowego biurka. Kiedy już zalewał kubek wrzątkiem, rozległ się dźwięk jego smartfona. Wyświetlacz informował, że dzwoni Gordon. Vesely wyszedł z pokoju na korytarz i odebrał połączenie. Sądząc po głosie, oficer wywiadu był w podobnym humorze jak on. Matowym, niewróżącym nic dobrego głosem poprosił o spotkanie wczesnowieczorną porą. Telefon sprawił, że przez resztę roboczego dnia Zygmunt nie mógł się skupić na żadnej czynności. Rozpalała go ciekawość odnośnie do tego, co ma do zakomunikowania pułkownik.

\*\*\*

Siedzieli w hotelowym barze, sącząc piwo. Oficer Agencji Wywiadu opowiadał o wynikach poszukiwań w miejskim archiwum.

– Odnaleźliśmy sześcioro dzieci, których profile pasowały do naszych założeń, pięciu chłopaków i jedną dziewczynkę. Dzisiaj rano zabrałem się do ich weryfikacji w systemie PESEL i niestety, żadna z tych osób nie mogła być dostarczycielem tożsamości dla naszego nielegala. Wszyscy jeszcze żyją i są zameldowani w Polsce.

– Może wyposażono Bjorna w personalia właśnie kogoś takiego, kto żył w Polsce, ale nie był znany swoim niemieckim krewnym?

– To raczej niemożliwe. Takie postępowanie wygenerowałoby zagrożenie w postaci bardzo prawdopodobnej dekonspiracji. Zresztą raz w historii tak zrobiono i polski agent został aresztowany. Miało to miejsce w RFN w latach osiemdziesiątych<sup>31</sup>). Jestem niemal pewien, że tamtejszy kontrwywiad sprawdził po tej aferze wszystkich „cudownie odnalezionych” Niemców, którzy pochodzili z Polski, a funkcjonowali w środowiskach lub pracowali w instytucjach, które mogły być w zainteresowaniu polskiego wywiadu. Fakt, że Bjorn dostarczał informacje jeszcze po zmianie ustroju, kiedy stawaliśmy się sojusznikiem Zachodu,

dowodzi, iż jego przybrana tożsamość nie mogła opierać się na życiorysie kogoś, kto żył w Polsce pod takim samym nazwiskiem. To powinien być ktoś, kto miał niemieckie korzenie, ale ani on sam, ani nikt inny nie mógł tego wiedzieć czy odnaleźć w systemie.

---

31) Gordon nawiązuje do aresztowania polskiego nielegala Jerzego Kaczmarka.

– Nie rozumiem – rzekł Zygmunt.

– To proste – odparł Gordon. – Załóżmy, że dziecko urodziło się w czterdziestym czwartym jako Jaś Szmidt. Ojcem był Niemiec, matką Polka. Oboje rodzice nie doczekali końca wojny. Chłopczyk trafił do domu dziecka. I teraz mamy dwie opcje. Pierwsza, najbardziej pożądana, to taka, że Jaś zmarł wskutek choroby bądź wypadku. Druga polega na tym, że chłopak został jako małe dziecko adoptowany przez polską rodzinę i otrzymał nazwisko Kowalski. Rodzice ukrywali przed nim jego niemieckie korzenie, gdyż na przykład bali się, że ukochany, wychowany z troską przybrany syn zechce ich opuścić i wyjechać do Niemiec. W obu przypadkach wystarczyło dokonać drobnej korekty w systemie, na przykład w rejestrach Urzędu Stanu Cywilnego, by nikt nie kojarzył Jasia Schmidta z Jasiem Kowalskim. Najprawdopodobniej w ten sposób uzyskano wiarygodną tożsamość dla Bjorna.

– Tak, to wydaje się logiczne – ocenił podkomisarz. – Jak w takim razie zamierza pan dalej postępować? Chyba jednak trzeba będzie przewertować dokumenty w USC? – Dla Veselego odpowiedź na to pytanie była kluczowa, chciał wiedzieć, jakie oficer ma jeszcze pomysły na rozwiązanie zagadki.

– Już przecież tłumaczyłem panu na poprzednim spotkaniu, dlaczego domy dziecka są najbardziej adekwatne. Dzisiaj mój zespół rozpoczął przegląd ksiąg ewidencyjnych wychowanków ze wszystkich sierocińców, jakie istniały w latach powojennych na terenie ówczesnego województwa krakowskiego. Jeszcze nie wszystko stracone. – Choć pułkownik odpowiedział z nadzieją w głosie, to jego barwa zdradzała wielkie obawy, co do powodzenia poszukiwań.

– To chyba zostanie pan w Krakowie do przyszłego tygodnia – stwierdził Zygmunt.

– Nie sądzę. Załatwiłem u odpowiednich władz zgodę na przeglądanie archiwaliów w weekend. Myślę, że w niedzielę po południu odjedziemy do Warszawy.

Gordon podniósł do ust pokal z piwem, a gdy go postawił, zwrócił się do młodego policjanta z zapytaniem:

– A jak panu poszło? Odnalazł się jakiś nowy trop?

Zygmunt opowiedział o swojej wizycie w hospicjum. Było tego niewiele i nie wносиło nic do sprawy. Spowodowało za to pogorszenie nastroju. Wybrzmiało ono w gorzkim stwierdzeniu oficera wywiadu:

– Chyba zmierza pan do końca swojego śledztwa, podkomisarzu. Wątpię, by córka tego Tekiela w czymkolwiek mogła nam pomóc.

– Też tak przypuszczam – odparł smutno Vesely. Przyznał tym samym, iż jego wiara w pomyślne zakończenie jest na wyczerpaniu. – Muszę jednak z nią porozmawiać, tak dla porządku – dodał bez przekonania.

Rozstali się w kiepskich humorach.

\*\*\*

W niedzielę wieczorem pułkownik Gordon zadzwonił do Zygmunta. Był tak rozgoryczony, że aż złamał ustaloną przez siebie zasadę, według której kontakt telefoniczny miał służyć jedynie do umawiania spotkań. Z jego relacji wynikało, że prowadzone poza Krakowem poszukiwania nic nie przyniosły. Oficer wywiadu, zrezygnowany wskutek porażki, stwierdził kategorycznie, że nigdy już nie uda się odkryć, kim był Bjorn. ■

Firma, w której pracowała córka Zdzisława Tekiela, dumnie nosiła w swojej nazwie angielskie określenie „development&future”. Cokolwiek to znaczyło, musiała być zasobna w kapitał finansowy, gdyż jej siedziba znajdowała się w jednym z najbardziej prestiżowych krakowskich biurowców. Wchodząc do ogólnej recepcji, znajdującej się na parterze budynku, Zygmunt stwierdził, że podjął słuszną decyzję ubrania się na tę rozmowę w garnitur. Atmosfera oraz kultura organizacyjna były tu diametralnie różne od tych, jakie zazwyczaj panują w publicznych, budżetowych instytucjach. Drugi raz pogratulował sobie intuicji, która nakazała mu się elegancko odziać, gdy wjechał na trzecie piętro niskoszumową windą i przekroczył próg sekretariatu, gdzie młoda kobieta z plakietką anonsującą ją jako „office assistant” poinformowała, że „pani wiceprezes przyjmie go za około dziesięć minut”.

Córka Tekiela, poważna bizneswoman, sprawiała wrażenie bardzo energicznej osoby. Ubrana w skromny, stonowany kolorystycznie kostium, przypominała stereotypową prawniczkę. Jedynie wykwintna biżuteria, a także klasyczny, zapewne bardzo drogi złoty zegarek oraz wystrój i wyposażenie gabinetu dawały do zrozumienia, że zajmuje jedną z najwyższych pozycji w przedsiębiorstwie. Po okazaniu przez Zygmunta legitymacji służbowej przejęła inicjatywę.

– Czego konkretnie pan ode mnie oczekuje, podkomisarzu? – Nie dała policjantowi nawet szans na rozpoczęcie rozmowy.

Zrozumiał, że z tą kobietą nie ma sensu bawić się w konwenanse, zatem przystąpił od razu do rzeczy.

– Prowadzę postępowanie przygotowawcze w sprawie śmierci Sylwestra Kalenika. – Powtórzył dokładnie to samo kłamstwo, co kilka dni temu podczas rozmowy telefonicznej. – Ustaliłem, że odwiedził w hospicjum pani ojca, byłego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. Ponoć kontaktował się z panią, by uzyskać stosowną zgodę na to spotkanie. – Uważnie przyglądał się obliczu wiceprezeski. Nic jednak nie mógł z niego wyczytać. Żadnych emocji.

– A tak, rzeczywiście – odpowiedziała – przypominam sobie. To był taki młody historyk, który pisał pracę naukową na temat SB.

Vesely odnotował, że nie zapytała o przyczyny śmierci Kalenika, potrafiła utrzymać na wodzy zwykłą ludzką ciekawość. „Jest kuta na cztery nogi” – skonstatował.

– Interesuje mnie – kontynuował – jakie informacje uzyskał od pani ojca. Mam wielką nadzieję, że asystowała pani przy tej rozmowie, jeśli w ogóle można to było tak nazwać ze względu na sposób komunikowania się z panem Tekielem. Chodzi o mruganie.

– Widzę, że jest pan doskonale poinformowany. – Kobieta przez moment z ciekawością przyglądała się podkomisarzowi. – Oczywiście, byłam obecna przy tej... „rozmowie” – potwierdziła. – Wyglądało to tak, że naukowiec zadawał mojemu ojcu krótkie, proste pytania, a ten odpowiadał jednym mrugnięciem na „tak”, dwoma na „nie”, zaś trzema na „nie wiem”.

– Czy mogłaby pani zacytować te pytania? – Vesely poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz. Teraz miało się okazać, czy to już koniec jego śledztwa, czy przeciwnie, początek nowego wątku.

– Nie wiem, czy będę w stanie panu pomóc.

– Jak to?! Nie rozumiem! – Podkomisarz przestraszył się, ostatnia deska ratunku niknęła na horyzoncie przeszłych zdarzeń.

– Pamiętam, że byłam wtedy po ciężkim dniu w pracy. Ktoś jeszcze zadzwonił do mnie i większości pytań po prostu nie słyszałam.

– Bardzo proszę przypomnieć sobie wszystko, co tylko możliwe! – Zygmunt złożył dłonie jak do modlitwy.

– A dlaczego to takie ważne? – Bizneswoman po raz pierwszy dała się ponieść ciekawości.

– Jedną z przyczyn śmierci pana Kalenika mogła być afera plagiatowa. – Policjant był przygotowany. – Dlatego musimy precyzyjnie ustalić zainteresowania badawcze zmarłego. Chodzi o to, czy to, co opublikował, było faktycznie rezultatem jego pracy, czy też nie.

– Teraz wszystko jasne. – Odpowiedź usatysfakcjonowała rozmówczynię. – Ten naukowiec wypytywał mojego ojca o jakąś akcję SB – przystąpiła do rzeczy. –



Najpierw chciał potwierdzić rok, w którym była realizowana. Zdaje się, że chodziło o lata sześćdziesiąte. Potem, kto w niej brał udział. Podawał jakieś nazwiska, ale pan wybaczy, nie pamiętam, jak brzmiały.

– Nie przypomni sobie pani?

– Raczej nie. Właśnie w tym momencie zadzwonił mój telefon i wyszłam z pokoju, by porozmawiać. Trwało to bardzo długo. Jak wróciłam, to stwierdziłam, że ojciec jest już wyczerpany udzielaniem odpowiedzi, więc dałam znak do zakończenia odwiedzin.

– I to wszystko? – Vesely był tak rozżalony, że kobiecie zrobiło się najwyraźniej przykro.

– Pamiętam jeszcze, że historyk pytał o Urząd Stanu Cywilnego.

– Wie może pani, o który?

– No... Chyba o nasz krakowski.

– A czy pytał może o jakiś kościół? – W głosie podkomisarza zadźwięczały resztki nadziei.

– Nie przypominam sobie.

\*\*\*

„To koniec”. To była jedyna myśl, jaka towarzyszyła Veselemu po wyjściu z gabinetu córki Tekiela. Ogarnęło go także jakieś ułudne poczucie ulgi. Ułudne, gdyż przeczyło jego oczekiwaniom. A te były jasne i skonkretyzowane: chciał odnaleźć Bjorna!

Po powrocie do komendy przez resztę dnia rozmyślał wyłącznie o położeniu, w jakim znalazło się jego prywatne śledztwo. Przez to nie mógł się skupić na policyjnych obowiązkach, a tych było sporo. Współpracownicy zauważyli stan jego ducha. Zygmunt tłumaczył się złym samopoczuciem. „Chyba bierze mnie jakaś infekcja” – komunikował. Jakoś wytrwał do końca roboczego dnia, choć czas dłużył się niemiłosiernie. Jedynym rezultatem jego rozważań było to, że postanowił jeszcze raz na spokojnie przeanalizować całą sprawę.

Po przybyciu do mieszkania najpierw szybko przygotował i zjadł posiłek, by zaraz potem usiąść za niewielkim kuchennym stołem, na blacie którego położył kilka czystych kartek oraz długopis. Chciał wypisać hasłowo najważniejsze fakty,

które ustalił do tej pory. Była to jego wypróbowana metoda porządkowania wiedzy, jaką posiadał. Miał nadzieję, że to pozwoli mu zauważyć jakiś niepozorny szczegół o istotnym znaczeniu, na który do tej pory nie zwrócił uwagi.

Pracował ponad dwie godziny. Teraz wpatrywał się w wypełnione kartki i starał się odnaleźć coś, co wskaże mu dalsze postępowanie. I choć wyęczał wzrok oraz zmuszał swoje szare komórki do wręcz tytanicznego wysiłku, rezultatów nie było. Powtórzył całą procedurę i znowu niczego nie odkrył. Zdenerwował się. Analiza beznamiętnie wykazywała jego bezsilność. Nie był w stanie odnaleźć żadnego punktu zaczepienia.

Wstał od stołu, „pospacerował” po mieszkaniu. Zastanawiał się, co powinien dalej robić. „Trzeba skoncentrować się na historyku, na jego działaniach!” – odpowiedziała mu intuicja. „Muszę postarać się myśleć jak on, wczuć się w jego sytuację” – doszedł do wniosku. „Ale dlaczego?” – postanowił zweryfikować ten wywód. Odpowiedź była wręcz prozaiczna: „Przecież Kalenik nie został zamordowany tylko dlatego, że prowadził badania na temat operacji Storch. Zginął, gdyż zapewne był na tropie Bjorna!” Przypomnienie tej oczywistości dodało mu skrzydeł.

Wziął nową kartkę i w postaci grafu rozrysował postępowanie naukowca. I chociaż nie było tego dużo, to dokładnie przeanalizował każdy element tej układanki. Niestety, bez efektów. Ta swoista mapa drogowa kończyła się w hospicjum. Po miesiącu, a dokładnie pięć tygodni później Kalenik już nie żył. Wyglądało to tak, jakby jego zabójstwo było bezpośrednim następstwem spotkania z Tekielem. „Zaraz, zaraz... Przecież pomiędzy odwiedzinami w hospicjum a śmiercią historyk złożył jeszcze wizytę Strypuli!” – skojarzył Zygmunt. „To właśnie wtedy odkrył coś ważnego, czego nikt nie powinien był odkryć” – przypomniał sobie relację pani Marii. Oznaczało to, że sparaliżowany esbek przekazał jakąś przełomową informację.

Poczyniony wniosek zmobilizował podkomisarza. Wypisał wszystkie pytania zadane przez naukowca Tekielowi, które pamiętała jego córka: 1) o potwierdzenie terminu realizacji operacji Storch; 2) o ludzi, którzy brali w niej udział; 3) o Urząd Stanu Cywilnego. „Mało tego” – Zygmunt znowu dotarł do granicy, za którą była już tylko rezygnacja.

Wziął się w garść i kontynuował analizę. Doszedł do prostego wniosku, że istniały tylko dwie możliwości: albo historyk dowiedział się czegoś, czego córka Tekiela nie była świadkiem, i to coś naprowadziło go na trop nielegała, albo wykorzystał odpowiedzi na pytania, które bizneswoman zapamiętała. W związku z tym przed Zygmuntem otwierała się tylko jedna opcja: spróbować wykorzystać wiedzę, która była w jego posiadaniu.

Zaczął się zastanawiać, co zrobiłby z tymi informacjami Kalenik. Szybko doszedł do przekonania, że potwierdzenie roku realizacji operacji Storch nie miało znaczenia. Pozostawały zatem nazwiska ludzi biorących w niej udział oraz Urząd Stanu Cywilnego. „Wyobraź sobie, Zygmus” – zwrócił się sam do siebie na podobieństwo naczelnika Prędkiego – „że jesteś tak cholernie zdeterminowanym naukowcem, że porzucasz dla kariery kochającą cię dziewczynę. Więc co zrobiłbyś po spotkaniu z Tekielem? No, co?”

Mignęła mu myśl, że jest w jakimś sensie bardzo podobny do nieżyjącego historyka. Tak jak tamten pragnął za wszelką cenę rozwiązać tę samą zagadkę. Ta konstatacja naprowadziła go na odpowiedź: „Skontaktowałbym się z ludźmi, którzy byli zaangażowani w operację, oraz przeprowadziłbym rekonesans w Urzędzie Stanu Cywilnego”.

Wykonawcy operacji byli znani. To Regiewicz i Strypula. Obaj nie żyli, więc tu trop się urywał. „Chwila, chwila... Wtedy obaj esbecy jeszcze żyli. Kalenik na pewno rozmawiał ze Strypułą i być może dotarł do Regiewicza w Warszawie. Kto wie, czy to właśnie wzmożone zainteresowanie ich osobami nie było przyczyną śmierci historyka, a potem tamtych dwóch?” Na to pytanie Vesely nie był jednak w stanie sobie odpowiedzieć. Nie miało to zresztą w tej chwili żadnego znaczenia.

Zatem pozostawał tylko Urząd Stanu Cywilnego. „Ale czego naukowiec mógł tam szukać? Jak to czego?” – policjant roześmiał się w głos. Ubawiła go banalność odpowiedzi, jaka pojawiła się w jego głowie: „Tak jak Gordon, szukał dzieciaka”.

Musiał ochłonać. Zdał sobie bowiem sprawę, że znowu jest w grze, że ponownie uchwycił koniec nitki, która może zaprowadzić go do kłębka. Pojawiło się także kolejne pytanie: skąd Kalenik wiedział o celu operacji Storch, czyli o tym, że chodziło o dziecko? O ile oczywiście pułkownik Gordon się nie mylił. „Przecież to tylko jego domysły, że w sześćdziesiątym dziewiątym szukano tożsamości dla

nielegała. Były one, co prawda, wysoce, a nawet bardzo wysoce prawdopodobne, ale jednak nieoparte żadnym dowodem w postaci dokumentu” – pojawiła się wątpliwość. Machinalnie spojrzął na wyrysowany graf przedstawiający aktywność nieżyjącego naukowca. Przebiegł po nim wzrokiem, który zatrzymał na obrazku symbolizującym wywiad, jakiego Kalenik udzielił w TVP Historia. Podkomisarz zamknął oczy i w pamięci zaczął odtwarzać jego przebieg. W zasadzie nie wiedział, dlaczego to robi. Nie przerywał jednak, poddał się sile podświadomości. Zatrzymał się na jednej z wypowiedzi:

– Jak tylko moja książka ukazała się drukiem, postanowiłem jeden egzemplarz podarować podpułkownikowi Zielińskiemu. Bardzo się ucieszył z prezentu i w formie żartu zrewanżował się pewną drobną informacją. Sądził zapewne, że nie zdołam jej wykorzystać. Jednak stało się inaczej: pozwoliła mi wrócić do badań nad operacją Storch.

„Taaak, to Strypula mógł naprowadzić Kalenika na dzieciaka” – pomyślał z satysfakcją podkomisarz. Taki wniosek wydał mu się bardzo wiarygodny. „Tylko skoro uzyskał tę informację zaraz po publikacji swojej książki, to dlaczego Urzędem Stanu Cywilnego zainteresował się dopiero podczas wizyty u Tekiela?” – zidentyfikował kolejny problem. „I dlaczego do dnia odwiedzin u sparaliżowanego esbeka jego uwagę przykuwały wyłącznie krakowskie kościoły?” – przypomniał sobie to, co przekazała mu Iwona Grodzka. „Przecież w kościołach chrzci się dzieci” – odpowiedział sobie. Prostota wyjaśnienia postępowania historyka wzmocniła w nim przekonanie, że otrzymał jeszcze jedną szansę na rozwiązanie zagadki nielegała.

Postanowił wybrać się do krakowskiego Urzędu Stanu Cywilnego.

\*\*\*

Na ustach kierownika USC pojawił się nieokreślony grymas, gdy Vesely podsunął mu pod oczy zdjęcie Kalenika.

– Tak, przypominam sobie tego pana. – Urzędnik pokiwał głową. Od momentu, kiedy zobaczył policyjną legitymację, był zestresowany. – Ale o co chodzi?

Gdy tylko podkomisarz skończył wyjaśnienia oparte na bajeczce o aferze plagiatowej, wyraźnie się rozluźnił, a nawet uśmiechnął. Ku radości Zygmunta od

razu przeszedł do meritum sprawy:

– Ten historyk prowadził jakieś badania naukowe i chciał uzyskać dostęp do rejestru stanu cywilnego. Niestety, byłem zmuszony mu odmówić. Jego prośba stała w sprzeczności z zapisami artykułu czterdziestego piątego ustawy „Prawo o aktach stanu cywilnego”. – Jego głos zabrzmiał bardzo formalnie.

– Czy to oznacza, że nie przeglądał u was żadnych dokumentów? – Podkomisarz przestraszył się, że podjął fałszywy trop.

– Ten pan jako osoba fizyczna nie miał takiego prawa – odparł kierownik. – Poradziłem mu jednak, by wystąpił o udostępnienie akt stanu cywilnego w imieniu jakiejś organizacji społecznej, której statut uzasadnia złożenie w naszym urzędzie odpowiedniego wniosku. Takie właśnie postępowanie dopuszczają przepisy wspomnianej ustawy.

– I co zrobił doktor Kalenik?

– Kilka dni później przedłożył odpowiednie pismo z częstochowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, które uzasadniało wydanie zgody na wgląd w akta. Ustaliliśmy tylko, że urząd nie będzie wydawać żadnych odpisów z rejestru, za to pan Kalenik będzie miał możliwość zrobienia fotokopii interesujących go akt, w myśl artykułu sto trzydziestego ustawy.

– Rozumiem, że naukowiec skorzystał z pozwolenia?

– Tak. Przydzieliłem mu do pomocy jedną z naszych urzędniczek, która nadzorowała przeprowadzenie kwerendy dokumentów. Na tym zakończył się mój kontakt z doktorem Kalenikiem.

– Czy mógłbym porozmawiać z tą pana podwładną? – Zygmunt wewnątrz drżał. Miał nadzieję, że jest o krok od przełomowego momentu w śledztwie, a ten, jeśli przyniesie upragniony skutek, będzie najważniejszym w jego dotychczasowej karierze.

Kierownik wybrał numer na biurkowym telefonie i wyrzucił z siebie kilka suchych słów składających się na odpowiednie polecenie dla osoby pozostającej po drugiej stronie łącza.

– Proszę udać się do pokoju numer dwieście. Tam oczekuje już nasza pracowniczka.

Vesely podziękował serdecznie i wyszedł z gabinetu.

Kobieta sprawiała wrażenie wdzięcznej za to, że policjant przerwał rutynę jej codziennej pracy. Traktowała sprawę Zygmunta najwyraźniej jak swego rodzaju ciekawostkę, która urozmaicała szarość roboczego dnia. Podkomisarz doskonale znał biurokratyczną nudę, toteż nie dziwił się nastawieniu swojej rozmówczyni.

– Ciekawi mnie, jakie dokumenty przeglądał doktor Kalenik – Zygmunt od razu przeszedł do rzeczy.

– Miał bardzo skonkretyzowane oczekiwania, co niezwykle mi odpowiadało, gdyż nie musiałam ślęczeć z nim nad rejestrem przez wiele godzin – kobieta rozpoczęła relację.

– Czyli co dokładnie?

– Interesowała go tylko księga urodzeń i chrztów z parafii Świętego Stefana.

Vesely zamknął oczy. „Udało się!” – zakrzyczał w myślach. Targnął nim jednak niepokój wynikający z niewiedzy.

– Ale dlaczego księga parafialna znajduje się w Urzędzie Stanu Cywilnego?

– Urzędy Stanu Cywilnego funkcjonują dopiero od tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Wcześniej fakty narodzin i chrztów były odnotowywane w parafialnych księgach metrykalnych, które były prowadzone w dwóch egzemplarzach: pierwopisie i duplikacie nazywanym czasami wtóropisem. W roku powstania USC, czyli rok po wojnie, państwo nakazało związkom wyznaniowym przekazać do urzędów właśnie owe wtóropisy.

– Oznacza to zatem, że naszego historyka interesowały urodzenia i chrzty sprzed czterdziestego szóstego?

– W rzeczy samej – odparła urzędniczka. – Miał nawet sprecyzowane skrajne daty okresu, z jakiego chciał przejrzeć zapisy urodzeń.

– Jakie to były daty?! – Głos policjanta wyraźnie zawibrował z emocji.

– Od szesnastego do dwudziestego trzeciego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

– Jest pani pewna? Tak dobrze je pani zapamiętała?

– Zapamiętałam je, gdyż pan Kalenik wyjaśnił mi, że to są daty historyczne, i nawet opowiedział o wydarzeniach z nimi związanych.

– Może pani powiedzieć, czego dotyczyła jego opowieść?

– W tych dniach Armia Czerwona toczyła operację wyzwolenia Krakowa z rąk niemieckiego okupanta. Ten historyk powiedział mi, że chociaż obecnie przyjmuje się datę osiemnastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku jako dzień wyzwolenia, to tak naprawdę walki trwały do dwudziestego trzeciego.

– A czy interesowały go może jakieś konkretne narodziny? – Vesely powrócił do istoty sprawy.

– Nie, przeglądał uważnie wszystkie zapisy z danego okresu.

– Może powiedział pani coś jeszcze?

– Nie chciał zbyt rozmawiać. Gdy go zapytałam, czego konkretnie poszukuje, to odburknął, że nie odpowie, żeby nie zapeszyć.

– Powiedział: „żeby nie zapeszyć”? – Zygmunt przypomniał sobie, że to samo usłyszał od Iwony Grodzkiej, byłej narzeczonej historyka.

– Tak. Szczerze mówiąc, zatkało mnie. Nie wiedziałam, co myśleć. Poczułam się jak ktoś gorszy od niego.

– No dobrze – rzekł policjant. – Zaczniemy jeszcze raz od początku. Co naukowiec robił, gdy udostępniła mu pani księgę? Proszę szczegółowo o wszystkim opowiedzieć.

– Wyjął swojego laptopa i wyświetlił jakieś zdjęcia. Chociaż nic mi nie powiedział, to zorientowałam się, że to były fotografie pierwopisu, czyli księgi metrykalnej znajdującej się zapewne w biurze parafialnym Świętego Stefana. Przez prawie godzinę porównywał zapisy w księdze, która jest u nas, z tymi w pierwopisie.

– Może zauważyła pani, że poświęcił więcej czasu jakiemuś jednemu nazwisku?

– Nic takiego nie miało miejsca. Jestem tego pewna, gdyż bacznie go obserwowałam. Mamy obowiązek szczególnego pilnowania akt, które są wydawane do wglądu, a zwłaszcza tych sprzed czterdziestego szóstego – wyjaśniła.

– I to wszystko?

– Nie, potem wyjął smartfon i sfotografował zapisy z okresu od szesnastego do dwudziestego trzeciego stycznia czterdziestego piątego roku, a także wszystkie strony arkusza, na którym znajdowały się te dane.

– Proszę mi wyjaśnić: o co chodzi z tym arkuszem? Rozumiem tylko, że zrobił zdjęcia czegoś, co nie wchodziło w interesujący go zakres czasowy.

– Dokładnie tak było. Otóż arkusz jest częścią tak zwanej składki introligatorskiej, z których zszyta jest cała księga. W rzeczywistości jest niepodzielny. Gdybyśmy rozpruli księgę, czyli rozłożyli na części, to mielibyśmy osobno okładkę oraz właśnie luźne arkusze. Na pojedynczy arkusz składają się cztery strony, czyli dwie kartki, które nie następują „po sobie” lecz są rozdzielone kartkami innych arkuszy umiejscowionych w składce.

– Trochę to skomplikowane – przyznał Zygmunt.

Urzędniczka sięgnęła do szafy i wyjęła jakiś opasły tom. Posługując się nim, zaprezentowała policjantowi zasadę zszywania ksiąg. Vesely w lot pojął, że Kalenik po prostu coś sprawdzał. Nie wiedział jednak co.

– Nie domyśla się pani, po co naukowiec obfotografował cały arkusz?

– Nie mam pojęcia, a nie chciałam go o to pytać, żeby znowu mnie nie potraktował jak posługaczki. W każdym razie miał prawo do robienia zdjęć.

– Wiem, artykuł sto trzydziesty ustawy „Prawo o aktach stanu cywilnego”

– O, widzę, że nasz kierownik gruntownie pana przeszkolił. – Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Szczerze mówiąc, to najwięcej dowiedziałem się od pani. A czy ja mógłbym zerknąć na te same zapisy, co doktor Kalenik? – Policjant zrobił proszącą minę.

Kobieta sięgnęła po słuchawkę telefonu. Przez krótką chwilę z kimś rozmawiała.

– Kierownik zaakceptował pana prośbę. Zgodnie z artykułem czterdziestym piątym ustawy jesteśmy zobowiązani udostępnić Policji dane z rejestru stanu cywilnego, jeżeli jest to konieczne do realizacji jej ustawowych zadań.

Oboje wybuchnęli gromkim śmiechem.

Urzędniczka zaprowadziła Zygmunta do pomieszczenia, w którym przechowywano księgi. Podkomisarz przejrzał oraz sfotografował smartfonem wszystko to, co Kalenik.

\*\*\*



Vesely zaparkował w cieniu rzucanym przez korony wysokich, klonowych drzew, jakie rosły po obu stronach ulicy. Wsiadł i rozejrzał się wokół. Kilkadziesiąt metrów przed sobą spostrzegł posesję z okazałym jednopiętrowym domem, którą okalał wysoki parkan. Dzięki zdjęciom zamieszczonym w aplikacji z internetową mapą wiedział, że tam znajduje się cel jego przyjazdu: biuro parafii Świętego Stefana. Oczekiwał go proboszcz, z którym rozmawiał telefonicznie zaraz po opuszczeniu USC.

Zwierzchnik parafii był sympatyczny i bardzo energiczny, co przejawiało się w sposobie jego mówienia oraz zamaszystej gestykulacji. Pomimo zaawansowanego wieku, który zdradzała bujna siwizna oraz sieć zmarszczek na twarzy, z jego oczu emanowała duchowa młodość. Vesely chciał zaprezentować swoją legitymację służbową, ale ten tylko machnął ręką i rzekł:

– Nie mogę nie wierzyć tak młodemu człowiekowi, więc pomińmy formalności. Jakaż to sprawa sprowadza pana podkomisarza w nasze progi? Dobra czy zła?

– Szczerze mówiąc, chyba zła – odrzekł Zygmunt. – Zajmuję się wyjaśnianiem śmierci pewnego człowieka.

Oblicze duchownego wyraziło zafasowanie.

– Tyle niedobrych rzeczy dzieje się wokół. W czym mogę być pomocny, panie oficerze?

– Według moich informacji jakiś czas temu biuro parafialne odwiedził naukowiec, doktor Sylwester Kalenik. Czy ksiądz proboszcz może to potwierdzić?

– Tak. Ten młody człowiek jest historykiem na częstochowskim uniwersytecie. – Kapłan ożywił się.

– Był historykiem, księżu proboszczu. To właśnie przyczyny jego śmierci staram się wyjaśnić. – Vesely chciał, by informacja o tragedii zmobilizowała rozmówcę do ścisłej współpracy.

– Boże drogi, co za nieszczęście! Cóż to się stało? – Ksiądz był autentycznie przejęty.

– Wszystko wskazuje na nieszczęśliwy wypadek, jednakże należy to stuprocentowo potwierdzić. Zwłaszcza że w tle mamy do czynienia z aferą plagiatową. Dlatego interesują mnie wszystkie osiągnięcia naukowe doktora Kalenika oraz jego zainteresowania badawcze. Stąd moja wizyta. Wiem od jego

uniwersyteckich współpracowników, że prowadził jakieś poszukiwania w krakowskich kościołach, i chciałbym ustalić, czego one dotyczyły. – Vesely pomyślał, że w łgarstwie osiągnął już chyba stopień mistrzowski. – Prowadząc czynności wyjaśniające, trafiłem do Urzędu Stanu Cywilnego, gdzie poinformowano mnie, że zmarły przeglądał wtóropis księgi urodzeń i chrztów właśnie z parafii Świętego Stefana. Ciekawi mnie, dlaczego akurat ją. – Policjant specjalnie nie podał, jaki okres interesował naukowca.

- U nas przeglądał pierwopis. I to dwa razy – odparł ksiądz.
- Odwiedził parafię dwa razy? – Podkomisarz zwęszył istotną informację.
- Tak – potwierdził duchowny.
- A czy ksiądz proboszcz pamięta może daty, kiedy to miało miejsce?

Gospodarz długo się zastanawiał, najwidoczniej nie mógł ich sprecyzować. Zajrzał nawet do kalendarza w komputerze stojącym na masywnym dębowym biurku, mającym chyba ze sto lat, i coś tam analizował. W końcu podał najbardziej prawdopodobne terminy pobytów Kalenika w biurze parafialnym, posługując się określeniami: „koniec miesiąca” i „środek miesiąca”. To jednak w zupełności Veselemu wystarczyło. Na ich podstawie od razu wywnioskował, że nieżyjący historyk pierwszą wizytę złożył przed drugim spotkaniem z esbekiem z Nowej Huty, a następnie po „rozmowie” w hospicjum. Oznaczało to, że Tekiel przekazał naukowcowi jakąś informację na temat parafii Świętego Stefana!

- Jak ksiądz myśli, dlaczego doktor Kalenik był tu dwukrotnie?
- Chyba dlatego, że zaabsorbowała go jedna karta z pierwopisu.
- Jak to jedna karta? – To była dla Zygmunta kolejna nowość.
- Szukał kogoś urodzonego w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Pamiętam, że podczas pierwszej wizyty od razu otworzył księgę tam, gdzie były zapisy z tego okresu, a jego uwagę przykuła tylko jedna karta. Podczas drugiego pobytu także tylko ona go interesowała.

Vesely, podobnie jak w Urzędzie Stanu Cywilnego, zaczął wewnątrznie cały drzeć. Opanował się jednak i spytał:

- A jak historyk uzasadnił potrzebę wglądu do księgi?
- Prowadził badania genealogiczne.

Odpowiedź zaskoczyła podkomisarza. W jego głowie od razu pojawił się pomysł, jak wykorzystać kłamstwo nieżyjącego naukowca, ale jego realizację postanowił odłożyć na bardziej sprzyjający moment.

– Czy komentował swoje zainteresowanie tą konkretną kartą? – Policjant kontynuował indagację.

– Tak. Jak był tu drugi raz, to stwierdził, że najprawdopodobniej została ona sfalszowana.

– Sfalszowana?!!!

– Oczywiście nie dałem temu wiary. Dokonanie fałszerstwa byłoby przecież niemożliwe.

Vesely zamknął oczy. Wyglądał jak siedząca na krześle zwiotczała, szmaciana lalka. Był to efekt olśnienia, jakiego doznał. Już wiedział, dlaczego Kalenik pojawił się w Urzędzie Stanu Cywilnego, dlaczego porównywał zapisy we wtóropisie ze zdjęciami pierwopisu, dlaczego badał cały arkusz i zrobił jego zdjęcia. Przypomniał sobie także fragment wypowiedzi Gordona na jednym ze spotkań. Niemal fizycznie słyszał, jak pułkownik mówi: ...w teczce zawierającej informacje na temat Storcha wszystkie działania zostały opisane bez podawania jakichkolwiek autentycznych danych, a jedynie przy wykorzystaniu kryptonimów i pseudonimów. Przeczytaliśmy tam, na przykład, że zorganizowano tajne wejście do „obiektu L2” w celu podmiany „dokumentacji M4”, ale nigdzie nie natrafiliśmy na zapis mówiący o tym, co konkretnie oznacza „L2” oraz „M4”.

– Czy pan się dobrze czuje, panie podkomisarzu? – Zygmunta dobiegł głos proboszcza. Otworzył oczy i uśmiechnął się szeroko, czym uspokoił swojego rozmówcę.

– A może po prostu wpisów dokonywały różne osoby? – Policjant chciał się upewnić, że jest na właściwym tropie.

– Zgodnie z Kodeksem Prawa Kanonicznego obowiązek sporządzania adnotacji w księgach metrykalnych ciąży na proboszczu. W jego wypełnianiu mogą go wspomagać inni, na przykład wikariusze, a nawet zaufane osoby świeckie. Jednak tradycja naszej parafii nakazuje, żeby prowadzeniem ksiąg zajmował się jedynie jej zwierzchnik. Jestem pewny, że w czasie wojny, a szczególnie w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, w okresie kiedy do miasta wkroczyły hordy

bolszewików i nasze kościoły były narażone na dewastacje, zwyczaj ten był bardzo pilnie przestrzegany.

Vesely doszedł do wniosku, że oto nadszedł właściwy moment, by ujawnić kłamstwo nieżyjącego historyka.

– Doktor Kalenik oszukał księdza proboszcza – oświadczył.

– Nie rozumiem.

– Nie prowadził badań genealogicznych. Naukowo zajmował się dziejami Służby Bezpieczeństwa.

Na potwierdzenie swoich słów Zygmunt wyjął z teczki książkę historyka i położył na biurku, za który którym siedział duchowny. Ten spoglądał przez moment to na publikację, to na oblicze oficera policji.

– Ale dlaczego mnie okłamał?

– Z tego, co udało mi się ustalić, wynika, że doktor Kalenik obawiał się, że ktoś podejmie równoległe badania nad tematem, którym się zajmował, i pozbawi go szansy na sukces. Dlatego też chronił przed światem zewnętrznym przedmiot zainteresowania naukowego oraz częściowe rezultaty swojej pracy. Mogę księdzu zdradzić, że w ostatnich dniach swojego życia zmarły poszukiwał faktów związanych z realizowaną przez SB, w sześćdziesiątym dziewiątym roku w Krakowie, jakąś niezmiernie tajną operacją. Stąd też jego zainteresowanie księgą metrykalną.

– To dlaczego interesował go ktoś urodzony w styczniu czterdziestego piątego?

– Tego to ja już nie wiem – Zygmunt celowo skłamał. Nie chciał, by podczas tej rozmowy padło słowo „wywiad”. – Jestem policjantem, a nie naukowcem – dodał.

– I jako policjant mam jedno pytanie, które nie jest związane z prowadzonym przeze mnie postępowaniem, a wynika jedynie z mojej zawodowej ciekawości. Czy mogę je zadać?

– Proszę, niech pan pyta. – Proboszcz skinął przyzwalająco głową.

– Biorąc pod uwagę, że doktor Kalenik tropił jakąś zagadkę z przeszłości, oraz to, że zakwestionował autentyczność jednej z kart w księdze metrykalnej, interesuje mnie, czy w sześćdziesiątym dziewiątym roku nie wydarzyło się coś dziwnego lub nadzwyczajnego, a związanego z parafią Świętego Stefana? – Podkomisarz miał

nadzieję na wyjaśnienie, czy tajne wejście do „obiekту L2” w celu podmiiany „dokumentacji M4” miało miejsce w biurze parafialnym, w którym się znajdował.

– Jestem za młody, by udzielić odpowiedzi. Zostałem wyświęcony w osiemdziesiątym ósmym, zaś na wikariat w tej parafii trafiłem w dziewięćdziesiątym trzecim.

Mina Veselego oznajmiła proboszczowi, że policjant jest głęboko zawiedziony.

– Ale wiem, gdzie może pan uzyskać informację na ten temat. – Duchowny postanowił pomóc swojemu gościowi.

– Gdzie? – Zygmunt zareagował automatycznie, za co się zaraz zresztą zbeształ w myślach, gdyż nie powinien okazywać, że jest to w rzeczywistości najważniejsza dla niego kwestia.

– W Makowie Podhalańskim. W tamtejszym Domu Księży Seniorów przebywa mój poprzednik. Może on coś będzie pamiętał?

– Och, to przecież moje pozasłużbowe zainteresowanie. Dla sprawy, którą wyjaśniam, nie ma żadnego znaczenia – podkomisarz zbagatelizował problem, by zatrzeć ślady rzeczywistej działalności. – Chciałbym prosić jeszcze tylko księdza proboszcza o możliwość oglądu tej karty, która tak zaabsorbowała doktora Kalenika.

– Oczywiście – rzekł ksiądz, po czym wstał i skierował się ku olbrzymiej szafie.

Otwieraniu jednego z jej skrzydeł towarzyszyło charakterystyczne dla starego mebla skrzywienie. Po chwili na biurku wylądowała księga metrykalna. Vesely sfotografował smartfonem kartę z zapisami, które interesowały Kalenika. Zrobił także zdjęcia kilku stron ją poprzedzających oraz po niej następujących.

\*\*\*

Zaraz po wizycie w biurze parafialnym Zygmunt pojechał do komendy, by zameldować się w pracy. Siadł przy swoim biurku i podłączył smartfon do służbowego komputera. Chciał na dużym monitorze przyjrzeć się zdjęciom pierwopisu i wtóropisu.

Jego oczom ukazały się stroniczki ksiąg. W rubrykach opisanych po łacinie znajdowały się imiona, nazwiska, daty. Domyślił się, które dane należą do

narodzonych dzieci, a które do rodziców i chrzestnych. Odręczne pismo było trudne do odczytania.

Starął się wychwycić wszystkie reguły w prowadzeniu rejestru. Miał nadzieję, że jeśli faktycznie doszło do fałszerstwa, to któraś musiała zostać w sprytny sposób naruszona. Odkrycie takiego faktu potwierdziłoby tezę Kalenika, a jednocześnie dowiodłoby, że „obiekt L2” to parafia Świętego Stefana, zaś „dokumentacja M4” to księga metrykalna. Zdołał tylko ustalić jednakową ilość wpisów na każdej stronie karty. Było ich mianowicie osiem. Niestety, nie zidentyfikował żadnej innej powtarzalności.

Następnie wpatrywał się z niemal maniakalnym uporem w fotografie karty, która zaabsorbowała Kalenika. Na dwóch stronach znajdowały się zapisy dotyczące szesnaściorga dzieci. „Dlaczego właśnie te strony były dla niego tak ważne?” – zastanawiał się. Chwilę później odkrył odpowiedź. Wyzwał się przy tym w myślach od najgorszych tępaków. Okazało się bowiem, że na karcie zostały umieszczone narodziny z okresu interesującego Kalenika, o którym wspominała urzędniczka z USC. Strona pierwsza rozpoczynała się zapisem z czwartego stycznia, zaś strona druga kończyła adnotacją z siódmego lutego. Dzieci narodzonych pomiędzy szesnastym a dwudziestym trzecim było dokładnie czworo: trzech chłopców i jedna dziewczynka.

Zygmunta przeszedł dreszcz. Westchnął głęboko, wstał z krzesła. Z wrażenia wyszedł z pokoju służbowego na korytarz. Doszło do niego, że jeśli nie popełnił błędu, to wśród czterech nazwisk kryje się tożsamość polskiego nielegala w Niemczech. Po namyśle dziewczynkę automatycznie odrzucił. Nie wierzył bowiem, by zagranicznym agentem esbeckiego wywiadu mogła być kobieta. Chwilę później kolejny raz wyzwał się w myślach, tym razem od durniów. „Przecież miałem te dzieciaki w zasięgu ręki już w USC!” – skonstatował. Pocieszył się jednak, że niedopatrzenie, jakiego się dopuścił, wynikało z faktu odkrycia parafii Świętego Stefana.

Po kilku minutach powrócił za biurko. Rozmyślał nad tym, co robić dalej. „W zasadzie to należałoby wysłać te trzy nazwiska do Gordona” – doszedł do najprostszego wniosku. „Przecież to na razie tylko moje przypuszczenie, niepoparte żadnym innym dowodem” – zmitygował się. „A jeśli jednak popełniłem błąd?”

A jeśli historyk był na fałszywym tropie? A jeśli agentem była jednak kobieta?” – oddalił od siebie przekonanie o rozwiązaniu zagadki.

Zastanawiał się, co może być dowodem na poparcie tego, że dokonał właściwego odkrycia. Szybko wpadł na to, że należy sprawdzić, czy Kalenik przypadkiem nie miał racji, twierdząc, że interesująca go karta została sfalszowana. Gdyby tak było, sprawa stałaby się oczywista.

Na monitorze komputera wyświetlił zdjęcia karty z pierwopisu oraz kilku stron ją poprzedzających i po niej następujących. Zaczął wypatrywać różnic w piśmie uwidocznionym na fotografiach. Na pierwszy rzut oka – wszystkie zapisy zostały sporządzone przez tę samą osobę. Jedyne te, którymi interesował się Kalenik, wydawały się być napisane jakby odrobinę bardziej nerwowo. Podkomisarz miał jednak pewien zasób wiadomości z podstaw kryminalistycznej analizy pisma ręcznego i wiedział, że pod wpływem złego stanu psychicznego lub choroby krój liter może się nieznacznie zmienić. A trzeba było pamiętać, że w dniach, kiedy adnotacje zostały sporządzone, przez Kraków przetaczał się wojenny front. Godzinę później stwierdził, że nie jest w stanie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy karta została sfalszowana. Raczej ugruntowało się w nim przekonanie o jej autentyczności.

Następną czynnością, jaką przeprowadził, było porównanie zdjęć pierwopisu z biura parafialnego oraz wtóropisu Urzędu Stanu Cywilnego. Ze względu na to, że musiał dokładnie odczytać zapisy z obu ksiąg, trwało to znowu ponad godzinę. Ale tu także wszystko się zgadzało.

Świadomość, że nadal nie posiada żadnego dowodu, który poświadczyłby obecność tożsamości nielegała na karcie, doprowadziła Veselego wręcz do pasji. Kombinował zatem, jak postąpić w tej sytuacji. Przypomniał sobie o byłym proboszczu parafii Świętego Stefana, rezydencie Domu Księży Seniorów w Makowie Podhalańskim. Odrzucił jednak pomysł złożenia mu wizyty, zniechęcony podeszłym wiekiem potencjalnego świadka. „Facet zapewne nie będzie pamiętał, co wydarzyło się pięćdziesiąt lat temu” – uzasadnił swoją decyzję. Zaraz jednak uznał, że robi błąd. „Nie powinienem rezygnować nawet z najmniejszej szansy” – przywołał się do porządku. Takie samo podejście postanowił zastosować do podejrzenia o sfalszowaniu karty w księdze metrykalnej.

„Przecież nie jestem fachowcem od analizy pisma ręcznego, więc nie mogę ocenić, czy zapisy są autentyczne, czy też nie”. To spostrzeżenie nakazało mu odwołać się do wiedzy i doświadczenia fachowca. I tu oczywiście pojawił się problem. Nie mógł przecież skorzystać z usług odpowiedniego eksperta, wykorzystując swój status policjanta. Szybko jednak doszedł do wniosku, że nie może tego zrobić, co prawda, oficjalnie, ale prywatnie, i do tego odpłatnie, to już tak. Wpadł nawet na pomysł, do kogo się zwrócić w tej sprawie. Otóż przypomniał sobie, że krakowski Ośrodek Ekspertyz Kryminalistycznych zatrudniał niezwykle sympatyczną i utalentowaną grafologkę, z którą Vesely już kiedyś współpracował. Nie namyślając się, odnalazł numer telefonu do niej i zaanonsował swoje przybycie.

\*\*\*

Specjalistka od kryminalistycznej analizy pisma ręcznego była, pomimo młodego wieku, bardzo otyłą osobą. Jej ładna, uśmiechnięta buzia skłoniła Zygmunta do pieszczotliwego nazwania ją w myślach „Uroczą Grubaską”. Duża masa ciała prawdopodobnie generowała u kobiety emocjonalno-psychologiczny kompleks, który zapewne wpływał negatywnie na jej relacje z mężczyznami, toteż obecność młodego, przystojnego policjanta wprawiała jej głos w jakąś nieokreśloną, przyprawioną nutą ekscytacji wibrację. Podkomisarz zauważył to i pomyślał o wykorzystaniu tej sprzyjającej okoliczności, lecz ostatecznie postanowił, że nie będzie „męską, wyrachowaną świnią”. Bez żadnych wstępów zakomunikował, że chciałby prywatnie oraz odpłatnie skorzystać z jej wiedzy i doświadczenia, a następnie wyjaśnił, z jakim problemem przychodzi. Podał jej pendrive’a ze zdjęciami, które ona wyświetliła na ogromnym monitorze o ponadstandardowej rozdzielczości.

– Szkoda, że nie przyniósł pan oryginałów – powiedziała, przyglądając się fotografiom. – Nie będę mogła skorzystać z komparatora spektralnego, spektrometru czy chromatografu gazowego.

– Tak naprawdę to nie zależy mi na szczegółowym badaniu, a tylko na opinii, czy zapisy pozostające w moim zainteresowaniu oraz pozostałe fragmenty księgi metrykalnej pisała ta sama osoba. Proszę także sprawdzić, czy nie mamy do



czynienia z jeszcze inną sytuacją, to znaczy, czy interesujące mnie adnotacje sporządziła jedna osoba, a pozostałe różne osoby? To także jest dla mnie ważne.

– Stwierdzenie falsyfikacji bez badania wieku atramentu oraz papieru będzie niezmiernie trudne. – „Uroczą Grubaską” obstawała przy swoim.

– Niestety, nie jestem w stanie dostarczyć pani sfotografowanych ksiąg. Jest to poza moim zasięgiem.

– No dobrze, postaram się panu pomóc – oświadczyła.

Zygmunt posłał jej jeden ze swoich najmilszych uśmiechów, co przyjęła z widoczną przyjemnością.

– Na kiedy opinia musi być gotowa?

– Najlepiej na wczoraj. – Uśmiech podkomisarza pogłębił się.

– Najszybszy termin to jakieś trzy, cztery dni. – Spojrzała na niego z prośbą o akceptację w oczach. – Mam mnóstwo oficjalnych zleceń – wyjaśniła.

– Okej, nie mam wyjścia – odparł Vesely.

– W takim razie zadzwonię, jak tylko sporządzę ekspertyzę.

Pożegnali się jak starzy znajomi.

\*\*\*

Następnego dnia, natychmiast po zakończeniu służby, Zygmunt skierował swój samochód na trasę prowadzącą na południe. Miał do pokonania około sześćdziesięciu kilometrów, jakie dzieliły Kraków od Makowa Podhalańskiego, gdzie znajdował się Dom Księży Seniorów. Podkomisarz, zgodnie ze swoimi wcześniejszymi przemyśleniami, podjął decyzję o przeprowadzeniu rozmowy z byłym proboszczem parafii Świętego Stefana. Nie spodziewał się, co prawda, uzyskania przełomowych informacji, chciał jednak nabrać przekonania, że wykorzystał wszystkie szanse w poszukiwaniu Bjorna. Przed południem rozmawiał telefonicznie z kimś z administracji kościelnego ośrodka emeryckiego, zapowiadając swoją wizytę. Ten ktoś w ogóle nie zraził się faktem policyjnego zainteresowania pensjonariuszem, stwierdził nawet, że „nasz podopieczny na pewno bardzo ucieszy się ze spotkania”. Zapowiadało to pozytywne nastawienie przyszłego rozmówcy.

Wprowadzono go do niewielkiego, skromnego, ale schludnego i bardzo jasnego pokoju. Z okna roztaczał się widok na nieodległe, niewysokie i faliste pogórze. Przy łóżku, na inwalidzkim wózku, siedział drobny, stary mężczyzna. Jego ascetyczna, wychudzona i pomarszczona, ale opalona twarz sprawiała wrażenie, że pomimo inwalidztwa jest zdrowym człowiekiem. Bystre, uważnie spoglądające oczy świadczyły o sprawności intelektualnej, co potwierdzały także stojące w pomieszczeniu regały z dziesiątkami książek. Vesely zauważył wśród nich pozycje dotyczące szachów. Jego wzrok zatrzymał się na nich przez chwilę, co nie uszło uwadze gospodarza.

– Grasz w szachy, synku? – spytał bezceremonialnie.

– Gram. – Zygmunt, nie wiedząc dlaczego, zapragnął stoczyć pojedynek.

– W szufladzie stołu jest szachownica, wyjmij ją, proszę. – Staruszek żwawo podjechał wózkiem do jednego z krańców blatu.

Rozegrali trzy szybkie partie. Zygmunt wszystkie przegrał, co wprawiło księdza emeryta w wielkie ukontentowanie.

– Napijesz się kawy, herbaty czy wody? Nic innego nie mam do zaoferowania – zaproponował.

– Herbata będzie w sam raz – odparł policjant.

Gospodarz nastawił czajnik elektryczny stojący na niewielkiej szafce przy łóżku. Woda szybko zabulgotała, więc Zygmunt, chcąc pomóc, zalał szklanki i postawił na stole.

– Kim jesteś, synku, i dlaczego mnie odwiedziłeś? – Staruszek uprzedził podkomisarza, przechodząc do sedna.

Vesely już chciał wygłosić zmyśloną historyjkę, którą przygotował sobie na to spotkanie, lecz spojrzawszy w ufne oczy duchownego i zmienił zamiar.

– Jestem policjantem i prowadzę pewne śledztwo poza wiedzą moich przełożonych. Nie mogę niestety zbyt wiele księdzu powiedzieć o istocie sprawy, która mnie tu sprowadziła, gdyż obowiązuje mnie tajemnica. Po prostu nie chcę kłamać, ostatnio zbyt często to robiłem. – Zygmunt poczuł ulgę niczym podczas prawdziwej spowiedzi. Podświadomie oczekiwał rozgrzeszenia. Ksiądz chyba się tego domyślił, gdyż zapytał:

– Kłamałeś czy nie mówiłeś prawdy?

– Czy to jakaś różnica?

– Zasadnicza. Człowiek zazwyczaj kłamie w złej intencji, nie mówi zaś prawdy, kiedy przyświeca mu istotny, dobry w sensie moralnym cel. Powiedziałaś, że obowiązuje cię tajemnica. Rozumiem zatem, że nie możesz powiedzieć mi prawdy ze względu na coś ważnego, w czym uczestniczysz. Domyślałam się także, że zamierzałaś mnie z tego powodu okłamać. Jednak jeśli założymy, że twoje działanie nie czyni zła, lecz dobro, to owo kłamstwo byłoby uzasadnione.

– Ale byłoby to mimo wszystko kłamstwo – odrzekł na to policjant.

– Posłuchaj, synku. Jest coś takiego jak prawda nienależna, czyli wiedza, którą nie można się z nikim, z racji różnych uwarunkowań, dzielić. Najczęściej nie wolno nawet zdradzić, że jest się w jej posiadaniu. Zatem wydaje się, że jedynym narzędziem chroniącym tajemnicę jest milczenie. Niestety, czasami bywają takie sytuacje, kiedy nie można milczeć, więc rozmyślne kłamstwo jest wtedy najwłaściwszym rozwiązaniem.

– Naprawdę tak ksiądz sądzi?

– Historycznie rzecz ujmując, przed dylematem „kłamać czy nie kłamać” stawali przedstawiciele wszystkich pokoleń. Weźmy na przykład żołnierzy Armii Krajowej, którzy aresztowani przez hitlerowców kłamali, by nie wydać swoich towarzyszy, przez co byli okrutnie torturowani w celu przymuszenia ich do wyjawienia prawdy.

– Kłamali w słusznej sprawie – zareagował Zygmunt.

– A ty? Czy chciałaś mnie okłamać w imię słusznej, ważnej sprawy?

Podkomisarz nie odzywał się. Robił rachunek sumienia. Po chwili twardo odrzekł:

– Tak.

– Zatem jak mogę ci pomóc?

Vesely opowiedział o badaniach prowadzonych przez Sylwestra Kalenika dotyczących zdarzeń sprzed pięćdziesięciu lat, następnie o jego dwóch wizytach w parafii Świętego Stefana oraz podejrzeniu sfałszowania karty w księdze urodzeń i chrztów. Kontynuował słowami:

– Ja także mam wiedzę, która każe mi sądzić, że fałszerstwo jest wysoce prawdopodobne. Rozmawiałem z obecnym zwierzchnikiem parafii i ten

zasugerował, żebym przyjechał tu, do Makowa, by porozmawiać na ten temat. Ponoć w sześćdziesiątym dziewiątym ksiądz pełnił służbę kapłańską w Świętym Stefanie.

– Byłem wtedy wikariuszem, takim zastępcą i pomocnikiem proboszcza – wyjaśnił staruszek.

– Chciałbym, żeby ksiądz sięgnął pamięcią do tamtego roku i odpowiedział mi na jedno pytanie: czy w tamtym czasie wydarzyło się coś dziwnego lub nadzwyczajnego?

– Coś, co wskazywałoby na działalność Służby Bezpieczeństwa? – Duchowny nawiązał do badań prowadzonych przez nieżyjącego historyka.

– Niekoniecznie. Chodzi mi o jakiegokolwiek zdarzenie, które naruszyło rutynowe, codzienne funkcjonowanie parafii.

Staruszek dumiał przez dłuższą chwilę.

– Niestety, niczego takiego nie mogę sobie przypomnieć – oświadczył z niejakim zadowoleniem w głosie, którego podkomisarz nie mógł zrozumieć. – Ale nie martw się synku, jest na to lekarstwo! – dodał niemal radośnie.

– Lekarstwo?! – Zygmunt bujał się na emocjonalnej huśtawce.

– Otóż jestem zagorzałym memuarystą...

– Kim?!!! – Vesely przerwał duchownemu.

– Memuarystą, czyli pamiętnikarzem. Od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego, kiedy to zostałem wyświęcony, prowadzę własne dzienniki. Po prostu spisuję co ważniejsze wydarzenia, których byłem świadkiem lub uczestnikiem. Teraz na ich podstawie piszę książkę o swojej drodze kapłańskiej. Na trzeciej półce od okna – wskazał na regał z książkami – znajdują się moje pamiętniki. Wyszukaj ten, który obejmuje interesujący cię rok, i podaj mi – poprosił.

Zygmunt udał się ku biblioteczce. Na półce stało kilkanaście oprawionych w twarde tekturowe okładki, grubych zeszytów. Na grzbietach oznaczone były przedziałem lat, których dotyczyły.

– Dużo ich – skomentował policjant.

– To tylko wspomnienia, które pisałem ręcznie. Jeszcze więcej mam w komputerze – pochwalił się duchowny.

Zygmunt wybrał zeszyt z okresu 1967 – 1970.

– Musiał mieć ksiądz bogate i ciekawe życie – stwierdził, przekazując dziennik staruszkowi.

– A żebyś wiedział, synku. Oprócz tego, że pełniłem funkcję proboszcza, to byłem także na misji w Afryce, podczas studiów we Włoszech obserwowałem końcówkę obrad Drugiego Soboru Watykańskiego, zjeździłem całą Europę oraz Amerykę Południową, a także wykładałem w krakowskim seminarium i na uniwersytecie.

– Teraz rozumiem, skąd te rozważania o „prawdzie nienależnej” – rzekł Zygmunt.

– Przez wiele lat nauczałem teologii moralnej, którą można utożsamiać z etyką chrześcijańską, czyli nauką o moralności ludzkich czynów w świetle Objawienia. Ale zajmijmy się tym, co jest dla ciebie ważne.

Kapłan przeszukiwał pamiętnik, odczytując jego fragmenty. Jego twarz zmieniła się. Widać było, że odbywa sentymentalną podróż. Po kilku minutach wyprostował się na wózku i oświadczył:

– Chyba coś mam!

– Co takiego? – Vesely poczuł się, jakby siedział na szpilkach.

– Według moich notatek latem sześćdziesiątego dziewiątego roku, a dokładnie w nocy z czternastego na piętnastego sierpnia, miało miejsce włamanie do kancelarii parafialnej. Skradziono pieniądze przechowywane w gabinecie proboszcza.

Vesely rozluźnił się. Odkrył bardzo poważną poszlakę potwierdzającą, że „obiekt L2” to parafia Świętego Stefana, zaś „dokumentacja M4” to tamtejsza księga metrykalna.

– Zapisalem wtedy – kontynuował emerytowany ksiądz – że w tym czasie wszyscy duchowni parafii, w tym i ja, uczestniczyli w pielgrzymce do Kalwarii Zebrzydowskiej z okazji święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. „Podczas głównej mszy po naszego proboszcza przyjechała milicja i zabrała go do Krakowa, by był obecny przy czynnościach śledczych, jakie zamierzano przeprowadzić w kancelarii parafialnej” – odczytał.

- Czy ten proboszcz był może tym samym, który urzędował pod koniec wojny?
- Podkomisarz ujrzał kolejne światełko w tunelu.
  - Tak, ale jakie to ma znaczenie?
  - Zapisy z karty, co do której mam podejrzenie, że została sfalszowana, zostały sporządzone w styczniu czterdziestego piątego – wyjaśnił policjant, po czym natychmiast zadał następne pytanie: – Obecny proboszcz Świętego Stefana, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że zgodnie z tradycją parafialną wpisów do tamtejszych ksiąg metrykalnych może dokonywać tylko zwierzchnik parafii, bez wsparcia ze strony innych osób. Czy tak było też w czasach, kiedy ksiądz był najpierw wikariuszem, a potem proboszczem?
  - Tak. Podobnie jak mój poprzednik literalnie przestrzegałem przepisów Kodeksu Prawa Kanonicznego. Odpowiednie adnotacje zawsze sporządzałem osobiście, chociaż oczywiście istniała prawna możliwość posiłkowania się pomocnikami.
    - A jak ksiądz był chory albo przebywał na wyjeździe?
    - Wtedy wyznaczałem odpowiednią osobę, która odnotowywała dane związane z faktem chrztu, bierzmowania, zawarcia małżeństwa lub pogrzebu, ale tylko w raptularzu.
      - W raptularzu? Co to jest? – Podkomisarz był zdezorientowany.
      - To rodzaj księgi parafialnej o charakterze brudnopisu, w której zapisywano zdarzenia podlegające rejestracji w chwili ich zgłoszenia. Z raptularza przepisywałem później wszystko „na czysto” do odpowiednich ksiąg metrykalnych.
        - A czy ksiądz posiada może jakiś dokument pisany odręcznie przez swojego poprzednika? – Podkomisarz znalazł sposób na szybkie sprawdzenie, czy podejrzenia Kalenika były słuszne, czy też nie.
          - Chcesz, synku, zbadać, czy to na pewno on sporządził zapisy w księdze?
          - Właśnie tak.
          - Może mam jakiś list od niego, ale nie jestem pewny. Musimy poszukać. Pod łóżkiem leżą różne pudła, w jednym z nich jest archiwum ważnej dla mnie korespondencji.

Jakiś czas potem staruszek rozłożył na stole pożąłką kartkę wypełnioną drobnym pismem. Podkomisarz wyświetlił na swoim smartfonie fotografię jednej ze stron karty, którą Kalenik uznał za podrobioną. Porównał pismo z listu z tym ze zdjęcia. Były bardzo podobne, wręcz wydawały się takie same.

– Wpadłem na ciekawy pomysł, jak sprawdzić, czy karta nie została sfalszowana – zakomunikował nieoczekiwanie ksiądz.

– Jaki? – Vesely nastawił uszu.

– Za pomocą raptularza – odparł gospodarz. – Nie powiedziałeś mi tego, synku, ale domyślam się, że zakładasz, iż w jakimś, prawdopodobnie tobie znanym celu, Służba Bezpieczeństwa podrobiła zapisy w księdze urodzeń i chrztów sporządzone w styczniu czterdziestego piątego roku. Jak zapewne wiesz z historii, był to okres wyzwalań Krakowa spod niemieckiej okupacji. Władze kościelne obawiały się w tamtym czasie, że czerwonarmiści zdewastują nasze świątynie. Szczególny niepokój wyzawało duże prawdopodobieństwo zniszczenia dokumentacji kościelnej, w tym aktów stanu cywilnego. Muszę dodać, że współczesne Urzędy Stanu Cywilnego...

– Wiem, że funkcjonują dopiero od tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, zaś wcześniej ich funkcje wypełniały związki wyznaniowe. – Zygmunt wpadł w słowo staruszkowi.

– Zgadza się – potwierdził duchowny. – Wracając jednak do mojego wywodu, należy zaznaczyć, że władze kościelne nakazały chronić wspomnianą dokumentację przed Armią Czerwoną i proboszczowie skwapliwie zastosowali się do tego polecenia.

– W jaki sposób?

– Ukrywali pierwopisy, zostawiając w parafiach ich duplikaty, czyli wtóropisy. Potem, zaraz po wyzwoleniu Krakowa, kiedy w mieście panoszyli się Rosjanie – a musisz wiedzieć, synku, że rabowali, gwałcili i zabijali – oddawali je na przechowanie do archiwum archidiecezjalnego. Dotyczyło to również wszystkich innych dokumentów. Może raptularz mojego poprzednika spoczywa sobie spokojnie od dziesięcioleci właśnie w tym archiwum?

– Czyli ksiądz uważa, że porównując zapiski z brudnopisu z ich odpowiednikami w księdze metrykalnej, można sprawdzić autentyczność tych

drugich? – Zygmunt ujrzał kolejną szansę na rozwiązanie zagadki.

– Oczywiście, synku. Jeśli Służba Bezpieczeństwa rzeczywiście dokonała fałszerstwa, to była zmuszona zmienić zapisy zarówno w pierwopisie, który jest przechowywany w biurze parafialnym, jak i we wtóropisie, który został w czterdziestym szóstym przekazany do Urzędu Stanu Cywilnego. Pojawia się zatem pytanie, czy to samo zrobiono w raptularzu. Osobiście wątpię! Bezpieka mogła po prostu nie uwzględnić faktu istnienia brudnopisu. No i włamanie do archiwum archidiecezjalnego jest o wiele trudniejsze niż do biura parafii.

– Jutro zaraz lecę do archiwum! – W głosie policjanta zabrzmiał entuzjizm zmieszany z hurraoptymizmem.

– Spokojnie, synku. Najpierw pójdziesz do Kurii na Franciszkańską.

– Nie rozumiem.

– Kościół, synku, to bardzo skomplikowana organizacja. – Staruszek uśmiechnął się znacząco, a następnie wyjaśnił: – Dyrektorem jednego z wydziałów Kurii jest mój wychowanek. To bardzo wpływowy ksiądz. Dam ci do niego list polecający. On pomoże wszystko załatwić.

– A czy będę mógł także wypożyczyć list od poprzednika księdza na stanowisku proboszcza w Świętym Stefanie? – Zygmunt chciał wycisnąć maksimum z tego spotkania.

– Pod warunkiem, że rozegrasz ze mną jeszcze kilka szachowych partii. Nie uwierzysz, synku, ale tutaj nikt nie potrafi grać tak jak ty...

\*\*\*

Vesely już dawno nie był tak rozemocjonowany. Zaraz po opuszczeniu Domu Księży Seniorów zadzwonił do „Uroczej Grubaski”, informując ją, że jest w posiadaniu próbki pisma człowieka, który prowadził księgę z zapisami oddanymi do badania. Umówili się, że następnego dnia rano podkomisarz przywiezie zdobycz do Ośrodka Ekspertyz Kryminalistycznych.

Zygmunt nie mógł uwierzyć w to, jak diametralnie zmieniła się sytuacja. Zdawał sobie sprawę, że oto właśnie rozgrywał się finał jego poszukiwań. Jeszcze kilka dni i przekona się, czy ustalił tożsamość Bjorna, czy też już nigdy nie zdoła jej odkryć. W porywie uczuć, jakie go ogarnęły, postanowił, że poinformuje



o wszystkim pułkownika Gordona dopiero wtedy, gdy definitywnie zakończy śledztwo. Jak tylko nadejdzie ta chwila, to ostatecznie oznajmi o sukcesie lub klęsce.

Następnego dnia, natychmiast po dostarczeniu próbki pisma do Ośrodka Ekspertyz Kryminalistycznych, podkomisarz udał się do Kurii na Franciszkańską. Z listem polecającym w dłoni, jaki otrzymał od staruszka w Makowie Podhalańskim, wszedł do wskazanego mu gabinetu. Za biurkiem siedział ksiądz w średnim wieku, którego oblicze zwiastowało, że jest wysokiej rangi kurialnym urzędnikiem. Właściwie nie zareagował na pojawienie się policjanta, jedynie spojrzął na niego pytająco. Nie sposób było nie mieć respektu dla tego człowieka. Vesely wybąkał jedynie, kto go przysłał, i położył list polecający na blacie.

Dyrektor wyjął go z koperty, poprawił dyskretnie okulary i zagłębił się w treść. Zygmunt zauważył, jak jego twarz rozpromieniła się pod wpływem lektury. Jednak gdy skończył, znowu przywdział maskę Bardzo Ważnej Osoby, po czym zwrócił się do podkomisarza suchym, bezdyskusyjnym tonem:

– Zajmę się tą sprawą niezwłocznie. Jak tylko pracownicy archiwum ustalą, czy raptularz się tam znajduje, czy też nie, będzie pan o tym powiadomiony. Jeśli zostanie odnaleziony, to otrzyma pan możliwość jego oglądu. To wszystko. Proszę zostawić numer swojego telefonu.

Zygmunt położył na biurku wizytówkę, podziękował i wyszedł z pomieszczenia.

Dwa kolejne dni dłużyły się niemiłosiernie. Oczekiwanie było wręcz zabójcze, więc rzucił się w wir oficjalnej policyjnej roboty. Przyniosło to niebagatelne korzyści: nadgonił biurokratyczne zaległości oraz udało mu się w jednej sprawie zapunktować przed naczelnikiem Prędkim, co przyczyniło się do utrwalenia w jego oczach wizerunku podkomisarza jako solidnego i rzetelnego funkcjonariusza.

Trzeciego dnia rano zadzwoniła grafolożka i zakomunikowała, że ekspertyza jest gotowa do odbioru. Na tę wiadomość Vesely wyleciał ze swojego pokoju służbowego jak z procy i nie oglądając się na nic, pognął samochodem do Ośrodka Ekspertyz Kryminalistycznych.

\*\*\*

– Mogę z całą pewnością stwierdzić, że zapisy na wskazanej przez pana karcie sporządziła inna osoba niż w pozostałym, udostępnionym mi do badań materiale – zakomunikowała „Uroczą Grubaską”.

– Czyli karta została sfalszowana? – Zygmunt chciał jednoznacznej odpowiedzi.

– Niestety nie mogłam wydać takiej opinii. Po pierwsze, nie znamy okoliczności, w jakich ten ktoś „obcy” dokonał wpisów, a po drugie, nie przeprowadziłam badań chemicznych określających zgodność papieru i atramentu. Gdyby one wykazały istotne różnice, to wtedy moglibyśmy mówić o fałszerstwie.

– A czy zbadala pani drugi wariant, o który prosiłem? – dopytał podkomisarz.

– Czy interesujący pana fragment wykonała jedna osoba, a pozostałą część wiele osób?

– Właśnie.

– Wydawało mi się, że moja ocena jest jednoznaczna. Sformułuję ją zatem inaczej: wszystkie zapisy w udostępnionym do badania materiale, oprócz tych wskazanych przez pana, sporządziła jedna osoba. Zapisów wskazanych dokonała inna, także jedna osoba.

– Innymi słowy, mogę domniemywać fałszerstwo?

– Jak najbardziej, panie podkomisarzu. – Ekspertka pokiwała potwierdzająco głową.

– Jak pani to odkryła? Ja porównywałem kroje pisma i byłem niemal pewien, że autorem jest ten sam człowiek.

– Powiem tak: pismo zostało podrobione niezwykle starannie. Musiał to zrobić albo ktoś wyjątkowo uzdolniony manualnie, albo profesjonalny artysta, który trudni się, na przykład, tworzeniem kopii malarskich. A moje doświadczenie podpowiada, że zawodowy fałszerz zazwyczaj jest właśnie niezwykle utalentowanym manualnie kopistą. Udało mi się jednak zidentyfikować jego dwie oryginalne cechy, które regularnie powtarzały się we wskazanych zapisach, lecz nie występowały w pozostałym materiale. Nie chcę się chwalić, ale to było trudne wyzwanie.

– Tym bardziej jestem pani wdzięczny – zareagował kurtuazyjnie Vesely.

– Niech pan mi powie – „Uroczą Grubaską” wpatrywała się uważnie w policjanta – dlaczego pan nabrał podejrzeń co do autentyczności karty? Przecież fakt, że pismo zostało podrobione, w zasadzie jest nie do zidentyfikowania bez wnikliwego badania.

– Szczerze mówiąc, zasugerowała mi to pewna osoba. Porównałem więc poszczególne fragmenty i doszedłem jedynie do wniosku, że zapisy na wskazanej karcie sporządził ten sam człowiek co w pozostałym materiale, ale zrobił to pod wpływem emocji. Nabrałem po prostu przekonania, że gdy pisał, to był czymś zdenerwowany. Dlatego zdecydowałem się zasięgnąć opinii eksperta i tak trafiłem do pani.

– A czy mógłby pan, podkomisarzu, spytać tamtą osobę, co naprowadziło ją na trop fałszerstwa? Niezmiernie mnie to ciekawi.

– Niestety, w tej chwili to niemożliwe. W zasadzie nigdy już nie będzie możliwe.

\*\*\*

Między pierwszą a drugą po południu smartfon Zygmunta zakomunikował przychodzące połączenie. Numer był nieznany, toteż podkomisarz wstał z za biurka i tradycyjnie wyszedł z pokoju służbowego na korytarz. W słuchawce rozległ się kobiecy głos, który oświadczył, że „raptularz z parafii Świętego Stefana jest gotowy do wglądu w Archiwum Kurii Metropolitalnej”. Kobieta, niczym chatbot, poinformowała także, że „czytelnia jest czynna od wtorku do piątku w godzinach od dziewiętej do trzynastej” oraz że „zgodnie z regulaminem nie wolno wносить piór wiecznych ani długopisów, a tylko ołówki, zaś archiwalia należy przeglądać w bawełnianych rękawiczkach ochronnych, które można nabyć na miejscu”.

Wiadomość, że raptularz istnieje, rozpałał Veselego do białości. Było po trzynastej, więc należało czekać do następnego dnia. Z oczywistych względów nie mógł się na niczym skupić. Wykonywanie obowiązków w komendzie stało się niemożliwe, policyjna robota leciała mu z rąk. Także popołudnie i wieczór nie należały do łatwych. Przez te wszystkie godziny starał się wyobrazić sobie, jakie rewelacje odnajdzie w starej księdze.

W nocy długo nie mógł zasnąć. Potem męczyły go senne majaki. Kogoś gonił, przed kimś uciekał, gdzieś w oddali widział sylwetkę Sylwestra Kalenika, która rozpływała się niczym plama oleju na wodzie. Pojawił się Gordon, który coś do niego mówił, a potem krzyczał, lecz Zygmunt niczego nie mógł usłyszeć. W końcu wszystko się uspokoiło i nadszedł bardzo przyjemny sen. Kochał się namiętnie z Justyną. Jej wspaniałe piersi falowały majestatycznie przed jego oczyma. Chciał ją pocałować i okazało się, że ma twarz „Uroczej Grubaski”. Obudził się cały zlany potem. Spojrzał na budzik. Było kilka minut po piątej. Postanowił wstać i umyć się. Zrezygnował z tak wczesnego śniadania, zresztą wskutek emocji i nocnych koszmarów miał skurczony żołądek. Wypił za to na czczo filiżankę mocnej kawy, czego kilka chwil później pożałował, gdyż wylądował w toalecie. Poszedł do łazienki, by przemyć twarz. Spojrzał w lustro i stwierdził, że wygląda, jakby był po całonocnej libacji. Doprowadził się jako tako do porządku i pojechał do komendy. Musiał jakoś zabić czas do momentu wizyty w archiwum.

Tuż po dziewiątej wszedł do czytelnicy. Usiadł na wskazanym przez młodego archiwistę miejscu i zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Nie było duże. Oferowało mniej niż dwadzieścia miejsc do pracy, zorganizowanych na bazie kilkunastu stołów, połączonych w sześć rzędów, wyposażonych w biurkowe lampki. Ściany były ozdobione niewielkimi obrazami oraz zdjęciami starych, chyba kilkusetletnich ksiąg. W bocznej wnęce wisiało duże malowidło przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem, zaś w centralnym miejscu zawieszono sporych rozmiarów drewniany krucyfik. Z tyłu stały regały z niewielkim zasobem bibliotecznym.

Nie oczekiwał długo. Ten sam pracownik przyniósł księgę podobną do tych, jakie oglądał w Urzędzie Stanu Cywilnego i biurze parafialnym, oraz białe bawełniane rękawiczki.

– Oto raptularz, który chciał pan przejrzeć – powiedział, kładąc go na stoliku. – Proszę nie zapomnieć założyć rękawiczek – dodał.

Przed Veselym leżało coś, co śmiało mógł nazwać przedmiotem swojego pożądanego. Wpatrywał się w raptularz i zastanawiał się, co w nim odnajdzie. Radość czy smutek i żal? Podkomisarz westchnął i pełen obaw odchylił okładkę. Strona tytułowa obwieszczała, że księga należała do parafii Świętego Stefana.

Przerzucił kilka kartek, spojrzął na uwidocznione na stronach daty i zrozumiał, że okres, który go interesuje, jest znacznie, znacznie dalej. Po kilkudziesięciu sekundach dotarł wreszcie do stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Okazało się, że dane z tego miesiąca zajmują ostatnie dwie zapisane strony raptularza.

Zaczął analizować wszystkie zapisy sporządzone pomiędzy szesnastym a dwudziestym trzecim stycznia. Coś mu nie pasowało. Wyciągnął z teczki wydrukowane w komendzie kopie zdjęć księgi metrykalnej, jakie wykonał w biurze parafii Świętego Stefana. Przygotował je specjalnie, gdyż nie mógł wyświetlić fotografii na smartfonie, używanie telefonów komórkowych było w czytelni zabronione. Cierpliwie porównywał tamtejsze zapisy z tymi w raptularzu. W pewnym momencie ciało Zygmunta zaczęło silnie drżeć, a krew pulsowała mu w skroniach z potworną siłą. Zrobiło mu się strasznie gorąco i zarazem słabo, jego oddech stał się krótki i płytki. Próbował się uspokoić, lecz przychodziło mu to z trudem. Wyjął z kieszeni chusteczki jednorazowe i trzęsącą się ręką wytarł czoło, które wskutek odkrycia, jakiego dokonał, uperliło się tłustym, zimnym potem. Starał się nabierać do płuc wielkie hausty powietrza, co w końcu przyniosło mu widoczną ulgę.

Gdy już doszedł do siebie, przeprowadził jeszcze raz całościowe porównanie. Nie miał żadnych wątpliwości: wreszcie poznał tożsamość Bjorna!

Zainteresowały go także dwa wpisy dotyczące pewnej kobiety. Zostały one sporządzone kolejno po sobie. W drugim, późniejszym, widniał obcojęzyczny wyraz, którego znaczenia nie rozumiał. Spojrzął w kierunku młodego archiwisty, który go obsługiwał. Gdy nawiązał z nim kontakt wzrokowy, dał mu do zrozumienia, że potrzebuje pomocy.

– Gravida – pracownik odczytał tajemnicze słowo. – To po łacinie. Oznacza ciążę.

– Ciążę?! – Zygmunt w pierwszym odruchu niczego nie skojarzył.

– No, tak. Proszę dokładnie przyjrzeć się notatce w raptularzu. Ten wyraz został umieszczony przy nazwisku kobiety, co jest informacją, że była ona w ciąży.

– Ach taaak! – Podkomisarz rozumiał już wszystko.

Zagadka, którą pasjonował się od tyłu miesięcy, została rozwiązana!

– Mam prośbę – zwrócił się do archiwisty. – Czy mógłbym zrobić smartfonem zdjęcie tej części raptularza?

– W czytelnicy nie wolno używać telefonów komórkowych, taki mamy regulamin – padła odpowiedź.

– A może by się pan tak na chwilę odwrócił, by niczego nie widzieć? – Mówiąc to, Vesely wyjął z kieszeni marynarki legitymację służbową i położył ją rozwartą na blacie stolika.

Pracownik spojrział na nią, przełknął w widoczny sposób ślinę i odrzekł:

– Wyjdę do toalety. Chyba mi wolno, co nie?

Policjant skinął aprobująco głową.

Opuściwszy budynek archiwum, Zygmunt zadzwonił do Gordona. Ten jednak się nie zgłaszał. Nie namyślając się długo, wysłał mu esemesa: „SUKCES. ZNALAZŁEM”, po czym wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku komendy.

Nie zdążył dojść do swojego pokoju służbowego, gdy usłyszał dźwięk smartfona. Pułkownik miał nienaturalnie przytłumiony, najprawdopodobniej z wrażenia, głos.

– Czy ustalił pan nazwisko? – spytał tylko.

– Tak.

– Jeszcze dzisiaj będę u pana. Do zobaczenia wieczorem – oświadczył oficer wywiadu i się rozłączył.

Przebieg rozmowy świadczył o tym, że Agencja raczej nie odkryła tożsamości Bjorna. Fakt ten jedynie pogłębił i tak już doskonały humor Zygmunta.

\*\*\*

Pułkownik Gordon bardzo serdecznie, wręcz z niejaką uniżonością, uściskał na powitanie rękę podkomisarza, gdy tylko ten wszedł do hotelowego pokoju.

– Naprawdę udało się panu to zrobić? Naprawdę odkrył pan tożsamość Bjorna? – spytał od razu z autentycznym wzruszeniem w głosie.

– Tak, panie pułkowniku! – Mowa ciała Zygmunta obwieszczała całkowity tryumf.

– No to jakże on się, do cholery, nazywa?

– Wojciech Rytel.

– Jest pan tego pewien? – Oficer wywiadu wciąż nie dowierzał.

– Na sto procent – odparł Vesely. – Mam dla pana pendrive’a z oznaczonymi materiałami, które czarno na białym dowodzą, że jest tak, jak mówię.

Gordon zwiotczał, podobnie jak kilka dni temu Zygmunt podczas wizyty w biurze parafii Świętego Stefana. Błądził wzrokiem po pokoju, jakby czegoś szukał, w końcu zmobilizował się i sięgnął do swojej torby podróżnej, z której wyciągnął butelczynę szkockiej whisky. Rozlał alkohol do dwóch szklanek, jakie były na wyposażeniu pokoju, jedną z nich podał policjantowi, po czym rzekł:

– Wypijmy za pana sukces, podkomisarzu. Do dna! – zaordynował.

Po spełnieniu toastu pułkownik rozsiadł się w fotelu i poprosił, by Vesely wszystko bardzo szczegółowo opowiedział. Włączył także dyktafon.

– Później, starym zwyczajem, poproszę pana jeszcze o sporządzenie sprawozdania na piśmie – zakomunikował.

Zygmunt rozpoczął od relacji z rozmowy z córką Zdzisława Tekiela, dzięki której złożył wizytę w Urzędzie Stanu Cywilnego, gdzie w zasadzie dokonał się przełom w poszukiwaniach. Kiedy opisywał, jak to udało się ustalić kluczowe fakty podczas pobytu w biurze parafii Świętego Stefana, które nakazały mu skorzystać z pomocy grafolożki, oraz w Domu Księży Seniorów, pułkownik kręcił z niedowierzaniem głową. A gdy opowiedział o pomysle księdza emeryta dotyczącym wykorzystania raptularza, oficer bezwiednie klasnął z zachwytu w dłoń.

– Najgorsze w tym wszystkim było to – kontynuował podkomisarz – że nie miałem najmniejszej pewności co do jego istnienia. Jak wyszedłem z gabinetu kurialnego dyrektora, uświadomiłem to sobie z całą mocą i na informację z archiwum archidiecezjalnego czekałem jak na wyrok. W międzyczasie otrzymałem od grafolożki potwierdzenie sfałszowania zapisów w księdze metrykalnej i w zasadzie już wiedziałem, że ustalenie tożsamości Bjorna będzie tylko kwestią czasu.

– A do tego nadeszła jeszcze wiadomość, że raptularz istnieje! – Gordon był zafascynowany przebiegiem wydarzeń.

– Już podczas pierwszej lustracji jego zawartości stwierdziłem, że coś jest nie tak. Dokonałem wtedy dokładnego porównania z zapisami z pierwopisu i stało

się!!! Odkryłem Bjorna!!! – Vesely na samo wspomnienie tego momentu rozemocjonował się.

– To co w takim razie się nie zgadzało?! – Oficer wywiadu nie mógł się doczekać wyjaśnienia.

– W księdze chrztów i urodzeń jest adnotacja o narodzinach Wojciecha Rytela, zaś w raptularzu takiej nie ma. Oznacza to, że taka osoba w ogóle się nie urodziła!!!

Gordon zamiast się cieszyć z odkrycia, zafrasował się.

– To wcale nie musi oznaczać, że Rytel to Bjorn – wyraził wątpliwość. – Niech pan pamięta, że ten człowiek narodził się w czasach wojennej zawieruchy. Fakt ten mógł zostać odnotowany z pominięciem brudnopisu. Ówczesny proboszcz z jakichś względów mógł sporządzić stosowny zapis od razu „na czysto”.

– Jestem w stu procentach pewien, że Rytel to Bjorn! – odrzekł na to policjant.

– Dlaczego?

– Proszę wysłuchać mnie dokładnie do końca. – Zygmunt uśmiechnął się niemal z wyższością. – Otóż w raptularzu nie było, co prawda, zapisu dotyczącego nazwiska „Wojciech Rytel”, natomiast stwierdziłem tam obecność nazwiska „Barbara Rytel”...

– SB sfałszowała płeć dziecka! – oficer Agencji Wywiadu nie wytrzymał i przerwał podkomisarzowi.

– Na pewno nie – odparł Vesely.

– Więc o co chodzi?

– W księdze urodzeń i chrztów są także informacje na temat rodziców. W oficjalnych aktach stanu cywilnego Barbara Rytel to matka Wojciecha, a w brudnopisie nazwisko tej kobiety występuje bez adnotacji o narodzinach dziecka!!!

– A kim był jego ojciec? Pamiętaj pan, że szukamy dzieciaka, którego chociaż jeden rodzic miał niemiecką narodowość. No, chyba że matka była Niemką. – Gordon nie był jeszcze w pełni przekonany, że nielegal został odnaleziony.

– Pamiętam. Niestety nie wiem, czy Barbara Rytel była Niemką, zaś w księgach ze Świętego Stefana oraz z Urzędu Stanu Cywilnego istnieje tylko zapis, że ojciec jest nieznan.

– Cholera, ale pech – skwitował pułkownik



– Jednak ja znam nazwisko ojca – oświadczył z dumą Vesely.

– TO NIEMOŻLIWE – wyjąkał z przejęciem pułkownik.

– A jednak prawdziwe.

– Zaraz, zaraz – Gordon dedukował – Czyżby w raptularzu odnalazł pan także tatusia?

– Właśnie! – odparł radośnie Zygmunt. – Są w nim dwie notatki na temat matki Wojciecha Rytela. Jedna z czternastego stycznia, zaś druga z siedemnastego. Ta późniejsza mówi o tym, że kobieta, będąc w ciąży, zginęła w lewym skrzydle dzisiejszego krakowskiego szpitala imienia Gabriela Narutowicza, na skutek radzieckiego ostrzału artyleryjskiego. Oznacza to, że na pewno nie urodziła żadnego dziecka!!!

– Czyli my naprawdę wiemy, kim jest Bjorn!!! – Pułkownik roześmiał się głośno z ogarniającej go radości.

– Dokładnie – potwierdził Zygmunt.

– A co było we wcześniejszej notatce?

– Zapis informuje, że dnia czternastego stycznia czterdziestego piątego roku Barbara Rytel poślubiła w szpitalu niemieckiego oficera Wehrmachtu, leutnanta Adalberta von Delitza.

– JA PIERDOLĘ! – Gordonowi nerwy puściły ostatecznie.

Przez dobrą minutę milczeli. Obaj byli pod wrażeniem tego, co się stało.

– Należałoby sprawdzić w USC, czy fakt małżeństwa jest tam odnotowany – pierwszy, cichym głosem, odezwał się oficer Agencji.

– Już to zrobiłem – odrzekł Vesely. – W urzędzie nie ma nic o ślubie Barbary Rytel z Delitzem. Ciekawe, dlaczego wywiad SB ukrył ten fakt.

– To w tej chwili nie ma już żadnego znaczenia, panie podkomisarzu. Najważniejsze, że wiemy, kim jest Bjorn!

– W rejestrze istnieje natomiast adnotacja dotycząca śmierci Barbary Rytel, informująca, że stało się to siedemnastego stycznia, czyli tak jak to podaje raptularz. A ponieważ był to również dzień urodzin Wojciecha Rytela, możemy przyjąć, że jednym z elementów legendy Bjorna była opowieść o tym, że jego matka zmarła przy porodzie.

– Ma pan całkowitą rację – zgodził się pułkownik.

Pogadali jeszcze kilka minut i Vesely wziął się do opracowywania szczegółowego, pisemnego sprawozdania. Kiedy skończył, Gordon zaproponował opróżnienie butelczyny szkockiej whisky. Zygmunt nie opierał się. Mieli przecież co świętować. Gawędzili prawie do świtu, powracając po kilka razy do każdego z etapów śledztwa podkomisarza. Na koniec pułkownik obiecał, że za niedługo przyjedzie do Krakowa, by oficjalnie podziękować Veselemu za współpracę z Agencją. Rozstali się we wspaniałych humorach. Policjant, gdy tylko wyszedł z pokoju hotelowego, wyłączył dyktafon, na który nagrywał przebieg całego spotkania. Był tak zadowolony, iż pierwszy raz pomyślał, że chyba niepotrzebnie stosował się do rady udzielonej mu przez stryja Macieja. ■

## RETROSPEKCJA III. WEIMAR, NIEMIECKA REPUBLIKA DEMOKRATYCZNA, LIPIEC 1970 ROKU

Pociąg opuszczał Jenę, prawie stutysięczne miasto leżące w Turyngii, szczycące się wysoko rozwiniętym przemysłem optycznym oraz imponującymi tradycjami naukowymi – w przeszłości na tutejszym uniwersytecie wykładali Fichte, Schelling, Hegel<sup>32)</sup>, Schiller<sup>33)</sup>, a studiowali między innymi Marks oraz Schopenhauer<sup>34)</sup>.

---

32) Wielcy filozofowie okresu niemieckiego idealizmu.

33) Niemiecki poeta, przedstawiciel klasyki weimarskiej.

34) Karl Marx (Karol Marks) – twórca socjalizmu naukowego (marksizmu). Arthur Schopenhauer – niemiecki filozof.

Bjorn obserwował przez okno, jak rozrzedza się miejska zabudowa i zastępuje ją widok nizinnych pól i łąk. Za niecałe pół godziny powinien dojechać do Weimaru. Patrząc w przestrzeń, poczuł się niezwykle samotnie. Zaraz potem ogarnął go niezdefiniowany wewnętrzny niepokój. Pomyślał, że gdyby miał taką możliwość, to zrezygnowałby z tej podróży.

Podjął próbę zracjonalizowania stanu psychicznego, w jaki popadł. Po kilku chwilach powrócił do równowagi, gdyż przypomniał sobie słowa kapitana Nowaczyka, który uprzedzał go, że każde poważniejsze wyzwanie będzie wyzwalało w nim strach ujawniający się pod różnymi postaciami: poczucia samotności, rozdrażnienia, emocjonalnego rozchwiania, a nawet senności i ziewania. „Zatem wszystko jest w normie” – ucieszył się, co pomogło mu ostatecznie się wyciszyć i uspokoić.

Jechał na pierwsze spotkanie z przedstawicielami rodziny Delitzów. W Weimarze oczekiwali go „kuzyni”: Friedrich i Renate, czyli syn i córka Lothara von Delitza, brata „jego ojca”, poległego na wojnie Adalberta. Owa konfrontacja była pierwszym zagranicznym, a do tego kluczowym zadaniem, jakie miał wykonać w swojej wywiadowczej karierze. „Od jego przebiegu zależy powodzenie

całej operacji uplasowania Bjorna w RFN” – ta oczywistość dręczyła go od dawna. Sam nie wiedział, dlaczego pomyślał o sobie jak o kimś innym. „Może dlatego, że ten skandynawski kryptonim brzmi dla mnie obco i przez to nie mogę się z nim oswoić? Zapewne tak. Wszystko wymaga odpowiedniego czasu” – dodał sobie otuchy. Przecież udało mu się przywyknąć do swojego nowego nazwiska – od jedenastu miesięcy żył, pracował i udzielał się towarzysko jako Wojciech Rytel. Mógł śmiało powiedzieć, że zżył się z tą tożsamością. Jego prawdziwe personalia wydawały mu się obecnie wręcz nierealne, jakby pochodziły z innego świata.

Naszły go wspomnienia. Przed oczami stanął mu obraz dużej kamienicy w Radomiu, mieszczącej dom dziecka, którego był wychowankiem. Ponownie zdenerwował się. „Jestem z warszawskiego domu dziecka... Jestem z warszawskiego domu dziecka... Jestem z warszawskiego domu dziecka...” – przez jakiś czas powtarzał w myślach jak automat. Wyjawienie komukolwiek faktu, iż w rzeczywistości spędził dzieciństwo oraz wiek młodzieńczy w radomskim sierocińcu, groziło dekonspiracją. Postanowił jeszcze raz powtórzyć główne elementy szczegółowo opracowanej legendy operacyjnej, chociaż kilka razy zrobił to ostatniej nocy, leżąc w łóżku i czekając na sen, który długo nie nadchodził. Całość składała się z olbrzymiej ilości faktów, nazwisk i fotografii, które miesiącami wtłaczał sobie do głowy. Musiał, na przykład, znać personalia wychowawców oraz kolegów i koleżanek z warszawskiego domu dziecka, z którymi przecież nie miał nigdy do czynienia, a także umieć skojarzyć ich twarze. To samo dotyczyło pewnej stołecznej podstawówki, liceum oraz politechniki. Nowaczyk zorganizował mu nawet swoiste wycieczki do tych wszystkich lokalizacji, by pomóc mu zapamiętać mnogość szczegółów.

Następnie przypomniał sobie korespondencję, jaką prowadził przez kilka miesięcy ze „swoją babcią” Luise von Delitz. Pamiętał dokładnie treść jej pierwszego listu, jaki oficjalnie otrzymał od Krajowego Biura Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża, a od którego wszystko się zaczęło. Musiał pilnować się podczas rozmowy z „kuzynami”, by nie podać w wątpliwość jakiegokolwiek faktu z tych, które zawarł w swoich listach. W zasadzie cała operacja polskiego wywiadu opierała się na założeniu, że odnalezienie się „wnuka” wyzwoli w tej kobiecie tak wielkie emocje, iż w konsekwencji Bjorn zostanie

uznany za członka rodu i otrzyma propozycję przesiedlenia się do Niemiec Zachodnich. Owca

Znów przyglądał się krajobrazowi widocznemu z okna pociągu. Jego monotonność sprawiła, że na chwilę zapomniał o czekających go wydarzeniach. Miał dwadzieścia pięć lat, lecz nie czuł się jeszcze w pełni dojrzałym człowiekiem, chociaż jego dotychczasowe życie nie należało do łatwych. Odkąd został przyjęty do liceum, pragnął studiować na politechnice. Chciał zostać inżynierem. Był uzdolniony matematycznie, także inne przedmioty ścisłe, zwłaszcza fizyka, nie sprawiały mu trudności. Nauczyciele poznali się na nim i dopingowali. Zdał maturę i dostał się do Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Rzeszowie, na wydział mechaniczny. Jako wychowanek domu dziecka otrzymał niewielkie stypendium socjalne oraz miejsce w akademiku. Musiał, co prawda, dorabiać, gdyż często brakowało mu pieniędzy, czasami nawet nie dojadał, ale i tak uważał, że wygrał los na loterii. Studiował z pasją i poświęceniem, postanowił bowiem maksymalnie wykorzystać otrzymaną szansę.

Jego życie diametralnie zmieniło się po czwartym roku. W wakacje pracował jako robotnik w jednej z rzeszowskich fabryk, by zarobić pieniądze na następny semestr. Pewnego dnia, tuż przed końcem sierpnia, został wezwany do kierownika wydziału kadrowego. W gabinecie, zamiast niego, zastał nieznanego mu mężczyznę. Przedstawił się jako kapitan Stefan Nowaczyk ze Służby Bezpieczeństwa. Okazał stosowną legitymację. Oficer poinformował go, że SB tworzy w Warszawie nowoczesną, elitarną komórkę wsparcia technicznego, w związku z czym poszukuje zdolnych i obiecujących, przyszłych absolwentów studiów inżynierskich. Nowaczyk nakreślił wizję ciekawej, świetnie płatnej pracy, jednak najbardziej interesująca była wiadomość o tym, że ci, którzy zostaną zatrudnieni we wspomnianej komórce, otrzymają służbowe mieszkania w Warszawie. Usłyszawszy to, „przyszły absolwent” bez wahania wyraził zgodę na wzięcie udziału w procedurze rekrutacyjnej.

Dwa tygodnie później, w myśl zalecenia udzielonego przez kapitana, wziął bezpłatny urlop w fabryce i pojechał na kilka dni do Warszawy na rozmowy kwalifikacyjne. Nowaczyk zakwaterował go w hotelu MDM przy placu Konstytucji, po czym zaprosił na obiad. Bjorn był wtedy po raz pierwszy w życiu

w renomowanej restauracji. Cała sytuacja onieśmielała go. Czuł się nieswojo, gdy kelner podawał mu menu, a potem kładł talerze ze smakowicie pachnącymi daniami na nieskazitelnie białym obrusie. Kapitan obserwował go bacznie i nieznacznie się uśmiechał. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

Po obiedzie wrócili do pokoju hotelowego, gdyż Nowaczyk chciał coś ważnego zakomunikować. To, co Bjorn wtedy usłyszał, przestraszyło go. Otóż oficer bez ogródek oświadczył, że jest z Departamentu Pierwszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, i zaproponował mu wstąpienie do służby wywiadu. Wyjaśnił także, że oferta pracy w komórce wsparcia technicznego miała tylko za zadanie ściągnięcie przyszłego inżyniera do stolicy w celu przeprowadzenia poufnego spotkania.

Ciekawość przewyciężyła lęk. Zaczęli rozmawiać. Kapitan cierpliwie tłumaczył, na czym polega działalność wywiadu oraz jak przebiega szkolenie. Przedstawił projekcję elitarniej kariery: od pracy w warszawskiej centrali do wyjazdu na zagraniczną, dyplomatyczną placówkę. Nakreślił także profity, które lekko oszołomiły chłopaka. Oficer opowiadał barwnie i przekonująco. Z jego słów wyłaniał się obraz wielkiej przygody, a zarazem szlachetnej i patriotycznej służby dla ojczyzny.

Na koniec Nowaczyk zaproponował, by młodzieniec przemyślał propozycję i jeśli będzie nią zainteresowany, to niech następnego dnia wyjdzie z bagażem punktualnie o ósmej rano przed hotel. Jeśli nie, to niech wraca do Rzeszowa i zapomni o wszystkim. Powiedziawszy to, kapitan wręczył studentowi pieniądze tytułem zwrotu kosztów podróży do Warszawy i wyszedł.

Bjorn doskonale pamiętał, jak całą noc bił się z myślami. Z jednej strony, nie chciał rezygnować ze swojego marzenia wykonywania zawodu inżyniera, zaś z drugiej doskonale rozumiał, że los otwiera przed nim możliwość wejścia do zupełnie innego świata. A ten, poprzez to, że nieznan, a do tego owiany aurą tajemnicy, jawił się bardzo atrakcyjnie. Długo nie mógł podjąć decyzji. W końcu postanowił, że podejmie nowe wyzwanie, ale pod warunkiem, że SB zgodzi się na ukończenie przez niego studiów i obronę pracy magisterskiej. „Przecież zawsze będę mógł zrezygnować i podjąć pracę w przemyśle” – myślał wtedy.

Kiedy tylko o ósmej rano wyszedł przed hotel, pod wejście podjechała szara wołga. Zobaczył w niej kapitana Nowaczyka, który z szerokim uśmiechem na twarzy dał mu znak ręką, żeby wsiadł do samochodu. Po kilku minutach jazdy zatrzymali się przed jakąś kamienicą. Oficer zaprowadził go do mieszczącego się w niej mieszkania, lokalu konspiracyjnego SB.

Pierwszą rzeczą, jakiej zażądał kapitan, było podpisanie zobowiązania do zachowania kontaktów z wywiadem w tajemnicy. Potem zakomunikował, że przed przyjęciem do służby kandydaci muszą przejść szereg badań, które potwierdzą, że nie ma żadnych przeciwwskazań dla takiej decyzji. Wymagało to kontaktów z kilkoma specjalistami, toteż aby zapewnić utrzymanie prawdziwego nazwiska Bjorna w tajemnicy, Nowaczyk wyposażył go w fałszywy dowód osobisty. Nakazał przy tym nauczenie się wszystkich zawartych w nim danych na pamięć.

Następne dni kandydat na oficera wywiadu spędził na wnikliwych badaniach lekarskich w szpitalu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz został poddany skomplikowanym testom psychologicznym w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej. W celu utrzymania wszystkiego w konspiracji w MSW odgrywał rolę pracownika Państwowej Straży Pożarnej, zaś w WIML sportowego pilota szybowcowego. Na koniec kapitan zawiózł go do innego mieszkania, gdzie odbyło się „przesłuchanie” na wariografie, czyli wykrywaczu kłamstw.

Wyniki wypadły pozytywnie, co upoważniało Nowaczyka do złożenia formalnego wniosku o przyjęcie młodzieńca do Departamentu Pierwszego MSW w charakterze kandydata do służby, który oczywiście bez problemów został zaakceptowany. Studentowi z Rzeszowa nadano także kryptonim operacyjny: Bjorn.

Kolejne miesiące były bardzo intensywne. Bjorn, oprócz tego, że pisał pracę magisterską i przygotowywał się do jej obrony, musiał brać udział w sesjach szkoleniowych, które prowadził kapitan Nowaczyk. Ten zorganizował w Rzeszowie lokal konspiracyjny, gdzie w każdą sobotę i niedzielę przekazywał swojemu podopiecznemu wiedzę o szpiegowskiej robocie.

Po nastaniu nowego, sześćdziesiątego dziewiątego roku adept wywiadu musiał przyjeżdżać co dwa tygodnie do Warszawy, gdyż rozpoczęło się szkolenie z wykrywania inwigilacji bezpośredniej. Wymagało to zaangażowania specjalistów

z pionu „B” pracujących w centrali, czyli odpowiedniej, a do tego zaufanej ekipy obserwacyjnej, która miała „na bojowo” testować postępy ucznia kapitana.

Mniej więcej w tym okresie młodzieniec przestał się ostatecznie zastanawiać nad tym, czy dobrze postąpił, przyjmując ofertę Nowaczyka. Świat wywiadu pochłonął go zupełnie, wręcz zafascynował. Zaczął rozczytywać się w historii szpiegostwa oraz w literaturze sensacyjnej. Wiele frajdy przynosiło mu rozwiązywanie tak zwanych „sytuacji”, czyli opartych o realia zadań operacyjnych. W tej dziedzinie szybko przegonił swojego mistrza. Jego ścisły, analityczny i zarazem bardzo chłonny umysł przyswajał sobie wszystko w piorunującym tempie. Okazało się także, że jest niezmiernie kreatywny i niekonwencjonalny, tak w myśleniu, jak i w działaniu.

W marcu Bjorn został poinformowany o rzeczywistych planach, jakie wywiad miał wobec niego. Odbyło się to w dość nietypowy sposób. Nowaczyk wręczył mu list nadesłany z Niemiec Zachodnich, mówiąc przy tym: „To od twojej babci”. Zdziwił się. To była jedyna reakcja, na jaką było go stać, gdyż po prostu nie znał niemieckiego, co uniemożliwiło mu zapoznanie się z treścią. Dopiero jak przeczytał tłumaczenie, zadał Nowaczykowi pytanie, które pokazało, że jest naprawdę cholernie inteligentny, a kapitanowi udowodniło, że wybrał właściwego człowieka. Spytał mianowicie: „Mam zostać synem tego poległego leutnanta?”.

Od tamtego momentu szkolenie zmieniło się diametralnie. Skoncentrowało się na nauce szyfrowania metodą książkową, którą specjalnie dla Bjorna przygotował zespół matematyków i najlepszych w PRL kryptologów, oraz trenowaniu odsłuchiwania audycji Polskiego Radia zawierających zakamuflowane szyfrogramy. Metody konspiracyjnej łączności z centralą stały się najważniejszym elementem wywiadowczego fachu. Miały zapewnić Bjornowi efektywną komunikację w czasie pobytu za granicą, w sytuacji, gdy będzie obywatelem obcego państwa. Stąd też uczył się, na przykład, sporządzania mikrokropki, czyli wykonywania fotografii o rozmiarze jednego milimetra kwadratowego, którą później można było umieścić pod znaczkiem na kartce pocztowej wysyłanej do kraju. W konsekwencji kapitan Nowaczyk nauczył go także, jak taką kartkę wrzucić w sposób konspiracyjny do skrzynki pocztowej. Oprócz tego Bjorn uzyskał wiedzę i specjalistyczne umiejętności z zakresu sporządzania i obsługi



tajnych schowków, bezpiecznego (niewidocznego dla postronnych obserwatorów) przekazywania materiałów wywiadowczych, pracy z łącznikiem oraz odbywania spotkań z przedstawicielami centrali w krajach trzecich.

Techniki wywiadowcze nie były jedynymi tematami szkolenia. Bjorn musiał uzyskać także odpowiednią wiedzę na temat kraju, w którym miał pracować. Zapoznawał się więc z historią Niemiec, działalnością partii politycznych w RFN, związków zawodowych oraz organizacji społecznych ze szczególnym uwzględnieniem ziomkostw, czyli organizacji Niemców wypędzonych z terenów należących obecnie do Polski. Bardzo istotną kwestią było przestudiowanie uwarunkowań wykonywania zadań wywiadowczych w Niemczech Zachodnich. Wymagało to poznania sposobu funkcjonowania tamtejszego wywiadu, kontrwywiadu, policji, a także wybranych służb wojskowych. Stos przeczytanych broszur i skryptów, obejrzenie kilkunastu filmów instruktażowych i dokumentalnych oraz długie dyskusje z kapitanem Nowaczykiem pozwoliły na bardzo szybkie opanowanie materiału szkoleniowego.

W czerwcu Bjorn obronił pracę magisterską w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Rzeszowie i zaraz potem otrzymał polecenie przeprowadzenia się do Warszawy. Został umieszczony w mieszkaniu należącym do SB, niedaleko centrum stolicy. Rozpoczął się okres intensywnych przygotowań do tajnego egzaminu oficerskiego, który młody inżynier zdał z wynikiem celującym, otrzymując tym samym nominację na podporucznika wywiadu.

Przyszedł czas na nawiązanie korespondencji z „babcią”, czyli Luise von Delitz, oraz naukę legendy operacyjnej. Według niej Bjorn był wychowankiem stołecznego domu dziecka oraz absolwentem kierunku mechaniki precyzyjnej na Politechnice Warszawskiej. Nowaczyk zadbał o to, by wszystkie odpowiednie dokumenty opatrzone zdjęciem młodego oficera oraz nazwiskiem „Wojciech Rytel” znalazły się w archiwum uczelni, włącznie z pracą magisterską, napisaną na potrzeby operacji przez pewnego nauczyciela akademickiego z uczelni technicznej znajdującej się w innym mieście, a będącego na usługach Służby Bezpieczeństwa. Stosowne dokumenty zostały umieszczone także we wspomnianym sierocińcu oraz w zlokalizowanych w Warszawie: szkole podstawowej, liceum, przychodni lekarskiej i Wojskowej Komendzie Uzupełnień.

W październiku dostał rozkaz przeprowadzki do Jeleniej Góry. Posiadanie statusu absolwenta kierunku mechaniki precyzyjnej było potrzebne do tego, by Bjorn mógł uzyskać zatrudnienie w Jeleniogórskich Zakładach Optycznych, które to przedsiębiorstwo poszukiwało odpowiednio przygotowanych inżynierów. Wyjazd na Dolny Śląsk miał zapewnić odseparowanie młodego oficera od dotychczasowego środowiska oraz pozwolić mu funkcjonować bez przeszkód, do czasu wyjazdu do RFN, jako Wojciech Rytel. Kapitan Nowaczyk stworzył także na bazie krajowego systemu meldunkowego ochronę, której zadaniem było niedopuszczenie do przypadkowego zatrudnienia gdziekolwiek w Jeleniej Górze<sup>35)</sup> któregoś z rzeszowskich kolegów młodego inżyniera, co mogłoby skutkować jego dekonspiracją.

---

35) W PRL, w opisywanym okresie, uzyskanie zatrudnienia było administracyjnie powiązane z procedurą meldunkową w miejscu ubiegania się o pracę.

Przede wszystkim praca w Jeleniogórskich Zakładach Optycznych stwarzała możliwość wyjazdu na praktykę inżynierską do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, a konkretnie do filii kombinatu optycznego VEB Pentacon Dresden znajdującej się w Jenie. Kapitan Nowaczyk, konstruuując legendę dla Bjorna, musiał liczyć się z wieloma ograniczeniami wynikającymi z polityki wewnętrznej socjalistycznego państwa. Jednym z nich, i to bardzo istotnym, było to, że Wojciech Rytel jako młody inżynier nie miał praktycznie żadnych szans na oficjalne uzyskanie paszportu umożliwiającego mu wyjazd na Zachód, zaś rozwiązanie tego problemu po linii resortu spraw wewnętrznych ze względów konspiracyjnych nie wchodziło w grę. A przecież należało się liczyć z tym, że Delitzowie będą chcieli szybko poznać odnalezionego krewnego. Nowaczykowi zależało zaś na tym, by do takiego spotkania nie doszło na terenie kraju. Po pierwsze, „rodzinny” kontakt Niemców z polskim obywatelem mógł zwrócić uwagę oficerów z wywiadów SB oraz Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a w żadnym wypadku nie wolno było ich informować o tym, że Rytel realizuje tajną misję. Po drugie, kapitan chciał, by jego podopieczny doświadczył pobytu i wykonywania zadania operacyjnego za granicą. Dlatego też służbowy wyjazd do

sąsiedniego, „bratniego”, i do tego niemieckojęzycznego państwa był rozwiązaniem wręcz idealnym.

Bjorn doskonale pamiętał zdziwienie Delitzów wyrażone w jednym z listów, odnośnie do tego, że nie mógł otrzymać paszportu uprawniającego do wyjazdu do Niemiec Zachodnich. Nowaczyk cieszył się wtedy jak dziecko i kazał zaproponować spotkanie właśnie w NRD, podczas letniej praktyki zawodowej. Oczywiście kapitan gwarantował, że młody inżynier zostanie na taki wyjazd zakwalifikowany. Kilka tygodni później z Monachium nadeszła informacja, że Friedrich i Renate wykupili wakacyjną wycieczkę objazdową po Wschodnich Niemczech i będą oczekiwać na swojego „kuzyna” w Weimarze. Wyznaczona data i godzina świadczyły o tym, że Delitzowie przemyśleli wszystko ze szczegółami. Spotkanie miało się bowiem odbyć popołudniową porą w niedzielę, czyli w dzień wolny od pracy, co „Wojciechowi” było bardzo na rękę. Nie musiał kombinować, jak usprawiedliwić ewentualną nieobecność na praktykach.

Pociąg zbliżał się do miasta. Bjorn zastanawiał się, czy będzie wystarczająco komunikatywny podczas spotkania. Zgodnie z listownymi ustaleniami rozmowa w Weimarze miała odbyć się w języku angielskim, którego nigdy nie praktykował, gdyż nie miał po prostu takiej okazji. Co prawda, SB opłaciła mu cykl prywatnych lekcji angielskiego z bardzo dobrą nauczycielką, która oceniła, że jego poziom znajomości tego języka pozwala mu na prowadzenie swobodnej konwersacji, lecz mimo to nie opuszczały go obawy. Gdy pociąg wtaczał się na weimarski dworzec, uzmysłowił sobie, że to nie świadomość ograniczeń językowych wzbudza w nim lęk. Bardziej niepokoiło go to, czy zdoła zapanować nad swoimi emocjami. Do tej pory kontakt z Delitzami był jedynie korespondencyjny, co umożliwiała korzystanie z usług tłumacza języka niemieckiego. Teraz miał stanąć z nimi twarzą w twarz, i do tego okłamywać ich w obcym języku!

Na Marktplatz, malowniczy, brukowany rynek, wszedł od strony północnej. Przystanął przy przepięknym ratuszu uznawanym za arcydzieło architektury neogotyckiej i spojrzął po przekątnej. Kilkadziesiąt metrów dalej znajdował się hotel Elephant, cel jego wyprawy.

Główne wejście zaprowadziło go do obszernego lobby, w którym mieściła się recepcja. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wakacyjna pora cechowała

się wzmożonym ruchem turystycznym, toteż przebywało tu mnóstwo ludzi, którzy wyciskali z obsługi hotelowej siódme poty. Odnalazł przejście do restauracji, gdzie oczekiwali go Friedrich i Renate. Rozluźnił się i wszedł do sporej prostokątnej sali, zastawionej niewielkimi stołami wraz z wygodnymi fotelikami. Był tłok. Przez moment wypatrywał „kuzynów”, których fizjonomie znał ze zdjęcia. Własne także wysłał do Monachium. Dostrzegł, że ktoś macha ku niemu. To byli oni. Kolejny raz się rozluźnił, by uspokoić targające nim zdenerwowanie, i ruszył w ich stronę.

Przywitali się oficjalnie, jedynie podając sobie ręce. Żadnych pocałunków, żadnego obejmowania. Bjorn od razu zauważył, że Friedrich jest odprężony i uśmiechnięty, zaś Renate spięta i zamknięta w sobie. „Nie ufa mi” – pomyślał o niej, co spowodowało w nim wzrost niepokoju. Mimo to uśmiechnął się przyjaźnie i nie czekając na tamtych, odezwał się po angielsku:

– W końcu się spotkaliśmy.

Do pierwszego kontaktu z „kuzynami” Bjorn starannie się przygotował. Chciał, by ton jego głosu, sposób wyartykułowania pierwszego zdania oraz mowa ciała wygenerowały efekt wiarygodności.

Friedrich potakująco pokiwał głową, jego oczy mówiły, że jest wzruszony. Renate nie zareagowała.

– Czego się napijemy? – Niemiec chciał najwyraźniej przełamać lody. – My, faceci, chyba weźmiemy piwo, a ty, Renate, może białe wino? – zaproponował.

Kiedy przywoływał kelnera i składał zamówienie, Bjorn ukradkiem lustrował ich oboje. Od razu zauważył kilka istotnych różnic pomiędzy sobą a nimi. Na pierwszy rzut oka można było się domyślić, że są majętni, a on biedny jak mysz kościelna. Niemcy byli świetnie ubrani: ona w sukienkę o prostym, nowoczesnym kroju, której elegancję podkreślała rzucająca się w oczy złota biżuteria, zaś on w lniany, letni garnitur opinający sportową sylwetkę. Tymczasem Bjorn nosił zgrzebną sztruksową marynarkę i tanie dzinsy. Nawet jego zegarek świadczył, że jest z innego świata. Radziecki wostok na skórzanym pasku nie mógł się równać z nowoczesnym chronografem Friedricha, którego elegancka stalowa bransoleta opinała przegub wymuskanej dłoni.

W oczekiwaniu na napoje oni także mu się przyglądali. Wszyscy byli skrepowani, milczeli. Dopiero gdy trunki wylądowały na stoliku, Friedrich wzniósł

toast za spotkanie.

Zaczęli rozmawiać. „Kuzyni” płynnie posługiwali się angielskim. Bjorn dukał. Wiele z tego, co do niego mówili, po prostu nie rozumiał. W duchu przeklinał siebie oraz nauczycielkę od konwersacji, której uwierzył, że zdoła się porozumieć w tym języku. Rodzeństwo na pewno zdawało sobie sprawę z jego ułomności, ale nie okazywało mu tego. Gdy Friedrich dopił piwo, zaproponował przejście do jego „numeru hotelowego, by w spokoju porozmawiać o rodzinie”.

W pokoju, który okazał się luksusowym apartamentem, na „Wojciecha Rytela” oczekiwała niespodzianka w postaci mówiącego po polsku mężczyzny. Ten bez żadnych wstępów, trochę nieskładnie, przedstawił się z ciężkim niemieckim akcentem:

– Jestem Horst Gomolka. Herr Delitz wynajął mnie, żeby zrobić konkretna rozmowa.

Młody oficer polskiego wywiadu poczuł, jak gwałtownie przyspiesza mu bicie serca. Na dokładkę na ustach Renate dostrzegł coś na kształt złośliwego uśmiešku. Szybko się jednak zmobilizował, by wykorzystać zaistniałą sytuację do zyskania zaufania.

– To świetnie, że jest tłumacz. Mam świadomość tego, że mój angielski, mówiąc delikatnie, nie jest perfekcyjny – powiedział, starając się przy tym, by jego twarz wyraziła zadowolenie.

Gomolka od razu przetłumaczył na niemiecki słowa Bjorna, które spowodowały wyraźne skrócenie dystansu pomiędzy nim a „kuzynostwem”: on klasnął z ukontentowaniem w dłoń, a ona spojrzała na Polaka w taki sposób, jakby zaczynała akceptować fakt, że przebywa w jego towarzystwie.

Rozsiedli się w wygodnych fotelach. Friedrich chciał wyjaśnić całą sytuację:

– Zaangażowaliśmy tłumacza, gdyż w pierwszym liście, jaki wysłał pan do naszej babci Luise, przeczytaliśmy, że nie zna pan niemieckiego, a my z oczywistych względów nie mówimy po polsku. Założyliśmy także, że możemy mieć trudności w komunikacji przy użyciu języka angielskiego.

– Cieszę się, że byliście państwo tak przewidujący – odparł Bjorn. – Obecność tłumacza ułatwi nam wszystkim wyjaśnienie ważnych dla nas kwestii. Proponuję

także, byśmy mówili do siebie po imieniu. Po pierwsze, to ułatwi nam rozmowę, a po drugie, jesteście chyba w podobnym wieku.

– Zgoda – tym razem odezwała się Renate, po czym natychmiast przeszła do rzeczy: – Rozumiesz chyba, że chcielibyśmy cię bliżej poznać, dlatego mamy prośbę, żebyś opowiedział nam o sobie.

– Oczywiście. – „Wojciech” odprężył się, był doskonale przygotowany. – Pisałem już o sobie, co prawda, do waszej babci Luise – specjalnie użył słowa „waszej”, żeby w żaden sposób nie zdradzić swoich rzeczywistych intencji – ale jeśli chcecie, mogę wszystko powtórzyć.

– O to nam właśnie chodzi – rzekła „kuzynka”. – Chcemy to usłyszeć bezpośrednio od ciebie. To dla nas ważne.

Bjorn zaczął opowiadać.

– Moje życie to typowy los powojennej sieroty. Mama zmarła przy porodzie, a ojciec był mi nieznany. Trafiłem do domu dziecka w Warszawie, gdzie się wychowałem i przebywałem do matury. Potem studiowałem na Politechnice Warszawskiej i mieszkałem w akademiku.

Zrobił przerwę, by dać czas tłumaczowi. Gdy Horst Gomolka uporał się z tymi kilkoma zdaniem, kontynuował:

– Po obronie pracy magisterskiej wyjechałem do Jeleniej Góry na Dolnym Śląsku. Tamtejsze zakłady optyczne poszukiwały inżynierów mojej specjalności i oferowały mieszkanie służbowe, co było dla mnie najważniejsze. W sierpniu zeszłego roku otrzymałem pismo od Polskiego Czerwonego Krzyża z informacją, że pewna rodzina z Niemiec poszukuje swojego krewnego, a nazwisko mojej matki oraz miejsce i czas mojego urodzenia wskazują, że to mogę być ja. Poproszono mnie, bym dał pozwolenie na udostępnienie rzekomym niemieckim krewnym mojego adresu. Zaintrygowało mnie to, więc się zgodziłem.

Znowu zrobił przerwę na tłumaczenie. Ukradkiem obserwował, jakie wrażenie robi jego opowieść na Niemcach. Ci jednak nie reagowali w jakiś szczególny sposób, co było dobrą oznaką. Zresztą Bjorn nie powiedział nic więcej ponad to, co wcześniej zawarł w korespondencji. Mówił dalej:

– Potem otrzymałem list od pani Luise von Delitz. Przesłane przez nią informacje spowodowały, że zdecydowałem się na prowadzenie z nią

korespondencji. W konsekwencji przyjąłem propozycję spotkania się z wami. To wszystko.

– A dlaczego nie chciałeś przyjechać do nas, do RFN? – Renate badawczo patrzyła na Polaka.

Bjorn zwrócił się do tłumacza:

– Napisałem do pani Luise, że władze nie wydadzą mi paszportu, ale Delitzowie chyba nie rozumieją dlaczego. Myślę, że pan zna polskie realia, panie Gomolka, więc proszę im wytłumaczyć, o co chodzi.

– Pewnie, że znam. Jo zech wyjechał ze Ślunska w pięćdziesiątym siódmym – odparł tłumacz i zaczął wyjaśniać „kuzynostwu”, w czym rzecz. Gdy skończył, Renate chciała zadać kolejne pytanie, ale „Wojciech” ją ubiegł.

– Ja opowiedziałem już trochę o sobie, więc teraz wasza kolej. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o waszej rodzinie i o was samych.

Żądanie to wyraźnie zdenerwowało młodą kobietę. Zapytała prowokacyjnie:

– Po co ci ta wiedza? Jeszcze nie ustaliliśmy, czy jesteś synem Adalberta!

Gomolka wstrzymał się z tłumaczeniem, zaś Friedrich powiedział coś stanowczo do siostry, która machnęła na to lekceważąco ręką. Bjorn, chociaż niczego nie rozumiał, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Zareagował jednak bardzo spokojnie:

– Niech pan dokładnie przetłumaczy mi słowa pani Renate, panie Gomolka.

Gdy ten to zrobił, w pomieszczeniu zapadła pełna zakłopotania cisza. Przerwał ją Polak.

– Oczywiście, że nie ustaliliśmy, i prawdę mówiąc, mam duże wątpliwości, czy to nam się w ogóle uda.

– A to dlaczego? – zapytał milczący do tej pory Friedrich.

– O tym później. Najpierw proszę, żebyście opowiedzieli coś o sobie i waszej rodzinie. Nie chciałbym nabrać przekonania, że jestem tu w charakterze jakiegoś interesanta. Przypominam, że to wasza babcia zwróciła się do mnie, a nie ja do niej! – Ostatnie zdanie wypowiedział twardo, lekko podniesionym głosem. Chciał, by zrozumieli, że się zdenerwował. Udało mu się, w oczach Friedricha i Renate dostrzegł oznaki lekkiego popłochu. „Coś mi się zdaje, że ci młodzi w jakiś sposób są zależni od swojej babki” – skonstatował w myślach. Przypomniał sobie także

wypowiedź Nowaczyka, według którego największą barierą do pokonania miała być niechęć do Bjorna ze strony Delitzów generowana względami finansowymi. „Jak się odnajdziesz jako syn Adalberta – mówił wtedy kapitan – zgodnie z prawem spadkowym będą musieli zrewidować podział majątku”.

Tymczasem Friedrich zaczął opowiadać. Potwierdził to, co polski oficer już wiedział. Pochodzili z Prus Wschodnich. Prowadzili rodzinny, całkiem spory biznes w Monachium, w branży importowo-eksportowej. Ojciec „kuzynostwa”, Lothar, zarządzał firmą, zaś syn i córka pomagali mu. Młodzi Delitzowie byli solidnie wykształceni. Friedrich studiował zarządzanie w Stanach Zjednoczonych, zaś Renate ukończyła ekonomię na monachijskim uniwersytecie. Friedrich miał narzeczoną i zamierzał się żenić, a Renate uważała się za nowoczesną kobietę ceniącą niezależność. Okazało się, że babcia Luise mieszkała sama w dużej kamienicy w jednej z bogatych dzielnic stolicy Bawarii, zaś „kuzynostwo” zamieszkiwało razem z rodzicami w dużym domu pod miastem. Z opowieści wynikało, że Delitzowie to bardzo majątny ród. Bjorn zauważył, że Friedrich i Renate lubili się chwalić poziomem życia, jakie prowadzili. Wykorzystał to i zaczął wyrażać swój podziw, a nawet zachwyt w odniesieniu do tego, co opowiadali, czym chyba zaskarbił sobie ich sympatię. Doprowadziło to bowiem do przeistoczenia spotkania w zwykłą, towarzyską rozmowę. „Wojciech” odwzajemniał się barwnymi opisami studenckich przygód, czym doprowadzał u „kuzynostwa” do wybuchów szczerego śmiechu. Tłumaczył także, na czym polega peerelowska rzeczywistość, znaczone szarością, bylejakością, improwizacją i zwyczajną biedą. Podkreślał jednak, że kocha Polskę pomimo jej wad oraz faktu, że krajem rządzą komuniści.

Towarzyską atmosferę spotkania przerwała Renate:

– Powiedz nam, Wojciech, dlaczego wątpisz w możliwość ustalenia naszego pokrewieństwa?

Bjorn czekał na ten moment. Wręcz modlił się, by powrócili do tego tematu, który tak zręcznie udało mu się podjąć kilkadziesiąt minut temu. Teraz mógł przystąpić do realizacji podstępu wymyślonego specjalnie na to spotkanie przez kapitana Nowaczyka.



– Moim zdaniem nie jesteśmy chyba rodziną – rozpoczął wolno, co Gomolka wykorzystał, by symultanicznie przetłumaczyć to zdanie.

Usłyszawszy to, Friedrich i Renate spojrzeli na niego pytająco.

– A szkoda, bo jesteście naprawdę bardzo mili – kontynuował Polak. – Mam po prostu dwa dowody na to, że wasz stryj Adalbert nie mógł być moim ojcem. – Bjorn zrobił autentycznie smutną minę. – Właściwie przyjechałem do Weimaru tylko dlatego, żebyście to wy, i to we właściwy, znany tylko wam sposób, przekazali waszej babci tę wiadomość. Z listów, jakie od niej otrzymałem, była niemalże pewność, że w mojej osobie odnalazła wnuka. Nie byłem po prostu w stanie napisać jej, że się myli – wyjaśnił niemal ckliwie.

Kątem oka zobaczył, jak Renate autentycznie się wzruszyła, co objawiło się głębokim westchnieniem. Za to Friedrich zareagował racjonalnie:

– Jakież to dowody?

„Wojciech” spojrział niezmiernie poważnie na oboje i kontynuował:

– Wasza babcia przysłała mi zdjęcie Adalberta. Uważam, że pomiędzy nim a mną nie ma żadnego podobieństwa. Oczywiście to moja subiektywna ocena. Aha – przerwał swój wywód – przeproście panią Luise w moim imieniu, że nie wysłałem jej fotografii mojej matki, o którą prosiła, ale niestety takiej nie posiadam.

– Chcesz nam powiedzieć, że nie masz żadnego zdjęcia swojej mamy?! – Renate nie dowierzała.

– Nie mam – padła odpowiedź.

– Czy to oznacza, że ty w ogóle nie wiesz, jak wyglądała twoja matka?! – Młoda Niemka była wstrząśnięta.

– Zgadza się, nie wiem. W zawierusze wojennej zaginęły jej wszystkie dokumenty. Nie wiem nawet, gdzie została pochowana. Musicie mieć świadomość, że ja się urodziłem w Krakowie, w dniu, w którym Armia Czerwona szturmowała miasto. Poszukiwania rodziny mojej mamy też nic nie dały, chyba wszyscy zginęli podczas wojny. To, że w ogóle wiem, jak się nazywam, zawdzięczam tylko pewnej pielęgniarkie, która była przy moim porodzie. Ona zresztą się mną zaopiekowała, a że była z Warszawy, to zabrała mnie ze sobą i oddała do tamtejszego domu

dziecka. Nie miałem wtedy ponoć jeszcze miesiąca. Pisałem zresztą o tym w jednym z listów do pani Luise.

– A jaki jest drugi dowód? – dociekał Friedrich.

– Pielęgniarkę, która zaopiekowała się mną po urodzeniu, poznałem dopiero, jak miałem szesnaście lat. Chodziłem już wtedy do liceum. Opowiedziała mi historię moich narodzin. Okazało się, że ciąża zagrażała życiu mojej mamy. Miała tego świadomość, więc poprosiła pielęgniarkę, żeby w przypadku jej śmierci dziecko zostało od razu ochrzczone. Chciała także, aby dziewczynce nadano imię „Barbara”, czyli jej własne, natomiast dla chłopca zażądała imienia „Wojciech”, takiego samego, jakie nosił ponoć mój ojciec. Wniosek zatem jest jeden: Adalbert nie mógł być moim ojcem.

Argument był nie do odparcia, w apartamencie zaległa cisza. Wszyscy oprócz Horsta Gomolki mieli poważne miny.

– Herr Gomolka, czemu się pan uśmiecha? Bawi to pana? – spytała gniewnie młoda Niemka.

– Absolutnie mnie to nie bawi, Fräulein Renate. Myślę jednak, że Herr Rytel nie ma racji.

– Jak to nie ma racji?! – Brwi Friedricha uniosły się ze zdziwienia.

– Śmiem twierdzić, że mimo wszystko państwa stryj mógł być ojcem Polaka.

– Jak to możliwe?! – Brat i siostra spytali niemal równocześnie. Ich głosami targały emocje.

– Przecież Adalbert to po polsku Wojciech – odparł cicho tłumacz.

Gdy Gomolka wyjaśnił Bjornowi, do jakiego doszedł wniosku, ten odetchnął z ulgą. „Mam cholerne szczęście” – pomyślał – „Ślżak mimowolnie odwalił za mnie połowę roboty. Teraz muszę tylko dobrze odegrać ogromne wzruszenie”. Natychmiast wprowadził to postanowienie w czyn. ■

Szef Agencji Wywiadu, generał Krzysztof Szczęsny, przechadzał się po swoim gabinecie. Rozmyślał o sytuacji, w jakiej się znajdował. Trzy tygodnie temu, kiedy to pułkownik Gordon przywiózł z Krakowa oszałamiającą wiadomość o zidentyfikowaniu tożsamości esbeckiego nielegala, uwierzył, że sprawa zdrady Leszka Zilbera i wykradnięcia dokumentów z agencyjnego archiwum nie zagrozi jego karierze. Obecnie jednak ponownie ogarnęły go wątpliwości co do ostatecznych następstw tej afery.

Poszukiwania Wojciecha Rytela nie przyniosły jak dotąd żadnych rezultatów. Ani głęboki internetowy research, ani przegląd archiwów peerelowskiego Biura Paszportów i Dowodów Osobistych MSW nie zaowocowały do tej pory żadnymi efektami. Także oficerowie polskiego wywiadu pracujący pod przykrywką ambasady w Berlinie nie byli w stanie wpaść na jakikolwiek trop. Z oczywistych względów nie można było zwrócić się wprost do służb niemieckich z prośbą o pomoc, czyli o dostęp do ich zasobów. Nazwisko polskiego nielegala musiało pozostać w ukryciu. I to z dwóch powodów. Po pierwsze, Niemcy nie mogli się w ogóle dowiedzieć o fakcie jego istnienia. Jeśli rzeczywiście zajmował lub, co gorsza, nadal zajmuje ważną pozycję w tamtejszym establishmencie, to od razu powstałoby podejrzenie, ba, zapewne nawet oskarżenie, że Polacy szpiegowali sojuszników. Po drugie, zwiększyłoby to ryzyko ujawnienia faktu, że ktoś spenetrował zasoby archiwalne Agencji, a do tego generał nie mógł dopuścić.

Szczęsny rozumiał doskonale, że organizacja, która przeprowadziła operację pozyskania teczki legalizacyjnej zawierającej wszystkie dane dekonspirujące dawnego agenta, zrobiła to, by zrealizować w Niemczech jakieś duże i konkretne przedsięwzięcie. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Ustalenie, kto za tym stał i jakie korzyści zamierzał osiągnąć, było niemożliwe bez odnalezienia Rytela. Jednak szef Agencji intuicyjnie stawiał na Rosjan. Według niego sposób działania w Polsce tajemniczego przeciwnika był charakterystyczny dla rosyjskich służb specjalnych. Bardzo prawdopodobny udział w tej akcji emerytowanych oficerów

esbeckiego wywiadu, a także ich zagadkowe śmierci, upewniały tylko generała co do słuszności własnych przypuszczeń.

Od kilku dni studiował różnego rodzaju analizy na temat rosyjskiej aktywności w Europie. Chciał znaleźć jakiegokolwiek, choćby pośrednie uzasadnienie dla swojej hipotezy. Na biurku leżało najnowsze opracowanie sporządzone przez Ośrodek Studiów Wschodnich, państwowy instytut analityczny specjalizujący się między innymi w monitorowaniu polityki Rosji. Zasiadł w wygodnym fotelu i skoncentrował się na jednym z fragmentów.

(...) Rosja intensyfikuje działania na rzecz dezintegracji NATO i Unii Europejskiej oraz dąży do odtworzenia porządku międzynarodowego opartego na strefach wpływów. Instrumenty, jakie wykorzystuje dla uzyskania zakładanych celów, to kampanie dezinformacyjne i propagandowe, cyberataki, ingerowanie w procesy wyborcze, wykorzystywanie agentów wpływu, infiltracja wywiadowcza instytucji międzynarodowych i krajowych, dokonywanie skrytych oraz spektakularnych zabójstw.

Według źródeł zbliżonych do Centrum Analiz Wywiadowczych UE (INTCEN) w samej tylko Brukseli działa około 200 rosyjskich agentów, którzy funkcjonują najczęściej pod przykryciem przedstawicieli dyplomatycznych lub handlowych. W Polsce obecnie toczy się kilka postępowań wobec osób podejrzanych o działalność szpiegowską na rzecz Rosji. W okresie ostatnich czterech lat wydano z terytorium RP pięciu rosyjskich dyplomatów. (...)36)

---

36) Tekst sporządzono w oparciu o oryginalne doniesienia medialne.

„Mam chyba rację” – pomyślał generał. Treść analizy potwierdzała jego domysły. Zresztą opracowania departamentu informacyjnego Agencji również wskazywały na zdynamizowanie działań rosyjskiego wywiadu, zarówno cywilnego, jak i wojskowego, na terenie Unii Europejskiej. Do tego dochodziły związki pomiędzy Kremlem a zachodnioeuropejskimi ruchami radykalnymi i populistycznymi, a także spore kłopoty Rosji wynikające z sankcji nałożonych przez Brukselę i USA w związku z anektowaniem Krymu oraz zarzutami ze strony Waszyngtonu o ingerencję w amerykańskie wybory w 2016 roku. Osobną sprawą, w której aktywnie uczestniczyła Polska, był konflikt wokół budowy gazociągu

Nord Stream 237). Ta ostatnia kwestia niepokoiła Szczęsnego najbardziej. Gdzieś w przepaści swojego umysłu łączył ją z wykradzionymi z Agencji dokumentami.

---

37) Nord Stream 2 – kontrowersyjny politycznie gazociąg biegnący po dnie Morza Bałtyckiego (z Rosji do Niemiec), zbudowany przez konsorcjum niemieckich spółek E.ON i BASF oraz rosyjskiego Gazpromu.

Generał miał świadomość niemocy: własnej oraz kierowanej przez siebie służby. Owa bezsilność miała kilka przyczyn. Jako szef wywiadu nie posiadał oparcia w politykach obozu władzy, którzy zasiadali w rządzie oraz parlamencie. Dla nich, skoncentrowanych na bieżącej walce z opozycją, partyjnych interesach i prywatnych dealach, potrzeby i wyzwania, przed jakimi stała kierowana przez niego służba, były czymś abstrakcyjnym, często traktowali je jak sensacyjne ciekawostki rodem ze szpiegowskich powieści. Skromny budżet Agencji<sup>38)</sup> pozwalał jedynie na utrzymywanie struktury organizacyjnej oraz wykonywanie podstawowych zadań. O planowaniu działań w dłuższej perspektywie czasowej, werbowaniu znaczących agentów, prowadzeniu szeroko zakrojonych operacji można było tylko pomarzyć. Tak naprawdę rządzących nie interesowało to, by kierowane przez nich państwo miało sprawne „oczy i uszy”, dzięki którym mogliby mieć wgląd w zamierzenia zagranicznych wrogów, partnerów, a nawet przyjaciół.

---

38) Budżet Agencji Wywiadu wynosił w 2019 roku 264 mln złotych, czyli około 62 mln euro.

Niedostatek środków finansowych nie pozwalał także na prowadzenie odpowiedniej polityki kadrowej. Do Agencji nierzadko trafiali ludzie nieodpowiedni, bez właściwych predyspozycji psychofizycznych oraz intelektualnych. A przecież wywiad to służba dla ludzi ponadprzeciętnych! Kreatywność, niekonwencjonalność w myśleniu i działaniu, umiejętność podejmowania ryzyka oraz lojalność i odpowiedzialność warunkowały sukces w tej robocie. Jednak kandydaci o takim profilu najczęściej wybierali dobrze płatne posady „na mieście”. Generał starał się o to, by przynajmniej na stanowiskach kierowniczych oraz w jego bezpośrednim otoczeniu znaleźli się tacy właśnie współpracownicy.

Najbardziej ufał Lentowi i Gordonowi. W jego ocenie byli to najinteligentniejsi, najbystrzejsi i najbardziej utalentowani oficerowie w Agencji. Zastępca do spraw operacyjnych gwarantował realizację zadań poza granicami kraju, i to pomimo poważnych ograniczeń budżetowych, zaś naczelnik Wydziału Kontrwywiadu Wewnętrznego trzymał w ryzach kadry, aby te funkcjonowały w zgodzie z obowiązującym prawem i regulaminami. Co prawda, minister koordynator do spraw służb specjalnych chciał mu wepchnąć swoich ludzi do ścisłego kierownictwa Agencji, ale zaprawiony w biurokratycznych intrygach generał odparł ten atak. Tym samym nie dopuścił do obecności w najbliższym otoczeniu donosicieli, poprzez których koordynator mógłby go nieoficjalnie kontrolować.

Lojalność w stosunku do własnej osoby Szczęsny uważał za podstawowy warunek współpracy z kimkolwiek. Nauczył się tego, pnąc się po szczeblach kariery najpierw w Urzędzie Ochrony Państwa, a później w wywiadzie wojskowym, który ostatecznie opuścił dla objęcia stanowiska szefa AW. Przyjął tę propozycję, zresztą złożoną mu osobiście przez premiera, choć mierzył go styl uprawiania polityki przez ugrupowanie rządzące krajem. Próbowano mu narzucić podobne postępowanie nacechowane partyjniactwem, zależnościami personalno-towarzyskimi, prywatą i nepotyzmem, lecz jak na razie udawało mu się unikać uwikłania w tak zwane „układy” i „frakcje”.

Myliłby się jednak ten, kto uważałby, że postawa generała wynikała z niezłomnego wyznawania uniwersalnych wartości moralnych i stosowania się do nich. Tym czymś, co nakazywało mu odrzucenie stylu działania politycznych zwierzchników, była jego kariera. Jej dobro liczyło się dla niego najbardziej. Dlatego też Szczęsny skrycie „romansował” z politycznymi przeciwnikami obecnej władzy. Utrzymywanie zakamuflowanych przed światem kontaktów z liderem największej partii opozycyjnej uważał za dobry sposób zapewnienia sobie niczym niezakłóconej pozycji zawodowej, i to bez względu na to, czy władza w Polsce ulegnie zmianie, czy też nie.

Wierzył w potęgę intelektu i nauki. I nie brało się to tylko stąd, że był nadzwyczaj inteligentnym człowiekiem. Po ukończeniu prawa na uniwersytecie, a będąc na studiach doktoranckich, udało mu się dostać na pobyty stypendialne w Wielkiej Brytanii oraz Stanach Zjednoczonych. To, czego tam doświadczył,

zaszczepiło w nim pogląd, że solidna wiedza w połączeniu z synergią uzyskaną w pracy zespołowej opartej na dobrych procedurach gwarantuje rozwiązywanie najbardziej złożonych problemów oraz podejmowanie niezwykle skomplikowanych wyzwań. Później, pracując już w wywiadzie, utwierdził się jedynie w tym przekonaniu, najpierw dzięki uczestnictwu w cyklu szkoleń specjalistycznych organizowanych w Anglii przez MI6<sup>39)</sup>, a później realizując kilka operacji wspólnie z oficerami zachodnich służb specjalnych. Zrozumiał wtedy także, że wywiad może osiągać sukcesy tylko wtedy, kiedy nie jest poddawany politycznym wpływom, otrzymuje z budżetu państwa odpowiednie finansowanie oraz funkcjonuje w oparciu o długookresowe, wykraczające poza parlamentarną kadencję, planowanie. Dopiero na takich podstawach można budować stabilną i efektywną strukturę oraz wykształcić wysoko kwalifikowane kadry.

---

39) MI6 – brytyjska służba specjalna zajmująca się prowadzeniem wywiadu zagranicznego.

Sekretarka zaanonsowała przybycie pułkowników Lenta i Gordona. Gdy weszli i przywitali się, generał spojrzał na nich pytająco.

– Niestety, przychodzimy z niczym – pierwszy odezwał się zastępca do spraw operacyjnych.

– Nadal niczego nie znaleziono, ani w Internecie, ani w dokumentacji paszportowej. Z Berlina także nie ma żadnych wiadomości – uzupełnił naczelnik wydziału kontrwywiadowczego.

– Czy to nie jest zastanawiające, że w archiwum Biura Paszportowego nie można niczego znaleźć na temat Rytela? – Szczęsny nad czymś się zastanawiał. – Może jednak ten krakowski policjant popełnił jakiś błąd, wskutek czego szukamy niewłaściwego człowieka? Przecież jeśli wyjechał do Niemiec, to powinien był otrzymać peerelowski paszport, do cholery! A z wniosku paszportowego oraz urzędniczych adnotacji powinniśmy się dowiedzieć, dokąd i w jakim celu pojechał!

– Generałowi trudno było utrzymać nerwy na wodzy.

– Moim zdaniem to tylko potwierdza, że Vesely odnalazł właściwą tożsamość – odparł spokojnie Lent.

– Wyjaśnij w takim razie, drogi Radku, dlaczego tak sądzisz. – W głosie szefa Agencji pobrzmiała nuta niedowierzania zmieszana z odrobiną ironii.

Zastępca zebrał się w sobie i zaczął tłumaczyć.

– Przystudiowałem sporo materiałów wchodzących w skład zasobów sprawy Atlas. Choć dane zostały ukryte za pseudonimami oraz kryptonimami, to mam już dość dobre rozeznanie w całej koncepcji przerzutu naszego nielegala do Niemiec. Nie chcę was zanudzać szczegółami, więc powiem tylko jedno: to była mistrzowsko przygotowana i przeprowadzona operacja, zadbano w niej o każdy szczegół. Innymi słowy, mamy do czynienia z najwyższą próbą koronkową robotą. I tak też musimy do niej podchodzić obecnie. Z akt wynika, że wtórnik wyjechał do RFN na fali odwilży w stosunkach polsko-niemieckich, do której doszło po wizycie w Polsce kanclerza Brandta pod koniec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku<sup>40</sup>). Wtedy to peerelowski rząd zgodził się na wyjazd do Niemiec Zachodnich około dwustu tysięcy ludzi w ramach akcji łączenia rodzin. Wywiad nielegalny skrzętnie to wykorzystał, uwiarygodnił w ten sposób swojego agenta. Moim zdaniem oficerowie prowadzący sprawę rozmyślnie ukryli dokumenty paszportowe Rytela.

---

40) 7 grudnia 1970 roku kanclerz RFN Willy Brandt oraz premier PRL Józef Cyrankiewicz podpisali układ o podstawach normalizacji stosunków między RFN a PRL.

– Czy odkryłeś w aktach jakiegokolwiek potwierdzenie dla swojej hipotezy? – spytał Gordon.

– Niestety nie. Ale nie mogło być inaczej – odrzekł Lent.

– Skąd ta pewność? – Generał z ogromną uwagą śledził wywód podwładnego.

– To proste. – Zastępca uśmiechnął się znacząco. – Komunistyczne władze zezwoliły na wyjazd do Niemiec tysiącom polskich obywateli. Odpowiedzcie sobie zatem na jedno pytanie: jak ówczesne peerelowskie wywiady, esbecki oraz wojskowy, mogły to wykorzystać?

– Werbowwały na potęgę! – odparł, także z uśmiechem na twarzy, szef wewnętrznego kontrwywiadu.

– Zgadza się – potwierdził pułkownik. – To był okres intensywnych zniw. Dlatego też oficerowie prowadzący sprawę Atlas musieli ukryć fakt wyjazdu Rytela. Nie mogli ryzykować. Istniało przecież duże prawdopodobieństwo, że ktoś ze wspomnianych służb wywiadowczych po prostu namierzy ich człowieka



i będzie starał się do niego dotrzeć, by go zwerbować. Powstałoby niepotrzebne zamieszanie, które groziłoby dekonspiracją. Zrobili więc rzecz najprostszą: wycofali dokumenty paszportowe z ewidencji. W ten sposób nikt nie miał dostępu do wiedzy, że jakiś Rytel opuścił kraj.

– To, co mówisz, jest przekonujące – zgodził się generał – ale przecież musieli brać pod uwagę to, że niemieckie służby poprzez swoich agentów zechcą sprawdzić akta paszportowe Rytela. Niemcy zdziwiliby się bardzo, jeśli by stwierdzili, że w Biurze Paszportowym nie ma takich kwitów.

– Musimy po prostu założyć, że zostało skonstruowane jakieś zabezpieczenie na wypadek takiej sytuacji – odrzekł Lent. – Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że operacja przerzutu nielegala do Niemiec została przygotowana i przeprowadzona perfekcyjnie.

– Innymi słowy, oznacza to, że poszukiwanie Rytela poprzez wertowanie archiwaliów jest bezcelowe, gdyż zdaje się, że nawet jego dokumenty paszportowe znajdują się w tej cholernej teczce legalizacyjnej, którą nam ukradziono. – Szczęśny miał minę zawiedzionego człowieka.

– Na to wygląda – odrzekł cicho zastępca.

– A co się dzieje w Berlinie? Dlaczego nie ma stamtąd żadnych informacji? – Szef Agencji miał nadzieję, że chociaż teraz usłyszy coś optymistycznego.

– Poszukiwania prowadzi osobiście szef rezydentury. Dobrał sobie młodego oficera, któremu ufa – Lent objaśnił sytuację.

– Wątpię, żeby tylko we dwóch szybko coś znaleźli – zauważył sceptycznie Gordon, a szef Agencji pokiwał głową na znak, że zgadza się z tą opinią.

– Nie chciałem angażować wszystkich naszych ludzi w Niemczech, by nie doszło do jakiegoś przecieku. Najważniejsze jest przecież to, żeby tamtejsze służby niczego nie zważały – rzekł na swoją obronę zastępca.

– Masz rację, musimy uważać. Powiedz chociaż, jak szukają tego Rytela. – Generał chciał mieć przekonanie, że robione jest wszystko, co możliwe.

– Ze zrozumiałych względów nie mogliśmy zwrócić się o pomoc do naszych niemieckich partnerów – zaczął Lent. – Postanowiliśmy więc wykorzystać praktykę konsularną, jaką stosuje się przy poszukiwaniach osób mieszkających w Niemczech. Zazwyczaj w takich przypadkach konsul zwraca się o pomoc do

odpowiednich urzędów we wszystkich landach, które prowadzą rejestry meldunkowe. Złożenie wniosku wymaga podania imienia i nazwiska, określenia płci poszukiwanej osoby oraz daty urodzenia. Jak wiecie, dysponowaliśmy tymi danymi, więc uruchomiliśmy tę procedurę.

– I co? – Szczęsny i Gordon niemal równocześnie zadali to pytanie.

– I nic. Wygląda na to, że taka osoba nie mieszka w Niemczech.

– To przecież niemożliwe! – zachnął się naczelnik agencyjnego kontrwywiadu.

– Nie masz racji, to bardzo możliwe – odrzekł zastępca do spraw operacyjnych.

– Najmniej prawdopodobne oczywiście jest to, że Rytel nie żyje, gdyż na co komu wtedy byłaby potrzebna jegoteczka legalizacyjna? Jednak nie można tego zupełnie wykluczyć. Moim zdaniem musimy przede wszystkim uwzględnić fakt, że wielu niemieckich emerytów wyprowadza się na starość do ciepłych krajów. Bywa, że sprzedają lub przepisują na dzieci swoje nieruchomości, co skutkuje wymeldowaniem się z dotychczasowego miejsca zamieszkania. I tu kółko się zamyka. Należy także brać pod uwagę to, że facet w międzyczasie mógł się ożenić z jakąś Włoszką, Francuzką albo Belgijką i przeprowadził się za granicę. A może po prostu zmienił nazwisko.

– Na jego miejscu postąpiłbym właśnie w taki sposób – wtrącił Gordon. – Zmieniłbym nazwisko i wyjechałbym z Niemiec. Odszedłbym w ten sposób od personaliów Rytela i zamaskowałbym swoje związki z rodziną Delitzów.

– Ale w jakim celu?! – Lent nie rozumiał toku myślenia kolegi, zaś szef AW uśmiechnął się, domyślając się, o co chodzi Gordonowi.

– Nasz nielegał przestał pracować dla polskiego wywiadu w pięćdziesiątym drugim roku – kontynuował rozważania naczelnik. – A co się wtedy działo w Polsce? – Powiódł pytająco wzrokiem po współpracownikach. Nie otrzymał jednak odpowiedzi, więc mówił dalej: – Mieliśmy tak zwaną „noc teczek”, czyli upadek rządu, którego tłem była walka o lustrację współpracowników byłej Służby Bezpieczeństwa<sup>41</sup>). Postawcie się na miejscu Rytela oraz innych wtórników. Nie balibyście się, że wskutek bałaganu politycznego, jaki miał miejsce w kraju, wasze akta wypłyną na światło dzienne? Nie mielibyście podstaw do poważnych obaw, że zostaniecie zdekonspirowani?

---

41) „Noc teczek” – określenie nocnych wydarzeń z 4 na 5 czerwca 1992 roku związanych z odwołaniem rządu Jana Olszewskiego.

– Bałbym się jak cholera – odrzekł Szczęsny, zaś jego zastępca dodał:

– Ja w takiej sytuacji chyba też wyjechałbym z Niemiec. Zakładałbym, że kontrwywiad wpadnie na mój trop i trafię do więzienia.

– I to jest chyba prawdziwa przyczyna, dla której Rytela nie ma w niemieckich rejestrach meldunkowych – zakończył Gordon.

– Ale skoro nie ma go w Niemczech, to nie posiada praktycznie żadnego znaczenia wywiadowczego! Do czego, w takim razie, jest komuś potrzebna jegoteczka legalizacyjna? – Lent zadał najistotniejsze pytanie wynikające z dyskusji.

Zapadła cisza. Nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć.

– Psiakrew! – Szczęsny sromotnie zaklął. – Nigdy go nie znajdziemy.

– Ja także najpierw tak pomyślałem, ale później doszedłem do wniosku, że musimy podejść do problemu od innej strony – odrzekł z otuchą Lent.

– Czyli jakiej? – Ostatnie zdanie ponownie wzbudziło w szefie wywiadu nadzieję.

– Zleciłem poszukiwania rodziny von Delitz, do której nasz wtórnik na pewno przeniknął. Nasi oficerowie przeszukali Internet „wzdłuż i wszerek” i niestety znowu niczego nie ustalili.

– Zupełnie nic? – Szczęsny był szczerze zdziwiony.

– Namierzono ponad sto kilkadziesiąt osób o nazwisku Delitz, ale bez „von”. Nasi ludzie doszli do wniosku, że von Delitzowie z jakichś względów po prostu zrezygnowali z używania tego przyimka. To powoduje, że ustalenie konkretnej rodziny, do której „wszedł” esbecki agent, okazało się w zasadzie niemożliwe. Nie poddałem się jednak i zleciłem szefowi naszej rezydentury przewertowanie dostępnych publicznie zasobów związanych z CDU oraz CSU<sup>42</sup>). Uznałem, że jeśli nasz nielegał otrzymał Złoty Krzyż Zasługi za dostarczenie informacji na temat niemieckiego stanowiska w sprawie negocjowanych na początku lat dziewięćdziesiątych traktatów polsko-niemieckich, to musiał być w jakiś sposób związany z którąś z tych partii.

---

42) CDU – Christlich-Demokratische Union Deutschlands (Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna Niemiec), partia polityczna. CSU – Christlich-Soziale Union in Bayern (Unia Chrześcijańsko-Społeczna w Bawarii), partia polityczna. Koalicja CDU/CSU przeprowadziła zjednoczenie Niemiec w 1990 roku i negocjowała traktaty polsko-niemieckie („graniczny” oraz „o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy”).

– Cholera – zaklął pod nosem naczelnik Wydziału Kontrwywiadu Wewnętrznego. – Szkoda, że nie możemy poprosić BND lub BfV<sup>43)</sup>, by pogrzebali w swoich bazach danych. Na pewno już byśmy wszystko wiedzieli o tym Rytelu.

---

43) BND – Bundesnachrichtendienst (Federalna Służba Wywiadu). BfV – Bundesamt für Verfassungsschutz (Federalny Urząd Ochrony Konstytucji, służba zajmująca się kontrwywiadem oraz ochroną tajemnicy państwowej w Niemczech).

Gabinet ogarnęło milczenie. Lent miał taką minę, jakby chciał skomentować słowa Gordona. Generał zauważył to i poprosił podwładnego, by to uczynił. Ten zaproponował:

– Możemy przecież wymyślić na użytek Niemców jakieś racjonalne wytłumaczenie, dlaczego Rytel nas interesuje.

– Absolutnie! Nie! Wybij sobie z głowy takie pomysły, Radek! – Szczęsny powiedział to głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Przecież jak tylko z naszej strony padnie to nazwisko, to BfV od razu je prześwietli. I jak myślicie, co Niemcy odkryją?

Jego podwładni uzmysłowili sobie, do czego dąży ich szef. Ten tylko potwierdził ich domysły:

– Ano odkryją, że interesujemy się ich obywatelem, który kiedyś był naszym obywatelem i przyjechał do nich z Polski jakieś pół wieku temu. Jak jeszcze stwierdzą, że facet „odnalazł się cudem” jako syn oficera Wehrmachtu, to możecie mi wierzyć lub nie, ale od razu skojarzą to z wywiadem nielegalnym. A przynajmniej nabiorą zgubnych dla nas podejrzeń.

To był argument nie do podważenia.

– Proponuję, żebyśmy na razie poczekali na wyniki obecnie prowadzonych poszukiwań, a teraz zmieńmy temat – zarządził szef AW. – Musimy zastanowić się nad tym, kto jest naszym przeciwnikiem.

– Rosjanie – Gordon wypalił bez ogródek.

– Rosjanie – zgodził się Lent.

– Jak to uzasadnicie? – Generał był zadowolony, że jego oficerowie myślą podobnie jak on.

– Moim zdaniem za taką tezę przemawia charakter całej sprawy – zaczął pułkownik Gordon. – Na początek odpowiedzmy sobie na zasadnicze pytanie: jak ci, którzy spenetrowali nasze archiwum i przejęli teczkę legalizacyjną, „wyszli” na Leszka Zilbera?

– To proste – odrzekł Lent – poprzez Regiewicza.

– Otóż to! – Naczelnik na znak akceptacji odpowiedzi podniósł teatralnie do góry głowę. – Regiewicz jest według mnie kluczem do całej sprawy. Przyszywany wujek Zilbera, partner seksualny jego ojca, w przeszłości wybitny specjalista w zakresie organizowania i realizowania operacji wywiadu nielegalnego na pewno miał kontakty z KGB! Ukończył przecież specjalistyczny kurs w Moskwie!

– Na którym był także Strypuła – uzupełnił zastępca do spraw operacyjnych.

– To kolejna poszlaka wskazująca na to, że mam rację – zgodził się Gordon. – Uważam zatem, że Rosjanie uzyskali w nieznanym nam sposób informacje na temat Rytela, uznali, że mogą obecnie wykorzystać tę wiedzę, i w związku z tym odnowili kontakt z Regiewiczem.

– Zapewne szybko odkryli, że ten był ciężko chory na raka, więc nie musieli go nawet zmuszać do współpracy. Wystarczyło, że położyli odpowiednią ilość gotówki na stole i obiecali za te pieniądze zakupić jakiś cudowny lek, dzięki któremu mógłby przedłużyć sobie życie – wtrącił Lent.

– To wysoce prawdopodobne – rzekł szef wydziału kontrwywiadowczego Agencji. – Telefony, jakie wykonał w ostatnim miesiącu życia: do mnóstwa aptek oraz instytutów i prywatnych klinik onkologicznych, mogą być potwierdzeniem tej tezy. Zapewne poszukiwał leku albo po prostu sprawdzał, czy taki w ogóle istnieje.

– A ja sądzę, że on kiedyś pracował dla Rosjan – odezwał się milcząco dotąd generał. – Pamiętacie, jak zastanawiałem się nad tym, jak to było możliwe, że on, homoseksualista, służył w SB, choć w praktyce tacy ludzie nie byli przyjmowani do tej organizacji, ale też usuwano ich z niej? Jak wiecie, poleciłem naszym specjalistom od wariografu przeanalizować archiwalne wyniki badań Regiewicza. Jakiś czas temu otrzymałem raport na ten temat. Pod wpływem tego, co teraz od

was usłyszałem, jego treść zmieniła dla mnie swój wydźwięk. Otóż nasi eksperci zwrócili w swoim opracowaniu uwagę na jeden szczegół: pytanie o kontakty homoseksualne zadano Regiewiczowi tylko dwa razy, na badaniu przed przyjęciem do szkoły wywiadu oraz miesiąc po jej ukończeniu. Nie stwierdzono wtedy, że był gejem. Podczas kolejnych badań nie zadawano mu już takiego pytania.

– Po prostu ożenił się i stało się to zbędne – skomentował Gordon, który znał akta personalne byłego oficera wywiadu nielegalnego na wrywki. – Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby maskował się, udając kobieciarza. Widziałem jego zdjęcie z tamtego okresu. To był kawał przystojnego chłopca, musiał mieć cholerne powodzenie.

– Myślę, że masz rację, Jurek – odrzekł szef Agencji. – Podejrzewam, że stał się „praktykującym” gejem dopiero podczas służby w SB. Dlatego przeszedł pozytywnie pierwsze dwa badania na wariografie. Przypomnijcie sobie fragment relacji Veselego z rozmowy, jaką przeprowadził z byłą żoną Regiewicza, a dotyczącą tego, w jaki sposób ten zaproponował jej małżeństwo. Wspomnienia tej kobiety odnośnie do wysokości zarobków męża oraz bardzo wysokiego poziomu życia, jakie wiedli, też powinny dać nam do myślenia.

– Zaraz, zaraz – powiedział przeciągle Lent. – Sugerujesz, że ruscy dowiedzieli się o tym, że Regiewicz był homoseksualistą, i na tej podstawie go zwerbowali?

– Oczywiście – odparł z przekonaniem Szczęsny. – Należy przyjąć, że z dużym prawdopodobieństwem KGB w zamian za pieniądze i utrzymywanie w tajemnicy wiedzy o jego skłonnościach uzyskiwało informacje na temat działań polskiego wywiadu nielegalnego. Na potwierdzenie tej hipotezy przytoczę jeszcze bardzo wymowne w swojej istocie spostrzeżenia, o których zresztą już dziś wspomnieliście. Chodzi o udział naszych esbeków w moskiewskim kursie. Przystudiowałem jeden bardzo interesujący artykuł napisany przez pewnego historyka pracującego w IPN i doszedłem do dwóch wniosków: po pierwsze, podczas pobytu w Moskwie obaj za krótko jeszcze służyli w organach bezpieczeństwa, by kierownictwo SB wytypowało ich do uczestnictwa w specjalistycznym, zagranicznym szkoleniu; po drugie, Regiewicz w tamtym czasie był zbyt nisko w hierarchii, by móc załatwić Strypuli wyjazd służbowy do ZSRR.

– Jednym słowem, wystarał się o to bezpośrednio u Rosjan – stwierdził Gordon.  
– Jestem o tym bardziej niż przekonany – odparł szef AW.  
– Ciekawe, czy ruscy prowadzili go jeszcze, kiedy pracował w Zarządzie Wywiadu UOP. – Zastępcę do spraw operacyjnych najwyraźniej zafascynowała ta historia.

– Zapewne tak – odpowiedział Szczęsny. – Chociaż na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy to Związek Radziecki się rozpadał i przegrywał zimną wojnę, mogło dojść do zerwania współpracy. Nie ma to zresztą teraz żadnego znaczenia. Dla nas najistotniejsze jest to, że związki Zilbera z Regiewiczem uzasadniają przyjęcie założenia, że naszym przeciwnikiem są najpewniej Rosjanie.

– Myślę, że również zagadkowość śmierci byłych esbeków oraz młodego historyka, a także fakt, że doszło do nich praktycznie w tym samym czasie, może wskazywać na działanie rosyjskiego wywiadu – przypomniał pułkownik Gordon. – Wiadomo przecież, że służba ta ma dostęp do odpowiednich chemicznych specyfików, dzięki którym można łatwo upozorować samobójstwo albo nieszczęśliwy wypadek.

– To także ważna poszlaka – zgodził się generał. – Szkoda jednak, że nie dysponujemy chociaż jednym namacalnym dowodem, że to Rosjanie – westchnął.

Lent poruszył się, jakby nagle przyszło mu coś do głowy. Odezwał się cicho:

– Chyba jest pewna nikła szansa, żeby upewnić się, czy to oni stoją za tym wszystkim.

– Jaka?! – sapnął Szczęsny.

– Ale to, tak naprawdę, bardzo słaba zaczepka. – W głosie zastępcy dźwięczała niepewność.

– No mówże, człowieku! – Gordon prawie zakrzyknął.

– Przypomniałem sobie właśnie sprawozdanie Veselego, w którym zwracał on uwagę na fakt, że ktoś anonimowy zadzwonił na pogotowie gazowe w dniu śmierci Strypuli. Nasz policjant sugerował, że zrobił to zabójca, gdyż najprawdopodobniej nie chciał, by w mieszkaniu denata doszło do eksplozji gazu. Może w pogotowiu nagrywają zgłoszenia telefoniczne? Takie nagranie można by oddać do specjalistycznej analizy pod kątem fonologicznym. Jeśli dzwoniący był

cudzoziemcem, to dobry ekspert na pewno wykryłby, jakiej był narodowości, i to niezależnie od tego, w jakim stopniu władał językiem polskim.

– Radek! Jesteś geniuszem! – Szczęsny był zachwycony pomysłem.

– Za kilka dni jadę do Veselego, żeby mu oficjalnie podziękować za współpracę. Zdobycie nagrania, jeśli oczywiście takie istnieje, będzie jego ostatnim zadaniem – oświadczył Gordon.

\*\*\*

Restauracja pulsowała wieczornym rytmem. Sala rozbrzmiewała rozmowami oraz dyskretnymi alikwotami śmiechu, co świadczyło o wybornych humorach gości. Na niewielkiej scenie młody mężczyzna, wyglądający na studenta krakowskiej akademii muzycznej, wygrywał na pianinie sentymentalne, jazzowe melodie, które budowały przyjemny, niecodzienny nastrój.

Vesely i Gordon raczyli się wyśmienitą kolacją, na którą gość z Warszawy zaprosił swojego policyjnego kolegę w dowód wdzięczności za współpracę przy rozwiązywaniu zagadki tożsamości poszukiwanego nielegala.

– Zostałem zobowiązany, żeby przekazać panu osobiste podziękowania i gratulacje od szefa Agencji Wywiadu, generała Krzysztofa Szczęsnego, za efektywną pomoc, jakiej udzielił pan naszej służbie. – Pułkownik ujął filigranowy kieliszek z wódką na znak toastu. – W pana ręce, za pana zdrowie, panie podkomisarzu!

Gdy wypili Gordon sięgnął do teczki, jaką miał przy sobie. Wyjął z niej małe drewniane pudełeczko, które postawił przed Zygmuntem

– W związku z tym, że nie chciał pan pieniężnej gratyfikacji za pracę dla nas, postanowiliśmy wręczyć panu symboliczny prezent w dowód szczerego uznania z naszej strony. Mam nadzieję, że nie odmówi pan jego przyjęcia.

Vesely się tego nie spodziewał. Odchylił delikatnie wieczko i jego oczom ukazał się piękny zegarek o klasycznym kształcie. Połączane wskazówki nadawały mu majestatu, zaś na perłowej tarczy dumnie prezentowała się nazwa marki: „Michel Herbelin Mécanique”. Ciemnobrązowy pasek ze szlachetnej skóry był kwintesencją elegancji.



– Nie wiem, co powiedzieć – wyjąkał podkomisarz. – Bardzo, ale to naprawdę bardzo dziękuję, jest mi niezmiernie miło – dodał ściszym głosem znamionującym, że jest autentycznie wzruszony.

– Francuska robota, szwajcarskie wnętrze! W stu procentach mechaniczny! – objaśnił pułkownik. – To prawdziwe dzieło sztuki, panie podkomisarzu! Sam wybierałem – pochwalił się.

Zygmunt zapiął czasomierz na nadgarstku. Wyglądał tak wspaniale, iż jego nowy właściciel od razu poczuł się po prostu wyjątkowo.

– Cieszę się, że się panu podoba. – Warszawiak, niezmiernie kontent z tego, że udało mu się utrafić z podarunkiem, rozlał ponownie alkohol do kieliszków.

Tym razem toast wygłosił Vesely. Przyznał szczerze, że tropienie tożsamości nielegala było najpiękniejszą przygodą, jaką przeżył w życiu, podziękował także wylewnie za obdarzenie go zaufaniem, a wrodzona ciekawość nakazała mu na koniec zadać oczywiste pytanie:

– Czy odnaleźliście już Rytela?

Gordon przez chwilę zastanawiał się, jak odpowiedzieć. Z jednej strony, nie chciał zdradzać tajemnic wywiadu, zaś z drugiej żywił ogromną wdzięczność wobec Veselego, dzięki któremu Agencja mogła w ogóle prowadzić dalej całą sprawę. W końcu zdecydował, że zrelacjonuje poszukiwania, jakie przeprowadzono w oparciu o niemieckie rejestry meldunkowe. Inne działania postanowił przemilczeć. Wysłuchawszy go, Zygmunt powiedział:

– Zastanawiałem się wielokrotnie, gdzie i jak można by odszukać Rytela, ale ani razu nie pomyślałem, że on już wcale nie musi mieszkać w Niemczech albo może mieć inne nazwisko.

– Może także nie żyć, choć to chyba mało prawdopodobne. – Pułkownik chciał już zakończyć ten wątek, ale nie docenił bystrości umysłu podkomisarza, który zadał bardzo niewygodne pytanie:

– A nie myśleliście o tym, żeby poprosić o pomoc niemieckie służby? Przecież na pewno z nimi współpracujecie. One szybko ustaliłyby, czy Rytel w ogóle żyje, a jeśli tak, to gdzie obecnie przebywa.

Oficer z Warszawy zaklął w myślach. Musiał jednak jakoś sensownie odpowiedzieć.

– Pamięta pan, podkomisarzu, jak opowiadałem o tym, że ten esbecki szpieg pracował jeszcze dla naszego wywiadu po upadku komuny?

– Tak, nawet zdobył bardzo cenne informacje, które pomogły w zawarciu z Niemcami ważnych traktatów.

– No właśnie – potwierdził Gordon. – Z tego powodu nie możemy, niestety, zwrócić się o pomoc do naszych niemieckich partnerów, gdyż oni prawdopodobnie szybko domyśliliby się całej prawdy. Najpewniej zrodziłoby się podejrzenie, że szpiegowaliśmy ich jeszcze po tym, jak staliśmy się sojusznikami. Powstałby dyplomatyczny, a może nawet medialny raban. A to mogłoby grozić wybuchem międzynarodowego skandalu, co zaszkodziłoby pozycji naszego kraju. Dlatego nie można do czegoś takiego dopuścić. Ale dosyć o tym – pułkownik postanowił uciąć ten temat. – Proszę lepiej opowiedzieć, jak toczy się pana życie po zakończeniu prowadzonego dla nas śledztwa? Zapewne teraz może się pan wreszcie bardziej poświęcić grze w szachy.

– Faktycznie, czasu mam teraz znacznie więcej, ale jeszcze nie przestałem myśleć o całej tej sprawie – odrzekł Vesely.

– W jakim sensie?

– Cały czas nurtuje mnie zagadka śmierci Strypuli, Regiewicza oraz młodego historyka. Codziennie zadaję sobie pytanie: dlaczego musieli zginąć? Oczywiście otwartą kwestią pozostaje także to, kto ich zabił. Bo że były to morderstwa, nie ulega dla mnie wątpliwości.

– Oficjalnie to nieszczęśliwe wypadki oraz samobójstwo. I niech tak pozostanie. – Oficer wywiadu obawiał się, że policjant zechce dążyć dalej ten temat i w konsekwencji może dojść do ujawnienia roli Zilbera, a tym samym faktu penetracji archiwum Agencji. – Bardzo pana proszę, podkomisarzu, żeby nie zajmował się pan już tą sprawą. Zaręczam, że odnalezienie jakichkolwiek dowodów świadczących o tym, że były to zabójstwa, będzie niemożliwe. To była operacja zrealizowana przez najwyższej próby fachowców, a tacy nie popełniają najmniejszych błędów.

– Czyżby? – Zygmunt wręcz się oburzył na tak postawioną tezę. – A wykasowanie połączeń w telefonie stacjonarnym Strypuli bez uwzględnienia możliwości istnienia rachunków szczegółowych? A anonimowy telefon do

pogotowia gazowego? A sprawa wiertarki w mieszkaniu Regiewicz? – wyrecytował.

– Jeśli chodzi o ów anonimowy telefon, to będę miał dla pana jeszcze jedno, na pewno już ostatnie, zadanie. – Gordon zauważył, jak policjantowi zaświeciły się oczy.

– W czym rzecz? – W głosie Veselego zabrzmiała bezwarunkowa akceptacja.

– Należałoby sprawdzić w pogotowiu gazowym, czy powiadomienia o awariach są tam rejestrowane. Jeśli tak, to trzeba będzie zdobyć nagranie głosu osoby, która poinformowała o ulatnianiu się gazu z mieszkania Strypuli.

Podkomisarz popatrzył wnikliwie na współtowarzysza i rzekł:

– Coś mi się zdaje, że dalej zastanawiacie się, kim jest wasz przeciwnik.

– Z czego pan to wywnioskował? – spytał z uznaniem pułkownik.

– Z tego, że zainteresowaliście się nagraniem. Przypuszczam, że chcecie się dowiedzieć, jaki akcent posiadał człowiek, który dokonał zgłoszenia.

U gościa ze stolicy uznanie dla logicznego myślenia policjanta przeistoczyło się w podziw.

– Trudno cokolwiek przed panem ukryć. Co za niesamowita przenikliwość! Rzeczywiście, taki mamy zamiar. Chociaż nie do końca ma pan rację. Domyślamy się, kim jest nasz przeciwnik, szukamy jedynie potwierdzenia.

– Rosjanie?

– Na to wskazują wszystkie nasze analizy. Ale nie powiedział pan, czy podejmie się wykonania tego ostatniego zadania.

– Oczywiście!

– Czy mógłby się pan tym zająć już jutro rano? Poczekalbym i, jeśli dopisałoby szczęście, to może wróciłbym do Warszawy z nagraniem?

– Jeśli ono istnieje, to może być pan pewien, pułkowniku, że nie odjedzie pan z pustymi rękami. – Mówiąc to, Zygmunt miał przed oczami postać swojej byłej kochanki, Justyny.

– To świetnie! – Gordon ucieszył się. – Wypijmy zatem za powodzenie – zaproponował.

Gdy spełnili toast, oficer wywiadu powrócił jeszcze do niedawnego śledztwa:

– Wspomniał pan, że zastanawiał się nad przyczynami śmierci Strypuli, Regiewicz i historyka. Doszedł pan może do jakichś wniosków? Nie ukrywam, że to dla mnie bardzo interesujące.

– Uszeregowałem chronologicznie wszystkie fakty i to pozwoliło mi spojrzeć na całą sprawę w zupełnie inny sposób – odparł Vesely. – Sądzę, że całą lawinę zdarzeń uruchomił Sylwester Kalenik.

– Niech pan opowie wszystko dokładnie – zachęcił pułkownik.

Zygmunt skoncentrował się i rozpoczął:

– Młody historyk podejmuje się napisania doktoratu na temat działalności wywiadu SB. Przystępuje więc do zbierania materiałów. Uznaje, że jedną z form pozyskania wiedzy mogą być rozmowy z byłymi funkcjonariuszami ekspozytury Departamentu Pierwszego w Krakowie. W ten sposób trafia do esbeków mieszkających w Nowej Hucie i Myślenicach oraz do Mariana Strypuli, który okazuje się najważniejszym świadkiem. Następnie, dokonując kwerendy w krakowskim IPN, Kalenik odnajduje notatkę z informacją na temat tajemniczej operacji Storch. Tak go to intryguje, że postanawia znowu odwiedzić byłego kierownika ekspozytury. Ten jednak nie chce mu udzielić żadnych informacji. Tu kończy się pierwszy etap naszej historii.

Policjant sięgnął po szklankę z wodą mineralną. Po chwili kontynuował:

– Po obronie doktoratu naukowiec postanawia podjąć badania nad operacją Storch, gdyż uważa, że ta sensacyjna, nieodkryta historia pomoże mu przyspieszyć rozwój kariery naukowej. Spędza mnóstwo czasu w warszawskim archiwum IPN, lecz niestety nic nie uzyskuje. Publikuje za to swoją dysertację w postaci książki. Jeden egzemplarz darowuje Strypuli, który urzeczony prezentem przekazuje Kalenikowi w formie żartu jakąś, prawdopodobnie przełomową, informację.

– Nie domyśla się pan jaką? – przerwał Gordon.

– Domyślałem się – odparł policjant. – Biorąc pod uwagę moją rozmowę z pracowniczką Urzędu Stanu Cywilnego, mogło to być coś w rodzaju: „Jak pan odnajdzie dziecko urodzone podczas wyzwania Krakowa, to dowie się, o co chodziło”. Stary esbek jest oczywiście przekonany, że nigdy do tego nie dojdzie, jednak Kalenik posiada, jak to powiedział mi jego promotor, „historyczną intuicję”. Ta prawdopodobnie zasugerowała mu, że ma do czynienia ze sprawą wywiadu

nielegalnego, co jeszcze bardziej motywuje go do działania. Wiedząc, że urzędy stanu cywilnego funkcjonują dopiero od czterdziestego szóstego roku, przeprowadza poszukiwania w biurach parafialnych krakowskich kościołów. Gromadzi dane dzieci urodzonych między szesnastym a dwudziestym trzecim stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Zbiór jest jednak zbyt obszerny, by można było rozwiązać zagadkę. W międzyczasie bierze udział w programie na antenie TVP Historia. Chwali się, że jest na tropie niezwyklej sprawy dotyczącej peerelowskiego wywiadu nielegalnego, która prawdopodobnie „dalej ma znaczenie dla bezpieczeństwa państwa”, mówi nawet, że „mogła nie zostać jeszcze zakończona”. I wie pan, pułkowniku, co ja myślę? – Zygmunt zawiesił głos.

– No niechże pan nie każe mi zgadywać! – zareagował zniecierpliwiony oficer.

– Myślę, że to ta audycja telewizyjna doprowadziła do wykradnięcia z archiwum Agencji teczki legalizacyjnej. Oglądał pan film „Trzy dni Kondora”?

– Nie – odparł oficer Agencji.

– Robert Redford gra tam pracownika naukowego utajnionej sekcji CIA, której zadanie polega na analizowaniu różnych publikacji z całego świata celem zbierania informacji oraz ciekawych pomysłów i zaczepki operacyjnych. Uważam, że wasz przeciwnik również posiada taką komórkę, która po prostu namierzyła telewizyjny występ Kalenika.

– To chyba zbyt daleko posunięta interpretacja – zaproponował Gordon.

– Być może, jednak według mnie bardzo prawdopodobna – odrzekł niczym niezrażony Vesely. – Ale idźmy dalej. Otóż historyk odbywa drugie spotkanie z esbekiem z Nowej Huty. Nadaremnie wypytuje go o operację Storch. Uzyskuje za to informacje o Zdzisławie Tekielu i Janie Lipskim, czyli Regiewiczu. W IPN dowiaduje się, że ten drugi pracował w Wydziale Czternastym Departamentu Pierwszego zajmującym się organizowaniem wywiadu nielegalnego. Fakt ten potwierdza jego wcześniejsze domysły. Nowohucki rozmówca przekazuje także, że warszawski oficer przyjeżdżał do Tekiela aż do dziewięćdziesiątego drugiego albo nawet trzeciego roku. Naukowiec pojmuje, że zadaniem funkcjonariusza, który zastąpił na stanowisku Strypułę, była ochrona tożsamości peerelowskiego nielegała.

– Myśli pan, że tak łatwo doszedł do takiego wniosku? – powątpiewał pułkownik.

– Na pewno kosztowało go to mnóstwo pracy, ale proszę pamiętać, że Kalenik posiadał specjalistyczną wiedzę na temat struktury oraz metod działania SB – odbił piłeczkę policjant. – To nie był amator, tylko zawodowy, bardzo uzdolniony historyk.

– Przekonał mnie pan. Proszę mówić dalej – rzekł pojednawczo Gordon.

– Naukowiec odwiedza sparaliżowanego Tekiela w ośrodku opiekuńczym. Ma przy sobie dane dzieci urodzonych w czasie wyzwania Krakowa przez Armię Czerwoną. Jak już mówiłem, zbiór jest obszerny. Sądzę, że chciał, by chory wskazał mu właściwe nazwisko, ale coś poszło nie tak. Być może stojący na granicy życia i śmierci stary człowiek nie był w stanie tego dokonać. Młody historyk nie poddaje się. Wymienia więc nazwy kościołów w Krakowie, gdyż zdaje sobie sprawę, że ochrona personaliów agenta polegała na dozorze konkretnej księgi metrykalnej. Przy Świętym Stefanie Tekiel mruga na tak. Prawdopodobnie Kalenik pyta również, czy były esbek pilnował Urzędu Stanu Cywilnego. Ten znowu mruga na tak.

– W zasadzie był już u celu – stwierdził Gordon.

– Składa drugą wizytę w Świętym Stefanie. Zakłada, że księga została sfalszowana, więc porównuje interesujące go zapisy z innymi. Fotografuje odpowiedni arkusz, który potem konfrontuje z takim samym z wtóropisu znajdującego się w USC. Ale najistotniejsze jest to, że udaje mu się zawęzić poszukiwania do czterech nazwisk. Nie ma jednak pomysłu, w jaki sposób wytypować to jedyne, właściwe. Z relacji pani Marii wiemy, że naukowiec odwiedza Strypulę półtora miesiąca przed zabójstwem i czymś go bardzo irytuje. Prawdopodobnie prosi wtedy, by ten wskazał mu odpowiednią tożsamość, ale esbek jest przerażony, nie chce rozmawiać. Po spotkaniu komunikuje swojej siostrze, że Kalenik „odkrył coś ważnego, czego nikt nie powinien był odkryć”. Dzwoni także wielokrotnie do swojego przyjaciela Regiewicza. Nie wie, że sprawą interesuje się obcy wywiad, i tym samym wydaje na siebie i historyka wyrok śmierci.

– A to dlaczego? – zapytał pułkownik, choć domyślał się, że za chwilę podkomisarz sformułuje taką samą hipotezę, jaką na ostatniej naradzie wygłosił generał Szczęsny.

– To, co teraz powiem, jest najważniejszym wnioskiem, jaki powstał na podstawie rozważań, które zaprezentowałem – odrzekł niemal uroczyście Vesely, co miało świadczyć o doniosłości tego, co za chwilę przedstawi. – Otóż moim zdaniem Regiewicz współpracował z przeciwnikiem.

– Uważa pan tak tylko dlatego, że Strypuła przekazał mu wiedzę o odkryciu Kalenika?

– Należy jeszcze uwzględnić fakt, że Regiewicz był „przyszywanym wujkiem” Zilbera. Czy to nie znamienne, że to akurat on wyniósł z archiwum Agencji materiały zawierające dane nielegała, którego tożsamości poszukiwał naukowiec? Kółko się zamknęło, panie pułkowniku! Nie ma innego wyjaśnienia śmierci historyka oraz obu esbeków. Motyw zbrodni jest aż nadto oczywisty. Poza tym uważam, że przeciwnik mógł otrzymać wszelkie niezbędne informacje na temat teczki legalizacyjnej, operacji Storch oraz Zilbera, Strypuli i Kalenika tylko od jednej osoby: właśnie od Regiewicza vel Lipskiego.

– Taaak... Kółko się zamknęło – powiedział przeciągle Gordon. – Być może ma pan rację, podkomisarzu. Być może...

\*\*\*

Stryj Maciej z wypiekami na twarzy słuchał opowieści bratanka. Zygmunt przyjechał do niego w odwiedzinę piątkowym popołudniem, zamierzał spędzić w Katowicach cały weekend. Od razu pochwalił się odnalezieniem tożsamości Bjorna oraz pokazał wspaniały zegarek, jaki w podzięcie otrzymał od Agencji Wywiadu. To był sygnał, by zjeść dobrą kolację przy akompaniamencie wyśmienitego czerwonego wina i pogadać o ostatnich wydarzeniach, które były udziałem podkomisarza.

Profesora zafascynowały relacje z poszczególnych wątków śledztwa, jakie prowadził jego bratanek. Kiedy policjant doszedł do momentu odwiedzin w Domu Księży Seniorów w Makowie Podhalańskim i przedstawił pomysł emerytowanego

duchownego, by spróbować odnaleźć raptularz w archiwum archidiecezjalnym, stryj z wrażenia wstał i nerwowo zaczął przechadzać się po pokoju.

– Jeśli zaraz powiesz, że ten raptularz się odnalazł, to będzie to najbardziej sensacyjna historia, jaką słyszałem w ostatnich latach – rzekł rozemocjonowanym głosem.

– Tak, odnalazł się – potwierdził cicho Zygmunt, któremu także udzieliła się atmosfera tamtego przeżycia.

Opowiedział ze szczegółami, krok po kroku, jak odkrył tożsamość Bjorna, cytując przy tym zapisy, których nie było w oficjalnej księdze urodzeń i chrztów.

– Innymi słowy, istotą operacji Storch – powiedział Maciej – było stworzenie tożsamości dla polskiego szpiega, którego zamierzano wysłać do Niemiec. I żeby tego dokonać, wywiad SB musiał przeprowadzić akcję sfalszowania ksiąg parafialnych, które w czterdziestym piątym pełniły rolę akt stanu cywilnego.

– Operację Storch należy postrzegać o wiele szerzej – rzekł Vesely. – Pamiętaj o tym, co ustaliłem podczas rozmowy z esbekiem z Nowej Huty. Regiewicz vel Lipski przyjeżdżał do Krakowa jeszcze do dziewięćdziesiątego drugiego lub nawet trzeciego roku.

– Myślisz, że chodziło jeszcze o pilnowanie tej tożsamości?

– Ależ oczywiście. Wywiad cały czas monitorował sytuację. Chciano po prostu od razu wiedzieć, czy ktoś nie sprawdza Rytela. Każda tego typu informacja oznaczałaby, że jest on rozpracowywany przez niemiecki kontrwywiad. Przecież jedyny klucz do jego tajemnicy istniał tylko w Polsce w postaci dokumentów i osób, które znały go pod prawdziwym nazwiskiem. Sfalszowane zapisy w księdze metrykalnej oraz zapewne w wielu innych dokumentach pełniły jedynie rolę zasłony dymnej, swoistego parawanu, który miał zapewnić mu bezpieczeństwo.

– Masz rację – zgodził się stryj. – Jak myślisz, co teraz dzieje się w tej sprawie? Tylko nie mów mi, że to cię już nie interesuje – zaśmiał się przekornie.

– To oczywiste, że jestem ogromnie ciekaw, jak to wszystko się zakończy. Niestety, mój udział w tej historii dobiegł końca. Na ostatnim spotkaniu z pułkownikiem Gordonem dowiedziałem się jedynie, że Rytela jeszcze nie odnaleziono. Ponoć wykorzystano do poszukiwań polski konsul w Berlinie, który oficjalnie zwrócił się do wszystkich landowych rejestrów meldunkowych



z wnioskiem o podanie adresu zamieszkania „byłego polskiego obywatela Wojciecha Rytela, urodzonego siedemnastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku w Krakowie” – podkomisarz zacytował dokładnie słowa, jakie usłyszał od pułkownika. – Jednak z otrzymanych, urzędowych odpowiedzi wynika, że taka osoba nie mieszka w Niemczech. W Agencji doszli do wniosku, że albo Rytel wyjechał do innego kraju, albo zmienił nazwisko, albo nie żyje, chociaż ta ostatnia opcja jest według nich najmniej prawdopodobna.

– A czy we wniosku posłużono się informacją mówiącą o tym, że Rytel jest synem Adalberta von Delitza? – Profesor zauważył lukę w postępowaniu poszukiwawczym.

– Tego nie wiem, ale osobiście wątpię w to – odrzekł Zygmunt.

– A to dlaczego?

– Zapytałem Gordona, czemu nie skorzystają z pomocy niemieckich służb specjalnych. Z jego odpowiedzi wynikało, że w AW obawiają się międzynarodowego skandalu, gdyż według nich istnieje duże prawdopodobieństwo, że tamtejszy kontrwywiad może domyślić się prawdziwej działalności Rytela i na tej podstawie zarzucić Polsce prowadzenie przeciwko RFN działalności wywiadowczej w okresie po dziewięćdziesiątym roku, a nawet współcześnie.

– Dla mnie takie rozumowanie jest logiczne – ocenił stryj. – W końcu jesteśmy z Niemcami sojusznikami w NATO i Unii Europejskiej. Zaistnienie takiego faktu musiałoby wpłynąć niezmiernie negatywnie na stosunki pomiędzy naszymi państwami, które zresztą i tak są w ostatnich latach bardzo mizerne.

– To dość górnolotne podejście do problemu.

– Co masz na myśli? – Maciej z zainteresowaniem popatrzył na bratanka.

– Moim zdaniem tu nie chodzi o żadne stosunki z Niemcami. Po prostu szefowie Agencji najzwyczajniej trzęsą się ze strachu. Wyobraź sobie, co by się stało z ich karierami, gdyby na światło dzienne wyszło, że Rosjanie wynieśli z nadzorowanego przez nich archiwum tajne dokumenty.

– To bardzo prostolinijne, ale nadzwyczaj prawdopodobne uzasadnienie. A swoją drogą, wyrobiłeś się, mój drogi, stałeś się jakby bardziej dojrzałym człowiekiem – osądził profesor.

– To śledztwo wiele mnie nauczyło – przyznał Zygmunt. – Zrozumiałem, że na ludzkie postępowanie największy wpływ mają ambicje, pieniądze oraz namiętności.

– Jeśli dodasz do tego jeszcze obiektywne okoliczności, to można by się zgodzić z taką tezą.

Obaj głośno się roześmiali. Nie sądzili nigdy, że przyjdzie im prowadzić taką dysputę.

– Mam nadzieję, że zgodnie z moją radą zabezpieczyłeś się jakoś na wypadek, gdyby wywiad chciał wyrzucić na ciebie jakąś niekorzystną presję – stryj powrócił do tematu. – W świetle twojej ostatniej wypowiedzi... Chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

– Doskonale rozumiem – odparł Vesely. – Jestem w posiadaniu nagrań, które dokumentują prawie wszystkie rozmowy, jakie prowadził ze mną pułkownik Gordon. Uważam jednak, że nie ma powodu do obaw. Jak już powiedziałem, moja rola definitywnie się zakończyła. Jeśli tylko będę, będziemy obaj – poprawił się – dyskretni, to nic mi nie grozi.

– Uspokoileś mnie – odsapnął z ulgą Maciej. – A skąd ta pewność, że to Rosjanie wynieśli z archiwum teczkę legalizacyjną?

– Ponoć w Agencji przeprowadzono jakieś analizy, które wskazały, że to działalność rosyjskiego wywiadu. W związku z tym Gordon poprosił mnie o wydobycie z krakowskiego pogotowia gazowego nagrania anonimowego telefonu ze zgłoszeniem ulatniającego się gazu z mieszkania Mariana Strypuli. Na jego podstawie zostanie zbadany akcent osoby dzwoniącej. Pułkownik miał nadzieję, że w ten sposób uda się potwierdzić, że za „wypadkiem” esbeka stali przybysze ze Wschodu.

– Pamiętam, jak mówiłeś, że ten telefon był błędem, jaki popełnili przestępcy – przypomniał sobie stryj – gdyż nie można było wyczuć na klatce schodowej fetoru gazu ulatniającego się w mieszkaniu.

– Zgadza się. Sądzę jednak, że to nie będzie miało żadnego znaczenia. Odśluchałem dziesiątki razy to nagranie i niestety nie byłem w stanie stwierdzić w głosie telefonującego mężczyzny wschodniego akcentu.

– A jak ci się udało zdobyć nagranie? – Profesor zaciekał się.

– To nie było trudne. – Zygmunt się uśmiechnął. – W pogotowiu pracuje moja dobra znajoma.

– Dobra znajoma?! To nie brzmi zbyt wiarygodnie. – Stryj popatrzył uważnie na bratanek.

– Naprawdę nie musisz się martwić – rzekł pojednawczo podkomisarz. – Poznałem ją podczas wizyty u kierownika pogotowia, zresztą to jego córka.

– I ona tak bez niczego spełniła twoją prośbę?! Nie zważając na przepisy RODO?! Po co ta konfabulacja, mój drogi Zygmuncie?

– No dobrze, powiem bez bicia – zażartował policjant. – Naprawdę poznałem ją podczas wizyty u kierownika, naprawdę jest jego córką. A dała mi nagranie, gdyż ma do mnie zaufanie... A ma do mnie zaufanie, ponieważ przez jakiś czas spotykaliśmy się... Stryj chyba rozumie, co mam na myśli?

– Chcesz przez to powiedzieć, że podczas wykonywania obowiązków służbowych uwiodłeś jakąś niewinną dziewczynę?

– Niewinną??? Stryj raczy żartować!!! Gdyby stryj ją zobaczył... – W głosie Veselego było tyle szczerego oburzenia, że Maciej nie mógł się opanować i wybuchnął donośnym śmiechem. Po chwili bratanek dołączył do niego.

Zygmunt nie mógł przestać rozmyślać o Rytelu. Późnym wieczorem, kiedy to stryj udał się do swojej sypialni, owe myśli zaprowadziły go do profesorskiego gabineczku. Zasiadł przy tamtejszym komputerze. W oknie wyszukiwarki wpisał: „Wojciech Rytel”. Kliknął enter. Momentalnie wyskoczyło kilkanaście linków prowadzących do Facebooka i LinkedIna. Sprawdził je. Wszystkie anonsowały ludzi względnie młodych. Postanowił wpisać „Wojciech Rytel Niemcy”. Nic. Potem „Wojciech Rytel Deutschland”. Nic. Zastanowił się, co robić. Wpadł na pomysł, by zmienić ustawienia regionalne w wyszukiwarce, tak aby dostarczała wyniki z Niemiec. Niestety, też niczego się nie doszukał. Pomny tego, co mówił Gordon o możliwości wyprowadzenia się Rytela do jakiegoś innego kraju, powtórzył procedurę zmiany regionu wyszukiwania dla każdego państwa Unii Europejskiej. Bezskutecznie. Doszedł do wniosku, że należy powtórzyć wyszukiwanie, wpisując samo nazwisko bez imienia. Pojawiło się kilkadziesiąt linków. Kilka z nich prowadziło do konkretnych osób. Sprawdził wszystkie.

Nadaremnie. Próbował jeszcze szukać poprzez portale informacyjne największych niemieckich miast. Bez efektów. Spać położył się dopiero nad ranem.

Wstał przed południem. Robiąc sobie bardzo spóźnione śniadanie, zrelacjonował stryjowi nocne poszukiwania. Maciej podszedł do problemu po profesorsku:

– Po pierwsze, należy uwzględnić, że Rytel ma obecnie siedemdziesiąt cztery lata, więc może nie posługiwać się Internetem.

– Przecież musiał być kimś wpływowym, skoro miał na początku lat dziewięćdziesiątych dostęp do tajnych informacji na temat niemieckich planów wobec Polski. O takich ludziach zawsze coś można znaleźć.

– Nie zgadzam się z tobą – Maciej odrzucił sposób myślenia bratanka. – Ty masz na myśli ludzi znanych lub aktywnych publicznie, a on wcale takim być nie musiał. Poza tym normatywnie jest od dziewięciu lat na emeryturze. Nawet jeśli coś tam było na jego temat, to mogło zostać już dawno zarchiwizowane albo nawet usunięte z serwerów.

– A po drugie? – Zygmunt przypomniał stryjowi o następnym wątku.

– Po drugie, biorąc pod uwagę rok realizacji operacji Storch, wydaje mi się, że on wyjechał z Polski na początku lat siedemdziesiątych, co ma w sensie historycznym niebagatelne znaczenie.

– Co to znaczy „w sensie historycznym”? – Podkomisarz nie mógł skojarzyć wyjazdu Rytela z żadnym znanym mu wydarzeniem z tamtego okresu.

– Nie było wtedy jeszcze systemu PESEL, którego początki datuje się na połowę lat siedemdziesiątych. Nic zatem dziwnego, że twoi niedawni mocodawcy nie mogą wpaść na trop poszukiwanego. Jeśli w którymś z archiwalnych zasobów peerelowskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a zwłaszcza w zbiorze akt paszportowych, meldunkowych albo dotyczących dowodów osobistych nie ma dokumentacji odnoszącej się do Rytela, to nie istnieją realne szanse na odnalezienie go z pozycji kraju. Ale nie to jest najważniejsze.

Profesor zrobił pauzę, sięgnął po czajnik, by nastawić wodę na herbatę.

– Co jest w takim razie ważne? – Czekanie zniecierpliwiło Veselego.

– Wczoraj powiedziałaś, że ten twój pułkownik przypuszczał między innymi, że Rytel mógł zmienić nazwisko.

– Na to chyba wygląda. Moje nocne poszukiwania zdają się to potwierdzać.

– Zastanawiałem się nad tym przed snem i doszedłem do wniosku, że to chyba najwłaściwszy kierunek myślenia. – Stryj powiedział to w taki sposób, że Vesely nie wytrzymał i prawie zakrzyknął:

– Wpadłeś na jakieś rozwiązanie! Powiedz szybko, o co chodzi!

– Najpierw musimy cofnąć się na chwilę w przeszłość. – Możliwość podroczenia się z bratankiem sprawiła Maciejowi wyraźną przyjemność.

Zygmunt już chciał się odezwać, ale zaświszczał gwizdek czajnika. Przez następne kilkadziesiąt sekund policjant męczył się, obserwując, jak stryj robi sobie herbatę. W końcu ten powrócił do przerwanej wypowiedzi:

– W grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku do Polski przyjechał ówczesny kanclerz RFN Willy Brandt. Jednym z efektów jego wizyty była zgoda komunistów na uruchomienie akcji łączenia rodzin, wskutek czego tysiące ludzi wyjechało z PRL do Niemiec Zachodnich, stając się z czasem obywatelami tamtego państwa. Nie byłbym zdziwiony, gdyby nasz nielegał w taki właśnie sposób opuścił kraj. I teraz najważniejsze: niektórzy emigranci po przyjeździe do nowej ojczyzny przyjmowali nazwiska swoich niemieckich krewnych, a wielu zmienczało dotychczas używane.

– Sądzisz, że Rytel mógł zmienić nazwisko na von Deliltz?! – Vesely drgnął.

– To właśnie chciałem powiedzieć!

– Gordon sugerował, że po zakończeniu pracy dla polskiego wywiadu Bjorn najprawdopodobniej bał się, że jego tajna przeszłość zostanie zdemaskowana, więc wyjechał z Niemiec i zmienił nazwisko na takie, które odcięło go od Rytela oraz Delitzów.

– Pieprzenie! – profesor jednoznacznie ustosunkował się do wyводу pułkownika. – Pomyśl, Zygmunt, że jesteś oficerem esbeckiego wywiadu i stoisz przed zadaniem zorganizowania przeniknięcia agenta do rodziny von Delitzów. Na czym by ci najbardziej zależało?

– Chciałbym, żeby Delitzowie uznali go za swego.

– Doskonale! A domyślasz się może, dlaczego to było takie ważne?

– To proste! Chodziło o otrzymanie niemieckiego obywatelstwa.

– To cel istotny, ale nie zasadniczy – prychnął stryj.

Zygmunt zastanawiał się przez chwilę.

– Żeby inni Niemcy uznali go za swego? – spytał niepewnie.

– Oczywiście, że tak. A pod jakim nazwiskiem mogło mu to łatwiej przyjść: Rytel czy von Delitz?

– Cholera, jakie to proste! – stwierdził podkomisarz.

– To tylko hipoteza – zastrzegł Maciej.

– Ale trafna. Nie oznacza to jednak, że nie należy brać wariantu Gordona pod uwagę. Też jest prawdopodobny.

– Według mnie jest bez sensu. – Profesor wciąż był bezwzględny w swoim osądzie.

– Wyjaśnij, dlaczego tak myślisz!

– Facet przyjeżdża do Niemiec na początku lat siedemdziesiątych. Z tego, co ustaliłeś, wynika, że zakończył służbę w polskim wywiadzie w roku dziewięćdziesiątym drugim lub trzecim.

– Zgadza się, wtedy Regiewicz vel Lipski przestał przyjeżdżać do Krakowa – wtrącił podkomisarz.

– To dwadzieścia lat. W życiu człowieka to szmat czasu – rzekł sentymentalnie stryj. – Musimy przyjąć, że nasz bohater zrobił jakąś karierę zawodową oraz zdobył określoną pozycję towarzyską. Być może założył rodzinę i spłodził dzieci. Gdy zakończył szpiegowską misję, miał czterdzieści siedem lub osiem lat, czyli jako mężczyzna był u szczytu swoich możliwości zarówno w sensie psychofizycznym, jak i społecznym. To, co do tej pory osiągnął, było rezultatem głównie tego, że stał się członkiem rodziny zaliczanej zapewne do socjety. Czy zatem można myśleć, że taki ktoś wyrzeknie się tego wszystkiego? Odetnie się od życiodajnych związków?

– Faktycznie, to nielogiczne – rzekł Vesely.

– Osobiście uważam, że taki człowiek, owszem, zdobyłby się na ucieczkę przed grożącym mu uwięzieniem w przypadku wykrycia jego szpiegowskiej działalności, ale nic poza tym.

– Innymi słowy, należy chyba spróbować szukać kogoś o nazwisku „Wojciech von Delitz”? – Pytanie bratanka było jednocześnie propozycją.

– Myślę, że powinniśmy zweryfikować tę koncepcję – przytaknął Maciej.

Bez słowa udali się do gabinetu. Poczekali chwilę, aż uruchomi się komputer, i przystąpili do działania. Zygmunt od razu ustawił wyszukiwarę na pozyskiwanie wyników z Niemiec. Wpisał nazwisko i kliknął enter. Wyskoczyło mnóstwo wyników. Policjant postanowił wszystkie skrupulatnie sprawdzić. Zajęło mu to ponad trzy godziny. Niestety, podobnie jak w nocy, niczego się nie dopatrył. W tym czasie stryj zdążył przygotować obiad.

Siedzieli przy kuchennym stole i jedli. Vesely relacjonował serfowanie w Internecie.

– Dotarłem do różnych osób, jakichś archiwów, miejscowości, przedsiębiorstw – mówił zawiedzionym głosem. – Niestety nigdzie nie stwierdziłem nawet najmniejszej wzmianki o Wojciechu von Delitzu.

– To jeszcze nie znaczy, że przyjęta przez nas hipoteza jest zła – pocieszał go Maciej, choć bez entuzjazmu.

– Trafiłem nawet na jakiś krótki niemiecki tekst o von Delitzach. Przeczytałem go przy użyciu internetowego tłumacza i dowiedziałem się, że był to zamożny szlachecki ród, który do końca drugiej wojny światowej posiadał dobra w jakiejś miejscowości o nazwie Hinterpommern oraz w Prusach Wschodnich. Niestety, gdzie teraz zamieszkują jego członkowie, nie napisano.

– Hinterpommern to stara nazwa obszaru dzisiejszego województwa zachodniopomorskiego. Dawne Prusy Wschodnie też leżą w większości w Polsce. Zdobyłeś bardzo ważną informację, mój Zygmuncie. – Oblicze profesora rozjaśniło się.

– Dlaczego?

– Jeśli Delitzowie pochodzą z terenów, które wymieniłeś, to jest duża szansa, że działali w niemieckich ziomkostwach. Musisz wejść na internetowe strony Związku Wypędzonych<sup>44)</sup> oraz Landsmannschaftów, czyli organizacji zrzeszających Niemców wywodzących się właśnie z Pomorza oraz Prus Wschodnich. Trzeba przejrzeć składy zarządów oraz innych organów statutowych, a także zwrócić uwagę na wszystkie upublicznione tam personalia. Może w ten sposób natkniesz się na jakiegoś Delitzę, który zaprowadzi nas do celu?

---

44) Związek Wypędzonych (Bund der Vertriebenen, BdV) – niemiecka organizacja non profit, federacja 21 ziomkostw (Landsmannschaftów) oraz 16 landowych związków, skupiająca około 2 mln członków, deklarujących pochodzenie z dawnych terytoriów niemieckich, które obecnie znajdują się poza granicami RFN.

To zadanie Zygmunt wykonywał do wieczora. Bezowocnie. Zrezygnowany poszedł do kuchni zrobić sobie herbaty. Stryj znów kucharzył, szykował kolację.

– Znowu nic – oświadczył smutno bratanek.

– Przejrzałeś wszystko dokładnie?

– Bardziej niż dokładnie – westchnął podkomisarz. – Na stronie Związku Wypędzonych wykorzystałem nawet wewnętrzną wyszukiwarkę, ale ta tylko wyrzuciła mi link do historii jakiegoś świętego, który nomen omen nosił takie samo imię jak leutnant von Delitz.

– Adalbert? – Profesor przerwał kuchenną krzątaninę. Wyglądał, jakby go sparaliżowało.

– Tak. Ale co tobie? – Vesely dostrzegł nienaturalną postawę stryja.

Ten najpierw nie zareagował, zaś chwilę później z jego ust wydobył się świszczący chichot. Zygmunt przeraził się, nigdy bowiem nie widział Macieja w takim stanie. Ten jednak machnął uspokajająco ręką i zaczął się śmiać do rozpuku. Gdy się uspokoił, powiedział:

– Przepraszam cię, ale śmiałem się z dwóch powodów: z własnej tępoty oraz z tego, że chyba rozwiązałem naszą zagadkę.

– Nie rozumiem – wybąkał podkomisarz.

– Czy w wyszukiwarce na stronie Związku Wypędzonych wpisałeś „Wojciech von Delitz”?

– Tak.

– I wyświetlił się link do historii o Świętym Adalbercie?

– Tak.

– Święty Adalbert to Święty Wojciech! Patron Polski, Czech i Węgier.

– A więc to taaak... – Teraz chichotać zaczął Zygmunt, gdyż zrozumiał, o co chodziło stryjowi.

Obu Veselych rozpierała radość. Pierwszy odezwał się Maciej:

– Muszę przyznać, że esbecy oficerowie wywiadu mieli głowy nie od parady.



– Ja również nie mam co do tego wątpliwości – powiedział policjant. – Nadanie Rytelowi imienia po ojcu w polskiej wersji językowej było majstersztykiem. Chyba nie zaprzeczysz, że powinniśmy wznowić poszukiwania w Internecie? Jednak tym razem wpiszemy w wyszukiwarkę „Adalbert von Delitz”.

– Jeśli Rytel po wyemigrowaniu do Niemiec zmienił nazwisko, to tylko na takie – zgodził się stryj.

– Nie rozumiem jednak – rzekł Vesely – dlaczego wyszukiwarka na stronie Związku Wypędzonych odesłała mnie do świętego?

Profesor dumiał przez moment.

– Domniemane miejsce męczeńskiej śmierci Świętego Wojciecha znajduje się na terenie dawnych Prus Wschodnich. Może „wypędzeni” zorganizowali kiedyś jakąś wycieczkę w tamte strony i na ich serwerze po prostu zachowała się relacja z jej przebiegu. Wyjaśnienie oczywiście może być inne, ale równie prawdopodobne.

Pogadali jeszcze kilka minut, upewniając się nawzajem w tym, że koncepcja zmiany nazwiska przez Wojciecha Rytela na „Adalbert von Delitz” jest w pełni uzasadniona, po czym Vesely udał się trzeci raz do gabinetu, by zasiąść przed komputerem.

Było kilka minut po drugiej w nocy, kiedy Zygmunt wszedł do sypialni Macieja. Przybliżył się do łóżka i potrząsnął ramieniem śpiącego. Gdy ten otworzył oczy, powiedział zdecydowanym szeptem:

– Chyba go mam!

– Kogo? Świętego? – Odpowiedź świadczyła, że profesor się jeszcze nie rozbudził.

– Nielegała! – Bratanek prawie krzyknął krewnemu nad uchem.

Gdy stryj uświadomił sobie doniosłość wiadomości, wyskoczył z łóżka i nie patrząc na podkomisarza, pognął do gabinetu. Vesely wyświetlił na monitorze jakąś niewielką notkę prasową opatrzoną klauzulą „Münchner Lokalnachrichten Archiv”<sup>45</sup>). Napisana była po niemiecku.

---

45) Monachijskie Archiwum Informacji Lokalnych.

– Jak to odnalazłem, to tak się ucieszyłem, że nawet nie przetłumaczyłem tekstu, tylko od razu pobiegłem po ciebie, więc nie wiem, o co chodzi – powiedział policjant.

Profesor znał niemiecki. Przetłumaczył:

Wczoraj, 3 października 1993 roku, z okazji Narodowego Święta Zjednoczenia Niemiec, Nadburmistrz Georg Witter wręczył odznaczenia obywatelom Bawarii zasłużonym na polu działalności społecznej, politycznej oraz gospodarczej. Złoty Bawarski Medal Konstytucyjny<sup>46)</sup> otrzymali: Hermann Bischofsmeyer i Agathe Falke, srebrny Bawarski Medal Konstytucyjny otrzymali: Wilhem Abenteuer, Fritz Baumann, Adalbert Delitz...

---

46) Bayerische Verfassungsmedaille – Bawarski Medal Konstytucyjny, odznaczenie wręczane osobom, które wniosły szczególny wkład we wdrażanie zasad konstytucji Bawarii.

W pokoju zaległa cisza. Słychać było tylko ich oddechy.

– Być może go znalazłeś – wyszeptał stryj.

– Niepokoi cię brak „von” przed nazwiskiem? – Zygmunt spytał z troską w głosie.

– Tak, ale można przyjąć, że z jakichś względów nasz bohater zrezygnował z używania szlacheckiego wyróżnika. Jak udało ci się wygrzebać tę notatkę?

– Przeszukiwałem niemiecki Internet, lecz bez powodzenia. Potem zacząłem postępować tak jak poprzedniej nocy, czyli otwierałem portale informacyjne dużych niemieckich miast i w ich wyszukiwarkach wpisywałem „Adalbert von Delitz”. Na stronie internetowej poświęconej Monachium wyskoczył mi link do jakiegoś archiwum. Okazało się, że dostęp jest płatny. Byłem już tak zdesperowany, że użyłem swojej karty kredytowej i zapłaciłem.

– I udało się. – Maciej się uśmiechnął.

– Udało się jak cholera – powtórzył tryumfalnie Vesely.

– Podsumujmy zatem, co mamy. – Stryj podszedł do sukcesu racjonalnie. – Wiemy, że jakiś Adalbert Delitz mieszkał w dziewięćdziesiątym trzecim roku w Monachium i należał do tamtejszego establishmentu. To wszystko. Teraz trzeba ustalić, czy to nasz Wojciech Rytel, czyli czy facet ma siedemdziesiąt cztery lata, czy w ogóle żyje i czy nadal mieszka w tym mieście.

– Masz może pomysł, jak to zrobić?

– Nie mam i chyba teraz nic nie wymyślimy. Proponuję pójść spać i jutro zastanowić się, co będziemy robić dalej – zaordynował profesor.

Chociaż podkomisarz prawie nie spał, a stryj zarwał noc, to zagadka, z którą się zmagali, wyciągnęła ich z łóżek dość wcześnie jak na niedzielę, bo tuż po siódmej. Przy śniadaniu delibrowali, jak rozwiązać kolejny problem, jaki się przed nimi ujawnił, lecz nie byli w stanie wpaść na żaden sensowny pomysł. W końcu stryj oświadczył:

– Nie ma co filozofować, trzeba uruchomić naukowe kontakty.

Powiedziawszy to, podreptał do gabinetu, z którego przyniósł klaser z wizytówkami. Kiedy kładł go na stole, Zygmunt przypomniał sobie podobny, jaki oglądał w mieszkaniu Mariana Strypuli w dniu jego śmierci. Profesor rozpoczął lustrację personaliów, nazw instytucji, adresów. Kilka minut później, trzymając dwoma palcami niewielki kartonik, powiedział:

– Mamy odpowiedniego człowieka. To poważny naukowiec, politolog jak ja, pracuje na Uniwersytecie Ludwika i Maksymiliana w Monachium. Jakiś czas temu był w Katowicach na konferencji, więc może będzie mnie pamiętał. Zaraz napiszę do niego maila, przypomnę się i poproszę o przysługę.

– Ale jak umotywujesz zainteresowanie Delitzem? – Vesely przypomniał sobie o konieczności legendowania działań.

Maciej zamyślił się. Bratanek najwyraźniej zabił mu ćwieka. Dyskutowali o tym intensywnie przez dłuższy czas. W końcu stryj rzekł:

– Napiszę, że z prośbą o zdobycie informacji o Delitzu zwrócił się do mnie jakiś doktorant piszący pracę o Bawarii.

– A znasz kogoś takiego, jak padnie pytanie o nazwisko?

– Widzę, że myślisz już jak prawdziwy szpieg. – Profesor uniósł głowę w geście udawanego podziwu.

– Gordon nauczył mnie paru rzeczy – odparł skromnie Zygmunt, po czym wrócił do meritum: – Zastanów się nad nazwiskiem.

Maciej intensywnie przeszukiwał swoją pamięć, co zaowocowało pozytywnym rezultatem.

– Jest taki jeden, który, co prawda, nie pisze dysertacji na temat Bawarii, ale bada współczesne relacje pomiędzy landami a rządem federalnym. To chyba powinno wystarczyć?

Podkomisarz skwitował to szerokim uśmiechem.

Resztę dnia spędzili na rozprawianiu o całej historii, która była ich udziałem. Nie przeszkodziło to im udać się na spacer po mieście, podczas którego stryj zaprosił bratanka na niedzielny obiad do restauracji. Syci, zadowoleni z życia, zmęczeni przechadzką powrócili do mieszkania późnym popołudniem. Zygmunt musiał zbierać się w drogę do Krakowa.

Maciej zaraz po powrocie siadł do komputera, by sprawdzić pocztę. Po chwili z gabinecziku dało się słyszeć okrzyk:

– Mamy odpowiedź!

Vesely rzucił wszystko i wręcz pobiegł do pokoiku. Profesor zaczął tłumaczyć najważniejszy fragment maila od niemieckiego naukowca.

Adalbert Delitz to były działacz polityczny i społeczny lokalnego formatu. Informacje o nim zaczerpnąłem z leksykonu biograficznego „Who is who in Bayern”. Urodził się w 1945 roku w rodzinie o szlacheckim rodowodzie, jest synem poległego w czasie wojny oficera Wehrmachtu. Działalność społeczną rozpoczął w Landsmannschaft Ostpreußen<sup>47</sup>), a następnie kontynuował ją w CSU. W polityce nie odniósł spektakularnych sukcesów. Jego najważniejszym osiągnięciem była nominacja na członka zespołu doradczego jednego z wiceprzewodniczących partii. Na początku lat dziewięćdziesiątych wycofał się z życia partyjnego i społecznego, poświęcając się przede wszystkim działalności biznesowej. Jest współwłaścicielem firmy Import – Export Enterprise GmbH. W 2017 roku znowu zaistniał w monachijskim środowisku CSU za sprawą swojego syna, Uwe Delitza, który po ostatnich wyborach do Bundestagu objął funkcję doradcy kanclerza Niemiec do spraw międzynarodowych.

---

47) Landsmannschaft Ostpreußen – ziomkostwo wschodniopruskie, organizacja zrzeszająca Niemców (oraz ich potomków) wypędzonych podczas II wojny światowej oraz po jej zakończeniu z Prus Wschodnich (obecne terytorium województwa warmińsko-mazurskiego, obwodu kaliningradzkiego i okręgu Kłajpedy).

– To nasz nielegał! – Zygmunt jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran komputera.

– Tak! – Stryj z emocji miał ściśnięte gardło. – Z tego, co napisał mój znajomy, można wywnioskować, że miał duże możliwości prowadzenia działalności wywiadowczej. Nie zajmował eksponowanych stanowisk, ale miał prawdopodobnie dostęp do kluczowych postaci CSU, a tym samym ówczesnej elity politycznej Niemiec.

– Z listu wynika, że na pewno żyje i nadal mieszka w Monachium – skonstatował podkomisarz.

– Z listu wynika coś o wiele istotniejszego! – Profesor spojrzął z ukosa na bratanka.

– Chodzi ci o jego syna?

– Tak! Jestem w stu procentach przekonany, że cała gra, włączając w to wykradnięcie teczki legalizacyjnej z archiwum Agencji Wywiadu, toczy się właśnie o Uwe Delitza.

Maciej wstukał nazwisko doradcy kanclerza w internetową wyszukiwarkę. Pierwszy link, jaki się wyświetlił, prowadził do niemieckiej Wikipedii. Profesor studiował przez chwilę znajdujące się tam informacje, po czym powiedział:

– Uwe Delitz to doktor nauk prawnych, pracownik naukowy Wydziału Prawa Uniwersytetu Poczdamskiego. Od dwa tysiące siedemnastego roku pełni funkcję doradcy kanclerza federalnego do spraw międzynarodowych, piastując w Urzędzie Kanclerskim stanowisko kierownika wydziału do spraw polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i rozwoju. Zygmunt, czy ty zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?!

– Domyślam się – odrzekł poważnym głosem podkomisarz. – Muszę jak najszybciej powiadomić o naszym odkryciu pułkownika Gordona.

– Nie możesz mu wszystkiego powiedzieć – zareagował Maciej. – Prawdopodobnie ujawniłbyś mój udział w całej sprawie, a to byłby dowód na to, że złamałeś zobowiązanie do zachowania twoich związków z wywiadem w tajemnicy.

– Ale chyba nie masz wątpliwości, że Agencja powinna o tym wiedzieć?!

Profesor zamyślił się, szukał właściwego rozwiązania. Po chwili powiedział:

– Opowiesz temu pułkownikowi, jak to z czystej ciekawości prowadziłeś poszukiwania Rytela w Internecie. Opiszesz, w oparciu o jakie przesłanki doszedłeś

do wniosku, że nielegal mógł przyjąć imię i nazwisko swojego niemieckiego ojca. Wykorzystasz wszystko to, czego wspólnie doświadczyliśmy, włączając w to historyjkę ze Świętym Adalbertem. Na koniec wręczysz mu kopię odnalezioną przez siebie notatki prasowej informującej, że niejaki Adalbert Delitz został w dziewięćdziesiątym trzecim roku odznaczony bawarskim medalem. Zasugerujesz, że Agencja powinna sprawdzić, czy to nie jest poszukiwany przez nią człowiek. To wszystko.

– A jeśli nie dojdą do Uwe Delitza? – zaniepokoił się policjant.

– Nie martw się. Na pewno dojdą. – Przekonanie, z jakim stryj Maciej wypowiedział to zdanie, uspokoiło Zygmunta. ■

## RETROSPEKCJA IV. SPLIT, JUGOSŁAWIA, LATO 1975 ROKU

Bjorn sprawdzał się już drugą godzinę, spacerując wolnym krokiem po uliczkach historycznego miasta. Z mapą w ręku oraz aparatem fotograficznym przewieszonym na szyi odgrywał rolę wakacyjnego turysty. Pokręcił się trochę po obszarze, na którym rozpościerał się ogromny pałac cesarza Dioklecjana, i okrążając katedrę Świętego Dujma, udał się w kierunku nadbrzeżnego deptaka. Przy świątyni wykonał ostatni manewr starannie zaplanowanej trasy, który, tak jak poprzednie, potwierdził, że nie jest inwigilowany. Szedł na spotkanie z kapitanem Nowaczykiem. Był niezmiernie podekscytowany, gdyż miał to być pierwszy bezpośredni kontakt z oficerem centrali od czasu przerzutu do Niemiec Zachodnich.

Od trzech i pół roku mieszkał w Monachium. Na myśl o tym, jak jego życie diametralnie się zmieniło, uśmiechnął się pod nosem. Miał świadomość, że ze skromnego polskiego młodzieńca przeistoczył się w zamożnego niemieckiego mężczyznę. Przyglądając się otaczającym go obywatelom socjalistycznej Jugosławii, przypominał sobie, jak porównywał się w Weimarze do Friedricha i Renate, dostrzegając wtedy materialną przepaść, jaka go od nich dzieliła. Teraz on był tym „bogatszym” i sprawiało mu to prawdziwą przyjemność. Nie ganił się za taką postawę, gdyż uważał, że jako wychowanek polskiego domu dziecka, wystarczająco doświadczony biedą, miał do niej prawo. Pierwsze miesiące, jakie spędził w kapitalistycznych Niemczech, były okresem przywykania do innego stylu i poziomu życia, który wręcz go przytłoczył. Zasobna Bawaria tak bardzo różniła się od miejsc, w jakich przyszło mu spędzić dzieciństwo i wczesną młodość, że Polska, chcąc nie chcąc, wydawała mu się prowincjonalnym, jakby pozbawionym wyrazu krajem. Sam nie wiedział dlaczego, ale wspomnienia nasączone były szarością. Nie oznaczało to jednak, że wyzuł się z patriotycznych uczuć. Tajną misję, z jaką go wysłano na Zachód, traktował ideowo. Żył w przekonaniu, że realizuje wielkie, ważne zadanie, funkcjonował w autentycznym oddaniu i wierności Służbie. Co jakiś czas doznawał napadów wielkiej tęsknoty, które

przeplatały się z przejawami głębokiego osamotnienia. Tych stanów bał się najbardziej. Początkowo próbował je tłumić alkoholem, ale przestraszył się, że wpadnie w nałóg, więc oddał się uprawianiu sportu. Systematycznie biegał i grał w tenisa. Okazało się to skuteczniejszym lekarstwem.

Odgonił od siebie wszystkie myśli, by skupić się na wykonywanym zadaniu. Wszedł właśnie na nadbrzeżny deptak. Było tu mnóstwo kafejek i restauracji. Kapitan Nowaczyk powinien był siedzieć w jednym z kawiarnianych ogródków. Zrobił jeszcze kilkadziesiąt kroków i zauważył go. Nawiązali kontakt wzrokowy. Wymienili znaki bezpieczeństwa: oficer centrali nałożył okulary przeciwsłoneczne, zaś Bjorn ujął w dłonie aparat fotograficzny i wykonał kilka zdjęć nabrzeża. Obserwował, jak kapitan wstaje z krzesła i wychodzi z kafejki. Poszedł wolno za nim.

Nowaczyk kroczył jakby od niechcienia. Opuścił deptak i zagłębił się w labirynt wąskich uliczek Starego Miasta. Po kilku minutach wszedł do dużego, zabytkowego budynku, w którym, jak się później okazało, mieścił się hotel dla dewizowych gości. Bjorn uczynił to samo. W środku zobaczył, że kapitan stoi przy windzie. Podszedł do niego. Nie odezwali się jednak do siebie, udawali, że się nie znają. Gdy dojechali na właściwe piętro, milcząc, udali się do pokoju.

W środku, na powitanie, padli sobie w ramiona. Obaj byli bardzo wzruszeni. Mignęły im przed oczami obrazy z okresu szkoleniowego, kiedy to spędzali ze sobą mnóstwo czasu. Pierwszy odezwał się Nowaczyk:

– A więc udało się. Jesteś Niemcem.

– Tak jest, obywatelu kapitanie, jestem Niemcem. – Bjorn pokiwał głową i uśmiechnął się smutno, gdyż pod wpływem chwili ożyły w nim wspomnienia z kraju, co spowodowało, że tęsknota chwyciła go niczym szczypcami za serce.

Przełożony zauważył to. Domyślał się, co przeżywa jego człowiek. Wiedział także, że jeśli ten pod wpływem emocji zacznie się żalić, będzie to znak, że rozłąka z ojczyzną jest problemem, który może zagrozić misji. Nic takiego jednak nie nastąpiło. By zerwać z sentymentami, pochwalił się:

– W siedemdziesiątym drugim awansowałem na majora.

– Gratuluję, szczerze gratuluję! – Podwładny uściśnął rękę oficera centrali. – Będziemy musieli to jakoś uczcić.



– Niestety, nie mamy na to czasu. Jest mnóstwo spraw do omówienia, ale zanim do tego przystąpimy, oddaj mi wszystko, co dla mnie przywiozłeś. W razie jakiejś awantury nie możesz mieć przy sobie niczego kompromitującego.

Bjorn wyjął z kieszeni rolkę małoobrazkowego filmu fotograficznego i wręczył przełożonemu.

– Jak zakamuflowałeś materiał na czas przekraczania granic?

– Był w moim aparacie jako nienaświetlona klisza przygotowana do robienia zdjęć.

– Znakomicie. Teraz słuchaj. Oficjalnie nazywam się Willy Lammsch. W razie gdyby ktoś pytał, to jesteście znajomymi z Wiednia. Poznaliśmy się tam na targach handlowych, na których byłeś w tamtym roku. Tutaj spotkaliśmy się przypadkiem, a ja zaprosiłem cię na butelkę wina do swojego pokoju. A teraz opowiedz o realizacji swojej trasy sprawdzeniowej. Musimy być pewni, że naprawdę jest bezpiecznie.

Bjorn szczegółowo zrelacjonował swoją marszrutę, co upewniło oficera centrali, że wszystko jest w porządku. Jego podopieczny wykonał to zadanie należycie. Bjorn zadał także pytanie, które świadczyło, że pomimo niewielkiego doświadczenia operacyjnego jest przenikliwy:

– A czy to pomieszczenie jest w porządku? Zdaje się, że to hotel dla turystów z państw kapitalistycznych. Nie obawiasz się, że jugosłowiańskie służby mogą tu mieć podsłuch?

– Możesz być spokojny. Zanim jednak to uzasadnię, muszę ci przekazać decyzję naczelnika naszego wydziału – oświadczył major.

– Stało się coś? – Bjorn zaniepokoił się.

– Nic się nie stało. Pułkownik Wilczak polecił zapoznać cię z jeszcze jednym oficerem centrali. Przyjechał tu ze mną. Chodzi o to, żebyś miał alternatywną osobę do kontaktu, w przypadku gdybym ja nie mógł się z tobą spotkać. Poza tym to także twój łącznik. Będzie obsługiwał tajny schowek. Mam nadzieję, że przygotowałeś odpowiednią lokalizację?

– Wszystko masz na filmie.

– Jeśli zajdzie potrzeba wykonania procedury bezpiecznego przekazania materiałów, to także on będzie twoim partnerem.

– W takim razie nie ma na co czekać, przyprowadź go!

Kilka minut później Nowaczyk wszedł do pokoju w towarzystwie mężczyzny w podobnym do Bjorna wieku.

– To porucznik Jan Lipski, moja prawa ręka. Ale teraz nosi nazwisko Kurt Faymann, też jest „handlowcem” – major krótko dopełnił prezentacji.

Wymienili uścisk rąk, patrząc na siebie z ogromną ciekawością.

– Porucznik jest od początku w twojej sprawie. Wie o tobie wszystko, to jemu zawdzięczasz niemiecką tożsamość – poinformował przełożony.

– Dziękuję panu – nielegalnie zwrócił się do „nowego”. – Zdaję sobie sprawę, ile miał pan roboty, przygotowując moją legendę, która jest naprawdę nie do podważenia.

– Proponuję, żebyśmy wszyscy mówili sobie po imieniu. – Nowaczyk chciał przełamać sztywną atmosferę. Wydobyl z szafy butelkę istrijskiej malvaziji, którą rozlał do niewielkich szklanek.

Kiedy wypili bruderszaft, przełożony rzekł:

– Miałem wytłumaczyć, dlaczego uważam, że w tym pokoju jest bezpiecznie. Otóż w hotelu mieszkają przeważnie Austriacy i jak już zapewne się domyślasz, my z Janem także jesteśmy posiadaczami austriackich paszportów. Obaj doskonale mówimy po niemiecku, więc wszystko jest wiarygodne. Przyjechaliśmy tu kilka dni temu i udajemy samotnych facetów na wakacjach. Za dnia szwendamy się po mieście albo leżymy na plaży, a wieczorami podrywamy młode dziewczuchy. Mieszkamy tu od kilku dni, więc mieliśmy także czas na dokładne sprawdzenie pokoju, w którym teraz siedzimy. Zrobiliśmy to przy użyciu urządzenia do wykrywania mikrofonów, które dostarczył nam kurier z naszej ambasady w Belgradzie. Tak więc możemy swobodnie rozmawiać.

– Widzę, że centrala włożyła w zorganizowanie spotkania ze mną wiele wysiłku – z uznaniem rzekł Bjorn.

– Opowiedziałem ci o tym, żebyś wiedział, iż twoje bezpieczeństwo jest dla nas najważniejsze – dodał major.

– My dzisiaj także wykonaliśmy trasy sprawdzeniowe – Lipski odezwał się po raz pierwszy. – Przeprowadziliśmy manewry, które zapewniły nam dwukrotnie wzajemną kontrobservację – pochwalił się.

– Skoro mamy komfortowe warunki do przeprowadzenia spotkania, to bierzmy się do roboty – nakazał Nowaczyk. – Przypominam, że nie mamy zbyt dużo czasu. Pytanie pierwsze – popatrzył na nielegała – pod jaką legendą przyjechałeś do Splitu?

– Jestem z rodziną na wakacjach.

– Przyjechałeś z Delitzami?! – Dla wysłanników centrali było to kompletne zaskoczenie.

– Z żoną i dzieckiem – zakomunikował Bjorn.

W pokoju zapadła krępująca cisza. Major poczerwieniał. Jego wzburzenie było tak silne, że wręcz zasyczał:

– Ale przecież nie otrzymałeś od nas formalnej zgody na zawarcie związku małżeńskiego!

– To bez znaczenia. Musiałem się ożenić. Nie poinformowałem o tym centrali, bo nie chciałem wprowadzać niepotrzebnego niepokoju. Bałem się również, że mnie odwołacie.

– Zrobiłeś dzieciaka przypadkowo? – Nowaczyk bardziej stwierdził fakt, niż zapytał.

– Zgadza się. Mam syna, na imię ma Uwe. To świetny chłopak.

Lipski podniósł szklankę z winem i rzekł:

– No to wypijmy zdrowie potomka! – Prostolinijność toastu rozładowała napięcie.

Gdy go spełnili, przełożony obu oficerów powrócił do problemu:

– Kim jest twoja wybranka?

– To Waltraud Moellinger. – Bjorn sięgnął po portfel i wyjął z niego fotografię małżonki.

– No, no... Bardzo ładna dziewczyna – ocenił major i przekazał zdjęcie porucznikowi, który wyraził swoje uznanie odpowiednią mimiką twarzy.

– Jest naprawdę wspaniała. – Nielegał czuł potrzebę usprawiedliwienia się. – Nie będę ukrywał, straciłem dla niej głowę.

– A kim ona jest, jeśli można wiedzieć? – zainteresował się Lipski.

– Ukończyła historię sztuki, pracuje w komercyjnej galerii współczesnego malarstwa.

– A jej rodzice? – dopytał Nowaczyk.

– Waltraud pochodzi z bardzo szanowanej w Monachium rodziny. Jej ojciec jest uznanym adwokatem i dość wpływowym członkiem CSU, zaś matka prowadzi dom i udziela się w organizacjach dobroczynnych.

– Ty to masz szczęście – roześmiał się major, gdyż oczami wyobraźni widział już swojego wychowanka w niemieckiej polityce. „Wybryk” z małżeństwem mógł okazać się w przyszłości strzałem w dziesiątkę. Coś mu jednak nie pasowało.

– Czy rodzice twojej żony nie mieli nic przeciwko temu, że ich córka wiąże się z emigrantem z Polski?

– Zapomniałeś, że jestem Niemcem – padła odpowiedź. – A do tego Waltraud Moellinger nie wychodziła za Wojciecha Rytela, tylko za Adalberta Delitza!

Nowaczyka zamurowało. Co prawda, zalecił swojemu podopiecznemu przed przerzutem, żeby dążył do zmiany nazwiska, ale szczerze mówiąc, wątpił, że zostanie to w ogóle kiedykolwiek zrealizowane.

– Jak udało ci się tego dokonać? – spytał cicho. – Jak zdobyłeś tak szybko zaufanie Delitzów?

– To w zasadzie zasługa mojej babci, Luise von Delitz. Najlepiej jednak będzie, jak opowiem wam o wszystkim, co się wydarzyło od momentu mojego przybycia do Monachium. Co prawda, zamieściłem odpowiedni raport na kliszy filmowej, ale chciałbym, żebyście to usłyszeli bezpośrednio ode mnie.

– Opowiadaj! – przyzwolił major bezwarunkowo.

Bjorn przez chwilę zastanawiał się, od czego zacząć. Myślami przeniósł się do pociągu, którym podróżował do RFN.

– Jak dojeżdżałem do Monachium, ogarnął mnie strach. Byłem przekonany, że Delitzowie od razu odkryją fakt, że jestem oszustem. Tak bardzo się bałem, że byłem o krok od podjęcia decyzji o natychmiastowym powrocie do Polski. Na dworcu odebrał mnie Friedrich i zawiózł do domu swoich rodziców, który znajduje się pod miastem. Lothar, brat „mojego ojca” Adalberta, zakomunikował mi, że muszę zostać przygotowany do spotkania z babcią. Domyśliłem się, że chcą mnie wybadać. Zaczęli już podczas pierwszej kolacji. Friedrich wyraził zdziwienie, że komunikuję się z nimi po niemiecku, chociaż rok wcześniej w Weimarze nie rozumiałem ani słowa. Tłumaczyłem, że odkrycie krewnych w Niemczech

zmobilizowało mnie do intensywnej nauki. Następnie Lothar, który podobnie jak ja ma wykształcenie techniczne, zaczął mnie wypytywać o szczegóły mojej pracy w Jeleniej Górze. Mieszkałem u nich prawie dwa tygodnie i codziennie musiałem im opowiadać o swoim życiu. Uznali mnie chyba za wiarygodnego, gdyż dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia Lothar oświadczył mi, że poznam babcię Luise podczas Wigilii. Chciano w ten sposób zrobić jej wielką niespodziankę. Dla mnie oznaczało to, że nikt jej w ogóle nie powiedział o tym, że jestem w Monachium. Postawili mi jednak warunek, którym było odbycie rozmowy z prawnikiem rodziny Delitzów. Okazał się nim zresztą mój przyszły teść. Następnego dnia zostałem zawieziony do kancelarii, w której oprócz adwokata Richarda Moellingera obecny był także znany mi z Weimaru tłumacz, Horst Gomolka.

– Podejrzewam, że chcieli cię w jakiś sposób sprawdzić – nie wytrzymał Nowaczyk.

– Nie zgadłeś – zaprzeczył Bjorn. – Chcieli mnie odwieść od pozostania w Niemczech. Kiedyś mi powiedziałaś, że największą barierą dla mojego przerwania mogą być sprawy finansowe, a mianowicie obawa członków rodziny Delitzów, że będą musieli podzielić się ze mną majątkiem.

– Zaproponowali ci forszę? – tym razem wtrącił się Lipski.

– Dokładnie tak było. Moellinger bez żadnych wstępów zaoferował mi pięćdziesiąt tysięcy marek za natychmiastowy wyjazd z Monachium. Stwierdził przy tym, że w Polsce to ogromne pieniądze, które mogą mi umożliwić...

– Jak zareagowałeś? – przerwał major.

– Oświadczyłem, że nie przyjechałem do Niemiec dla pieniędzy. Wygłosiłem kilka mocnych i wzruszających słów o tym, że najważniejsze dla mnie to poznać, a może nawet zyskać rodzinę, której nigdy w życiu nie miałem. Zapytałem retorycznie, a zarazem dramatycznie, czy wiedzą, jak to jest być od urodzenia samemu, bez matki, ojca, babci i dziadka? Udało się mi ich zawstydzić. Potem powiedziałem spokojnie, że rozumiem, iż moje pojawienie się może naruszyć dotychczasowe relacje finansowe w rodzinie, czym najwyraźniej zaskoczyłem adwokata. Na koniec zaś zapewniłem, że nie będę zgłaszać żadnych roszczeń majątkowych i mogę to potwierdzić na piśmie. Moellingera po prostu zatkało. Spytał, dlaczego tak chcę postąpić. Odpowiedziałem, że nie mam moralnego prawa

żądać pieniędzy, na które nie zapracowałem, a sam fakt, że jestem synem Adalberta von Delitza, nie ma nic do rzeczy.

– Tym chyba ich kupiłeś – stwierdził Lipski.

– Być może. Myślę jednak, że przyjęcie mnie w poczet członków rodziny zawdzięczam przede wszystkim Luise von Delitz, czyli mojej babci.

– Rozpoznała w tobie wnuka? – Major nie mógł się doczekać zakończenia.

– Po wizycie w kancelarii adwokackiej – kontynuował Bjorn – nikt nawet słowem nie podjął tematu mojego natychmiastowego powrotu do kraju. Zachowywano się tak, jakby nic się nie stało. Nadeszła wreszcie Wigilia. Razem z Friedrichem i Renate udałem się do miasta, gdyż uroczysta kolacja miała się odbyć w mieszkaniu babci. Wprowadzono mnie do wielkiego salonu. Byli tam wszyscy pozostali członkowie rodziny. Stali przy olbrzymim, pięknie nakrytym stole. Lothar podprowadził mnie do Luise von Delitz, drobnej, eleganckiej starszej pani, i przedstawił słowami: „Mamo, oto syn Barbary Rytel, którego tak bardzo chciałaś poznać”. A ona nie odezwała się ani słowem, za to zaczęła mi się uważnie przypatrywać. Wszyscy wokół chcieli usłyszeć, co powie, a ja po prostu czekałem na wyrok. Pamiętam, jak pod wpływem jej wzroku zacząłem cały drzeć, i to właściwie mi pomogło. Postanowiłem się wzruszyć, by zmusić się do płaczu. Patrząc cały czas w jej oblicze, wyobraziłem sobie, że jest naprawdę moją babcią, którą widzę po raz pierwszy w życiu. Wtedy poczułem, jak po moich policzkach zaczynają staczać się łzy. Ona zaś westchnęła i powiedziała cicho: „Masz takie same oczy jak twój ojciec”. Podeszła do mnie i się przytuliła, a ja z tego wszystkiego zacząłem ryczeć jak małe dziecko. Inni też się wzruszyli, niektórzy płakali. Zaraz potem zapanowała jakaś ogólna radość. Delitzowie podchodzili i witali się ze mną. Następnie wszyscy zmówili modlitwę i dziękowali Bogu za moje odnalezienie. Jednak dla babci Luise emocji było zbyt wiele. W trakcie dzielenia się opłatkiem zasłabła i trzeba było wezwać pogotowie.

– Ale wszystko z nią w porządku? – Lipski wyglądał na autentycznie zmartwionego.

– O tak. Szybko doszła do siebie. To bardzo silna kobieta. Polubiłem ją od razu, a teraz, patrząc z perspektywy ponad trzech lat, mogę nawet powiedzieć, że jest dla mnie prawdziwą babcią.

– Za dużo tych sentymentów, Bjorn – odezwał się z niesmakiem Nowaczyk.

– Nic na to nie poradzę, Stefan. – Nielegał miał poważny wyraz twarzy. – Powiedziałem szczerze, jak jest. Pamiętaj jednak, że dzisiaj możemy uznać mój przerzut do RFN za sukces przede wszystkim dzięki tej kobiecie. Gdyby nie wysłała listu do Polskiego Czerwonego Krzyża...

– No już dobrze, masz rację – rzekł polubownie przełożony.

– Bjorn, ale ty chyba nie masz takich oczu jak ten leutnant z Wehrmachtu? – Lipski przywoływał w myślach fotografię Adalberta von Delitza, jaką do Polski przesłała Luise.

– Pewnie, że nie – parsknął śmiechem Nowaczyk. – To była klasyczna autosugestia. Kobieta pod wpływem tęsknoty za nieżyjącym synem oraz głębokiego wzruszenia po prostu wmówiła sobie, że nasz człowiek to jej wnuk. To jednak teraz nieistotne. Posłuchajmy lepiej tego, co się działo dalej.

„Delitz” pokiwał głową, dając znak, że będzie kontynuował.

– Zamieszkałem w domu babci. Okazało się, że jest właścicielką całej kamienicy, w której znajdował się jej apartament. Tuż po Nowym Roku zorganizowano przyjęcie na moją cześć, na które zaproszono przyjaciół i bardzo bliskich znajomych rodziny. Wtedy oficjalnie przedstawiono mnie jako syna poległego na wojnie Adalberta. Przez następnych kilka tygodni poznawałem miasto, odwiedzałem krewnych, brałem udział w wydarzeniach towarzyskich, jednym słowem aklimatyzowałem się. W końcu miałem już dość takiej sytuacji, więc umówiłem się na rozmowę z Lotharem i poprosiłem go o pracę, sugerując, że nie mogę być na czyimś utrzymaniu. Ten zareagował pozytywnie, ale dał mi do zrozumienia, że ze względu na moje polskie pochodzenie oraz słabą jeszcze znajomość niemieckiego może mi zaoferować tylko posadę pracownika fizycznego. Zgodziłem się i zostałem pomocnikiem magazyniera w firmie Delitzów. O moim zatrudnieniu dowiedziała się oczywiście Luise i zrobiła Lotharowi awanturę o to, że, jej zdaniem, źle mnie potraktował. Wykorzystałem to i stanąłem w jego obronie. Wytłumaczyłem babci, że to dobry początek dla kogoś takiego jak ja. W ten sposób zyskałem przychylność stryja. Równolegle uczyłem się bardzo intensywnie niemieckiego. Po kilku miesiącach komunikowałem się już dość sprawnie w tym języku.

– Teraz zapewne mówisz już jak rodowity Niemiec? – spytał Lipski.

– Jeszcze nie, ale pracuję nad tym. Pobieram lekcje u uniwersyteckiego germanisty, chcę się pozbyć obcego akcentu.

– Podejrzewam, że nie pracujesz już w firmowym magazynie, skoro raportowałeś, że brałeś udział w targach handlowych w Wiedniu – major powrócił do zasadniczej opowieści podopiecznego.

– Dość szybko awansowałem – odparł Bjorn – a stało się to dzięki mojemu technicznemu wykształceniu. Otóż latem siedemdziesiątego drugiego roku firma sprowadziła z Włoch pokojowe wentylatory do schładzania powietrza i Lothar dogadał się z dużą siecią handlową, by ta je sprzedawała. W Niemczech panowały wtedy upały, więc wszyscy liczyli na złoty interes. Jednak klienci zaczęli zgłaszać awarie w urządzeniach. Było ich tak wiele, że dystrybutor zagroził zerwaniem umowy. Wysyłanie wentylatorów do naprawy u producenta miało się z celem, gdyż wszyscy mieli świadomość, że jak tylko lato się skończy, ludzie przestaną je kupować. Zainteresowała mnie ta sprawa. Zbadałem kilkanaście sztuk i doszedłem do wniosku, że w fabryce popełniono błąd przy montażu napędu wiatraka. Zgłosiłem to Lotharowi, deklarując jednocześnie, że jestem w stanie usunąć własnoręcznie usterkę we wszystkich urządzeniach. Uratowałem kontrakt, a stryj stworzył dla mnie stanowisko testera sprzętu mechanicznego. Do Wiednia zaś pojechałem już jako specjalista w zakresie serwisu produktowego.

– No to należą ci się gratulacje. – Nowaczyk był pod wrażeniem.

– Sprawa wentylatorów zaowocowała także czymś o wiele ważniejszym. Otóż babcia Luise podniosła temat nostryfikacji mojego dyplomu. Zleciła przeprowadzenie całej procedury adwokatowi rodziny, czyli Moellingerowi. Podczas wizyty w kancelarii poznałem jego córkę, Waltraud. Cholernie mi się spodobała. W przyływie szczerości powiedziałem o tym babci, która odpowiedziała mi wprost, że jeżeli chcę się o nią ubiegać, to muszę się nazywać Delitz i używać niemieckiej wersji imienia „Wojciech”. Od tamtej pory zaczęła się do mnie zwracać per „Adalbert” albo „Berti”. Rodzina była oczywiście nastawiona bardzo sceptycznie do tego pomysłu, ale Luise postawiła na swoim. To mnie ośmieliło i zaprosiłem córkę Moellingera na pierwszą randkę. Zaczęliśmy się spotykać.



– Dziewczyna zaszła w ciążę, wskutek czego wszystko nabrało przyspieszenia – stwierdził przełożony.

– Zgadza się. W lutym siedemdziesiątego trzeciego Waltraud powiedziała mi, że będziemy mieli dziecko. Strasznie się bała reakcji rodziców, którzy są praktykującymi, konserwatywnymi katolikami. Jednak ci podeszli do sprawy bardzo pragmatycznie, chcieli za wszelką cenę uniknąć skandalu. Moellinger odbył rozmowę na mój temat z Luise von Delitz. Nie wiem, co mu powiedziała, ale ostatecznie zgodził się na nasz związek i wykorzystał swoje wpływy, by przyspieszono nadanie mi niemieckiego obywatelstwa oraz w ekspresowym tempie przeprowadzono procedurę zmiany nazwiska. Ślub brałam już jako Adalbert Delitz.

– Zaraz, zaraz – przerwał opowieść Nowaczyk. – Czyżby w twoim nowym nazwisku nie było „von”?

– W praktyce rodzina Delitzów zrezygnowała z jego używania. Tylko babcia oficjalnie zawsze go stosuje. Jej dzieci, czyli Lothar i Sigrid, robią to sporadycznie. Natomiast wnuki podpisują nawet oficjalne dokumenty bez „von”.

– A dlaczego tak postępują? – zaciekawiał się Lipski.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie pytałem o to – padła odpowiedź. – To chyba podobne zjawisko do tego, jakie zachodzi w życiu religijnym: ludzie przestają chodzić do kościoła, chrzcić dzieci, innymi słowy, społeczeństwo ulega laicyzacji. Prawdopodobnie dawna niemiecka arystokracja deklasuje się. A może po prostu jest to wynikiem wzrostu zamożności ogółu obywateli RFN? Zanikają różnice społeczne i „von” nie jest już do niczego potrzebne, a czasami nawet przeszkadza.

– Tak, to możliwe – zgodził się major. – Nie zwracajmy sobie tym głowy, wróćmy do głównego wątku.

Bjorn kontynuował:

– Muszę wam także opowiedzieć o jednym ciekawym aspekcie mojego ożenku. Otóż przed ślubem powstał problem z udokumentowaniem mojej przynależności do Kościoła katolickiego. Zgodnie z legendą trzymałem się wersji, że na pewno zostałem ochrzczony w Krakowie. Tutaj posłużyłem się historyjką o pielęgniarce, która przewiozła mnie jako niemowlę do Warszawy i kilkanaście lat później opowiedziała mi, że zgodnie z wolą mojej matki imię „Wojciech”, jakie otrzymałem na chrzcie, było po ojcu. Poinformowałem także, że nie miałem

komunii świętej oraz bierzmowania, gdyż jako wychowanek domu dziecka nie uczestniczyłem w życiu religijnym. Wyobraźcie sobie, że mój przyszły teść, Moellinger, usłysawszy to, poprosił mnie o kopię odpisu aktu urodzenia. Oczywiście spełniłem jego żądanie. Trzy tygodnie później otrzymałem od niego świadectwo chrztu z parafii Świętego Stefana w Krakowie!!! Jak on, do cholery, tak szybko dotarł do księgi metrykalnej?! Możecie mi to wytłumaczyć?!

Nowaczyk z Lipskim popatrzyli na siebie niezmiernie poważnie.

– Moim zdaniem załatwił to po linii kościelnej – odpowiedział major. – Inaczej nie zdołałby tak szybko zdobyć takiego dokumentu. – Przełożony zamyślił się na chwilę i dodał: – To dla nas niezwykle cenna informacja. Potwierdza bowiem, że materialne zabezpieczenie legendy jest najważniejsze. Jak widać, nie ma rzeczy niemożliwych. Jednak fakt, że doszło do ślubu, świadczy tylko o tym, że zapisy w księgach zostały podrobione perfekcyjnie. To twoja zasługa, Janek! – Nowaczyk klepnął Lipskiego w ramię, co było wyrazem najwyższego uznania. Ten pokraśniał, ale nie tyle od pochwały, ile z wrażenia, jakie wywarła na nim opowieść nieległa.

– Nie przypuszczałem, że ktoś w ogóle kiedykolwiek zajrzy do tych ksiąg. A tu taki numer... Trzeba jednak zmodyfikować dozór nad księgami. Powinniśmy byli dostać informację o wystawieniu świadectwa urodzenia – podsumował porucznik.

– Zajmiesz się tym zaraz po powrocie do Polski – powiedział Nowaczyk, po czym zwrócił się do Bjorna: – Nie będziesz miał mi chyba za złe, jeśli powiem, że powinienes wykorzystać swoje relacje z Moellingerem, by zaangażować się w działalność społeczno-polityczną.

– Doskonale pamiętam wytyczne i zadania, jakie centrala określiła przed moim przerzutem.

– Musimy oczywiście zdawać sobie sprawę, że pierwszych efektów należy oczekiwać dopiero za kilka lat, ale żeby się pojawiły, trzeba pewne kroki podjąć już teraz. Myślę, że mógłbyś zacząć od wstąpienia do organizacji wypędzonych. Rodzina Delitzów aktywnie udziela się przecież w Landsmannschaft Ostpreußen – powiedział major.

– Byłem na dwóch festynach tego ziomkostwa – rzekł nieległa. – Sądzę, że nie powinienem mieć trudności w uzyskaniu członkostwa. Muszę jedynie poczekać na

odpowiedni moment. Nie chcę, by ktokolwiek odniósł wrażenie, że pcham się na siłę do tej organizacji.

– To zrozumiałe. – W głosie majora wybrzmiała pełna akceptacja. – Porozmawiajmy teraz o tym, co jest na filmie, który mi przekazałeś.

– Zamieściłem na nim obszerny raport relacjonujący dokładnie wszystko, co zdarzyło się od momentu przybycia do Monachium. Są tam także charakterystyki osobowe członków rodziny Delitzów, a także innych ludzi, z którymi utrzymuję kontakty towarzyskie. Sporządziłem opis potencjalnych możliwości wywiadowczych, jakie generuje środowisko, w którym się obracam. Na filmie znajdziecie również marszruty po Monachium, jakie stworzyłem sobie do okresowego sprawdzania się, a także procedury bezpiecznego przekazywania materiałów wywiadowczych z trasami dojścia i odejścia oraz harmonogramami czasowymi wykonywania poszczególnych czynności. Jest także dokładny opis lokalizacji i obsługi tajnego schowka oraz znaków alarmowych i wywoławczych. Oczywiście wszystko jest udokumentowane fotograficznie.

– Cieszę się, że wykonałeś wszystkie zadania zleczone przed opuszczeniem kraju. – Nowaczyk był wyraźnie zadowolony. – Na pewno domyślasz się, że nasze dzisiejsze spotkanie kończy okres adaptacyjny po przerwaniu i zaczynamy normalną robotę. Dlatego powinniśmy przedyskutować system łączności pomiędzy tobą a centralą. Janek, jako twój łącznik, przedstawi teraz szczegóły. Potem będziemy je powtarzać tyle razy, aż wszystko ugruntuje się w twojej pamięci. To zresztą jest głównym celem naszego spotkania.

Lipski wstał i przechadzając się po pokoju, zaczął referować.

– Elementy łączności ustalone przed przerwaniem pozostają bez zmian. Przypomnę je dla porządku. Głównym kanałem przesyłu wiadomości od centrali do ciebie jest transmisja radiowa na wiadomym ci paśmie fal średnich. Audycja będzie nadawana w każdą drugą niedzielę miesiąca o dwudziestej trzeciej dwadzieścia. Termin rezerwowy to pierwsza środa następująca po przekazie zasadniczym. Godzina pozostaje bez zmian. Procedura przygotowania do deszyfracji jest następująca. W miesiącu parzystym należy grupować odebrane cyfry w szeregiach po cztery, w systemie: pierwsza – ostatnia, druga – druga od końca, trzecia – trzecia od końca, czwarta – czwarta od końca. Następnie: piąta – piąta od końca, szósta –

szósta od końca... i tak dalej. W miesiącach nieparzystych trzeba postąpić odwrotnie: ostatnia od końca – pierwsza, druga od końca – druga... i tak dalej. Po zakończeniu tej czynności można dopiero przystąpić do rozszyfrowywania depezy. Zmianie uległ sygnał wywoławczy. Teraz będą to trzy litery: MXL. Jeśli ich nie usłyszysz na początku audycji, nie musisz jej odbierać.

– Sygnał wywoławczy będzie zmieniany co kwartał – powiedział Nowaczyk. – Nowe otrzymasz w depezach radiowych. Poza tym w różne dni tygodnia, na tym samym paśmie, będą nadawane audycje maskujące. Układ cyfr w tych radiogramach będzie generowany przez komputer ODRA48), co zdaniem naszych specjalistów maksymalnie utrudni pracę kryptologom z wrogich nam kontrwywiadów.

---

48) Komputer produkowany w byłych Zakładach Elektronicznych ELWRO we Wrocławiu. Pierwszym seryjnie produkowanym komputerem (od 1964 roku) był model ODRA 1003.

– Musisz także pamiętać o ciągłym legendowaniu posługiwania się radiem o tak późnej godzinie – przypomniał porucznik.

– Często słucham polskich programów przed snem, więc nikogo nie powinno dziwić, że ślęcę przy odbiorniku. Używam przy tym słuchawek, żeby nie przeszkadzać innym domownikom. To dla wszystkich zrozumiałe, Niemcy dość skrupulatnie przestrzegają ciszy nocnej, która zaczyna się o dwudziestej drugiej.

– Znakomicie – ocenił major.

– Do tej pory jedynym kanałem przekazywania przez ciebie wiadomości do centrali była kartka pocztowa, którą przesyłałeś do Wiednia – kontynuował Lipski.

– Metody zakamuflowanego tekstu i mikrokropki zdały egzamin, więc dalej będziemy się nimi posługiwać. Jednakże do systemu łączności chcemy wprowadzić tajny schowek, który stworzyłeś. O jego lokalizacji będą wiedzieć tylko trzy osoby: ty, ja i major. Ja będę go obsługiwał. Gdzie on się w ogóle znajduje?

– Niedaleko miejsca mojego zamieszkania, na obszarze dość dużego skweru. Znalazłem tam drzewo z niewielkim pęknięciem, tworzącym coś w rodzaju wąskiej dziupli. Miejsce jest idealne, z łatwym dostępem, uniemożliwiające zarazem jego obserwację z dalszej odległości. Włożenie lub wyjęcie przesyłki, na przykład rolki filmu, to kwestia kilku sekund.

– A jaki masz powód przebywania w pobliżu schowka? – Dla Nowaczyka legenda była najważniejsza.

– Nie mówiłem wam tego jeszcze, ale regularnie uprawiam jogging – odparł nielegał. – Bardzo często robię to na wspomnianym skwerze, po prostu przebiegam obok dziupli. A jak mam przekazywać sygnał wypełnienia skrytki? – Dla Bjorna ta sprawa była priorytetowa.

– Są dwie możliwości – odrzekł porucznik. – Pierwsza to wykonanie telefonu konspiracyjnego pod numer, który ci dzisiaj przekazemy. To prosta czynność. Zadajesz jedynie pytanie, czy dodzwoniłeś się w konkretne miejsce, którego nazwa jest komunikatem dla mnie, następnie otrzymujesz odpowiedź, że to pomyłka, i po kłopotcie.

– Dokąd będę dzwonić?

– Do Wiednia, do mieszkania, na adres którego wysyłałeś kartki. Teraz drugi sposób. Gdyby z jakichś względów kanał telefoniczny nie funkcjonował, możesz wysłać telegram do Polski zawierający ustalony tekst. Ale to wiąże się z wysokim ryzykiem, gdyż na pocztowym blankiecie należy podać dane nadawcy. Wtedy będziesz musiał posłużyć się fałszywymi personaliami. W związku z tym wolno ci to zrobić jedynie w przypadku wyższej konieczności.

– Wytypowałeś miejsce pozostawienia znaku opróżnienia schowka? – Nowaczyk spytał Bjorna.

– Tak, szczególnie są na filmie.

– Omówcie teraz sygnalizację alarmową i wywołanie na nieplanowane spotkanie – nakazał major.

– Miejsce przekazywania znaku alarmowego oraz wywoławczego zlokalizowałem także na skwerze – zakomunikował nielegał. – Wykorzystałem do tego pewną ławkę, obok której przebiegam kilka razy w tygodniu. Ławka posiada drewniane, ażurowe siedzisko umocowane na dwóch betonowych filarach. Znak należy wykonać z plasteliny i umieścić na którymś z nich, najlepiej tuż przy gruncie. Kolor zielony oznacza wywołanie na spotkanie, kolor niebieski alarm. W pierwszym przypadku widzimy się w następnym tygodniu w poniedziałek między godziną dziewiętnastą i dwudziestą w piwiarni Hofbräuhaus, w sali na parterze. Tam zawsze jest mnóstwo turystów, więc można w sposób niezauważony

nawiązać kontakt i porozmawiać. Mój stryj Lothar przyprowadza tam często swoich kontrahentów, więc nawet jeśli ktoś mnie zobaczy, to będę mógł się łatwo wytłumaczyć.

– A miejsce rezerwowe? – spytał Lipski.

– Czterdzieści osiem godzin później, kawiarnia Dolce Vita w centrum handlowym Olimpia. A jakie są wytyczne na wypadek alarmu?

– Zamrażamy kontakty – odpowiedział major. – Oczywiście nie zmieniasz sposobu życia, wszystko ma się toczyć tak jak zwykle. Bezwzględnie przerywasz wykonywanie jakichkolwiek zadań. Musisz także wnikliwie, ale zarazem niezmiernie ostrożnie obserwować, co się wokół ciebie dzieje. Czekasz, aż się odezwiemy. Chcemy jednak wiedzieć, że jesteś bezpieczny i nie działasz pod przymusem. Takim sygnałem będzie twoje pojawienie się raz w miesiącu w ściśle określonym miejscu o konkretnej godzinie.

– Gdzie to ma być?

– Ty to musisz określić. Lokalizacja i termin powinny wynikać naturalnie z twojej codziennej aktywności i przyzwyczajzeń.

Bjorn zamyślił się głęboko. Szukał rozwiązania. W końcu uśmiechnął się i powiedział:

– Z pracy wychodzę między siedemnastą a osiemnastą. Zawsze mam przy sobie skórzany neseser. Umówmy się, że jeśli będę bezpieczny, to w każdy ostatni poniedziałek miesiąca dokładnie o siedemnastej piętnaście pojawię się w wyjściu z firmy i tak jak zwykle pójdę do samochodu. Jeśli będę działał pod przymusem, to także pojawię się o tej samej godzinie, jednak nie pójdę na parking, tylko w widoczny sposób otworzę neseser, sprawdzę coś w nim i wrócę do pracy. Będzie to wyglądało tak, jakbym czegoś zapomniał. Specjalnie zresztą nie zapakuję jakiejś rzeczy do torby, żeby wszystko się odbyło wiarygodnie.

– W porządku. – Lipski w geście akceptacji kiwnął głową. – Ale dlaczego chcesz, by to był znowu poniedziałek?

– Bo to jest dzień, kiedy nie wyjeżdżamy do kontrahentów. Jednak gdyby coś uniemożliwiło mi przekazanie sygnału, to termin zapasowy proponuję ustalić na najbliższy czwartek następujący zaraz po poniedziałku.

– Zgoda – odrzekł porucznik. – Teraz formy wywoływania nas na nieplanowane spotkanie. Będziesz to mógł zrobić na trzy sposoby: jak dotychczas poprzez przesłanie zakamuflowanego tekstu na kartce pocztowej oraz szybszymi metodami, takimi samymi jak w przypadku informowania nas o wypełnieniu tajnej skrytki. Jednak wykonując telefon do Wiednia, nie będziesz pytał o miejsce, do którego się dodzwoniłeś, a poprosisz do telefonu Willy’ego Lammscha. Otrzymasz odpowiedź, że to pomyłka, i będzie to oznaczało, że wezwanie zostanie przekazane do Warszawy. Jeśli zaś chodzi o telegram, to umieścisz w nim inny tekst niż w przypadku informowania o pozostawieniu przesyłki w schowku. Potwierdzenie przyjęcia wezwania i czas spotkania otrzymasz w depeszy radiowej. Miejscem będzie piwiarnia, jaką zaproponowałeś wcześniej. Jeśli chodzi o sposób zaalarmowania nas, że pojawiło się zagrożenie i podjąłeś decyzję o zamrożeniu działań, to możesz to zrobić tylko w jeden sposób: dzwoniąc konspiracyjnie do polskiego Biura Radcy Handlowego w RFN, pod numer, jaki od nas otrzymasz. Do mężczyzny, który odbierze telefon, powiesz po polsku następujący tekst: „Jestem znajomym pana magistra Leona Pogorzelskiego. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy pan magister ponownie przyjedzie do Niemiec”. Otrzymasz odpowiedź: „Przykro mi, ale nie udzielamy takich informacji przez telefon”. Będzie to oznaczać, że sygnał został przyjęty. Musisz jednak na czas tej rozmowy zmienić modulację głosu, a do słuchawki przyłożyć jakiś materiał, najlepiej grubą chusteczkę. Musimy bowiem zakładać, że Niemcy nagrywają wszystkie połączenia z polskimi placówkami.

– To dość ryzykowne – zauważył Bjorn.

– Ale z naszego punktu widzenia to najszybszy sposób powiadomienia nas, że jesteś w niebezpieczeństwie – odrzekł major. – Jeśli będziesz przestrzegać zasad wykonywania telefonu konspiracyjnego, nie powinno to mieć żadnych negatywnych konsekwencji. Osobiście jednak uważam, że nigdy nie będziesz musiał dzwonić do BRH. Pamiętaj, że nie wolno ci używać kanału wiedeńskiego oraz wysyłać telegramu do Polski w celu ogłoszenia alarmu! Masz jakieś pytania?

Nielegał pokręcił głową, że nie. Wszystko było zrozumiałe.

– W takim razie musisz powtórzyć kilka razy na głos wszystkie elementy systemu łączności, aż upewnimy się, że zapamiętałeś go dokładnie. – Nowaczyk

wyprostował się odprężająco na krześle. Najważniejsza część spotkania była za nimi.

Godzinę później Adalbert Delitz pożegnał swoich towarzyszy i udał się do hotelu, gdzie oczekiwała go małżonka z synkiem. Następne spotkanie miało się odbyć za czternaście miesięcy w Wiedniu. Nielegał miał przez ten czas stworzyć okoliczności uzasadniające jego przyszłe podróże do tego miasta. ■



Wczoraj generał Krzysztof Szczęsny spanikował. Przyczyną był raport, jaki otrzymał z rezydentury w Berlinie, który spłynął do jego gabinetu pod koniec roboczego dnia. Szef Agencji Wywiadu został w pracy aż do wieczora i zastanawiał się, jak powinien interpretować rewelacje zawarte w dokumencie. Dość późno wrócił do swojego podwarszawskiego domu, ale nawet rodzinna atmosfera, która na ogół dawała mu wytchnienie od obowiązków zawodowych, nie pomogła zapomnieć o doniesieniach ze stolicy Niemiec. Mało tego, nie pozwoliła mu zmrużyć oka ostatniej nocy. Generał siedział teraz niewyspany za swoim biurkiem, pił już drugą kawę tego ranka i oczekiwał na przybycie Lenta i Gordona.

Gdy tylko się pojawili, szef AW przemówił ciężkim głosem:

– Otrzymałem wczoraj informacje na temat Adalberta Delitza. Człowiek wskazany przez Veselego to nasz nielegal.

Doniosłość wiadomości sprawiła, że w powietrzu zawisła powaga, która jednak dość szybko zamieniała się w radość wyrażaną wykwitami uśmiechów na twarzach podwładnych generała.

– Temu policjantowi należałoby wręczyć medal – rzekł Gordon. – Gdyby nie on, to jeszcze byśmy się guzdrali z tą sprawą.

– Oznajmiłeś to tak, jakby cię ten fakt w ogóle nie ucieszył – Lent zwrócił się do przełożonego.

– Oczywiście, że mnie ucieszył – odrzekł Szczęsny. – Niestety, raport, jaki otrzymałem w tej sprawie z Berlina, zawiera także inną rewelację, która zupełnie zmienia sytuację, w jakiej się do tej pory znajdowaliśmy.

– O co konkretnie chodzi? – Oblicze zastępcy do spraw operacyjnych zmieniło wyraz. Oficer podskórnie wyczuł kłopoty.

– Szef rezydentury zlecił sprawdzenie tego Delitza oficerowi pracującemu pod przykryciem naszego konsulatu generalnego w Monachium, który wykorzystał w tym celu znajomą lokalną dziennikarkę. Ta zebrała między innymi następujące informacje: Delitz urodził się w czterdziestym piątym roku; jego ojciec był oficerem Wehrmachtu i poległ na wojnie; w latach osiemdziesiątych działał

aktywnie w lokalnych strukturach CSU; na początku lat dziewięćdziesiątych zrezygnował z polityki i do emerytury prowadził rodzinny biznes. I teraz uwaga! – Generał uniósł palec wskazujący do góry. – Jego syn, Uwe Delitz, pełni od dwa tysiące siedemnastego roku funkcję doradcy kanclerza Niemiec do spraw międzynarodowych.

Cisza, jaka zapadła w gabinecie, wręcz wwiercała się w uszy.

– Teraz rozumiem twój kiepski nastrój – pierwszy odezwał się Lent.

– Podejrzewam, że w twojej głowie pojawił się dokładnie taki sam wniosek, jak wczoraj po południu w mojej. – Szczęsny sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Czyli jaki? – Gordon jeszcze nie skojarzył faktów.

– W sprawie wyniesienia teczki legalizacyjnej z naszego archiwum prawdopodobnie nie chodzi o starego peerelowskiego nielegala, lecz o jego syna – odpowiedział generał.

– Czy ta monachijska dziennikarka to pewne źródło? – Gordon chciał ukryć fakt, iż nie wpadł od razu na to, jak ważką jest wiadomość o Uwe Delitzu.

– Raport zawiera jej krótką charakterystykę – odparł Szczęsny. – Wynika z niej, że jest niezłą znawczynią bawarskich elit. Nie ma zatem żadnych powodów, by jej nie ufać. Tak, moi panowie! Adalbert Delitz to Wojciech Rytel, a zawartość teczki najprawdopodobniej zostanie wykorzystana do werbunku jego syna. Materiał tam zgromadzony posiada tak wielki potencjał, że ten, kto nim dysponuje, jest w stanie zmusić doradcę kanclerza do współpracy. A my, psiakrew, nawet nie jesteśmy pewni tego, kto spenetrował nasze archiwum! – Złość wysączyła się z ust generała.

– Już jesteśmy – odezwał się Lent. – Przez te rewelacje z Berlina nie zdążyłem wam powiedzieć, że mam wyniki ekspertyzy dotyczącej nagrania uzyskanego z krakowskiego pogotowia gazowego.

– Rosjanie?! – Gordon nie wytrzymał.

– W rzeczy samej – potwierdził zastępca i wyjął z teczki zadrukowaną kartkę. – Zleciłem przeprowadzenie badania profesorowi uniwersyteckiemu, językoznawcy, który specjalizuje się w fonologii suprasegmentalnej<sup>49</sup>). Nie będę teraz tłumaczył, czym zajmuje się ta dyscyplina i jakimi metodami się posługuje, szkoda naszego czasu. Przejdę od razu do wyników, które odczytam. – Lent odszukał stosowny fragment tekstu:

---

49) Fonologia – nauka o systemach dźwiękowych języków. Fonologia suprasegmentalna – dział fonologii zajmujący się językowymi jednostkami wyższego rzędu: sylabą, wyrazem, frazą, tonem, akcentem, rytmem i intonacją.

„(...) Analiza nagranych głosu męskiego uprawnia do przyjęcia następujących wniosków:

– język polski nie jest językiem wyjściowym (rodzimym, pierwszym) mężczyzny;

– budowa zdań, fleksja, akcent, artykulacja, intonacja, modulacja oraz realizacja fonemów świadczą o tym, że mężczyzna funkcjonuje w środowisku polskojęzycznym od co najmniej 20 lat;

– należy z dużym prawdopodobieństwem, graniczącym z pewnością, przyjąć, że językiem wyjściowym (rodzimym, pierwszym) mężczyzny jest język rosyjski;

– wiek mężczyzny określa się orientacyjnie na 55 – 65 lat. (...)

– Szukając peerelowskiego nielegała w Niemczech, wyszliśmy na rosyjskiego w Polsce – zawyrokował wręcz sarkastycznie Szczęsny.

– Trzeba będzie ten materiał przekazać do kontrwywiadu ABW – powiedział Gordon.

– To oczywiste – fuknął generał. – Nie to jednak jest teraz najważniejsze. Musimy zastanowić się, co począć z faktem, że syn polskiego szpiega jest najbliższym współpracownikiem szefa niemieckiego państwa, a my de facto umożliwiliśmy jego werbunek przez Rosjan.

– Naprawdę sądzisz, że ruscy odważą się „stuknąć” doradcę samego kanclerza Niemiec? Przecież w przypadku niepowodzenia takiej operacji wybuchnie skandal na cały świat. Kreml może wtedy stracić zbyt wiele – zauważył Gordon.

– Każdy wywiad chciałby kogoś takiego zwerbować – odparł szef Agencji. – My też. Oczywiście jeśli byłoby nam wolno i mielibyśmy takie możliwości – dodał zarazem.

– Materiały z teczki dotyczą wyłącznie Adalberta Delitza. Syn przecież nie musi odpowiadać za grzechy ojca! – Naczelnik postanowił bronić swojej tezy.

– Nie bądź naiwny, Jurek! – do dyskusji włączył się Lent. – Jestem przekonany, że Rosjanie podejmą próbę werbunku. Posłużą się wizją wielkiej szpiegowskiej afery, która zniszczy karierę polityczną doradcy oraz wizerunek jego rodziny.

Najprawdopodobniej będą także manipulować groźbą wsadzenia starego ojca do więzienia, a może nawet jego likwidacji. Facet nie ma wyjścia, musi pójść na współpracę. Chyba że jest wyzuty z miłości do rodziny i samego siebie. Mamy w ogóle na jego temat jakieś informacje?

– Wczoraj poprosiłem departament informacyjny o szczegóły na temat jego działalności jako doradcy do spraw międzynarodowych – odparł szef AW. – Muszę przyznać, że niewiele otrzymałem, jednakże opracowanie naszych analityków zawiera trzy istotne spostrzeżenia. Po pierwsze, Uwe Delitz jest zwolennikiem utrzymania restrykcyjnego kursu wobec Rosji. W zasadzie to dzięki niemu kanclerz Niemiec nie przychyliła się do koncepcji resetu w stosunkach z Moskwą i dalej sprzyja stosowaniu sankcji za Krym, Donbas i ingerencję w procesy wyborcze na Zachodzie. Po drugie, syn naszego nielegała jest za sfinalizowaniem budowy Nord Stream 2, co uderza w polską politykę odnośnie do tego gazociągu. Po trzecie, doradza kanclerzowi prowadzenie stanowczej polityki wobec polskiego rządu w odwecie za łamanie praworządności oraz naruszanie ładu Unii Europejskiej. Musimy mieć także na względzie to, że młody Delitz ma wpływ na wszystkie inne sprawy, jak choćby politykę Niemiec w stosunku do Chin czy Stanów Zjednoczonych.

– Rosjanie muszą być cholernie zainteresowani kontrolowaniem doradcy kanclerza – ocenił Lent.

– Co do tego nie ma wątpliwości – zgodził się Szczęsny. – Jak sami widzicie, jesteśmy w zupełnie nowej sytuacji, która moim zdaniem jest o wiele poważniejsza niż ta do tej pory. – Generał uśmiechnął się kwaśno. – Pojawienie się w naszej grze Uwe Delitza każe definitywnie odrzucić hipotezę Veselego, jakoby to młody historyk, poprzez prowadzenie badań nad operacją Storch, sprowokował Rosjan do działania. Teraz uważam, że Kalenik oraz Strypula znaleźli się w całej tej sprawie zupełnie przypadkowo.

– W takim razie musiał to być niewiarygodnie gigantyczny przypadek – zareagował Gordon. – Szczerze mówiąc, nie wierzę w tak nieprawdopodobny splot okoliczności.

– Ależ nie musisz! – Szef AW popatrzył na naczelnika pobłaźliwie. – Według mnie rozwój wydarzeń, jakie miały do tej pory miejsce, jest łatwy do

zidentyfikowania, a przez to logiczny i spójny. Posłuchajcie mnie uważnie i nie przerywajcie.

Generał poprawił się w fotelu, po czym rozpoczął wywód:

– Dwa lata temu Uwe Deliltz został doradcą kanclerza do spraw międzynarodowych. Rosyjski wywiad standardowo przystąpił do zbierania informacji o nim. W toku tych prac ustalono, że ojcem doradcy jest niejaki Adalbert Delitz, były lokalny polityk CSU z Monachium. Zapewne Rosjanie postanowili sprawdzić, czy nie mają czegoś na jego temat w swoich bazach danych. A tu bum! Okazało się, że to stary polski nielegał, który został zdradzony radzieckiemu KGB przez oficera peerelowskiego wywiadu o nazwisku Regiewicz vel Lipski. Od razu powstało pytanie: czy można ten fakt wykorzystać? Panowie z Jasieniewa<sup>50)</sup> szybko doszli do wniosku, że można, a nawet trzeba, należało jedynie zdobyć materiały nacisku, które były w Warszawie. Zgłosili się więc do Regiewicza, który miał kiedyś bezpośredni dostęp do sprawy Atlas, mało tego, był w niej najlepiej zorientowany. Rosjanie zapewne ucieszyli się, jak się dowiedzieli, że ich były agent jest śmiertelnie chory, wiedzieli bowiem, że zrobi wszystko, by przedłużyć sobie życie. Znowu mieli cholerne szczęście, gdy okazało się, że dawny protegowany Regiewicza, Leszek Zilber, jest pracownikiem archiwum Agencji Wywiadu. Dogadali się z nim, co chyba nie było trudne. Posługując się wiedzą zdrajcy, Rosjanie wymyślili sposób, jak ominąć zabezpieczenia i ochronę w naszej Agencji, by zorganizować szmugiel odpowiednich materiałów. Już mieli przystąpić do dzieła, gdy Regiewicz zgłosił im, że w Krakowie pewien młody historyk, interesujący się operacją Storch, jest na tropie dawnego peerelowskiego nieległa. Zidentyfikowano to jako zagrożenie dla przyszłych działań w Niemczech. Na Kalenika i Strypułę wydano wyrok. Jak już wiemy, Rosjanie do realizacji zabójstw wykorzystali rezydującego w Polsce własnego nieległa. To był ich atut. W imię bezpieczeństwa postanowiono także zgładzić Regiewicza.

---

50) Dzielnica Moskwy, gdzie znajduje się siedziba Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej (SWR).

– Nie przewidzieli jednak, że w Krakowie będzie ktoś taki jak Vesely – uzupełnił Gordon.

– To też był „niewiarygodnie gigantyczny przypadek” – szef Agencji zacytował naczelnika. – Ale tym razem dla nas szczęśliwy – zakończył.

– Wszystko wydaje się logiczne i przez to wiarygodne – ocenił Lent.

– Pod warunkiem, że Regiewicz pracował dla KGB – zauważył szef wydziału kontrwywiadowczego. – Bez tego cała ta hipoteza rozsypuje się jak domek z kart.

– Już samo to, że klasyfikujemy hipotetyczną zdradę tego esbeka jako węzłowy element całej układanki, świadczy o bardzo wysokim prawdopodobieństwie naszych przypuszczeń – kontrargumentował zastępca do spraw operacyjnych.

– Radek ma rację. – Szczęsny wstał zza biurka i zaczął się przechadzać po gabinecie. – Proponuję jednak nie skupiać się w tej chwili na przeszłości, a spróbować przewidzieć, co może wydarzyć się w przyszłości.

– Na ile cię znam, to zapewne masz już jakąś wizję tego, czego możemy się spodziewać – zareagował Lent.

– Mam i chciałbym ją wam przedstawić.

Generał siadł ponownie w fotelu, spojrzał niezwykle poważnie na podwładnych i zaczął mówić:

– Moim zdaniem mamy dwie opcje rozwoju sytuacji. Pierwsza: Rosjanom udaje się zwerbować młodego Delitza. W takim przypadku oni sobie z nim pracują, a my mamy święty spokój. Druga, przeciwna: nie udaje się im tego zrobić, wobec czego wykorzystują uzyskane z naszego archiwum materiały, by wywołać międzynarodowy skandal z nami w roli głównej.

– Co to znaczy „z nami w roli głównej”? – Zastępca nie zrozumiał. Gordon zresztą też nie.

– To znaczy, że zawartość teczek legalizacyjnej może zostać upubliczniona z komentarzem, jak to Polska szpieguje swoich sojuszników z NATO i UE.

– Przecież sprawa zakończyła się prawie trzydzieści lat temu – zaoponował Lent.

– To wiemy tylko my – odparował szef Agencji. – Wyobraźcie sobie taki oto scenariusz. Rosjanie wywołują aferę. Żadni newsów dziennikarze rozdmuchują ją. Niemiecki kontrwywiad weryfikuje materiały z naszego archiwum. Uznaje je za autentyczne, gdyż takie są w rzeczywistości. Uderza to w Uwe Delitza i pośrednio w Urząd Kanclerski. Armia rosyjskich trolli i internetowych bootów oraz autorów

teorii spiskowych prowadzi kampanię, która podsycia sytuację. Fake szerzy się na wielką skalę, sensacja goni sensację. Rosjanie wzmagają atak dezinformacyjny, podrzucając dodatkowe materiały, tym razem przez siebie spreparowane. I wiecie, jaki będzie ostateczny, a zarazem najistotniejszy dla nas rezultat tych działań? – Szczęsny powiódł pytającym wzrokiem po swoich oficerach, którzy nie odezwali się, czekali na odpowiedź.

Po chwili ją usłyszeli:

– Wszyscy, jak tu jesteśmy, wylecimy z roboty i będziemy się cieszyć, jeśli unikniemy prokuratorskiego śledztwa – dokończył generał.

Na chwilę w gabinecie zaległo milczenie. Przerwał je Lent:

– Nie wydaje ci się, że ten scenariusz jest zbyt... – szukał słowa – ...fantastyczny? No bo jakież to rzeczywiste korzyści Rosjanie mogliby osiągnąć w sensie politycznym? Odpowiedź na to pytanie jest chyba najważniejsza?

– Szczerze mówiąc, nie obchodzą mnie skutki polityczne, najważniejsze jest dla mnie to, co może stać się z nami. – Cynizm przełożonego nasączył powietrze. – Ale jeśli już padło to pytanie, to zastanówmy się, co Kreml mógłby ugrać, wzniecając taką aferę. Bezpośrednim efektem byłoby prawdopodobnie usunięcie Delitza ze stanowiska. To korzystne dla Moskwy: nie dał się zwerbować, to trzeba go zneutralizować. Jeśli chodzi o Polskę, to należy zakładać jeszcze większe ochłodzenie relacji z Berlinem. Antyniemiecka retoryka, jaka jest używana przez naszych rządzących na potrzeby wewnętrznych rozgrywek, zyskałaby wymiar rzeczywistej polityki w stosunkach dwustronnych. Wiele państw NATO, z USA na czele, utraciłoby do nas zaufanie, co pośrednio mogłoby wpłynąć na bezpieczeństwo Polski choćby poprzez obniżenie kondycji wschodniej flanki Sojuszu. Pogłębiłaby się zapewne także nasza obecna marginalizacja w Unii Europejskiej, co zostałyby wykorzystane przez polskich eurosceptyków i różnego rodzaju politycznych paranoików marzących o wyzwoleniu ojczyzny spod „brukselskiej okupacji”. Ich wpływy wzrosłyby niewspółmiernie, innymi słowy, Rosja zyskałaby w Polsce nowe zastępy pożytecznych idiotów. Mało?

– Wystarczy. – Lent dał do zrozumienia, że został przekonany. – Jednak nie ma pewności, czy Rosjanie postąpią tak, jak zakładasz. Może do tego nie dojdzie?

– To nieważne, czy opublikują materiały z teczki, czy też nie – odparł generał. – Musimy jednak przyjąć, że takie wysoce prawdopodobne zagrożenie istnieje i może uderzyć w nas osobiście. Chyba zgodzicie się, że nasz przeciwnik nie po to zaangażował mnóstwo pieniędzy, narażał swoich ludzi, zorganizował trzy zabójstwa na obcym terenie, by w przypadku niepowodzenia werbunku doradcy kanclerza odłożyć sprawę do archiwum? Dlatego musimy temu przeciwdziałać!

– Myślisz o jakiejś kontroperacji? – zastępca wydukał ostatnie słowo.

– Tak – padła zdecydowana odpowiedź.

– Co powinno być jej celem? – spytał milczący od pewnego czasu Gordon.

– Zabezpieczenie naszych karier.

Chociaż obaj pułkownicy rozumieli doskonale, że przyjdzie im toczyć walkę o samych siebie, to tak bezpośrednie i bezceremonialne postawienie sprawy przez przełożonego wprowadziło ich w zdumienie. Szczęsny zauważył to i powiedział dobitnie:

– Nie czas, moi panowie, na górnolotne rozważania o imponderabiliach. Albo pragmatycznie podejmiemy do wyzwania, jakie się przed nami pojawiło, albo będziemy żyć i pracować z poczuciem, że w każdej chwili możemy zostać wyrzuceni z naszych gabinetów. Czy tak obrazowe przedstawienie sytuacji przemawia do was, czy też nie?

Podwładni skinęli głowami, że rozumieją położenie, w jakim się znaleźli.

– W grę wchodzi chyba działania inspiracyjne? – Lent przestawił się na operacyjne myślenie.

– W rzeczy samej. – Szczęsny uśmiechnął się, był zadowolony, że tak łatwo udało mu się przekonać podwładnych do swojej koncepcji. Zresztą nie wątpił, że właśnie tak się stanie. Wizja utraty stanowisk, a co najważniejsze przyzwoitych dochodów oraz praw do okazałej emerytury była wystarczającą motywacją. – Ubiegłej nocy nie mogłem spać, dużo myślałem nad tym, w jaki sposób moglibyśmy zareagować, i uznałem, że powinniśmy przede wszystkim zaproponować naszym politycznym zwierzchnikom współudział w całej tej aferze. Współodpowiedzialność ministra koordynatora do spraw służb specjalnych oraz samego premiera byłaby dla nas najlepszym parasolem ochronnym w przypadku uruchomienia przez Rosjan międzynarodowego skandalu.



– Ale jak ty to sobie, Krzysiek, wyobrażasz?! – Zastępca do spraw operacyjnych wyraźnie przestraszył się ostatnich słów generała, także naczelnik wydziału kontrwywiadowczego miał nietęgą minę.

– Należy skonstruować operację, której przeprowadzenie będzie wymagało pisemnej autoryzacji ze strony ministra koordynatora i premiera – odpowiedział szef Agencji.

– Rozumiem, że masz już jakąś wstępną koncepcję? – Gordon pomimo obaw, jakie przed chwilą nim owładnęły, był ciekaw konkretnych rozwiązań.

– Tak. – Szczęsny zastukał nerwowo palcami o blat biurka. – Cała idea zasadza się na tym, żeby przekonać decydentów, iż dzięki naszym działaniom inspiracyjnym oni odniosą sukces polityczny oraz wizerunkowy.

– Na czym miałyby polegać ów sukces? – Lent zaczynał wierzyć w sens wyводу przełożonego.

– Na niedopuszczeniu do normalizacji w stosunkach niemiecko-rosyjskich oraz na usunięciu z otoczenia kanclerza Uwe Delitza, co zwiększyłoby szansę na zablokowanie budowy Nord Stream 2. Można także przedstawić hipotezę, że dyskredytacja doradcy będzie skutkować neutralną pozycją Berlina odnośnie do łamania praworządności w naszym kraju. Wbrew pozorom to bardzo ważna kwestia, gdyż Niemcy w przyszłym roku pokierują pracami Unii Europejskiej, obejmując prezydencję we Wspólnocie<sup>51</sup>).

---

51) Niemcy sprawowały półroczną prezydencję w Radzie UE od 1 lipca 2020 roku.

– Czy możemy w jakikolwiek sposób wpłynąć na stosunki między Moskwą a Berlinem? – powątpiewał szef wewnętrznego kontrwywiadu.

– Oczywiście! – Głos generała był pełen entuzjazmu. – Gdyby udało nam się obnażyć fakt, że Rosjanie prowadzą działania na rzecz infiltracji najbliższego otoczenia kanclerza, reakcja Niemiec byłaby tylko jedna: zdecydowane ochłodzenie relacji politycznych z Kremlem. Zresztą to główny argument, jaki przedstawię naszym politykom, by autoryzowali operację.

– Jesteś pewien, że taka właśnie będzie reakcja Berlina? – Tym razem to zastępca do spraw operacyjnych był sceptyczny.

– Przypomnijcie sobie, jak Wielka Brytania zareagowała na próbę zamordowania Sergieja Skripala<sup>52</sup>), jak Zachód zwarł szeregi, gdy wyszła na jaw działalność rosyjskich internetowych trolli. Unia powołała nawet do życia specjalny zespół do walki z rosyjską dezinformacją<sup>53</sup>). Szpieg w bezpośredniej bliskości szefa niemieckiego państwa może zachwiać jego pozycją! Z historii znamy już taki przypadek. Kanclerz Willy Brandt podał się do dymisji, kiedy okazało się, że jego sekretarz jest enerdowskim informatorem<sup>54</sup>) – argumentował Szczęsny.

---

52) Sergiej Skripal – oficer rosyjskiego wywiadu wojskowego, który działał jako podwójny agent brytyjskiego wywiadu. W 2018 roku on i jego córka zostali otruci środkiem typu nowicзок. W odwecie Wielka Brytania ogłosiła wydalenie 23 rosyjskich dyplomatów.

53) Chodzi o Unijny Zespół ds. Walki z Rosyjską Dezinformacją (East Stratcom Task Force) działający w ramach Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych (EEAS).

54) Chodzi o Güntera Guillaume’a – szpiega wschodnioniemieckiej Stasi.

– Jak wyobrażasz sobie całą akcję? – Lent chciał szczegółów.

Generał wyprostował się w fotelu, złożył ręce na piersiach i zaczął referować:

– Operację przeprowadzimy w Niemczech. To właśnie lokalizacja na terenie naszego bliskiego sojusznika będzie argumentem dla uzyskania pisemnej autoryzacji od ministra koordynatora oraz premiera. Cel działań to wskazanie tamtejszym służbom Uwe Delitza. Byłoby świetnie, gdyby już został zwerbowany. Jeśli zaś Rosjanie dopiero się sposobią do jego pozyskania, to także nieźle. Najgorsza wersja to taka, jeśli doznali porażki. Uważam to jednak za najmniej możliwe. Tu się zgadzam z opinią Radka, według której prawdopodobieństwo zmuszenia doradcy do współpracy jest bardzo wysokie, graniczące z pewnością. Kiedy scenariusz inspiracji będzie gotowy, poproszę o wspólne spotkanie z ministrem koordynatorem oraz premierem. Przedstawię nasz plan i obiecuję sukces, o którym już wspominałem. Dorzucę do tego kilka haseł, które oni tak uwielbiają, na przykład o zwiększeniu znaczenia Inicjatywy Trójmorza<sup>55</sup>) jako pośrednim efekcie naszej operacji, czy umocnieniu stanu bezpieczeństwa Polski w oparciu o wzrost nastrojów antyrosyjskich w naszym regionie. Wszystko oczywiście udokumentuję niezależnymi analizami i opiniami ekspertów, które ostatnio studiowałem, a opisującymi aktywność Rosji w Unii Europejskiej,

i wynikającymi z tego zagrożeniami dla naszego kraju. Jeśli dołączymy do tego ostatnie informacje, jakie uzyskaliśmy od naszego źródła w Moskwie, to wszystko złoży się na logiczną i wiarygodną całość.

---

55) Inicjatywa Trójmorza – międzynarodowa inicjatywa gospodarczo-polityczna skupiająca: Austrię, Bułgarię, Chorwację, Czechy, Estonię, Litwę, Łotwę, Polskę, Rumunię, Słowację, Słowenię i Węgry.

- Przecież ten agent to nikt znaczący – wtrącił zastępca do spraw operacyjnych.
- Nie jesteśmy nawet pewni, czy gra z nami uczciwie.
  - Ale jest z Moskwy i to jest najważniejsze! – Generał uciął dyskusję.
  - Pomysł jest niezły, ale wydaje mi się, że będzie problem z uwiarygodnieniem całej intrygi – Gordon zmienił temat.
  - Chodzi ci o to, jak „wyszliśmy” na Uwe Delitza? – spytał szef AW.
  - Właśnie. Bez ujawnienia faktu wykradnięcia z naszego archiwum dokumentów oraz efektów śledztwa Veselego nie jesteśmy w stanie dowieść, że Rosjanie mogą zwerbować doradcę.
  - Jakiego Veselego? O kim ty mówisz? – Szczęsny nastroszył się. – W Agencji nie ma żadnego kwitu, gdzie widniałoby jego nazwisko. Oficjalnie całe śledztwo prowadziłeś ty, Jurek! I to jedynie dzięki twojej fachowości możemy teraz przedstawić premierowi problem i jego jedyne optymalne rozwiązanie.
- Gordon wyraźnie poczerwieniał. Jego współtowarzysze przyjęli to jako oznakę zadowolenia, jednak prawdziwym powodem był wstyd, jaki go ogarnął wskutek uczestnictwa w tak jawnym fałszowaniu rzeczywistości. Szef AW kontynuował:
  - W żadnym wypadku nie wolno nam wyjawić politykom, że przeciwnik cokolwiek wykradł z naszego archiwum! To byłby gwóźdź do naszej trumny!
  - No to niby skąd wiemy o młodym Delitzu? – naczelnik drążył temat.
  - Długo o tym myślałem i mam konkretną propozycję, jak rozwiązać ten problem. Posłuchajcie uważnie!
- Generał poprawił się w fotelu i zaczął wyjaśniać:
  - Punktem wyjścia powinno być zniknięcie Zilbera. Jako profesjonaliści założyliśmy, że może to oznaczać jego zdradę, czyli w praktyce wykradnięcie przez niego dokumentów z Agencji. W związku z tym przeprowadziliśmy dwa równoległe postępowania: audyt w naszym archiwum, który w rezultacie nie

wykazał braku żadnych materiałów, oraz wewnętrzne śledztwo, które doprowadziło nas do Uwe Delitza.

– Teczek jednak brakuje – zareagował zastępca.

– O tym wiemy tylko my trzej – odparł Szczęsny.

– A jak zostanie zarządzona zewnętrzna kontrola? – Lent nie chciał odpuścić.

– To mało prawdopodobne, ale chyba można się jakoś do tego przygotować? – Szef Agencji popatrzył badawczo na podwładnego.

– Można by „zaktualizować” skorowidz akt właściwy dla sprawy Atlas. Nikt by się wtedy najprawdopodobniej niczego nie dopatrył – odrzekł niepewnie zastępca.

– To dobry pomysł – ocenił Szczęsny. Widząc zaś zakłopotane miny pułkowników, dodał: – Wykradzione materiały już do nas nie wrócą, a w naszym interesie jest, by stan ilościowy teczek się zgadzał.

– Zostawmy już ten temat – zaproponował Gordon. – Osobiście jestem ciekaw, jak nasze wewnętrzne śledztwo mogło nas naprowadzić na doradcę kanclerza.

– Jak już powiedziałem wcześniej, to twoja zasługa, Jurek. – Generał zrobił znaczący gest ręką i mówił dalej: – Badając kontakty Zilbera, dotarłeś do Regiewicza, a właściwie do informacji o jego samobójstwie, które bardzo cię zastanowiło. Sprawdziłeś go i okazało się, że to były oficer wywiadu nielegalnego SB, który służył także w Zarządzie Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. Twoje ustalenia dokonane w jego mieszkaniu kazały ci przyjąć założenie, że masz do czynienia z morderstwem. Zweryfikowałeś osoby powiązane z samobójcą i tak dotarłeś do Strypuli. Jak dowiedziałeś się, że ten były esbek stracił życie prawie w tym samym czasie co Regiewicz, upewniłeś się, że jesteś na właściwym tropie. Prowadząc śledztwo w Krakowie, zdobyłeś informację, że Strypułę odwiedzał młody doktorant z uniwersytetu. Postanowiłeś go odszukać, by porozmawiać z nim o byłym kierowniku ekspozytury wywiadu SB, lecz to okazało się niemożliwe, gdyż historyk także już nie żył. Nabrałeś wtedy podejrzeń, że być może on również jest w jakiś sposób powiązany ze zniknięciem Zilbera. Zapoznałeś się więc z jego dorobkiem naukowym. Treść książki oraz programu telewizyjnego pozwoliły ci odkryć operację Storch. Następnie sprawdziłeś ten kryptonim w naszym archiwum i tak trafiłeś do sprawy Atlas. Dzięki temu zrozumieliśmy, że prawdopodobnie komuś chodzi o dotarcie do starego peerelowskiego nielegała. Postanowiliśmy

więc przyjrzeć się, dlaczego stary Delitz może być dla tego kogoś jeszcze interesujący, i tak trafiliśmy na jego syna. Zrozumieliśmy wtedy, że gra toczy się o doradcę kanclerza. Oprócz tego przedstawimy wnioski, z których będzie jasno wynikało, że za wrogimi nam działaniami najprawdopodobniej stoją Rosjanie. Koniec, kropka – obwieścił wręcz tryumfalnie generał.

– Wszystko się klei, oprócz tego, że w aktach sprawy Atlas nie ma danych personalnych nielegała – skomentował Lent.

– To jest wersja dla naszych politycznych zwierzchników, a tak naprawdę dla naszego komfortu, mój drogi Radku – odparł Szczęsny. – Jestem przekonany, że premier i minister koordynator nie poświęcą jej ani sekundy, skoro nie chce im się nawet zapoznawać ze sporządzanymi przez nasz departament informacyjny biuletynami, które lądują na ich biurkach. Tym bardziej nie będą dociekać, co znajduje się w archiwum.

– Chcesz powiedzieć, że nasza robota operacyjna idzie w piach? – Zastępca odbiegł od zasadniczego wątku, nie uwierzył w to, co zakomunikował przełożony.

– W mojej ocenie tak – padła odpowiedź.

– A jak uzasadnimy zniknięcie Zilbera? – Gordon znalazł kolejną nieścisłość. Zupełnie nie interesowało go ignorowanie pracy Agencji przez polityków. – Jeśli nic nam nie zginęło, to dlaczego tak się stało?

– Stwierdzimy, że nasza analiza całej sprawy doprowadziła nas do wniosku, że Regiewicz jeszcze w czasach PRL pracował dla radzieckiego KGB – powiedział generał. – Tu nawiążemy do jego homoseksualizmu. Zasugerujemy, że Rosjanie odnowili z nim kontakt, gdyż chcieli uzyskać potwierdzenie ważnych dla nich faktów dotyczących Delitza, a ten wykorzystał do tego Zilbera, który miał dostęp do sprawy Atlas. W konsekwencji, by utajnić swoje przyszłe działania w Niemczech, wywiad rosyjski postanowił zlikwidować wszystkich, którzy mogli stanąć temu na drodze, w tym i naszego funkcjonariusza.

– To przecież będzie generowało hipotezę, że nasze archiwum mogło zostać okradzione – stwierdził naczelnik.

– Nie znajdą się na to żadne oficjalne dowody – wtrącił twardo Lent. – Stan akt będzie się zgadzał, zaś nasz system zabezpieczeń gwarantuje, że niczego nie można potajemnie sfotografować ani tym bardziej wynieść. W grę mogła wchodzić

jedynie naoczna weryfikacja dokumentów, czyli praktycznie żadna, biorąc pod uwagę ogrom materiałów.

– I właśnie w takim stylu będę wyjaśniać wszelkie wątpliwości, jeśli oczywiście takowe pojawią się w głowach naszych polityków. – Szef Agencji był bardzo ukontentowany reakcją swojego zastępcy.

– No dobrze, a co zrobimy, jeśli wykradzione nam materiały zostaną przez Rosjan upublicznione? Jak taki fakt odniesiemy do zapewnień, że „stan akt się zgadza”? – Gordon ponownie wynalazł lukę.

– Przecież to jasne! – Zastępcę do spraw operacyjnych zdenerwowała dociekliwość kolegi. – Obciążymy tym nieżyjącego Regiewicza, który zapewne przekazał Rosjanom ujawnione dokumenty w okresie likwidowania Służby Bezpieczeństwa. Spalono przecież wtedy liczne teczki<sup>56)</sup>, w związku z czym zapanował ogólny bałagan, toteż wyniesienie dokumentacji nie było rzeczą niemożliwą. Dlatego w archiwum Agencji „stan akt się zgadza”, chociaż materiały sprawy Atlas są zdekompletowane.

---

56) Na przełomie 1989 i 1990 roku doszło do bezprawnego i celowego zniszczenia (spalenia) części dokumentów Służby Bezpieczeństwa PRL.

– Brawo, Radek! – Generał pokiwał z uznaniem głową. – Teraz wszystko logicznie do siebie pasuje.

– W takim razie może nie trzeba organizować inspiracji? – zaproponował naczelnik wydziału kontrwywiadowczego. – Skoro mamy logiczne wytłumaczenie dotyczące brakujących teczek...

– To byłby błąd, Jurek – zaripostował szef AW. – Wiarygodne usprawiedliwienie nie gwarantuje nam bezpieczeństwa. Jestem przekonany, że jak tylko wybuchłby międzynarodowy skandal, nasi polityczni zwierzchnicy od razu poświęciliby nas w imię stabilności władzy, jaką sprawują, oraz własnego wizerunku. Tylko świadomość, że mamy w rękach kwit z ich podpisami, wiążący ich ze sprawą, który na dodatek może zostać upubliczniony, odwiedzie ich od takiego postępowania.

– Tym razem ja mam ważne pytanie. – Lent chciał podnieść kwestię, jaka przed chwilą zaczęła go nurtować. – Co zrobimy, jeśli premier uzna, że informacją

o hipotetycznym werbunku młodego Delitza przez Rosjan można pohandlować z Berlinem, a przynajmniej zyskać jego wdzięczność? Albo stwierdzi, że trzeba po prostu ostrzec kanclerza?

– To niemożliwe z dwóch powodów. – Szczęsny pokręcił przecząco głową. – Pierwszy jest taki sam jak ten, który nie pozwolił nam skorzystać z pomocy niemieckich służb przy poszukiwaniu Rytela. Drugi to brak dowodów na zdradę młodego Delitza. Przecież szef polskiego państwa nie może, ot tak, zadzwonić do kanclerza i zakomunikować, że polski wywiad przypuszcza, iż Rosjanie zwerbowali jego najbliższego doradcę.

Lent zaśmiał się głośno. Dla niego jako człowieka nadzorującego działalność operacyjną wywiadu było to nie do pomyślenia. Spoważniał jednak i oświadczył:

– Musimy jednak brać pod uwagę, że premier to dyletant w takich sprawach. Myśli zupełnie innymi kategoriami niż my.

– To już moja w tym rola, żeby do czegoś takiego nie dopuścić – zadeklarował szef AW.

– Ale my także nie mamy żadnego dowodu, że Uwe Delitz zdradził – zauważył naczelnik. – Co będzie, jeśli premier ze względu na brak takiego argumentu odmówi autoryzacji operacji?

– Tu się mylisz, drogi Jurku – odrzekł generał. – Zniknięcie Zilbera oraz jego powiązania ze zdrajcą Regiewiczem, a przede wszystkim rezultaty wnikliwego śledztwa, jakie przeprowadziła Agencja, o których tu już mówiliśmy, uprawniają nas do przeprowadzenia inspiracji. Zresztą nie martwmy się na zapas. Zaprezentuję naszym decydom odpowiednio przygotowany raport, który przekona ich, że należy postąpić tak, jak proponujemy.

– Jesteś, Krzysiu, zbyt pewny siebie – ocenił postawę przełożonego zastępcy.

– Mylisz się, jestem pełen pokory. Ty się nie spotykasz z koordynatorem oraz z premierem, a ja tak. Znam ich i wiem, że jeśli materia, z którą mają do czynienia, jest skomplikowana, wieloaspektowa i niestandardowa oraz wymaga podjęcia niekonwencjonalnych działań, to zawsze szukają kogoś, kto podejmie za nich stosowne decyzje i odpowiedzialność. I takim kimś będę ja.

Z oczu generała wyzierała determinacja oraz charyzma znamionująca doświadczonego lidera. To rozwiało wszelkie wątpliwości i rozterki trapiące jego

oficerów.

– Przejdźmy teraz do zadania, jakie stoi przed wami, moi panowie – zaordynował na koniec szef AW. – Musicie jak najszybciej opracować założenia i szczegóły wykonawcze inspiracji, jaką przeprowadzimy w Niemczech. Koncepcja musi spełniać w zasadzie tylko jeden warunek: w razie niepowodzenia nikt nie może skojarzyć tej operacji z naszą Agencją... ■



## RETROSPEKCJA V. MONACHIUM, LUTY 1981 ROKU

Doroczny festyn karnawałowy organizowany przez Landsmannschaft Ostpreußen trwał już od prawie dwóch godzin. Towarzystwo bawiło się w najlepsze. Dzięki mozelskim i reńskim winom oraz klasycznym sznapsom i lokalnemu piwu oficjalne i przez to nad wyraz sztywne zachowanie gości uległo rozluźnieniu. Organizatorzy chcąc umilić uczestnikom czas dobrą muzyką wynajęli profesjonalny band, toteż na parkiecie odbywała się regularna potańcówka. Gry, zabawy, loterie oraz stoły zastawione smacznymi potrawami zapewniały iście familiarną atmosferę.

Adalbert stał u wielkiego okna, przez które obserwował wielkie płatki padającego gęsto śniegu. Przepiękne zjawisko skierowało jego myśli ku Polsce. Przypomnił sobie dzieciństwo, kiedy to podczas podobnej zimy bawił się z rówieśnikami na podwórku radomskiego domu dziecka. Nie doznał jednak tęsknoty za krajem. Uczucie to nie gościło w nim od dawna. Ostatecznie przywykł do Niemiec i Niemców, zaś w Monachium czuł się tak, jakby tu mieszkał od urodzenia. Mówił już znakomicie po niemiecku, dzięki uporczywej pracy pozbył się cudzoziemskiego akcentu. Osiągnięcie tej umiejętności było możliwe także dlatego, że w ogóle nie używał polskiego. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat językiem ojczystym posłużył się tylko cztery razy, podczas spotkań z wysłannikami warszawskiej centrali: raz w Splicie oraz trzy razy w Wiedniu. Jakieś trzy lata temu zauważył, że nie tylko mówi po niemiecku, ale także myśli oraz śni w tym języku.

Odwrócił się od okna i rozejrzał po ogromnej sali. Zapewne pamiętała brunatne lata trzydzieste i różnego rodzaju hitlerowskie zgromadzenia. Pokryta w części hebanową boazerią oraz płaskorzeźbami przedstawiającymi roślinne motywy, sprzyjała dostojskości i powadze, które teraz były niwelowane przez radosny, rozrywkowy nastrój.

Z tłumu wyłowił wzrokiem żonę. Uroda Waltraud wyraźnie przyćmiewała inne kobiety. Z uczepionym u sukienki synkiem wyglądała uroczo. Delitz zaśmiał się w duchu na ten widok. Choć Uwe kilka miesięcy temu poszedł do pierwszej klasy

szkoły podstawowej, a na co dzień był żywym, czasami nawet urwisowatym chłopcem, teraz sprawiał wrażenie bojaźliwego. Wszystko, co działo się wokół niego, widocznie go onieśmiało. Zerkał jednak z zainteresowaniem ku innym dzieciom, które tak jak on chroniły się w bliskości rodziców. Adalbert był przekonany, że lada moment wszystkie te małolaty wyrwą się spod kurateli opiekunów i zorganizują sobie zabawę na swój sposób.

Co rusz ktoś go pozdrawiał z oddalenia, niektórzy podchodzili, by uścisnąć mu rękę i zamienić kilka słów. Miał świadomość, że jest rozpoznawalny wśród niemieckich wypędzonych. Było to zasługą jego aktywności w tym środowisku oraz tego, że nazywał się Delitz. „Babcia Luise miała rację” – pomyślał o swojej nieżyjącej od ponad roku dobrodziejce. Przyjęcie po poległym oficerze Wehrmachtu imienia oraz rodowego nazwiska pomogło mu ożenić się z Waltraud, a teraz wspiera w zdobywaniu pozycji społecznej.

Zastanowił się, co tak naprawdę osiągnął przez te dziesięć lat jako oficer polskiego wywiadu. Oceniał, że niewiele. Przypomniawszy sobie, jak podniósł tę kwestię na ostatnim spotkaniu z podpułkownikiem Nowaczykiem w Wiedniu.

– Czy nie uważasz, Stefan – pytał – że mój pobyt w Monachium jest w zasadzie mało efektywny? No bo co ja tam robię? Zbieram dla ciebie jakieś mało znaczące informacyjki, ploteczki z życia towarzyskiego, przesyłam do Warszawy analizy, które sporządzam w oparciu o powszechnie dostępną w Niemczech wiedzę. Czy to się wam opłaca?

– Uważasz, że masz niewielki potencjał wywiadowczy, czy też sytuacja, w jakiej się znajdujesz, nie odpowiada twoim ambicjom? – Oficer centrali spojrzał uważnie w oczy swojego wychowanka.

– Przecież jedno wiąże się z drugim – odrzekł bez zastanowienia Adalbert.

– Ja to oceniam inaczej. Sądzę, że jesteś świetnie uplasowany, ale jeszcze nie uzyskałeś odpowiednich możliwości. Musisz być cierpliwy, wszystko przyjdzie w swoim czasie.

– Ale to już dziesięć lat, Stefan!

– Myślę, że przesadnie narzekasz. Przecież dzięki tobie mamy wreszcie porządne rozeznanie w działalności organizacji wypędzonych, zarówno na poziomie landowym, jak i federalnym! Opracowałeś charakterystyki

najważniejszych osób z tego środowiska. Wiemy, jakie powiązania funkcjonują pomiędzy BdV a partiami chadeckimi. Nasze kierownictwo było także bardzo zadowolone z przesłanego przez ciebie opracowania na temat Wyższej Szkoły Bundeswehry w Monachium. Tym dokumentem utarliśmy nosa zielonym<sup>57)</sup>, a dyrektor Departamentu Pierwszego przesłał ten materiał towarzyszom radzieckim. Bilans jest dodatni, Bjorn! – Nowaczyk lubił się posługiwać pseudonimem operacyjnym nielegała.

---

57) Slangowe określenie wojskowych służb specjalnych (wywiadu i kontrwywiadu).

– Jakoś to do mnie nie przemawia.

– W takich sprawach jak twoja należy kierować się odmienną filozofią niż w standardowej działalności wywiadowczej. Tu nie można myśleć w perspektywie krótkoterminowej, a do tego jedynie kategoriami „zysk – strata” lub „efekt – brak efektu”. Już samo to, że zdołaliśmy uplasować cię jako wtórnika, a ty przetrwałeś dziesięć lat, jest sukcesem. Zrozum! Te lata były potrzebne, żebyś mógł zajść tam, gdzie teraz jesteś. A jesteś tak naprawdę przed furtką, która prowadzi do monachijskiego establishmentu. Moim zdaniem ty dopiero zaczynasz swoją misję! Czasem warto czekać i dwadzieścia lat, by przez rok, dwa mieć dostęp do arcyważnych informacji.

„Może to i racja” – pomyślał Adalbert. Z ogromnej tacy niesionej przez kelnera wziął kufel złocistego pilsa. Zamoczył usta i stwierdził, że co jak co, ale warzyć piwo Niemcy umieją. Ponownie zwrócił się ku oknu. Śnieg już nie padał. Na zewnątrz panował niczym niezmacony, wieczorny spokój. Szyba strzegła, by nie przedarł się tam festynowy gwar. Nielegał odniósł wrażenie, iż znajduje się na pograniczu dwóch rzeczywistości. „To tak jak w moim życiu” – stwierdził. „Też cały czas balansuję między dwoma światami. Tylko który jest ważniejszy? Ten, który symbolizuje Nowaczyk, czy ten, który uosabiają Waltraud i Uwe?” Znał odpowiedź, ale bał się ją wypowiedzieć.

Poczuł, jak ktoś szarpie go za rękaw marynarki.

– Papa, komm mit! Mami möchte dir etwas sagen! – Uwe wyrwał go z zamyślenia. Wziął malca za rękę i podszedł do żony.

– Berti, kochanie! – Waltraud cudownie się uśmiechnęła. – Mój ojciec chce z tobą koniecznie porozmawiać, czeka na ciebie w pokoju klubowym.

Pomieszczenie, do którego wszedł, sprawiało wrażenie czytelnicy. Przy jednej ze ścian stał bowiem okazały regał z gazetami i różnymi kolorowymi czasopismami. Całą zaś przestrzeń pokoju zajmowały niewielkie stoliki okolone głębokimi, skórzanymi fotelami. Przy jednym z nich siedziało dwóch mężczyzn: jego teść, Richard Moellinger, oraz człowiek, którego nie znał osobiście, ale doskonale wiedział, kim jest.

Podszedł do nich. Ojciec Waltraud odezwał się pierwszy:

– Mój drogi, chciałbym cię przedstawić panu Carlowi Ebersbergowi, który zapragnął cię poznać. Zapewne wiesz, że nasz gość jest wiceprzewodniczącym CSU?

– Oczywiście. – Adalbert przełknął z wrażenia ślinę. Domyślił się, że to nie jest przypadkowe spotkanie.

– Herr Delitz! – Polityk od razu przejął inicjatywę. Ton jego głosu sugerował, że jest nawykły do posłuchu. – Co pan sądzi o partii, którą reprezentuję? Tylko proszę o szczerą odpowiedź.

– Właściwie to moja opinia jest zbieżna z poglądami mojego teścia, które pan zapewne zna.

Ebersberg głośno się roześmiał i pokiwał z uznaniem głową.

– Miałeś rację, Richard – wiceprzewodniczący zwrócił się do Moellingera. – Twój zięć to bardzo bystry człowiek. Za jednym zamachem przypodobał się tobie oraz zyskał moją sympatię. Brawo.

Tym razem roześmiał się Adalbert.

– Ale ja naprawdę zgadzam się w tej kwestii z Richardem. Oczywiście jako członek CSU nie może być w pełni obiektywny, jednak jego zdanie na temat kondycji oraz działalności partii uważam za bardzo trafne i rozsądne.

– Herr Delitz, co pana interesuje w polityce? – Ebersberg zmienił temat.

Oficer polskiego wywiadu zastanowił się. Pytanie sugerowało, że wiceprzewodniczący zmierza do czegoś konkretnego. Postanowił ostrożnie zbadać jego intencje. Odpowiedział:

– Oprócz takich oczywistych spraw jak podatki, gospodarka, imigracja, dużo uwagi poświęcam Ostpolitik<sup>58</sup>).

---

58) Ostpolitik – tu: polityka zagraniczna (wschodnia) Niemiec, zainicjowana w 1969 roku przez kanclerza Willy’ego Brandta, polegająca na normalizacji stosunków z państwami Europy Środkowej i Wschodniej.

– Czy to wynika z faktu, iż został pan wychowany w Polsce? – Polityk świdrował go wzrokiem.

– Zgadza się. Cały czas obserwuję, co się tam dzieje, zwłaszcza ostatnio. Znam język, więc korzystam z tej umiejętności. Nie mogę, co prawda, poświęcać temu zajęciu zbyt dużo czasu, mam bowiem wiele pracy w rodzinnej firmie.

– Znakomicie. – Ebersberg wydawał się zadowolony z odpowiedzi. – Pana teść, a mój przyjaciel, bardzo sobie pana chwali – znowu zmienił temat. – Ponoć doskonale radzi sobie pan w biznesie, a także w działalności społecznej w ziomkostwie. W tej drugiej sprawie zasięgnąłem opinii u niektórych pana koleżanek i kolegów. Muszę przyznać, że są bardzo pochlebne.

– No cóż, z wykształcenia jestem inżynierem – odparł Delitz. – Mam ścisły i analityczny umysł, a to pozwala na pragmatyczne podejście do organizacyjnych wyzwań. Ale dlaczego, jeśli można wiedzieć, zasięgał pan opinii na mój temat? Chce mi pan coś zaproponować?

– Potrzebuję kogoś takiego jak pan – odpowiedź huknęła jak wystrzał. – Nasza partia z uwagą przygląda się wszystkiemu, co dzieje się w Polsce. Osobiście uważam, że państwo to powinno, obok Związku Radzieckiego, odgrywać kluczową rolę w naszej Ostpolitik, a może nawet należałoby nadać mu priorytet. Po ostatnich wydarzeniach związanych z Solidarnością wielu moich kolegów skłania się ku takiemu podejściu. Co pan o tym sądzi?

– Potencjał zmiany jest tam ogromny, ale wątpię, czy komuniści na to pozwolą – odparł Adalbert. – Moim zdaniem prędzej pozamykają przedstawicieli opozycji do więzień, niż oddadzą choćby część władzy. – Zacytował Nowaczyka, z którym rozmawiał na ostatnim spotkaniu o tym, co działo się w kraju.

– W CSU mamy podobne zdanie na ten temat. Niestety socjaldemokraci<sup>59</sup>) wierzą w inny rozwój wypadków i w naszej opinii prowadzą błędną politykę. – Wiceprzewodniczący CSU wyprostował się w fotelu, po czym zakomunikował: –

Od niedawna odpowiadam w partii za sprawy międzynarodowe. Pierwsze zadanie, jakie postawiłem przed sobą, to zorganizowanie interdyscyplinarnego zespołu doradczego do spraw polityki wschodniej. Chciałbym, żeby grupa ta realizowała dwa zadania: po pierwsze, monitorowała i oceniała działalność rządu Schmidta w tej kwestii, a po drugie, wypracowała szczegółowe wytyczne na czas, kiedy będziemy sprawować władzę. Czy byłby pan zainteresowany wzięciem udziału w moim projekcie?

---

59) Chodzi o rząd Helmuta Schmidta funkcjonujący w oparciu o koalicję SPD (socjaldemokraci) oraz FDP (liberałowie).

Adalberta zatkąło. A więc spełniło się to, na co czekał tyle lat! „Nowaczyk miał cholerną rację” – pomyślał ciepło o swoim mentorze. Odpowiedział ostrożnie:

– Ja przecież nie jestem żadnym ekspertem, poza tym mój profil zawodowy zupełnie nie przystaje do tego, co pan proponuje.

– Jak już mówiłem, zespół, który tworzę, ma mieć charakter interdyscyplinarny, a to oznacza, że będą w nim uczestniczyć zarówno eksperci z różnych dziedzin, jak i ludzie cechujący się konkretnym doświadczeniem. Pańskim atutem jest to, że wychował się pan w Polsce, zna doskonale język oraz rozumie mentalność Polaków, a co najistotniejsze charakter tamtejszego systemu społeczno-politycznego oraz gospodarczego. No i najważniejsze: sam Richard Moellinger ręczy za pana lojalność, co pozwala mi obdarzyć pana zaufaniem, a to jest wartością samą w sobie.

Delitz zamilkł, chciał, by Ebersberg odniósł wrażenie, że się głęboko namyśla. Wiedział jednak, jak odpowie. Stryj Lothar nauczył go dobrze zasad negocjacji i zachowania w okolicznościach składania przez kogoś oferty. Pamiętał także rady Nowaczyka, jak należało się maskować w takich sytuacjach. Kątem oka widział, jak jego teść coraz bardziej się niecierpliwi oczekiwaniem na jego reakcję. Polityk natomiast siedział niewzruszony. Jednak i on po chwili dał znać, że chciałby usłyszeć odpowiedź, stuknął mianowicie kilka razy palcami prawej ręki o poręcz fotela. Adalbert odchrząknął i rzekł:

– Niestety, nie mogę podjąć teraz wiążącej decyzji, panie wiceprzewodniczący. Muszę gruntownie przemyśleć pana propozycję ze względu na moje obowiązki

zawodowe. Pozwolę sobie skontaktować się z panem w przeciągu trzech, czterech dni. – Mówiąc to, zobaczył, jak oblicze ojca Waltraud wydłuża się w bezmiarze niedowierzania. Wzrok Ebersberga świadczył jednak o tym, że zrobił na nim bardzo korzystne wrażenie. ■

## WARSZAWA, KWIECIEŃ 1981 ROKU

Dyrektor Departamentu Pierwszego kończył spieszenie podpisywanie pliku dokumentów. Stojący przed nim podpułkownik Nowaczyk oraz kapitan Lipski obserwowali, jak szef wywiadu wykonuje tę czynność niczym fabryczny automat. Gdy ten skończył, nie patrząc na nich, rozkazał:

– Weźcie krzesła i usiądźcie przy biurku, towarzysze oficerowie.

Gdy spoczęli, generał rządził na nich spojrzeć.

– Dzisiaj rano przeczytałem raport dotyczący sprawy Atlas – powiedział oschle.

– Napisał w nim, towarzysze, że nasz nielegal uplasowany w Niemczech posiadał możliwość uzyskiwania informacji na temat niemieckiej polityki wschodniej, a w przyszłości będzie prawdopodobnie mógł wpływać na jej kształt.

– Zgadza się, towarzyszu generale – potwierdził Nowaczyk.

– W takim razie gratuluję sukcesu. – Dyrektor nadal był beznamiętny. – Dziwi mnie jednak, że dokument nie zawiera żadnych szczegółów. Czy mam to rozumieć jako objaw braku zaufania w stosunku do mojej osoby? – Tym razem głos szefa wywiadu zabrzmiał cierpko.

– To nie jest kwestia zaufania, lecz zasad konspiracji, jakie stosujemy w tej sprawie. – Pułkownik powiedział to tak, by przełożony zrozumiał, że nie ma w nim ani grama przestachu.

– Czy mam wam, towarzyszu Nowaczyk, wydać odpowiednie polecenie na piśmie?! – Dyrektor był na granicy nerwowego wybuchu.

– To nic nie da, towarzyszu generale, odmówię wykonania takiego rozkazu. – Spokój, jaki był z oblicza oficera, doprowadził szefa wywiadu do pasji.

– Czy wyście oszaleli, Nowaczyk?! Uważacie, że nie mam prawa znać nazwiska naszego nielegalu oraz miejsca jego uplasowania?! Czasy naczelnika Wilczaka już się skończyły, do jasnej cholery! – Twarz dyrektora przybrała siny odcień. Skroń pulsowała mu ze wzburzenia.

– Zasady konspiracji dla sprawy Atlas zostały zaakceptowane przez zwierzchnika Departamentu Pierwszego w okresie przygotowań koncepcyjnych w sześćdziesiątym ósmym roku. Nie sądzę, by zaistniały jakiegokolwiek



okoliczności, które uzasadniałyby odstąpienie od ich stosowania. Proszę was, towarzyszu generale, o uszanowanie naszego profesjonalizmu, dzięki któremu nigdy nie zawiedliśmy waszych oczekiwań.

Dyrektor z zainteresowaniem spojrział na podpułkownika. Nie spodziewał się, że jego podwładny posiada takie dyplomatyczne umiejętności. W duchu przyznał mu jednak rację. Dzięki kierowanemu przez Nowaczyka wydziałowi wywiadu nielegalnego Departament Pierwszy mógł sprostać żądaniom informacyjnym płynącym z Biura Politycznego<sup>60</sup>). Inni też się, co prawda, starali, jednak nie byli w stanie konkurować z ludźmi z „eNki”.

---

60) Biuro Polityczne Komitetu Centralnego PZPR – główny organ kierowniczy partii.

– No już dobrze – rzucił pojednawczo. – Proszę zatem przybliżyć mi nowe możliwości wywiadowcze, jakie uzyskał kapitan Bjorn.

– Nasz człowiek wszedł do specjalnego gremium funkcjonującego w jednej z partii chadeckich, które zostało powołane w celu monitorowania obecnej polityki wschodniej prowadzonej przez koalicję SPD – FDP<sup>61</sup>). Zadaniem tego zespołu jest również przygotowanie założeń Ostpolitik na okres po przejęciu władzy przez CDU/CSU. – Udzielona przez Nowaczyka informacja nadal charakteryzowała się dużym poziomem ogólności. Dyrektor przyjął to jednak już bez emocji.

---

61) SPD – Sozialdemokratische Partei Deutschlands (Socjaldemokratyczna Partia Niemiec).  
FDP – Freie Demokratische Partei (Wolna Partia Demokratyczna).

Podpułkownik kontynuował:

– W ocenie analityków z Wydziału Siedemnastego rząd Helmuta Schmidta się chwieje, więc należy się liczyć z tym, że w perspektywie krótkookresowej polityka Niemiec wobec naszego kraju może ulec zmianie, zwłaszcza w kontekście czynnika, jakim jest Solidarność.

– Co macie konkretnie na myśli, towarzyszu? – Generał wyraźnie drgnął na wspomnienie o opozycji.

– Obiektywnie rzecz ujmując – Nowaczyk starał się dobrać słowa – wewnątrzni przeciwnicy naszego socjalistycznego państwa przejmują inicjatywę, co nie pozostaje niezauważone na Zachodzie i w związku z tym...

– Dość! – szef wywiadu przerwał podwładnemu. – To są przejściowe trudności, które na pewno zostaną pokonane. Zapewniam was, towarzysze, że kierownictwo naszej partii intensywnie pracuje nad rozwiązaniem tego problemu. – Propagandowy frazes zabrzmiał mało wiarygodnie. – Jakie działania zostały podjęte w związku z nową sytuacją operacyjną kapitana Bjorna? – Dyrektor zapobiegawczo zmienił temat.

– Podjęliśmy standardową decyzję zamrożenia działalności wywiadowczej na rok. Mamy świadomość, że kontrwywiad przeciwnika może gruntownie sprawdzać naszego człowieka. Poinstruowaliśmy jednakże kapitana Bjorna, że w przypadku uzyskania nadzwyczaj ważnych, newralgicznych informacji może wznowić aktywność.

– To prawidłowe rozwiązanie, towarzysze, lecz...

Generał zastanowił się nad czymś, jego czoło przeorała głęboka bruzda świadcząca o tym, że podejmuje jakąś ważką decyzję. Chwilę później zaordynował:

– Nakazuję skrócić okres zamrożenia działalności do sześciu miesięcy oraz stworzyć system łączności z kapitanem Bjornem w wariancie „W”! Termin gotowości to pierwszy października bieżącego roku.

Na te słowa oficerowie wywiadu nielegalnego wyprostowali się na krzesłach. Wariant „W” oznaczał prowadzenie działalności wywiadowczej w warunkach konfliktu zbrojnego. Podpułkownik chciał zadać pytanie, ale przełożony do tego nie dopuścił:

– Moja decyzja nie podlega dyskusji! Żegnam was, towarzysze oficerowie, i proszę niezwłocznie przystąpić do wykonania zadania! – zakończył niemal po żołniersku.

\*\*\*

Gdy tylko weszli do gabinetu Nowaczyka, zdjęli marynarki. Lipski rozlewając z karafki wodę mineralną do szklanek, powiedział:

– Naraziłeś się, Stefan, i to bardzo. Może nie było warto? Może trzeba było powiedzieć coś więcej o sprawie?

– Mam to gdzieś – odparł podpułkownik. – Wiesz, dlaczego dyrektor chciał od nas wyciągnąć szczegóły o Bjornie?

– Chciał po prostu czegoś więcej się dowiedzieć, by samodzielnie ocenić jego możliwości.

– Gówno prawda! Nie bądź naiwny! – Nowaczyk zaśmiał się z politowaniem i wyjaśnił: – Wiem z pewnego źródła, że co najmniej raz w tygodniu szefowie wszystkich pionów SB są wzywani na dywanik do ministra spraw wewnętrznych i opieprzani za nieudolność w walce z Solidarnością. Nietrudno więc odgadnąć, że każdy z nich kombinuje, jak zorganizować sobie cokolwiek na swoją obronę. Jestem przekonany, że nasz dyrektor, gdyby dowiedział się od nas szczegółów na temat Bjorna, od razu pobiegłby do ministra i wlałby mu w dupę, opowiadając, że to głównie jego zasługa. To klasyczny aparatczyk, mój drogi Janku. Dla swojej kariery poświęciłby wszystkich naszych nielegałów i nas razem z nimi!

– Przesadzasz!

– Absolutnie. Funkcjonujemy w szczególnej sytuacji. Solidaruchy rosną w siłę, wywierają coraz większą presję. Z Moskwy płyną zalecenia, by radykalnie rozprawić się z kontrrewolucją, a Kania i Jaruzelski<sup>62)</sup> boją się, że to wszystko skończy się wojną domową.

---

62) Stanisław Kania – ówczesnie Pierwszy Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, polityk dysponujący największą władzą w państwie. Wojciech Jaruzelski, generał – ówczesnie Prezes Rady Ministrów i Minister Obrony Narodowej.

– Może stąd to zalecenie, żeby przygotować wariant „W”? – skojarzył Lipski.

– Cholera wie, co tam na górze kombinują. Doszły mnie słuchy, że w lutym MON i MSW przeprowadziły wspólnie, w wąskim gronie, jakąś grę sztabową<sup>63)</sup>, której celem było wymodelowanie prawdopodobnego rozwoju sytuacji w państwie. Dzisiejsze polecenie dyrektora może sugerować, że władza szykuje się na najgorsze.

---

63) Wydarzenie historyczne.

– Ale w jaki sposób zorganizujemy nowy kanał łączności gwarantujący komunikację w przypadku izolacji kraju? Powinniśmy chyba wyposażyć Bjorna

w radiostację nadawczą, ale on przecież nie jest przeszkolony w jej obsłudze – stwierdził kapitan.

– Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie związanym z jej używaniem – dodał podpułkownik.

– To co zrobimy?

– Powinniśmy chyba wykorzystać punkt kontaktowy w Wiedniu, na który nasz człowiek wysyła pocztę oraz wykonuje telefony konspiracyjne – zastanawiał się Nowaczyk.

– Jak to sobie wyobrażasz? – spytał Lipski, chociaż już domyślał się, o co chodzi naczelnikowi.

– Wyjście jest tylko jedno. – Podpułkownik spojrzał na podwładnego. – Nauczysz się obsługiwać aparat nadawczy, a potem zamieszkas w Wiedniu jako Kurt Faymann. To umożliwi przekazywanie informacji od Bjorna do centrali, nie narażając go na dekonspirację, zaś ty, w razie potrzeby, będziesz mógł bez przeszkód jeździć do Monachium.

Kapitan, usłyszawszy te słowa, nic nie powiedział, jedynie jego oblicze świadczyło o tym, że oczekujące zadanie wzbudziło w nim ogromne emocje. ■

W gabinecie generała Szczęsnego panowało twórcze napięcie. Lent z Gordonem prezentowali założenia inspiracji, jaką zamierzano przeprowadzić w Niemczech, nad którymi pracowali wspólnie przez kilka ostatnich dni. Referował zastępca do spraw operacyjnych:

– Długo zastanawialiśmy się, jak zamaskować nasze działania przed otoczeniem zewnętrznym, i wpadliśmy na pomysł, żeby naszą akcję zrealizować pod przykrywką policyjnej operacji.

– Jak to sobie wyobrażacie? – Szef Agencji był autentycznie zaskoczony przedłożonym rozwiązaniem.

– Polska policja bierze udział w różnego rodzaju śledztwach o skali międzynarodowej, współpracując z partnerami z innych krajów, w tym z Niemiec. To punkt wyjścia dla naszej koncepcji. Jej istotą jest to, by wykonawca inspiracji, działając w ramach rzeczywistej kryminalnej sprawy, wskazał niemieckim służbom Uwe Delitza – wyjaśnił krótko Lent.

– Ale jak chcecie się podłączyć pod policyjną operację? To raczej niemożliwe – ocenił generał. – Należałoby nawiązać oficjalną współpracę, a to groziłoby dekonspiracją naszych zamierzeń!

– Niekoniecznie – wycedził wolno zastępca.

– Jak mam to rozumieć?

– Jurek ma przyjaciela w Centralnym Biurze Śledczym Policji. Przeprowadził z nim wstępną rozmowę na temat pewnych możliwości, oczywiście nie zdradzając naszych rzeczywistych planów.

– To jeden z zastępców komendanta CBŚP – włączył się Gordon – ten sam, który załatwił mi kontakt w Prokuraturze Krajowej, co pozwoliło dokonać oględzin zaplombowanego mieszkania Regiewicza.

– Przypominam sobie. – Szef AW kiwnął głową na znak, że wie, o czym mowa.

– A co rozumiecie pod hasłem „pewne możliwości”?

– Jedna ze spraw, jakie nadzoruje mój przyjaciel, dotyczy międzynarodowej organizacji przestępczej, która zajmuje się przemytem narkotyków oraz praniem

brudnych pieniędzy. Z Zachodu szmugluje do Europy Wschodniej „crystal meth”, silnie uzależniającą metamfetaminę, zaś w drugą stronę forszę z jej sprzedaży, którą legalizuje w różnych krajach Unii Europejskiej. CBŚP obserwuje i dokumentuje kanały przerzutowe, kurierów oraz kontakty w Polsce. W śledztwo zaangażowane są służby policyjne z kilku państw, w tym z Niemiec.

– Naszą akcję wyobrażamy sobie następująco – inicjatywę przejął Lent. – Wykonawca inspiracji odegrałby rolę kuriera organizacji przestępczej. Pojechałby za Odrę, a CBŚP poprosiłoby tamtejszą policję o podjęcie obserwacji jego poczynań, zaś on na jej oczach wykonałby coś tak charakterystycznego, co kazałoby zainteresować się doradcą kanclerza.

– To wygląda ciekawie – ocenił Szczęsny – ale diabeł tkwi zawsze w szczegółach, a zwłaszcza w legendowaniu wszystkich poczynań.

– Koncepcja została oczywiście opracowana w formie pisemnej. Dokument zawiera wszelkie detale.

– Wolałbym usłyszeć je bezpośrednio od was, od razu zgłoszę wam moje uwagi. – Generał chciał najwyraźniej zakończyć jak najszybciej ten etap prac.

Pułkownicy spojrzeli na siebie, żeby zdecydować, który z nich powinien zacząć. Padło na Gordona.

– W sprawie, o której dowiedziałem się od mojego przyjaciela, funkcjonuje istotny element, w oparciu o który możemy zbudować legendę dla naszych działań. Otóż jego ludzie pozyskali do współpracy informatora, który za obietnicę nadania mu statusu świadka koronnego denuncjuje swoich kompanów. Według naszego planu to on wskaże podstawionego przez nas człowieka jako kuriera przestępczej organizacji. Na tej podstawie zostanie wysłana oficjalna prośba do niemieckich partnerów, by ci zorganizowali na swoim terenie jego obserwację.

– A jak przekonacie kapusia do oficjalnego przekazania policji danych o wykonawcy inspiracji?

– O to postara się mój przyjaciel – wyjaśnił naczelnik. – On twierdzi, że informator ma nóż na gardle i robi wszystko, żeby wywinąć się od długoletniego więzienia.

– Jesteś, Jurek, pewny, że ten twój znajomy w ogóle zgodzi się nam pomóc? – Głos szefa AW zdradzał, że powątpiewa w to, co usłyszał.

– On jest bardzo zainteresowany współpracą z nami. – Naczelnik wydziału kontrwywiadowczego uśmiechnął się znacząco.

– A to dlaczego?

– Za kilka miesięcy komendant CBŚP odchodzi na emeryturę, a już toczy się walka o to, kto zastąpi go na stanowisku. Mój przyjaciel bardzo chciałby wygrać tę rywalizację. To jest podstawa do rozmowy.

– I w jaki sposób chcecie mu zapewnić awans? – Szczęsnemu spodobał się ten zamysł, chociaż nie wierzył w jego powodzenie.

Tu do generała przemówił Lent:

– Ty to załatwisz.

– Jak? Przecież doskonale wiesz, że obsadzanie takiego stanowiska w obecnych realiach to partyjno-towarzyska loteria. Niczego nie można być pewnym.

– Spotkasz się z tym policjantem i zapewnisz go o swoim poparciu. Powiesz mu, że porozmawiasz o jego kandydaturze z ministrem koordynatorem, a nawet premierem. Będziesz jednak uczciwy i poinformujesz, że nie ma stuprocentowej pewności, iż zostanie komendantem. Jednak przede wszystkim wzbudzisz w nim wielką nadzieję. Najpierw wyjaśnisz polityczne znaczenie naszej operacji, a potem zadeklarujesz, że okazując nam pomoc, zasłuży się najważniejszym decydyntom w państwie i jeśli wszystko się powiedzie, to oni na pewno nie odmówią mu nominacji. – Zastępca instruował przełożonego, jakby ten był młodym funkcjonariuszem, który ma przeprowadzić swoją pierwszą rozmowę z kandydatem na agenta.

– Sprytnie. – Generała pochłonął ten pomysł. Był typowym „za-biurkowym” oficerem, pnącym się systematycznie po szczeblach organizacyjnej kariery, więc nie miał nigdy okazji przeprowadzić werbunku. Jedyne jego doświadczenie w tej kwestii wynikało z faktu, iż podpisał w swoim zawodowym życiu kilkanaście zgód na pozyskanie osobowych źródeł informacji.

– Po twojej rozmowie do akcji wkroczy jeszcze Gordon i zmotywuje go, wykorzystując relacje przyjacielskie – dokończył Lent.

– To brzmi rozsądnie. – Szef AW dał się przekonać. – A jak będzie wyglądać postępowanie wykonawcy inspiracji?

Pułkownicy znowu popatrzyli na siebie, by zdecydować, który z nich ma referować. Tym razem do rzeczy przystąpił zastępca do spraw operacyjnych.

– Jego działania składają się z trzech etapów. Pierwszy to wywołanie przekonania u niemieckich obserwatorów, że wykonuje standardowe manewry sprawdzające, które mają na celu upewnienie go, że nie jest śledzony. Drugi to umożliwienie Niemcom „odkrycia”, że z dużym prawdopodobieństwem jest powiązany z Rosjanami. Trzeci to naprowadzenie tamtejszych służb na Uwe Delitza.

Gordon, widząc sceptyczny wyraz twarzy Szczęsnego, postanowił inaczej zaprezentować całą ideę.

– Spróbuję przedstawić całą akcję bardziej sugestywnie – powiedział. – Wyobraźmy sobie rzecz następującą. Policja niemiecka otrzymuje prośbę od polskich partnerów, by poprowadzić inwigilację bezpośrednią obywatela polskiego o nazwisku X jadącego do Berlina. Z korespondencji wynika, iż został on wskazany przez informatora jako kurier organizacji przestępczej, która podlega międzynarodowemu rozpracowaniu.

– Skąd wiecie, że nasz człowiek będzie musiał jechać do Berlina? – Generał doszukał się luki.

– Prześledziliśmy dokładnie wszystkie dostępne informacje na temat Uwe Delitza i wynika z nich, że przed nominacją na doradcę kanclerza pracował przez wiele lat na uniwersytecie w Poczdamie. Stąd wniosek, że albo mieszka w tym mieście, albo w pobliskiej stolicy Niemiec, albo na otaczającym ją obszarze – wytłumaczył naczelnik. – Wysłaliśmy już zlecenie do szefa naszej rezydentury w Berlinie, by ustalił adres zamieszkania oraz sporządził dokumentację fotograficzną.

Do roli referenta powrócił Lent.

– Idźmy zatem dalej. Niemiecka policja otrzymawszy od CBŚP informację, że pan X porusza się samochodem danej marki i koloru o określonych numerach rejestracyjnych, przejmuje jego obserwację od Polaków po przekroczeniu przez niego granicy. Jedzie za nim do Berlina i ustala, w jakim ten melduje się hotelu. I tu rozpoczyna się pierwszy etap akcji. Wykonawca inspiracji realizuje przygotowaną przez nas trasę sprawdzeniową. Innymi słowy, podczas marszruty po mieście



wykonuje szereg manewrów, które umożliwią niemieckim obserwatorom zorientowanie się, że figurant realizuje jakieś poważne zadanie. Dochodzimy do drugiego etapu, w którym chodzi o „odkrycie” przez Niemców prawdopodobnych powiązań pana X z Rosjanami. Tu wykorzystamy naszą wiedzę operacyjną na temat jednego z oficerów SWR, który rezydował kiedyś w Warszawie pod przykrywką ambasady rosyjskiej, a obecnie kontynuuje swoją działalność jako pierwszy sekretarz berlińskiej placówki dyplomatycznej. Jakiś czas temu przekazaliśmy BND całą wiedzę na jego temat, stąd możemy założyć, że jest on obserwowany przez niemiecki kontrwywiad. Rosjanin ma pewną namiętność, dzięki której zrealizujemy nasz cel.

– Namiętność?! Jaką?! – Generała wciągnęła sugestywna opowieść.

– Uwielbia grać w kręgle – padła odpowiedź.

– I jak to chcecie wykorzystać?

– Z polecenia centrali jeden z oficerów z naszej rezydentury w Berlinie utrzymuje od dość dawna relacje towarzyskie z Rosjaninem – odparł zastępca do spraw operacyjnych. – Stąd wiemy, w której berlińskiej kręgielni realizuje swoją pasję. Wykonawca inspiracji po zrealizowaniu trasy sprawdzeniowej uda się do tego klubu i rozegra z oficerem SWR kilka partii. To wystarczy, żeby Niemcom zapaliła się czerwona lampka. Liczymy bowiem na to, że dojdzie do nawiązania kontaktu pomiędzy policją a kontrwywiadem. Powinno ich zainteresować to, dlaczego dwóch figurantów grało ze sobą oraz o czym rozmawiali podczas rzucania kulami.

– A jak spowodujecie, żeby w ogóle doszło do ich spotkania?

– Rosyjski dyplomata rezerwuje tor na każdy piątkowy wieczór. Do tego uwielbia grać na pieniądze. Wykonawca inspiracji po prostu zaproponuje mu pojedynek na kasę.

– Świetnie to wymyśliliście, ale nie obawiacie się, że to wszystko jest uszyte trochę zbyt grubymi nićmi? Przecież to na kilometr cuchnie inspiracją. – Szef Agencji był pełen wątpliwości.

– Proponuję, by oceny koncepcji dokonać, jak skończę – odparł Lent. – Teraz przejdźmy do etapu trzeciego, czyli do naprowadzenia niemieckich służb na Uwe Delitza. Otóż następnego dnia wykonawca inspiracji znowu będzie realizować trasę

sprawdzeniową, aż do zapadnięcia zmroku. Gdy nastanie wieczór, uda się do miejsca zamieszkania doradcy, by wykonać tam coś, co będzie sugerowało przekazanie doradcy znaku.

– Znaku? Nie rozumiem. Jakiego znaku? – przerwał Szczęsny.

– Chcielibyśmy, żeby Niemcy zinterpretowali to jako pozostawienie sygnału do zaktywizowania Deiltza. Na przykład do stawienia się na spotkanie albo odbioru instrukcji, albo wykonania jakiegoś zadania, albo wręcz ostrzeżenia przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

– Innymi słowy, chcecie, żeby Niemcy „odkryli” fragment systemu łączności pomiędzy rosyjskim wywiadem a ich szpiegiem w osobie Uwe Delitza?

– Tak – odpowiedzieli niemal jednocześnie pułkownicy.

Generał zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł, znowu sceptycznie:

– Dalej to wszystko wydaje mi się zbyt naiwne. Nie jestem pewien, czy spece z niemieckiego kontrwywiadu dadzą się na to nabrać.

– Ależ dlaczego? – Lent postanowił bronić koncepcji. – Po pierwsze, w branży wywiadowczej powszechnie wiadomo, że SWR oraz GRU wykorzystują organizacje przestępcze do realizacji różnych zadań. Po drugie, podejrzenia, że rosyjski wywiad uczestniczy w praniu brudnych pieniędzy, też nie są bezpodstawne i wysuwa je większość służb w Unii Europejskiej. Po trzecie, naszym celem nie jest udowodnienie, że Delitz pracuje lub może pracować dla Rosjan, a jedynie zwrócenie na niego uwagi kontrwywiadu. Jak myślisz, Krzysiu, jakie wnioski przyjmą nasi niemieccy koledzy, jeśli facet, który dwa dni sprawdzał, czy nie jest śledzony, i w międzyczasie wszedł w kontakt z oficerem SWR, na koniec swojego pobytu w Berlinie, pod osłoną nocy, pozostawi materialny ślad swojej działalności w miejscu, do którego będzie miał dostęp wyłącznie doradca kanclerza?

– Oficerowie niemieckiego kontrwywiadu będą zapewne rozważać trzy opcje – włączył się Gordon. – Po pierwsze, przyjmą założenie, że to rosyjska prowokacja mająca na celu dyskredytację powiernika szefa niemieckiego państwa. Będzie to dla nich wiarygodna interpretacja wynikająca z wiedzy o działaniach Rosji w Unii i USA, których celem była destabilizacja systemów politycznych oraz wpływanie na procesy wyborcze. Po drugie, na pewno nie wykluczą możliwości, że młody Delitz pracuje dla obcego wywiadu. Po trzecie, rozważą najmniej prawdopodobną

wersję, według której wszystko, co zaobserwowali, mogło być przypadkiem i zwykłym nieporozumieniem. Nam przyniesie to konkretną korzyść: Niemcy nabiorą podejrzeń, że Rosjanie coś kombinują, by wpłynąć na pozycję kanclerza, a tym samym na stabilność wewnętrzną państwa.

– Taaak – mruknął pod nosem Szczęsny. – To wydaje się logiczne, ale co będzie, jeśli Niemcy nie wyciągną takich wniosków, jakich sobie życzyacie?

– Na pewno zostaną zmotywowani do działania – odrzekł zastępca do spraw operacyjnych. – Chcąc dociec, o co w tym wszystkim chodziło, będą musieli przyjrzeć się sprawie, czyli poobserwować Delitza, zbadać jego kontakty, prześwietlić finanse oraz ocenić poczynania zawodowe. A przecież my zakładamy, że Rosjanie nie zrezygnują z werbunku doradcy. Oceniliśmy także, że pozyskanie go do współpracy jest wysoce prawdopodobne.

– Moim zdaniem już tego dokonali i teraz dyskontują sukces. – Naczelnik wydziału kontrwywiadowczego był niemal pewny tego, co powiedział. – Istnieją więc duże szanse, że niemieckie służby wykryją zdradę i tym samym nasze cele zostaną zrealizowane.

– A gdzie chcecie, by wykonawca inspiracji pozostawił ów znak, i co to miałyby być? – Szef Agencji jak zwykle był dociekliwy.

Odpowiedział Lent:

– Najlepiej, gdyby można było umiejscowić znak na prywatnym samochodzie Delitza albo w skrzynce na listy w miejscu jego zamieszkania. Jeśli chodzi o pojazd, to wystarczyłoby, żeby nasz człowiek pozostawił na oczach niemieckich obserwatorów niewielką wlepkę, na przykład przy klamce od drzwi kierowcy. Jeśli chodzi o skrzynkę, to wystarczyłoby wrzucić niewłaściwie zaadresowaną kartkę pocztową z pozdrowieniami od fikcyjnego nadawcy. Co prawda, coraz mniej ludzi wysyła widokówki, ale mimo wszystko ta forma korespondencji jeszcze funkcjonuje. Zresztą odkrycie takiego faktu dałoby dużo do myślenia niemieckiemu kontrwywiadowi.

– Stwierdziliby, że to coś niewiarygodnego – zareagował Szczęsny.

– Raczej, że Rosjanie przywiązują wielką wagę do ochrony swojego źródła, dlatego też boją się używać elektronicznych kanałów komunikacji – przeciwstawił

się Gordon. – To bardzo logiczne uzasadnienie świadczące zarazem o tym, że sprawa jest niezmiernie poważna.

W gabinecie zaległa cisza. Podwładni oczekiwali na ocenę przełożonego. Ten długo rozmyślał nad wszystkim, co usłyszał. W końcu przemówił:

– Sądzę, że wstępnie można zaakceptować waszą koncepcję. – Uśmiechnął się, gdyż zauważył, jak z jego oficerów zeszło powietrze. – Przeczytam oczywiście szczegółowo to, co napisaliście, i najpóźniej za kilka dni ostatecznie zdecyduję, czy będziemy ją realizować. Jeśli tak się stanie, to będziemy musieli zrobić także wersję przeznaczoną dla politycznych decydentów, na podstawie której podejmę próbę uzyskania autoryzacji dla działań w Niemczech. Z oczywistych względów nie może być w niej ani słowa o kombinacji, jaka zostanie wykonana w oparciu o nieoficjalną współpracę z zastępcą komendanta CBŚP.

Podwładni pokiwali głowami na znak, że się zgadzają.

– Pozostaje mi tylko zadać jeszcze jedno pytanie. Kto będzie wykonawcą inspiracji?

Pułkownicy trzeci już raz podczas tego spotkania spojrzeli na siebie. Odpowiedział Gordon:

– Zygmunt Vesely.

– Dlaczego on? – zdziwił się generał.

– Za tą kandydaturą przemawiają dwa istotne fakty – odparł Lent. – Po pierwsze, nie można go skojarzyć z naszą Agencją, a po drugie, jest policjantem. Wykonywany zawód uzasadni posiadanie przez niego umiejętności sprawdzania się, w celu wykrycia inwigilacji bezpośredniej. O tym będzie można zresztą powiadomić Niemców, co dodatkowo uwiarygodni inspirację.

– Poza tym – wtrącił się Gordon – jest bystry, szybko się uczy, co gwarantuje, że jego przygotowanie do akcji nie będzie trwało długo. No i posiada jeszcze jedną cechę, która wyjątkowo za nim przemawia: znakomicie się już sprawdził, współpracując z nami.

– To rzeczywiście przekonujące argumenty – rzekł szef AW. – Pytanie tylko, czy krakowski policjant zgodzi się wykonać takie zadanie?

– Na pewno – odparł z przekonaniem naczelnik. – Praca dla Agencji bardzo mu imponowała, a poza tym on uwielbia uczestniczyć w czymś niezwykłym

i doniosłym.

– To świetnie. – Szczęsny ucieszył się. – W takim razie pozostał jeszcze do omówienia sposób utajnienia naszych działań.

Ciekawość przełożonego postanowił zaspokoić Lent:

– Najogólniej rzecz biorąc, realizacja operacji opierałaby się na aktywności dwóch osób: zastępcy komendanta CBŚP oraz Veselego. Szefa naszej rezydentury w Berlinie oraz jego podwładnego nie bierzemy pod uwagę, chociaż uczestniczą oni w wycinku prac przygotowawczych. Mamy do nich po prostu zaufanie. Zarówno policjant z Warszawy, jak i z Krakowa nie będą mieć pojęcia, że istnieje na świecie ktoś taki jak Uwe Delitz. Dodatkowo podkomisarzowi przedstawi się fałszywą historię uzasadniającą konieczność jego udziału, której celem będzie zamaskowanie związków jego działań w Berlinie z tymi, jakie prowadził w Krakowie.

– Ten Vesely jest tu mniej istotny, bardziej obawiałbym się zachowania policjanta z CBŚP – powiedział generał. – Czy możemy liczyć na jego lojalność w przypadku, jeśli nie zostałby komendantem? Czy frustracja z tego powodu nie wyzwoli w nim chęci odwetu? – Szczęsny zwrócił się do Gordona.

– To bardzo inteligentny facet – odparł naczelnik. – Rozumie doskonale, że nikt nie może mu zapewnić awansu w stu procentach. Znam go od ponad dwudziestu lat i wiem, że nas nie zdradzi. Nie będzie to zresztą w jego interesie, gdyż chcąc się na nas odegrać, musiałby ujawnić własne postępowanie, które, mówiąc krótko, będzie nielegalne. To jest nasz wentyl bezpieczeństwa.

– Przekonałeś mnie! – Szef Agencji zatarł dłonie w geście ukontentowania. – A zatem jak tylko zapoznam się z pisemną wersją koncepcji całej operacji i nie narodzą się u mnie jakieś poważniejsze zastrzeżenia, to przystąpimy do jej realizacji. Dobra robota, panowie – pochwalił podwładnych. – Wszystko nabrało wreszcie rumieńców. – Generałowi wróciła wiara w pomyślne zakończenie afery wynikłej ze zdrady Leszka Zilbera.

\*\*\*

Kilkanaście dni później szef Agencji Wywiadu oraz jego zastępca do spraw operacyjnych wsłuchiwali się uważnie w to, co mówił pułkownik Gordon, który

dopiero co przybył z Krakowa.

– Niestety, pomimo moich nalegań Vesely kategorycznie odmówił wykonania zadania w Niemczech – oświadczył naczelnik.

Spojrzał na szefa Agencji. Twarz przełożonego skamieniała, to, co usłyszał, wprawilo go w podły nastrój. Zadumał się. Znowu pojawiła się nieprzewidziana przeszkoda w realizacji jego planów. A wszystko było już prawie dopięte na ostatni guzik. Zwrócił się do Gordona:

– Kiedyś ci poleciłem, Jurek, żebyś przygotował jakieś efektywne narzędzie nacisku na tego policjanta. Zrobiłeś to?

– Nie było takiej potrzeby.

– No to wymyśl coś, do cholery, żeby można go było zmusić do współpracy! – Generał podniósł głos, co mu się bardzo rzadko zdarzało.

– Możemy przecież zaangażować kogoś nowego – stwierdził pojednawczo Lent.

– Nie ma czasu na szukanie – odparł Szczęsny. – Nie mówiłem wam jeszcze, ale minister koordynator wraz z premierem wstępnie zaakceptowali koncepcję inspiracji.

– Autoryzowali operację?! – zasyczał z emocji Gordon. Obaj pułkownicy zrobili wielkie oczy.

– Jeszcze nie, ale zrobią to. Kosztowało mnie to, co prawda, wiele zachodu, ale udało mi się ich przekonać. Mało tego, sprawą zainteresował się także najważniejszy decydent w kraju!

– Chyba żartujesz! – tym razem syknął z wrażenia zastępca.

– Ani trochę. Dzisiaj zadzwonił do mnie minister koordynator. Przyznał się, że wypaplał wszystko prezesowi, a ten ponoć zachwycił się naszym pomysłem. Jak znam życie, to koordynator przypisał sobie współautorstwo koncepcji, więc możemy mieć pewność, że otrzymamy oficjalną zgodę na działanie, ale z drugiej strony, nie możemy się wycofać. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Nie możemy także ponieść porażki. Rozumiecie zatem moje zdenerwowanie?

Podwładni pokiwali głowami.

– Doszedłem także do wniosku, że to musi być Vesely! – Kilka dni temu w głowie szefa wywiadu narodził się pomysł jeszcze innego wykorzystania osoby

podkomisarza.

– Dlaczego? – spytał niespokojnie Gordon.

– O tym powiem wam innym razem. Muszę jeszcze przemyśleć niektóre kwestie.

– A jak w ogóle premier i minister koordynator odnieśli się do możliwości zwerbowania przez Rosjan doradcy kanclerza Niemiec przy wykorzystaniu dawnego polskiego nielegala? – zastępca powrócił do najważniejszego wątku.

– Zdziwicie się, ale jak dowiedzieli się, że chodzi o esbeckiego agenta, to nie okazali szczególnych emocji. Tylko minister koordynator spytał przytomnie, czy jego ewentualne ujawnienie może negatywnie wpłynąć na stosunki z Niemcami. Zgodnie z naszymi ustaleniami odpowiedziałem, że tak. Wtedy premier zakomunikował tylko, że w kontekście przyszłorocznych wyborów prezydenckich<sup>64)</sup> dla niego najważniejsza jest stabilność polityczna w kraju.

---

64) Chodzi o wybory prezydenckie, które odbyły się 28 czerwca 2020 roku.

– Przecież to świadczy o tym, że facet w ogóle nie rozumie, co może wyniknąć z tej afery, jeśli nie przejmie inicjatywy. – Lent nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Też byłem w szoku – potwierdził generał. – Ale na wszelki wypadek niczego nie wyjaśniałem. Bałem się, że się przestraszy, odmówi nam autoryzacji i zechce o wszystkim powiadomić Berlin. Zresztą tak jak przypuszczałem, interesowały go tylko korzyści wizerunkowe, jakie mógłby uzyskać dzięki realizacji naszej akcji. Przedstawiłem więc spodziewane zyski polityczne. Szczególnie spodobała mu się możliwość zneutralizowania postawy Berlina wobec łamania praworządności w Polsce. Wydaje mi się, że ten argument był decydujący.

– Ale czy oni rozumieją ryzyko, jakie wiąże się z naszymi działaniami? – Zastępca szukał dziury w całym.

– Przecież wiesz doskonale, że nie – odparł ze śmiechem generał. – Oczywiście musiałem im obiecać, że wszystko potoczy się bez wpadek.

– Obiecałeś coś takiego?! – Lent nie wierzył.

– Uspokój się, Radek! Pamiętaj, że naszym głównym celem jest uzyskanie autoryzacji z podpisami premiera i ministra koordynatora. Jak tylko uzyskamy taki

dokument, to będziemy mogli odtrącić zwycięstwo! A potem dołożymy wszelkich starań, by wziąć odwet na Rosjanach! – Ostatnie zdanie szef Agencji wypowiedział niezwykle poważnie, a nawet mściwie. ■



## RETROSPEKCJA VI. MONACHIUM, LISTOPAD 1989 ROKU

Piwiarnia Hofbräuhaus tonęła w hucznym i wesołym gwarze. Adalbert przeciskał się przez tłum lokalnych piwoszy pomieszanych z turystami z całego świata. Nie było wolnych miejsc, więc duża część gości spożywała złocisty trunek na stojąco.

Szukał Jana. W zeszłym tygodniu otrzymał znak wywołujący go na pozaplanowe spotkanie. Nie zdziwiło go to, a nawet, w związku z ostatnimi wydarzeniami w Polsce i NRD, spodziewał się wizyty przedstawiciela centrali.

Lipski siedział przy jednej z wieloosobowych ław. Nawiązali kontakt wzrokowy. Delitz podszedł w jego pobliże i spytał kogoś dość głośno, tak by oficer z Warszawy mógł usłyszeć, o drogę do toalety, po czym udał się we wskazanym kierunku.

Do pisuarów była kolejka. Gdy Jan stanął za nim, udając zniecierpliwienie, odwrócił się i powiedział cicho po polsku: „Plac Am Kosttor, volvo kombi, przy fontannie, niedaleko stąd”, po czym oddalił się.

Lipski miał problem z odnalezieniem auta w wieczornej, listopadowej ciemności. Dopiero kiedy Adalbert mrugnął światłami, zauważył pojazd. Podszedł szybko i wsiadł do środka. Przywitani się bardzo serdecznie. Nielegał odpalił silnik i odjechali.

– Pojedziemy za miasto, będziemy rozmawiać w samochodzie – zakomunikował Delitz.

– Obawiasz się czegoś?

– Nie, po prostu tak będzie najwygodniej i najbezpieczniej.

– Sprawdziłeś się przed przyjściem do piwiarni? – Lipski zaczął od standardowego pytania.

– Oczywiście. Było czysto, jak zawsze. Możesz być spokojny.

– Jestem spokojny, jednak obecnie musisz być szczególnie ostrożny. – Oficer centrali wypowiedział to niezwykle poważnym głosem.

– To ze względu na to, co się dzieje w Warszawie, czy z uwagi na wizytę kanclerza w Polsce i upadek muru w Berlinie65)?

---

65) Mur Berliński – mur (a w zasadzie system umocnień) odgradzający Berlin Zachodni od Berlina Wschodniego i NRD. Zbudowany w 1961 roku, upadł w nocy z 9 na 10 listopada 1989 roku podczas wizyty w Polsce kanclerza RFN Helmuta Kohla.

– Ze względu na wszystko – odparł Jan. – Na spotkaniu, jakie odbyliśmy zaraz po wyborach<sup>66)</sup>, powiedziałem ci, że nasz świat, w którym do tej pory żyliśmy, kończy się. Nie przypuszczałem jednak, że dojdzie do tego tak prędko.

---

66) Chodzi o pierwsze, częściowo wolne (kontraktowe) wybory parlamentarne, jakie odbyły się 4 czerwca 1989 roku w Polsce.

Zamilkli. Adalbert prowadził pewnie, więc szybko zmierzali ku granicom Monachium. Po kilkunastu minutach zatrzymali się na pustym parkingu przy kompleksie leśnym Forstenrieder Park.

– Podejrzewam jednak, że wywołałeś mnie przede wszystkim z powodu upadku muru? – Delitz odezwał się, gdy zgasił silnik.

– Zgadza się. Sytuacja zmieniła się diametralnie. Musimy liczyć się z tym, że dwa państwa niemieckie się połączą, a to stanowi dla Polski ogromne wyzwanie, zwłaszcza w kontekście ostatecznego uznania naszej zachodniej granicy. W Warszawie obawiają się, że zjednoczone Niemcy mogą wejść na ścieżkę polityki dążącej do zmian terytorialnych.

– To prawda, że w Bonn<sup>67)</sup> jest grupa tak zwanych „jastrzębi”, którzy chcieliby rewizji granicy, ale oni nie mają praktycznie żadnej siły sprawczej. Natomiast faktem jest, że prace nad połączeniem NRD i RFN już trwają. Pod koniec tego miesiąca kanclerz ogłosi plan zjednoczenia<sup>68)</sup>.

---

67) Ówczesna stolica Republiki Federalnej Niemiec.

68) Kanclerz RFN Helmut Kohl ogłosił dziesięciopunktowy plan zjednoczenia Niemiec 28 listopada 1989 roku.

– Jesteś tego pewny? – Lipski zadrzał z podniecenia.

– Mam dla ciebie założenia koncepcyjne tego dokumentu. – Adalbert tryumfująco się uśmiechnął.

– Żartujesz! Jak ci się udało coś takiego zdobyć?

– Pamiętasz Carla Ebersberga?

– Oczywiście – odrzekł Jan. – To były wiceprzewodniczący CSU, dzięki któremu jesteście w zespole doradczym zajmującym się Ostpolitik.

– Kilka lat temu przeniósł się do Bonn. Jego aktywność w obszarze polityki wschodniej pozwoliła mu wykreować się na jednego z najbardziej kompetentnych polityków w tym zakresie. Zaraz po upadku muru kanclerz mianował go szefem zespołu do negocjacji z Polską na okres procesu zjednoczeniowego<sup>69</sup>).

---

69) Autor zainspirował się działalnością Horsta Teltschika, bliskiego doradcy i powiernika kanclerza Helmuta Kohla, który w latach 1989 – 1990 pełnił funkcję Specjalnego Pełnomocnika do Negocjacji z Polską (Sonderbeauftragter für die Verhandlungen mit Polen).

– Jak jeszcze mi powiesz, że masz do niego dostęp...

– Mam. Zespół doradczy, którego jestem członkiem, cały czas pracuje dla niego. A obecnie zdynamizował swoją działalność. Chyba nie muszę ci wyjaśniać, jakie zadania wykonuje.

– To fenomenalne! – Lipski nie mógł wprost uwierzyć w to, co usłyszał.

W samochodzie zapanowała cisza. Obaj poczuli smak sukcesu, a tym samym uświadomili sobie, jak ważna rozgrywka stała się ich udziałem.

– Jak myślisz, w jakim kierunku to wszystko się rozwinie? – Milczenie przerwał oficer centrali.

– Teraz najważniejsze jest zjednoczenie Niemiec i wszystko zostanie temu podporządkowane. Jeśli chodzi o Polskę, to słyszałem, że nasz premier<sup>70</sup>) dał jednoznacznie do zrozumienia kanclerzowi, że PRL to już przeszłość i strategicznym celem Warszawy jest powrót do wspólnoty Zachodu. Niemiecki rząd tego nie odrzuca i najpewniej wesprze te dążenia, ale nie za darmo.

---

70) Premierem był ówczesnie Tadeusz Mazowiecki.

– Czy cena została już określona?

– Tego jeszcze nie wiem, ale dowiem się, masz na to moje słowo! – Delitz był przekonany, że tego dokona.

Znowu zamilkli. Błądzili myślami w przyszłości. Tym razem rozmowę wznowił Adalbert.

– Powiedz mi, Janek, skoro Polska Ludowa się kończy, to co będzie ze mną?

Lipski jeszcze w Warszawie przygotował się do odpowiedzi na to pytanie.  
Odparł głosem niebudzącym wątpliwości:

- Będziesz służył nowej Polsce! Ja także!
- A jaka ona będzie?
- Inna.
- Ale nasza?
- Miejmy nadzieję, że lepsza. ■

Klang dzwonka dotarł do świadomości Zygmunta i kazał mu otworzyć oczy. Spojrzał na wyświetlacz smartfona i stwierdził, że jest tuż przed szóstą. „Przecież dziś sobota” – uświadomił sobie i szczęśliwy, że nie musi iść do pracy, opadł na poduszkę. Dźwięk powtórzył się, tyle że teraz bardziej natarczywie. Na wpół przytomny podkomisarz skojarzył, że nie jest to sygnał budzika z jego telefonu, lecz ktoś dobija się do mieszkania. Wstał i poczłapał do drzwi wejściowych.

– Kto tam? – spytał głosem zdradzającym stan dopiero co rozbudzonego i na dodatek niewyspanego człowieka.

– Z komendy – doleciała go przytłumiona odpowiedź.

Nie zastanawiając się, Vesely przekręcił klucz w drzwiach. Nie zdążył ich otworzyć, gdyż jakaś potężna siła wepchnęła je razem z nim do środka. Zanim pojął, co się stało, dwie wielkie postacie w ciemnych kombinezonach i kominiarkach na głowach wpadły do mieszkania i momentalnie obaliły go na ziemię, krzycząc naprzemiennie: „Gleba, kurwa, gleba!”. Zaraz potem poczuł, jak jeden z atakujących przystawił mu do głowy końcówkę gładkolufowej strzelby. Oprócz tych dwóch do wnętrza wszedł jeszcze jeden mężczyzna. Pochylił się nad leżącym, podsunął mu pod nos legitymację, z której wynikało, że jest inspektorem CBŚP, i oświadczył, że zatrzymuje go do dyspozycji prokuratora. Całe zajście tak przstraszyło Veselego, że aż dostał szczękościsku. Leżąc, drżał na całym ciele, zaś w okolicach krocza poczuł ciepło – pęcherz nie wytrzymał naporu emocji. W końcu jednak zdobył się na wysiłek, pokonał paraliż szczęki i zadał wręcz spazmatycznym głosem pytanie: „O co tu chodzi?!”. W odpowiedzi usłyszał gromkie: „Stul ryj, kurwa!”, zaś ból powstały od jeszcze silniejszego nacisku strzelby właściwie uniemożliwił mu mówienie.

Nie wiedział, dokąd go wieźli. Skuty kajdankami siedział w zaciemnionym wnętrzu tylnej części policyjnego samochodu pomiędzy ogromnymi facetami w kominiarkach. Na początku jazdy prosił o udzielenie jakichkolwiek informacji, lecz ich uporczywe milczenie spowodowało, że zrezygnował z ustalenia, w jakiej sytuacji się znalazł.

Po kilkudziesięciu minutach ochłonął na tyle, że powróciła mu zdolność analitycznego myślenia. Postarał się przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się w mieszkaniu. Przed oczyma mignęła mu legitymacja inspektora CBŚP oraz jakiś kwit, który ów funkcjonariusz podsunął mu przed oczy, mówiąc, iż to prokuratorski nakaz aresztowania. Był jednak tak roztrzęsiony, upokorzony, a na dodatek zawstydzony tym, że się zsikał, iż nawet nie obejrzał dokumentu z należytą uwagą. Jego oświadczenie, że też jest policjantem, oraz prośba o kontakt z krakowską komendą zostały milcząco zignorowane. Potem, gdy już pozwolono mu się ubrać, pojawił się facet z dużym plastikowym pudłem, jakich używa się do transportu zwierząt domowych, z którego wyskoczył niewielki, śmieszny foksterierek. Oznaczało to, że czegoś poszukiwano.

Niemal automatycznie skojarzył najazd CBŚP z niedawną wizytą Gordona. Oficer przybył do Krakowa, by prosić o wykonanie jakiegoś zadania w Niemczech. Podkomisarz od razu powiązał je ze sprawą Adalberta Delitza. Wyraził głośno swoją opinię, lecz przedstawiciel Agencji zaprzeczył kategorycznie, stwierdzając, że chodzi o coś zupełnie innego. Mało tego, pułkownik skłamał, mówiąc, że odnaleziony przez Zygmunta w Monachium Niemiec nie był poszukiwanym nielegalnym. To nakazywało być niezwykle czujnym.

Na pytanie o szczegóły oficer wywiadu zastrzegł, że przekaże je dopiero po wyrażeniu zgody na uczestnictwo w akcji. Zaznaczył jednak, że chodzi jedynie o wykonanie drobnych, i do tego niepozornych, za to w pełni bezpiecznych czynności. Konieczność udziału podkomisarza w przedsięwzięciu uzasadniał tym, iż polski wywiad nie może oficjalnie operować na terytorium tak bliskiego sojusznika, jakim dla Polski są Niemcy. Vesely nie dał temu wiary, więc pułkownik zaczął się odwoływać do zaufania, jakim Agencja obdarza policjanta, oraz do jego doświadczenia zdobytego podczas poszukiwań peerelowskiego agenta. Sposób zachowania warszawiaka, odczuwalna presja oraz enigmatyczność spowodowały, że Zygmunt przypomniał sobie słowa ostrzeżenia przed współpracą z wywiadem, jakie wygłosił, jeszcze przecież nie tak dawno temu, stryj Maciej. Wtedy zdecydował się odmówić.

Gordon jednak nie dał za wygraną. Zakomunikował, że naruszy zasady i naszkicuje charakter misji. Według jego słów należało udać się do Berlina

i Poczdamu, pochodzić w tych miastach według przygotowanych tras, by na koniec wrzucić zwykłą widokówkę do wytypowanej skrzynki pocztowej. Oficer uzyskał jednak przeciwny efekt do zamierzonego. Banalność czynności jeszcze bardziej wystraszyła podkomisarza, co sprawiło, że odmówił definitywnie. Wtedy to policjant po raz pierwszy w historii znajomości z pułkownikiem zobaczył w jego oczach autentyczny, nieskrywany gniew.

Vesely gryzł się tym, że odmówił, aż do momentu, kiedy to uzmysłowił sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, Uwe Delitz pracował na uniwersytecie w Poczdamie, a teraz doradza kanclerzowi Niemiec w Berlinie, co naturalnie wiązało się z lokalizacją zadania, jakim chciano go obarczyć. Po drugie, pułkownik mógł go okłamać w sprawie Adalberta tylko dlatego, że w Agencji Wywiadu panowało zapewne przekonanie, iż podkomisarz nie posiada wiedzy o doradcy kanclerza i nie domyśla się, że cała gra toczy się właśnie o niego. Tajemnica, jaką Gordon otaczał rzeczywisty cel zadania, mogła świadczyć o korelacji misji z tym, co Zygmunt wykonywał dla wywiadu w Krakowie.

Te dwa spostrzeżenia uwolniły go od rozterki, w jakiej tkwił, i upewniły, że postąpił właściwie. Podskórnie bowiem wyczuwał, że odmawiając pułkownikowi, uchronił się od udziału w niebezpiecznej aferze.

Po kilku godzinach jazdy samochód zatrzymał się. Jeden z goryli założył więźniowi na głowę czarny worek, jakby Vesely był jakimś terrorystą. „To dla twojego bezpieczeństwa” – drugi strażnik zakomunikował głosem nieznoszącym sprzeciwu. Na pytanie, dokąd go przywieziono, znowu nie usłyszał odpowiedzi.

Odebrali mu pasek od spodni oraz wyjęli sznurówki z butów, po czym wpakowali do celi. Zygmunt ściągnął worek i rozejrzał się po pomieszczeniu. Sprawiało wrażenie, jakby od dawna nie było używane. Dominował kurz oraz rdza. Poczł zimno. Wzdrygnął się, chcąc uwolnić się od nieprzyjemnego uczucia. „A więc tak wygląda ręka sprawiedliwości?” – pomyślał. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, co przeżywają przestępcy, gdy zostaną ujęci i trafiają do takiego miejsca, w jakim on sam się teraz znajdował.

Usiadł na twardej pryczy. Po kilku minutach położył się i przykrył grubym kocem, który o dziwo pachniał świeżością. Zamknął oczy. Wyobraził sobie, że wszystko, co dzisiaj przeżył, to tylko sen. Że zaraz się obudzi i pójdzie pod gorący

prysznic w swojej łazience. Niewyspanie, stres oraz zmęczenie podróżą zawładnęły jego ciałem. Zasnął.

\*\*\*

– Jak tam Vesely? – Lent spytał Gordona, który dopiero co wszedł do gabinetu szefa Agencji Wywiadu.

– Zrzuciłem mu na szyję pętlę i za kilka godzin ją zacisnę – odparł obrazowo naczelnik.

– Jak przeżył aresztowanie? – Szczęśny od czasu wydania polecenia użycia szantażu wobec podkomisarza zmagął się z własnym sumieniem.

– Zeszczął się ze strachu. – Pomimo groteskowego przedstawienia sytuacji w głosie naczelnika wydziału kontrwywiadowczego nie można było usłyszeć nic ironicznego. – Był kompletnie rozbity, wręcz zszokowany. Chłopaki z CBŚP tak sprawnie i szybko weszli do mieszkania, że nie zdążył nawet zareagować.

– Narobili hałasu? Pojawili się jacyś świadkowie? – dopytywał zastępcę.

– Panowie! – Gordon uniósł lekko głowę, by dodać sobie siły przekonywania. – Wszystko poszło zgodnie z planem!

– A jak zareagowała ekipa na fakt, że rzecz dotyczy policjanta? – Lent wydawał się nadal nieuspokojony.

– O tym dowiedzieli się jeszcze przed akcją – odpowiedział naczelnik. – I ponoć nie zrobiło to na nich specjalnego wrażenia. Przypominam, że funkcjonariusze biorący udział w ujęciu Veselego to zaufani i sprawdzeni ludzie mojego przyjaciela. Zgodnie z legendą przekazano im, że zatrzymany to członek zorganizowanej grupy przestępczej, którego ich zwierzchnik chce przerobić na konfidenta. Tym zamierzeniem uzasadniono także, dlaczego całe postępowanie odbiegało od standardowych procedur. Dla nas najważniejsze jest to, że nie poznali nazwiska więźnia. Nawet cela, w której znajduje się obecnie nasz podopieczny, została załatwiona nieoficjalnie. Jedynym słabym elementem jest podrobiony prokuratorski nakaz aresztowania, ale to teraz nieistotne. Jak tylko podkomisarz zostanie przeze mnie nakłoniony do współpracy, zamykamy cały kramik. Nie będzie po niczym śladu.



– Powiedz mi, Krzysiu – Lent spojrzął na szefa Agencji – dlaczego tak ci zależało, żeby to akurat Vesely był wykonawcą inspiracji?

Szczęśny zastanawiał się przez moment, czy już może udzielić odpowiedzi na to pytanie. Zdecydował, że tak.

– Obiektywnie rzecz biorąc, nikt z nas nie może się już wycofać z realizacji naszego planu, gdyż ugrzęźliśmy w nim po same uszy, co ma tę zaletę, że zmusza nas do determinacji w jego przeprowadzeniu. Biorąc pod uwagę tę okoliczność, uważam, że mogę już wam zdradzić, dlaczego ten krakowski policjant jest taki ważny. Otóż aby nasza inspiracja naprawdę się powiodła, musi zostać bardzo mocno uwiarygodniona.

– I tym uwiarygodnieniem ma być Vesely? – Gordonowi zrobiło się zimno, zrozumiał, do czego zmierzał generał.

– Zgadza się. Dwa, może trzy tygodnie po zakończeniu akcji w Niemczech twój przyjaciel z CBŚP musi oficjalnie zaarrestować podkomisarza i przekazać wiadomość o tym fakcie do Berlina. Informacja, że zatrzymano policjanta, na pewno przekona tamtejsze służby, że cała sprawa jest autentyczna, i tym samym odsunie wszelkie ewentualne podejrzenia od Agencji.

– Ale przecież Vesely sygnie nas na pierwszym przesłuchaniu! Opowie prowadzącemu śledztwo prokuratorowi o starym Delitzu i to wystarczy, żeby wszystko powiązać z nami oraz z berlińską inspiracją! Poza tym na pewno skorzysta z prawa do powiadomienia kogoś o swoim aresztowaniu, a wtedy przeciek do mediów jest tylko kwestią czasu... – Lent nie ukrywał swojego przerażenia pomysłem przełożonego.

– Do niczego takiego nie dojdzie – powiedział spokojnie szef AW. – Zaraz po formalnym zatrzymaniu wywieziemy go do jednej z willi w naszym ośrodku szkoleniowym na Mazurach. W stosownym momencie zwrócę się do komendanta głównego policji, żeby oficjalnie zdjął z niego odium przestępcy. Po wszystkim policjant spokojnie powróci do swojej pracy w krakowskiej komendzie. Zobaczycie, że jeszcze dzięki nam robi karierę! – Generał zaśmiał się z własnego pomysłu.

– To w ogóle realne? Myślisz, że podkomisarz tak po prostu pozwoli się wywieźć do Starych Kiejkut? – Gordon ze zdziwienia zamrugał śmiesznie oczami.

– Mamy go w garści, Jurek! Nie będzie miał wyjścia! – odparował Szczęsny. – Zresztą będziesz mu mógł zakomunikować, że osobiście dogadam się z ministrem koordynatorem, by ten załatwił u ministra sprawiedliwości zablokowanie postępowania prokuratorskiego w jego sprawie, a potem doprowadził do zniszczenia wszystkich kwitów, tak by nie pozostał żaden ślad po jego aresztowaniu. Nie będzie z tym najmniejszego problemu!

– Na pewno? – Naczelnik wydziału kontrwywiadowczego nie mógł uwierzyć w takie układy.

– System prokuratury jest upolityczniony i kontrolowany przez układ rządzący – odrzekł generał. – Minister sprawiedliwości ręcznie steruje śledztwami. Sprawa Veselego to nic wielkiego w porównaniu z tym, co się tam obecnie wyczynia. Ponadto nasz koordynator razem z szefem resortu sprawiedliwości są wspólnie uwikłani w nielegalny zakup środków techniki specjalnej<sup>71)</sup> dla służb, dlatego też jestem przekonany, że dojdą do porozumienia w tak błahej kwestii.

---

71) Chodzi o zakup w 2017 roku, przy wykorzystaniu środków finansowych z Funduszu Sprawiedliwości, m.in. oprogramowania szpiegującego o nazwie Pegasus umożliwiającego totalną inwigilację urządzeń telekomunikacyjnych z systemami iOS oraz Android.

Widząc jednak sceptyczne miny swoich podwładnych dodał:

– Wszystko, co na ten temat donoszą opozycyjne media, to prawda.

– Mogliśmy się wcześniej dogadać z Veselym w ten sposób. Nie byłoby z nim kłopotów – zauważył Lent.

– Mylisz się – zaripostował przełożony. – Nie mogliśmy. Wątpię, by podkomisarz zgodził się dobrowolnie odegrać rolę przestępcy. Nie uwierzyłby nam, że potrafimy go osłonić. Bałby się, że całe jego dotychczasowe życie może runąć w gruzy. Już sam fakt, że odmówił Jurkowi wykonania zadania w Niemczech, świadczy o tym, że mam rację. Poza tym wcześniej nie posiadaliśmy zabezpieczenia w postaci obietnicy autoryzacji dla naszych działań ze strony politycznych zwierzchników.

– A bierzesz pod uwagę to, że w ostatnim momencie politycy mogą wycofać swoje poparcie? – spytał naczelnik. – Tak naprawdę dalej nie mamy nic na piśmie.

– Lada dzień otrzymam stosowny dokument z kancelarii premiera. – Szczęsny nie miał żadnych wątpliwości.

– To może jednak lepiej poczekać i ułożyć się z Veselym, na przykład w oparciu o odkomenderowanie go do współpracy z nami przez komendanta głównego policji? – zaproponował Gordon.

– Wykluczone – zareagował generał. – Takie rozwiązanie mogłoby wpłynąć negatywnie na wiarygodność inspiracji. Musiałbym wytłumaczyć komendantowi, w czym rzecz, a to mogłoby poskutkować zaistnieniem przecieku. Drogi Jurku! – Szczęsny wbił wzrok w podwładnego. – Co by powiedział twój przyjaciel z CBŚP, gdyby jego koledzy oraz przełożony dowiedzieli się, że w sposób nieoficjalny współpracuje z wywiadem? Zastanawiałeś się nad tym?

Naczelnik zeszywniał, argument był nie do odparcia. Szef AW perorował dalej:

– Specyfikę misji w Berlinie znamy w całości tylko my. I tak ma pozostać. Kluczem do sukcesu w Niemczech jest utrzymanie rzeczywistych działań w całkowitej konspiracji. Do czasu zakończenia całej operacji podkomisarz musi tańczyć tak, jak mu zagramy. Zamykam dyskusję na ten temat!

\*\*\*

Obudziło go skrzypnięcie zasuw od drzwi do więziennej celi. Otworzył oczy i zobaczył wchodzącego Gordona. Momentalnie siadł na pryczy i już otwierał usta, by dać upust swojej złości, gdy oficer rzucił czymś w jego kierunku. Automatycznie złapał to. W rękach trzymał niewielki pakunek. Pułkownik podszedł do niego i bez słowa odebrał mu paczuszkę. Zygmunt był tak zaskoczony całą sytuacją, że nie odezwał się ani słowem. Spozrzegł natomiast, że jego niedawny towarzysz nosił na rękach cienkie lateksowe rękawiczki. Ocknął się i krzyżąc, dramatycznie spytał:

– Co ty, kurwa, ze mną wyprawiasz?! Mów natychmiast!!! No powiedz, skurwysynu!!! Co ty, kurwa, ze mną robisz?! – Alikwoty jego udręki jęknęły gdzieś pod stropem, jednak nie zrobiły najmniejszego wrażenia na oficerze wywiadu, który wyszedł, nic nie powiedziawszy.

Vesely uspokoił się. Wiedział już, że powodem jego aresztowania była odmowa wykonania zadania dla Agencji. Całe to przedstawienie zostało na pewno zorganizowane tylko po to, by go do tego przymusić. „Gordon będzie mnie szantażował” – pomyślał. „Ale czym?” – zastanowił się. Jego myśli poszybowały

do paczuski, którą przed chwilą trzymał w rękach. Nie zdążył jednak rozważyć jej znaczenia, gdyż ponownie usłyszał skrzyp zasuw.

Pułkownik wszedł i usadowił się na taborecie, jedynym oprócz pryczy meblu, na jakim można było usiąść. Na dłoniach nie miał już lateksowych rękawiczek. Obaj milczeli. Zygmunt czekał na to, co oficer mu zakomunikuje. Ten wpatrywał się w policjanta przez jakiś czas, po czym przemówił:

– Jest pan, podkomisarzu, bardzo inteligentnym człowiekiem, więc na pewno domyśla się, co sprawiło, że spotykamy się w takich okolicznościach. Zanim cokolwiek pan powie, proszę mnie wysłuchać.

Gordon spodziewał się wybuchu emocji, lecz nic takiego nie nastąpiło. Postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Oficjalnie sytuacja przedstawia się następująco. Centralne Biuro Śledcze Policji, prowadząc dochodzenie w sprawie międzynarodowej organizacji przestępczej, pozyskało w niej informatora, który wskazał pana jako osobę prowadzącą punkt przerzutowy.

– Przecież to bzdura! – Zygmunt pomimo przytłaczającej frustracji szczerze się zaśmiał. – Kto wpadł na tak absurdalny pomysł?

– Niech pan nie przerywa! – Pułkownik nie zraził się reakcją podkomisarza. – Podczas aresztowania przeszukano mieszkanie i znaleziono w nim paczkę, którą niedawno trzymał pan w dłoniach. Czy może domyśla się pan, co zawierała?

Vesely przypomniał sobie pewien fakt i odrzekł:

– Przywieziono wtedy foksteriera, a psy tej rasy wykorzystywane są do poszukiwania narkotyków.

– Zgadza się. Pozostawił pan odciski palców na kilogramie metamfetaminy o nazwie „crystal meth”.

– W jaki sposób ją podrzuciliście i skąd mieliście tyle amfy? – Zawodowa ciekawość zawładnęła na moment umysłem Zygmunta.

Gordon uśmiechnął się i odrzekł:

– Proszę nie sądzić, że zdradzę w tej chwili kulisy organizowania prowokacji wobec pana. Obiecuję jednak, że jeśli się dogadamy, to wyjawię wszystkie szczegóły. Aha, byłbym zapomniiał – dodał pułkownik z wyreżyserowaną na twarzy

prośbą o wyrozumiałość. – Oprócz narkotyków w mieszkaniu odnaleziono także dowód osobisty z pańską podobizną na nazwisko Konrada Bielakiewicza.

Vesely zeszywniał. Spróbował kontrataku.

– Naraża pan siebie oraz swoich zwierzchników. Mogę przecież wyjawić fakt, iż z archiwum Agencji zostały wykradzione dokumenty, i to najpewniej przez Rosjan. Media będą zachwycone takim newsem.

Oficer był przygotowany na takie zachowanie.

– Posiada pan nieaktualne informacje.

– Jak mam to rozumieć? – policjant zdziwił się.

– W naszym archiwum niczego nie brakuje. – Gordon wstał z taboretu i przechadzając się po celi, kontynuował: – Niech pan posłucha, podkomisarzu! Żyjemy w kraju, gdzie można w zasadzie mówić wszystko, co tylko podpowiada wyobraźnia. Jeśli zaś chce się stawiać zarzuty, trzeba się liczyć z tym, że ktoś zażąda dowodów.

– Dowodem jest śledztwo, jakie prowadziłem dla Agencji – zaripostował Zygmunt.

– Nigdy nie prowadził pan dla nas jakichkolwiek działań. – Oficer wywiadu uśmiechnął się cynicznie. – Nie istnieje ani jeden dokument, a także ani jeden świadek, który by to potwierdził.

– Tak pan sądzi, pułkowniku? – Podkomisarz już miał powiedzieć o nagraniach rozmów prowadzonych z Gordonem, ale zrezygnował, gdyż w ostatnim momencie przebiegło mu przez głowę, że popełniłby w ten sposób niewybaczalny błąd.

– Co pan ma na myśli? – Ten zaniepokoił się.

– Chociażby ów dowód osobisty. – Veselemu udało się wybrnąć z pułapki, którą sam na siebie zastawił. – Na jego podstawie meldowałem się w rzeszowskim hotelu, w którym także pan nocował. Mieliśmy nawet pokoje obok siebie.

– Nic z tego. W rejestrze gości hotelowych nie widnieje ktoś taki jak Jerzy Gordon. Był pan tak zaaferowany posługiwaniem się fałszywym dokumentem tożsamości, iż nie zwrócił uwagi na moje personalia.

– A niby jak mogłem wyrobić sobie lewy dowód osobisty? Tylko Agencja mogła to zrobić, wykorzystując dostęp do Wytwórni Papierów Wartościowych oraz

Centrum Personalizacji Dokumentów MSWiA! – Zygmunta ogarnęło zdenerwowanie.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób zorganizował pan sobie fałszywy dowód, za to wiem z całą pewnością, że nikt w Agencji nie składał wniosku o wytworzenie dokumentu legalizacyjnego na nazwisko Konrada Bielakiewicza. – Z ust pułkownika wylała się ironia.

– I może żaden Bielakiewicz nie pracuje na warszawskiej uczelni?! – Policjant odwołał się do legendy, pod jaką występował u rodziców Sylwestra Kalenika.

– A sprawdził to pan, podkomisarzu?

Zygmunt pokręcił przecząco głową. Zdenerwowanie przeradzało się w panikę. Oficer wyczuł to i ponownie zaczął perswadować:

– Jeszcze raz, niech pan mnie posłucha! Nie istnieje jakikolwiek dowód na to, że współpracowaliśmy. Nawet jeśli wezwie mnie pan na świadka, to potwierdzę, że znam pana, gdyż prowadząc dochodzenie w sprawie zaginięcia Leszka Zilbera, odbyłem z panem dwie rozmowy. Oświadczę również, że odkryłem prowadzone przez pana prywatne śledztwo, oraz zasugeruję, że był pan na tyle zafascynowany tajemnicą śmierci Strypuli i Regiewicza, iż nie zdziwiłoby mnie, gdyby było ono kontynuowane. To podważyłoby pana wiarygodność w przypadku, gdyby zechciał pan przekonywać prokuratora, iż wszystko robił na moją prośbę.

– Czyli że muszę zgodzić się na wykonanie zadania w Niemczech?

– Naprawdę potrzebujemy pana pomocy. – Głos Gordona zabrzmiał łagodnie, niemal prosząco.

– A co będzie się działo, jeśli odmówię?

– Już wyjaśniam. – Pułkownik przestał chodzić po pomieszczeniu, opadł ciężko na taboret. – Obecnie znajdujemy się w starym, nieużywanym policyjnym posterunku, gdzieś w okolicach Warszawy. Uniknęliśmy w ten sposób konieczności rejestracji pana personaliów w oficjalnym areszcie. Innymi słowy, nie wszedł pan do systemu jako podejrzany o popełnienie przestępstwa. W przypadku odmowy współpracy zostanie pan formalnie przekazany służbie penitencjarnej i pana status się zmieni...

– A co z denuncjacją konfidenta oraz nakazem aresztowania? – przerwał Zygmunt.

– Fakt wskazania pana przez informatora jest wiadomy tylko jednemu funkcjonariuszowi CBŚP. W jego posiadaniu jest także oryginał formalnego zeznania w tej kwestii. Ale to nasz człowiek, więc wszystko można z łatwością zatuszować. Co do nakazu, to był on fałszywy. Ale zdobycie takiego dokumentu to kwestia dwóch, trzech godzin.

– A jak wytłumaczycie moim strażnikom, że zostałem wypuszczony?

– Od początku wiedzieli, że mają do czynienia z policjantem współpracującym z przestępcami, nie poznali jednak pana nazwiska. Powiedziano im, że celem akcji jest pozyskanie osobowego źródła informacji. Jak pana wypuścimy, to po prostu dojdą do wniosku, że zgodził się pan zostać donosicielem.

– Wszystko zostało szczegółowo zaplanowane. – W głosie Veselego zabrzmiał podziw.

– Podkomisarzu! Załóżmy przez moment, że rzeczywiście odmówi pan wykonania dla nas zadania w Niemczech. Nawet jeśli nie dojdzie do rozprawy sądowej, nawet jeśli prokurator umorzy śledztwo, to pana dotychczasowe życie runie w gruzy. Ze względu na odciski palców na paczce z narkotykami spędzi pan kilka miesięcy w areszcie. O pracy w policji będzie mógł pan zapomnieć, a dla wielu znajomych stanie się pan kryminalistą. Po co to panu? – Gordon musiał grać bezwzględnie, chociaż przyszło mu to z wielkim trudem. Lubił tego chłopaka.

– Chciałbym przemyśleć pana propozycję – oświadczył więzień.

Pułkownik ruszył ku drzwiom. Gdy wychodził, odwrócił się i rzucił w kierunku policjanta:

– Ma pan piętnaście minut na podjęcie decyzji.

Szczęk zasuwy ogłosił odliczanie czasu. Zygmunt zaczął gorączkowo zastanawiać się, co powinien zrobić. W zasadzie nie było wyjścia, musiał zgodzić się na wykonanie zadania. Co prawda, miał w zanadrzu nagrania rozmów z Gordonem, ale w tej sytuacji nie mógł się do nich odwołać. Zrezygnował z tego zamiaru podczas rozmowy z następującego powodu: przechowywał je mianowicie w krakowskiej komendzie, gdyż myślał, że tam będą najbezpieczniejsze. Nie miał wątpliwości, że jeśli teraz ujawniłby ich posiadanie, to pułkownik zrobiłby wszystko, żeby je zdobyć. Wtedy na pewno nadano by mu oficjalnie status

podejrzanego. To umożliwiłoby zajęcie służbowego komputera, gdzie znajdowały się pliki. A wtedy utraciłby ostatnią możliwość obrony.

Zaczął kombinować, jak niepostrzeżenie wydobyć nagrania z komendy. W końcu doszedł do wniosku, że powinien przyjąć propozycję pułkownika, ale tylko pozornie, by zaraz po powrocie do Krakowa przejąć pliki z rozmowami. A wtedy to on zaszantażuje Gordona! Ta wizja dodała mu sił i pozytywnie nastroiła go do dalszego rozwoju wypadków. Myśli Zygmunta poszybowały do stryja Macieja. W duchu dziękował mu za jego przezorność.

Jak tylko pułkownik się pojawił, Vesely oświadczył, że wykona zadanie. Gdy ten to usłyszał, zadowolenie wręcz wytrysnęło z jego twarzy. Wyszedł na chwilę z celi, by powrócić z teczką, z której wyciągnął jakiś druk. Podał go podkomisarzowi, który przeczytał, że jest to jego zobowiązanie do wykonania czynności zleconych przez Agencję Wywiadu oraz utrzymania wiedzy o całej sprawie w tajemnicy. Spojrzał na oficera i zobaczył, jak ten wyciąga w jego kierunku dłoń uzbrojoną w długopis. Wziął pisadło, westchnął głęboko, złożył podpis pod dokumentem, po czym zapytał:

– Odwiezie mnie pan do Krakowa?

– To niemożliwe.

– Jak to? Przecież zgodziłem się na współpracę. – Zygmunt zrozumiał, że jego plan wziął w łeb.

– Od razu przystępujemy do szkolenia, dlatego musi pan pozostać w Warszawie. Mamy tylko kilka dni. Wykonanie zadania przewidziano na przyszły weekend. Dzisiaj zawiozę pana do mieszkania będącego w dyspozycji Agencji. Odświeży się pan i przy dobrej kolacji opowiem panu, na czym będą polegać pańskie działania w Niemczech.

Mowa ciała Zygmunta była dla pułkownika sygnałem, że ten się wewnętrznie buntuje, dlatego dodał stanowczo:

– Niech pan przypadkiem nie zrobi czegoś nierozsądnego. Proszę mieć cały czas na uwadze, że dowody pana „kryminalnej działalności” zostaną zlikwidowane dopiero po zakończeniu misji.

– A co z moją pracą? Jak wytłumaczę tygodniową nieobecność w komendzie?



– Spokojnie. Jutro jest dopiero niedziela. W poniedziałek rano zadzwoni pan do swojego przełożonego i zakomunikuje, że w czasie odwiedzin u znajomych w stolicy dopadła pana ostra grypa jelitowa. Ze względu na intensywną biegunkę oraz wymioty nie mógł pan wrócić do Krakowa. Później do działu kadr w komendzie wpłynie tygodniowe, elektroniczne zwolnienie na pańskie nazwisko.

– Rozumiem, że to pan załatwia zwolnienie?

– Już jest załatwione – odparł niemal wesoło pułkownik.

\*\*\*

– Dlaczego Gordon nie przyszedł? – Szczęsny miał wyborny humor, co przejawiało się u niego energicznymi ruchami oraz charakterystycznym sposobem mówienia.

– Od wczoraj szkoli Veselego – odpowiedział Lent, który dopiero co wszedł do gabinetu. – Zresztą robi nie tylko to. Dzisiaj rano łąził z nim po sklepach. Obkupywał podkomisarza w różne ciuchy, gdyż podczas aresztowania nie można było spakować jego ubrań. A teraz zapewne są w kręgielni. Okazało się, że wykonawca inspiracji nigdy nie rzucał kulami. Jurek wynajął instruktora.

– Powiedz mu przy okazji, żeby za bardzo nie niańczył tego policjanta. Przez niego mieliśmy tylko więcej roboty. – Generał ciągle odczuwał dyskomfort w związku z szantażem, jakiemu poddano Zygmunta. Mimo to uśmiechał się niemal szelmowsko.

– Widzę, że jesteś w doskonałym nastroju – rzekł zastępca. – Stało się coś?

– Rano z kancelarii premiera otrzymałem dokument autoryzujący naszą operację w Niemczech! – oświadczył radośnie szef Agencji.

– No to mamy wreszcie sukces! – Lent zareagował entuzjastycznie.

– Tak jest! – Szczęsny zatarł ręce w geście ukontentowania. – Zdrada Zilbera już nam właściwie nie zagraża. Teraz czas na Berlin! Jeśli uda się nam zrealizować to, co zamierzamy, możemy nie tylko zemścić się na Rosjanach, ale także wzmocnić nasze zawodowe pozycje.

– Wszystko zostało przemyślane w najdrobniejszych szczegółach – zaręczył zastępca do spraw operacyjnych. – Nie może się nie udać.

– Nie bądź tego taki pewny, Radek! – przestrzegł generał. – Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć. Wbrew pozorom to trudna operacja. Obawiam się, czy ten Vesely dobrze odegra swoją rolę.

– Mamy jeszcze kilka dni. Gordon nauczy go wszystkich marszrut oraz odpowiednio przygotuje do właściwego postępowania w konkretnych sytuacjach. Najważniejsze jednak, że chłopak nie będzie miał najmniejszego pojęcia o obserwacji ze strony niemieckiej policji. A to oznacza, że nie będzie działał pod presją. Zero stresu.

– A jak Jurek wytłumaczył mu sens „długich spacerów” po Berlinie i Poczdamie?

– Uzasadnił to standardowym legendowaniem pobytu. Oficjalnie podkomisarz odegra rolę weekendowego turysty. Pod tym kątem zostały zresztą skonstruowane trasy.

– A czy gra w kręgle z rosyjskim dyplomatą nie przestraszy policjanta? – dociekał szef AW.

– Zgodnie z koncepcją Vesely w ogóle nie będzie wiedział, że facet, z którym ma zagrać, jest Rosjaninem. Na pytania o tę osobę Jurek nie udzieli mu żadnych odpowiedzi, zasłaniając się wymogami konspiracji. Podkomisarz wie tylko tyle, że propozycję pojedynku na pieniądze ma złożyć w języku angielskim.

– Zna angielski?

– Na wystarczającym poziomie, żeby wykonać zadanie. Oczywiście Vesely zorientuje się, że ma do czynienia z osobą rosyjskojęzyczną, ale będzie już w trakcie wykonywania czynności, więc nie wycofa się.

– Rozumiem, że o celu wrzucenia widokówki do skrzynki pocztowej także nie został poinformowany?

– Oczywiście, że nie. Zadajesz takie pytania, jakbyś nie czytał koncepcji. – Lent spojrzął na przełożonego prawie z naganą.

– Pytam dla porządku. Chcę być pewny, że niczego nie przegapiliśmy – wytłumaczył Szczęsny.

– Podkomisarz nie ma najmniejszego pojęcia, czemu to ma służyć oraz do kogo należy skrzynka – uzupełnił odpowiedź zastępca.

– Czyli nie ma możliwości, by w jakikolwiek sposób zorientował się, że chodzi o doradcę kanclerza?

– Krzysiek, proszę, uspokój się! Przecież on nie wie, że Uwe Delitz w ogóle istnieje, a tym bardziej, że to syn peerelowskiego nieleżała!

– Może faktycznie jestem przewrażliwiony. – Generał zawstydział się. – Opowiedz w takim razie, jak nasza operacja wygląda od strony formalnej.

Lent rozluźnił krawat.

– To najbardziej skomplikowany aspekt – rozpoczął. – Jak już wiesz, przyjaciel Gordona, zastępca komendanta CBŚP, ułożył się z policyjnym informatorem, który oficjalnie zadenuncjował Veselego jako kuriera międzynarodowej organizacji przestępczej. Formalne zeznanie konfidenta umożliwia tak naprawdę przeprowadzenie wszystkich innych działań. W związku z tym, że donos dotyczy funkcjonariusza policji, to zgodnie z odpowiednimi zapisami kodeksu postępowania karnego uruchomiono oficjalne postępowanie przygotowawcze w formie śledztwa. To pozwoli na przesłanie prośby o obserwację Veselego do niemieckiej policji. Dwa tygodnie po wykonaniu przez niego zadania zastępca komendanta CBŚP, w oparciu o dowody w postaci paczki z metamfetaminą, na której widnieją odciski palców podkomisarza, oraz fałszywego dowodu osobistego, zwróci się do prokuratora o zastosowanie wobec niego tymczasowego aresztowania, a ten z kolei skieruje odpowiedni wniosek do sądu. Po decyzji sędziego nastąpi formalne zatrzymanie naszego policjanta i osadzenie go w areszcie. Oczywiście w praktyce do tego nie dojdzie, gdyż my go wywieziemy do naszego ośrodka na Mazurach. Dla nas jednak najważniejsze będzie to, że sprawa Veselego pojawi się w systemie. To da nam dwie korzyści. Po pierwsze, zastępca komendanta CBŚP będzie mógł pod pretekstem prowadzonego śledztwa wysłać do niemieckich partnerów wiadomość, że kurier, którego inwigilowali w Berlinie i Poczdamie, został ujęty, a po drugie, jeśli Niemcy będą chcieli to sprawdzić w jakikolwiek sposób, to nie wykryją żadnej luki.

– Wystawimy tego policjanta na bardzo ciężką próbę – westchnął generał. – A to przecież jeszcze młody człowiek. – W umyśle przełożonego znowu pojawiły się wyrzuty sumienia.

– Może oprócz kija trzeba mu pokazać także jakąś atrakcyjną marchewkę – zaproponował Lent.

– Gordon mówił, że nie interesują go pieniądze.

– W życiu pieniądze to nie wszystko, mój drogi Krzysztofie. – Zastępca wypowiedział to zdanie sentencjonalnie i zarazem przekornie. – Pomyśl o tym w ten sposób.

– Żebyś wiedział, że pomyślę.

Obaj się głośno roześmiali.

– Zastanawiam się także, w którym momencie podjąć rozmowy z ministrem koordynatorem, by ten uruchomił ministra sprawiedliwości. – Szef Agencji powrócił do istoty rzeczy. – Musimy mieć na uwadze nie tylko dobro Veselego, ale także interesy zastępcy komendanta CBŚP.

– Myślę, że powinienesz to zrobić tuż po powrocie podkomisarza z Berlina. Pójdiesz wtedy do koordynatora, zakomunikujesz sukces i poprosisz o załatwienie układu w resorcie sprawiedliwości.

– Tak, to chyba będzie dobry moment – zgodził się Szczęsny.

– Musisz także pamiętać, żeby oprócz kontrolowania i późniejszego zatuszowania sprawy Veselego w prokuraturze zorganizować również współdziałanie z dyrektorem aresztu śledczego, który sporządzi odpowiednie dokumenty świadczące o tym, że podkomisarz rzeczywiście siedzi.

– Przed rozmową z ministrem koordynatorem odbędziemy specjalną naradę i ustalimy wszystkie szczegóły – zaplanował szef AW.

– Krzysiu, a ty jesteś na sto procent pewny, że przekonasz koordynatora do udzielenia nam tak daleko idącego wsparcia? Czy nie powinniśmy założyć, że ten facet będzie się po prostu bał zrobić to, czego od niego zażadasz? Nie zapominaj, że to będzie niezgodne z prawem.

– Prawem to on się najmniej przejmuje. A jeśli się będzie bał, to z ochotą wyjaśnię mu, w jakim siedzi gównie – odparł twardo generał. – Nie martw się. Pamiętaj, że operację autoryzował premier, a jej powodzeniem jest zainteresowany sam prezes.

\*\*\*

W piątkowy ranek Zygmunt gnał samochodem autostradą A4. Godzinę temu opuścił Wrocław. Wczoraj on i Gordon przylecieli samolotem do stolicy Dolnego Śląska i zaraz po wylądowaniu każdy z nich wynajął na lotnisku samochód. Przespawszy się w hotelu, wyruszyli w kierunku granicy polsko-niemieckiej. Pułkownik podążał za nim w pewnym oddaleniu. Podkomisarz nie wiedział, dlaczego oficer wywiadu go pilnuje. Zastanawiał się także, dlaczego podróż do Berlina musiała rozpocząć się we Wrocławiu. „Zapewne chodzi o to, bym wjechał do Niemiec autostradą prowadzącą z Krakowa” – wytłumaczył sobie.

Bał się misji, jaką miał do wykonania. Prawdopodobnie wynikało to z faktu nieznamości celu zadania oraz rzeczywistych zagrożeń. Strach generowały także przygotowania, jakie przeszedł w Warszawie. Przez kilka dni studiował trasy, po jakich miał się poruszać w Berlinie i Poczdamie, oraz uczył się podstaw bowlingu. Dopiero w dniu wylotu ze stolicy pokazano mu zdjęcie jakiegoś faceta, z którym miał rozegrać partię kręgli na pieniądze. Na pytanie, kto to jest i czemu ma służyć dziwny pojedynek, Gordon odpowiedział jedynie, że to tajemnica. To samo zresztą dotyczyło adresu, gdzie znajdowała się skrzynka pocztowa, do której był zobowiązany wrzucić widokówkę. Gdy ją otrzymał i obejrzał, zdziwił się niezmiernie. Była zaadresowana do niejakiej Elisabeth Pelkner zamieszkałej przy ulicy Birkenalle 11 w Berlinie, ale zostawić ją miał na posesji znajdującej się przy ulicy o takiej samej nazwie i o takimże numerze, tylko że w Poczdamie. Ze stempla na znaczku wynikało, że nadano ją w Pradze. Przedstawiała zresztą panoramę historycznego centrum stolicy Czech. Na odwrocie ktoś skreślił kilka słów po niemiecku, zapewne pozdrowień, podpisując się imieniem „Gretchen”.

\*\*\*

Gordon jadąc za Zygmuntem, weryfikował w myślach, czy wszystko zostało idealnie przygotowane. Gdy w końcu udało mu się przekonać samego siebie, że niczego nie zaniedbał, odprężył się. Pomyślał, że jego udział w berlińskiej akcji skończy się, jak tylko podkomisarz przekroczy granicę. Jeszcze przez kilkadziesiąt minut musiał odgrywać rolę policyjnego obserwatora. Tak umówił się ze swoim przyjacielem, który był w kontakcie z niemiecką policją. Dane na temat wynajętego przez Veselgo samochodu zastępca komendanta CBŚP przekazał do Berlina jeszcze

wczoraj. Teraz czekał już tylko na sygnał od pułkownika o opuszczeniu przez figuranta terytorium kraju.

\*\*\*

Gdy Vesely ujrzał tablicę znamionującą granicę, zadał sobie pytanie, czy Gordon pojedzie za nim aż do samego Berlina. Spojrzał odruchowo we wsteczne lusterko, lecz nie dostrzegł w nim samochodu pułkownika. Najwidoczniej ten opuścił autostradę zjazdem, który mijał przed chwilą.

Poczuł się samotnie. Uczucie to wzrosło, kiedy pojawiły się pierwsze napisy w języku niemieckim. Obcość materialnego otoczenia wzbudziła w nim pragnienie powrotu do domu. Zmarkotniał, ogarnęły go przygnębiające myśli. Postanowił się jednak otrząsnąć. Wyobraził sobie, że rzeczywiście jedzie na weekendową wycieczkę. Włączył radio, przeskanował stacje radiowe. Jedna z nich nadawała właśnie piosenkę zespołu Creedence Clearwater Revival noszącą tytuł „Fortunate Son”. Zygmunt zaliczał ją do najbardziej hipisowskich songów w historii. Dał głośność prawie na full i przyspieszył. Nie zauważył, jak jedno z aut jadących za nim również zwiększyło prędkość.

\*\*\*

Niemal dokładnie w południe Vesely zaparkował przed trzygwiazdkowym hotelem New Way Berlin znajdującym się niedaleko zachodnich rubieży parku Tiergarten. Wyjął z bagażnika torbę podróżną i udał się do recepcji. Zameldował się oraz zgodnie z instrukcją zapłacił gotówką, którą otrzymał od Gordona, z góry za dwie doby.

W pokoju od razu walnął się na łóżko. Długo patrzył w sufit, starając się o niczym nie myśleć. Chciał się odprężyć. Nie udało mu się. Po kilkunastu minutach wstał, rozebrał się i wlaź pod prysznic. Długo namakał, poddając się strugom gorącej wody. Pomogło.

Rozluźniony, owinięty w puchaty biały ręcznik podszedł do okna. Pogoda była wspaniała. Błękit nieba nastrojał optymistycznie. Postanowił zjeść wczesny obiad w hotelowej restauracji i ruszyć w miasto, by zrealizować pierwszą marszrutę.

Uzbrojony w aparat fotograficzny i przewodnik turystyczny z planem miasta, poczuł się jak prawdziwy turysta. Zgodnie z wyuczoną na pamięć trasą pomaszerował najpierw do punktu widokowego nad Szprewą. Klucząc niezbyt szerokimi i krótkimi ulicami, doszedł do nabrzeża rzeki. Widok był naprawdę urokliwy. Zrobił kilka zdjęć i rozwarł mapę. Teraz należało dotrzeć do stacji szybkiej kolejki miejskiej o nazwie Tiergarten.

Siedząc w wagonie S-Bahnu, z ciekawością przyglądał się ludziom. Pasażerowie przypominali wielonarodowościową mozaikę. Od mieszkańców Krakowa różnili się stylem ubiorów oraz zachowaniem, byli na swój sposób swobodniejsi w obyciu niż Polacy. Wysiadł na stacji Bellevue. Stąd musiał dotrzeć do kompleksu pałacowego o takiej samej nazwie.

Spacerując i podziwiając piękną klasycystyczną budowlę, w której mieściła się siedziba prezydenta Niemiec, rozmyślał o skrzynce pocztowej, do której, następnego dnia, miał wrzucić widokówkę. Ciekawość odnośnie do tego, kto mieszkał pod adresem Birkenallee 11 w Poczdamie, wręcz wierceła mu dziurę w brzuchu. Szósty zmysł podpowiadał mu, że w przedsięwzięciu, którego był wykonawcą, chodziło o Uwe Delitza. Postanowił za wszelką cenę uwolnić się od tej myśli i skupić się na wykonaniu zadania. „Robię swoje, wracam do domu i zapominam o wszystkim” – zdecydował. Spojrzał na zegarek. Było prawie wpół do trzeciej. Do wizyty w kręgielni pozostało jeszcze sześć godzin.

Z rejonu pałacu wolnym krokiem udał się do centralnej części parku Tiergarten, gdzie w niebo wzbijała się monumentalna Kolumna Zwycięstwa. Otoczona rozległym rondem drogowym sprawiała wrażenie niedostępnej. Przejściem podziemnym dotarł do jej podnóża. Obszedł ją dookoła, robiąc serię zdjęć. Następnie instrukcja nakazywała mu spokojnie przejść pod nieodległy pomnik Bismarcka, zaś stamtąd żywym, bardzo szybkim krokiem wrócić do stacji Bellevue, by pojechać S-Bahnem do dworca kolejowego Hauptbahnhof, gdzie z kolei miał się przesiąść do metra i dojechać do przystanku o nazwie Bundestag.

Zgodnie z planem około ósmej wieczorem zakończył realizację wyznaczonej marszruty. Znajdował się na Unter den Linden, jednej z najpiękniejszych ulic Berlina. Pozostało już tylko udać się do kręgielni.

Błyskotliwy, mieniący się zielonym światłem neon, nawiązujący stylistyką do lat sześćdziesiątych, obwieścił Zygmuntowi, że dotarł na miejsce. Wszedł do środka.

Sala z dwudziestoma torami była jaskrawo oświetlona. Dało się słyszeć muzykę country przemieszana z natarczywym turkotem rzuconych kul. Przy jednej ze ścian królował okazały bar kuszący gości dziesiątkami stojących na półkach butelek oraz efektownymi reklamami fastfoodowego jedzenia. Zygmunt poszedł tam, usiadł na wysokim stołku i zamówił piwo.

Wypatrywał człowieka, z którym miał stoczyć pojedynek. Wszystkie stanowiska były zajęte. Przed każdym stały niskie ławy z czterema rozłożystymi fotelami, na których spoczywali gracze akurat niewykonujący rzutów. Pomimo usilnych starań nie zdołał zidentyfikować poszukiwanego. Zamknął oczy i przywołał w pamięci jego zdjęcie, jakie w Warszawie pokazywał mu Gordon. Ponownie zlustrował wszystkich zawodników. Bez efektu. Dopił powoli piwo i postanowił przejść się po sali. Po kilku minutach powrócił na miejsce. Mężczyzny z fotografii nie było w klubie. Vesely myślał intensywnie, co robić. Postanowił czekać.

Barman spojrzał na niego pytająco. Podkomisarz już chciał zamówić kolejne piwo, ale doszedł do wniosku, że powinien zjeść coś ciepłego. Wziął spis dań i zaczął go wertować. Nie mógł się na nic zdecydować, toteż rozejrzał się po ludziach siedzących przy barze, żeby stwierdzić, co też oni konsumują. Niestety nikt nic nie jadł, za to jeden mężczyzna, tkwiący na stołku przy samym końcu blatu, wydał mu się znajomy. Przyjrzał mu się jeszcze raz. Nie był to, niestety, facet, z którym miał rozegrać partię kręgli. Jednak Zygmunt odniósł wrażenie, że gdzieś go już widział, i to całkiem niedawno. Powrócił myślami do menu i w końcu zamówił burgera z sałatkami. Oczekując na jedzenie, znowu wodził wzrokiem po twarzach graczy, by ponownie stwierdzić nieobecność swojego przeciwnika.

Do hotelu wrócił tuż po północy. Zaplanowanych w kręgielni działań nie zrealizował. Leżąc w łóżku, rozmyślał, czy nie powinien przerwać wykonywania zadania. Instrukcja udzielona mu przez Gordona nie przewidywała konkretnego postępowania w takim przypadku. Widocznie zakładano, że do czegoś takiego nie dojdzie. Najchętniej zadzwoniłby do pułkownika, ale obowiązywał go



bezwzględny zakaz nawiązywania kontaktu. W końcu podjął decyzję o kontynuowaniu akcji. „Zrobię swoje i zakończę ten cały cyrk. Niech się martwią w Agencji” – pomyślał.

W sobotę przed południem pojechał S-Bahnem do Poczdamu. Celem było całodziennie zwiedzanie miasta oraz kompleksu pałacowo-parkowego Sanssouci, by po zapadnięciu zmroku wrzucić widokówkę do skrzynki pocztowej.

Wysiadł na dworcu Potsdam Hauptbahnhof i udał się do centrum. Gdy wszedł na Friedrich-Ebert-Straße, w oddali zobaczył Nauener Tor, dużą neogotycką bramę miejską, pierwszy punkt na trasie wycieczki.

Budowla była imponująca. Obszedł ją dookoła i wykonał kilkanaście zdjęć. W pobliżu znajdowało się parę knajpek, więc postanowił napić się kawy. Oczekując na zamówienie, przeglądał w aparacie zrobione kilka minut temu fotografie. Nagle drgnął. Na jednym ze zdjęć zauważył mężczyznę łudzaco podobnego do tego, który wczoraj siedział przy barze w kręgielni. Powiększył wyświetlany obraz i nabrał pewności. To był ten sam facet, co do którego Zygmunt był wczoraj przekonany, że niedawno gdzieś go już widział! „Co za niesamowity przypadek” – dziwił się.

Pokrzepiony kawą wszedł wolnym krokiem w Hegelalle, piękną szeroką ulicę, której względnie niska zabudowa dawała poczucie przestrzeni, a tym samym swobody. To spowodowało, że podkomisarz na moment zapomniał, że realizuje tajną misję. Z przyjemnością podziwiał zadbane posesje oraz ludzi sprawiających wrażenie, że donikąd się nie spieszą.

Kiedy obszedł centrum miasta oraz zjadł obiad w niewielkiej restauracyjce, nadszedł czas, by przemieścić się do Sanssouci. Instrukcja nakazywała powrót do dworca i pojechanie tam kolejką. Zmierzając na stację, zauważył ogromny sztyl marketu RTV – AGD należącego do sieci, jaka również funkcjonowała w Polsce. Zagrała w nim ciekawość i zdecydował się wejść, by sprawdzić, czy asortyment różnił się od tego, jaki był w krakowskim sklepie.

Najpierw odwiedził dział z komputerami. Oglądał sprzęt, przeliczał ceny z euro na złote, analizował wysokość rat przy sprzedaży kredytowej. Później podszedł do półek z aparatami fotograficznymi. Chciał także zobaczyć ofertę systemów audio, więc zaczął się rozglądać za odpowiednią ekspozycją. W pewnym momencie

przeszył go dreszcz. Kilkanaście metrów od niego, przy regale ze sprzętem stereo stał facet z kręgielni! Podkomisarz intuicyjnie cofnął wzrok. Po krótkiej chwili ruszył wolnym krokiem w tamtym kierunku i zauważył, jak mężczyzna odchodzi do innej części marketu. Zygmunt jeszcze raz przyjrzał mu się ukradkiem. Nie miał wątpliwości, to był on! „Agencja wysłała za mną obserwatorów!” – to była pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy. „A jeśli to nie Polacy?!” Momentalnie ogarnął go strach. Udawał, że ogląda jakiś amplituner, a tak naprawdę uspokajał się. Zastanawiał się, jak ma postąpić. Miał dwie opcje: albo wraca do hotelu i wyjeżdża do Polski, albo nadal wykonuje zadanie. Ostatecznie powziął zamiar, by nie przerywać akcji. „Nic mi przecież nie grozi, nie popełniłem żadnego przestępstwa” – tłumaczył sobie własne położenie. Poza tym nie miał żadnej pewności, że ktoś go rzeczywiście śledzi. Obiecał sobie jednak, że jeśli jeszcze raz spotka mężczyznę z kręgielni, to zrezygnuje z wrzucenia widokówki do skrzynki.

W Sanssouci przeniósł się do innego świata. Szeroką ścieżką doszedł do Nowego Pałacu znajdującego się po zachodniej stronie kompleksu. Odegrał znowu rolę wzorowego turysty, po czym ruszył główną parkową aleją w kierunku słynnego pałacu Fryderyka II Wielkiego, znajdującego się po stronie wschodniej. Po kilku minutach zatrzymał się przy wielkiej fontannie u podnóża kaskadowego ogrodu prowadzącego przed fasadę budowli. Wdrapał się na górę po niezliczonych stopniach niezbyt stromych schodów i spojrzał w dół. Widok był naprawdę urzekający. Wpadł mu do głowy pewien pomysł. Przyłożył oko do wizjera aparatu i wycelował obiektyw w kierunku, z którego przyszedł. Nie robił jednak zdjęć, tylko operując zoomem, przyglądał się ludziom spacerującym poniżej. Szukał faceta z kręgielni. Nie dostrzegł go jednak. Zadowolony odwrócił się, by strzelić kilka fotek pałacu, i zbaraniał. Niedaleko od niego stała jakaś wycieczka. Mężczyzna, którego wypatrywał przed chwilą, stał przy tej grupie i pilnie wsłuchiwał się w opowieść niemieckiego przewodnika. Zygmunt podszedł bliżej ku niemu i udając, że kadruje ujęcie, zauważył, jak tamten najwyraźniej się spiął i zmienił pozycję, ustawiając się do niego plecami, tak by nie mógł przyjrzeć się jego twarzy. Najprawdopodobniej chciał uwiarygodnić swoją przynależność do gromady turystów, gdyż zadał przewodnikowi jakieś pytanie. Z jego ust popłynęła wartko najczystsza niemczyzna.

Vesely nie miał już wątpliwości: był śledzony, i to na dodatek nie przez wysłanników polskiego wywiadu. Ze zdziwieniem stwierdził, że tym razem zupełnie go to nie zdenerwowało, a wręcz przeciwnie, rozluźniło. Oznaczało bowiem zaprzestanie wykonywania zadania. Spokojnym krokiem wznowił spacer po parku.

Nie wiedział dlaczego, ale od razu skojarzył inwigilację z widokówką. Intuicja podpowiadała mu, że w całej akcji mogło chodzić tylko o to, żeby Niemcy odkryli, jak ją wrzuca do skrzynki. Ale co przez to chciała osiągnąć Agencja?! To pytanie przywiodło mu na myśl Uwe Delitza. Postać doradcy kanclerza nurtowała go przez całą resztę pobytu w Sanssouci. Niepewność, jaką wzbudziły rozważania o nim, pośrednio uzasadniła słusność decyzji o przerwaniu działań.

Pod wieczór dotarł do swojego hotelu. Musiał zdecydować, jak się zachować wobec faktu, że był obserwowany. W pierwszym odruchu chciał jak najszybciej wyjechać do Polski, ale bał się, że wykonanie tak gwałtownego manewru mogłoby sprowokować Niemców do jakichś radykalniejszych działań. „Najlepiej będzie, jak będę postępować tak, jakby nic się nie stało” – doszedł do wniosku. W związku z tym, niejako na przekór swoim obawom, wyszedł na miasto w poszukiwaniu jakiejś przytulnej knajpki, by zjeść kolację i napić się dobrego piwa.

Siedząc nad kuflem wybornego pilsa, obmyślał działania na następny dzień. Według planu powinien o jedenastej wyjechać do Polski, tak żeby przybyć do Krakowa około osiemnastej. Jutrzejszego wieczora musiał jeszcze oddać samochód w filii wypożyczalni oraz spotkać się z Gordonem, który miał na niego oczekiwać w jednym z hoteli, by wysłuchać relacji z przebiegu wykonywania zadania. W umyśle Zygmunta zarysował się jednak inny scenariusz. Żeby go zrealizować, musiał opuścić Berlin co najmniej o szóstej rano.

\*\*\*

Vesely przybył do Krakowa tuż po trzynastej i chociaż odczuwał spory głód, zrezygnował ze spożycia posiłku. Nie miał na to czasu. Prosto z trasy pojechał do komendy. Niemal biegł przez niedzielne, puste wnętrza do swojego służbowego pokoju. Jak tylko się do niego dostał, włączył komputer. Z szuflady wyjął pendrive'a i przekopiował pliki z nagraniami rozmów, jakie prowadził

z Gordonem. Już miał wszystko powyłączać, lecz wstrzymał się. Pomyślał, że musi się zabezpieczyć na czas wieczornego spotkania z pułkownikiem. Sięgnął ponownie do biurka i wydobyl policyjny dyktafon. Do jego pamięci przerzucił tylko jeden plik.

Teraz musiał wykonać telefon. Miał przy sobie jedynie smartfon, w jaki wyposażył go Gordon, lecz nie mógł z niego skorzystać. Zakładał, że jest on monitorowany, i sprawił, by przez noc poprzedzającą wyjazd z Berlina rozładował się. Pułkownikowi miał to wytłumaczyć tym, iż stan baterii zauważył dopiero wtedy, jak odjeżdżał do Polski, nie miał więc czasu na jej naładowanie. Dla pewności, przed opuszczeniem stolicy Niemiec, dodatkowo wyjął z niego kartę SIM. Musiał pamiętać, żeby ją włożyć przed spotkaniem z oficerem wywiadu.

Poszedł do dyżurnego komendy. Ten nie robił problemów, pożyczył mu swój prywatny aparat. Zygmunt dodał sobie odwagi i wybrał numer Justyny. Odebrała prawie natychmiast, jakby czekała na telefon od niego. Brzmienie jej głosu dało mu do zrozumienia, że ogromnie się cieszy, słysząc dawnego przyjaciela. On natomiast konsekwentnie realizował swój plan. Smutnym, pełnym zmartwienia tonem oświadczył, iż musi z nią porozmawiać, chociażby przez telefon. Okrasił to zmyśloną historyjką o ogromnych kłopotach, jakie go dotknęły, nie wdając się przy tym w szczegóły. Zakończył pełnym żalu i tęsknoty przesłaniem, że dziewczyna jest w zasadzie jedyną bliską mu osobą, której może się zwierzyć. Już miał poprosić o pozwolenie złożenia jej wizyty, gdy ta ubiegła go, mówiąc: „Przyjedź do mnie, porozmawiamy”.

Siedzieli na sofie w największym pokoju. Zygmunt konfabulował najsugestywniej, jak tylko potrafił, o konflikcie z policyjnym przełożonym, który jakoby chciał doprowadzić do usunięcia go ze służby. Ona słuchała, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Wydała mu się stokroć piękniejsza niż wtedy, kiedy widział ją ostatni raz. Erotyczne podniecenie, jakie w nim zakiełkowało zaraz po wejściu do mieszkania, teraz zalało go niczym wzbierająca morska fala. Nie mógł się skupić na odgrywaniu zaplanowanej roli. Zmusił się jednak i w kulminacyjnym momencie doprowadził nawet do załzawienia swoich oczu. Justyna, jak to zobaczyła, machinalnie ujęła go za rękę. Poczuli ciepłotę swoich

dłoni i nie wytrzymali... Pocałunek trwający wieczność rozgrzał ich do czerwoności...

Vesely zebrał części swojej garderoby i poszedł do łazienki. Założył slipy i usiadł na krawędzi wanny. Pomimo zaspokojenia swoich pragnień czuł się bardzo niekomfortowo. Doznał wyrzutów sumienia. Bolało go to, że wykorzystuje zaufanie, jakim obdarzyła go Justyna. Otrząsnął się jednak z przykrych myśli. Zaczął rozglądać się pilnie po pomieszczeniu. Jego uwagę przykuł narożny prysznic. Wysoki brodzik posiadał akrylowy panel maskujący. Podkomisarz podjął próbę jego zdemontowania. Nie sprawiło mu to zbyt trudności, gdyż wystarczyło wypiąć go z mocujących uchwytów. Z kieszeni spodni wyjął pendrive'a zawierający nagrania rozmów z Gordonem i umieścił go pod brodzikiem, w kącie u zbiegu ścian. Założył na powrót obudowę, umył się i ubrał do końca.

Od przyjaciółki pojechał jeszcze raz do komendy. Napisał dwa listy: jeden do stryja, drugi do Justyny. W pierwszym zawiadamiał, gdzie są schowane nagrania oraz że pismo do dziewczyny jest uwiarygodnieniem Macieja jako odbiorcy pendrive'a. Zabronił także rozmawiać o sprawie przez telefon. Oba schował do jednej koperty, którą, posiłkując się Internetem, zaadresował na nazwisko krewnego do miejsca jego pracy na uniwersytecie w Katowicach. Pozostało tylko nalepić znaczek.

Po opuszczeniu komendy pojechał na dworzec główny PKP, gdzie znajdowała się filia wypożyczalni samochodów. Kiedy oddał auto, była prawie dziewiętnasta. Kupił w kiosku znaczek, wsadził kartę SIM do smartfona, który miał zwrócić Gordonowi, i poszedł piechotą w kierunku Starego Miasta. W drodze do hotelu, gdzie oczekiwał go pułkownik, list przeznaczony dla stryja wrzucił do skrzynki pocztowej. ■

## RETROSPEKCJA VII. WIEDEŃ, LIPIEC 1992 ROKU

Lipski sprawdzał się już trzecią godzinę. Właśnie opuścił Schmerlingplatz i wszedł w zacieniony obszar Grete-Rehor-Park. Było cholernie gorąco, więc przeszedł kilkadziesiąt metrów i przysiadł na ławce, by odpocząć. Skontrolował czas. Za kwadrans powinien pojawić się przed pobliską siedzibą Parlamentu, gdzie towarzyszący mu w Wiedniu oficer założył kontroobserwację, ostatnią już przed spotkaniem z Bjornem.

Ruszył ścieżką w kierunku ulicy o nazwie Dr. Karl Renner-Ring. Szeroka arteria komunikacyjna była po lewej stronie ograniczona właśnie gmachem Parlamentu, zaś z prawej olbrzymim ogrodem spacerowym Volksgarten. Za jego ogrodzeniem znajdował się kontroobserwator, który analizował zachowanie osób przebywających w bezpośrednim otoczeniu Lipskiego. Zatrzymał się na wprost głównego wejścia do budynku, tuż przed fontanną symbolizującą grecką boginię Atenę. Obejrzał dokładnie statwę. To był moment, który miał zmusić ewentualnych inwigilatorów do zmiany kierunku lub tempa przemieszczania się, co pozwoliłoby na ich identyfikację.

Wznowił marsz, tym razem do ulicy Universitätsring. Dotarł do Burgtheater, skręcił w prawo i wszedł poprzez szeroką furtę na teren Volksgarten. Idąc jedną z alejek ogrodu, odczytał znak bezpieczeństwa pozostawiony przed chwilą przez kontroobserwatora. Wynikało z niego, że nie był przez nikogo śledzony. Mógł teraz śmiało udać się do niewielkiej piwiarni o nazwie Muellerskeller, gdzie miał go oczekiwać nielegal.

Adalbert siedział przy niedużym stoliku stojącym pomiędzy dwoma przepierzeniami, co chroniło go przed wzrokiem ewentualnych wścibskich gości. Był zmęczony realizacją w upale solidnej trasy sprawdzeniowej, więc teraz z lubością raczył się chłodnym piwem. Wiedeń był stałym miejscem spotkań z wysłannikiem centrali. Oficjalnie przyjeżdżał tu kilka razy w roku: na targi handlowe oraz spotkania z kontrahentami. Mógł powiedzieć, że dobrze znał to miasto, co pozwalało mu na efektywne maskowanie się.

Od przerwania do Monachium minęło prawie dwadzieścia jeden lat. Przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie z babcią Luise, kiedy to uznała go za wnuka. Na jej wspomnienie zakręciły mu się w oczach łzy. W rodzinie Delitzów była jedyną osobą, którą obdarzył autentycznym uczuciem. „To dzięki niej jestem tu, gdzie jestem” – pomyślał. I nie chodziło mu oczywiście o knajpę, w której obecnie przebywał, lecz o to, co osiągnął. Mógł śmiało stwierdzić, że zaliczał się do monachijskiej elity. Nie był, co prawda, osobą publiczną, nie zrobił spektakularnej politycznej kariery, działał w cieniu bardzo wpływowych ludzi, ale to wystarczyło, by mieć dostęp do niemieckich tajemnic. Pozycja, jaką zajmował, pozwoliła mu przyczynić się do historycznej zmiany w relacjach między Warszawą a Berlinem. Świadomość tego osiągnięcia napawała go wielką satysfakcją. Mało tego, był przeświadczony, że to, czego dokonał, przyniosło korzyść zarówno Polsce, jak i Niemcom.

Dzisiaj jego tajna misja miała się zakończyć. Podjął tę decyzję niedawno. Przyczyn było kilka. Obawiał się dekonspiracji i uważał, że podpisanie traktatów polsko-niemieckich o uznaniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej oraz dobrosąsiedzkich stosunkach de facto przekreśla sens jego działalności. Także jego życie osobiste motywowało go do wycofania się. Rodzina była dla niego wartością najwyższą. Potrafił godzić jej dobro z wykonywaniem wywiadowczych zadań, jednak od kilku lat bał się, że w razie zdemaskowania straci ją na zawsze. Nie wyobrażał sobie starości bez Waltraud oraz braku możliwości obserwowania rozwoju syna. Uwe miał prawie dziewiętnaście lat, dostał się na studia prawnicze i cechował się ogromnym intelektualnym potencjałem. Kolejną przyczyną była firma rodzinna, której był współwłaścicielem i którą zarządzał wspólnie z kuzynem Friedrichem. Dzięki ciężkiej pracy, pomysłowości, uporowi oraz talentowi dorobił się sporego majątku. Zdawał sobie sprawę, że w przypadku udowodnienia mu przez sąd szpiegostwa dużą jego część może przejąć skarb niemieckiego państwa.

W drzwiach lokalu pojawił się Lipski. Rozejrzał się w poszukiwaniu Adalberta. Gdy go zauważył, podszedł do baru, zamówił piwo i po chwili z kuflem w ręce przysiadł się do stolika. Przywitali się w milczeniu.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość – pierwszy odezwał się oficer centrali. – Na wniosek ministra spraw zagranicznych otrzymałeś Złoty Krzyż Zasługi za

materiały dotyczące zjednoczenia Niemiec oraz negocjacji polsko-niemieckich. Ja zresztą także, dzięki tobie, dostałem taki medal. Poproszono mnie, abym przekazał ci gratulacje od naczelnika naszego wydziału oraz od samego szefa wywiadu. Jesteś pierwszym nielegalnym w demokratycznej Polsce, który został tak wyróżniony. – Lipski podniósł do góry piwo w geście toastu.

– Miło mi to słyszeć – powiedział Delitz. – Możemy być dumni, Janek, udało nam się zrobić wielką rzecz.

– To jedynie twój sukces. Ja tylko byłem „pasem transmisyjnym” pomiędzy tobą a Warszawą.

– Nie bądź taki skromny. Obaj doskonale wiemy, że bez zaplecza, jakie stworzyłeś razem z Nowaczykiem, nigdy bym nie znalazł się w Monachium, a tym bardziej przetrwał i dotarł do interesujących kierownictwo państwa informacji. Á propos, co tam słysząc u Stefana?

– Kiepsko. – Twarz Lipskiego posmutniała. – Lekarze wykryli u niego raka trzustki, zostało mu dwa, może trzy miesiące życia.

– To straszne. Nie mogę w to uwierzyć. – Nielegal był wstrząśnięty.

– Bardzo cierpi od bólu. Nie życzyłbym czegoś takiego najgorszemu wrogowi. Ja chyba zastrzeliłbym się w takiej sytuacji. – Janek zamilkł, jego myśli krążyły wokół osoby byłego przełożonego.

– Psiakrew! – Adalbert cicho zaklął. – Teraz sobie uświadomiłem, że już go nigdy nie zobaczę. Nie będę mógł być nawet na jego pogrzebie.

– Wiem, że darzysz go szczególną sympatią, ale z wiadomych względów nie będzie to możliwe.

– Wyszkolił mnie, i to cholernie dobrze. Dzięki niemu nigdy nie znalazłem się w niebezpieczeństwie. Przetrwałem tyle lat...

– Przed wyjazdem do Wiednia odwiedziłem go w szpitalu. Opowiadałem mu o tobie. Cieszył się z twoich dokonań jak dziecko. Powiedział mi, że byłeś największym osiągnięciem w jego karierze. Kazał cię serdecznie pozdrowić.

Adalbert drugi raz poczuł, jak zbierają mu się łzy. Spojrzał niezwykle poważnie w oczy Lipskiemu, po czym rzekł wolno, a zarazem twierdząco:

– Wszystko musi się kiedyś skończyć.

Oficer centrali drgnął. Bez dopowiedzeń zrozumiał, w czym rzecz.



– Chcesz się wycofać? – zadał zasadnicze pytanie.

– Tak! – padła zdecydowana odpowiedź.

– Dlaczego?

– Uczestniczyłem w spotkaniu, na którym dyskutowano o upadku rządu Olszewskiego. Jeden z moich kolegów zażartował, że trzeba wysłać kogoś do Warszawy po teczkę Służby Bezpieczeństwa. Domyślasz się chyba, że mi nie było do śmiechu. Po prostu boję się, Janek, że na skutek burdelu, jaki macie w polityce, ja zapłacę głową. Muszę myśleć o swojej rodzinie!

– Świetnie rozumiem twoje obawy, jednak możesz być spokojny, dokumenty dotyczące twojej działalności są doskonale zabezpieczone.

– Cieszę się, że mnie o tym zapewniasz, ale to nieistotne. – Delitz wyprostował się. – Uważam, że moja misja dobiegła końca. Nic więcej nie osiągnę. Zespół doradczy został rozwiązany po podpisaniu traktatów z Polską, zaś cała polityka przenosi się z Bonn do Berlina. Nie wiadomo, co się stanie z rządami Kohla. Jeśli w dziewięćdziesiątym czwartym wygrają socjaldemokraci<sup>72)</sup>, to już w ogóle nie będę miał do niczego dostępu. A zresztą to nieważne. – Machnął lekceważąco ręką. – Ja chcę już skończyć z tym wszystkim! – Ostatnie zdanie wręcz wysylabizował.

---

72) Partia Helmuta Kohla wygrała jeszcze wybory w 1994 roku. SPD doszło do władzy dopiero w 1998 roku.

Lipski zastanawiał się nad czymś. Po chwili obiecał:

– No dobrze, przedstawię twoją prośbę kierownictwu.

– To nie jest prośba, Janek! Masz przekazać moją rezygnację. Musisz w moim imieniu oświadczyć właściwemu decydentowi, że to koniec!

Zapadła cisza. Wysłannik z Warszawy nie wiedział, jak zareagować. Aby pokryć swoje zmieszanie, wstał i poszedł po kolejne piwa. Gdy je przyniósł, spytał:

– Domyślam się, że nie wracasz do Polski?

– A jak to sobie wyobrażasz? Jestem Niemcem, mam niemiecką żonę i niemieckiego syna. Mam im kazać nauczyć się polskiego czy ich porzucić?

– Wybacz. – Lipski się zreflektował. – To pytanie było nie na miejscu.

– To ja przepraszam. – Adalbert uspokoił się. – Nie chciałem być obcesowy.

– Twoja rezygnacja będzie wymagać wykonania kilku ruchów – Jan skierował dyskusję na inne tory.

– Co masz na myśli?

– Choćby rozliczenie twoich pensji. Należy ci się za te wszystkie lata prawie trzysta tysięcy marek. Może przyjedziesz z rodziną do Polski, żeby pokazać miejsca, w których spędziłeś młodość? Wtedy odebrałbyś pieniądze oraz dopełnił formalności związanych z zakończeniem służby.

– Nie chciałbym takiej gotówki przewozić przez granicę. W październiku jadę na targi do Düsseldorfu, tam może się to wszystko odbyć. Mógłbyś chyba odegrać rolę polskiego handlowca?

– Nie ma problemu.

Znowu zamilkli. Poczucie nieuchronnego końca nastroiło ich refleksyjnie.

– W październiku zobaczymy się ostatni raz w życiu – powiedział cicho Lipski.

– Na szczęście nie możemy być tego pewni – odrzekł Delitz, uśmiechając się. – Przyszłość jest nieprzewidywalna – dodał.

– Nie żałujesz, że dałeś się pozyskać Nowaczykowi do służby w wywiadzie?

– Ani trochę. Dzięki temu wyszedłem z biedy, poznałem Waltraud, mam niesamowitego syna i zobaczyłem kawał świata. Przysłużyłem się także ojczyźnie.

– Powiedz mi, Bogdan – Lipski użył prawdziwego imienia swojego podopiecznego – ale tak szczerze, jak to jest być nielegalnym?

– Bogdan, mój drogi, nie istnieje! Zapamiętaj to sobie! Mało tego, od pewnego czasu wzrasta we mnie przekonanie, że nigdy kogoś takiego nie było. – Ostatnie zdanie Adalbert wypowiedział prawie bezgłośnie. – Ale wracając do twojego pytania, cóż mogę ci powiedzieć? Właściwie służba dzieli się dla mnie na trzy etapy. Pierwszy to fascynacja wywiadem. To czas szkolenia, przygotowywania się do przerzutu. Człowiek był młody, głupi, tęsknił za przygodą oraz mocnym życiem. Do tej pory pamiętam, jak niemal każde spotkanie ze Stefanem wprowadzało mnie w stan ekscytacji. Następnie był krótki okres po przyjeździe do Monachium. Dobijała mnie wtedy samotność i tęsknota za krajem. Czasami byłem na krawędzi podjęcia decyzji o powrocie. Nic nie pomagało. Ani wóda, ani sport. Pozwalały jedynie trwać. Nawet jak zakochałem się i później poślubiłem Waltraud, odczucia te nie zniknęły. Oswobodziłem się od nich dopiero po narodzinach Uwe. Wtedy

nastał etap równowagi, która pozwoliła mi stać się profesjonalnym oficerem wywiadu nielegalnego. To wszystko.

– Czyli jednak tęskniłeś za samym sobą? Za Bogdanem? – Lipskiego interesowały psychologiczne aspekty bycia „wtórniakiem”.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie myślałem o swoim przeszłym życiu. Brakowało mi przede wszystkim polskiej atmosfery, mentalności, brzmienia języka, a nawet tej cholernej praśności i szarzyzny. A z jedzenia to chleba, porządnej kiełbasy i kiszonych ogórków.

Obaj roześmiali się głośno.

– A teraz kim jesteś? Polakiem czy Niemcem?

Adalbert nie spodziewał się takiego pytania. Długo dumał nad jego sensem. W końcu odrzekł:

– Jestem Polakiem, ale czuję się Niemcem.

Postanowili się upić. Doszli bowiem do wniosku, że przecież nigdy razem nie pili wódki. W knajpie była, co prawda, jedynie mocna, siedemdziesięcioprocentowa galicyjska śliwowica, jednak to ich nie zraziło. Zdecydowali się zamówić butelkę, a do tego tłuste jedzenie.

W trakcie biesiadowania wspominali wszystko, co było ich wspólnym udziałem. Często się śmiali, nierzadko milczeli. Zamykali jeden z najważniejszych rozdziałów w życiu. ■

Wszyscy odczuwali gorzki smak porażki. Przed chwilą Gordon skończył relacjonować wydarzenia z Berlina i Poczdamu. Najbardziej zawiedziony był Szczęsny. Emocje podpowiadały mu, by zrzucić odpowiedzialność za niepowodzenie na podwładnych, lecz zdołał się powstrzymać. Rozsądek nakazywał przeprowadzić chłodną analizę tego, co miało miejsce w Niemczech.

– Jak oceniasz działania podkomisarza? – zwrócił się do naczelnika wydziału kontrwywiadowczego.

– Moim zdaniem nie popełnił żadnego błędu. To nie jego wina, że nie zastał oficera SWR w kręgielni, a Niemcy schránili obserwację.

– Ale nie wrzucił widokówki! – Generał sformułował zarzut, choć zdawał sobie sprawę, że będzie go można łatwo odeprzeć.

– Zachował się bardzo racjonalnie. – Lent wziął w obronę policjanta. – Przecież zgodnie ze sztuką nie realizuje się działań operacyjnych, jeśli ma się świadomość inwigilacji. Tak też postąpił podkomisarz. Stwierdził, że jest śledzony, i logicznie odstąpił od wykonania zadania.

– Czy Niemcy domyślili się, że zostali „rozkuci”? – Szef Agencji spoglądał już w przyszłość.

– W mojej ocenie nie doszło do tego – odparł Gordon. – Przepytałem Veselego bardzo dokładnie na tę okoliczność. Kiedy nabrał podejrzeń, że jest obserwowany, nie wykonał żadnych nerwowych ruchów. Dokończył spokojnie marszrutę i wrócił do hotelu. Potem, jakby nic się nie stało, poszedł do knajpy na kolację.

– To bardzo dobrze – ocenił generał. – Musimy zastanowić się nad ponownym wyjazdem podkomisarza do Niemiec – oświadczył.

Podwładni spojrzeli na niego z niepokojem. Obaj uważali sprawę za zamkniętą. Dał temu wyraz zastępca do spraw operacyjnych:

– Chyba powinniśmy odpuścić. Ponowne pojawienie się policjanta w Berlinie i Poczdamie będzie niewiarygodne.

– Nie sądzę – odrzekł zdecydowanie Szczęsny. – Mamy dwa atuty. Pierwszy to taki, że najprawdopodobniej niemiecka policja jest przekonana, że nie popełniła

błędu podczas obserwacji naszego człowieka. Drugi zaś wynika z nieobecności Rosjanina w klubie.

– Chcesz, by fakt, że nie doszło do spotkania, był uzasadnieniem ponownego przyjazdu Veselego do Niemiec? – Lent chwycił w lot intencje przełożonego.

– Posłuchajcie uważnie! – Generał skoncentrował uwagę pułkowników na sobie. – Podkomisarz pojedzie ponownie do Niemiec i zrealizuje dokładnie te same marszruty. Zagra w kręgielni z oficerem SWR oraz wrzuci widokówkę do skrzynki na listy. Jak to zinterpretują niemieccy policjanci?

Zapadła cisza. Podwładni rozważali, co odpowiedzieć. Pierwszy odezwał się Gordon:

– Dojdą zapewne do wniosku, że poprzednim razem Vesely nie odkrył ich obserwacji.

– I co jeszcze? – Na ustach Szczęsnego wykwitł cwaniacki uśmiezek.

– Powinni uznać, że za pierwszym pobylem nie wrzucił kartki pocztowej, gdyż nie spotkał się z Rosjaninem – wnioskował Lent.

– Bingo! – prawie wykrzyknął generał. – A to będzie oznaczać, że widokówka jest powiązana z SWR. Tym samym wzmocnimy naszą inspirację.

– Innymi słowy, Niemcy najprawdopodobniej pomyślą, że podkomisarz nie mógł jej wrzucić, gdyż rusek nie przekazał mu, na przykład, adresu albo po prostu na to nie zezwolił – ucieszył się zastępca do spraw operacyjnych.

– Dokładnie – potwierdził szef AW.

– Ale dlaczego w takim razie następnego dnia, po nienawiązaniu kontaktu w kręgielni, Vesely pojechał do Poczdamu? To nie ma uzasadnienia, może Niemców zaniepokoić. – Naczelnik znalazł słaby punkt w nowej koncepcji.

Problem ten wywołał ożywioną dyskusję. Przez dłuższy czas nie mogli dojść do porozumienia. W końcu Lent przedstawił najbardziej wiarygodne rozwiązanie:

– Vesely miał po prostu za zadanie przejść dwudniową trasę sprawdzeniową, co sumiennie zrealizował. Nie doszedł jedynie, ze względu na nieobecność Rosjanina, do posesji Uwe Delitza. A ta, znajdując się nieopodal parku Sanssouci, uwiarygodni tylko jego postępowanie. Zobaczycie, że niemiecka policja i kontrwywiad potraktują rosyjskiego dyplomatę oraz wrzucenie widokówki do skrzynki jako brakujące elementy układanki. Dla nich będzie to dopełnieniem

obrazu całości. Niemcy nie będą szukać dziury w całym, tylko się ucieszą, że rozwiązali zagadkę. Poza tym na pewno się skoncentrują na kartce pocztowej i adresie, pod którym ją pozostawiono, a nie na dociekaniu tego, co było wcześniej.

Jego towarzysze pokiwali akceptująco głowami.

– W naszym planie jest tylko jeden słaby element – powiedział Gordon. – Nie możemy zapewnić obecności oficera SWR w kręgielni.

– Na to też jest sposób – odrzekł zastępca. – Podczas omawiania koncepcji inspiracji wspomniałem, że jeden z naszych oficerów z rezydentury w Berlinie kumpluje się z Rosjaninem. Moglibyśmy to wykorzystać.

– Jak to sobie wyobrażasz?! – Szczęsny był krytyczny.

– Niech nasz oficer umówi się ze swoim kolegą na konkretny piątek w kręgielni. Będziemy mieć wtedy pewność, że Vesely go tam zastanie.

– To wysoce nierozsądne – zaproponował naczelnik wydziału kontrwywiadowczego. – Niemcy od razu zważą, że to nasza robota.

– Mylisz się – zaripostował Lent. – W mojej opinii obecność pracownika polskiej ambasady może tylko uwiarygodnić całą akcję.

– Dlaczego tak twierdzisz? – zainteresował się generał.

– Przejrzałem raporty naszego berlińskiego oficera opisujące charakter jego relacji z Rosjaninem. Jeśli niemiecki kontrwywiad inwigiluje oficera SWR, to zapewne wie, że znajomość tych dwóch trwa od dawna. Nie raz na pewno obserwowano, jak pili wódkę w knajpach albo jak grali w kręgle. Nie zdziwi ich zatem fakt, że się ponownie spotkali. W takiej sytuacji pojawi się Vesely. I co sobie pomyślą Niemcy? Przecież nie uznają nas za idiotów, którzy odkrywają przed nimi karty. Przeciwnie, dojdą do wniosku, że obecność polskiego dyplomaty to czysty przypadek lub też zasłona dymna zorganizowana przez Rosjanina, który w ten sposób chciał zamaskować fakt spotkania z kurierem międzynarodowej organizacji przestępczej.

– To ma sens. – Szef AW zaakceptował takie rozumowanie.

– Trzeba będzie tylko dobrze poinstruować tego naszego człowieka z ambasady – wtrącił Gordon.

– On chyba nic nie powinien wiedzieć – nadmienił Szczęsny.

– Pamiętajmy, że w klubie Vesely ma podejść do oficera SWR dlatego, że ten będzie grał na pieniądze. Jeśli tego elementu zabraknie, może nie dojść do kontaktu – wyjaśnił naczelnik. – A kiedy nasz oficer spotka się towarzysko z Rosjaninem, to i rzucanie kulami może mieć charakter towarzyski – uzupełnił.

– Jurek ma rację – zawyrokował Lent.

– Pozostaje nam zatem rozwiązanie głównego problemu, jakim jest przekonanie policjanta, by ponownie pojechał do Niemiec – stwierdził Gordon.

– Przecież mamy go w garści. – Słowa podwładnego zdumiały szefa AW.

– To nie jest takie oczywiste – rzekł naczelnik. – Za pierwszym razem, wykorzystując zaskoczenie zwielokrotniające strach, udało nam się go dość łatwo zmusić do posłuszeństwa. Jednak teraz możemy mieć z tym duży problem – wyjaśnił.

– Musimy też brać pod uwagę, że chcemy jeszcze wykorzystać osobę podkomisarza do uwiarygodnienia inspiracji, fingując jego aresztowanie. Trzeciego szantażu chłopak po prostu może nie wytrzymać, a wtedy najpewniej stracimy nad nim kontrolę. – Zastępca do spraw operacyjnych poparł Gordona, który uzupełnił swoją poprzednią wypowiedź:

– Odkrycie niemieckiej inwigilacji mocno go przestraszyło, a to przemawia na naszą niekorzyść. Podczas spotkania ze mną Vesely miał olbrzymie pretensje o to, że wpakowaliśmy go w międzynarodową aferę. On po prostu nie chce mieć już z nami do czynienia.

– To co możemy zrobić? – Szczęsny wydawał się zdruzgotany. – Policjant musi jeszcze raz pojechać do Niemiec! Nie mogę przecież pójść do ministra koordynatora oraz premiera i oświadczyć, że operacja spaliła na panewce, gdyż główny wykonawca się na nas obraził.

Szef Agencji przez moment wodził pytająco wzrokiem po twarzach pułkowników, po czym rozkazał:

– Jurek, musisz mocno zacisnąć pętlę i zmusić Veselego do współpracy. Nie ma innego wyjścia!

– Uspokój się, Krzysiu. – Lent zamierzał stonować emocje szefa. – Mówiłem ci niedawno, że wobec podkomisarza można oprócz kija zastosować także marchewkę.

– Masz jakiś konkretny pomysł? – Naczelnik za wszelką cenę chciał uniknąć „zaciskania pętli”.

– Jeszcze nie wiem, ale coś wykombinuję – obiecał zastępca.

\*\*\*

Zygmunt robił sobie kolację. Był w dobrym nastroju. Jeszcze w komendzie zaplanował, że po powrocie do mieszkania będzie tylko leniuchował. Najwyżej poogląda telewizję albo rozegra internetową partię szachów.

Zjadł posiłek, a potem włączył telewizor i zaczął klikać pilotem w poszukiwaniu czegoś interesującego. Dobiegł go sygnał przychodzącego esemesa. Spojrzał na wyświetlacz smartfona. Uśmiechnął się szeroko. Wiadomość pochodziła od Justyny. „Zaprosisz mnie jeszcze kiedyś na kawę?” – przeczytał. Już zabierał się do pisania odpowiedzi, gdy ciszę przerwał dźwięk dzwonka przy drzwiach. Podkomisarz spał się, gdyż od razu nawiedziło go bolesne wspomnienie aresztowania przez CBŚP. Był czwartkowy wieczór, a nikt go nigdy nie odwiedzał w powszedni dzień tygodnia. Dzwonek znowu zabrzączał. Zygmunt rzucił się do torby, w której nosił różne rzeczy do pracy, i wyjął z niej dyktafon, w pamięci którego tkwił plik z jedną z rozmów z Gordonem. Wsadził go do kieszeni w spodniach i podszedł do drzwi. Spytał: „Kto tam?”. W odpowiedzi usłyszał stłumione: „Maciej”. Otworzył szeroko drzwi, na progu stał stryj. Jak tylko wszedł do środka, jeszcze zanim się serdecznie uścisnęli, zapytał:

– Dostałem dzisiaj twój list, co się dzieje, do cholery?!

– Przepraszam. – Policjant dopiero teraz sobie uświadomił, że jego przesyłka mogła wystraszyć krewnego. – Powinienem być do ciebie zadzwonić – usprawiedliwił się.

Przeszli do kuchni, Zygmunt chciał zrobić Maciejowi kolację, lecz ten wyraził chęć jedynie na mocną herbatę. Bratanek spełnił jego życzenie, po czym rozpoczął opowieść o wydarzeniach z ostatnich trzynastu dni.

Profesor słuchał z niezwykłą powagą przeistaczającą się w zafrasowanie, które symbolizowała głęboka bruzda na jego czole. Vesely kończył słowami:

– Umieściłem nagrania w mieszkaniu Justyny, ponieważ nikt nie wie o naszej znajomości. Musiałem się w ten sposób zabezpieczyć, i to jeszcze przed



spotkaniem z Gordonem. Nie byłem pewien, jak zareaguje na fakt niewypełnienia przeze mnie zadania w Poczdamie.

– No i jaka była jego reakcja?

– Nie zezłościł się na mnie. Powiedział nawet, że postąpiłem prawidłowo. Jednak to, co ode mnie usłyszał, wyraźnie go przygnębiło.

– Jak myślisz, jesteś już bezpieczny? – Stryj miał co do tego wątpliwości.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Na wszelki wypadek sporządzę jeszcze jedną kopię nagrań. Weźmiesz ją i schowasz, ale nie w domu. Najlepiej na uniwersytecie.

– Tak zrobię. – Maciej bez oporu zaakceptował dyspozycję, co zwróciło uwagę Zygmunta.

– Coś mi się zdaje, że w twojej ocenie mogę mieć jeszcze kłopoty?

– Tak podejrzewam. To wszystko nie wygląda dobrze.

– Dlaczego tak sądzisz? – Słowa stryja przstraszyły policjanta.

Profesor rozmyślał przez chwilę, a następnie spytał:

– Czy zastanawiałeś się, dlaczego miałeś wrzucić widokówkę do skrzynki pocztowej?

– Jak zauważyłem, że jestem śledzony, od razu pomyślałem, że cała ta akcja miała jedynie na celu, by Niemcy odkryli ten fakt.

– Mnie też się tak wydaje – zgodził się Maciej.

– Skojarzyłem to także z Uwe Delitzem – dodał Vesely. – Jestem niemal pewny, że Birkenallee jedenaście to adres jego zamieszkania.

– Skąd takie przekonanie?

– Po pierwsze, doradca kanclerza pracował wiele lat na Uniwersytecie Poczdamskim, więc zapewne mieszkał i prawdopodobnie dalej mieszka w tym mieście. A po drugie, Gordon mnie okłamał. I to jeszcze przed aresztowaniem przez CBŚP. Na moje pytanie dotyczące Adalberta Delitza stwierdził, że wywiad sprawdził go i wyszło na to, że nie jest on poszukiwanym nielegalnym.

– Tak powiedział?! Przecież to niemożliwe! – zareagował stryj. – To stawia twoje działania w Niemczech w zupełnie innym świetle.

– No właśnie – odrzekł Zygmunt. – Jeśli faktycznie skrzynka pocztowa należy do młodego Delitza, to wychodzi na to, że miałem go wskazać niemieckiej policji. Powstaje zatem pytanie: dlaczego na tym zależało Agencji?

– Powstaje także inne pytanie – dodał profesor. – Dlaczego osobą, która miała to zrobić, byłeś ty?

– Pułkownik uzasadnił to tym, iż Agencja nie może prowadzić działań operacyjnych na terenie tak bliskiego sojusznika, jakim są dla Polski Niemcy.

– Trochę to naciągane, ale nie można tego odrzucić – zawyrokował stryj. – Dopóki jednak nie mamy stuprocentowej pewności, że przy Birkenallee jedenaście mieszka Uwe Delitz, to możemy jedynie gdybać. Szkoda, że nie jesteśmy w stanie tego sprawdzić.

– Ale jeśli byśmy założyli, że tak jest w rzeczywistości, to o co mogłoby chodzić w tym wszystkim? – Vesely chciał wciągnąć Macieja w hipotetyczne rozważania.

– Mielibyśmy wtedy do czynienia z bardzo skomplikowaną sytuacją.

– Bardzo cię proszę, przedstaw ją. – Głos podkomisarza był niemal błagalny.

– Wszystko, co powiem, będzie miało oczywiście charakter domysłów, niemniej bardzo interesujących – zastrzegł na wstępie Maciej. – Jak zapewne pamiętasz, kiedy mój znajomy napisał z Monachium, że syn Adalberta jest doradcą kanclerza, od razu stwierdziłem, że gra toczy się o niego. Innymi słowy, Rosjanie zdobyli teczkę legalizacyjną zawierającą materiały kompromitujące jego ojca, żeby w oparciu o nie dokonać werbunku. Do takiego samego wniosku najpewniej doszli twoi byli mocodawcy z Agencji Wywiadu i postanowili to wykorzystać.

– Ale w jakim celu?

– Och, powodów może być kilka. Pamiętam, jak mówiłeś podczas ostatniej wizyty u mnie, że twoim zdaniem oni boją się ujawnienia faktu spenetrowania ich archiwum. Być może to było przyczyną wysłania cię do Niemiec? Albo zdecydowali się przeprowadzić tę operację, aby Polska zyskała określone korzyści polityczne? Stosunki polsko-niemieckie przeżywają teraz bardzo trudny okres, poza tym jesteśmy skonfliktowani z Unią Europejską, a Berlin gra w Brukseli wiodące skrzypce.

– Ale żeby zyskać przychylność Niemców, wystarczyłoby ich po prostu ostrzec przed Rosjanami – Zygmunt prostolinijnie skomentował wywód stryja.

– Czyli rzucić oskarżenie na jednego z najbliższych współpracowników kanclerza i tym samym przyznać się do utraty tajnych dokumentów?! – Profesor spytał ironicznie. – W ten sposób nasze państwo zostałoby wystawione na

pośmiewisko. Politycy sprawujący władzę na pewno chcieliby czegoś takiego uniknąć. Poza tym należy uwzględnić jeszcze jeden wariant, w moim mniemaniu najbardziej prawdopodobny, a mianowicie to, że ewentualne wskazanie Delitza mogłoby być wymierzone przeciwko Rosji. Ujawnienie szpiega w otoczeniu kanclerza wywołałoby prawdziwe trzęsienie ziemi.

Maciej zauważył, że jego bratanek myśli o czymś intensywnie.

– Co cię niepokoi? – spytał.

– Pod wpływem twojej opowieści dotarło do mnie, że jeśli Uwe Delitz został rzeczywiście zmuszony do zdrady przy wykorzystaniu teczki legalizacyjnej, to ujawnienie tego faktu spowodowałoby wsadzenie do więzienia Adalberta – odparł Vesely.

– Wątpię. Przypuszczam, że sprawa jego szpiegowskiej działalności uległa już, według niemieckiego prawa, przedawnieniu – odparł stryj.

– Ale zniszczyłoby go to jako człowieka – ciągnął Zygmunt.

– Na pewno zdruzgotałoby go psychicznie. Jego osobisty wizerunek oraz jego rodziny ległyby w gruzach. Wszystko, co osiągnął, zostałoby zakwestionowane. To byłoby dla niego wręcz zabójczy cios. Należy pamiętać, że jest to człowiek w wieku siedemdziesięciu czterech lat.

– Już sama świadomość, że syn trafił do więzienia z powodu jego tajnej przeszłości, mogłaby go zabić. – Podkomisarz westchnął głęboko.

– Dla młodego Delitza zapewne skończyłoby się to w ten sposób, jeśli cała afera ujrzałaby światło dzienne. Wątpię jednak, by tak się stało.

– Jak to? – Podkomisarz nie zrozumiał.

– Taki skandal byłby raczej niekorzystny dla ekipy rządzącej w Niemczech. Podejrzewam, że podjęto by decyzję o jego zatuszowaniu albo wykorzystaniu do rozgrywki politycznej.

– A o jakiej rozgrywce może być tu mowa? – Policjant wyraził z przekąsem swoje niedowierzenie.

– Ach, Zygmunt, Zygmunt. – Profesor pokręcił głową, komentując w ten sposób niewiedzę bratanka. – Jesteś szachistą, więc chyba wiesz, że czasami za pomocą piona można wzmocnić pozycję hetmana?

– Oczywiście!

– W odpowiedniej konfiguracji młody Delitz mógłby stać się takim właśnie pionem. Obserwuję trochę niemiecką scenę polityczną i wiem, że opozycja oraz wpływowe koła gospodarcze krytykują kanclerza za jego restrykcyjną politykę wobec Rosji, która odbija się negatywnie na zyskach wielu tamtejszych firm. Wyobraź sobie, że jesteś szefem rządu federalnego i dowiadujesz się o pracy swojego doradcy dla rosyjskiego wywiadu. Co byś zrobił?

– Biłbym piona – odparł „po szachowemu” Vesely. – Kazałbym go aresztować oraz nagłośnić całą sprawę, by uzasadnić słuszność swojej strategii.

– Przypomnij sobie, co mówiłem przed chwilą. – Maciej uśmiechnął się pobłaźliwie. – Taki ruch mógłby wywołać niepotrzebne perturbacje, a nawet zachwiać podstawami władzy. Rasowy polityk wykorzystałby taką sytuację do zdyskredytowania Rosjan oraz ich sprzymierzeńców przy jednoczesnej ochronie swoich interesów. Innymi słowy, posiadając wiedzę o kluczowej pozycji piona, oszczędziłby go, by zaatakować przeciwnika z najmniej spodziewanej strony.

– Możemy zatem mieć tylko nadzieję, że Uwe Delitz nie trafi do więzienia, a jego ojciec nie przeżyje na starość koszmaru – rzekł policjant. – To byłoby niesprawiedliwe, tyle przecież uczynił dla naszego kraju – dodał wzniośle.

Stryj zrobił sceptyczną minę i powiedział:

– Osoba starego nielegała jest mało istotna dla współczesnych graczy. Tak naprawdę nikogo nie obchodzi, co się z nim stanie, zwłaszcza gdy uwaga wszystkich jest skupiona na jego synu.

– Cholera, wszystko, o czym mówisz, wydaje się takie skomplikowane – westchnął podkomisarz. – Na szczęście to już poza mną.

– To chyba zbyt daleko posunięta teza. – Stryj powiedział to przeciągle. – Pamiętaj, że nie wykonałeś zadania. W zasadzie stwarza to trzy możliwości: albo Agencja zrezygnuje z jego dokończenia, albo wyśle kogoś innego, albo będziesz musiał znowu udać się do Niemiec.

– Nie zmuszą mnie drugi raz – prychnął podkomisarz. – Teraz mam już się czym bronić.

Dyskutowali jeszcze długo, w konsekwencji późno położyli się spać i rano obudzili się niewyspani. Po szybkim śniadaniu pożegnali się. Stryj Maciej odjechał

do Katowic, zaś Zygmunt udał się do komendy. Jak tylko wszedł do swojego pokoju służbowego, zadzwonił Gordon.

\*\*\*

Późnym piątkowym popołudniem Vesely wszedł do lobby jednego z najlepszych krakowskich hoteli. Ekskluzywne wnętrze przeniosło go do innego, „lepszego” świata. Pomyślał, że pułkownik musi mieć do niego jakąś cholernie ważną sprawę, skoro zaproponował spotkanie w takim miejscu. Przeczował, że chodzi o ponowny wyjazd do Niemiec.

Gdy oficer zaprosił go przez telefon na spotkanie, podkomisarz chciał najpierw odmówić, ale przypomniał sobie, że ten jest przecież w posiadaniu paczuski z metamfetaminą, na której widnieją jego odciski palców. Postanowił zatem zabrać do hotelu dyktafon z nagraniem jednej z rozmów dokumentujących jego pracę dla wywiadu, by ostatecznie zerwać kontakty z Agencją.

Gordon pojawił się w lobby punktualnie. Przywitali się bardzo chłodno. Nie podali sobie rąk, jedynie skinęli ku sobie głowami. Dzielił ich wielki dystans – efekt szantażu, jakiemu Agencja poddała policjanta. Zygmunt czekał, aż pułkownik odezwie się pierwszy. Ten wiedział, że inicjatywa leży po jego stronie, toteż rzekł drewnianym głosem:

- Bardzo dziękuję, podkomisarzu, że przyjął pan moje zaproszenie.
- Wątpił pan, że przyjdę? – Głos policjanta był zadziorny.
- Zgadza się, nie byłem tego do końca pewny – przyznał pułkownik.
- A to dlaczego? – Vesely uśmiechnął się ironicznie. – Przecież ma pan paczkę pełną metamfetaminy z moimi odciskami palców. – Teraz z jego ust wypłynął gorzki żal.

- Rozumiem pana rozgorzyczenie, podkomisarzu. Obiecuję wszystko wyjaśnić, ale nie tutaj.

Wspomnienie aresztowania tak rozgorączkowało Zygmunta, że chciał od razu wyjąć z kieszeni dyktafon i brutalnie zakończyć spotkanie, lecz do jego uszu doleciały słowa Gordona:

- Tym razem nie jestem sam. Przyjechał ze mną mój przełożony, zastępca szefa Agencji do spraw operacyjnych. Chciałby osobiście pana przeprosić za ostatnie

wydarzenia. Czy da mu pan taką szansę, podkomisarzu?

To było coś nowego. Policjant spojrział na oficera wywiadu z ukosa i spytał z pewną dozą naiwności przynależną jego młodemu wiekowi:

– Naprawdę chcecie mnie przeprosić?!

– Tak. Specjalnie po to przyjechaliśmy. Nie liczę, co prawda, na to, że schowa pan urazę do nas, ale mam nadzieję, że nie odmówi pan odbycia krótkiej rozmowy. W końcu owocnie współpracowaliśmy przez kilka miesięcy, więc wypadałoby się chyba normalnie rozstać.

Ostatnie zdanie przekonało podkomisarza. Udali się do windy, by wjechać na ostatnie piętro, gdzie znajdowały się najbardziej reprezentacyjne apartamenty.

Pułkownik Lent na widok wchodzących do pomieszczenia mężczyzn wstał z fotela. Gordon dokonał prezentacji. Zygmunt podał rękę zastępcy szefa Agencji do spraw operacyjnych z dużym respektem. Od oficera, odzianego w nieskazitelną, grafitowy garnitur oraz śnieżnobiałą koszulę przełamana subtelnym ciemnoszarym krawatem, biła aura elitarności oraz władczości. Także entourage przestronnego, nowoczesnie umeblowanego jasnego wnętrza, w którym się znajdowali, stwarzała wyjątkowy nastrój nacechowany dostojnością.

Wszyscy trzej zagłębili się w skórzanych fotelach rozstawionych wokół przysadzistej, zrobionej z ciemnego egzotycznego drewna ławy. Policjant wbił wzrok w stojącą na niej pękatą butelkę z alkoholem słomkowego koloru. Lent zauważył to.

– Mam nadzieję, że nie odmówi pan szklaneczki świetnej szkockiej whisky, podkomisarzu?

– Poproszę – odrzekł nieco speszony Zygmunt.

Gordon jak na komendę ruszył w kierunku pokojowego barku, skąd przytaszczył szkło oraz lód. Zastępca czekał, aż alkohol wyląduje u każdego w dłoni. Gdy tak się stało, powiedział:

– Za spotkanie, panie podkomisarzu. Niezmiernie się cieszę, że mogę pana poznać.

Gdy upili nieznacznie ze szklanek, Lent wyprostował się i przemówił niezwykle ciepłym, wręcz aksamitnym głosem:

– Na początek bardzo proszę o przyjęcie od kierownictwa Agencji szczerych przeprosin za to, co przeżył pan kilkanaście dni temu. Chodzi oczywiście o zorganizowane przez nas aresztowanie, by przymusić pana do wykonania zadania w Niemczech.

Vesely nie zareagował, więc oficer postanowił wytłumaczyć to postępowanie.

– Osobiście zdaję sobie sprawę, że w pana opinii był to akt wysoce nieetyczny, wręcz nieludzki, niemniej nasze działanie miało sens, a spowodowane było pana odmową dobrowolnego udziału w całym przedsięwzięciu.

– Czyli sam sobie jestem winien? – Policjant nawet nie starał się zachowywać kurtuazyjnie, zasłyszana wypowiedź zdenerwowała go.

– Absolutnie nie. Proszę jednak spojrzeć na wszystko z naszego punktu widzenia. Przygotowaliśmy niezwykle istotną operację, lecz okazało się, że nie można jej zrealizować, gdyż przewidywany główny wykonawca zrejterował. Do tego działaliśmy pod presją czasu, więc o zastąpieniu pana kimś innym nie było wręcz mowy.

– A dlaczego nie zapytaliście mnie jeszcze w trakcie planowania, czy zgodzę się wziąć udział w takiej akcji?

– To był nasz błąd – przyznał zastępca do spraw operacyjnych – ale doszło do niego pod wpływem niezwykle pozytywnej opinii o panu powstałej wskutek ogromnego sukcesu, jaki pan odniósł, prowadząc w Krakowie śledztwo dla Agencji. Po prostu byliśmy w stu procentach przekonani, że nie odmówi pan dalszej współpracy.

Ostatnie słowa miło połechtały Zygmunta. Postanowił jednak wykorzystać kontekst wypowiedzi, by spytać o nielegala.

– Nawiązując do mojego sukcesu – rzekł powoli, wpatrując się w rozmówcę – czy wpadliście już na trop Wojciecha Rytela?

Policjant zauważył, jak oblicze wysokiego funkcjonariusza wywiadu stężało na ułamek sekundy. Zanim udzielił on odpowiedzi, zmarszczył nieznacznie brwi i potarł dłonią kolano. Vesely nie musiał być ekspertem od interpretacji mowy ciała, by odczytać te oznaki jako zapowiedź kłamstwa. To wzmocniło w nim przekonanie, że pod adresem Birkenallee 11 w Poczdamie mieszkał Uwe Delitz.

– Niestety, nie – odparł Lent. – Poszukiwania cały czas trwają. Nasi eksperci twierdzą, że nasz nielegał, będąc obecnie emerytem, najprawdopodobniej wyjechał z Niemiec. Stąd też nasze niepowodzenie.

– Wyjaśniałem już podkomisarzowi, dlaczego nie możemy skorzystać z pomocy niemieckich służb, co bardzo ograniczyło nasze możliwości – wtrącił Gordon.

– Tak, to bardzo istotna bariera, powiedziałbym, że nawet kluczowa – potwierdził zastępca. – Ale wróćmy do tematu naszej operacji w Berlinie i Poczdamie. Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że byliśmy pewni pana uczestnictwa. Zapyta pan zapewne, dlaczego? Po pierwsze, stwierdziliśmy, że prezentuje pan rzadki dziś typ młodego człowieka, kierującego się w swoim działaniu szeroko rozumianym dobrem publicznym opartym na postawie propaństwowej. Innymi słowy, uznaliśmy pana za patriotę. Po drugie, spostrzegliśmy, że zależy panu na udziale w czymś istotnym, doniosłym, czymś, co jest nieprzeciętne i niezwykle. Po trzecie to, w jaki sposób odnalazł pan Wojciecha Rytela, dowiodło pana wybitnych zdolności oraz zaangażowania. A pan jednak odmówił. Nie mogę zrozumieć przyczyn! Czyżby nasza ocena była chybiona? Nie jest pan patriotą? Nie chciał pan przysłużyć się krajowi? Nie pociągała pana niesamowita przygoda?

Pytania zawisły w próżni. Vesely nie wiedział, co odpowiedzieć. Oficer trafił w sedno jego zawodowego jestestwa. Mało tego, wzbudził w nim wyrzuty sumienia! Szybko jednak ochłonął, gdyż z tyłu głowy usłyszał słowa przestrogi stryja Macieja. Odpowiedział lakonicznie, a tym samym wiarygodnie:

– Po prostu się bałem. Co innego prowadzić śledztwo w Krakowie, a co innego wykonywać tajne zadanie za granicą.

Pułkownicy wzięli to wytłumaczenie za dobrą monetę. Zastępca szefa Agencji nawiązał do jego sensu:

– A gdyby można było w sposób racjonalny oddalić ten strach, to czy wtedy dobrowolnie podjąłby się pan wykonania takiej misji?

Vesely nie miał wyjścia, musiał zareagować pozytywnie.

– Pewnie tak – odrzekł cicho.

Lent odchrząknął wyraźnie zadowolony i oświadczył:



– Trzeba jeszcze raz pojechać do Niemiec, panie podkomisarzu! – Oficerowie bacznie obserwowali, jaka będzie reakcja policjanta.

Ten spoglądał to na jednego, to na drugiego. Nie czuł się zaskoczony. Właściwie to, co przed chwilą usłyszał, odprężyło go. Wiedział mianowicie, że nadeszła chwila zadania ciosu za pomocą nagrania spoczywającego w pamięci dyktafonu. Oczami wyobraźni widział już, jak wyciąga urządzenie z wewnętrznej kieszeni marynarki, załącza je i patrzy, jak twarze jego rozmówców wydłużają się wskutek wszechogarniającego ich zdziwienia. „Ciekawe, jak się poczują, gdy do ich świadomości dotrze, że wydymał ich chłoptaś z prowincji” – pomyślał mściwie, a zarazem z satysfakcją.

Tymczasem zastępca szefa wywiadu do spraw operacyjnych przyjął milczenie Zygmunta za przyzwolenie na kontynuowanie własnego wyводу.

– Zanim cokolwiek pan powie, proszę mnie wysłuchać – zastrzegł. – W całej tej rozgrywce chodzi w zasadzie nie tyle o Polskę, ile o Niemcy!

Vesely cofnął rękę zmierzającą po dyktafon. To, co usłyszał, zaintrygowało go.

– Nie bardzo rozumiem – rzekł zgodnie z prawdą.

– Jak już zapewne mówił pułkownik Gordon, Agencja nie może prowadzić działań wywiadowczych na terenie państw sojusznicznych. Nie do końca jest to jednak prawda. Otóż realizujemy obecnie na terenie Niemiec... powiedzmy... pewną delikatną sprawę, która, jeśli została by wykryta przez niemieckie służby, postawiłaby nas w bardzo kłopotliwej sytuacji. – Lent starał się, by kłamstwo, jakim się posługiwał, brzmiało jak najbardziej wiarygodnie. – W trakcie natknęliśmy się na bardzo przekonujące poszlaki świadczące o tym, że jeden z wpływowych berlińskich polityków pracuje dla Rosjan. Stanęliśmy przed dylematem: czy powiadomić Niemców i spalić w ten sposób własne aktywa, czy też nie robić nic i pozwolić rosyjskiemu wywiadowi infiltrować naszego najbliższego sojusznika? Cholernie trudna kwestia do rozwiązania. Nieprawdaż, podkomisarzu?

– Cholernie trudna – powtórzył jak echo Vesely.

– Wpadliśmy zatem na pomysł, by ostrzec Berlin, nie odkrywając własnych kart. I tę rolę powierzyliśmy właśnie panu. Niestety, nie udało się.

– Domyślam się teraz, że pod adresem, gdzie miałem wrzucić widokówkę, mieszka ów polityk pracujący dla Rosji? – zawnioskował policjant.

– Dokładnie.

– A Niemcy śledzili mnie, gdyż zostali specjalnie powiadomieni o moim pobycie w Berlinie i Poczdamie?

– Zgadza się. Pana zadanie polegało tak naprawdę na wskazaniu rosyjskiego szpiega niemieckiej policji. To miała być klasyczna inspiracja. Przedstawię teraz jej założenia.

Zastępca do spraw operacyjnych rozpoczął opowieść od tego, w jaki sposób Veselemu przypisano rolę kuriera międzynarodowej organizacji przestępczej, przeciwko której CBŚP prowadziło śledztwo, co w konsekwencji umożliwiło zmobilizowanie niemieckiej policji do prowadzenia obserwacji. Gdy wyjaśniał, z kim i dlaczego miał rozegrać partię kręgli, Zygmunt wręcz osłupiał z wrażenia. Lent zakończył następującymi słowami:

– To była naprawdę znakomicie przygotowana akcja, z wiarygodną legendą i logicznymi działaniami. Nie przewidzieliśmy tylko jednego: że pan, podkomisarzu, zdoła odkryć inwigilację bezpośrednią. Na szczęście zachował się pan jak profesjonalista, nie wykonał pan żadnych nerwowych ruchów. Także fakt, iż nie doszło w kręgielni do spotkania z oficerem SWR, pozwala nam powrócić do gry. Pytanie jest tylko jedno: czy zgodzi się pan odegrać jeszcze raz rolę kuriera?

Vesely nie odezwał się. Jego umysł rozważał całą sytuację niczym na mistrzostwach szachowych, kiedy to należy podjąć decyzję o posunięciu, które zaważy na całej grze. Analitycznie szufladkował wszystkie fakty. Uznał, że sprawa musiała mieć dla kierownictwa Agencji rangę najwyższego kalibru, skoro poproszono go o ponowne współdziałanie. „Mogli mnie przecież kolejny raz zaszantażować, a nie zrobili tego” – pomyślał. Zdał sobie także sprawę, że jeśli odmówi, prezentując nagranie, to oni na pewno wyślą kogoś innego...

– Mam także dla pana pewną propozycję. – Zastępca szefa Agencji do spraw operacyjnych przyjął milczenie policjanta jako wyraz głębokiego wahania się dryfującego ku udzieleniu odmowy. – Muszę przy tym dodać, że tak naprawdę oferta pochodzi od samego szefa Agencji, generała Krzysztofa Szczęsnego.

– Tak?... Słucham?... O co chodzi? – Zygmunt powrócił z myślowych zakamarków.

– Zostałem upoważniony do przedstawienia koncepcji zatrudnienia pana, podkomisarzu, w Agencji Wywiadu! – Głos oficera zabrzmiał oficjalnie oraz w jakiejś mierze uroczyście.

– Mnie?! – Vesely poczuł się zbity z pantałyku.

– Tak jest!

– Proponujemy przynależność do najbardziej elitarnej służby w kraju! – włączył się milczący do tej pory Gordon.

Policjant nie wiedział, jak zareagować. Czegoś takiego się po prostu nie spodziewał.

– Z tego, co wiemy, to jest pan sierotą i kawalerem – kontynuował Lent. – Zdaje się, że jedyny bliski krewny, jakiego pan posiada, to brat ojca?

– Tak – odparł policjant. – Wychował mnie po śmierci rodziców. Ale co to ma do rzeczy?

– Bardzo wiele. – Gordon uśmiechnął się szeroko. – Nic pana nie trzyma w Krakowie. Bez problemów mógłby pan wziąć udział w kursie na oficera operacyjnego wywiadu.

– Mamy na uwadze szkolenie w trybie indywidualnym – zastępca przejął inicjatywę. – Szef Agencji, generał Szczęsny, załatwi z komendantem głównym policji oficjalne odkomenderowanie pana na ten czas do współpracy z CBŚP w Warszawie, a tak naprawdę pojedzie pan do naszego ośrodka na Mazurach. Przystąpienie do kursu nie będzie jednak obligowało pana do pozostania w Agencji. Dopiero po jego zakończeniu zdecyduje pan, czy chce pracować u nas, czy też powrócić do Krakowa. Myślę, że to bardzo atrakcyjna i elastyczna propozycja.

Podczas gdy Lent wyjaśniał, jak przebiegałoby szkolenie, Vesely powrócił do swoich rozmyślań. Niechybnie ludzie namawiający go do ponownego wyjazdu do Berlina i Poczdamu realizowali przebiegłą intrygę, która poprzez wskazanie niemieckiego zdrajcy miała doprowadzić do osiągnięcia jakiegoś znaczącego politycznego celu. A jeśli w rzeczywistości był nim Uwe Delitz, to istniało wielkie prawdopodobieństwo dekonspiracji Adalberta. Przypomniały mu się słowa stryja:

„Osoba starego nielegała jest mało istotna dla współczesnych graczy. Tak naprawdę nikogo nie obchodzi, co się z nim stanie...”. „Nieprawda” – pomyślał Zygmunt – „mnie to obchodzi”. Nie mógł się po prostu pogodzić z faktem, że w stosunku do tego byłego, znakomitego oficera wywiadu polskie państwo nie przejawia ani odrobiny lojalności. Gdzieś w głębi jego duszy odezwały się ideały, w które, jako młody człowiek, cechujący się optymistyczną naiwnością, wciąż wierzył. Wzmocniły w nim przekonanie, że nie może pozostać obojętnym na taki stan rzeczy.

Do podkomisarza ponownie dotarły słowa zastępcy szefa Agencji do spraw operacyjnych, który prezentował obecnie wizję przyszłej kariery Zygmunta: od pracy w warszawskiej centrali do wyjazdu na zagraniczną, dyplomatyczną placówkę. Opowiadał barwnie i przekonująco. Z jego słów wyłaniał się obraz wielkiej przygody, a zarazem szlachetnej i patriotycznej służby dla ojczyzny. Gdy skończył, spytał:

– I co pan na to, podkomisarzu?

Vesely nie odezwał się, udawał, że się namyśla. Gordon nie wytrzymał tej zwłoki. Sięgnął po swoją teczkę i wyciągnął z niej zadrukowaną kartkę, którą położył przed podkomisarzem.

– To ekspertyza fonologiczna nagrania z krakowskiego pogotowia gazowego – rzekł. – Dowodzi bezpośrednio, że za morderstwem Strypuli, a zapewne także Regiewiczza oraz Kalenika stali Rosjanie. Jako policjant nigdy nie zdoła pan postawić ich przed wymiarem sprawiedliwości, ale współpracując z nami, może ich pan ukarać w sposób jeszcze bardziej dla nich dotkliwy.

Zygmunt przeczytał dokument. Nie podnosząc znad niego wzroku, powiedział:

– Zgadzam się. Pojadę jeszcze raz do Niemiec.

\*\*\*

Nacisnął klawisz dzwonka do mieszkania stryja Macieja. Przyjechał bez uprzedzenia, jednak przedpołudniowa sobotnia pora dawała niemal pewność, że zostanie krewnego w domu. Nie omylił się. Ten, otworzywszy drzwi, wyraził milcząco swoje zdziwienie wizytą, rozwierając szeroko ramiona na powitanie.

Gdy usiedli przy stole w kuchni, podkomisarz oświadczył:

- Postanowiłem wzmocnić pionem hetmana, by ochronić króla.
- Co masz konkretnie na myśli? – Profesor uniósł brwi ze zdziwienia.
- Muszę spotkać się z Adalbertem Delitzem! Jadę do Monachium!

Vesely opowiedział szczegółowo o wczorajszym spotkaniu z pułkownikami wywiadu. Stryj słuchał uważnie, nie przerwał mu ani słowem. Gdy bratanek skończył, spytał jedynie:

– Kiedy wyruszasz do Berlina?

– Jak tylko dostanę sygnał od Gordona. Nie prędzej jednak niż w najbliższy piątek. Mam zatem sporo czasu, by porozmawiać z nielegalnym. Chciałbym jednak zrobić to jak najszybciej, więc jutro wyruszam w drogę.

– Czy ten wyjazd ma sens? – Maciej był pełen wątpliwości. – Co chcesz osiągnąć?

– Chcę dać szansę Delitzom.

– Obawiasz się, że Uwe może trafić do więzienia?

– Tak. Postanowiłem do tego nie dopuścić! – Zygmunt wypowiedział to niezmiernie poważnie i zdecydowanie.

– Dlaczego? – Głos stryja zabrzmiał miękko, oświadczenie bratanka nieoczekiwanie go wzruszyło.

– Powiem ci, tylko się ze mnie nie śmiej.

– Obiecuję.

– Chodzi mi przede wszystkim o Adalberta. Chcę, aby dla niego cała ta afera skończyła się sprawiedliwie.

– Czyli jak? – Maciej uśmiechnął się. Słowa Zygmunta cofnęły go w czasie. Przypomniał sobie, jak sam był idealistą. Niekiedy bardzo naiwnym...

– Chciałbym, żeby Rosjanie dostali po łapach...

– Ale żeby przy tym starego Delitza nie spotkało nic złego? – przerwał mu profesor.

– Tak. Nie wyobrażam sobie, żeby człowiek, który tyle uczynił dla naszego kraju, poniósł jakiegokolwiek konsekwencje. I to tylko dlatego, że paru koleś chce się pobawić w podchody. Ale to nie wszystko. – Vesely zacisnął na moment usta. – Muszę się także odegrać na Agencji. Za moje aresztowanie, za szantaż, za

kłamstwo w sprawie poszukiwań nielegała w Niemczech i oczywiście za nielojalność w stosunku do Adalberta i... I do mnie.

– Po co ci ta zemsta? – Profesor był zdumiony, nie znał bratanka od tej strony.

– Złamali zasady.

– Może dla twoich mocodawców nie są one ważne? Ostrzegałem cię przed czymś takim.

– Dla mnie są ważne, to najistotniejsze. – Podkomisarz znowu ścisnął wargi, tym razem mocniej.

Przez moment nie odzywali się. Ciszę przerwał Maciej:

– Jak mogę ci pomóc?

Vesely czekał na taką reakcję stryja.

– Wyjazd do Delitza muszę utrzymać w konspiracji. Byłbym wdzięczny za twój samochód, smartfon oraz kartę kredytową. Po powrocie zwrócę ci pieniądze.

– A jak go odnajdziesz? Przecież nie wiesz, gdzie mieszka. Nie znasz nawet numeru jego telefonu.

– Ustaliłem, gdzie znajduje się firma, której jest współwłaścicielem.

– Skoro już bawisz się w szpiega, to gdzie oficjalnie będziesz przebywać podczas pobytu w Bawarii?

– Tutaj, w Katowicach. Muszę się tobą opiekować, gdyż jesteś obłożnie chory.

– Zygmunt mrugnął porozumiewawczo. – Jeszcze dzisiaj zadzwonię do swojego naczelnika i dogadam się z nim, by przymknął oko na moją nieobecność w poniedziałek. Do Monachium jedzie się około dziesięciu godzin, więc we wtorek będę już w pracy.

– A jeśli nie zastaniesz Adalberta? Może faktycznie dokądś wyjechał? – Profesor znalazł hipotetyczną przeszkodę.

– Muszę zaryzykować – zaripostował podkomisarz. – Oczywiście mógłbym spróbować umówić się z nim, dzwoniąc do jego firmy, ale istnieje ryzyko, że odmówi spotkania lub wyznaczy termin po akcji w Berlinie i Poczdamie. Będąc fizycznie na miejscu, mam o wiele większe szanse na odbycie rozmowy.

– Może jednak nie musisz się tak angażować? – Maciej miał jeszcze nadzieję, że odwiedzie bratanka od wyprawy. – Sądzę, że kiedy niemieckie służby wpadną

na trop afery, to nie nadadzą jej rozgłosu. Będą raczej starały się osłonić rząd federalny przed skandalem, co w konsekwencji zapewni spokój Adalbertowi.

– Co do tego nie ma pewności – odpowiedział policjant. – A jak ktoś zechce wykorzystać zdradę doradcy do osłabienia kanclerza? Nie wiemy przecież, czy wszyscy, którzy w Niemczech dowiedzą się o sprawie, zachowają się lojalnie.

– Masz rację, tego nie wiemy – zgodził się profesor. – Ale co właściwie chcesz uzyskać, składając wizytę Delitzowi?

– Chcę doprowadzić do tego, aby to kanclerz bezpośrednio kontrolował sytuację!

– I myślisz, że zdołasz coś takiego osiągnąć?! – Odpowiedź zszokowała stryja w najwyższym stopniu.

– Wątpisz, czy mi się uda?

Profesor kręcił z niedowierzaniem głową.

– Nie mogę po prostu uwierzyć, że ty, zwykły, szary śmiertelnik z prowincjonalnej Polski, chcesz wyrzucić wpływ na jednego z najważniejszych ludzi na świecie. To jakiś absurd, nedorzecznosc, wręcz fantasmagoria! Zygmunt, ty chyba postradałeś zmysły!

– To wykonalne, stryju. – Podkomisarz przyjął ze spokojem reakcję krewnego.

– Pamiętaj, że syn nielegała jest jednym z najbliższych doradców szefa niemieckiego rządu, a to oznacza, że ma do niego częsty, niczym nieskrępowany dostęp.

W kilkanaście minut Vesely zaprezentował założenia rozmowy, jaką zamierzał przeprowadzić z Adalbertem. Koncepcja tak pochłonęła Macieja, że w rezultacie sformułował precyzyjne argumenty, jakie Uwe Delitz powinien przedstawić kanclerzowi Niemiec!

– No dobrze. A jak postąpisz, gdy mimo wszystko nie dojdzie do spotkania? – Stryj powrócił do największej obawy, jaka go nurtowała.

– Nie wiem. Zobaczą na miejscu, co da się wtedy ewentualnie jeszcze zrobić. Jeśli niczego nie osiągnę, to przynajmniej będę miał czyste sumienie.

– Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć ci powodzenia – odparł profesor. – Powiedz mi jeszcze tylko, co mam mówić, jak ktoś zadzwoni na twój telefon, bo zdaje się, że chcesz go u mnie zostawić.

- Najlepiej nie odbieraj, a jak już to zrobisz, to będziesz musiał solidnie kłamać.
- Zygmunt powiedział to bez najmniejszego zażenowania, jakby mówienie nieprawdy było czymś normalnym i powszechnie akceptowalnym. ■



Obudził się po ósmej. Spojrzał w niewielkie okno. Choć poniedziałkowy ranek obfitował w ciemnosine chmury, to jednak nie padało. Przeciągnął się i stwierdził, że jest w miarę wypoczęty. Wczorajsza droga z Katowic do Monachium dała mu w kość. Weekendowe korki na austriackich i niemieckich autostradach sprawiły, że jechał prawie trzynaście godzin. Do stolicy Bawarii dotarł późnym wieczorem. Udało mu się zakwaterować w niewielkim pensjonaciku, w odległości około dwudziestu minut jazdy S-Bahnem od centrum. Przypomniawszy sobie, jak Frau Guschke, właścicielka noclegowni, prosiła go wczoraj łamaną angielszczyzną, by na śniadanie stawiał się do godziny dziewiętej. Wstał więc szybko, wziął prysznic, ubrał się i zszedł do jadalni.

Po posiłku wrócił na górę. Na łóżku rozłożył niewielki plan śródmieścia oraz schemat miejskiej komunikacji, jakie były na wyposażeniu pokoju. Szybko zlokalizował ulicę, przy której znajdowała się firma Adalberta Delitza, oraz ustalił, jak się tam dostać. Nie znał miasta, więc postanowił nie jechać samochodem.

Przebrał się w garnitur, białą koszulę i krawat. Chciał wyglądać reprezentacyjnie. Spojrzał w lustro i stwierdził, że udało mu się osiągnąć zamierzony efekt. Założył płaszcz, wziął do ręki skórzaną, elegancką teczkę, w jaką wyposażył go stryj, i wyruszył wykonać postawione sobie zadanie.

Siedziba firmy Import – Export Enterprise GmbH znajdowała się w okazałej kamienicy z końca dziewiętnastego wieku, o czym informowała data widniejąca na frontonie bramy wejściowej. Zygmunt stanął przed nią i ogarnął go lęk. Wycofał się, emocje nie pozwoliły mu skierować kroków do środka. Postanowił wolno pospacerować, by się uspokoić. Wiedział, że musi zająć czymś swoje myśli, by rzucić stres. Zaczął więc po cichu powtarzać angielskie zwroty, jakich zamierzał użyć. Po około kwadransie znowu stanął przed wejściem do firmy. Nabrał głęboko powietrza do płuc i podążył przed siebie. Ciężkie drewniane drzwi, uruchomione zapewne przez fotokomórkę, samoczynnie się uchyliły. Za nimi rozpostarło się nowoczesne, szklano-aluminiowe wnętrze.

Zygmunt podszedł do niewielkiej recepcji. Siedzący tam młody mężczyzna na jego widok podniósł się z krzesła i z wystudiowanym, gościnnym uśmiechem rzekł coś po niemiecku. Podkomisarz wypowiedział po angielsku formułkę, że jest cudzoziemcem i specjalnie przyjechał z zagranicy, by zobaczyć się z właścicielem firmy, Adalbertem Delitzem. Tamten zrobił smutną minę i oświadczył, tym razem także po angielsku, że „Herr Delitz jest nieobecny”. Vesely spłoszył się, gdy to usłyszał. Cały jego plan runął momentalnie. Nie poddał się jednak. Był na to przygotowany. Poprosił o rozmowę z kimś z zarządu, „najlepiej krewnym Herr Delitza”. Po niemej reakcji pracownika zrozumiał, że sprawił mu kłopot. Ten zastanawiał się, co zrobić. Polak zdecydował się mu pomóc. Wyjaśnił mianowicie, że sprawa, z którą przybywa, ma charakter prywatny i jest związana z dawnym, bardzo bliskim przyjacielem właściciela przedsiębiorstwa. „Herr Delitz będzie na pewno zadowolony i wdzięczny za zakomunikowanie mu moich odwiedzin” – argumentował. To przeważało. Recepcjonista wziął komórkę i zadzwonił do kogoś. Trajkotał po niemiecku ponad minutę, widocznie wyjaśniał sytuację, z jaką miał do czynienia. Kiedy skończył, powiedział do podkomisarza, żeby ten udał się na pierwsze piętro do głównego sekretariatu.

W obszernym pomieszczeniu biurowym, do którego wszedł, wskazano mu wygodny fotel i życzliwie poproszono, by poczekał kilka minut. Policjant zdjął płaszcz i rozsiadł się wygodnie. Po pewnym czasie otworzyły się drzwi prowadzące najwidoczniej do jakiegoś gabinetu i ukazała się w nich elegancko ubrana, zgrabna kobieta. Podeszła do niego i przedstawiła się, używając doskonałej angielszczyzny:

– Jestem Luise Delitz, Adalbert Delitz to mój wujek. Zapraszam do mnie.

Weszli do środka i jeszcze nie zdążyli usiąść, gdy Vesely nie wytrzymał napięcia i spytał:

– Czy pani wuj przebywa obecnie w Monachium?

– Tak, ale z kim mam do czynienia i co pana do niego sprowadza? – Zachowanie gościa wyraźnie zdziwiło krewną Adalberta. Ruchem ręki zaproponowała, by spoczęli na krzesłach.

– Proszę mi wybaczyć, że się nie przedstawiłem. – Zygmunt momentalnie przeistoczył się z zestresowanego interesanta w pewnego siebie światowca. – Nazywam się Sigismund Vesely. – Specjalnie wypowiedział swoje imię w wersji

angielskiej. – Jestem w Monachium przejazdem. Dawny, bliski przyjaciel pana Delitza poprosił mnie, abym spotkał się z pani wujem, by przekazać mu pewną wiadomość oraz rzecz. Sprawa ma charakter prywatny, więc muszę to zrobić osobiście.

– A skąd pan przyjechał?

– Z Krakowa. Z tego, co wiem, pani wuj urodził się i wychował w Polsce. Człowiek, którego prośbę spełniam, przyjaźnił się z panem Delitzem w czasach szkolnych.

Zygmunt wpatrywał się w oblicze rozmówczynie. Za chwilę miał się przekonać, czy jego bief okazał się skuteczny oraz czy rzeczywiście dotarł do nielegala. „A jeśli ta krewna Adalberta nie miała pojęcia o polskim pochodzeniu wuja?!” – przestraszył się. Kobieta rozwiąła jednak jego obawy:

– Wujek bardzo nie lubi opowiadać o swojej młodości w Polsce, dlatego wątpię, czy będzie się chciał z panem spotkać.

– Bardzo proszę, niech pani mi pomoże! To dla mnie bardzo ważne!

Głos Veselego był niemal błagalny, tak jak jego wzrok, który utkwiał w oczach rozmówczynie. Ona zaś pod jego wpływem, uwydatniającym wdzięk młodego, przystojnego mężczyzny, skapitulowała. Uśmiechnęła się, ujęła smartfon i wybrała połączenie. Zaczęła rozmawiać. Szybko wyrzucane niemieckie słowa zlewały się w całkowicie niezrozumiały potok, tak że przysłuchujący się Zygmunt nie mógł stwierdzić, czy po drugiej stronie był Adalbert. W pewnym momencie kobieta przerwała i zwróciła się do podkomisarza:

– A jak właściwie nazywa się ten przyjaciel? Wujek nie wie, o kogo chodzi.

– Jan Lipski. – Vesely powiedział to wolno i bardzo dokładnie. – Jan Lipski z Warszawy.

Teraz rozmówczynie tylko słuchała, co nie trwało długo. Rozłączyła się, wzięła z biurka kartkę, coś na niej napisała i powiedziała:

– Oto numer prywatnego telefonu wuja. Poprosił, żeby pan do niego zadzwonił za godzinę. Teraz jest niestety bardzo zajęty.

\*\*\*

Zygmunt wytracał czas na monachijskich ulicach. Był niesamowicie podekscytowany. Adalbert Delitz, zgadzając się na spotkanie, potwierdził, że jest byłym nielegalnym! Przed pójściem do firmy obawiał się, czy podanie nazwiska legalizacyjnego Regiewiczza nie okaże się ruchem chybionym, ale nie! Wszystko zagrało! Jak w dobrze obmyślonej łamigłówce!

Gdy nadszedł czas wykonania telefonu, emocje sięgnęły zenitu. Drżącą ręką wystukał numer na smartfonie stryja Macieja. Sygnał połączenia wybrzmiał trzykrotnie, po czym usłyszał głos Delitza. Odezwał się najczystszą polszczyzną, bez odrobiny obcego akcentu:

– Dzień dobry panu. W jakim celu chce mi pan złożyć wizytę?

Veselego zamurowało. Nie tak wyobrażał sobie początek rozmowy. Szybko jednak przywołał się do porządku. Wiedział, że powinien wygłosić coś takiego, co zmusi nielegala do spotkania. W głowie błysnęła mu pewna myśl. Bez wahania wypalił:

– Czy w Poczdamie pod adresem Birkenallee jedenaście mieszka pański syn?

Z drugiej strony nastąpiła cisza. Trwała dobre pół minuty. Podkomisarz już chciał coś rzec, by sprawdzić, czy tamten się nie rozłączył, gdy w słuchawce wybrzmiała dyspozycja:

– Proszę przyjść za dwie godziny do piwiarni Hofbräuhaus. Na pierwszym piętrze będzie zarezerwowany stolik na moje nazwisko.

\*\*\*

Stół, przy którym kelner posadził Zygmunta, mógł pomieścić sześć osób. Nie zdążył się jeszcze oswoić z sytuacją, gdy wylądował przed nim napełniony kufel. Rozejrzał się ciekawie po sali. Mimo poniedziałku oraz przedobiadowej pory gości było już sporo. Spróbował pianistego piwa. Było wyborne. Raz po raz zerkał w stronę wejścia do sali, gdzie spodziewał się ujrzeć Adalberta. W pewnym momencie drgnął. Wyczuł, że ktoś go obserwuje. Obrócił głowę lekko w bok i ujrzął starszego, gustownie ubranego pana. Ten jawnie mu się przyglądał zza delikatnych okularów, które zdobiły pociągłą twarz o szlachetnych rysach. Mężczyzna po chwili podniósł się z krzesła i podszedł do policjanta, który instynktownie powstał.

– Jestem Adalbert Deliltz – przedstawił się po polsku. Z tonu jego głosu nie można było niczego wywnioskować.

– Zygmunt Vesely – zaprezentował się podkomisarz. – Cieszę się, że wreszcie pana odnalazłem, panie Wojciechu – dodał, akcentując wymawiane imię.

Twarz Adalberta nie zmieniła się ani na jotę, jakby fakt, że obcy mu człowiek zna jego najgłębiej skrywaną tajemnicę, nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

– Proszę wziąć płaszcz oraz teczkę i pójść za mną – zaordynował starszy pan.

Po kilkudziesięciu sekundach weszli do toalety. Pomieszczenie było puste.

– Muszę sprawdzić, czy nasza rozmowa nie będzie nagrywana – wyjaśnił nielegał.

– Co mam robić? – Podkomisarz przyjął postępowanie Adalberta ze zrozumieniem.

– Niech pan zdejmie płaszcz oraz marynarkę.

Były agent wywiadu metodycznie przeszukał podane mu części garderoby, następnie zbadał dokładnie teczkę oraz przejrzał jej zawartość, by na końcu sprawdzić, czy na ciele policjanta nie został zamontowany nasobny rejestrator.

Gdy wrócili do stolika, dawny nielegał spokojnie zapytał:

– Kogo pan reprezentuje?

– Nie odpowiedział mi pan na pytanie, jakie zadałem przez telefon. – Zygmunt zignorował ciekawość Delitza.

– Proszę najpierw powiedzieć, w czyim imieniu pan przemawia – starszy pan ponowił żądanie.

– W swoim własnym – odparł policjant i zobaczył w oczach nieległa ogromne zdziwienie.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem – Adalbert krótko skomentował odpowiedź.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla pana bardzo zaskakujące, ale taka jest prawda. – Vesely uśmiechnął się wyrozumiale.

– Skąd w takim razie zna pan Jana Lipskiego? Czy naprawdę ma pan dla mnie jakąś przesyłkę od niego?

– Jan Lipski nie żyje. Oficjalną przyczyną zgonu było samobójstwo.

– Jak to? Dlaczego? – Adalbert był autentycznie wstrząśnięty. – I co ma pan na myśli, mówiąc, że samobójstwo to oficjalna wersja jego śmierci?

– W istocie został zamordowany, ale zanim udzielę stosownych wyjaśnień, proszę odpowiedzieć: czy pana syn mieszka pod wspomnianym adresem?

– Tak.

Podkomisarz wyraźnie odetchnął. Ciężar, który od ponad dwóch tygodni przygniatał go, ulotnił się. Delitz to zauważył.

– Wygląda na to, że uzyskał pan ode mnie potwierdzenie jakiegoś ważnego faktu.

– Zgadza się, ale nim do tego dojdziemy, musi mnie pan dokładnie i cierpliwie wysłuchać.

Policjant jednak nie mógł od razu przejść do rzeczy, gdyż pojawił się kelner. Postanowili zjeść wczesny obiad. Kiedy złożyli zamówienie, Zygmunt przystąpił do relacjonowania zdarzeń, które przywiodły go do Monachium.

– Jestem oficerem polskiej policji, mieszkam i pracuję w Krakowie...

Rozpoczął od oględzin mieszkania Strypuli w dniu jego śmierci. Dość szczegółowo omówił działania, które naprowadziły go na Regiewicza vel Lipskiego, jego byłą żonę oraz Leszka Zilbera. Gdy dotarł do momentu, kiedy to dowiedział się o zaginięciu tego ostatniego oraz podejrzeniu wyniesienia przez niego dokumentów z archiwum Agencji Wywiadu, Delitz wyprostował się na krześle i rzekł:

– Domyślam się, że zniknęły materiały dotyczące mojej działalności.

– Zaginęła tak zwanateczka legalizacyjna niejakiego majora Bjorna, zawierająca wszystkie istotne informacje na jego temat. Czy to był pana pseudonim? – Zygmunt spytał jedynie dla porządku.

– Tak. Czy wiadomo, kto jest w jej posiadaniu?

– Rosjanie.

– Was für'n Scheiß! – Delitz zaklął po niemiecku. – Teraz rozumiem, dlaczego pytał pan o mojego syna. Tu nie chodzi o mnie!

– Doszedłem do takiego samego wniosku – skwitował podkomisarz. – Ale proszę słuchać dalej. Na zlecenie Agencji Wywiadu poprowadziłem w Krakowie śledztwo dotyczące zaginięcia Zilbera...

W krótkich słowach przedstawił rolę w całej sprawie młodego historyka, Sylwestra Kalenika, oraz to, w jaki sposób dotarł do kryptonimu Storch. Następnie

wyjaśnił powody, dla których Agencja Wywiadu postanowiła odnaleźć Bjorna, oraz zrelacjonował, jak trafił na trop tożsamości nielegała. Kiedy opowiadał o raptularzu i odkryciu nazwiska, pod jakim Adalbert wyjechał do Monachium, oraz personaliów oficera Wehrmachtu, męża Barbary Rytel, ten z wrażenia wypowiedział cicho do samego siebie: „Unglaubliche Geschichte”.

– Niestety, poszukiwania Wojciecha Rytela w Niemczech przeprowadzone przez polski wywiad nie przyniosły pozytywnych rezultatów – podsumował Vesely.

– Dowiedziałem się o tym na spotkaniu kończącym moją współpracę z Agencją. Nie dawało mi to spokoju, dlatego też postanowiłem podjąć próbę odszukania go na własną rękę. Rozmyślając nad tym, jak to uczynić, doszedłem do wniosku, że Rytel mógł zmienić nazwisko na Delitz.

Zygmunt nie chciał ujawniać udziału stryja Macieja w rozwiązywaniu zagadki. Nie mógł przecież przewidzieć, jak ostatecznie zakończy się cała ta historia, a na bezpieczeństwie krewnego zależało mu bardziej niż na własnym.

Pojawił się kelner. Postawił na stole dwa dymiące talerze z wołowiną wraz z dodatkami. Podziękowali i zabrali się do jedzenia. Przez chwilę nie rozmawiali, rozkoszując się posiłkiem. Gdy tylko zaspokoiли pierwszy głód, Vesely powrócił do relacji. Opowiedziawszy o tym, jak wpadł na to, że Adalbert to po polsku Wojciech, kontynuował:

– Wtedy nie miałem już wątpliwości, kogo należy szukać. Zacząłem grzebać w Internecie i natrafiłem na notatkę prasową z dziewięćdziesiątego trzeciego roku z uroczystości wręczenia panu w Monachium medalu konstytucyjnego. Wiedziałem już, że niejaki Adalbert Delitz żył wiele lat temu w Bawarii. Teraz musiałem tylko sprawdzić, czy nadal tam mieszka. Tak trafiłem na firmę Import – Eksport Enterprise GmbH i kółko się zamknęło – specjalnie konfabulował. – Oczywiście poinformowałem o swoim odkryciu Agencję. Jeśli więc polski wywiad nie skontaktował się z panem, o czym ja z oczywistych względów nie mogę mieć wiedzy, to fakt taki oznacza, że mój wniosek co do roli pańskiego syna w całej aferze jest prawidłowy.

– Nikt się ze mną nie kontaktował – przyznał Delitz. – A skąd się pan w ogóle dowiedział, że Uwe to mój syn?

– Także z Internetu, ale było to już po tym, jak rozstałem się z wywiadem – podkomisarz znowu skłamał. – Gdy tylko przeczytałem, jaką funkcję pełni w Urzędzie Kanclerskim, od razu skojarzyłem, że cała gra toczy się o niego. Zresztą niedługo potem otrzymałem pośrednie potwierdzenie tej tezy. Otóż nieoczekiwanie przyjechał do mnie przedstawiciel Agencji z prośbą o wykonanie dziwnego zadania w Berlinie i Poczdamie. Oczywiście powiązałem je z zakończonym śledztwem w pana sprawie. Ten jednak zaprzeczył. Stwierdził także, że Delitz z Monachium okazał się nie być poszukiwanym nielegalnym. To wzbudziło moją czujność, dlatego zapobiegawczo nie wspominałem podczas rozmowy ani słowem o pańskim synu. Z tyłu głowy kołatała mi się myśl, że w Warszawie doskonale wiedzą o doradcy kanclerza Niemiec i chcą to w jakimś celu wykorzystać.

– Ale zgodził się pan wykonać zadanie? – zainteresował się Adalbert.

– Odmówiłem.

– A na czym ono polegało, jeśli można wiedzieć?

– Miałem przez dwa dni udawać weekendowego turystę, by na końcu wrzucić widokówkę do skrzynki pocztowej znajdującej się pod adresem Birkenallee jedenaście w Poczdamie.

Starszy pan zaniemówił. Wyraźnie się przestraszył. Doniosłość tej informacji spowodowała także, że zbladł i zaczął szybko oddychać. Machinalnie odsunął od siebie talerz oraz napił się łączywie piwa.

Zygmunt postanowił się nie przejmować stanem psychicznym rozmówcy. Teraz opowiadał o tym, w jaki sposób został przymuszony do udziału w akcji oraz o jej przebiegu. Zakończył następująco:

– Kiedy odkryłem, że jestem śledzony przez Niemców, postanowiłem odstąpić od wykonania zadania. W rezultacie nie poszedłem pod dom pańskiego syna.

– Innymi słowy, można założyć, że służby niemieckie jeszcze o niczym nie wiedzą? – Delitz odetchnął z ulgą.

– A jak pan sądzi, o czym miały się dowiedzieć? – Vesely chciał sprawdzić, czy nielegal tak samo interpretuje sytuację jak on oraz stryj Maciej. Nie zawiódł się.

– Przecież to proste – odrzekł w dalszym ciągu zdenerwowany Adalbert. – Należy zakładać, że Uwe został zwerbowany przez rosyjski wywiad. Akcja,



w której brał pan udział, miała na celu jego wskazanie. Nie wiem tylko, dlaczego zdecydowano się na taką właśnie formę denuncjacji. Nie łatwiej było przekazać odpowiednią informację do Berlina?

– I przyznać się, że Rosjanie spenetrowali archiwum Agencji? – Vesely zaśmiał się ironicznie. – Ale to nie jest teraz istotne. Dla mnie ważniejsza jest odpowiedź na pytanie, czy można było zmusić pana syna do współpracy w oparciu o dokumenty wykradzione w Warszawie. Innymi słowy, czy dałby się zastraszyć groźbą wsadzenia pana do więzienia?

– Odszedłem ze służby w dziewięćdziesiątym drugim, więc według niemieckiego prawa przestępstwo szpiegostwa, jakie popełniłem na terytorium RFN, przedawniło się w dwa tysiące dwunastym roku. Jednak nie można tego nie uwzględniać! – Delitz poczerwieniał na twarzy. – Rosjanie mogli spreparować materiały świadczące o tym, że pracowałem dla polskiego wywiadu o wiele dłużej, i dołączyć je do oryginałów.

– Myśli pan, że mają takie możliwości?

– Oglądał pan przecież podrobione zapisy w księgach metrykalnych dotyczące Wojciecha Rytela. Choć zostały wykonane ręcznie równo pięćdziesiąt lat temu, to spełniły swoją rolę, zapewniły mi bezpieczeństwo. Obecnie służby specjalne dysponują technologiami, o których wtedy nikomu się nie śniło. Tak więc można przyjąć, że Uwe został zastraszony moim uwięzieniem. Zwłaszcza że relacje między nami są wzorowe. Ale to tak naprawdę nie ma znaczenia...

– To co w takim razie ma? – Podkomisarz nie rozumiał.

– Celem rozmowy werbunkowej realizowanej w oparciu o szantaż nie jest przekonanie kandydata na szpiega, że dysponuje się autentycznymi i do tego mocnymi materiałami nacisku. Są one tylko środkiem do uzyskania jego podpisu pod oświadczeniem o współpracy z wrogim wywiadem. W jej trakcie stosuje się różnego rodzaju oszustwa, blefy, groźby, techniki manipulacyjne i perswazję. Jeśli więc mój syn cokolwiek podpisał, to zawartość teczki schodzi na drugi plan.

– Musimy także uwzględnić skandal, jaki wywołałoby upublicznienie teczki – dodał Zygmunt.

Adalbert milcząco pokiwał głową na znak, że zgadza się z takim poglądem.

– Moja żona czegoś takiego by nie przeżyła. Gdyby dowiedziała się, że jej mąż był szpiegiem... – Starszy pan wręcz skurczył się na dźwięk wypowiedzianych przez siebie słów.

Przez moment przetrawiał coś w myślach. Ocknął się i ciągnął dalej:

– Jesteśmy kochającą się rodziną – powiedział prawie szeptem. – Waltraud i ja zawsze wspieraliśmy syna. To nasze jedyne dziecko. Nasze oczko w głowie. Jesteśmy z niego niezmiernie dumni. Nie uwierzyłby pan, jaki to cholernie zdolny chłopak. Bardzo szybko zrobił doktorat z prawa, a także uzyskał etat profesora na uniwersytecie w Poczdamie. A teraz jest powiernikiem samego kanclerza...

– Posiada rodzinę?

– Jest żonaty, ma dwójkę dorastających dzieci.

– Czyli tak naprawdę nie miał wyboru. Musiał się zgodzić na współpracę, o ile Rosjanie się do niego zgłosili. – Słowa Veselego zabrzmiały okrutnie.

– Jeśli się jeszcze nie pojawili, to jest to tylko kwestią czasu – stwierdził z rezygnacją Adalbert.

– A jak pana syn się ostatnio zachowuje? Może są jakieś symptomy świadczące, że w jego życiu zaszło coś istotnego?

– Ostatni raz widzieliśmy się podczas ubiegłorocznych świąt bożonarodzeniowych. Uwe, pełniąc funkcję doradcy, nie ma w zasadzie czasu na życie rodzinne. Co prawda, dzwoniemy do siebie od czasu do czasu, ale nie zauważyłem, by miał jakieś kłopoty. Jego stosunek do mnie także nie uległ zmianie.

– To może dowodzić, że Rosjanie jeszcze do niego nie podeszli.

– W takim razie należy go jakoś ostrzec! – Delitz prawie podniósł się z krzesła.

– To oczywiste. Polski wywiad jednak nie zrezygnuje z inspiracji – rzekł dobitnie podkomisarz.

– Skąd pan to wie?

– Mam ponownie udać się do Berlina i Poczdamu.

Delitz popatrzył badawczo Zygmunutowi w oczy.

– Ale najpierw przyjechał pan do mnie – wyrzekł powoli. – Dlaczego chce mi pan pomóc?

– Powiedzmy, że nie mogę zaakceptować sytuacji, w której ktoś, kto dostarczając informacji na temat polsko-niemieckich negocjacji traktatowych na początku lat dziewięćdziesiątych, co tak naprawdę umożliwiło Polsce powrót do wspólnoty Zachodu, ma ponieść konsekwencje z powodu czyjegoś partactwa oraz ambicji.

– I o tym pan wie. – Delitz z uznaniem pokiwał głową.

– Wiem także, że otrzymał pan za to Złoty Krzyż Zasługi.

– To było moje największe osiągnięcie. – Adalbert cofnął się w przeszłość. – Właściwie tylko dla tej jednej sprawy warto było służyć w wywiadzie. Czy pan wie, że piwiarnia, w której teraz się znajdujemy, była jednym z miejsc, w których kontaktowałem się z wysłannikiem warszawskiej centrali? To tutaj w listopadzie osiemdziesiątego dziewiątego spotkałem się z Jankiem Lipskim i poinformowałem go, że dysponuję dojściem do pełnomocnika rządu federalnego do spraw negocjacji z Polską.

Starszy pan zamilkł na chwilę, po czym zmienił temat:

– Pan jest jednak bardziej niebezpieczny, niż myślałem, panie Zygmuncie. Nie dla mnie oczywiście, tylko dla Agencji.

– Dlaczego tak pan sądzi? – Vesely nastroszył się.

– Jest pan idealistą, a dla wywiadu tacy ludzie zawsze stanowili problem. Dowodem tego jest nasza rozmowa. Świadczy też o tym, że nie jest pan lojalny wobec swoich mocodawców. – Adalbert wbił szpilkę w czuły punkt podkomisarza.

– Oni także nie byli lojalni wobec mnie.

– No właśnie. – Delitz uśmiechnął się nieznacznie. – Czyżby jednym z motywów pana postępowania była zemsta za to, jak pana potraktowano?

– Możliwe. – Zygmunt nie zamierzał tego ukrywać. – Po prostu nie lubię, jak ktoś mną manipuluje i mnie oszukuje.

– Rozumiem. Wróćmy jednak do zasadniczej kwestii. Chce mi pan pomóc. Czy istnieje w ogóle jakiś sposób, by tego dokonać?

– Nie wierzy pan w moje intencje? – Podkomisarz wyczuł wątpliwości targającą rozmówcą.

– Muszę zakładać, że pana wizyta to prowokacja – padła odpowiedź. – Proszę nie zapominać, że szpiegowałem w Niemczech ponad dwadzieścia lat.

Doświadczenie nakazuje mi daleko posuniętą ostrożność.

– Proszę się nie obawiać. Moja propozycja rozwiązania problemu przekona pana do mojej uczciwości.

Napięcie, jakie uwidoczniło się na twarzy dawnego nielegala, pozwalało sądzić, że do cna opanowała go nadzieja.

– Niech pan ją wobec tego przedstawi. – W jego głosie zadźwięczało zniecierpliwienie.

Zygmunt zastanawiał się, jak zacząć. Zdecydował od razu wyjawić istotę swojego planu.

– Pana syn powinien być pierwszą osobą, od której kanclerz dowie się o aferze – rzekł stanowczo.

– Chce pan, by Uwe przyznał się do zdrady?! – Delitz prawie wysyczał to zdanie. Zdumienie zaokrągliło mu oczy.

– Nie wiemy, czy werbunek już miał miejsce – odparł rzeczowo podkomisarz. – Jeśli jednak doszło do tego, to pana syn powinien się przyznać. Ale tylko przed kanclerzem. Powinien odbyć z nim rzeczową, merytoryczną dyskusję, podczas której przedstawi koncepcję dalszego rozwoju sytuacji. Do takiej rozmowy powinno dojść także w przypadku braku kontaktu ze strony Rosjan. Taki rozwój wydarzeń byłby zresztą najkorzystniejszy.

– To interesujące, co pan mówi. – Adalbert zmrużył oczy, jakby to miało mu pomóc w lepszej koncentracji. – A jaki powinien być dalszy rozwój sytuacji?

– Przede wszystkim Uwe, jako doradca, powinien przekonać swojego szefa, że upublicznienie afery nie leżałoby w interesie rządu federalnego. Skandal mógłby zachwiać podstawami władzy oraz zdyskredytować przywództwo polityczne państwa.

– To racjonalne podejście – zgodził się starszy pan. – Pamiętam dymisję Willy’ego Brandta w siedemdziesiątym czwartym, kiedy okazało się, że jego sekretarz był enerdowskim szpiegiem. Sam bałem się wtedy jak cholera, gdyż kontrwywiad polował na wszystkich, na których mógł rzucić chociaż cień podejrzenia.

– To dobry przykład, można się nim posłużyć – przyznał Vesely. – Ponadto należy zaproponować działania, które doprowadzą do wykrycia i aresztowania

oficerów rosyjskiego wywiadu zaangażowanych w sprawę pańskiego syna. Dałoby to trzy wymierne korzyści. Po pierwsze, uzasadniłoby politykę kanclerza odnośnie do Rosji oraz wzmocniłoby dla niej poparcie w niemieckim społeczeństwie. Po drugie, pozwoliłoby odeprzeć zarzuty wewnętrznych przeciwników takiej polityki. Po trzecie, dostarczyłoby Berlinowi amunicji do prowadzenia rozgrywki z Moskwą. Po prostu zmusiłoby Kreml do ciężkiego wysiłku, by powrócić do poziomu normalnych stosunków, co można by systematycznie wykorzystywać w różnych kwestiach.

– Panie Zygmuncie, pan powinien służyć w dyplomacji, a nie w policji! Skąd u pana takie przemyślenia? – Delitz z uwagą obserwował reakcję podkomisarza.

Vesely domyślił się, że znowu wzbudził nieufność w dawnym nielegale. Nie mógł przecież wyznać, że autorem tego, co przed chwilą wypowiedział, był stryj Maciej, profesor politologii. By okazać się wiarygodnym, momentalnie odparł:

– Gram w szachy, a do tego z wykształcenia jestem matematykiem. Mam analityczny umysł.

Mina starszego pana świadczyła, że nie spodziewał się takiej odpowiedzi. To, co usłyszał, rozwiało chyba jego obawy, gdyż rzekł:

– Wychodzi na to, że będę musiał wyznać synowi, kim naprawdę byłem.

– Tak! Nie ma pan innego wyjścia – odparł twardo podkomisarz. – Bez względu na to, czy zastosuje się pan do moich sugestii, czy też nie, niemiecki kontrwywiad i tak dotrze do pana.

– Racja, to nieuniknione.

– Realizacja mojej propozycji stwarza szansę na uniknięcie skandalu – przekonywał policjant. – Być może syn zakończy polityczną karierę, ale z dużym prawdopodobieństwem nie trafi do więzienia, zaś żona nigdy się nie dowie, że jej mąż był polskim szpiegiem.

Przytoczone argumenty wywarły zamierzony skutek, gdyż Adalbert stwierdził:

– Zatem zdaje się, że muszę odwiedzić syna przed pana wizytą w Poczdamie.

– To byłoby właściwe posunięcie.

– A kiedy można się tam pana spodziewać?

– Nie mam ustalonego terminu. Nie można jednak wykluczyć najbliższego weekendu.

– To mam niewiele czasu. – Delitz westchnął ciężko.

– Mam nadzieję, że nie zmieni pan zdania i nie podejmie jakiejś nierozsądnej decyzji – zastrzegł Zygmunt.

– Boi się pan, że ujawnię naszą rozmowę niemieckiemu kontrwywiadowi w zamian za nietykalność? – Przenikliwość Adalberta była celna.

– To byłby niewybaczalny błąd – potwierdził podkomisarz. – Na pana miejscu nie ufałbym służbom specjalnym. Nie wiadomo, jak ostatecznie zechciałyby wykorzystać pana oraz pańskiego syna. Tylko poinformowanie w pierwszej kolejności kanclerza i przekonanie go do odpowiedniego działania daje wam największe szanse na przetrwanie. W przeciwnym razie możecie ponieść srogie konsekwencje: Uwe trafi za kraty, a pan na starość popadnie w samotność.

– To wystarczające argumenty. Proszę się nie obawiać, postąpię zgodnie z pana sugestią. – Starszy pan wydawał się zdeterminowany.

Zamówili kawę. W oczekiwaniu na napar Adalbert opowiadał o tym, jak trafił do wywiadu:

– To był dla mnie bardzo pociągający świat. Zafascynował mnie. Dlatego przyjąłem propozycję wstąpienia do służby. Proszę sobie wyobrazić młodego chłopaka, studenta z prowincjonalnego miasta, przed którym nagle otwierają się drzwi do życia pełnego tajemnic i przygód. A pan dlaczego wstąpił do policji?

Zygmunt poruszył się niezdarnie. Nie spodziewał się takiego pytania. Odpowiedział zgodnie z prawdą:

– Być może to naiwnie zabrzmiało, ale pragnąłem robić coś ważnego, społecznie potrzebnego. No i oczywiście chciałem mieć ekscytującą, nieszablonową pracę.

– Osiągnął pan to?

– Na razie nie. – Policjant popatrzył gdzieś w dal i dodał cicho: – Właściwie to tracę przekonanie, że to kiedyś nadejdzie. – Powrócił wzrokiem na oblicze byłego nielegala. – Współpraca z Agencją, poszukiwania pana legalizacyjnej tożsamości były do tej pory czymś najlepszym, co mi się przytrafiło.

– Gdybym był na miejscu szefów wywiadu, zaproponowałbym panu wstąpienie do służby. Sprawdził się pan znakomicie. – Delitz nie wygłosił komplementującej pochwały, jedynie suche stwierdzenie.

– Otrzymałem taką propozycję.

– Przyjmie ją pan?

– Raczej nie.

– Dlaczego?

Vesely zamyślił się. Właściwie nigdy nie skonkretyzował powodów, dla których nie byłby w stanie skorzystać z oferty złożonej mu przez pułkownika Lenta.

– Chyba nie mógłbym tam funkcjonować. Wszystko oparte jest na kłamstwie – odrzekł.

– Kłamstwo to najważniejsza broń wywiadu, ale jedynie profesjonaliści potrafią się nim posługiwać i zarządzać. To wymaga także wielkiej odpowiedzialności. Sądzi pan, że nie podołałby takiemu wyzwaniu? – Adalbert postawił kwestię pracy w Agencji w zupełnie innym świetle.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odparł podkomisarz. – Być może dałbym radę. Ale tu nie chodzi jedynie o to. Ludzie, z którymi miałem do czynienia, nie postępują zgodnie z ważnymi dla mnie zasadami. Nie mają oporów, by łamać prawo, posługiwać się manipulacją, a nawet szantażem. I to w dodatku wobec swoich. Pan i ja jesteśmy tego najlepszym przykładem. Działają tak, jakby lojalność nie miała w ogóle znaczenia! – Zygmunt wyrzucił z siebie to, co go najbardziej bolało.

– Ludzie są, a potem ich nie ma, przychodzą i odchodzą – Delitz filozoficznie skomentował słowa policjanta. – W każdej organizacji mają miejsce intrygi, a walka o władzę w imię realizacji prywatnych ambicji bardzo często przesłania to, co najistotniejsze. Dotyczy to także służb wywiadowczych. Niepodzielnie panująca biurokracja, nielogiczne przepisy, służalczość wobec polityków są zjawiskami, od których chyba nie da się już uciec.

– Czy w „pańskich czasach” było podobnie?

– Oczywiście! Wtedy jednak mieliśmy zimną wojnę i od takich ludzi jak ja wiele zależało. Politycy naprawdę potrzebowali tajnych informacji z zagranicy, by móc prowadzić efektywną politykę zagraniczną oraz zapewnić bezpieczeństwo państwu i obywatelom. Obecnie zaś wszystko się zmieniło. Rządzących interesuje przede wszystkim utrzymanie władzy. Nie myślą perspektywicznie. A kiedy pojawia się realne wyzwanie lub zagrożenie, działają jedynie reaktywnie. Oczywiście taka postawa oddziałuje negatywnie na służby specjalne, które

dochodzą do wniosku, że ich głównym zadaniem jest zapewnienie dobrostanu politycznym decydom.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób – przyznał podkomisarz.

– A może powinien pan przyjąć propozycję i zostać oficerem wywiadu? – Adalbert uśmiechnął się znacząco. – Może w przyszłości doszedłby pan do jakiegoś poważnego stanowiska w Agencji i podjął trud jej zreformowania? – Teraz głos starszego pana zabrzmiał przekornie.

Zygmunt jednak tego nie zauważył, jakby przedstawiona wizja urzekła go swoją prostotą, a zarazem fantazyjnością i atrakcyjnością. Zadał pytanie:

– A pan? Czy gdyby można było cofnąć się w czasie, to zostałby pan ponownie nielegalnym?

– Tak – odparł natychmiast, bez jakiegokolwiek zastanowienia Delitz.

– I to mimo tego, co się teraz dzieje? Wiedząc o obecnym niebezpieczeństwie?

– Tak – starszy pan powtórzył zdecydowanie. – Wychowywałem się i dorastałem w surowych warunkach. Tamtejsza Polska była inna niż teraz... Nie wiem, jak to określić... O wiele trudniej się w niej żyło, ale zarazem była łatwiejsza do zrozumienia. I teraz, jak spoglądam wstecz, to wiem, że była moja. Dlatego też traktowałem służbę niezwykle uczciwie i rzetelnie wykonywałem swoje obowiązki.

– A z dzisiejszą Polską już się pan nie identyfikuje?

– Raczej nie. Cieszę się, że kraj się zmienił. Jestem dumny, że trochę się do tego przyczyniłem. Jednak ta Polska nie jest już moja.

– A dlaczego właściwie zgodził się pan pracować w wywiadzie? – Zygmunta interesowały przyczyny podjęcia takiej decyzji.

– Oczywiście pierwszą motywacją była młodzięcza chęć zasmakowania przygody, poznania tajemnicy, a przede wszystkim życia w innym świecie, niedostępnym dla zwykłych ludzi. Poczucie wypełniania obowiązku wobec ojczyzny, realizacji niezwykle doniosłej misji, przyszło później. Nie mogę także nie wspomnieć o argumentach materialnych. Przerzut do ówczesnych Niemiec Zachodnich pozwolił mi wyrwać się z biedy, przeniósł mnie z szarej, socjalistycznej i autorytarnej rzeczywistości do kolorowej, kapitalistycznej i demokratycznej Bawarii. Od ponad czterdziestu lat jestem bogatym człowiekiem,



a do tego szczęśliwym mężem i ojcem. Mało tego, zaliczam się do monachijskiej elity. A wszystko to osiągnąłem dzięki „diabelskiej” Służbie Bezpieczeństwa, której już dawno nie ma. Niesamowity chichot historii, nieprawdaż?

– Który obecnie odbija się czkawką – zauważył ironicznie Vesely.

– To prawda. Sądzę jednak, że Opatrzność mnie jeszcze nie opuściła i ja oraz mój syn wyjdziemy cało z tej opresji.

– Co pan ma na myśli? – Podkomisarz nie zrozumiał.

– Pana obecność jest dowodem na to, że dobry los mi sprzyja. Intuicja podpowiada mi, że zaproponowane przez pana rozwiązanie jest właściwe. Przy odrobinie szczęścia uda mi się zrealizować pana plan.

– Przede wszystkim trzeba właściwie działać, a nie liczyć na szczęście – policjant skwitował słowa dawnego nielegala.

– Moje doświadczenie podpowiada, że szczęście, czyli odpowiednie wykorzystanie tak zwanego zrządzenia losu, jest nie mniej ważne od racjonalnie przygotowanej aktywności. Nie powiedział mi pan jeszcze jednego – Delitz postanowił poruszyć nowy wątek. – Jak w ogóle Rosjanie wpadli na to, że byłem polskim nielegalem? To przecież klucz do tego, by zwerbować mojego syna.

– Rezultaty mojego śledztwa uprawniają mnie do przyjęcia wniosku, że Regiewicz, czyli Jan Lipski, najprawdopodobniej z nimi współpracował...

– To niemożliwe!!! – Były nielegal przerwał emocjonalnie.

– Niestety, odkryłem mnóstwo mocnych poszlak, że tak właśnie było – odparł podkomisarz. – Po pierwsze, jego żona wyjawiała mi, że był on skrytym homoseksualistą, co zresztą doprowadziło do ich rozvodu czterdzieści lat temu...

– Janek homoseksualistą?! – Adalbert nie mógł uwierzyć.

– To fakt, a z faktami się nie dyskutuje – kontynuował Vesely. – Należy zakładać, że doszło do szantażu, i to jeszcze w czasach PRL-u.

– Chce pan dać mi do zrozumienia, że przekazywał do Moskwy informacje na mój temat?!

– Niewykluczone. – Policjant westchnął. – Po drugie, jego seksualnym partnerem był ojciec Leszka Zilbera.

– Tego, który wyniósł teczkę z moimi danymi?

– Dokładnie tak. Po trzecie, jego żona przekazała mi, że w czasie gdy byli małżeństwem, wiedli życie na bardzo wysokim poziomie. A pensja oficera wywiadu niskiej rangi nie mogła raczej zapewnić takich dochodów. Po czwarte, w ostatnich latach Lipski chorował na raka. Nietrudno więc było pozyskać go ponownie do współpracy, obiecując pieniądze, które zapewniłyby przedłużenie mu życia. W końcu po piąte, najważniejsze: tylko on dysponował wszelką wiedzą na pana temat. Moim zdaniem Rosjanie wykradli dokumenty nie dlatego, by zdobyć informacje o panu, lecz jedynie po to, żeby mieć twarde materiały nacisku na pana syna. Istnieją jeszcze inne poszlaki...

– Dość – wyszeptał Delitz. – To, co pan powiedział, wystarczy.

Starszy pan był tak wstrząśnięty, że aż przyłożył obie dłonie do twarzy. Przez moment nie rozmawiali. Ciszę przerwał podkomisarz:

– Może pamięta pan coś takiego, co mogłoby potwierdzić mój wniosek dotyczący zdrady Lipskiego?

– Nie wiem... Nie wiem... – Adalbert nie mógł się uspokoić.

– Może powiedział kiedyś coś takiego, co pana zdziwiło albo wręcz zbulwersowało?

Nielegał wyprostował się na krześle. Zwężone oczy świadczyły o tym, że szuka czegoś w pamięci. W końcu odezwał się:

– Janek tylko raz poruszył temat mojej teczki legalizacyjnej. Wtedy nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, ale w świetle tego, co usłyszałem od pana, teraz wydaje mi się to ważne.

– Kiedy to miało miejsce?

– W dziewięćdziesiątym drugim, w Düsseldorfie. Widzieliśmy się wtedy ostatni raz. Pamiętam, jak nieoczekiwanie oświadczył mi, że wszystkie dowody mojej działalności są wyłącznie pod jego kontrolą.

– Niech sobie pan dokładnie przypomni jego słowa! – Podkomisarz rozemocjonował się.

– To było przecież tak dawno temu...

– Proszę chociaż spróbować!

Starszy pan skoncentrował się. Wyodrębniał w głowie obrazy i dźwięki z düsseldorfskiego spotkania. Okruchy wspomnień złożyły się w całość:

– Janek zakomunikował, że jeśli ktokolwiek zgłosi się do mnie i podejmie próbę nawiązania kontaktu, to żebym zawsze pamiętał, iż wszystkie materiały dotyczące mojej osoby znajdują się w szafie pancерnej w jego służbowym gabinecie.

– Dlaczego to powiedział? – Zygmunt nie wytrzymał.

– Zadałem mu takie samo pytanie. Szczerze mówiąc, myślałem, że była to reakcja na zgłoszone przeze mnie wcześniej wątpliwości odnośnie do mojego bezpieczeństwa, wywołane tak zwaną „nocą teczek”, której efektem był upadek rządu Olszewskiego. Jednak on nie poruszył tej kwestii, tylko stwierdził, że powinienem mieć możliwość oceny, komu mogę zaufać, a komu nie. Poinformował mnie także, że z chwilą kiedy przestanie pracować w Urzędzie Ochrony Państwa, przekaze wszystkie akta mojej sprawy do archiwum wywiadu z klauzulą utajnienia ich na co najmniej siedemdziesiąt lat. Przekonywał mnie, że mogę być spokojny o przyszłość.

– Przekonywał?!

– Sądzi pan, że to może wskazywać na jego zdradę? – Adalbert spytał z niepokojem.

– To kolejna poważna poszlaka. – Vesely podskórnie czuł, że za słowami Regiewicza skrywała się wielka tajemnica jego pracy dla obcego wywiadu.

– Widocznie dręczyło go sumienie i w ten sposób chciał mnie poinstruować, jak powinienem się zachować w sytuacji, gdyby Rosjanie próbowali do mnie podejść.

– Były nielegal zinterpretował słowa swojego byłego oficera prowadzącego.

– To bardzo prawdopodobne – potwierdził to przypuszczenie podkomisarz.

– Niech to szlag! – Delitz zaklął z przejęciem.

– O co chodzi?

– Właśnie sobie przypomniałem, jak to oficer, który mnie pozyskał do służby i szkolił, przestrzegał, że KGB próbuje kontrolować SB, szczególnie pion wywiadu. Zapewniał mnie przy tym, że jestem świetnie zakonspirowany, a ja mu uwierzyłem.

– Każdy by uwierzył – rzekł pocieszająco policjant.

Adalbert skinął jedynie głową, że zgadza się z takim osądem, po czym powiedział z przekornym czarnowidztwem:

– Ale teraz przyjdzie mi za to zapłacić.

– Prędzej czy później każdemu z nas przyjdzie uregulować rachunki z przeszłości. Mogę jednak pana pocieszyć: tym razem to moja intuicja podpowiada, że wszystko zakończy się szczęśliwie – Vesely nie kłamał, naprawdę tak sądził.

– Szkoda, że nigdy więcej się nie spotkamy. – Delitz autentycznie posmutniał. – Nie będę mógł opowiedzieć o efektach pana przyjazdu do Monachium, a proszę mi wierzyć, bardzo bym chciał.

– Na szczęście nie możemy być tego pewni. – Zygmunt uśmiechnął się. – Przyszłość jest nieprzewidywalna – dodał.

– Kiedyś tak samo powiedziałem do Lipskiego. I chyba miałem rację. Można przecież uznać, że w jakimś sensie dzisiaj się z nim spotkałem.

Adalbert zamilkł. Zbierał w myślach słowa, chciał Veselemu wyrazić swoją wdzięczność. Ten domyślił się tego. Cicho zaproponował:

– Niech pan niczego nie mówi. Po prostu podajmy sobie ręce na pożegnanie...



## EPILOG

Dokładnie kwadrans po trzynastej pułkownik Jerzy Gordon zaparkował na ulicy przylegającej do budynku Komendy Miejskiej Policji w Krakowie. Z satysfakcją stwierdził, że z wnętrza samochodu może obserwować wyjazd z parkingu dla funkcjonariuszy, który znajdował się na wewnętrznym dziedzińcu posesji. Kilkadziesiąt metrów dalej zatrzymała się nieoznakowana furgonetka CBŚP. Znajdujący się w niej ludzie mieli za zadanie obserwować wyjście z budynku. Kilkanaście minut temu jeden z nich wrócił z rozpoznania i potwierdził, że Zygmunt Vesely znajduje się w swoim pokoju służbowym. Co prawda, do zakończenia dnia roboczego pozostawało jeszcze prawie trzy godziny, jednak pułkownik przyjął, że w piątkowe popołudnie może on wcześniej wyjść z pracy.

Druga misja w Berlinie i Poczdamie została wykonana wzorowo, teraz nadszedł czas na jej uwiarygodnienie. Gordon nie chciał, by aresztowanie podkomisarza odbyło się w taki sam sposób jak za pierwszym razem. Nie miał sumienia, by poddać swojego byłego współpracownika kolejnemu tak traumatycznemu przeżyciu. Wymógł na generalne Szczęsnym zgodę na podjęcie próby przekonania policjanta, by ten dobrowolnie zgodził się na udział w ostatnim etapie inspiracji. Zabezpieczył się jednak: jeśli ten odmówi, do akcji wkroczy ekipa CBŚP.

Funkcjonariusze siedzący w furgonetce nie mieli pojęcia o tym, że współpracują z wywiadem. Gordon, tak jak na początku swojej znajomości z Veselym, odgrywał przed nimi rolę inspektora Bilskiego, tym razem z Biura Spraw Wewnętrznych Policji, który miał podjąć decyzję o zatrzymaniu policjanta. Umożliwiało mu to przeprowadzenie rozmowy z Zygmuntem oraz kontrolowanie przebiegu akcji.

Początkowo pułkownik zamierzał po prostu odwiedzić podkomisarza w jego mieszkaniu. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że istnieje prawdopodobieństwo, że go nie zastanie w piątkowe popołudnie. Dlatego postanowił kontrolować poczynania Veselego po zakończeniu przez niego pracy i w dogodnym momencie nawiązać z nim kontakt.

Wyczekiwanie dłużyło się Gordonowi niemiłosiernie. Nieprzyzwyczajony do pracy operacyjnej w terenie popadał w skrajne zniecierpliwienie. Włączył radio, ale muzyka przerywana wypowiedziami prowadzącego audycję rozpraszała go, więc je wyłączył po paru minutach. Jakby tego było mało, zaczęło dręczyć go pragnienie. Niestety, nie miał przy sobie nic do picia, co rozdrażniło go jeszcze bardziej. Żeby się uspokoić, postanowił powtórzyć w myślach scenariusz rozmowy, jaką zamierzał przeprowadzić z Veselym.

Kilka minut przed trzecią w wyjeździe z parkingu pojawił się samochód podkomisarza. Choć pułkownik widział pojazd tylko raz, w Rzeszowie, rozpoznał go od razu. Poinformował telefonicznie funkcjonariuszy CBŚP i ruszył za policjantem.

\*\*\*

Zygmunt był w znakomitym nastroju. Zerwał się z pracy ponad godzinę wcześniej, by przygotować się do spotkania z Justyną. Dziewczyna zaprosiła go dzisiaj na kolację do swojego mieszkania. W związku z tym musiał dokonać kilku sprawunków.

Vesely zastanawiał się, dlaczego dawna kochanka chciała wskrzesić znajomość, którą wcześniej tak brutalnie przerwała. Kilka dni po tym, jak powrócił z drugiej misji w Berlinie i Poczdamie, zadzwoniła do niego w jakiejś błahej sprawie. Potem z jej inicjatywy odbyli jeszcze dwie niewinne rozmowy telefoniczne, których ukoronowaniem było dzisiejsze zaproszenie. Stawiał na to, że dziewczyna ma po prostu ochotę na seks. Nie przeszkadzało mu to. Wizja spędzenia upojonej nocy rozpaliała jego wyobraźnię. Postanowił także wykorzystać wizytę do zabrania z mieszkania przyjaciółki pendrive'a z nagraniami rozmów z Gordonem. Przebieg ostatniego spotkania z pułkownikiem, kiedy to zdawał relację z realizacji zadania w Niemczech, upewnił go, że nic mu już ze strony Agencji nie grozi.

Rozmyślał także nad tym, jak by to było, gdyby on i Justyna zostali parą. Jednak mimo usilnych starań jakoś nie mógł sobie tego obecnie wyobrazić. Po prostu nie postrzegał jej już jako partnerki, z którą mógłby funkcjonować w związku. Po dłuższym i wnikliwym zastanowieniu się doszedł mianowicie do

wniosku, że chciałby dzielić życie z kimś o zupełnie innym nastawieniu do świata oraz diametralnie odmiennym temperamentem.

\*\*\*

Gordon jechał wolno za policjantem w bezpiecznej odległości. Tuż za nim wlokła się furgonetka. Vesely dostał się na obwodnicę śródmiejską, którą podążył w rejon dworca kolejowego Kraków Główny. Stamtąd skręcił na parking pobliskiej galerii handlowej, gdzie się zatrzymał i opuścił samochód. Pułkownik zlecił obserwację bezpośrednią podkomisarza ludziom z CBŚP.

W pierwszym meldunku donieśli, że Zygmunt udał się do fryzjera. Po kilkudziesięciu minutach zaraportowali, że w sklepie odzieżowym nabył koszulę. Jak tylko poinformowali, że kupił butelkę wina, a następnie poszedł do kwaciarni, Gordon zafrasował się. Domyślił się, że podkomisarz ma w planie spotkanie z kobietą. A to oznaczało, że może nie mieć czasu na rozmowę i trzeba będzie skorzystać z obecności funkcjonariuszy CBŚP. W każdym razie jednego mógł być pewny: policjant pojedzie do swojego mieszkania, musiał przecież przygotować się do randki, między innymi ubrać w nową koszulę.

\*\*\*

Zygmunt zamierzał właśnie pójść do łazienki, by się ogolić i wykapać, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Klnąc niewybrednie pod nosem, podreptał do przedpokoju. Gdy tylko otworzył i zobaczył Gordona, wspaniały nastrój, jaki mu towarzyszył przez cały dzień, ulotnił się w mgnieniu oka. Niespodziewane pojawienie się oficera wywiadu w jego mieszkaniu przypomniało mu aresztowanie sprzed kilku tygodni, a to nakazało mu być czujnym i nieufnym. Stał przez chwilę nieporadnie, nie wiedząc, co począć.

– Nie zaprosi mnie pan do środka? – Gordon wyczuł negatywne nastawienie podkomisarza.

– Przepraszam – wyjąkał z wrażenia policjant. – Oczywiście, proszę wejść.

Gdy zamknął drzwi i wprowadził gościa do głównego pokoju, spytał z widocznym niepokojem:

– Co pana do mnie sprowadza o tej porze, panie pułkowniku? Stało się coś?

– Musimy porozmawiać.

– Szczerze mówiąc, nie mam dziś zbyt wiele czasu – zakomunikował Vesely. – Wychodzę za kilkadziesiąt minut.

– Jakaś ważna uroczystość? – Przedstawiciel Agencji wskazał oczami na bukiet czerwonych róż stojący w wazonie na niskiej ławie.

– Zgadza się. Jestem zaproszony na imieniny koleżanki z wydziału. – Zygmunt skłamał, gdyż intuicja podpowiedziała mu, że Gordon nie powinien dowiedzieć się o istnieniu Justyny.

– No to, jeśli się pan trochę spóźni, nic się chyba nie stanie. – Pułkownik zdjął kurtkę i usadowił się bezceremonialnie na sofie. – Proszę mnie dokładnie wysłuchać – prawie rozkazał.

Czuyność wzrosła w Veselym w dwójnasób. Usiadł, wpatrując się uważnie w swojego gościa.

– O co chodzi tym razem? – Podkomisarz wypowiadając to pytanie, poczuł suchość w ustach.

– Powiem wprost. – Gordon przełknął w widoczny sposób ślinę, co świadczyło o tym, że targają nim silne emocje. – Operacja inspiracji realizowana przez Agencję, której był pan wykonawcą w Berlinie i Poczdamie, jeszcze się nie zakończyła.

– Co?! – Policjant aż podskoczył na fotelu. – Pan żartuje!

– Niestety, nie. – W głosie pułkownika zadźwięczała nuta znamionująca, że jest mu autentycznie przykro. – Do wykonania pozostało ostatnie zadanie.

– I może ja mam to zrobić?! – Zygmunt prawie krzyknął.

– Tylko pan ma takie możliwości.

Podkomisarz wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Oczami wyobraźni zobaczył dyktafon z jedną z nagranych rozmów z pułkownikiem, który spoczywał tuż obok, w małej sypialni. To go uspokoiło. Postanowił najpierw wysłuchać, na czym miałyby polegać owo „ostatnie zadanie”, a potem zakończyć tę farsę. Gordon uznał jego milczenie za przyzwolenie na zaprezentowanie planu zakończenia inspiracji.

– Musimy uwiarygodnić pańskie działania w Niemczech – rozpoczął cicho.



– Coś poszło nie tak? – Vesely przestraszył się.

– Absolutnie nie, wszystko wykonał pan znakomicie – odparł oficer wywiadu. – Chodzi o to, by wzmocnić u Niemców przekonanie, że są na właściwym tropie.

– Niby jak?

Pułkownik westchnął ciężko.

– Koncepcja zakłada oficjalne aresztowanie pana osoby jako członka organizacji przestępczej oraz powiadomienie o tym fakcie strony niemieckiej.

Zygmunt otworzył usta ze zdziwienia. Czegoś takiego się nie spodziewał nawet w najbardziej koszmarnych snach. To jednak działo się naprawdę.

– Jak... Jak... Jak coś takiego w ogóle mogło się urodzić w waszych głowach?!

– wyjąkał. – Wy chyba wszyscy jesteście psychicznie chorzy! A co z moim życiem?! Co z moją służbą w policji!? Nie wzięliście tego pod uwagę?! Jak można tak krzywdzić ludzi?! Myślicie, że wam wszystko wolno?! – Ostatnie dwa zdania wykrzyczał.

Gordon czuł, jak twarz nabrzmięwa mu czerwienią ze wstydu. Rzekł jednak spokojnie:

– Nikt nie chce pana skrzywdzić. Szef Agencji porozumiał się w pana sprawie z komendantem głównym policji. Po akcji zostanie pan oficjalnie zrehabilitowany. Zapewniam także, że nie zostanie pan osadzony w areszcie. Czas ten spędzi pan w naszym ośrodku na Mazurach. Zgodnie z propozycją generała Szczęsnego będzie pan miał możliwość odbycia indywidualnego kursu na oficera operacyjnego wywiadu. Zostały także poczynione uzgodnienia z ministrem sprawiedliwości, w myśl których wszystkie wytworzone w prokuraturze dokumenty związane z pana aresztowaniem zostaną zniszczone zaraz po zakończeniu operacji.

– Nie zgadzam się! Rozumie pan?! Nie zgadzam się!!! – Vesely cały dygotał.

Wizja aresztowania rozbiła go kompletnie. Nie wierzył w zapewnienia pułkownika. Tu chodziło o jego przyszłe życie. Rozumiał, że wystarczy popełnienie najmniejszego choćby błędu w tej koszarnej układance, a cały jego świat runie niczym domek z kart.

– Proszę dać się przekonać. Akcja jest dobrze przemyślana i w stu procentach dla pana bezpieczna. Będzie miał pan wszystko zapewnione. Zostałem także

upoważniony do zadeklarowania, że za każdy miesiąc aresztowania otrzyma pan od nas podwójne wynagrodzenie oficera Agencji w stopniu kapitana.

– Nie!!! – warknął podkomisarz. – Jeszcze raz oświadczam, że się nie zgadzam! I proszę pamiętać, że nie macie żadnego prawa, by mnie do tego przymusić.

– Tu się pan myli. – Gordon zafrasował się.

Zygmunt spojrzał przenikliwie na oficera wywiadu.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że ośmielicie się wykorzystać moje odciski palców na paczce z metamfetaminą oraz fałszywy dowód osobisty?

– Ośmielimy się, bo tego wymaga bezpieczeństwo państwa. – Gordon postanowił działać bez pardonowo. – Proszę wyrzeć przez okno. Pod blokiem stoi biała furgonetka. W jej wnętrzu znajdują się funkcjonariusze CBŚP. Jeśli się nie dogadamy, przyjdą po pana.

– To szantaż!

– Zgadza się. Dziwię się jednak, że się pan tak oburza. Współpracowaliśmy ze sobą wystarczająco długo, by mógł pan poznać specyfikę służby, którą reprezentuję.

– Tu ma pan rację.

Powiedziawszy to, Vesely poszedł do sypialni. Wrócił po chwili z dyktafonem w dłoni.

– Nikt mnie nie zaaresztuje, pułkowniku! Jestem tego więcej niż pewny.

Włączył rejestrator i położył go na ławie. Z głośniczka popłynęło nagranie:

Gordon: Cały tydzień ostro pracowałem, żeby przygotować przejęcie laptopa Kalenika. Po pierwsze, wymyśliłem koncepcję pozyskania zaufania jego rodziców, a po drugie, sporządziłem scenariusz rozmowy oraz odpowiednie reakcje na ich możliwe zachowania.

Vesely: Czy mój nowy dowód osobisty ma być podstawą całej akcji?

Gordon: Czego się pan obawia, panie Zygmuncie?

Vesely: Przecież posługiwanie się fałszywymi dokumentami jest karalne.

Gordon: Niech pan porzuci ten strachliwy ton. Nic nam nie grozi. Wszelkie nasze działania są autoryzowane przez moich przełożonych. Z prawnego punktu widzenia nie popełniamy żadnego przestępstwa. Proszę pamiętać, że realizujemy

zadanie na rzecz bezpieczeństwa państwa! Decyzja o wyposażeniu pana w dokumenty legalizacyjne została kontrasygnowana przez samego szefa Agencji Wywiadu!

Vesely: Dokumenty legalizacyjne? Czy mam rozumieć, że oprócz dowodu osobistego otrzymam coś jeszcze?

Gordon: Tak. Prawo jazdy. I żeby rozwiać pana wątpliwości, to powiem jeszcze, że dokumenty są w stu procentach pewne. Zostały legalnie wytworzone w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, zaś dane osobowe naniesiono w Centrum Personalizacji Dokumentów MSWiA.

Zygmunt wyłączył urządzenie. Spojrzał tryumfująco na pułkownika. Ten siedział jak sparaliżowany. Wstrząs, jakiego doznał, był tak silny, że z jego twarzy momentalnie odpłynęła krew, co uczyniło ją szarobiałą.

– Mam nagrania wszystkich naszych rozmów – oświadczył podkomisarz. – Jeśli CBŚP mnie zaaresztuje, to rozpiardolę tę waszą inspirację w drobny mak. Wszystkie media w tym kraju będą ujeżdżać Agencję Wywiadu co najmniej przez tydzień, czego skutkiem będzie zapewne to, że pańscy przełożeni, chcąc ratować swoje tyłki, wywalą pana z roboty. I jeszcze jedno: zrobiłem trzy kopie i wszystkie schowałem w innych miejscach.

W pokoju zaległa cisza. Pułkownik wpatrywał się martwo przed siebie. Dotarło do niego, że nie ma żadnego pola manewru. Został zdruzgotany, i to w spektakularny sposób. Doszedł go głos Veselego:

– Wyznam także panu, że pomysł uwiarygodnienia misji w Berlinie i Poczdamie poprzez aresztowanie mojej osoby jest, oględnie mówiąc, nieaktualny.

– Jak to? – Gordon ożywił się.

– Nie wrzuciłem widokówki do skrzynki pocztowej.

– Cooo!?! Dlaczego pan tak postąpił!?

– Z jednego prostego powodu. Wiedziałem, że pod adresem Birkenallee jedenaście mieszka Uwe Delitz, doradca kanclerza Niemiec do spraw międzynarodowych, syn poszukiwanego przez was nielegała, Adalberta Delitza z Monachium.

Ciało pułkownika skurczyło się. Drugi cios zadany mu przez podkomisarza okazał się jeszcze dotkliwszy niż pierwszy.

– Zrozumiałe jest więc, że nie ma czego uwiarygodniać – dokończył Zygmunt.

– Zabawił się pan naszym kosztem, co?! – Oficera wywiadu ogarnęła złość. – Tylko dlaczego?

– Doszedłem do wniosku, że inspiracja mogłaby doprowadzić do zniszczenia życia jednemu z najbardziej zasłużonych demokratycznej Polsce oficerów wywiadu. Nie mogłem na to pozwolić.

– Kiedy pan uzyskał wiedzę o tym, kto jest właścicielem skrzynki pocztowej? – Gordona zaczęła palić ciekawość.

– Na początku się jedynie domyślałem. Jednak kilka dni przed drugim wyjazdem do Niemiec udało mi się zdobyć potwierdzenie.

– Ale jak?

– Spotkałem się z Adalbertem Delitzem.

– TO NIESAMOWITE! – wycedził z przejęciem pułkownik.

– Też tak myślę.

– Niech pan mi wszystko opowie – oficer wywiadu poprosił niemal błagalnie.

Zygmunt uśmiechnął się. Złość, którą karmił się przez ostatnie minuty, pierzchła gdzieś niepostrzeżenie. Rozpoczął relacjonowanie swojego pobytu w Monachium. Pułkownik wręcz chłonał jego opowieść. Widać było, że młody policjant zaimponował mu pomysłowością, przebiegłością oraz rzutkością postępowania. Vesely zakończył słowami:

– Jeśli wszystko przebiegnie pomyślnie, to można liczyć na to, że zarówno Adalbert, jak i jego syn wyjdą cało z tej historii, a Agencja zrealizuje swoje cele. I w taki sposób proponuję przedstawić moje działania generałowi Szczęsnemu.

– Tego ostatniego nie możemy być pewni, dlatego nie wydaje mi się, że pana rozwiązanie zadowoli moich przełożonych. W Warszawie czeka mnie ostra awantura.

– Więcej wiary w ludzi, panie pułkowniku.

– W moim fachu to coś niezmiernie rzadkiego. W każdym razie dopiął pan swego: przekonał mnie pan, że oficjalne aresztowanie pana nie ma najmniejszego sensu.

– Cieszę się, że doszedł pan do takiego wniosku. – Z Zygmunta zeszło powietrze. Od razu też poprawił mu się nastrój.

– Nie zadałem panu jeszcze bardzo ważnego pytania – rzekł Gordon.

– Słucham.

– W jaki sposób dowiedział się pan, że nielegał ma syna, który jest doradcą kanclerza?

Vesely zastanawiał się przez chwilę, co odpowiedzieć. W końcu odparł:

– Proszę się nie obrazić, pułkowniku, ale nie mogę teraz tego powiedzieć. Nie chcę po prostu kłamać. Kiedyś może to panu wyjaśnię.

– No cóż, to chyba definitywnie zamyka naszą współpracę. – Oficer Agencji podniósł się z sofy. – Pójdę już, na pewno spieszy się pan na imprezę. Liczę jednak na pełną dyskrecję. Proszę także zabezpieczyć nagrania naszych rozmów w taki sposób, by nie wpadły w niepowołane ręce.

– Dochowam tajemnicy, ale pod jednym warunkiem – powiedział na to Zygmunt.

– Jakim znowuż warunkiem?! – Gordon zaniepokoił się.

– Jeśli Agencja zrealizuje propozycję generała Szczęsnego.

– Interesuje pana nasze szkolenie? – Pułkownik uniósł brwi ze zdziwienia.

– Tak.

– Ale dlaczego? Odniosłem wrażenie, że nie chce już pan mieć z nami w ogóle do czynienia.

– Są dwa powody – odparł podkomisarz. – Pierwszy to taki, że zafascynowała mnie praca w wywiadzie. To, co przeżyłem, prowadząc śledztwo dla Agencji...

– A drugi? – przerwał mu Gordon.

Vesely popatrzył na pułkownika niezwykle poważnie, po czym cicho odpowiedział:

– Za kilka lat ktoś będzie musiał po was posprzątać. ■

## STARE KIEJKUTY, OŚRODEK SZKOLENIA AGENCJI WYWIADU, MARZEC 2020 ROKU

Zygmunt studiował skrypt poświęcony organizacji systemów łączności pomiędzy centralą a agentem. Treść, opatrzona licznymi operacyjnymi przykładami, pochłaniała go zupełnie. Oczyma wyobraźni widział realizację poszczególnych przedsięwzięć, na dodatek ze sobą w roli głównej. Takie podejście pozwalało mu nie tylko szybko się uczyć, ale także dobrze bawić.

Od lektury oderwał go sygnał przychodzącego esemesa. Był od pułkownika Gordona, który napisał: „Natychmiast przejrzij portale informacyjne!”.

Internet emanował strachem. Zatrważające relacje o szalejącej pandemii koronawirusa w poszczególnych państwach europejskich dominowały w doniesieniach agencyjnych. Jednak pomiędzy nimi dało się zauważyć krzykliwy tytuł: „Sensacyjne aresztowania w Berlinie”.

Przeczytał notkę:

Niemiecki Federalny Urząd Ochrony Konstytucji podał, że kilka dni temu zatrzymano dwóch oficerów Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, czym zapobieżono infiltracji Urzędu Kanclerskiego. Jednocześnie niemieckie MSZ uznało za persona non grata sześciu dyplomatów z rosyjskiej ambasady w Berlinie. Przedstawiciele wszystkich niemieckich partii politycznych nie kryją oburzenia działalnością rosyjskich służb specjalnych w Niemczech. Komentatorzy polityczni są zgodni, że wykryta przez kontrwywiad afery szpiegowska wpłynie bardzo negatywnie na stosunki niemiecko-rosyjskie. W Moskwie nie skomentowano jeszcze zaistniałej sytuacji.

Zygmunt zaczął przeglądać zagraniczne serwisy: europejskie, amerykańskie, rosyjskie... Cały świat informował o skandalu! Oderwał wzrok od monitora, zamyślił się. Zmienił ustawienia regionalne w wyszukiwarce, tak by zaciągać informacje z niemieckiego Internetu. Wstukał szybko nazwisko „Uwe Delitz”. Nie odnalazł żadnych doniesień znamionujących, żeby ten utracił swoje stanowisko. Wszedł na stronę Urzędu Kanclerskiego. Po chwili na jego twarzy zagościł pełen

satysfakcji, szeroki uśmiech. Syn Adalberta nadal był doradcą szefa niemieckiego rządu.

Jego zadowolenie ulotniłoby się jednakże, gdyby wiedział, iż już w następnym roku Uwe Delitz nagle zakończy życie, i to zaledwie w kilka dni po objęciu funkcji ambasadora Niemiec w jednym z krajów Dalekiego Wschodu, zaś niemieckie MSZ wyda oświadczenie, że „śmierć dyplomaty w żaden sposób nie była związana z jego funkcją polityczną”<sup>73</sup>).

---

73) Fragment oryginalnego oświadczenia wydanego przez niemieckie MSZ w związku ze śmiercią wysokiej rangi dyplomaty, byłego doradcy ds. międzynarodowych i bliskiego powiernika kanclerz Angeli Merkel. Źródło: portal internetowy Deutsche Welle, tytuł artykułu: „Nagła śmierć ambasadora Niemiec w Chinach. Merkel wstrząśnięta”, data publikacji: 6 września 2021 roku.

*Tyniec Mały, 6 lutego 2022 roku*

## SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

Kraków, 14 stycznia 1945 roku

Kraków, rok 2019. 1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

Retrospekcja I. Warszawa, czerwiec 1968 roku

9.

10.

11.

12.

Retrospekcja II. Kraków, sierpień 1969 roku

13.

14.

Retrospekcja III. Weimar, Niemiecka Republika Demokratyczna, lipiec 1970 roku

15.

Retrospekcja IV. Split, Jugosławia, lato 1975 roku

16.

Retrospekcja V. Monachium, luty 1981 roku

Warszawa, kwiecień 1981 roku

17.

Retrospekcja VI. Monachium, listopad 1989 roku



18.

Retrospekcja VII. Wiedeń, lipiec 1992 roku

19.

20.

Epilog

Stare Kiejkuty, Ośrodek Szkolenia Agencji Wywiadu, marzec 2020 roku